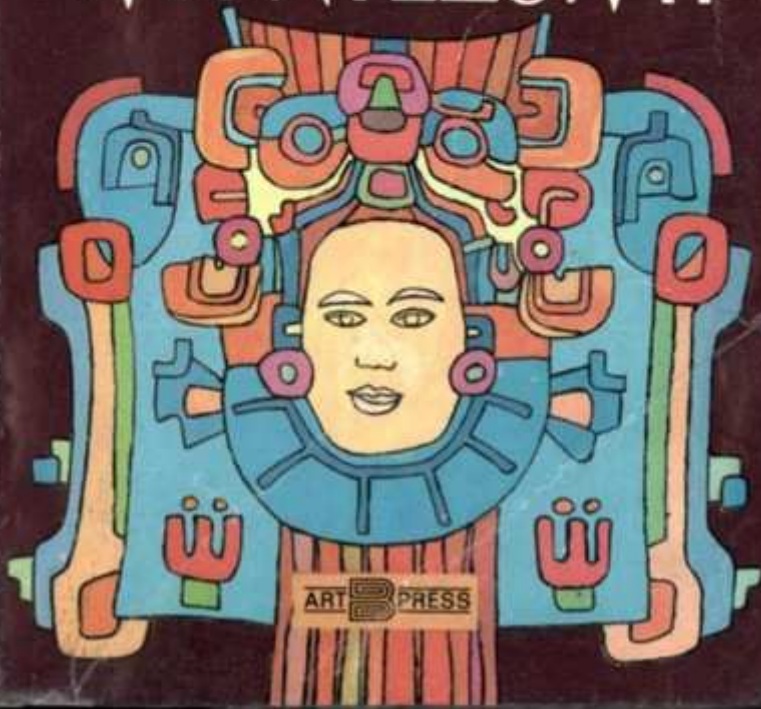


H. RIDER
HAGGARD

CORKA MONTEZUMY



Sir Henry Rider Haggard żył w latach 1856–1925. Napisał wiele powieści obyczajowych i przygodowych. Do najlepszych jego utworów należą: *Kopalnie króla Salomona*, *Ona*, *Pierścień królowej Saby*, *Heu-Heu czyli potwór*, których akcja toczy się w tajemniczej, nie do końca wówczas poznanej Afryce, oraz *Córka Montezumy*, której bohater przeżywa niesamowite przygody podczas podboju Meksyku przez Cortesa.

Fabula powieści osnuta jest na tle zabójstwa, jakiego dokonał, ovladnięty szalenczą zazdrością, hiszpański cavallero Juan de Garcia na swej kuzynce — matce głównego bohatera Tomasza Wingfielda. Ten poprzysięga mordercy zemstę i ściga go z rodzinnej Anglii przez Hiszpanię do Ameryki. Tam — wśród meksykańskich Azteków — spędza wiele lat, będąc ich więźniem, oliara, sojusznikiem w walce z białymi najeźdźcami, a wreszcie wodzem.

Na kartach powieści opisana jest też piękna miłość, jaką może obdarzyć mężczyznę tylko zakochana aż do zapamiętania kobieta.

Córka Montezumy czyta się z wielkim zainteresowaniem od pierwszej do ostatniej strony.

6.403

H. RIDER HAGGARD

CÓRKA MONTEZUMY

Przełożyli:

Katarzyna i Andrzej Jankowscy

WYDAWNICTWO ART „B” PRESS

Poznań 1991

Tytuł oryginału

Montezuma's daughter

Okładkę projektował Józef Petruk

Polish translation

© copyright by Katarzyna and Andrzej Jankowscy

ISBN 83-900107-1-2

Redaktor: Adam Cichy

Redaktor techniczny: Michał Lisowski

Korektor: Mirosław Drozd

Printed in Poland

Wydawnictwo Art „B” Press

Poznań, Al. Niepodległości 2

Wydanie I. Zam. nr 3/91

Zakłady Graficzne w Poznaniu, ul. Wawrzyniaka 39,

Zlec. nr 71256/91

TOM I

Rozdział I

RODZINA

Ja, Tomasz Wingfield, urodziłem się tu, w Ditchingham, w tym samym pokoju, w którym zasiadłem dziś do pisania. Dom, w którym przyszedłem na świat, został zbudowany w początkach panowania Henryka VII, ale już na długo przedtem stał tu budynek, w którym mieszkał stróż winnicy. Nie wiem, czy dawniej był tu łagodniejszy klimat czy też umiejętności ogrodników były większe, ale faktem jest, że całe zbocze wzgórza, u podnóża którego znajduje się mój dom, a które niegdyś było brzegiem zatoki, a może rzeki wpadającej do niej, pokrywały już w czasach hrabiego Bigoda winnice. Winorośl przestała już dawno temu owocować, ale zbocze od domu aż do źródła, które bije z ziemi pół mili dalej, a w którym leczą swe dolegliwości chorzy przybywający tu nawet z Norwich i Lowestoft, dalej zwane jest „Winnicą Hrabiego”. Choć po winnicy została tylko nazwa, to jednak sady tutejsze, osłonięte przed wschodnimi wiatrami, do dnia dzisiejszego zakwitają o dwa tygodnie wcześniej niż na okolicznych ziemiach i nawet w maju, kiedy na szczycie wzgórza odległym zaledwie o dwieście kroków człowiek trzęsie się z zimna w futrze bobrowym, można w nich siedzieć w samej koszuli.

Stróżówka, jak zawsze zwano dom ze względu na jego dawny charakter, zwrócona jest frontem na południowy zachód i stoi tak nisko, że mogłoby się wydawać, iż dostaje się tam wilgoć z rzeki Waveney, która przepływa przez pobliskie moczary. Jednak choć jesienią o zachodzie słońca dom spowity jest gęstą mgłą i choć zdarza się, że w czasie wielkiej powodzi woda zalewa stajnie znajdujące się na jego tyłach, to nie ma zdrowszego miejsca w całej parafii, gdyż pobudowany został na grubej warstwie piasku i żwiru. Jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny, to mury ma z czerwonej cegły, pełne załamań, latem do połowy skryte wśród róż i pnaczy. Z jego okien roztacza się widok na moczary i łąki gminne, zmieniające kolor w zależności od pory roku, a nawet pory dnia, na czerwone dachy domów w mieście Bungay i rząd drzew okalających ziemie należące do Earsham. Choć w okolicy jest wiele większych domów, ten jest moim zdaniem najprzyjemniejszy. W nim się urodziłem i w nim na pewno umrę, a teraz

powiedziawszy już o nim może nazbyt wiele - jak zawsze, kiedy mowa o miejscach, do których przywiązaliśmy się - przejdę do opisu mojej rodziny.

A zatem, po pierwsze, muszę wyznać z pewną dumą - bo któż nie byłby dumny ze swego starożytnego nazwiska - że wywodzę się z Wingfieldów, których siedzibą rodową jest zamek Wingfield w Suffolk, odległy o około dwie godziny jazdy konno od tego miejsca. Dawno temu dziedziczka fortuny Wingfieldów poślubiła jednego z De la Pole'ów, rodziny znanej z naszej historii, i zamek przeszedł w ich ręce. Ostatni z De la Pole'ów, Edmund, hrabia Suffolk, został ścięty za zdradę, kiedy byłem młody. Jednak pewna gałąź rodu Wingfieldów przetrwała w okolicy. Być może na ich tarczy herbowej był znak wskazujący na pochodzenie z nieprawego łoża * - nie wiem i nie interesuje mnie to - w każdym razie mój ojciec i ja pochodzimy z tej linii. Mój dziadek był sprytnym człowiekiem, bardziej chłopem średniorolnym niż dziedzicem, choć szlachetnie urodzonym. To on właśnie kupił ten dom i okoliczne ziemie, doszedłszy do niezłej fortuny dzięki dobrym ożenkom - choć miał tylko jednego syna, był dwa razy żonaty - rozsądnym decyzyjnym i handlowi bydłem.

* Zwyczaj przyjęty w heraldyce ang. (przyp. tłum.).

Dziadek był człowiekiem pobożnym aż do przesady i choć to może wydać się dziwne, pragnął, aby jego jedyny syn został księdzem. Jednak ojciec nie kwapił się do stanu duchownego ani do życia w klasztorze, mimo iż dziadek usiłował go do tego przekonać zarówno za pomocą perswazji, jak i dyscypliny, która do dzisiaj wisi nad kominkiem w saloniku. Skończyło się to tak, że oddano chłopca do klasztoru w Bungay, gdzie prowadził się w taki sposób, iż po roku przeor ubłagał dziadka, aby zabrał go z powrotem i przeznaczył do jakichś świeckich zajęć. Nie tylko - skarżył się przeor - ojciec mój wywołał skandal, wysłizgując się nocą z klasztoru i odwiedzając karczmy i inne miejsca, ale jego niegodziwość była tak wielka, że nie wahał się szydzić z doktryn Kościoła, a nawet utrzymywać, że w posążku Panny Marii stojącym w prezbiterium nie ma nic świętego. „Dlatego - zakończył przeor - proszę, żeby zabrał pan syna i pozwolił mu poszukać innej drogi na stos niż ta, która prowadzi przez furtkę naszego klasztoru”.

Ta opowieść tak rozgniewała dziadka, że o mało nie dostał apopleksji. Kiedy przyszedł do siebie, przypomniał sobie o dyscyplinie i chciał z niej zrobić użytek. Ale mój ojciec, który miał już dziewiętnaście lat i był postawny i silny, wyrwał ją z jego dłoni i odrzucił na dobre pięćdziesiąt jardów, mówiąc że nie pozwoli się tknąć nikomu, choćby nawet ten ktoś był sto razy jego ojcem. Potem odszedł, zostawiając przeora i dziadka patrzących na siebie z osłupieniem.

Aby nie przedłużać tej historii, jej dalszy ciąg przedstawię w skrócie. Dziadek i przeor doszli zgodnie do wniosku, że prawdziwą przyczyną krnąbrności mego ojca jest uczucie, jakie żywi do dziewczyny bynajmniej nie arystokratycznego rodu, córki młynarza z Waingford Mills. Może była to prawda, a może nie. Czy to ważne, skoro dziewczyna ta wyszła za rzeźnika z Beccles i umarła wiele lat temu w pięknym wieku dziewięćdziesięciu pięciu lat? Ale bez względu na to, czy było prawdziwe czy fałszywe, dziadek przyjął to wyjaśnienie i wiedząc dobrze, że rozstanie jest najlepszym lekiem na miłość, zdecydował wraz z przeorem, że ojca trzeba będzie wysłać do Sewilli w Hiszpanii, gdzie brat przeora był opatem klasztoru, aby tam zapomniał o córce młynarza i wszystkich innych światowych sprawach. Kiedy zakomunikowano ojcu tę wiadomość, przyjął ją nawet chętnie, gdyż był ciekaw świata. Nie miał wszakże zamiaru oglądać go przez klasztorne kraty. Koniec tego był taki, że udał się do Sewilli z grupą hiszpańskich mnichów, którzy wracali z pielgrzymki do świątyni Matki Boskiej w Walsingham. Podobno dziadek płakał, kiedy żegnał się z synem, mając przecucie, że nie ujrzy go już nigdy więcej. Tak silna była jednak jego wiara, że nie zawahał się odesłać ojca, składając go w ofierze jak Abraham Izaaka. Ale choć ojciec zdawał się zgadzać, jak Izaak, na tę ofiarę, nie myślał bynajmniej o ołtarzach i stosach ofiarnych. Krótko mówiąc, jak mi kiedyś wyznał, miał już obmyślony swój własny plan.

Nic zatem dziwnego, że półtora roku po opuszczeniu Anglii przez ojca, przeor w Bungay otrzymał list od swego brata, opata w Sewilli, w którym ten informował, że ojciec uciekł z klasztoru i znikł gdzieś bez śladu. Dziadek bardzo zmartwił się tą wieścią, ale nic nie powiedział.

Minęły jeszcze dwa lata i nadeszła następna wiadomość, mianowicie, że ojciec został schwytany, oddany w ręce Świętego Oficjum, jak zwano wówczas przekłętą Inkwizycję, i zamęczony w Sewilli. Kiedy dziadek

usłyszał to, zapłakał i zaczął żałować uporu, z jakim zmuszał ojca, wbrew jego woli, do zostania duchownym, uporu, który doprowadził jego jedyne-
go syna do tak haniebnego końca. Potem zerwał przyjaźń łączącą go z
prezorem, a nawet wstrzymał datki na klasztor. Mimo wszystko nie uwie-
rzył, że ojciec naprawdę nie żyje, gdyż w dniu swojej śmierci, która zabrała
go dwa lata później, mówił o nim jak o żyjącym i zostawił mu wskazówki
dotyczące zarządzania ziemiami, które teraz stały się własnością ojca.

Jakoż okazało się, że jego wiara nie była nadaremna, bo pewnego dnia,
w trzy lata po zgonie dziadka, a w osiem lat od swego wyjazdu, w porcie
Yarmouth wylądował mój ojciec we własnej osobie. Nie wrócił sam. Przy-
wiózł ze sobą żonę, młodą i piękną kobietę, która później została moją
matką. Była to szlachetnie urodzona Hiszpanka z Sewilli. Jej panieńskie
nazwisko brzmiało donna Luisa de Garcia.

Nie znam dokładnie losów ojca w czasie tych ośmiu lat, gdyż nie mówił
o tym wiele, choć będę musiał tu wspomnieć o niektórych jego przygo-
dach. Wiem jednak, że rzeczywiście znalazł się w rękach Świętego Ofi-
cjum, bo gdy kiedyś, będąc małym chłopcem, kąpałem się z nim w Wave-
ney, zobaczyłem, że jego pierś i ramiona pokryte są długimi, białymi bli-
znami i spytałem, skąd się wzięły. Pamiętam, jak zmieniła mu się twarz,
kiedy zaczął mówić, raczej do siebie niż do mnie.

- To dzieło diabłów - powiedział z nienawiścią - diabłów, które nasał
na mnie największy z diabłów, które żyją na ziemi i będą panować w pie-
kle. Dowiedz się, synu, że jest kraj, który nazywa się Hiszpanią. Tam uro-
dziła się twoja matka i tam żyją diabły, które torturują mężczyzn i kobiety
i palą ich żywcem w imię Chrystusa. Wydał mnie w ich ręce ten, którego
nazywam największym z diabłów, choć jest młodszy ode mnie o trzy lata.
To ich szczypce i rozpalone pręty zostawiły te znaki na moim ciele. Zresztą
spaliliby mnie też, lecz dzięki twojej matce udało mi się uciec... ale mały
chłopiec nie powinien słuchać takich historii. Pamiętaj, Tomaszu, żebyś
nigdy o tym nie mówił, bo Święte Oficjum ma długie ręce. Jesteś pół-
Hiszpanem, Tomaszu, świadczą o tym twoje oczy i kolor twojej skóry, ale
twoje serce zadaje kłam tym świadectwom. W sercu musisz być Angli-
kiem. Musisz nienawidzić wszystkich Hiszpanów, z wyjątkiem twojej
matki, i musisz dbać o to, żeby jej krew nie przeważała nad moją.

Niewiele wówczas z tego zrozumiałem. Później jednak pojąłem zna-
czenie jego słów aż nazbyt dobrze. Jeśli chodzi o radę ojca, żeby nie dał

się ponieść hiszpańskiej krwi, to oby zawsze udawało mi się stosować do niej! Doskonale wiem, że większość z moich wad ma właśnie w tej krwi swe źródło. Skąd bierze się moje niezłomne dążenie do celu, a raczej mój upór, stąd zupełnie niechrześcijańska nienawiść do tych, którzy wyrządzili mi jakąś krzywdę. No cóż, starałem się jak mogłem zapanować nad tymi i innymi przyzwyczajeniami, ale choćby z nią usilnie walczyć, prawdziwa natura i tak w końcu dojdzie do głosu, co zdarzyło mi się, niestety, zaobserwować w wielu sytuacjach.

Miałem dwoje rodzeństwa, starszego brata Geoffreya i siostrę Mary, młodszą ode mnie o rok. Mieliśmy szczęśliwe dzieciństwo, a nasza uroda była powodem do dumy dla naszych rodziców, a obiektem zazdrości sąsiadów. Z całej trójki ja byłem najciemniejszy, prawie smagły. W Mary domieszkę hiszpańskiej krwi zdradzały tylko fiołkowe oczy i brzoskwinio-wa cera. Z powodu mej ciemnej karnacji matka nazywała mnie swym małym Hiszpanem, ale tylko wtedy, kiedy nie było w pobliżu ojca, bo gniewało go to. Nigdy nie nauczyła się dobrze mówić po angielsku, ale ojciec nie chciał słyszeć żadnego innego języka. Kiedy jednak nie było go, mówiła po hiszpańsku. Mimo to z całej naszej trójki tylko ja opanowałem go doskonale, i to raczej dzięki paru tomom starych hiszpańskich roman-sów niż z jakiegokolwiek innego powodu. Od wczesnego dzieciństwa bardzo lubiłem takie opowieści i obiecując mi, że będę mógł je przeczytać, matka skłoniła mnie w ten sposób do nauki hiszpańskiego. Tęskniła bowiem za swą słoneczną ojczyzną, szczególnie zimą, której nie cierpiała tak samo jak ja. Kiedyś spytałem ją, czy nie chciałaby wrócić do Hiszpanii. Zadrżała i odparła, że nie, gdyż żyje tam jej wróg, który z miejsca by ją zabił, a poza tym sercem i duszą jest z nami, swymi dziećmi, i ze swym mężem. Pomyślałem, czy przypadkiem ten wróg nie jest tym samym męż-czyzną, którego ojciec nazwał „największym z diabłów”, ale głośno powiedziałem tylko tyle, że nikt nie chciałby zabić tak dobrej i pięknej kobiety.

- Niestety, mój chłopcze - odparła - to właśnie dlatego, że jestem, a raczej byłam, piękna, tak mnie nienawidzi. Nie tylko wasz drogi ojciec chciał mnie poślubić, Tomaszu.

Potem na jej twarzy pojawił się wyraz lęku.

Kiedy miałem osiemnaście i pół roku, zdarzyło się pewnego majowego wieczoru, że zawitał do nas po drodze z Yarmouth przyjaciel ojca, dziedzic dużego majątku, pan Bozard i w czasie rozmowy powiedział, że w porcie

stoi hiszpański statek handlowy. Ojciec nastawił uszu i spytał, kto jest jego kapitanem. Pan Bozard odparł, że nie zna jego nazwiska, ale że widział go na targu i że jest to wysoki, przystojny mężczyzna, bogato odziany, z blizną na skroni. Na te słowa matka zbladła i wyszeptwała po hiszpańsku:

- Matko święta, spraw, aby to nie był on!

Ojciec również wyglądał na przestraszonego. Zaczął szczegółowo wypytywać Bozarda o jego wygląd, ale nie dowiedział się nic więcej. Wtedy pożegnał się z nim szybko, wziął konia i pojechał do Yarmouth.

Tej nocy matka nie zmrużyła oka. Siedziała w fotelu, myśląc Bóg wie o czym. Kiedy wstałem o świcie, zastałem ją w tej samej pozycji, w jakiej zostawiłem ją wieczorem. Pamiętam dobrze jej bladą twarz zwróconą w stronę okna.

- Wczesnie dziś wstałaś, mamó - powiedziałem.

- W ogóle się nie kładłam, Tomaszu - odparła.

- Dlaczego? Czego się boisz?

- Boję się przeszłości i przyszłości, synu. Żeby wreszcie wrócił już ojciec!

Koło dziesiątej, kiedy szykowałem się w drogę do Bungay, gdzie uczyłem się od miejscowego lekarza medycyny, wrócił ojciec. Matka, która zobaczyła go przez okno, wybiegła na jego powitanie.

Zeskoczył z konia, objął ją i powiedział:

- Nie martw się, kochana, to nie może być on. Ten człowiek nosi inne nazwisko.

- Ale widziałeś go? - spytała.

- Nie, tę noc spędził na statku, a ja spieszyłem się do domu, bo wiedziałem, jak się boisz.

- Lepiej by było, gdybyś go zobaczył. Mógł zmienić nazwisko.

- Nie pomyślałem o tym - odrzekł ojciec - ale nie martw się. Gdyby to był on i gdyby ośmielił się postawić stopę w parafii Ditchingham, to znajdą się tacy, którzy będą wiedzieli, jak z nim postąpić. Ale jestem pewien, że to nie on.

- Dzięki za to Bogu! - powiedziała, a potem zaczęli rozmawiać po cichu.

Widząc, że moja obecność nie jest pożądana, wziąłem swój kij i ruszyłem ścieżką w stronę Bungay, kiedy nagle matka zawołała mnie z powrotem.

- Pocałuj mnie, Tomaszu, zanim pójdiesz - powiedziała. - Pewnie dziwisz się, co to wszystko znaczy. Pewnego dnia ojciec ci to wyjaśni. Ma to związek z cieniem, który od wielu lat kładzie się na mym życiu, ale który, jak ufam, zniknął już na zawsze.

- Jeśli cień ten rzuca jakiś człowiek, to niech lepiej trzyma się poza moim zasięgiem - odparłem ze śmiechem, potrząsając grubym kijem.

- Rzuca go człowiek - odparła - ale gdybyś kiedykolwiek miał go spotkać, to zapamiętaj, Tomaszu, że ciosami niewiele z nim wskórasz.

- Być może, mamó, ale siła jest najlepszym argumentem, bo nawet najsprytniejsi boją się o swoje życie.

- Za bardzo ufasz w swoją siłę, synu - odparła z uśmiechem i pocałowała mnie. - Zapamiętaj stare hiszpańskie przysłowie: „Ten uderza najsilniej, kto uderza ostatni”.

- A ty, mamó, zapamiętaj inne przysłowie: „Uderz, zanim cię uderzą” - odparłem i ruszyłem w drogę.

Kiedy odszedłem jakieś dziesięć kroków, coś - nie wiem co - kazało mi się odwrócić. Matka stała przy drzwiach, jakby obramowana białym kwieciami krzewu pnącego się po murze. Swoim zwyczajem miała na głowie mantylę z białej koronki, zawiązaną końcami pod brodą. Przemknęło mi przez myśl, że wygląda w niej jak nieboszczka. Przestraszyłem się i spojrzałem na jej twarz. Patrzyła na mnie smutnym i poważnym wzrokiem, w którym zdawało się malować pożegnanie.

Nie ujrzałem jej już żywej.

Rozdział II

PRZYBYCIE HISZPANA

Teraz muszę się nieco cofnąć w czasie i opowiedzieć o moich własnych sprawach. Życzeniem ojca było, bym został lekarzem, a więc kiedy skończyłem szkołę w Norwich, to znaczy kiedy zacząłem szesnasty rok życia, podjąłem naukę u medyka w Bungay. Był to bardzo uczony i uczciwy człowiek o nazwisku Browne, więc ponieważ miałem zamiłowanie do tego zawodu, czyniłem pod jego kierunkiem znaczne postępy. Prawdę mówiąc, nauczył mnie prawie wszystkiego, co mógł, więc ojciec postanowił

wysłać mnie do Londynu, abym tam doskonalił swoje umiejętności. Miałem wyjechać po ukończeniu dziewiętnastu lat, czyli mniej więcej pięć miesięcy po przybyciu Hiszpana.

Ale nie było mi pisane wyjechać do Londynu.

Medycyna nie była wszakże jedyną rzeczą, którą zajmowałem się w tamtych czasach. Dziedzic Ditchingham, ten sam, który powiedział ojcu o przybyciu Hiszpana, miał dwoje dzieci, syna i córkę. Jego żona urodziła co prawda jeszcze kilkoro, ale zmarły w dzieciństwie. Córka miała na imię Lily i była moją rówieśniczką, gdyż urodziła się trzy tygodnie po mnie. Teraz w naszych stronach nie ma już Bozardów, gdyż prawnuczka pana Bozarda, jedyna córka i wyłączna dziedziczka jego syna, wyszła za mąż i jej dzieci noszą inne nazwisko. Ale to na marginesie. Od najmłodszych lat my, dzieci Bozardów i Wingfieldów, żyliśmy prawie jak bracia i siostry, gdyż codziennie bawiliśmy się razem. Dlatego trudno mi powiedzieć, kiedy zacząłem kochać się w Lily albo kiedy ona poczuła miłość do mnie. Wiem tylko tyle, że gdy pierwszy raz wyjeżdżałem do szkoły w Norwich, bardziej było mi smutno z tego powodu, że nie będę mógł jej widywać niż dlatego, że rozstaję się z matką i resztą rodziny. Była moją partnerką we wszystkich zabawach i codziennie przeczesywałem całą okolicę w poszukiwaniu jej ulubionych kwiatów. Kiedy skończyłem szkołę i wróciłem do domu, nasze stosunki ułożyły się tak samo jak dawniej, choć Lily wydawała się coraz bardziej nieśmiała, a i ja, uświadomiwszy sobie, że z dziewczynki przeistoczyła się w kobietę, stałem się nagle nieśmiały. Nadal jednak często się spotykaliśmy i choć żadne z nas nic nie mówiło, spotkania te sprawiały nam wielką przyjemność.

Tak było do dnia śmierci mojej matki. Zanim jednak przejdę do opisu dalszych wydarzeń, muszę wyznać, że pan Bozard nie patrzył chętnym okiem na przyjaźń między mną a swoją córką, i to nie dlatego, żeby mnie nie lubił, ale raczej z przyczyny, iż chciał, by Lily poślubiła mego starszego brata, Geoffreya, który miał po ojcu odziedziczyć majątek, a nie mnie *. Zgodnie z prawem angielskim, jedynym i wyłącznym dziedzicem majątku szlacheckiego był jego najstarszy syn (przyp. tłum.).

Doszło w końcu do tego, że mogłem się z Lily widywać tylko przypadkiem, podczas gdy brat był zawsze mile widzianym gościem w Ditchingham. Z tej przyczyny ochłodziły się znacznie stosunki między mną i bratem. Nie było w tym nic dziwnego, jako że gdy w grę wchodzi rywalizacja o względy kobiety, a Geoffrey również kochał się w Lily, najbliżsi przyjaciele

zaczynają patrzeć na siebie wilkiem. Być może Geoffrey miał większe prawa do jej ręki - był przecież o trzy lata starszy ode mnie i miał zostać właścicielem naszego majątku. Ba, może się nawet wydawać, że zbyt wcześnie zaczęły pociągać mnie amory, nie byłem przecież jeszcze pełnoletni, ale młoda krew jest gorąca, a do tego moja była w połowie hiszpańska. W przeciwieństwie zatem do moich rówieśników o czystej krwi angielskiej, którzy byli jeszcze chłopcami, ja stałem się mężczyzną. Albowiem krew i gorące słońce mają wielki wpływ na te sprawy. Mogłem się o tym przekonać, przebywając wśród Indian w Anahuac, gdzie zupełnie normalne było, że piętnastolatki brały sobie dwunastoletnie żony. W każdym razie pewne jest, że mając osiemnaście lat byłem na tyle dojrzały, by zakochać się tak mocno i trwale, że miłość ta przetrwała aż do późnej starości. Co prawda historia mego życia może zdawać się przeczyć temu, ale uważam, że nawet kochając wiele kobiet, mężczyzna naprawdę kocha tylko jedną z nich i pozostaje jej w duszy wierny nawet wtedy, kiedy łamie dane jej słowo.

A zatem, mając dziewiętnaście lat, byłem w pełni dojrzałym i - jak mogę teraz, będąc starym człowiekiem, stwierdzić bez fałszywej skromności - bardzo przystojnym mężczyzną. Nie byłem zbyt wysoki, bowiem mierzyłem pięć stóp i dziewięć cali, ale dobrze zbudowany. Miałem bardzo ciemną cerę, duże, też ciemne oczy i kruczoczarne włosy. Byłem opanowany i tak poważny, że mogłem się nawet wydawać pogrążony w smutku, mówiłem wolno i nie podnosząc głosu, a w ogóle starałem się więcej słuchać niż mówić. Starannie ważyłem wszystkie za i przeciw, zanim się na coś zdecydowałem, ale kiedy już podjąłem decyzję, nic - chyba tylko śmierć - nie mogło mnie zmusić do zawrócenia z drogi, i to bez względu na to, czy zamiar był dobry czy zły, czy świadczył o mojej mądrości czy o głupocie. W owym czasie nie byłem też zbyt religijny, częściowo ze względu na nauki mego ojca, a częściowo dzięki moim własnym przemyśleniom. Młodzież skłonna jest wyciągać pochopne wnioski i uważać, że skoro pewne sądy są fałszywe, to wszystkie pozostałe też są takie. Tak więc, ponieważ księża utrzymywali, że obraz Matki Boskiej w Bungay płacze prawdziwymi łzami, czego nigdy nie udało mi się zobaczyć, myślałem czasami, że nie ma Boga. Teraz dobrze wiem, że Bóg istnieje, bo dowodzi tego moja własna historia.

Wiedziałem, że tego smutnego dnia, który tu opisuję, Lily miała spacerować samotnie w miejscu zwanym Grubswell, koło wielkich dębów w parku dworskim w Ditchingham, gdzie rosły i nadal rosną krzewy głogu,

które wyjątkowo wcześniej pokrywają się kwieciami. Kiedy bowiem w niedzielę spotkałem się w drzwiach kościoła z Lily, powiedziała, że głogi niedługo zakwitną i że w środowe popołudnie pójdzie tam, aby ścinać trochę gałązek. Zauważyłem, że chociaż mówiła o tym w obecności ojca i paru innych osób, to jednak zaczekała, aż Geoffrey odejdzie na taką odległość, że nie będzie mógł jej słyszeć, a przy tym spojrziała na mnie wymownie. Obiecałem sobie wówczas, że w środę po południu będę w tym samym miejscu, choćbym miał zaniedbać swoje obowiązki i zostawić bez opieki wszystkich chorych w Bungay. Co więcej, postanowiłem, że jeśli Lily będzie tam sama, to nie będę dłużej zwlekał i wyznam jej swoje uczucia, choć nie były one dla niej wielką tajemnicą, gdyż mimo iż żadne z nas nie wymówiło dotąd głośno słowa „miłość”, znaliśmy nasze skryte myśli. Nie znaczy to bynajmniej, że chciałem w taki sposób od razu uzyskać jej rękę, gdyż musiałem się najpierw dorobić, ale obawiałem się, że jeśli nie wyznam jej tego otwarcie, brat mnie ubiegnie i uzyska od jej ojca zgodę na ślub.

Niewiele brakowało, abym spóźnił się na spotkanie, bo akurat owego dnia zaniemógł lekarz, u którego praktykowałem, i musiałem zamiast niego zanieść leki chorym. W końcu jednak nie wytrzymałem i między czwartą a piątą, nic mu nie mówiąc, uciekłem. Biegłem całą drogę i zwinilem dopiero minawszy dwór w Ditchingham i kościół. Nie chciałem stanąć przed Lily spocony i zdyszany. Zresztą, żeby lepiej wyglądać, włożyłem swoje świąteczne ubranie. Kiedy schodziłem z niewielkiego wzgórza, przez które przebiega droga obok parku, zauważyłem mężczyznę na koniu, który najpierw puścił się ścieżką w stronę brzegu, później zawrócił na łąki gminne znajdujące się między winnicą a Waveney, a w końcu z powrotem wyjechał na drogę. Wyglądało na to, że nie wie, którądy ma jechać. Choć w tamtej chwili pochłonięty byłem czym innym, układając w myśli przemowę, z którą zwrócę się do Lily, zorientowałem się od razu, że nie jest to człowiek z naszych stron. Był bardzo wysoki, o szlachetnej postawie, miał wykwintny aksamitny strój i złoty łańcuch na szyi. Wyglądał na około czterdzieści lat. Ale najbardziej przykuła moją uwagę jego twarz, gdyż w owym momencie było w niej coś strasznego. Była pociągła i poznaczona głębokimi zmarszczkami, duże oczy lśniły w promieniach słońca niczym złoto, usta miał małe i kształtne, ale wykrzywione diabelskim grymasem, wysokie czoło, znamionujące inteligencję, i bliźnię na skroni.

Poza tym wyglądał na południowca, miał śniadą cerę, kręcone i czarne, jak moje, włosy oraz spiczastą, kasztanową bródkę.

Kiedy kończyłem te obserwacje, zrównałem się niemal z nieznanym i dopiero wtedy mnie zauważył. Wyraz jego twarzy natychmiast się zmienił, znikł z niej okrutny grymas i pojawił się miły uśmiech. Zdjąwszy dwornym ruchem kapelusz, skłonił się i zaczął coś mówić łamaną angielszczyzną - zrozumiałem tylko słowo Yarmouth - a wreszcie, zorientowawszy się, że nic z tego nie pojmuję, przeklął w najczystszy kastylijskim język angielski i wszystkich, którzy nim mówią.

- Jeśli wyrazisz, senior, swe życzenie po hiszpańsku - odparłem w jego języku - to być może będę mógł ci pomóc.

- Co?! - aż podskoczył na siodło. - Mówisz, panie, po hiszpańsku? A jednak, choć sądząc z twarzy, mógłbyś być Hiszpanem, nie jesteś nim. Caramba! To dziwne - skończył i przyjrzał mi się uważnie.

- Być może dziwne, ale spieszy mi się - odparłem. - Mów, panie, co chcesz wiedzieć, byle szybko.

- Ha - powiedział - chyba wiem, jaki jest powód twojego pośpiechu, panie. Tam, przy strumyku - wskazał głową park - widziałem białą suknię. Posłuchaj rady starszego, młodzieńcze, i bądź ostrożny. Zabawiaj się z nimi, jak chcesz, ale nigdy im nie wierz i nigdy się nie żeń, bo inaczej będziesz żył tylko po to, żeby je zglądzić!

W tym momencie chciałem już odejść, ale odezwał się znowu.

- Wybacz mi te słowa, panie. Mówiłem je w dobrym zamiarze. Może życie przekona cię o ich prawdziwości. Nie będę cię już zatrzymywał. Bądź tylko łaskaw wskazać mi drogę do Yarmouth. Przyjechałem tu inną drogą, a u was, w Anglii, jest tyle drzew, że nie sposób dostrzec, co jest milę dalej.

Przeszedłem kilkanaście kroków ścieżką, do miejsca, gdzie łączyła się z drogą i pokazałem, którędy ma jechać. Spostrzegłem wtedy, że cudzoziemiec przygląda się bacznie i jak mi się zdawało, z obawą, której mimo wysiłków nie może ukryć, mojej twarzy. Kiedy skończyłem objaśniać, jak ma dalej jechać, uchylił ponownie kapelusza i podziękował mi. Potem spytał:

- Czy raczysz, panie, wyjawić mi swoje nazwisko?

- A po co panu moje nazwisko? - odparłem szorstko. - Pan też mi się nie przedstawił.

- Istotnie. Podróżuję *incognito*. Może ja też spotkałem jakąś damę w tych stronach - uśmiechnął się dziwnie. - Chciałem tylko poznać nazwisko

tego, kto wyświadczył mi uprzejmość, ale kto jednak nie jest chyba tak uprzejmy, jak sądziłem. - Potrząsnął cugłami.

- Nie wstydź się swego nazwiska - odparłem. - Jak dotąd nie zostało przez nikogo splamione. Jeśli tak pragniesz, panie, je i poznać, to nazywam się Tomasz Wingfield.

- Tak myślałem! - wykrzyknął, a twarz zmieniła mu się jak u diabła. Potem, zanim zdążyłem ochłonąć, zeskoczył z konia i stanął trzy kroki przede mną.

- Szczęśliwy dziś dzień! Teraz przekonamy się, na ile prawdziwe są proroctwa - powiedział, wyciągając oprawny w srebro miecz. - Nazwisko za nazwisko! Wita cię Juan de Garcia, Tomaszu Wingfieldzie.

Choć może się to wydać dziwne, dopiero wtedy przypomniałem sobie wiadomość o przybyciu do Yarmonuth jakiegoś Hiszpana, która tak bardzo poruszyła moich rodziców. W każdej innej sytuacji przypomniałbym sobie o tym znacznie wcześniej, ale tego dnia tak byłem pochłonięty myślą o spotkaniu z Lily i o tym, co mam jej powiedzieć, że wszystko inne przestało mnie interesować. - To musi być ten człowiek - powiedziałem sam do siebie, ale nie miałem czasu na nic więcej, bo skoczył na mnie. Zobaczyłem błysk ostrza i uskokczyłem w bok z zamiarem ucieczki, bo będąc bez broni, mogłem to zrobić bez wstydu. Nie uniknąłem jednak zupełnie ciosu. Był wymierzony w serce, ale dzięki unikowi trafił mnie w lewe ramię. Nie wyrządził mi wielkiej krzywdy, ale ból spowodował, że zapomniałem o ucieczce. Ogarnął mnie gniew i myślałem już tylko o jednym - żeby zabić człowieka, który zaatakował mnie tak znieczeka, niczym nie sprowokowany. Trzymałem w ręku potężny kij dębowy, który wyciąłem sobie na zboczu Hollow Hill i jeśli miałem walczyć, to musiałem na nim polegać. Może się wydawać, że nie jest to broń, z którą można stawić czoła przeciwnikowi uzbrojonemu w miecz z toledańskiej stali i potrafiącemu się nim świetnie posługiwać, ale dobry kij też ma swoje zalety, bo kiedy zamachnąć się nim, to przeciwnik może zapomnieć, że ma w dłoni bardziej niebezpieczny oręż i zamiast atakować, zacząć się bronić. Tak też stało się w tym przypadku, choć jak to się dokładnie odbyło, nie jestem w stanie powiedzieć. Hiszpan był znakomitym szermierzem i gdybym był uzbrojony tak samo jak on, to bez wątpienia przegrałbym, gdyż w owym czasie nie miałem pojęcia o fechtunku, który był sztuką prawie nieznaną w Anglii. Jednak kiedy zobaczył kij nad głową, zapomniał o swojej przewadze i uniósł miecz, aby odparować cios. Trafiłem go w grzbiet dłoni i

miecz wypadł mu z ręki. Nie poprzestałem na tym, gdyż krew we mnie wrzała. Następnym ciosem trafiłem go w usta, wybijając mu ząb i powalając go na trawę. Wtedy chwyciłem go za nogę i zacząłem młócić bez litości, oszczędzając jednak głowę, bo teraz, kiedy zostałem zwycięzcą, nie chciałem już go zabijać. Potem żałowałem, że tego nie zrobiłem, ale wtedy brałem go po prostu za szaleńca.

Tłukłem go, aż zabolaly mnie ręce. Wtedy zostawiłem kij i zacząłem go kopać. Cały czas wił się jak zraniony wąż i kłął straszliwie, ale nie krzyczał ani nie prosił o litość. W końcu przestałem i przyjrzałem mu się. Był okropnie posiniaczony i poraniony, a jego ubranie było podarte i pokryte kurzem. Trudno byłoby poznać w nim tego sztywnego kawalera, który rozmawiał ze mną pięć minut wcześniej. Ale jeszcze okropniejszy był wzrok, którym przeszywał mnie, leżąc na boku drogi.

- No, przyjacielu Hiszpanie - powiedziałem - dostałeś nauczkę. Co mnie teraz powstrzyma przed potraktowaniem cię w taki sam sposób, w jaki ty chciałeś mnie potraktować? - Mówiąc to, podniosłem jego miecz i przytknąłem koniec ostrza do jego gardła.

- No, pchnij, ty przekłety szczeniaku! - odparł z trudem. - Lepiej zginać niż pamiętać o takiej hańbie.

- O nie - powiedziałem. - Nie jestem mordercą, jak ty, żeby zabijać bezbronnego. Odpowiesz za to przed sądem. Na takich jak ty czeka sznur.

- Najpierw musisz mnie tam zaciągnąć - jęknął i zamknął oczy, jak gdyby stracił przytomność. Może zresztą zemdlął naprawdę.

Kiedy tak stałem i zastanawiałem się, co zrobić z tym łotrem, mój wzrok padł na dziurę w płocie. Zobaczyłem przez nią, pod dębami odległymi o jakieś trzysta jardów, białą, dobrze mi znaną suknię. Wydało mi się, że odziana w nią osoba kieruje się w stronę mostku, jak gdyby miała już dość czekania na tego, kto tak się spóźnia.

Pomyślałem wtedy, że jeśli zataszczę tego człowieka do wsi, żeby zakuć go w dyby, albo w inne bezpieczne miejsce, to mogę się pożegnać z myślą o spotkaniu z ukochaną tego dnia, a nie wiedziałem, kiedy nadarzy się następna okazja. Zrezygnowałbym z doprowadzenia przed oblicze sprawiedliwości nawet dwudziestu cudzoziemców o zbrodniczych zamiarach, byleby tylko nie stracić możliwości spotkania z Lily, a poza tym ten Hiszpan dostał już dobrą zapłatę za swe zachowanie. Na pewno, myślałem,

może jeszcze trochę poczekać, a jeśli nie będzie miał na to ochoty, to potrafię go do tego zachęcić. Niecałe dwadzieścia kroków od nas jego koń skubał spokojnie trawę. Podeszedłem do niego, odwiązałem wodze i za ich pomocą przywiązałem najlepiej, jak mogłem Hiszpana do przydrożnego drzewa.

- Poczekaasz tu, aż będę miał czas cię zabrać - powiedziałem i odszedłem.

Jednak kiedy tak szedłem, naszły mnie wątpliwości, czy dobrze zrobiłem, bo znowu przypomniałem sobie strach matki i pośpiech, z jakim ojciec pojechał do Yarmouth, aby wywiedzieć się czegoś o jakimś Hiszpanie. No i oto dzisiaj zabłąkał się do Ditchingham Hiszpan, a kiedy dowiedział się, jak się nazywam, skoczył na mnie jak szalenciec, chcąc mnie zabić. Czy to przypadkiem nie ten człowiek, którego tak się bała moja matka? Czy dobrze postąpiłem, zostawiając go tak, abym mógł spotkać się z ukochaną? W duszy czułem, że zrobiłem źle, ale tak pragnąłem osiągnąć to, co postanowiłem i tak ciągnęło mnie serce do tej, której białą suknię widziałem na zboczu parkowego wzgórza, że zlekceważyłem to przecucie. Byłoby lepiej i dla mnie, i dla kilkorga osób, które się jeszcze wówczas nie narodziły, gdybym go nie zlekceważył. Wówczas ich nie dosięgłaby śmierć, a ja nie poznałbym smaku wygnania, niewoli i tortur.

Rozdział III

WYZNAJĘ MIŁOŚĆ

Przywiązawszy Hiszpana do drzewa tak mocno, jak potrafiłem i zabrawszy jego miecz, pobiegłem szybko za Lily i dopadłem ją w samą porę, gdyż jeszcze chwila i przeszłaby przez most, za którym ścieżka prowadziła prosto do dworu.

Usłyszawszy moje kroki, obróciła się, aby zobaczyć, kto za nią biegnie. Stała tak w blasku zachodzącego słońca, trzymając gałązkę głogu w dłoni i na jej widok serce zabiło mi jeszcze żywiej. Nigdy jeszcze nie wyglądała tak ślicznie, jak wtedy, w białej sukni, z wyrazem po części udawanego, a po części prawdziwego zdumienia w szarych oczach i lśniącymi w słońcu kasztanowymi, wymykającymi się spod beretu włosami. Lily nie była większą dziewczyną, której jedynymi zaletami są młodość i zdrowie, ale wysoką i zgrabną panną, której uroda rozkwitła wcześniej i była właśnie w pełnej krasie. Nic zatem dziwnego, że choć byliśmy rówieśnikami, zawsze

czułem się przy niej, jakbym był jeszcze chłopcem. Stąd moja miłość do niej łączyła się z szacunkiem należnym starszym od nas osobom.

- Ach, to ty, Tomaszu - powiedziała, rumieniąc się. - Myślałam, że nie przyjdę..., to znaczy wracałam do domu, bo zaczyna się robić późno. Ale dlaczego biegleś tak szybko? I co się stało, że masz krew na koszuli i miecz w ręku?

- Brak mi tchu, żeby ci zaraz wszystko opowiedzieć - odparłem. - Wróćmy pod dęby. Tam ci powiem.

- Nie, muszę już iść do domu. Chodziłam wśród głogów ponad godzinę. Mało jeszcze na nich kwiatów.

- Nie mogłem przyjść wcześniej, Lily. Zatrzymano mnie, i to w niezwykły sposób. A poza tym widziałem kwiaty, kiedy biegłem tamtędy.

- Prawdę mówiąc, nie myślałam już, że przyjdiesz - rzekła, spuszczając wzrok. - Masz na głowie inne sprawy niż zbieranie kwiatów jak dziewczyna. Ale chciałabym usłyszeć twoją opowieść, jeśli jest krótka, więc przejdę się z tobą kawalek.

Zawróciliśmy więc i poszliśmy obok siebie w stronę dębów. Zanim do nich doszliśmy, zdążyłem jej opowiedzieć o spotkaniu z Hiszpanem, o tym, jak chciał mnie zabić i jak stłukłem go swoim kijem. Lily słuchała z napięciem i aż krzyknęła ze strachu, kiedy dowiedziała się, jak bliski byłem śmierci.

- Ale jesteś ranny, Tomaszu - przerwała mi nagle. - Spójrz, twoje ramię krwawi. Czy rana jest głęboka?

- Nie oglądałem jej. Nie miałem czasu.

- Zdejmij kurtkę, to opatrzę ją. Nie, nie zdejmuj. Poradzę sobie.

Zdjąłem jednak, nie bez bólu, kurtkę i podwinąłem rękaw. Cios ugodził mnie w przedramię, nie naruszając jednak kości. Lily przemyła ranę wodą ze strumyka i obwiązała ją chusteczką, użalając się cały czas nade mną. Prawdę rzekłszy, zniósłbym radośnie nawet groźniejsze cięcie, byleby tylko ona mogła je opatrzeć. Jej troskliwość przełamała wreszcie moją nieśmiałość i dała mi odwagę, na którą w innych okolicznościach może nie potrafiłbym się zdobyć. Zresztą na początku nie mogłem znaleźć odpowiednich słów i tylko pocałowałem ją w rękę, gdy obwiązywała mi ramię. Zaczerwieniła się jak wieczorne niebo.

- Dlaczego to zrobiłeś? - spytała cicho.

- Dlatego, że cię kocham, Lily, i nie wiedziałem od czego mam zacząć to wyznanie. Kocham cię, zawsze kochałem i zawsze będę kochać.

- Jesteś tego pewien, Tomaszu? - spytała.
- Niczego innego nie jestem tak pewien, jak tego, Lily. Chciałbym być pewien, że ty kochasz mnie tak samo, jak ja ciebie.

Przez chwilę stała w milczeniu, z głową spuszczoną na piersi, a kiedy podniosła ją, jej oczy błyszczały jak nigdy przedtem.

- Czyżbyś w to wątpił? - powiedziała.

Objąłem ją i pocałowałem w usta. Pocałunek ten pamiętałem przez całe życie i pamiętam jeszcze teraz, gdy - stary i pomarszczony - stoję nad grobem. Nigdy więcej nie czułem się tak szczęśliwy. Szybko jednak, niestety - za szybko, skończył się ten pierwszy, czysty, młodzieńczy pocałunek i powiedziałem trochę bez sensu:

- A więc zdaje się, że ty mnie też kochasz.

- Jeśli wątpiłeś w to wcześniej, to czy możesz wątpić teraz? - spytała bardzo cicho. - Ale posłuchaj, Tomaszu. To dobrze, że się kochamy, bo urodziliśmy się dla siebie i choćbyśmy się starali, żeby było inaczej, musi tak być. Jednak miłość, choć święta i słodka, to nie wszystko, bo musimy pamiętać o naszych obowiązkach. Co powie na to mój ojciec, Tomaszu?

- Nie wiem, Lily, ale łatwo zgadnąć. Jestem pewien, kochana, że chce, żebyś poślubiła mego brata, Geoffreya.

- A więc chce czegoś innego niż ja. Obowiązkiem córki jest słuchać ojca, ale nie do tego stopnia, żeby musiała wyjść za kogoś, kto się jej w ogóle nie podoba. Jednak obowiązek posłuszeństwa wobec woli ojca może się okazać na tyle silny, że nie będzie mogła złączyć swego życia z tym, ku któremu rwie się jej serce. Może zresztą obowiązek ten powinien być powstrzymać mnie przed wyznaniem ci miłości.

- O nie, Lily, miłość to zbyt ważna rzecz. Trzeba jej dochować do grobowej deski.

- Jesteś zbyt młody, Tomaszu, żeby tak mówić. Wprawdzie ja też jestem jeszcze zbyt młoda, ale my, kobiety, dojrzewamy szybciej. Może twoje uczucie to tylko chłopięce zauroczenie, które minie, zanim się spotrzeżesz.

- Nigdy nie minie, Lily. Powiadają przecież, że pierwsza miłość jest najtrwalsza, a to, co zakielkuje w młodości, dojrzewa z upływem lat. Posłuchaj, Lily. Muszę zdobyć pozycję i majątek, a to może potrwać. Dlatego, choć może wydać się to egoistyczne, chcę cię prosić, abys mi coś obiecała. Proszę, abys dochowała mi wierności i bez względu na okoliczności nie poślubiła innego, chyba że dowiesz się, iż nie żyję.

- Trudno składać takie obietnice, bo czas wiele zmienia. Jestem jednak tak pewna swego uczucia, że obiecuję ci to, a nawet przyrzeknę. Co prawda nie mogę mieć pewności, że ty się nie zmienisz, ale tak to już jest, że kobiety muszą stawiać wszystko na jedną kartę, a jeśli przegrają, wtedy muszą pożegnać się ze szczęściem.

Rozmawialiśmy jeszcze długo. Nie pamiętam, co mówiliśmy, ale te pierwsze słowa, częściowo ze względu na ich wagę, a częściowo ze względu na to wszystko, co zdarzyło się w następnych latach, wryły mi się głęboko w pamięć.

W końcu dotarło do mnie, że muszę już odejść, choć smutno nam było się rozstawać. Objąłem ją więc tak mocno, że krew sącząca się z rany poplamiała jej białą suknię i pocałowałem ją. Kiedy się całowaliśmy, podniosłem na chwilę wzrok i przestraszyłem się nie na żarty. Bo oto pięć kroków od nas stał pan Bozard, a wyraz jego twarzy nie wróżył nic dobrego.

Okazało się, że jechał ścieżką w stronę strumyka i dojrawszy pod dębami jakąś parę, zszedł z konia, aby wypędzić z parku nieproszonych gości. Jednak dopiero kiedy podszedł bliżej, zorientował się kim są owi ludzie i stanął jak wryty. Puściłem Lily. Odsunęliśmy się od siebie i patrzyliśmy na jej ojca. Był to niski, tęgi mężczyzna o czerwonej twarzy i surowych, szarych oczach, które ze złości o mało nie wyskoczyły mu z orbit. Przez dobrą chwilę nie mógł wykrztusić słowa, ale kiedy w końcu odzyskał mowę, wydawało się, że nigdy nie przestanie. Nie pamiętam wszystkiego, co mi powiedział, ale w zasadzie sprowadzało się to do pytania, czego chce od jego córki? Słuchałem w milczeniu, aż wreszcie zabrakło mu tchu. Wtedy powiedziałem, że Lily i ja kochamy się i postanowiliśmy się pobrać.

- Czy to prawda, córko? - spytał.

- Prawda, ojciec - odparła śmiało.

Tego było mu już za wiele. - Ty bezczelna flirciario! - wybuchnął. - Oćwiczę cię, a potem zamknę w twoim pokoju i będziesz tam siedziała o chlebie i wodzie. A ty, hiszpański kundlu, zapamiętaj raz na zawsze, że to za wysokie progi na twoje nogi. Jak śmiesz zwodzić mi córkę, skoro nie śmierdzisz groszem! Zdobądź najpierw majątek i pozycję, zanim ośmielisz się podnieść wzrok na taką dziewczynę jak ona.

- Niczego innego nie pragnę, panie. I na pewno zdobędę i jedno, i drugie - odparłem.

- Zdobędziesz majątek i pozycję, tak? No więc posłuchaj, ty maściorobie.

Zanim to się stanie, ona już od dawna będzie żoną kogoś, kto ma i jedno, i drugie, i kogo ty dobrze znasz. A teraz, Lily, powiedz, że z nim skończyłaś.

- Nie mogę tego powiedzieć, ojciec - odparła, mnąc suknię. - Jeśli nie chcesz, żebym wyszła za Tomasza, to nie wyjdę. Dobrze wiem, jakie są moje obowiązki. Ale mam też swoją własną wolę i żadne obowiązki nie zmuszą mnie do tego, żebym poślubiła kogoś, kogo nie chcę. Przyrzekłam swoją rękę Tomaszowi i dopóki on będzie żył, nie oddam jej innemu.

- Przynajmniej nie brakuje ci odwagi, bezczelna dziewucho - powiedział jej ojciec. - Ale posłuchaj, co ci powiem: albo wyjdiesz za tego, którego ja wybiorę, albo będziesz sama zarabiała na chleb. Na to cię chowałem, żebyś mi bezczelnie rzuciła zniewagi w twarz? A ciebie, nędzny pigularzu, nauczę, co to znaczy całować córki uczciwych obywateli bez ich pozwolenia! - i rzucił się na mnie ze szpicrutą.

Po raz drugi tego dnia zawrzała moja krew. Chwyciłem miecz Hiszpana, który leżał obok na trawie. Teraz sytuacja odwróciła się. Przedtem musiałem walczyć kijem przeciwko mieczowi, teraz zaś mieczem przeciwko kijowi. I gdyby nie Lily, która z okrzykiem przerażenia podbiła mi rękę do góry, tak że ostrze przeszło nad ramieniem jej ojca, przesyłbym mu pierś i zakończył życie w młodości, ze stryczkiem na szyi.

- Oszalałeś? - krzyknęła. - Myślisz, że zdobędziesz mnie, zabijając mego ojca? Rzuć ten miecz!

- Jeśli chodzi o zdobycie ciebie, to zdaje się, że mam na to niewielkie szanse - odparłem gniewnie - ale powiem ci, że nawet za wszystkie dziewczyny na ziemi nie pozwolę, żeby ktoś okładał mnie kijem, jak jakiegoś włóczęgę.

- Nie mam do ciebie o to pretensji, chłopcze - odparł jej ojciec, już spokojniej. - Widzę, że tobie również nie brakuje odwagi. Może ci się to jeszcze przydać w życiu. Zachowałem się niegodnie, nazywając cię w gniewie nędznym pigularzem. Mimo to, jak powiedziałem, Lily nie jest dla ciebie. Odejdź więc i zapomnij o niej, a jeśli cenisz swoje życie, to uważaj, żebym nigdy już nie zobaczył, jak się całujecie. I dowiedz się jeszcze, że jutro porozmawiam o tej sprawie z twoim ojcem.

- Odchodzę, skoro muszę - odparłem - ale mam nadzieję, że doczekam chwili, w której będę mógł nazwać pana córkę swoją żoną. Żegnaj, Lily, dopóki nie przeminą te burze.

- Żegnaj, Tomaszu - powiedziała, szlochając. - Nie zapomnij o mnie. Ja nigdy nie zapomnę, co ci przysięgłam.

Potem ojciec wziął ją za rękę i odeszli.

Ja również poszedłem. Byłem smutny, ale nie zrozpaczony. Wiedziałem bowiem, że choć naraziłem się na gniew ojca, to jednocześnie zdobyłem serce córki, a miłość jest trwalsza niż gniew i w końcu zwycięży. Kiedy przeszedłem już kawałek drogi, przypomniałem sobie o Hiszpanie, o którym podczas spotkania z Lily i awantury z jej ojcem zupełnie zapomniałem. Zawróciłem więc, aby go odszukać i zaprowadzić do aresztu. Zrobiłbym to z prawdziwą ochotą, bo w ten sposób odbiłbym sobie przynajmniej na kimś doznane przykrości. Kiedy jednak znalazłem się w miejscu, gdzie go zostawiłem, okazało się, że los znowu zakpił sobie ze mnie. Zamiast niego zastałem tam bowiem wioskowego głupka, niejakiego Billy'ego Minnsa. Spoglądał on to na drzewo, do którego przywiązałem cudzoziemca, to na srebrną monetę, którą trzymał w dłoni.

- Gdzie jest ten człowiek, który był tu przywiązany, Billy? - spytałem.

- Nie wiem, panie Tomaszu - odparł. - Sądząc z szybkości, z jaką odjechał, kiedy wsadziłem go na konia, pewnie w połowie drogi do miejsca, do którego jedzie.

- Wsadziłeś go na konia, głupku? Dawno?

- Dawno? Czy ja wiem? Może godzinę, może dwie. Nie jestem rachmistrzem czasu. On sam prowadzi swoje rachunki, jak oberżysta. O rany, jak ten człowiek się spieszył, wbijając długie ostrogi w końskie żebra! I nie ma się co dziwić. Biedak! To jakiś stuknięty. Nie umiał mówić, tylko coś beczał jak koza. Napadli go zbójce na królewskiej drodze, i to w biały dzień. Ale Billy go odwiązał, złapał jego konia i wsadził go na siodło i dostał ten pieniądz za dobry uczynek. O rany, ale się cieszył, że może odjechać. Jak pędził!

- Jesteś jeszcze większym głupkiem, niż myślałem, Billy - powiedziałem ze złością. - Ten człowiek chciał mnie zamordować. Pokonałem go i przywiązałem do drzewa, a ty pozwoliłeś mu uciec.

- Chciał cię zamordować, panie, a ty go przywiązałeś do drzewa? No to dlaczego nie zostałeś tu, żeby go pilnować, aż przyjdę? Razem byśmy go zaprowadzili do aresztu. To by była zabawa! Nazywasz mnie głupkiem, panie, ale czy gdybyś znalazł zakrwawionego człowieka przywiązanego do drzewa, który nic nie może powiedzieć, to byś go nie odwiązał? No cóż, odjechał i tylko to po nim zostało - podrzucił monetę.

Widząc, że to, co mówi ten głupek, nie jest pozbawione sensu, bo istotnie była to moja wina, nie powiedziałem nic więcej. Odwróciłem się i poszedłem do domu, ale nie najprostsza drogą, bo musiałem przemyśleć to wszystko, co zaszło między mną a Lily i jej ojcem, lecz ścieżką biegnącą ku grzbietowi Winnych Wzgórz. Wzgórza te porośnięte są dębowym lasem o bujnym podszyciu, który kończy się jakieś dwieście jardów od mojego domu. Las poprzecinany jest ścieżkami wydeptanymi przez moją matkę, która bardzo lubiła tam spacerować. Jedna z tych ścieżek biegnie u podnóża wzgórz, wzdłuż rzeki Waveney, a inna sto kilkadziesiąt stóp wyżej, blisko ich szczytów, a właściwie, mówiąc prościej, jest to jedna ścieżka, w kształcie litery O, położonej poziomo, tak że zakrzywione końce litery oddają te odcinki ścieżki, które pną się w górę. Otóż wszedłem na ścieżkę w końcu najdalej znajdującym się od domu i szedłem tą jej połową, która biegnie wzdłuż rzeki, mając z jednej strony wodę, a z drugiej las. Szedłem ze wzrokiem utkwionym w ziemię, pogrążony w rozmyślaniach. W pewnym momencie zobaczyłem na trawie coś białego i odrzuciłem to na bok końcem miecza zabranego Hiszpanowi. Zrobiłem to zupełnie machinalnie, ale kiedy przeszedłem jakieś trzysta kroków i byłem już blisko domu, olśniło mnie, że gdzieś już widziałem ten przedmiot. Wtedy moje myśli przeskoczyły na miecz, którym ten przedmiot odrzuciłem, a z miecza na jego właściciela. Jaki interes miał tutaj ten Hiszpan? Z pewnością nieuczciwy. I dlaczego patrzył na mnie tak, jakby się mnie obawiał i rzucił się na mnie, kiedy dowiedział się, jak się nazywam?

Stałem i wtedy mój wzrok padł na ślady stóp dobrze widoczne w wilgotnym piasku ścieżki. Niektóre z nich na pewno należały do mojej matki. Rozpoznałbym je wśród tysiąca innych, bo żadna kobieta w okolicy nie miała tak drobnych stóp jak ona. Tuż przy jej śladach widać było inne, jakby ktoś szedł za nią. Początkowo myślałem, że zostawiła je jakaś inna kobieta, tak były wąskie. Potem jednak zorientowałem się, że to mało prawdopodobne, gdyż były na to za długie. Co więcej, zauważyłem, że butów, które je odcisnęły, nie nosiła żadna ze znanych mi osób, ponieważ miały bardzo wysokie obcasy i szpiczaste czubki. W tym momencie uświadomiłem sobie nagle, że takie właśnie buty miał ów Hiszpan i że szedł za matką, gdyż w pewnych miejscach jego ślady zachodziły na ślady jej stóp. Uświadomiłem sobie też, co to za przedmiot odrzuciłem ze ścieżki. Była to mantyla mojej matki. Nie poznałem jej od razu, gdyż zawsze widywałem ją schludnie zawiązaną na jej głowie, a poza tym byłem pochłonięty myślami. Ogarnęło mnie przerażenie. Dlaczego ten człowiek

szedł za matką i dlaczego jej mantyla leżała na ziemi?

Odwróciłem się i pobiegłem jak jeleń. Cały czas widziałem przed sobą podwójne ślady stóp. Po chwili byłem na miejscu. Tak, to był szal mojej matki. Był rozdarty, jakby ściągnięto go przemocą. Ale gdzie była matka?

Z bijącym sercem pochyliłem się jeszcze raz nad śladami. W tym miejscu były one gęste i splątane, jak gdyby między osobami, które je zostawiły, toczyła się walka. Poszedłem kilka kroków w górę ścieżki, ale tam nie znalazłem już śladów. Zacząłem więc krążyć jak pies gończy i ponownie natrafiłem na nie na brzegu rzeki. W pewnych miejscach, gdzie darń była twarda, ślady znikaly, w innych, gdzie był mokry piasek lub szlam, pojawiały się na nowo. Szedłem za nimi ponad pięćdziesiąt jardów, oddalając się od rzeki. W końcu doprowadziły mnie do pnia potężnego dębu, gdzie jeszcze raz splątały się, gdyż ścigający dopadł ściganej.

Zrozpaczony, bo teraz domyśliłem się wszystkiego, zacząłem się gorączkowo rozglądać i wreszcie spostrzegłem, że bieżą dalej. Były to już jednak tylko ślady Hiszpana, głęboko odcisnięte, jakby niósł jakiś ciężar. Poszedłem za nimi. Początkowo prowadziły z boczem wzgórze w stronę rzeki, a potem skręcały i urywały się w miejscu, gdzie krzaki były wyjątkowo gęste. W środku kępy gałęzie, właśnie pokrywające się listkami, były przygięte, jak gdyby kryły coś. Odsunąłem je i w gęstniejącym mroku zobaczyłem bladą twarz matki. Była martwa.

Rozdział IV

PRZYSIĘGA

Przez chwilę stałem jak skamieniały, patrząc na martwą twarz ukochanej matki. Potem pochyliłem się, aby ją podnieść i zobaczyłem na jej pierśsi ranę. Otrzymała cios prosto w serce, mieczem, który trzymałem w dłoni.

Wtedy zrozumiałem. Była to sprawka owego Hiszpana. Gdy go spotkałem, uciekał z miejsca zbrodni i czy to przez swą nikczemność, czy też z jakiegoś nie znanego mi powodu, postanowił zabić również mnie, kiedy dowiedział się, że jestem synem jego ofiary. I pomyśleć, że miałem tego diabła w garści i nie chcąc się spóźnić na spotkanie z ukochaną, pozwoliłem

mu uciec! O, gdybym znał wtedy prawdę, postąpiłbym z nim dokładnie tak, jak kapłani w Anahuac z ofiarami składanymi bogom. Zapłakałem z gniewu, wstydu i rozpacz. Potem odwróciłem się i pobiegłem jak szalony do domu.

W bramie spotkałem ojca i brata wracających z targu w Bungay. Miałem tak zmienioną twarz, że wykrzyknęli jednocześnie:

- Co się stało?

Trzykrotnie spojrzałem na ojca, zanim odpowiedziałem, bo bałem się, że ta wiadomość może go zabić. W końcu jednak musiałem się odezwać, ale zdecydowałem się zwrócić się do brata.

- Nasza matka leży zamordowana na Winnych Wzgórzach. Zabił ją Hiszpan o nazwisku Juan de Garcia.

Kiedy ojciec to usłyszał, jego twarz zsiniała, jakby dostał ataku serca. Opadła mu szczeka, a z otwartych ust wydobył się przeciągły jęk. Potem oparł rękę o łęk siodła i zwracając ku mnie upiornie wykrzywioną twarz, spytał:

- Gdzie jest ten Hiszpan? Zabiłeś go?

- Nie, ojcze. Spotkałem go przypadkowo w Grubswell. Kiedy dowiedział się, jak się nazywam, chciał mnie zamordować, ale stłukłem go kijem na miąsgę i zabrałem mu miecz.

- No a potem?

- A potem, nie mając pojęcia, co zrobił z matką, pozwoliłem mu odejść. Później opowiem wam wszystko dokładnie.

- Pozwoliłeś mu odejść! Pozwoliłeś odejść Juanowi de Garcia! Niech spoczywa na tobie klątwa Boża, dopóki go nie odnajdziesz i nie dokończysz tego, co zacząłeś dzisiaj.

- Nie przeklinaj mnie, ojcze, bo i tak już ciąży na mnie moje własne przekleństwo. Lepiej jedźcie zaraz do Yarmouth, bo tam stoi jego statek. Ma nad wami dwie godziny przewagi, ale może uda się wam go schwytać, zanim podniesie żagle.

Zawrócili bez słowa konie i odjechali pełnym galopem w gęstniejący mrok.

Jechali na złamanie karku, a ponieważ mieli dobre konie, dotarli do Yarmouth w niespełna półtorej godziny. Ale ptaszek się wymknął. Kiedy znaleźli się w porcie, okazało się, że zaledwie przed paroma minutami wsiadł na czekającą łódź i odpłynął na statek, który stał już pod żaglami. Natychmiast podniósł kotwicę i zniknął w ciemnościach. Ojciec ogłosił zaraz, że wypłaci dwieście funtów w złości właścicielowi statku, który zatrzyma Hiszpana. Na tę wieść dwa statki puściły się w pogoń, ale wróciły rankiem z niczym.

Ja tymczasem zwołałem służbę i wyjaśniłem, co się stało. Wzięliśmy latarnie, bo zapadła już noc i poszliśmy po ciało. Szedłem pierwszy, ponieważ reszta bała się. Prawdę mówiąc, ja też się bałem, choć dlaczego, nie wiem sam. Wiem tylko tyle, że kiedy doszliśmy do miejsca, gdzie leżał trup matki i zobaczyłem w ciemnościach parę świecących oczu, a potem usłyszałem trzask łamiących się gałęzi, omal nie padłem z trwogi, mimo iż zdawałem sobie sprawę, że może to być tylko lis albo włóczący się pies.

Opanowałem się jednak i zwołałem pozostałych. Umieściliśmy ciało na drzwiach, które przynieśliśmy ze sobą i wróciliśmy do domu. Do dziś dnia ta ścieżka wydaje mi się miejscem nawiedzonym. Minęło ponad siedemdziesiąt lat od dnia, w którym moja matka zginęła z ręki Juana de Garcia, jestem stary i widziałem wiele takich smutnych scen, ale nadal nie lubię chodzić nocą tą ścieżką.

Bez wątpienia było to dzieło wyobraźni, która płata nam dziwne figle, ale przysiągłbym, że kiedy rok temu, pewnego listopadowego wieczoru, wybrałem się, aby zastawić sidła na słonki i przechodziłem koło tego dużego dębu, zobaczyłem to wszystko raz jeszcze. Widziałem siebie jako młodego chłopca, z ramieniem przewiązanych chustką Lily, jak schodzę wolno ze wzgórza, a za mną, sapiąc z wysiłku, czterech służących niesie na drzwiach ciało matki. Słyszałem szmer rzeki i wiatr, który przed siedemdziesięciu laty szumiał w trzcinach. Widziałem chmury, spoza których tu i ówdzie prześwitywał granat nieba i białą postać z czerwoną plamą na piersiach, leżącą na drzwiach. Ba, słyszałem, jak mówię służącym, podnosząc w górę latarnię, by ominęli z prawej strony jakiś dół. Było to niesamowite uczucie słyszeć swój własny głos z czasów młodości. Ha, cóż, było to tylko złudzenie, sen na jawie, ale tak boimy się tworów własnej wyobraźni, że ze strachu przed umarłymi, choć sam do nich niedługo dołączę, nie lubię chodzić tą ścieżką po nocy.

W końcu dotarliśmy do domu. Kobiety z płaczem wzięły ciało matki i zajęły się nim. Ja natomiast musiałem nie tylko walczyć ze swym smutkiem i cierpieniem, ale także ukoić moją siostrę, Mary, która odchodziła od zmysłów. Po pewnym czasie wpadła w odrętwienie, więc odszedłem, aby przepytac służących, którzy siedzieli wokół ognia w kuchni. Dowiedziałem się od nich, że na godzinę przed moim spotkaniem z Hiszpanem, widziano bogato odzianego cudzoziemca, który jechał drogą kościelną. Przywiązał on konia do drzewa wśród krzaków janowca rosnących na szczycie wzgórza, a potem stał tam, jakby wahał się, co robić dalej. Stał tak

do czasu, kiedy wyszła z domu matka. Na ten widok zszedł ze wzgórze i poszedł za nią. Dowiedziałem się również, że jeden z ludzi pracujących w ogrodzie, nie dalej niż trzysta kroków od miejsca, gdzie znalazłem zwłoki matki, słyszał krzyki, ale nie przejął się tym, myśląc, że to jakaś para z Bungay gania się po lesie, który do dziś jest ulubionym miejscem spotkań zakochanych. Wydało mi się tego dnia, że parafia Ditchingham jest prawdziwą wylegarnią głupców, z których ja jestem największym. Ta ostatnia myśl nurtowała mnie potem jeszcze wiele razy.

W końcu nastał ranek. Ojciec i brat wrócili z Yarmouth na pożyczonych koniach, bo ich własne były zbyt zmęczone. Po południu nadeszła też wiadomość, że statki, które wypłynęły za Hiszpanem, nie widziały go i musiały zawrócić z powodu złej pogody.

Mogłem wreszcie opowiedzieć im ze szczegółami o spotkaniu z mordercą matki. Niczego nie zataiłem i musiałem wysłuchać gorzkich wymówek ojca, który nie mógł pojąć dlaczego, wiedząc że matka lęka się Hiszpana, zostawiłem go beztrąsko na drodze i poszedłem gruchać z ukochaną. Geoffrey też był wściekły na mnie, ponieważ dowiedział się, że nie na próżno zabiegałem o względy dziewczyny, którą pragnął pojąć za żonę. Nic jednak nie powiedział. Żeby dopełnić czarę goryczy, pan Bozard, który przyszedł wraz z innymi sąsiadami, aby ostatni raz ujrzeć zmarłą i złożyć ojcu wyrazy współczucia, powiedział mu przy okazji, że ma pretensje, iż zalecam się do jego córki wbrew jego woli i że jeśli nie dam jej spokoju, to ich stara przyjaźń zostanie narażona na szwank. A zatem dostało mi się ze wszystkich stron naraz. Czułem żal i smutek z powodu śmierci ukochanej matki, zżerała mnie tęsknota za ukochaną, której mogłem już więcej nie zobaczyć, gnębiły mnie wyrzuty sumienia, że pozwoliłem Hiszpanowi uciec, kiedy miałem go w rękę i dokuczał gniew ojca i brata. W ogóle czułem się tak podle, bo byłem przecież w wieku, kiedy smutek i wstyd odczuwa się najboleśniej, że żałowałem, iż nie leżę martwy obok matki. Podtrzymywało mnie na duchu tylko jedno, list, który Lily przesłała przez zaufaną służącą, i w którym zapewniała mnie o swej miłości i prosiła, bym był dobrej myśli.

Nadszedł wreszcie dzień pogrzebu. Matkę, ubraną w białą suknię, złożono do grobu w prezbiterium kościoła w Ditchingham, tuż obok brązowych nagrobków pradziadka Lily, jego żony i dzieci. Sama uroczystość była niezwykle przygnębiająca, gdyż ojciec nic mógł powstrzymać się od szlochu, a Mary zemdlła i tylko dzięki temu, że w porę ją podtrzymałem, nie osunęła się na posadzkę. Zresztą niewiele było takich osób, które nie

uroniłyby choćby kilku łez, ponieważ matka, mimo obcego pochodzenia, była bardzo lubiana za swe dobre serce i łagodne usposobienie. Ceremonia dobiegła końca i szlachetna hiszpańska dama została ułożona do snu wiecznego w starym angielskim kościele, gdzie spoczywać będzie nawet wtedy, kiedy nikt nie będzie już pamiętał jej tragicznej historii ani nawet nazwiska. Prawdopodobnie stanie się to dosyć szybko, jako że jestem ostatnim z Wingfieldów. Moja siostra, Mary, zostawiła wprawdzie dzieci, którym zapisałem swoje posiadłości i majątek, jeśli nie liczyć pewnych sum dla biednych z Bungay i Ditchingham, ale noszą one oczywiście inne nazwisko. Kiedy było już po wszystkim, wróciłem do domu. Ojciec siedział we frontowym pokoju, niemal nie posiadając się z bólu, a przy nim stał mój brat. Zobaczywszy mnie, zaczął mi na nowo czynić gorzkie zarzuty, że pozwoliłem uciec mordercy, którego Bóg wydał w moje ręce.

- Zapominasz, ojcze - zadrwił Geoffrey - że Tomasz ubiega się o względy pewnej panny i że wołał trzymać ją w ramionach niż pilnować mordercy. Ale zdaje się, że w ten sposób upiekł dwie pieczenie na jednym ogniu - pozwolił uciec temu hiszpańskiemu zbirowi, choć wiedział, że matka lęka się przybycia jakiegoś Hiszpana i zasiał niezgodę między nami a panem Bozardem, któremu jakoś nie przypadło do gustu zalecanie się Tomasza do jego córki.

- To prawda - rzekł ojciec. - Tomaszu, masz na rękach krew swojej matki.

Dotąd słuchałem cierpliwie, ale nie mogłem już dłużej znieść oburzającej niesprawiedliwości.

- To kłamstwo - powiedziałem. - Mówię to nawet własnemu ojcu. Ten człowiek zabił matkę, zanim go spotkałem - wracał do Yarmouth, gdzie stał jego statek, i zgubił drogę - jak więc mogę mieć na rękach jej krew? A jeśli chodzi o zalecanie się do Lily Bozard, to jest to moja sprawa, braciszku, nie twoja, choć pewnie wołałbyś, żeby było odwrotnie. A poza tym, ojcze, dlaczego nie powiedziałeś mi, czego obawialiście się ze strony tego Hiszpana? Usłyszałem przypadkiem tylko jakąś luźną rozmowę o nim i nie myślałem o tym, bo głowę miałem zajęętą innymi sprawami. A teraz coś ci powiem. Wołałeś, żeby spoczęła na mnie kłątwa Boska, dopóki nie znajdę mordercy i nie dokończę tego, co zacząłem. Niech tak się stanie. Niech spocznie na mnie przekleństwo, dopóki go nie znajdę. Jestem młody, ale silny i bystry i jak będę mógł najszybciej wyruszę do Hiszpanii i nie spocznę, dopóki go nie znajdę albo nie dowiem się, że nie żyje. Jeśli dasz

mi pieniądze na ten cel, to dobrze, jeśli nie - pojadę bez pieniędzy. Przyśięgam na Boga i na duszę matki, że nie spocznę, dopóki nie pomszczę jej śmierci tym samym mieczem, którym ją zabił, albo nie dowiem się, że nie żyje, a jeśli cokolwiek odwiedzie mnie od tego celu, to niech mnie spotka gorszy koniec niż ją, niech moja dusza nie dostąpi zbawienia, a moje imię okryje się tu, na ziemi, wieczną hańbą!

Ojciec spojrzął na mnie uważnie. - Jeśli taki jest twój zamiar, synu, to nie poskąpię ci pieniędzy. Pojechałbym sam, bo krew można zmyć tylko krwią, ale mam zrujnowane zdrowie, a poza tym jestem znany w Hiszpanii i natychmiast upomniałoby się o mnie Święte Oficjum. A więc jedź. Masz moje błogosławieństwo. Powinieneś pojechać, gdyż to przez twoją lekkomyślność udało się zbiec naszemu wrogowi.

- Tak, powinieneś pojechać - zawtórował mu Geoffrey.

- Mówisz tak, bo chcesz się mnie pozbyć - powiedziałem z gniewem - i zająć moje miejsce u boku pewnej panny. Idź za głosem swojej natury i rób, co uważasz, ale jeśli wykorzystasz moją nieobecność, nie przyjdzie ci z tego nic dobrego.

- Ta dziewczyna będzie należała do tego, kto ją zdobędzie - odparł.

- Serce tej dziewczyny już zostało zdobyte, Geoffreyu. Możesz kupić ją od jej ojca, ale nigdy nie zdobędziesz jej serca, a bez tego będzie to marna wygrana.

- Uspokójcie się! Nie czas teraz na rozmowy o dziewczynach i o miłości - powiedział ojciec. - Posłuchajcie. Opowiem wam o tym mordercy i waszej matce. Dotychczas nic o tym nie mówiłem, ale teraz muszę przezwyciężyć milczenie. Kiedy byłem chłopcem, musiałem popłynąć do Hiszpanii, bo tak chciał mój ojciec. Przybyłem do klasztoru w Sewilli, ale nie podobało mi się życie zakonnika, więc uciekłem stamtąd. Przez ponad rok zarabiałem na życie, jak umiałem, bo bałem się wracać do Anglii jako zbieg. Jakoś mi się udawało i nie żyło mi się nawet źle, bo choć teraz wstyd mi się do tego przyznać, uprawiałem hazard i dopisywało mi szczęście. Pewnej nocy poznałem tego człowieka, Juana de Garcię. Już wówczas, choć był jeszcze niemal chłopcem, cieszył się złą sławą, ale był przystojny, dobrze urodzony i miał świetne maniery. Los chciał, że ograł mnie w kości i w przypływie dobrego humoru zabrał mnie z wizytą do swojej ciotki, wdowy. Miała ona jedno dziecko, córkę, która później została waszą matką. Otóż wasza matka, Luisa de Garcia, była zaręczona ze swym kuzynem, tym właśnie Juanem de Garcią, lecz bynajmniej nie dlatego, że tego chciała,

lecz że tak postanowili ich rodzice, kiedy miała zaledwie osiem lat. Mimo iż było to wbrew jej woli, umowa ta była wiążąca, nawet bardziej niż u nas, w Anglii, tak że na dobrą sprawę byli już małżeństwem, choć nie przypięczętowanym oficjalnym ślubem. W większości wypadków kobiety, o których losie zdecydowano bez ich zgody, nie darzą uczuciem mężczyzn wybranych im na mężów. Nie inaczej było z waszą matką. Prawdę mówiąc, bała się ona i jednocześnie nienawidziła Juana, choć myślę, że kochał on ją ponad wszystko, i pod jakimś pretekstem udało się jej uzyskać jego zgodę na to, że nie wezmą ślubu, dopóki nie skończy dwudziestu lat. Ale im chłodniej go traktowała, tym bardziej pragnął jej i jej majątku, który nie był mały, bo jak wszyscy Hiszpanie był namiętny i jak większość hazardzistów potrzebował pieniędzy.

Żeby nie przedłużać, powiem, że od pierwszego spojrzenia ja i wasza matka zapalaliśmy do siebie miłością i chcieliśmy się spotykać jak najczęściej. Przychodziło to nam bez większego trudu, gdyż jej matka również nie cierpiała Juana de Garcii, bała się go i najchętniej nie dopuściłaby do tego ślubu. Skończyło się na tym, że wyznałem swoją miłość i ułożyliśmy plan wspólnej ucieczki do Anglii. Niestety wszystko to dotarło do uszu Juana, który miał swoich szpiegów w tym domu i był tak zazdrosny i mściwy, jak może być tylko Hiszpan. Najpierw próbował pozbyć się mnie, wyzywając mnie na pojedynek, ale rozdzielono nas, zanim skrzyżowaliśmy miecze. Potem wynajął zbirów, żeby zamordowali mnie, gdy będę nocą przechodził przez miasto, ale pod kaftanem nosiłem stalową siatkę, na której połamały się ich sztylety i zamiast zostać zabitym, zabiłem jednego z nich. Choć dwukrotnie mu się nie udało, de Garcia nie dał za wygraną. Zawiodły co prawda pojedynek i morderstwo, ale pozostawał jeszcze inny, bardziej skuteczny środek. Nie wiem, jak do tego doszedł, ale dowiedział się, że zbiegłem z klasztoru. Wystarczyło zatem, żeby zadenuncjował mnie przed Świętym Oficjum, i oczywiście nie omieszkał tego uczynić. Zrobił to akurat na dzień przed naszym planowanym wyjazdem. Siedziałem wieczorem z waszą matką i babką w ich domu w Sewilli, gdy weszło sześciu zakapturzonych mężczyzn i pochwyciło mnie bez słowa. Kiedy spytałem, o co chodzi, jeden z nich, zamiast odpowiedzi, wyciągnął i pokazał mi krucyfiks. Wtedy zrozumiałem, dlaczego mnie pojmano. Obie kobiety opadły ze szlochem na fotele. Wtrącono mnie do lochów Świętego Oficjum, ale nie będę tu opowiadał o wszystkim, co tam przeszedłem.

Dwa razy łamano mnie kołem, raz przypalano rozżarzonymi prętami,

trzy razy oćwiczono drucianym batem, a przez cały ten czas karmiono jedzeniem, którego w Anglii nie daje się nawet psom. W końcu, kiedy udowodniono mi ucieczkę z klasztoru i różne - jak to określono - świętokradcze czyny, zostałem skazany na śmierć na stosie.

I wtedy, kiedy po roku cierpień porzuciłem wszelką nadzieję i pogodziłem się z myślą, że niebawem zginę, nadeszła pomoc. W przeddzień egzekucji wszedł do lochu, gdzie leżałem na wiązce słomy, najważniejszy z oprawców i objąwszy mnie, powiedział, żebym był dobrej myśli, gdyż Kościół ulitował się nad mym młodym wiekiem i zwraca mi wolność. W pierwszej chwili roześmiałem się dziko, bo myślałem, że to nowa tortura, ale gdy zdjęto ze mnie łańcuchy, przebrano w porządne ubranie i wypuszczono o północy za bramę więzienia, uwierzyłem, że Bóg wziął mnie pod swoją opiekę. Stałem za bramą, nie wiedząc, gdzie uciec, kiedy zbliżyła się do mnie odziana w ciemny płaszcz kobieta i szepnęła: „Chodź!” Kobieta tą była wasza matka. Dowiedziała się o moim losie od chępiącego się swym zwycięstwem de Garcii i przysięgła sobie, że mnie ocali. Trzykrotnie próbowała i trzykrotnie się nie udało, ale w końcu, z pomocą jakiegoś sprytnego agenta, dotarła, gdzie trzeba i tam, gdzie nic nie dały apele o litość i sprawiedliwość, poskutkowało złoto.

Jeszcze tej samej nocy pobraliśmy się i uciekliśmy do Kadyksu. Niestety, nie mogła z nami jechać jej matka, bo była przykuta chorobą do łóżka. Tak silna jest miłość kobiety, że wasza matka porzuciła dla mnie swą rodzinę, swój kraj i to, co zostało z jej majątku po wykupieniu mnie z rąk Inkwizycji. Wszystko było przygotowane, gdyż w Kadyksie stał na kotwicy statek z Bristolu, „Mary”, na którym mieliśmy opłaconą podróż. Jednak odpłynięcie „Mary” opóźniło się, ponieważ wiał silny przeciwny wiatr i kapitan statku, mimo najszczerzej chęci pomożenia nam, nie mógł zaryzykować wyjścia z portu. Czekaliśmy tak dwa dni i noce, obawiając się - jak się okazało - nie bez powodu, najgorszego, ale przeżywając jednocześnie szczęśliwe chwile. Tymczasem ci, którzy pilnowali mnie w więzieniu, donieśli, że uciekłem i w całym kraju wszczęto poszukiwania. De Garcia, stwierdziwszy, że zniknęła też jego narzeczona, domyślił się, że jesteśmy razem. Dzięki swemu sprytowi, wzmocnionemu jeszcze zazdrością i nienawiścią, w końcu nas znalazł.

Rankiem trzeciego dnia sztorm ucichł, „Mary” podniosła kotwicę i skierowała się na pełne morze. Kiedy wykonała zwrot i marynarze mieli postawić żagle, podpłynęła łódź z dwudziestoma żołnierzami, a za nią dwie

inne. Wezwali kapitana, aby zatrzymał statek, gdyż chcą wejść na pokład i przeszukać go z polecenia Świętego Oficjum. Tak się zdarzyło, że byłem akurat w tym czasie na pokładzie i kiedy już miałem się ukryć, w łodzi podniósł się człowiek, w którym od razu rozpoznałem de Garcie i wskazując na mnie, krzyknął, że jestem tym zbiegłym heretykiem, którego szukają. Obawiając się, że sam z całą załogą może zostać wtrącony do więzienia, kapitan chciał mnie wydać, ale wtedy, doprowadzony do ostatka, zdarłem z siebie koszulę i pokazałem rany, którymi pokryte było moje ciało.

- Jesteście Anglikami - krzyknąłem do załogi. - Czy oddacie swojego rodaka w ręce tych przeklętych diabłów? Popatrzcie na ich dzieło - tu wskazałem niezupełnie jeszcze zabliznione rany zadane rozpalonymi szczypcami. - Jeśli mnie wydacie, to skażecie mnie na ponowne męki i śmierć na stosie. Skoro nie chcecie się ulitować nade mną, to ulitujcie się przynajmniej nad moją żoną, a jeśli nie ulitujecie się nad żadnym z nas, to dajcie mi przynajmniej miecz, żebym przez śmierć mógł uciec od tortur!

Wówczas jeden z żeglarzy, człowiek z Southwold, który znał mego ojca, wykrzyknął:

- Na Boga! Ja sam stanę przy tobie, Tomaszu Wingfieldzie. Jeśli chcą wziąć ciebie i tę piękną panią, to najpierw muszą mnie zabić.

Potem chwycił ze stojaka łuk, wyjął go z łubia, założył cięciwę i umieściwszy na niej strzałę, skierował ją w stronę Hiszpanów.

Wtedy zaczęli krzyczeć inni.

- Jeśli chcecie kogoś z nas, to chodźcie tu i sami weźcie!

Widząc zdecydowanie załogi, kapitan też nabrał odwagi. Nie odpowiedział nic Hiszpanom, lecz kazał połowie załogi postawić żagle, a drugiej połowie przygotować się na odparcie ataku, gdyby żołnierze postanowili wejść na pokład.

Tymczasem dopłynęły do nas pozostałe dwie łodzie i przymocowały się hakami do statku. Jeden z siedzących w nich mężczyźni wspiął się po łańcuchach na pokład. Rozpoznałem w nim swego oprawcę i ogarnął mnie szal. Wyrwałem łuk z ręki marynarza z Southwold, napiąłem cięciwę i wymierzyłem prosto w pierś mego kata. Nie chybiłem, bo jak ty, Tomaszu, byłem dobrym łucznikiem. Hiszpan rozkrzyżował ręce i wpadł do morza z angielską strzałą w sercu.

Po tym incydencie nie próbowali już abordażu, choć zaczęli szyc do nas z łuków i ranili jednego marynarza. Kapitan krzyknął, abyśmy odłożyli

łuki i schowali się za burtą, gdyż statek złapał wiatr w żagle. De Garcia stanął w łodzi i zaczął przeklinać mnie i moją żonę.

- Jeszcze was znajdę! - wrzeszczał, obrzucając nas plugawymi hiszpańskimi obelgami. - Zemszczę się, choćbym miał na to czekać dwadzieścia lat. Choćbyś się schowała pod ziemię, Luizo, znajdę cię, a wtedy albo zostaniesz ze mną tak długo, jak będę chciał, albo będzie to twoja ostatnia chwila.

Łodzie zostały z tyłu, a my wypłynęliśmy na pełne morze i po pewnym czasie dotarliśmy bezpiecznie do Anglii.

Tak oto, dzieci, poznałem i poślubiłem waszą matkę, którą przyszło mi dzisiaj pochować. Juan de Garcia dotrzymał słowa.

- A jednak wydaje się dziwne - powiedział brat - żeby po tylu latach zamordował tę, którą, jak powiadasz, kochał. Nawet największy niegodziwiec wzdrygnąłby się na pewno przed takim czynem!

- Nie ma w tym nic dziwnego - odparł ojciec. - Skąd możemy wiedzieć, jakie padły słowa, zanim ją pchnął mieczem? Na pewno nawiązał do nich, kiedy krzyknął do Tomasza, że teraz zobaczą, ile prawdy jest w przepowiedniach. I co de Garcia przysiągł wiele lat temu? Że albo wasza matka odejdzie z nim, albo ją zabije. Była wciąż piękna, Geoffreju, i być może kazał jej wybierać między ucieczką z nim i śmiercią. Nie próbuj dociekać więcej... - i nagle ukrył twarz w dłoniach i wybuchnął szlochem, którego przykro było słuchać.

- Czemu nie opowiedziałeś nam tego wszystkiego wcześniej, ojczcie? - powiedziałem, kiedy doszedł do siebie. - Wtedy na świecie byłoby o jednego czarta mniej, a ja nie musiałbym udawać się w podróż.

Nie miałem wówczas pojęcia, jak długa okaże się ta podróż.

Rozdział V

POŻEGNANIE Z UKOCHANĄ

Dwanaście dni po pogrzebie matki byłem gotów do podróży. Akurat tak się złożyło, że z Yarmouth odpływał statek do Kadyksu. Statek nazywał się „Poszukiwaczka Przygód”, miał sto ton ładowności, płynął z wełną i innymi towarami, aby z powrotem przywieźć wino i pręty cisowe na łuki.

Ojciec skorzystał z okazji i opłacił mi podróż tym statkiem do Hiszpanii. Poza tym dał mi pięćdziesiąt funtów w złocie, czyli tyle, ile mogłem mieć przy sobie bez zbytniego ryzyka oraz listy z firmy kupieckiej w Yarmouth do jej agentów w Kadyksie, upoważniające ich do wypłacenia mi równowartości stu pięćdziesięciu funtów angielskich wraz z prośbą, by udzielili mi w miarę możliwości wszelkiej stosownej pomocy.

Okręt miał wyruszyć w rejs trzeciego czerwca. Pierwszego czerwca musiałem przybyć do Yarmouth, gdzie już wcześniej dostarczono mój bagaż. Pożegnałem się ze wszystkimi, z wyjątkiem jednej osoby, tej akurat, na pożegnaniu z którą najbardziej mi zależało. Od dnia, w którym wyznaliśmy sobie miłość i przyrzekliśmy wierność, widziałem Lily tylko raz, na pogrzebie matki, a i to nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Wyglądało na to, że będę musiał wyjechać bez pożegnania, gdyż jej ojciec powiadomił mnie, że jeśli osmielę się pojawić w pobliżu dworu, jego słudzy mają rozkaz wyrzucić mnie za bramę, co byłoby dla mnie tak wielkim upokorzeniem, że nie chciałem ryzykować. Było mi jednak niewymownie ciężko pogodzić się z myślą, że wyruszam w drogę, z której być może nigdy już nie wrócę, i nie mogę powiedzieć ukochanej nawet: „Żegnaj!” W końcu zwierzyłem się ze swych zmartwień ojcu, powiedziałem, jak się sprawy mają i poprosiłem o pomoc.

- Wyjeżdżam stąd - rzekłem - aby pomścić naszą wspólną krzywdę i jeśli trzeba będzie, oddać życie dla uratowania honoru naszego nazwiska. Pomóż mi zatem teraz.

- Mój sąsiad, Tomasz, przeznaczył swą córkę dla twego brata, nie dla ciebie - odparł ojciec - a każdy może robić, co mu się podoba z tym, co należy do niego. Mimo to postaram się ci pomóc. Mnie w każdym razie nie przepędzi spod swych drzwi. Każ zaprzęgać konie. Pojedziemy do Bozardów.

Znaleźliśmy się tam po pół godzinie i ojciec poprosił o rozmowę z panem domu. Służący, pamiętając rozkaz dziedzica, spojrział na mnie z ukosa, ale wprowadził nas do salonu, gdzie siedział pan Bozard, popijając piwo.

- Witam, sąsiedzie - powiedział dziedzic. - Jesteś tu mile widziany, ale przyprowadzasz z sobą człowieka, którego nie chcę tu oglądać, choć jest twoim synem.

- Przyprowadzam go po raz ostatni, przyjacielu. Wysłuchaj jego prośby, a potem możesz ją spełnić albo nie, ale jeśli mu odmówisz, to na pewno nie zacieśni to naszej przyjaźni. Ten chłopak dziś wyjeżdża, a pojutrze

odpływa do Hiszpanii, aby pomścić śmierć swojej matki. Wybiera się w tę podróż z własnej woli, ponieważ pozwolił nieświadomie umknąć mordercy.

- Jest chyba za młody, żeby ruszać w taki pościg, i do tego w obcym i nieznanym kraju - odparł pan Bozard. - Ale podoba mi się jego postawa i życzę mu powodzenia. A czegoż to chce ode mnie?

- Pozwolenia na pożegnanie się z twoją córką. Wiem, że nie podoba ci się ten pomysł i nie dziwię się temu, a ze swej strony uważam, że jeszcze za wcześnie dla niego myśleć o małżeństwie. Jeśli jednak zobaczy się z dziewczyną, to nie stanie się nic złego, bo jeśli miało się stać coś takiego, to już się stało. Czekam na twoją odpowiedź.

Pan Bozard zastanawiał się chwilę, a potem powiedział:

- Twój syn to dzielny chłopak, choć na pewno nie zostanie moim zięciem. Wyrusza w daleką podróż i może już nie wrócić, a nie chciałbym, aby mnie źle wspominał, kiedy umrę. Wyjdź na dziedziniec, Tomaszu, i stań pod tamtą brzozą... Lily przyjdzie do ciebie i będziesz mógł z nią porozmawiać pół godziny, ale nie dłużej. Pamiętaj, żebyście cały czas byli na widoku. Nie, nie dziękuj mi. Lepiej idź, zanim się rozmyślę.

Wyszedłem więc i stanąłem z bijącym sercem pod brzozą. Po chwili przysła Lily. Na jej widok ucieszyłem się bardziej, niż gdybym zobaczył anioła. I prawdę mówiąc, wątpię, czy anioł wyglądałby śliczniej niż ona.

- Och, Tomaszu - wyszeptęła, kiedy się z nią przywitałem - czy to prawda, że wyruszasz za morze szukać tego Hiszpana?

- Wyruszam, aby go szukać, znaleźć i zabić. Pozwoliłem mu odejść, żeby przyjąć do ciebie, teraz muszę pozwolić odejść tobie, żeby dotrzeć do niego. Nie, nie płacz, przysiągłem, że to zrobię i gdybym miał złamać przysięgę, straciłbym honor.

- I z powodu tej twojej przysięgi, Tomaszu, mam zostać wdową jeszcze zanim zostałam żoną? Odjedziesz i nigdy już cię nie zobaczę.

- Któż to wie, kochana? Mój ojciec też był za morzami i choć przeszedł wiele niebezpieczeństw, wrócił bezpiecznie do domu.

- Tak, wrócił, ale... nie sam. Jesteś młody, Tomaszu, a w dalekich krajach są piękne i wielkie damy. Czy uda mi się, będąc tak daleko od ciebie, zachować twoją miłość?

- Przysięgam ci, Lily, że...

- Nie składaj, Tomaszu, przysięg, żebyś później nie musiał grzeszyć, łamiąc je. Ale nie zapomnij o mnie, kochany. Ja na pewno nigdy nie

zapomnę o tobie. Może - och, serce mi się kraje na samą myśl o tym - jest to nasze ostatnie spotkanie na ziemi. Jeśli tak, to musimy żyć nadzieją, że spotkamy się w niebie. W każdym razie jednego możesz być pewien - że dopóki będę żył, dochowam ci wierności i bez względu na to, czego będzie chciał ojciec, prędzej umrę, nim złamię dane ci słowo. Może jestem zbyt młoda, aby tak się przechwalać, ale będzie, jak mówię. Och, to rozstanie jest gorsze niż śmierć. Wolałabym, żebyśmy zasnęli snem wiecznym i zostali przez wszystkich zapomniani. Choć właściwie to nawet lepiej, że wyjeżdżasz, bo gdybyś został i tak nie moglibyśmy nic zrobić, dopóki żyje - oby żył długo! - mój ojciec.

- Sen i zapomnienie nadejdą bardzo szybko, Lily. Nikt nie musi na to czekać zbyt długo. Ale na razie mamy przed sobą życie. Prośmy Boga, byśmy mogli przeżyć je razem. Wyjeżdżam nie tylko w poszukiwaniu wroga, ale także fortuny i zdobędę ją, byśmy mogli się pobrać.

Potrząsnęła ze smutkiem głową:

- Byłoby to zbyt wielkie szczęście, Tomaszu. Rzadko zdarza się, by ktoś poślubił ukochaną osobę, a jeśli już, to po to tylko, by ją wkrótce stracić. My przynajmniej kochamy się i bądźmy wdzięczni za to, że poznaliśmy, co to miłość, bo skoro pokochaliśmy się tutaj, to może w najgorszym razie będzie nam dane kochać się tam, gdzie nikt nie będzie nam mógł tego zabronić.

Potem rozmawialiśmy jeszcze przez parę minut, mówiąc bezładnie, jak wszyscy młodzi w takiej sytuacji, o miłości, nadziei i smutku, aż w końcu Lily spojrzała na mnie uśmiechając się smutno i powiedziała:

- Muszę już iść, najdroższy. Ojciec daje mi znaki przez okno, żebym wracała. Wszystko skończone.

- A więc chodźmy - odparłem ochryplym głosem i pociągnąłem ją za pień brzozy. Tam porwałem ją w ramiona i zacząłem namiętnie całować. Nie wstydziła się odwzajemniać tych pocałunków.

Z tego, co było potem, pamiętam tylko tyle, że kiedy odjeżdżaliśmy, widziałem jej smutną twarz, przyglądającą się przez okno, jak usuwam się z jej życia. Przez dwadzieścia lat prześladował mnie widok tej ślicznej, lecz smutnej twarzy. Prześladowuje mnie nawet teraz, gdy stoję na granicy życia i śmierci. Kochały mnie potem inne kobiety, zaznałem goryczy innych rozstań, a niektóre z nich były straszniejsze niż pierwsze, ale obraz tej dziewczyny i jej poźegnane spojrzenia tkwi w mej pamięci jak żywy. Czy

jakiegokolwiek inne smutki mogą się równać ze smutkami młodości? Czy jest coś równie gorzkiego jak gorycz takich pożegnań? W późniejszych latach tylko raz było mi dane zaznać podobnej, ale o tym powiem we właściwym czasie. Na ogół kpi się z młodzieńczej miłości, ale jeśli jest to miłość prawdziwa, coś więcej niż pierwszy poryw, to miłość taka trwa do późnej starości, to jest to miłość na zawsze, coś najlepszego i jednocześnie najgorszego, co może się przydarzyć mężczyźnie czy kobiecie. Tak twierdzą ja, starzec, który ma już wszystko za sobą.

O jednym zapomniałem napisać. Kiedy całowaliśmy się za pnem brzozy, Lily zdjęła z palca i wcisnęła mi w dłoń pierścień, mówiąc: - Patrz na niego każdego ranka, kiedy się obudzisz, i pamiętaj o mnie. - Był to pierścień jej matki. Do dziś noszę go na pomarszczonej dłoni. Błyszczą w zimowym słońcu, kiedy kreślę te słowa. Przez te długie lata, kiedy miotał mną los, wtrącając z jednych tarapatów w inne, podczas wojny i w czasie pokoju, w blasku obozowych ognisk, w płomieniach świętego ognia ofiarnych ołtarzy, w promykach samotnych gwiazd oświetlających bezludne pustkowia, zawsze lśnił na mym palcu ten pierścień, przypominając mi o tej, od której go dostałem. I będzie tkwił na tym miejscu, kiedy złożą mnie do grobu. Jest to właściwie gruba, złota obrączka z dwuwierszem wyrytym na wewnętrznej stronie:

*Serca złączone,
Choć rozdzielone.*

Motto jakby specjalnie dla nas ułożone. Zachowało znaczenie do tej pory.

Tego samego dnia pojechałem z ojcem do Yarmouth. Geoffrey został w domu, ale rozstaliśmy się przyjaźnie, z czego bardzo się cieszę, bo już nigdy więcej go nie zobaczyłem. Żaden z nas nie powiedział już ani słowa na temat Lily Bozard, ale dobrze wiedziałem, że jak tylko wyjadę, zaraz zaczniesz się starać o jej rękę, i nie pomyliłem się. Wybaczam mu to, a nawet, prawdę mówiąc, nie mogę go za to winić, bo czy ktokolwiek, kto ją poznał, nie chciałby się z nią ożenić? Kiedyś kochaliśmy się z Geoffreyem naprawdę jak bracia, ale gdy zaczęliśmy dojrzywać rozdzieliła nas miłość do Lily i oddalaliśmy się od siebie coraz bardziej. Cóż, to dość pospolity przypadek. Ale skoro został odtrącony, to czy mogę żywić do niego urazę?

Wolę raczej pamiętać uczucia, jakimi darzyliśmy się w czasach dzieciństwa. Pokój jego duszy!

Moja siostra, Mary, która była, po Lily, najładniejszą panną w okolicy, popłakała się serdecznie przy pożegnaniu. Był między nami zaledwie rok różnicy i ponieważ nawet cień zazdrości nie legł między nami, bardzo się kochaliśmy. Pocieszałem ją, jak mogłem, a potem powiedziawszy jej, co mnie łączy z Lily, prosiłem, aby była i jej, i mnie wierną przyjaciółką. Mary przystała na to bardzo chętnie i choć nie wyjaśniła, w jaki sposób ma to zamiar zrobić, stwierdziła, że być może będzie nam mogła pomóc. Jak już wspomniałem, Lily miała brata, obiecującego młodzieńca, który był w owym czasie w college'u. Łączyła go z Mary przyjaźń, która mogła przerodzić się w silniejsze uczucie. A więc ucałowaliśmy się i pożegnali ze łzami w oczach.

Następnego dnia wszedłem na pokład „Poszukiwaczki Przygód” i odpłynęliśmy. Zanim jednak wsiadłem na statek, ojciec zmiękł, gdyż pamiętał, że byłem ukochanym synem matki, a poza tym obawiał się, że może mnie już nie zobaczyć. Zmiękł do tego stopnia, że w ostatniej godzinie rozmyślił się i zaczął nalegać, bym dał spokój zemście i wrócił do domu. Ja jednak, zdecydowawszy się raz i pożegnawszy się ze wszystkimi, nie wróciłbym za nic, by nie narażać się na szyderstwa ze strony brata i sąsiadów. - Za późno mi to mówisz, ojcze - odparłem. - Chciałeś, bym pomścił matkę i nie szczędziłeś gorzkich wymówek, by mnie do tego nakłonić. Teraz słowo się rzekło i nic mnie nie zawróci z drogi. Pojechałbym nawet wtedy, gdybym wiedział, że za tydzień zginę, gdyż takiej przysięgi, jaką złożyłem, nie można złamać i dopóki jej nie spełnię, spoczywać będzie na mnie przekleństwo.

- Trudno, synu, niech się stanie, co ma się stać - rzekł z we stchnieniem. - Okrutna śmierć twojej matki wytrąciła mnie z równowagi i powiedziałem coś, czego może będę żałował do końca życia, choć nie potrwa to długo, gdyż mam złamane serce. Powinienem był pamiętać, że zemsta jest w rękach Boga, który zapłaci za złe uczynki w odpowiednim czasie i bez naszej pomocy. Gdybyśmy mieli się już nigdy nie spotkać, nie myśl o mnie źle, chłopcze, bo kocham cię i tylko miłość do twojej matki, którą kochałem jeszcze bardziej, sprawiła, że obszedłem się z tobą tak surowo.

- Wiem o tym, ojcze, i nie żywię do ciebie żalu. Ale jeśli uważasz, że coś mi się od ciebie należy, to proszę, byś powstrzymał Geoffreya od wyrządzenia krzywdy mnie i Lily Bozard, kiedy mnie tu nie będzie.

- Zrobię, co będę mógł, synu, choć gdyby nie fakt, że tak bardzo pokochaliście się z Lily, jej związek z Geoffreyem bardzo by mnie ucieszył. Ale, jak powiedziałem, nie pożyję już długo, a kiedy mnie zabraknie, wszystko potoczy się własnym torem. Nie zapominaj o Bogu i ojczyźnie, Tomaszu, nie bierz udziału w hulankach i strzeż się kobiet, które zastawiają sidła na młodych mężczyzn. Uważaj na to, co mówisz i nie daj się ponieść swemu temperamentowi, który nie jest najłagodniejszy.

Odparłem, że będę pamiętał o jego radach i, rzeczywiście, pomogły mi one uniknąć wielu kłopotów. Potem objął mnie, pobłogosławił i rozstaliśmy się.

Nie zobaczyłem go już, bo choć był dopiero w średnim wieku, w rok po moim wyjeździe powalił go nagle atak serca, kiedy stał po mszy w nawie kościoła w Ditchingham, obok grobu matki. Niech Bóg da mu wieczny odpoczynek! Był dobrym człowiekiem, ale za bardzo jak na mężczyznę owładniętym miłością do żony. Taka miłość, choć naturalna u kobiet, może bowiem łatwo przerodzić się w coś zbliżonego do egoizmu i spowodować, że ten, kto dał się jej ogarnąć, uważa wszystko inne za błahostkę. W porównaniu z matką, dzieci były dla ojca niczym i chętnie oddałby je wszystkie, gdyby mogło to przywrócić jej życie. Jednak mimo wszystko była to szlachetna skaza, gdyż o siebie samego nie bardzo się troszczył i wiele przeszedł, aby zdobyć żonę.

O mojej podróży do Kadyksu, gdzie - jak się dowiedziałem - zmierzał statek de Garcii, niewiele mam do powiedzenia. Napotkaliśmy przeciwnie wiatry w Zatoce Biskajskiej i musieliśmy zawinąć do Lizbony, aby naprawić statek. W końcu jednak, po czterdziestu dniach żeglugi, dotarliśmy cało i zdrowo do celu.

Rozdział VI

ANDRES DE FONSECA

Teraz opiszę pokrótce przygody, które mi się przydarzyły podczas rocznego pobytu w Hiszpanii, bo gdybym chciał wszystko przedstawić ze szczegółami, historia ta nie miałaby końca, a w każdym razie zanimylibym do niego dobrnął, mnie samego spotkałby koniec.

Wiele opowiada się o wspaniałościach Sewilli, starożytnego mauretańskiego miasta, do którego spieszenie zdążyłem, płynąc Gwadalkwirem, nie

będę zatem jej tu opisywał, tym bardziej że zwiedziłem kraje zupełnie nie znane Anglikom i muszę dalej podać ich opis. A więc streszczę tę podróż w kilku słowach. Przewidując, że będę musiał zatrzymać się w Sewilli na pewien czas, a jednocześnie chcąc uniknąć niepotrzebnego zainteresowania moją osobą i zbyt dużych wydatków, pomyślałem, że dobrze by było, gdybym mógł tam kontynuować studia medyczne. W tym celu uzyskałem od agentów kompanii handlowej, których opiece mnie poruczono, pewne wskazówki i listy polecające do kilku doktorów medycyny w Sewilli. Na moją prośbę listy te wystawiono na nazwisko Thomasio d'Aila, gdyż nie chciałem się afiszować swoim angielskim pochodzeniem. Było też mało prawdopodobne, aby rozpoznano we mnie cudzoziemca, bo - jak wspomniałem - wyglądałem na rodowitego Hiszpana. Mógł mnie zdradzić tylko język, ale ponieważ nauczyłem się go dość dobrze od matki i korzystałem z każdej okazji, aby w nim mówić i pisać, posługiwałem się nim coraz bieglej i po pół roku mówiłem po kastylijsku, jakby był to mój język ojczysty. Zawsze zresztą miałem zdolności do nauki języków.

Kiedy przybyłem do Sewilli i zakwaterowałem się w niezbyt uczęszczanej gospodzie, wybrałem się do znanego w mieście lekarza, którego nazwiska już od dawna nie pamiętam, aby doręczyć mu list polecający mnie. Lekarz ów miał okazały dom na ulicy Las Palmas, szerokiej, wysadzonej pięknymi drzewami alei, od której odchodziły liczne boczne uliczki. Jedna z nich, wąska i cicha, otoczona z obu stron domami z patio, prowadziła do mojej gospody. Kiedy szedłem nią, spostrzegłem człowieka siedzącego na stołku w cieniu drzewa, przy wejściu na patio. Był drobny i zasuszony, z bystrymi, czarnymi oczami i mądrą twarzą. Przyglądał mi się. Okazało się, że dom owego znanego lekarza, któremu chciałem złożyć wizytę, był tak usytuowany, że człowiek ten mógł widzieć wszystkich, którzy tam wchodził i wychodził. Kiedy odnalazłem ten dom, wróciłem na tę małą uliczkę i zacząłem się przechadzać tam i z powrotem, zastanawiając się, co mam powiedzieć owemu lekarzowi. W końcu ułożyłem sobie w myśli odpowiednią historię i zaklołatałem do drzwi, ale okazało się, że właściciel jest nieobecny. Wypytawszy się, kiedy mogę go zastać, zawróciłem do gospody. Kiedy mijalem tego niskiego mężczyznę, kapelusz, którym się wachlował, wypadł mu z ręki. Podniosłem go z chodnika i podałem mu.

- Tysięczne dzięki, szanowny panie - powiedział miłym głosem. - Jak na cudzoziemca, masz, panie, wytworne manieri.

- Skąd wiesz, senior, że jestem cudzoziemcem? - spytałem zaskoczony.

- Gdybym nie odgadł tego wcześniej, teraz wiedziałbym już na pewno - odparł z uśmiechem. - Zdradza cię, panie, twój język.

Skloniłem się i chciałem odejść, ale odezwał się ponownie.

- Czemu tak ci się spieszy, panie? Wstąp do mnie na kieliszek wina. Jest bardzo dobre.

Miałem już odmówić, ale uświadomiłem sobie, że właściwie nie mam nic do roboty, a od tego człowieka mógłbym się dowiedzieć miejscowych plotek.

- Gorąco dziś, senior, więc chętnie przyjmę twoje zaproszenie - powiedziałem.

Nie rzekł nic więcej, tylko podniósł się i wprowadził mnie na wyłożony marmurem dziedziniec, pośrodku którego znajdował się basen, otoczony winoroślą. W jej cieniu stał mały stolik i parę krzeseł. Kiedy na nich usiedliśmy, wziął ze stołu srebrny dzwonek i zadzwonił. W drzwiach domu ukazała się ładna dziewczyna, ubrana w dziwaczny hiszpański strój.

- Podaj wina - powiedział gospodarz.

Po chwili przyniesiono białe wino z Oporto, któremu równego nigdy przedtem nie piłem.

- Twoje zdrowie, panie... - rzekł gospodarz, wznosząc kielich i patrząc na mnie pytająco.

- Thomasio d'Aila - powiedziałem.

- Hmm - rzekł na to. - Nazwisko hiszpańskie, a przynajmniej podobne do hiszpańskiego, choć nigdy o nim nie słyszałem, a mam dobrą pamięć do nazwisk.

- Tak czy inaczej, jest to moje nazwisko, senior... - i teraz ja spojrzałem na niego.

- Andres de Fonseca - odparł z ukłonem - tutejszy lekarz, dosyć znany, szczególnie wśród płci pięknej. No cóż, senior Thomasio, przyjmuję, że tak się nazywasz, bo nazwisko nie jest istotne, a czasami wygodnie jest je zmienić i nie powinno to obchodzić nikogo, z wyjątkiem jego właściciela. Widzę, że jesteś panie, obcy w tym mieście... nie musisz robić zdziwionej miny, ten, kto zna miasto, nie rozgląda się ani nie pyta przechodniów o drogę, a poza tym żaden mieszkaniec Sewilli nie chodzi latem osłonecznioną stroną ulicy. A teraz, jeśli nie wydam ci się impertynentem, możesz mi wyjaśnić, panie, jaki to interes sprowadza tak zdrowego młodzieńca do mojego rywala? - tu kiwnął głową w stronę domu lekarza, z którym chciałem się zobaczyć.

- Interes, tak jak nazwisko, jest wyłącznie sprawą tego, kto go ma, senior - odparłem, biorąc mego gospodarza za jednego z tych medyków, którzy przynoszą wstyd naszej profesji, starając się nachalnie o pacjentów. - Mimo to, odpowiem ci. Ja też jestem lekarzem, choć jeszcze nie w pełni wyuczyłem się zawodu i szukam miejsca, gdzie mógłbym asystować jakiemuś znanemu medykowi i poprzez codzienną praktykę zdobyć doświadczenie i środki na życie.

- Ach, tak! Wobec tego, senior, łączysz z nim próżne nadzieje - tu ponownie wskazał skinieniem głowy dom owego lekarza. - Tacy jak on nie przyjmą praktykanta, który nie zapłaci im dostatecznie dużo za możliwość nauki. Nie ma w tym mieście takiego zwyczaju.

- Wobec tego muszę poszukać w innym mieście albo zmienić zawód.

- Tego nie powiedziałem. A teraz, senior, sprawdźmy, jak dobrze znasz się na medycynie i, co ważniejsze, na naturze ludzkiej, bo na początku nikt z nas nie wie zbyt dużo na ten temat, ale kto pozna tajemnice tej drugiej, potrafi pokierować mężczyznami... albo kobietami, które nimi kierują.

Potem bez żadnych wstępów zaczął mi zadawać pytania. Niektóre były tak trudne i sięgały tak głęboko w sedno sprawy, że wzbudziły mój podziw dla mądrości tego człowieka. Część z nich dotyczyła zagadnień czysto medycznych, głównie chorób kobiecych, inne były ogólne i badały raczej moją znajomość ich natury. Wreszcie skończył.

- Nadasz się, senior - powiedział. - Jesteś zdolny, choć jak można się było spodziewać na podstawie twego wieku, brak ci doświadczenia. Jesteś dobrym materiałem na lekarza i masz serce. To ważne, bo błędy człowieka mającego serce mogą go zaprowadzić dalej niż spryt cynika. Masz także zapał i wiesz, gdzie go skierować.

Skłoniłem się, starając się ukryć zadowolenie, jakie sprawiły mi te słowa.

- Mimo to - ciągnął dalej - nie zdecydowałbym się zwrócić się do ciebie z propozycją, którą zaraz przedstawię, bo przekonałem się niejednokrotnie, że nawet lepiej niż ty zapowiadający się młodzieńcy okazują się w gruncie rzeczy głupcami, brak im opanowania i w ogóle schodzą na psy, co zresztą może i ciebie czeka. Zaryzykuję jednak, ponieważ odpowiadasz mi pod innym względem. Otóż masz, senior, rzadką urodę, którą będzie się zachwycać połowa dam sewilskich, kiedy cię poznają.

- Bardzo mi to pochlebia - powiedziałem - ale chcę wiedzieć, w jakim celu prawisz mi, senior, takie komplementy. Krótko mówiąc, co to za propozycja?

- A więc odpowiem też krótko. Potrzebuję asystenta, który posiadałby te wszystkie zalety, które dostrzegam u ciebie, ale przede wszystkim jedną, której mogę tylko się domyślać, mam nadzieję, że trafnie, a mianowicie dyskrecję. Taki asystent nie zarabiałby źle, cały ten dom stałby do jego dyspozycji, a poza tym miałby on wyjątkową okazję poznania świata. I co ty na to, senior?

- Przede wszystkim chciałbym dowiedzieć się więcej o sprawach, w których miałbym ci asystować, senior. Twoja propozycja wygląda tak korzystnie, że boję się, czy nie musiałbym wykonywać roboty, której nie podjąłby się żaden uczciwy człowiek.

- Rozsądne zastrzeżenie, choć tak się składa, że mnie ono nie dotyczy. Posłuchaj, dowiedziałeś się, że ten lekarz, z którym chciałeś się przed chwilą zobaczyć i... - tu wymienił cztery czy pięć nazwisk - to najlepsi profesjonaliści w całej Sewilli, ale to nieprawda. Najlepszym i najbogatszym lekarzem jestem ja. Wiesz, ile zarobiłem tylko dzisiejszego dnia? Powiem ci: ponad dwadzieścia pięć pesos w złocie, więcej niż cała reszta razem wzięta. Zastanawia cię, w jaki sposób zarabiam tak dużo, zastanawia cię również, dlaczego, skoro tyle już zarobiłem, nie chcę rezygnować z praktyki i cieszyć się tym, co już mam. Dobrze, powiem ci. Zarabiam tyle, dogadzając próżności kobiet i chroniąc je przed skutkami ich kaprysów i szaleństw. Jeśli jakaś dama ma zbolełe serce, przychodzi tu po otuchę i radę. Jeśli wyskoczy jej pryszcz na twarzy, tu przybiega pozbyć się go. Jeśli ma po kryjomu romans, ja zapobiegam przykrym konsekwencjom, które mogłyby z tego wyniknąć. Ja udzielam im rad na przyszłość i pomagam zapomnieć o przeszłości, ja leczę ich rzekome, a często też i prawdziwe, dolegliwości. Znam połowę tajemnic Sewilli. Gdybym postanowił mówić, w wielu szacownych domach doszłoby do awantur i rozlewu krwi. Ale milczę, bo płacą mi za to, a kiedy nie płacą, milczę dla własnego dobra. Setki kobiet uważają mnie za swojego wybawcę, choć ciągnę z nich pieniądze. Ale, podkreślam to, nie przekraczam pewnych granic. Napój miłosny, środki upiększające - proszę bardzo, wszystko to można u mnie otrzymać za stosowną cenę, ale zatruta róża czy coś takiego - nigdy! Tego muszą szukać gdzie indziej. Jeśli chodzi o resztę, jestem na swój sposób

uczciwy. Biorę świat, jaki jest, i to wszystko, a skoro kobiety są głupie i mogą na tym zarobić, doszedłem do bogactwa.

Tak, doszedłem do bogactwa, a jednak nie mogę przestać. Kocham pieniądze, bo pieniądze to władza, ale jeszcze bardziej kocham takie życie. Ludzie lubią czytać romanse i opisy przygód. Czy któraś z tych książek jest choć w połowie tak ciekawa, jak to, czego wysłuchuję codziennie? Ja poznaję prawdziwe przygody i romanse! I w każdym z tych romansów sam gram rolę, i to wcale niepoślednią, mimo iż nie pokazuję się na scenie.

- Jeśli jest tak, jak mówisz, senior, to po co ci pomoc nieznanego chłopaka, obcego, o którym nic nie wiesz? - spytałem bez ogródek.

- Faktycznie brak ci doświadczenia - odparł Fonseca ze śmiechem. - Myślisz, że wybrałbym kogoś, kto nie jest tu obcym, kogoś, kto mógłby mieć w tym mieście powiązania, o których nic bym nie wiedział? A jeśli chodzi o to, że rzekomo nic o tobie nie wiem, młodzieńcze, to myślisz, że po czterdziestu latach takiej praktyki nie potrafię ocenić człowieka od pierwszego wejrzenia? Może znam cię lepiej niż ty sam. Nawiasem mówiąc, fakt, iż jesteś po uszy zakochany w tej dziewczynie, którą zostawiłeś w Anglii, jest dla mnie najlepszą rekomendacją twojej osoby, bo bez względu na to, jakich narobisz głupstw, nie napytasz mnie ani sobie kłopotu, wiążąc się tu z kimś zbyt mocnym uczuciem. Co, zaskoczyłem cię?

- Skąd to wiesz, senior? - zacząłem i przerwałem.

- Skąd wiem? To zupełnie proste. Buty, które masz na nogach, zostały wykonane w Anglii. Widziałem wiele takich, kiedy tam byłem. Masz również, choć niezbyt silny, angielski akcent i dwukrotnie, nie mogąc znaleźć odpowiedniego kastylijskiego słowa, posłużyłeś się angielskim. A jeśli chodzi o dziewczynę, to czy to nie zaręczynowy pierścień na twoim palcu? I kiedy mówiłem o tutejszych damach, nie zainteresowało cię to zbytnio, co w twoim wieku byłoby zupełnie naturalne, gdyby twoje serce nie należało do innej. Na pewno jest blondynką, prawda? Aha, tak myślałem. Zauważyłem, że ludzie zakochują się w osobach różniących się od nich kolorem włosów. Nie jest to żadna reguła, ale pomaga w zgadywaniu.

- Jesteś bardzo bystry, senior.

- Nie bystry, ale doświadczony. Ty też taki będziesz, kiedy popracujesz ze mną przez rok, choć nie masz zamiaru zatrzymywać się tak długo w Sewilli. Może przyjechałeś tu w ściśle określonym celu i chcesz pożytecznie spędzić czas, dopóki go nie osiągniesz. Myślę, że znowu trafnie odgadłem.

No, ale mniejsza z tym, zaryzykuję. Cel i jego osiągnięcie są często bardzo od siebie odległe. Przyjmujesz moją propozycję?

- Jestem skłonny przyjąć.

- Wobec tego załatwione. Ale zanim omówimy warunki, muszę ci jeszcze coś powiedzieć. Nie chcę, żebyś odgrywał rolę pomocnika aptekarza. Przed światem będziesz występował jako mój siostrzeniec, który przybył z północy Hiszpanii, aby przy mnie wyuczyć się zawodu. Będziesz mi oczywiście pomagał w pracy, ale na tym nie kończy się, twoja rola. Twoim zadaniem będzie brać udział w miejscowym życiu, śledzić tych, których ci wskażę, rzucić tu słówko, tam aluzję i na sto innych sposobów naganiać ryby do mojej - i twojej - sieci. Musisz tryskać humorem i dowcipem albo być smutny i zamyślony, w zależności od mego życzenia, musisz wykorzystywać do maksimum swoje atuty i zdolności, bo takie rzeczy cenią sobie moi klienci. Z hidalgim musisz rozmawiać o broni, z damą - o miłości, ale nigdy nie wolno ci się zapomnieć. A nade wszystko, młodzieńcze - tu jego twarz przybrała surowy, a nawet srogi wyraz - nie wolno ci nigdy zawieść mojego zaufania ani zaufania moich klientów. W tym punkcie będę z tobą zupełnie szczerzy i proszę, żebyś dla swego własnego dobra uwierzył w to, co powiem. Otóż jeśli zawiedziesz moje zaufanie, zginiesz. Nie z mojej ręki, ale zginiesz. Oto moje warunki. Możesz je przyjąć albo nie. Gdybyś jednak, nie przyjmąwszy ich, rozgłosił, co tu dziś słyszałeś, to nawet w takim przypadku możesz zginąć. Rozumiesz?

- Rozumiem. Przez wzgląd na swoją skórę, nie nadużyję twego zaufania, senior.

- Młodzieńcze, teraz podobasz mi się jeszcze bardziej. Gdybyś powiedział, że nie zawiedziesz mojego zaufania dlatego, że ci zaufałem, to wzbudziłbyś we mnie wątpliwość, bo na pewno zdajesz sobie sprawę, że tajemnice powierzone tak łatwo innej osobie, nie są bynajmniej święte. I faktycznie nie są, ale kiedy ich zdrada pociąga za sobą przykry i nagły koniec tego, kto je zdradził, sprawa nabiera innego znaczenia. No więc jak, zgadzasz się?

- Tak.

- Dobrze. Twój bagaż jest na pewno w gospodzie. Wyślę tragarzy, aby zapłacili rachunek i przynieśli tu twoje rzeczy. Nie musisz tam chodzić, siostrzeńcze. Napijmy się lepiej jeszcze wina, im szybciej się dokładnie zaznajomimy, tym lepiej, siostrzeńcze.

W taki oto sposób poznałem się z seniorem Andresem de Fonseca, moim dobroczyńcą, najdziwniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Na pewno każdy z czytających tę historię wyobraża sobie, że był on jednym z tych wielkich łotrów, którzy czasami, dla swych niecnych celów, zwodzą młodych ludzi i doprowadzają ich do upadku i zbrodni i że przeto wpadłem w niezłe tarapaty, zadając się z nim. Otóż nic podobnego - było zupełnie inaczej i to jest najdziwniejsze w tej dziwnej historii. Wszystko, co powiedział mi o sobie Andres de Fonseca, zgadzało się w najdrobniejszym szczególe.

Był to szlachetnie urodzony człowiek o wielkim talencie, który lekko zbykował wskutek nieszczęść doznanych w młodości. Nigdy nie spotkałem lekarza lepszego od niego, jeśli w ogóle w owych czasach był gdzieś taki, a już jako człowiek znający życie, a w szczególności życie kobiet, był absolutnym wyjątkiem. Dużo podróżował, dużo widział i niczego nie zapomniał. Był po części szarlatanem, ale było coś w tej jego szarlatanerii. To prawda, zdierał skórę z głupich i nawet parał się astrologią, zbijając ciężkie pieniądze na przesądach swych klientek, ale z drugiej strony spełniał zupełnie bezinteresownie wiele dobrych uczynków. Potrafił wziąć dziesięć złotych peso za rozjaśnienie włosów jakiejś bogatej damy, ale jednocześnie wybawić jakąś biedną dziewczynę z kłopotów bez żadnej zapłaty, a do tego znaleźć jej potem uczciwą pracę. Choć znał wszystkie tajemnice Sewilli, nigdy nie próbował wymusić pieniędzy szantażem. Powiadał, że nie korzysta z takich metod, bo w ostatecznym rachunku nie popłacają, ale w rzeczywistości - wbrew pozowaniu na samolubnego niegodziwca - był w głębi duszy uczciwy.

Jeśli o mnie chodzi, to żyło mi się przy nim łatwo i szczęśliwie, w takiej mierze, w jakiej mogłem, z dala od ukochanej, czuć się szczęśliwy. Nauczyłem się swojej roli i odgrywałem ją dobrze. Zostałem przedstawiony jako siostrzeniec Fonseki, który uczy się od niego i ma w przyszłości zająć jego miejsce, i to, w połączeniu z moim wyglądem i manierami, otwarło mi drzwi do najświetniejszych domów Sewilli. Robiłem tam to, co do mnie, zgodnie z naszą umową, należało, gdyż mój mistrz nigdy nie brał udziału w życiu towarzyskim miasta. Dostawałem od niego tyle pieniędzy, że mogłem nimi szastać nie gorzej niż najbogatsi kawalerowie, ale wkrótce wszyscy zrozumieli, że dbam nie tylko o przyjemności, ale także o interesy. Często podczas wesołej zabawy przysuwała się do mnie jakaś dama i pytała szeptem, czy don Andres de Fonseca nie przyjąłby jej prywatnie w

bardzo ważnej sprawie. Ustalałem wówczas dzień i godzinę i wszystko odbywało się ku obopólnemu zadowoleniu. Gdyby nie ja, pacjentki takie byłyby dla nas stracone, gdyż wstyd powstrzymywał je przed bezpośrednią wizytą u Fonseki. I podobnie, kiedy zabawa czy festiwal miały się ku końcowi, często brał mnie pod ramię jakiś galant i prosił o pomoc w miłosnej, honorowej czy nawet finansowej sprawie. Prowadziłem wówczas delikwenta prosto do starego domu w mauretańskim stylu, gdzie don Andres siedział w aksamitnym szlafroku niczym pajak pośrodku swej sieci, pisząc coś, jako że większość spraw załatwiał nocą. Wstawał i natychmiast zabierał się do rzeczy, z korzyścią dla siebie, dla mnie i dla delikwenta. Stopniowo rozeszło się po całym mieście, że mimo młodego wieku, jestem bardzo dyskretny i nie powtarzam niczego, co usłyszałem, że nie piję, nie urządzam burd ani nie gram w kości i że choć przyjaźnię się z wieloma damami, żadna z nich nie zna moich sekretów. Zaczęto również mówić, że jestem dość biegły w sztuce medycznej i że nikt nie leczy tak dobrze skóry z wyprysków i farbuje włosów jak siostrzeniec starego Fonseki, a taka opinia - jak każdy wie - jest sama w sobie warta fortunę. Skutkiem tego zaczęto się coraz częściej zwracać po poradę bezpośrednio do mnie. Sprawy szły tak dobrze, że po pół roku dochody mego mistrza zwiększyły się o jedną trzecią, choć i poprzednio były przecież wysokie, a przy tym, mając pomocnika, nie musiał już tak ciężko pracować.

Było to dziwne życie i gdybym mógł napisać o tym, co widziałem i co poznałem, to wyszłaby z tego gruba książka. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety rozmawiali z nami zupełnie szczerze, porzucając uśmiechy i milczenie, które normalnie skrywały ich myśli. Przychodziły do nas piękne dziewczęta i stateczne żony z opowieściami o niegodziwościach, które wydawałyby się niemożliwe, gdyby nie potwierdzały ich fakty, na przykład o zabójstwie męża, kochanka czy rywalki; zdarzały się podstarzałe damy, które pragnęły młodego męża, mężczyźni i kobiety poszukujący biednych, ale dobrze urodzonych, przyjaciółek i utrzymanków i tak dalej. Takim osobom nie chciałem pomagać, ale chętnie udzielałem pomocy nieszczęśliwym czy wzgardzonym kochankom. Współczułem im tak bardzo, że parę razy zdarzyło się, iż nieszczęsna dziewczyna gotowa była przelać swe uczucia na moją niegodną osobę, a raz nawet sprawy zaszły tak daleko, że gdybym tego chciał, mógłbym poślubić jedną z najładniejszych i najbogatszych panien w Sewilli. Byłem jednak daleko od tego, bo w dzień i w noc myślałem o swojej Lily.

Rozdział VII

DRUGIE SPOTKANIE

Można by pomyśleć, że będąc tak zajęty, zapomniałem, po co przybyłem do Hiszpanii. Nie byłaby to jednak prawda. Jak tylko rozgościłem się w domu Andresa de Fonseki, zacząłem się wywiadywać o Juana de Garcię, ale bez rezultatu.

Kiedy zastanowiłem się jednak nad tym spokojnie, doszedłem do wniosku, że mam niewielką szansę znaleźć go w tym mieście. Powiedział wprawdzie w Yarmouth, że płynie do Sewilli, ale żaden statek o nazwie podobnej choćby do nazwy tego, którym odpłynął, nie zawiął do Kadyksu ani nie pojawił się na Gwadalkiwirze. Było zresztą mało prawdopodobne, aby popełniwszy morderstwo, podał prawdziwy cel swojej podróży. Mimo to szukałem dalej. Dom, w którym mieszkały moja babka i matka, spłonął, a ponieważ obie nie brały udziału w życiu towarzyskim, po upływie dwudziestu lat mało kto je pamiętał. Prawdę mówiąc, znalazłem tylko jedną taką osobę, starszuskę żyjącą w skrajnej nędzy, która była służącą w domu babki i dobrze знаła moją matkę, choć w czasie ucieczki rodziców do Anglii nie było jej akurat w domu. Otrzymałem od niej trochę informacji, choć nie muszę chyba wyjaśniać, że ukryłem fakt, iż jestem wnukiem jej dawnej pani.

Wyglądało na to, że po ucieczce matki de Garcia nękał moją babkę a swoją ciotkę procesami oraz dokuczał jej w inny sposób, tak że w końcu popadła w nędzę. Wtedy dał jej spokój. Była tak biedna, że nawet pochowano ją w zbiorowej mogile. Potem de Garcia popełnił podobno jakąś zbrodnię i musiał uciekać z kraju. Jaka to była zbrodnia, moja rozmówczyni nie pamiętała, wiedziała tylko tyle, że zdarzyło się to piętnaście lat przed naszą rozmową.

Dowiedziałem się tego wszystkiego po około trzymiesięcznym pobycie w Sewilli, lecz aczkolwiek była to interesująca wiadomość, nie posunęła mnie ani o krok w poszukiwaniach.

Cztery czy pięć dni później, kiedy wracałem nocą do domu, spotkałem w furtce prowadzącej z patio młodą damę. Twarz miała zakrytą gęstym welonem, a zwróciłem na nią uwagę głównie dlatego, że była wysoka, miała piękną figurę i całym jej ciałem wstrząsało łkanie. Byłem już przyzwyczajony do takich widoków, bo wiele z tych, które odwiedzały mego mistrza, miało powody do płaczu, więc minąłem ją bez słowa. Kiedy jednak wszedłem do gabinetu, w którym przyjmował pacjentów wspomniałem,

że spotkałem taką a taką osobę i spytałem, czy jest to ktoś, kogo znam.

- Ach, siostrzeńcze - powiedział Fonseca, który stale mnie już tak nazywał i, prawdę mówiąc, zaczął traktować jakbym rzeczywiście był jego krewnym - to smutny przypadek, ale nie znasz jej. W dodatku nie ma pieniędzy, aby zapłacić za wizytę. To biedna dziewczyna, choć dobrze urodzona. Wstąpiła do klasztoru i złożyła śluby, kiedy nagle pojawił się pewien galant, zaczął się z nią spotykać potajemnie w klasztornym ogrodzie, obiecując małżeństwo, jeśli z nim ucieknie, zresztą nawet wziął z nią jakiś oszukańczy ślub - tak przynajmniej ona mówi - i tak dalej. Teraz ją porzucił i dziewczyna jest w kłopotcie, a co więcej, jeśli duchowni złapią ją, prawdopodobnie pozna na własnej skórze, co to jest powolna śmierć w klasztornym murze. Przyszła do mnie po radę i przyniosła w formie zapłaty jakieś srebrne ozdoby. Oto one.

- Wziąłeś je!

- Tak, wziąłem. Zawsze biorę zapłatę, ale zwróciłem jej tyle złota, ile ważą te drobiazgi. Co więcej, powiedziałem jej, gdzie może ukryć się przed szukającymi ją duchownymi. Nie powiedziałem jej natomiast, że jej kochanek jest największym łotrem, jaki kiedykolwiek stąpał po ulicach Sewilli. Co by to dało? I tak pewnie już go nie zobaczy. Tsss! Idzie do nas księżniczka... to znowu przypadek astrologiczny. Gdzie różdżka i horoskopy? A kryształowa kula? Dobrze, zasłoń lampy, daj mi księgę i znikaj.

Wychodząc, minąłem tę wielką panią, której asystowała duenna, przemykającą się bojaźliwie pod ciemnymi arkadami, aby poznać wyroki gwiazd i zapłacić za to wiele peso. Widok ten tak mnie rozśmieszył, że zapomniałem o nieszczęśliwej zakonnicy i o jej kłopotach.

Dwa dni później przechodziłem około północy przez odludną część starego miasta, z rzadka tylko odwiedzaną przez przechodniów. Zapuszczać się w takie miejsce o takiej porze nie było zbyt bezpiecznie, ale mistrz zlecił mi sprawę nie cierpiącą zwłoki. Zresztą nie miałem wrogów i byłem uzbrojony w miecz, który odebrałem de Garcii na drodze w Ditchingham, ten sam, którym zabił matkę i który nosiłem w nadziei, że ją nim pomszczę. Nauczyłem się nim już dobrze władać, gdyż każdego ranka brałem lekcję fechtunku.

Załatwiwszy, co miałem załatwić, wracałem powoli do domu i idąc tak, zadumałem się nad swym obecnym życiem, nad tym, jak różniło się od tego,

które wiodłem w dolinie Waveney i nad innymi rzeczami. Doszedłem tak do śluzy prowadzącej do Gwadalkiwiru i oparłszy się o niską balustradę, zacząłem podziwiać piękną noc. Niech ci, którzy mieli okazję o tym się przekonać, sami zaświadczą, czy znają piękniejszy widok niż lśniące w blasku księżyca, szeroko rozlane wody Gwadalkiwiru, otoczone starymi domami Sewilli.

Kiedy patrzyłem tak, oparty o murek, zauważyłem mężczyznę, który wszedł po kamiennych stopniach obok mnie i zniknął w mroku ulicy. Nie zainteresowałem się nim, ale po chwili usłyszałem ściszone głosy i odwróciwszy głowę, zobaczyłem, że jest pogrążony w rozmowie z kobietą. Stali u wylotu alejki prowadzącej do śluzy. Wyglądało to na spotkanie zakochanych, a ponieważ takie widoki wzbudzają ciekawość wszystkich, a szczególnie młodzieży, zacząłem się im przyglądać. Wkrótce przekonałem się, że nie ma w tym spotkaniu zbyt wiele czułości, przynajmniej jeśli chodzi o mężczyznę, który stale wykonywał takie ruchy, jakby chciał odejść w moją stronę, na pewno do łodzi, którą przy płynął, i zdziwiło mnie to, bo światło księżyca padało na twarz kobiety i nawet z tej odległości mogłem się przekonać, że jest bardzo ładna. Nie mogłem jednak dojrzeć twarzy mężczyzny, ponieważ prawie cały czas był odwrócony do mnie tyłem, a poza tym nosił wielkie sombrero, które zakrywało mu twarz. Coraz bardziej zbliżali się do mnie. Mężczyzna cały czas usiłował odejść, a kobieta szła za nim krok w krok. W końcu znaleźli się tak blisko, że usłyszałem o czym rozmawiali.

- Chyba nie opuścisz mnie - mówiła kobieta - po tym wszystkim, co przysięgałeś. Przecież poślubiłeś mnie. Dla ciebie rzuciłam wszystko. Jestem w wielkim niebezpieczeństwie. Ja... - tu tak ściszyła głos, że nic nie rozumiałem.

Potem odezwał się on:

- Najdroższa, wielbię cię teraz tak samo, jak przedtem. Ale na pewien czas musimy się rozstać. Dużo mi zawdzięczasz Izabello. Wydobyłem cię z grobu, nauczyłem, co to znaczy żyć i kochać. Na pewno ze swym wdziękiem i urodą, dużą urodą, potrafisz skorzystać z nauk, których ci udzieliłem. Pieniądzy nie mogę ci dać, bo mnie samemu są potrzebne, ale dałem ci doświadczenie, które jest więcej warte niż pieniądze. Rozstajemy się tylko na pewien czas i robię to ze złamanym sercem. Ale są też inni przystojni mężczyźni i... - tu z kolei on tak ściszył głos, że nie dosłyszałem, co mówi.

Słuchając go, zacząłem się trząść. Scena ta była wprawdzie ciekawa, ale to nie ona tak mnie poruszyła, lecz głos i sposób zachowania mężczyzny, który przypominał mi... nie, to nie mógł być on!

- Och, nie będziesz chyba tak okrutny - powiedziała kobieta - żeby zostawić mnie, swoją żonę, samą w obliczu takich kłopotów. Błagam cię, weź mnie ze sobą, Juanie!

Chwyliła go za ramię i przytuliła się, ale odtrącił ją dość szorstko. Kiedy to robił, kapelusz spadł mu na ziemię i księżyc ukazał jego twarz. O nieba! To był on - Juan de Garcia! Nie mogłem się mylić. Ta sama, głęboko pobrużdżona, okrutna twarz, wysokie czoło przecięte blizną, cienkie, wykrzywione szyderczo wargi, spiczasta bródka i kręcone włosy. Przypadek wydał go w moje ręce. „Albo go zabiję, albo zginę” pomyślałem.

Jednym skokiem pokonałem trzy stopnie i stanąłem przed nim, wydobywszy miecz.

- Cóż to, gołąbko, wynajęłaś zbira? - powiedział zdumiony, cofając się o krok. - Czego chcesz, senior? Jesteś tu, żeby bronić zrozpaczonej piękności?

- Jestem tu po to, Juanie de Garcia, żeby pomścić śmierć kobiety. Pamiętasz brzeg pewnej rzeki w Anglii, gdzie spotkałeś i zamordowałeś znaną ci niegdyś kobietę? A jeśli zapomniałeś o tym, to może przynajmniej pamiętasz ten miecz, który noszę specjalnie po to, by cię zabić - i miгнаłem mu ostrzem przed oczami.

- Matko Boska! To ten angielski chłopak, który... - w tym momencie przerwał.

- To Tomasz Wingfield, który pobił cię i związał, i który teraz zamierza, jak sobie poprzysiągł, dokończyć to, co tam zaczął. Wyciągnij miecz, Juanie de Garcia, albo zadżgam cię tak, jak stoisz.

Dziś słowa te wydają mi się teatralne, choć wtedy wypowiedziałem je z całym przekonaniem. Twarz de Garcii wyglądała jak pysk schwytanego w pułapkę wilka. Widziałem jednak, że nie chce walczyć, bynajmniej nie z tchórzostwa, bo odwagi nie można mu było odmówić, ale z powodu przesądnej bojaźni. Bał się walczyć ze mną, gdyż jak się później dowiedziałem, święcie wierzył, że spotka go koniec z mojej ręki. Głównie też z tego powodu chciał mnie zabić, kiedy spotkał mnie po raz pierwszy.

- Pojedynek ma swoje prawa, senior - powiedział, siłąc się na dworność. - Nie walczy się bez sekundantów i w obecności kobiety. Jeśli uważasz, że masz do mnie jakiś żal - choć nie wiem o co ci chodzi i pierwszy raz słyszę nazwisko, którym mnie nazwałeś - to spotkam się z tobą kiedy i

gdzie chcesz. - Cały czas podczas tej przemowy spoglądał przez ramię, szukając możliwości ucieczki.

- Spotkasz się ze mną teraz - odparłem. - Dobądź miecza, bo zaraz uderzę!

Wobec tego wyciągnął miecz i rzucił się na mnie tak gwałtownie, że aż z klingi mojej broni poleciały iskry, a dźwięk stali bijącej o stal rozległ się po całej ulicy. Początkowo miał nade mną pewną przewagę, bo nienawiść zaślepiała mnie i walczyłem chaotycznie, ale wkrótce ochłonąłem i zabrałem się metodycznie do roboty. Chciałem go zabić, więcej - wiedziałem, że go zabiję, jeśli nikt nas nie rozdzieli. Nadal był lepszym szermierzem niż ja, bo do czasu spotkania z nim w Ditchingham nie widziałem nawet tych hiszpańskich rapierów, ale po mojej stronie była młodość i pewność zwycięstwa, a poza tym miałem sokoli wzrok i stalowy nadgarstek.

Powoli zaczął się cofać. Moje ciosy i pchnięcia były coraz pewniejsze, a jego coraz bardziej chaotyczne. Ranilem go już dwukrotnie, w tym raz w twarz, i przyparłem go do muru biegnącego nad śluzą. Nie ośmielał się już mnie atakować, ale ograniczył się do obrony i czekał, aż opadnę z sił. Nagle, kiedy miałem już zwycięstwo w ręku, stało się nieszczęście, albowiem ta kobieta, która dotąd przyglądała się przestraszona walce, zorientowała się, że jej niewiernemu kochankowi grozi śmierć i chwyciła mnie z tyłu, wzywając jednocześnie przeraźliwym głosem pomocy. Uwolniłem się szybko, ale de Garcia skorzystał z okazji i wymierzył mi tchórzliwe pchnięcie, które dosięgło mego prawego ramienia i częściowo unieruchomiło je, tak że teraz ja musiałem przejść do obrony. Tymczasem ktoś usłyszał krzyki wzywające pomocy i zniecka wypadła zza węgła straż miejska, wzywając gwizdkami posiłków. De Garcia ujrzał ich i natychmiast zaprzestał walki, odwrócił się i pobiegł w stronę śluzy. Dama też gdzieś zniknęła.

Tymczasem straż siedziała mi już na karku. Jej dowódca, podnosząc wysoko latarnię, podszedł, aby mnie złapać. Rąbnąłem rękojeścią miecza w latarnię tak silnie, że wypadła mu z ręki, a potem odwróciłem się i też wziąłem nogi za pas, gdyż nie chciałem, aby doprowadzono mnie do magistratu jako awanturnika. W tym popłochu zapomniałem, że de Garcia też ucieka. Pobiegło za mną trzech strażników, ale byli pokaźnej tuszy i wkrótce zasapali się, dali więc spokój pogoni. Zatrzymałem się, aby zaczerpnąć tchu i wtedy uświadomiłem sobie, że zgubiłem de Garcie i nie

wiem, gdzie go odnaleźć. W pierwszym odruchu chciałem zawrócić i poszukać go, lecz po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że nic by to nie dało, natomiast mógłbym wpaść w ręce straży, która poznałaby mnie po ranie. Poszedłem więc do domu, przeklinając swój los, kobietę, która chwyciła mnie z tyłu akurat kiedy szykowałem się do zadania śmiertelnego ciosu i mój brak wprawy, przez który tak długo zwlekałem z wyprowadzeniem tego ciosu. Mogłem go zadać już wcześniej dwa razy i za każdym razem powstrzymałem się, chcąc być absolutnie pewnym, że go trafię. W ten sposób straciłem szansę i może minąć wiele dni, zanim będę miał następną.

Jak mam go znaleźć w tym dużym mieście? Na pewno, choć wcześniej nie pomyślałem o tym, występuje pod przybranym nazwiskiem, tak jak w Yarmouth. Gorzka była myśl o tym, że byłem tak bliski osiągnięcia celu i że mi się nie udało.

Tymczasem dotarłem do domu i pomyślałem sobie, że dobrze bym zrobił, gdybym poszedł do Fonseki i poprosił go o pomoc. Dotychczas nic mu o tej historii nie mówiłem, gdyż zawsze wolałem trzymać swoje sprawy dla siebie i nie rozmawiałem z nim w ogóle o swojej przeszłości. Wszedłszy do gabinetu, w którym przyjmował pacjentów, stwierdziłem, że poszedł spać i zakazał się budzić tej nocy, ponieważ był bardzo zmęczony. Obwiązałem więc ranę najlepiej, jak mogłem i również poszedłem do łóżka, wściekły na swój los.

Następnego ranka udałem się do komnaty, w której w dalszym ciągu leżał w łóżu mój mistrz, powalony nagłą słabością, będącą początkiem choroby, która zakończyła się jego śmiercią. Kiedy przyrządzałem mu lekarstwo, zauważył, że mam obwiązane ramię i spytał, co mi się przydarzyło. Dało mi to okazję, z której skwapliwie skorzystałem.

- Czy masz ochotę wysłuchać pewnej historii? - spytałem. - Chcę cię bowiem prosić o pomoc.

- No tak - odparł - to normalny przypadek, lekarz nie potrafi wyleczyć samego siebie. Mów, siostrzeńcze.

Usiadłem przy łóżku i opowiedziałem mu wszystko, niczego nie tając. Opowiedziałem o dziejach miłości moich rodziców, o moim dzieciństwie, o zamordowaniu matki przez de Garcie i o przysiędze, którą złożyłem. Na koniec opowiedziałem o tym, co zdarzyło się ostatniej nocy i o tym, jak udało się umknąć memu wrogowi. Przez cały czas Fonseca, owinięty w bogato wyszywany mauretański szlafrok, siedział na łóżku, trzymając brodę na kolanach i uważnie obserwując moją twarz. Nic nie mówił i nie

uczynił żadnego ruchu, dopóki nie skończyłem.

- Jesteś zadziwiająco głupi, siostrzeńcze - powiedział w końcu. - Przeważnie młodzi przegrywają przez popędliwość, ale ty przegrałeś przez zbytnią ostrożność. Przez nadmierną ostrożność straciłeś okazję w walce dzisiejszej nocy i przez nadmierną ostrożność, ukrywając swoją historię przede mną, straciłeś o wiele lepszą okazję. Jak to, czyżbyś nie widział, że daję rady w wielu takich sprawach i czyżbyś nie wiedział, że nigdy nie zawiodłem zaufania nawet zupełnie mi nie znanej osoby? Dlaczego zatem obawiałeś się, że zawiodę twoje?

- Nie wiem - odparłem - ale myślałem, że najpierw sam go poszukam.

- Pycha poprzedza upadek, siostrzeńcze. A teraz słuchaj: gdybym znalazł tę historię miesiąc wcześniej, to de Garcia do tej pory zginąłby już marnie, i to nie z twojej ręki, ale z ręki sprawiedliwości. Znam tego człowieka od dziecka i wiem o nim wystarczająco dużo, aby dwukrotnie zawisł na szubienicy, gdybym zdecydował się mówić. Więcej, chłopcze, znałem twą matkę i teraz wiem, że to twoje podobieństwo do niej przykuło moją uwagę, bo twoja twarz od początku wydawała mi się znajoma. To ja przekupiłem strażników w więzieniu, aby wypuścili twego ojca, choć tak się złożyło, że nigdy go nie widziałem, i ja zorganizowałem jego ucieczkę. Od tamtego czasu miałem de Garcia cztery czy pięć razy w rękach, raz pod takim, raz pod innym nazwiskiem. Raz nawet przyszedł do mnie jako klient, ale łotrostwo, które szykował, było zbyt wielkie, abym przyłożył do tego rękę. To jest największy szubrawiec w Sewilli, a wierz mi, że znam wielu łotrów, a przy tym najsprytniejszy i najbardziej mściwy. Żyje z występku i ma na sumieniu życie wielu osób. Nigdy jednak nie wzbogacił się na tych zbrodniach i teraz jest zwykłym awanturnikiem bez nazwiska, żyjącym z szantażu i łupienia kobiet, które nie mogą się przed nim obronić. Podaj mi księgę z tamtej półki, a powiem ci więcej o de Garcii.

Zrobiłem, co kazał, i przyniosłem kilka ciężkich, pisanych szyfrem na pergaminie i oprawnych w cielejącą skórę tomów.

- To moje notatki - wyjaśnił - choć oprócz mnie nikt nie potrafi ich odczytać. Zajrzyjmy do indeksu. A, tutaj jest. Weź tom trzeci i otwórz na stronie dwieście pierwszej.

Otworzyłem księgę i położyłem przed nim na łóżku. Zaczął czytać z taką łatwością, jakby był to normalny tekst.

- De Garcia, Juan. Wzrost, wygląd, rodzina, przybrane nazwiska, i tak dalej. A teraz to, o co nam chodzi, historia. Słuchaj.

Dalej następowały jakieś dwie strony, ciasno zapisane tajemnymi znakami, zrozumiałymi tylko dla Fonseki. Były to dosyć krótkie uwagi, ale nigdy przedtem ani potem nie słyszałem czegoś równie ohydneho. Tam, pod nazwiskiem jednego człowieka, wymienione były prawie wszystkie niegodziwości, do jakich zdolny jest człowiek, a wszystko to robił on dla zaspokojenia swych nienasyconych namiętności, dla złota i dla zemsty.

Na tej czarnej liście figurowały trzy morderstwa - dwóch rywali zadźganych nożem i otruta kochanka. A były tam rzeczy jeszcze gorsze, zbyt wstrętne, aby o nich pisać.

- Niewątpliwie jest też dużo spraw, których nie znam - rzekł zimno Fonseca - ale to wszystko, co tu zapisałem odpowiada, o ile wiem, prawdzie, a dwa z popełnionych przez niego morderstw można by było udowodnić, gdyby został schwytany. Poczekaj, daj mi atrament, muszę uzupełnić zapiski.

I zapisał swym szyfrem, mruczając pod nosem: - W maju roku 1517 rzeźony de Garcia popłynął do Anglii statkiem handlowym i tam, w parafii Ditchingham, hrabstwo Norfolk, zamordował Luizę Wingfield, wymienioną wyżej pod nazwiskiem panięńskim Luiza de Garcia, swoją kuzynkę, z którą był niegdyś zaręczony. W sierpniu tego samego roku uwiódł i porzucił donnę Izabellę ze szlacheckiego rodu de Siguenza, zakonnice z klasztoru w tym mieście.

- Co?! - krzyknąłem. - Ta dziewczyna, która przysłała prosić cię o pomoc dwa dni temu, to ta sama, którą porzucił de Garcia?

- Ta sama, siostrzeńce. Gdybym wiedział dwa dni temu to, co wiem dzisiaj, to ten łotr znajdowałby się już w więzieniu. Ale może nie jest jeszcze za późno. Jestem chory, ale wstanę i dopilnuję tego. Zostaw to mnie, siostrzeńce. Idź, zajmij się swoją raną. Jeśli będzie można coś zrobić, to ja to zrobię. Wieczorem będę wiedział.

W nocy Fonseca wezwał mnie ponownie.

- Wypytałem kogo się dało - powiedział. - Nawet po raz pierwszy od wielu lat powiadomiłem sędziów i teraz tropią de Garcie jak posokowce rannego jelenia. Niestety, nic o nim nie słyhać. Przepadł bez śladu. Jeszcze dziś w nocy napiszę list do Kadyksu, bo może uciekł tam rzeką. Jednego wszakże się dowiedziałem. Straże złapały seniorę Izabellę, a ponieważ rozpoznano ją jako zakonnice zbiegłą z klasztoru, została wydana w ręce

Świętego Oficjum, żeby rozpoznało jej sprawę. Innymi słowy: jeśli dowiedzą jej winę, czeka ją śmierć.

- Czy nie można jej uratować?

- To niemożliwe. Gdyby poszła za moją radą, nigdy by jej nie schwytano.

- Czy wobec tego można się z nią porozumieć?

- Nie. Dwadzieścia lat temu można to było zrobić, ale teraz Oficjum jest bardziej surowe i czyste. Złoto nic tam nie znaczy. Już nigdy jej nie zobaczymy ani nie usłyszymy o niej, chyba że w godzinie śmierci, bo wtedy, jeśli będzie chciała pomówić ze mną, może dostać na to zgodę, choć osobiście wątpię w to. Ale mało prawdopodobne, żeby tego chciała. Gdyby udało się jej ukryć hańbę, to może z tego wyjść cało, ale to wątpliwe. Nie rób takiej smutnej miny, siostrzeńcze, religia wymaga ofiar. Może lepiej dla niej umrzeć w ten sposób niż być pogrzebaną za życia. Może umrzeć tylko raz. Oby jej krew spadła na głowę de Garcii!

- Amen! - odpowiedziałem.

Rozdział VIII

STAJĘ SIĘ BOGATY

Przez wiele miesięcy nie słyszeliśmy nic ani o de Garcii, ani o Izabelli de Siguenza. Oboje zniknęli bez śladu i na próżno szukaliśmy ich. Wróciłem do dawnego stylu życia, asystując Fonsece i w dalszym ciągu grając rolę jego siostrzeńca. Niestety od czasu owej nocy, kiedy pojedynkowałem się z zabójcą mej matki, zdrowie Fonseki, wskutek wyniszczającej choroby wątroby, wobec której bezradna była medycyna, stale się pogarszało, tak że osiem miesięcy później był już praktycznie przykuty do łoża i znajdował się na progu śmierci. Umysł miał jednak nadal sprawny i niekiedy przyjmował nawet, siedząc w fotelu owinięty w swój haftowany szlafrok, tych, którzy szukali jego rady. Wiedział jednak, że koniec jest bliski. W miarę upływu czasu coraz bardziej przywiązywał się do mnie, tak że w końcu zaczął mnie traktować jakbym był jego rodzonym synem. Ja natomiast starałem się, jak mogłem, ulżyć jego cierpieniom, gdyż za nic nie dopuściłby do siebie innego lekarza.

Wreszcie, kiedy zostało mu już niewiele sił, zapragnął zobaczyć się z notariuszem. Sprowadziłem człowieka, którego nazwisko mi podał, i spędził z nim ponad godzinę sam na sam. Potem notariusz wyszedł na chwilę

i wrócił z paroma swymi pracownikami. Zamknęli się w pokoju z moim mistrzem, nie pozwalając mi tam wejść. Po pewnym czasie odeszli, zabierając ze sobą jakieś pergaminy.

Wieczorem Fonseca wezwał mnie. Był bardzo słaby, ale pogodny i chętny do rozmowy.

- Podejdz, siostrzeńcze - powiedział. - Miałem pracowity dzień. Całe życie byłem bardzo zajęty i byłoby źle, gdybym pod jego koniec oddał się bezczynności. Wiesz, co dziś robiłem?

Potrząsnąłem głową.

- Sporządziłem testament... W końcu zostanie po mnie trochę, niezbyt dużo, ale jednak.

- Nie mów o testamencie - powiedziałem. - Wierzę, że będziesz żył jeszcze wiele lat.

Roześmiał się. - Musisz myśleć, że kiepsko ze mną, siostrzeńcze, skoro uważasz, że dam się oszukać. Dobrze wiesz, że niedługo umrę. Nie boję się śmierci. Powodziło mi się dobrze, ale nie byłem szczęśliwy, gdyż moje życie zostało złamane w młodości. Mniejsza z tym, jak to się stało. To stara historia i nie warto do niej wracać, a poza tym w godzinie śmierci to wszystko jedno. Każdy z nas musi przejść swoją drogę i jakie to ma znaczenie, czy była zła czy dobra, skoro dotarliśmy do celu? Teraz, kiedy dobrnąłem do końca, wiara nie jest dla mnie ani pociechą, ani zmartwieciem. Zostanę sprawiedliwie osądzony i albo czeka mnie zbawienie, albo potępienie. Czyniłem źle i czyniłem dobrze, źle, ponieważ czasami pokusy były zbyt silne, a ja zbyt słaby, żeby im się oprzeć, dobrze - ponieważ serce kazało mi tak robić. Cóż, życie skończyło się, a śmierć nie jest w końcu taka straszna, kiedy się wie, że czeka każdego, kto się narodził. Wierzę, że Bóg istnieje i jest bardziej miłosierny, niż każą nam wierzyć niektórzy z jego kapłanów.

Często później myślałem o słowach Fonseki i teraz, kiedy niedaleka już jest moja ostatnia godzina, też o nich myślę. Fonseca był fatalista, a ja nie w pełni podzielałem jego przekonania, gdyż uważam, że w pewnym stopniu możemy kształtować swój charakter i mamy pewien wpływ na nasze losy. Jednak sądzę, że w ostatnich słowach miał rację. Bóg istnieje i jest miłosierny, a ani śmierć, ani jej konsekwencje nie są straszne.

Po chwili milczenia Fonseca odezwał się ponownie:

- Dlaczego zmuszasz mnie do mówienia o takich rzeczach? Nuży mnie to, a mam mało czasu. Mówiłem o swojej ostatniej woli. Słuchaj, siostrzeńcze. Oprócz pewnych sum, które ofiarowałem na cele dobroczynne,

wszystko, co posiadam, zostawiam tobie.

- Mnie! - krzyknąłem zaskoczony.

- Tak, siostrzeńcze, tobie. A dlaczego nie? Nie mam żadnej rodziny, a nauczyłem się kochać ciebie. Myślałem, że nigdy nie będę w stanie obdarzyć swoim uczuciem ani kobiety, ani mężczyzny, ani dziecka. Jestem ci wdzięczny za to, że dowiodłeś, iż moje serce nie jest martwe. Przyjmij, co ci daję, jako świadectwo tej wdzięczności.

Zacząłem mamrotać jakieś podziękowania, ale przerwał mi: - Ogólna wartość tego, co odziedziczysz, siostrzeńcze, wynosi około dziesięciu tysięcy peso w złocie, czyli jakieś dwadzieścia pięć tysięcy waszych angielskich funtów. Wystarczy to młodzieńcowi, aby rozpocząć życie, nawet z żoną. Zresztą w Anglii będzie to pewnie wielka fortuna i myślę, że ojciec twojej ukochanej nie będzie już stawiał żadnych przeszkód, abyś został jego zięciem. Poza tym jest ten dom i wszystko, co zawiera. Biblioteka i srebra są bardzo cenne i zrobisz dobrze, jeśli je zatrzymasz. Załatwiłem wszystkie, nawet najdrobniejsze, formalności, tak że nikt nie może kwestionować twego prawa do spadku. Zresztą, czując, że zbliża się koniec, wycofałem niedawno pieniądze z banku i większa część złota znajduje się w solidnych skrzyniach w skrytce w murze. Wiesz, gdzie. Byłoby tego więcej, gdybym poznał cię parę lat wcześniej, bo myśląc, że jestem zbyt bogaty jak na człowieka, który nie ma spadkobiercy, rozdałem na cele dobroczynne, na przytulki dla bezdomnych i chorych drugie tyle, ile teraz zostało. Tomaszu Wingfield, pieniądze te są w większej części owocem ludzkiej niegodziwości, słabości i grzechu. Wykorzystaj je mądrze, dla wspierania prawości i wolności. Niech ci przyniosą szczęście i przypominają o mnie, twoim starym mistrzu, hiszpańskim szarlatanie. Potem przekazesz je swym dzieciom lub biednym. A teraz jeszcze jedno. Jeśli pozwoli ci na to sumienie, daj spokój ściganiu de Garcii. Weź swój majątek i jedź do Anglii, ożeń się ze swoją dziewczyną i niech ci szczęście sprzyja w tym, co przedsięwziesz. Kim jesteś, Tomaszu, żebyś wymierzał sprawiedliwość temu łotrowi, de Garcii? Zostaw go, on sam sobie w końcu wymierzy sprawiedliwość. W przeciwnym wypadku możesz narazić się na wielkie kłopoty i niebezpieczeństwa i za jednym zamachem stracić miłość, życie i fortunę.

- Ale przysiągłem, że go zabiję - odparłem. - Jak mogę złamać tak uroczystą przysięgę? Czy mógłbym siedzieć spokojnie w domu, mając taką plamę na honorze?

- Nie wiem, nie mnie o tym sądzić. Zrobisz, co zechcesz, ale może się zdarzyć, że robiąc to, narazisz się na jeszcze większą hańbę. Gdybyś był mądry, dałbyś mu spokój. A teraz pocałuj mnie i żegnaj. Nie chcę, żebyś widział, jak umieram, a śmierć już blisko. Nie wiem, czy spotkamy się znowu, kiedy będziesz leżał tak, jak ja dzisiaj, czy skierujemy się ku przeciwnym gwiazdom. Jeśli tak, żegnaj na zawsze.

Pochyliłem się nad nim i złożyłem pocałunek na jego czole, a kiedy to robiłem, rozplakałem się, bo aż do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, jak mocno go kocham. Czułem się tak, jakby to umierał mój ojciec.

- Nie płacz - powiedział. - Całe nasze życie jest tylko rozstaniem. Kiedyś miałem syna, podobnego do ciebie, i nasze rozstanie było najbardziej gorzkie. On nie mógł przyjść do mnie, więc teraz ja udaję się do niego. A więc nie płacz, że umieram. Żegnaj, Tomaszu Wingfield! Niech Bóg ma cię w opiece. A teraz idź już!

Odszedłem więc, roniąc łzy i tej samej nocy, przed świtem, Andres de Fonseca zakończył życie. Powiedziano mi, że do końca nie stracił przytomności i zmarł, mrużąc imię syna, o którym wspomniał w ostatniej rozmowie ze mną.

Nigdy nie dowiedziałem się, co stało się z jego synem ani jakie były koleje losu samego Andresa de Fonseki, gdyż szedł przez życie jak Indianin przez las, zacierając za sobą wszystkie ślady. Nigdy nie mówił o przeszłości, a w papierach i dokumentach, które po nim zostały, nie ma o tym żadnej wzmianki. Kiedyś, parę lat temu, przeczytałem wszystkie tomy jego zaszyfrowanych zapisków, gdyż przed śmiercią dał mi klucz do swego szyfru. Stoją teraz, kiedy piszę te słowa, rzędem na półce przede mną. Jest w nich wiele żalonych, wstydliwych i niekzemnych historii, o zawiedzionej wierze i zdradzonej niewinności, o zwycięstwie skąpstwa nad miłością i miłości nad śmiercią, o okrucieństwie - wystarczyłoby tego na pół setki prawdziwych, nie wymyślonych, romansów, ale w tych kronikach nie ma nawet imienia syna Fonseki ani żadnej aluzji do życia mego mistrza. Może to i lepiej. Tak oto zmarł mój dobroczyńca i wspaniały przyjaciel.

Kiedy przygotowywano go do pogrzebu, wszedłem do pokoju, w którym leżał, i przyjrzałem mu się. Wyglądał tak, jakby spał. Kobieta ubierająca ciało podała mi dwa portrety namalowane na kości słoniowej i oprawne w złoto, które znalazła na łańcuszku wiszącym na jego szyi. Mam je dotąd. Jeden przedstawia kobietę o miłej, zamysłonej twarzy, drugi młodzieńca o również pięknym, lecz przeraźliwie smutnym obliczu.

Bez wątpienia są to matka i syn, ale nie wiem o nich nic więcej.

Następnego dnia pochowałem Andresa de Fonsekę, ale bez żadnej pompy, gdyż nie życzył sobie tego i wróciłem do domu, gdzie już czekali na mnie notariusze. Zerwali pieczęcie, odczytali pergaminy i oficjalnie stałem się właścicielem całego majątku zmarłego. Odliczywszy pewne sumy na konto honorariów, darowizn i innych opłat, wyszli kłaniając się z szacunkiem, bo czyż nie byłem bogatym człowiekiem? Uzyskałem bez wysiłku okazały majątek i miałem powody, aby się z tego cieszyć, ale był to dla mnie najsmutniejszy wieczór od kiedy postawiłem stopę na hiszpańskiej ziemi, gdyż duszę trawił mi ból i smutek. Na dodatek przygnębiała mnie zupełna samotność. Ale miało się okazać, że nim nadejdzie rano, poczuję się jeszcze gorzej, bo oto gdy tak siedziałem pogrążony w myślach, ledwie tknąwszy jedzenia, wszedł służący i oznajmił, że jakaś kobieta pragnie widzieć się z jego zmarłym panem. Domyśliwszy się, że to klientka, która nie słyszała o śmierci Fonseki, chciałem już rzec służącemu, by ją odprowadził, ale w ostatniej chwili pomyślałem, że może będę mógł jej w czymś pomóc, a przynajmniej, słuchając jej, zapomnę na jakiś czas o swoich własnych zmartwieniach. A zatem kazałem ją wprowadzić. Była to wysoka kobieta, owinięta w ciemny płaszcz, którego kołnierz zasłaniał jej twarz. Skłoniłem się i wskazałem ręką fotel, ale cofnęła się nagle i powiedziała:

- Chciałam się widzieć z don Andresem de Fonseką. Pan nim nie jest.

- Andres de Fonseca został dzisiaj pochowany - odparłem. - Byłem jego asystentem, a teraz zostałem jego spadkobiercą. Jeśli mogę pani czymś służyć, jestem do dyspozycji.

- Jest pan młody... bardzo młody - powiedziała zmieszana - a sprawa jest okropna i nie cierpiąca zwłoki. Czy mogę panu zaufać?

- Sama musisz to ocenić, seniora.

Zastanawiała się chwilę, a potem zdjęła płaszcz, ukazując habit mniszki.

- Proszę posłuchać - rzekła. - Za to, co robię dziś w nocy, będę musiała odprawić surową pokutę. Z wielkim trudem udało mi się uzyskać pozwolenie na tę wizytę. Nie mogę odejść z niczym, a więc muszę ci zaufać, panie. Ale wpieryw przysięgnij na Matkę Boską, że mnie nie zdradzisz.

- Ręczę za to słowem honoru - odparłem. - Jeśli to nie Wystarczy, skończmy tę rozmowę.

- Proszę się nie złościć na mnie. Po raz pierwszy od wielu lat wyszłam poza mury klasztoru i nie posiadam się ze smutku. Potrzebuję bardzo silnej trucizny. Dobrze za nią zapłacę.

- Nie udzielał pomocy mordercom - powiedziałem. - Po co ci, pani, taka trucizna?

- Och, muszę ci o tym powiedzieć... ale czy mogę? Dziś w nocy w naszym klasztorze umrze młoda i piękna kobieta, właściwie jeszcze dziewczyna, która złamała śluby. Umrze razem ze swym dzieckiem... O Boże! Zamurują ją żywcem w podziemiach klasztoru, który zhańbiła swym uczynkiem. Taki zapadł wyrok - nielitościwy i nieodwołalny! Jestem przełożoną tego klasztoru - nie pytaj, panie, co to za klasztor ani jakie jest moje imię - i kocham tę grzesznicę, jakby była moją córką. Przez wzgląd na wierną służbę Bogu, a także dzięki pewnym kontaktom, udało mi się uzyskać tyle, że zanim zupełnie zamurują otwór, mogę podać jej i dziecku kubek z wodą, w której rozpuszczona zostanie trucizna, tak by ich koniec był szybki. Nie obciążę swojej duszy grzechem, bowiem uzyskałam już z góry rozgrzeszenie za ten uczynek. Pomóż zatem, senior, niewinnej morderczynie i wybaw tę grzesznicę od ostatnich mąk na ziemi.

Nie potrafię opisać uczucia, z jakim słuchałem tej przerażającej opowieści, bo nie nadają się do tego żadne słowa. Zastanawiałem się, co odpowiedzieć, kiedy okropna myśl przyszła mi do głowy.

- Czy ta kobieta nazywa się Izabella de Siguenza? - spytałem.

- Takie nazwisko nosiła, zanim poświęciła się Bogu - odparła zakonnica - choć nie mam pojęcia, skąd je znasz, senior.

- W tym domu wiemy wiele rzeczy, matko. Powiedz, proszę, czy pieniądze mogą ocalić jej życie?

- To niemożliwe. Wyrok został zatwierdzony przez Trybunał Miłosierdzia. Musi umrzeć, i to za dwie godziny. Czy nie dasz mi, senior, tej trucizny?

- Nie mogę jej dać, dopóki nie będę wiedział, w jakim celu ma zostać użyta. Proszę mi wybaczyć, ale twoja opowieść, matko przełożona, może być zmyślona, a trucizna może zostać użyta w taki sposób, że znajdę się w konflikcie z prawem. Mogę dać ją tylko pod jednym warunkiem - że ościeście będą mogli zobaczyć, jak zostanie użyta.

Zastanawiała się chwilę, po czym powiedziała:

- To się da zrobić, bo moje rozgrzeszenie przewiduje taką możliwość.

Musisz jednak wystąpić, senior, w przebraniu księdza, żeby wykonawcy wyroku nic o tym nie wiedzieli. Będą jednak wiedziały inne osoby, więc ostrzegam cię, że gdybyś o tym komuś powiedział, narazisz się na przykrości. Kościół mści się na tych, którzy zdradzają jego sekrety.

- Pewnego dnia te sekrety zemszczą się na Kościele - powiedziałem gorzko. - Zaraz poszukam odpowiedniego środka - działającego szybko, ale nie gwałtownie, żeby oprawcy nie domyślili się, że ofiara wymknęła się im. O, tu jest coś, co nada się do tego - wyjąłem z kasetki fiolkę. - Zasłoń twarz, matko, i chodźmy z tą „misją miłosierdzia”.

Wyszliśmy z domu i szybko mijając zatłoczone ulice, dotarliśmy do starej części miasta, leżącej nad rzeką. Tam zakonnica odnalazła czekającą na nią łódź. Płynęliśmy milę, a może więcej, w górę rzeki. Potem łódź zatrzymała się w przystani pod wysokim murem. Wysiedliśmy i podeszliśmy do furtki. Moja przewodniczka zastukała w nią trzykrotnie. Niebawem uchyliło się okienko w górnej części drzwi i wyjrzała blada twarz, której właścicielka coś powiedziała. Przełożona odparła szeptem i po jeszcze jednej chwili znalazłem się w pomarańczowym, otoczonym murem, sadzie.

- Przyprowadziłam cię, senior, do naszego domu - powiedziała przeorysza. - Jeśli wiesz, gdzie jesteśmy i jak nazywa się ten klasztor, to dla twojego własnego dobra proszę cię, żebyś o tym jak najszybciej zapomniał.

Nic nie odpowiedziałem, tylko rozejrzałem się po zasnutym mgłą ogrodzie.

To na pewno w tym miejscu de Garcia spotkał się z nieszczęśnicą, która miała teraz umrzeć. Przeszedłszy około stu kroków, stanęliśmy przed drzwiami niskiego, długiego budynku zbudowanego w mauretańskim stylu. Tu powtórzyło się to samo, co przed furtką, z tym że rozmowa przełożonej z furtianką trwała dłużej. Potem drzwi otworzyły się i znalazłem się w długim, wąskim i skąpo oświetlonym korytarzu. W głębi widziałem prześlizgujące się postaci zakonnice. Szliśmy korytarzem, aż dotarliśmy do drzwi z prawej strony, które otworzyła przełożona. Wprowadzono mnie do ciemnej celi i pozostawiono samego. Czekałem tam dobre dziesięć minut. W końcu drzwi otworzyły się ponownie i weszła przełożona w towarzystwie wysokiego zakonnika. Nie mogłem dostrzec jego twarzy, gdyż ubrany był w biały dominikański habit z kapturem, spod którego widać było tylko oczy.

- Witam cię, synu - powiedział, przyjrzawszy mi się. - Przeorysza powiedziała mi o twojej misji. Jesteś za młody na takie zadanie.

- Gdybym był starszy, ojcze, to nie podjąłbym się tego z większą chęcią. Znasz tę sprawę. Poproszono mnie o przygotowanie śmiertelnej trucizny, która ma ulżyć cierpieniom pewnej osoby. Przygotowałem ją, ale muszę być obecny przy jej podawaniu, aby mieć pewność, że zostanie użyta zgodnie z przeznaczeniem.

- Jesteś bardzo ostrożny, synu. Kościół nie jest mordercą. Ta kobieta musi umrzeć, ponieważ jej grzech jest oczywisty, a ostatnio takie występki stały się pospolite. Dlatego po długich przemyśleniach i modlitwach, a także próbach znalezienia jakiegoś środka łaski, została skazana na śmierć przez ludzi znajdujących się zbyt wysoko, abym mógł wymienić ich nazwiska. Ja, niestety, jestem tu po to, aby dopilnować wykonania wyroku, który został nieco, w drodze łaski, złagodzony przez głównego sędziego. Wygląda na to, że twoja obecność jest konieczna dla dokonania tego aktu łaski, dlatego, choć niechętnie, zgadzam się na to. Matka przełożona ostrzegła cię, że tych, którzy zdradzają tajemnice Kościoła, ściga nieszczęście. Dla twego własnego dobra proszę, abyś wziął to ostrzeżenie do serca.

- Nie jestem papłą, ojcze, więc to ostrzeżenie jest zbyt uczciwe. Jeszcze jedno. Za tę wizytę będziecie musieli dobrze zapłacić, bo lek jest kosztowny.

- Nie obawiaj się, medyku - odparł mnich z nutą drwiny w głosie. - Wymień sumę, zostanie ci wypłacona.

- Nie chodzi mi o pieniądze, ojcze. Prawdę mówiąc, sam zapłaciłbym wiele, żeby nie być tu obecnym dzisiejszej nocy. Proszę tylko to, żeby wolno mi było porozmawiać z tą dziewczyną, zanim umrze.

- Co?! - zachnął się. - Chyba nie jesteś tym niegodziwcem, który ją do tego doprowadził? Jeśli tak, to nie brak ci odwagi, bo ryzykujesz, że spotka cię taki sam los jak ją.

- Nie, ojcze, nie jestem tym człowiekiem. Tylko raz widziałem Izabelę de Siguenza i nigdy z nią nie rozmawiałem. Nie jestem człowiekiem, który ją usidlił, ale znam go. Nazywa się Juan de Garcia.

- Ach tak! - odparł szybko. - Za nic nie chciała zdradzić jego nazwiska, nawet pod groźbą tortur. Biedna, zbłąkana dusza, żeby pozostać tak wierną w swej niewierności! O czym chciałbyś z nią mówić?

- Chcę ją spytać, dokąd udał się ten człowiek. To mój wróg i będę go

ścigał, tak jak dotąd ściగాłem. Wyrządził mnie i mojej rodzinie, nawet większą krzywdę niż tej biednej dziewczynie. Zgódź się na moją prośbę, ojcze, żebym mógł pomścić swoją krzywdę, a z nią również krzywdę Kościółu.

- „Zemsta należy do mnie” - powiada Pan - „ja zapłacę”. Być może jednak, synu, Bóg wybierze ciebie jako instrument swego gniewu. Będziesz mógł z nią porozmawiać. A teraz załóż to - podał mi biały, dominikański płaszcz z kapturem - i chodź za mną.

- Najpierw - rzekłem - pozwól mi przekazać tę truciznę matce przełożonej, bo mogłaby mi zdrzeć ręką przy jej nalewaniu. Weź, matko, tę fiolkę i kiedy nadejdzie czas, wlej jej zawartość do kubka z wodą. Potem zwilż tą wodą usta i język niemowlęcia, a resztę daj jego matce do wypicia. Zanim zamurują wnękę, zasną oboje, by nie obudzić się już nigdy.

- Zrobię to - wyszeptwała przeorysza. - Mam rozgrzeszenie, więc nie zabraknie mi odwagi. Zrobię to przez wzgląd na miłość i miłosierdzie!

- Masz zbyt miękkie serce, siostrze. Miłosierdziem jest sprawiedliwość - powiedział mnich. - Niestety, słabe ciało wojuje z duszą.

Potem przebrałem się, a oni wzięli lampy i gestami nakazali iść za sobą.

Rozdział IX

Śmierć Izabelli De Siguenza

Szliśmy w milczeniu długim korytarzem. Przez kraty w drzwiach cel widziałem obserwujące nas oczy ich mieszkanek.

Na końcu korytarza znajdowały się prowadzące w dół schody. Zeszliśmy po nich. U ich stóp były okute żelaznymi sztabami drzwi. Mnich otworzył je i ponownie zamknął, kiedy przez nie przeszliśmy. Potem był jeszcze jeden korytarz i jeszcze jedne drzwi i na koniec znaleźliśmy się w przybytku śmierci.

Była to niska i wilgotna krypta. Jej zewnętrzne ściany obmywały wody rzeki, gdyż w panującej w krypcie ciszy słyszałem szmer fal. Miejsce to mogło mieć dziesięć stóp długości a osiem szerokości. Sklepienie podtrzymywały masywne kolumny, a z boku znajdowały się jeszcze jedne drzwi, prowadzące do celi więziennej. W drugim końcu tego ponurego pomieszczenia, w mdłym świetle pochodni i lamp, dwóch mężczyzn w prostych czarnych szatach z kapturami zakrywającymi głowy, mieszało w milczeniu zaprawę, z której w nieruchomym powietrzu unosiła się para.

Z boków leżały stosy obrobionych kamieni, a przed nimi widniała nisza w kształcie trumny postawionej węższym końcem na sztorc. W niszy stało solidne krzesło z drzewa orzechowego. Zauważyłem, że w murze znajdowały się jeszcze dwie nisze o identycznym kształcie, zamurowane takimi samymi blokami białawego kamienia. Na odgradzającym je od krypty murze wyrte były głęboko daty. Wynikało z nich, że jedną z nisz zamurowano trzydzieści, a drugą ponad sto lat wcześniej.

Kiedy weszliśmy do krypty, znajdowało się w niej jedynie tych dwóch mężczyzn, ale niebawem zza drugich drzwi doszedł nas cichy uroczysty śpiew. Otworzyły się drzwi, mnisi murarze przestali mieszać zaprawę i śpiew stał się głośniejszy, tak że mogłem zrozumieć już refren. Była to łacińska pieśń za umierających. Potem przez otwarte drzwi wszedł chór, osiem zawoalowanych zakonnic, idących parami. Ustawily się po obu stronach krypty i śpiew ucichł. Za nimi szła, podtrzymywana przez dwie zakonnice, skazana, a procesję zamykał duchowny z krucyfiksem. Ubrany był on w czarne szaty, a jego chuda, fanatyczna twarz była odkryta. Wszystko to widziałem i zapamiętałem, ale w tamtej chwili wydawało mi się, że nie dostrzegam nic oprócz postaci ofiary. Poznałem ją, choć widziałem ją przedtem tylko raz, i do tego w świetle księżyca. Zmieniła się zresztą od tamtej pory, jej śliczna twarz była pełniejsza, a wielkie, umęczone oczy lśniły jak gwiazdy na białym tle, ożywionym tylko czerwienią ust. Mimo to była to ta sama twarz, którą widziałem osiem miesięcy temu zwróconą błagalnie do niewiernego kochanka. Jeśli chodzi o resztę, to ubrana była w trumienne szaty, a w ramionach trzymała śpiące niemowlę, które co jakiś czas przyciskała konwulsyjnie do piersi.

Na progu swego grobu Izabella de Siguenza zatrzymała się i rozejrzała błędnym wzrokiem, jakby szukając pomocy. Potem jej spojrzenie padło na niszę, kupę parującej zaprawy, stojących obok niej mężczyzn i ciałem jej wstrząsnął dreszcz. Byłaby upadła, gdyby podtrzymujące ją mniszki nie posadziły jej na krześle.

Wtedy zaczęła się okropna ceremonia. Stanął przed nią dominikanin, który mnie przyprowadził do krypty, przypomniał jej przestępstwo i wyrok skazujący ją na to, by „została sama z dzieckiem poczętym z grzechu i Bogiem, aby postąpił On z nią jak uzna za stosowne” *.

* Gdyby ktoś uważał, że takie okrucieństwo było niemożliwe, oświadczam, iż widziałem w muzeum w stolicy Meksyku z mumifikowane ciało młodej kobiety, które znaleziono zamurowane w ścianie budynku sakralnego. Przy nim znajduje się ciało dziecka. Choć powodu egzekucji można się tylko domyślać, to nie ma żadnych wątpliwości co do sposobu, w jaki poniosła śmierć, bo oprócz innych dowodów nadal wyraźne są ślady powrozów, którymi skrupowano ją, gdy jeszcze żyła (przyp. autora).

Ani na to, ani na następującą potem egzortę wydawała się nie zwracać żadnej uwagi. W końcu przerwał, westchnął i zwróciwszy się do mnie, powiedział:

- Pódejdź do tej grzesznicy, bracie, i porozmawiaj z nią, zanim będzie za późno.

Potem kazał wszystkim obecnym zebrać się w drugim końcu krypty, aby nie słyszeli naszej rozmowy. Posłuchali bez zdziwienia, myśląc na pewno, że jestem mnichem przysłanym, aby ją wypowiadał.

Zbliżyłem się więc do niej z bijącym sercem i nachyliwszy się szepnąłem do ucha:

- Izabello de Siguenza - na dźwięk swego nazwiska drgnęła. - Gdzie jest de Garcia, który uwiódł cię i porzucił?

- Skąd znasz jego prawdziwe nazwisko? - spytała. - Nie wydobyto by go ze mnie nawet torturami. Wiesz o tym.

- Nie jestem mnichem i nic nie wiem. Jestem człowiekiem, który bił się z de Garcia tej nocy, kiedy cię schwytano, i zabiłbym go, gdybyś mi nie przeszkodziła.

- Przynajmniej jego uratowałam. Teraz to jedyne pocieszenie dla mnie.

- Izabello de Siguenza - powiedziałem. - Jestem twoim przyjacielem, najlepszym, jakiego kiedykolwiek miałaś i, jak się niebawem przekonasz, ostatnim. Powiedz mi, gdzie jest ten człowiek, bo muszę z nim wyrównać rachunki.

- Jeśli jesteś moim przyjacielem, to nie męcz mnie już. Nie wiem, gdzie on jest. Wiele miesięcy temu odpłynął tam, gdzie raczej nie będziesz go chciał szukać, do Indii Zachodnich. Nigdy go tam nie odnajdziesz.

- Może jednak odnajdę. Gdyby tak się zdarzyło, to powiedz, czy chcesz, bym coś od ciebie przekazał.

- Nie... chociaż tak. Powiedz mu, jak umarliśmy - jego dziecko i ja, jego żona... Powiedz mu, że zrobiłam, co mogłam, aby ukryć jego nazwisko, gdyż nie chciałam, by spotkał go taki sam los jak nas...

- To wszystko?

- Tak... Nie, jeszcze coś. Powiedz, że umarłam, wybaczywszy mu.

- Mam mało czasu - rzekłem. - Obudź się i słuchaj! - Wydawało mi się, że powiedziawszy ostatnie słowa, zapadła w letarg. - Byłem asystentem Andresa de Fonseki. Nie posłuchałaś jego rady i doprowadziło cię to

do zguby. Dałem teraz przeoryszy pewien środek. Kiedy poda ci kubek z wodą, napój nią dobrze dziecko i resztę wypij do dna. Jeśli to zrobisz, umrzecie oboje spokojnie i bez cierpień. Rozumiesz?

- Tak... tak... - powiedziała urywającym głosem. - Niech cię Bóg błogosławi za ten dar. Teraz nie boję się już, bo od dawna pragnęłam śmierci... bałam się tylko sposobu, w jaki mam umrzeć.

- A więc żegnaj i niech Bóg ma cię w opiece, nieszczęśliwa kobieto.

- Żegnaj - odparła łagodnie - ale nie nazywaj mnie nieszczęśliwą, skoro mam umrzeć tak lekko i z tym, co kocham - tu spojrzała na śpiące niemowlę.

Wtedy odszedłem i stanąłem ze spuszczoną głową, nie mówiąc ani słowa. Ale dominikanin pokazał ruchem ręki, aby wszyscy stanęli tam, gdzie stali poprzednio i spytał:

- Zbłąkana siostrzo, czy chcesz coś powiedzieć, zanim zamilknie na zawsze?

- Tak - odparła dźwięcznym głosem, który nie zadrżał jej ani razu, bo teraz, gdy dowiedziała się, że śmierć jej będzie szybka i lekka, nabrała odwagi. - Tak, chcę powiedzieć, że odchodzę z czystym sercem, bo jeśli zgrzeszyłam, to przeciw zwyczajom, a nie przeciw Bogu. Istotnie, złamałam śluby, ale złożyłam je pod przymusem, nie były więc wiążące. Urodziłam się po to, by żyć w blasku dnia i kochać, ale wtrącono mnie do klasztoru, bym w ciemności umarła za życia. Jeśli zostałam oszukana i jak mi teraz mówią, moje małżeństwo jest z punktu widzenia prawa nieważne, to nic o tym nie wiedziałam. Dlatego jest ono dla mnie nadal wiążące i święte i nie plami mej duszy. A jeśli chodzi o was, to powiadam, że wasze zbrodnie zostaną kiedyś pomszczone. Ośmielacie się mówić dzieciom Boga: „Nie będziecie kochać!” i mordować je, ponieważ was nie słuchają. Dlatego wasze czyny zwrócą się przeciw wam!

W krypcie rozległ się szmer niedowierzania i trwogi, a dominikanin powiedział:

- Postradała rozum i bluźni w swym szaleństwie. Zapomnijcie o jej słowach. Bracie, rozgrzesz ją szybko, zanim doda coś do tych bluźnierstw.

Odziany w czerń mnich o palającym wzroku podszedł do niej, podsunął jej krucyfiks pod sam nos i zaczął coś mruzczyć. Podniosła się jednak z krzesła i odsunęła krzyż na bok.

- Nie chcę rozgrzeszenia od takich jak ty - powiedziała. - Wyznam swe grzechy Bogu, a nie temu, który zabija w imię Chrystusa.

Mnicha ogarnęła wściekłość.

- A więc idź bez rozgrzeszenia! Do piekła, ty... - tu sychnął wyzwiskami i uderzył ją w twarz krucyfiksem.

Dominikanin gniewnym głosem kazał mu umilknąć, ale Izabella de Si-guenza starła dłonią krew z ust i roześmiała się strasznym śmiechem.

- Teraz widzę, że jesteś także tchórzem - powiedziała. - Słuchaj, oto moja ostatnia modlitwa: „Obyś ty też zginął z rąk fanatyków, i to śmiercią straszniejszą niż moja!”

Posadzili ją siłą na krześle. Wtedy powiedziała:

- Mam suche gardło. Dajcie mi pić. I mojemu dziecku.

Zobaczyłem, że drzwiami, którymi wprowadzano ofiarę, wychodzi przeorysza. Wkrótce wróciła niosąc kubek z wodą i bochenek chleba i poznałem po jej minie, że domieszała do wody trucizny. O tym, co nastąpiło potem, niewiele mogę powiedzieć, gdyż poprosiłem dominikanina, aby otworzył drzwi, przez które weszliśmy do krypty, i przejęty odrazą, wyszedłem i zczekałem w pewnej odległości. Nie wiem, jak długo tam stałem. W końcu zobaczyłem stojącą przede mną z latarnią w ręku i gorzko płaczącą przeoryszę.

- Już po wszystkim - powiedziała. - Nie bój się, twój napój podziałał dobrze. I ona, i dziecko zasnęły spokojnie, zanim zdążono położyć pierwszy kamień. O nieszczęsna, zmarła bez żalu za grzechy i bez rozgrzeszenia! Biada jej duszy!

- Biada duszom wszystkich, którzy brali w tym udział - odparłem. - Teraz, matko, wyprowadź mnie stąd i obyśmy się już nigdy nie spotkali!

Zaprowadziła mnie z powrotem do celi, gdzie zdjąłem habit, a stamtąd do furtki w murze ogrodu i do nadal czekającej łodzi. Czuję się tak, jakbym obudził się z koszmarnego snu. Jednak ani tej nocy, ani następnej nie mogłem zasnąć. Kiedy tylko zamykałem powieki, pojawiał mi się przed oczami obraz tej pięknej kobiety, odzianej w trumienne szaty, jak stoi w niszy, przyciskając jedną ręką dziecko do piersi, a drugą wyciągając po kubek z napojem śmierci. Niewiele osób widziało takie sceny, gdyż Święte Oficjum i jego pomocnicy nie lubią mieć świadków swych poczynań i chyba nikt nie chciałby po raz drugi oglądać czegoś takiego.

Jeśli opisałem to niedokładnie, to nie dlatego że zawiodła mnie pamięć, ale dlatego że nawet teraz, po upływie siedemdziesięciu lat, z trudem mogę o tym opowiadać. Ale najbardziej niesamowite w tym niesamowitym zdarzeniu było to, że ta nieszczęsna kobieta nadal kochała łotra, który najpierw zwiódł ją fałszywym małżeństwem, a potem porzucił, pozostawiając takiemu straszному losowi. Czemu tak święty dar, jakim była jej wielka miłość, przepadł w udziale takiemu człowiekowi?

Jak tylko doszedłem trochę do siebie po tym wszystkim, co widziałem w owej krypcie, zacząłem się zastanawiać nad sytuacją, w jakiej się znalazłem. Przede wszystkim byłem teraz bogatym człowiekiem i gdybym zechciał wrócić do Norfolk, moja przyszłość przedstawiałaby się różowo. Ale złożona przysięga ciążyła mi niczym ołów. Przysięgłem pomścić matkę, wezwawszy niebiosa, by na mojej głowie spoczywało ich przekleństwo, dopóki nie dostanę de Garcii, a były niewielkie widoki, bym żyjąc w Anglii w spokoju i dobrobycie kiedykolwiek mógł tego dokonać. Poza tym teraz wiedziałem, gdzie jest, a przynajmniej w jakiej części świata mam go szukać. Nie było tam wielu białych, więc nie mógłby się kryć przede mną tak, jak w Hiszpanii. Dowiedziałem się tego od Izabelli de Siguenza i opowiedziałem tu w skrócie jej historię tylko dlatego, że dzięki niej wybrałem się w podróż na Hiszpanię. Oto, jak przypadkowe zdarzenia wpływają na losy ludzi! Gdyby te słowa nie wyszły z ust Izabelli, to niewątpliwie po pewnym czasie dałbym spokój bezowocnym poszukiwaniom i wrócił do ojczyzny. Ale usłyszawszy je, pomyślałem, na swoje nieszczęście, że powrót w takiej sytuacji byłby nikczemnym tchórzostwem. Poza tym, aczkolwiek może się to wydać dziwne, czułem się tak, jakbym musiał pomścić śmierć dwóch osób - mojej matki i Izabelli de Siguenza.

Koniec końców, będąc z natury uparty, postanowiłem postąpić wbrew własnym pragnieniom i radzie mego dobroczyńcy i ściagać de Garcie nawet na koniec Ziemi, aby spełnić przysięgę.

Najpierw jednak postarałem się sprawdzić, czy de Garcia rzeczywiście popłynął do Indii i mając pewien trop, dowiedziałem się, że dwa dni po walce, którą z nim stoczyłem, człowiek o wyglądzie odpowiadającym ryposisowi de Garcii, choć noszący inne nazwisko, wsiadł w Sewilli na statek płynący na Wyspy Kanaryjskie. Statek ten miał tam czekać na flotę odpływającą na Hiszpanię. Różne okoliczności wskazywały, że człowiekiem tym był de Garcia we własnej osobie i choć nie pomyślałem wcześniej o

tym, nie było w tym nic dziwnego, jako że Indie Zachodnie zarówno wtedy, jak i teraz, były miejscem ucieczki dla różnych łotrów, którzy nie czuli się bezpiecznie w Hiszpanii. Tam też zdecydowałem się udać za nim, pocieszając się myślą, że przynajmniej zobaczę nowe i niezwykle kraje, choć nawet nie przypuszczałem, jak niezwykle okażą się one dla mnie.

Pozostało mi tylko rozporządzić bogactwem, które spadło na mnie tak nagle. Kiedy zastanawiałem się, gdzie ulokować je bezpiecznie do mego powrotu, usłyszałem przypadkiem, że „Poszukiwaczka Przygód” z Yarmouth, ten sam statek, na którego pokładzie przybyłem przed rokiem do Hiszpanii, ponownie zawitała do Kadyksu i pomyślałem sobie, że najlepiej zrobię, jeśli złoto i inne kosztowności wyślę statkiem do Anglii i oddam tam pod zarząd powiernika. A zatem, wysławszy do kapitana „Poszukiwaczki Przygód” wiadomość, że mam dla niego cenny ładunek, zacząłem przygotowywać się do jak najszybszego opuszczenia Sewilli. W związku z tym sprzedałem odziedziczony po moim dobroczyńcy dom, wraz z wieloma sprzętami, znacznie poniżej jego wartości. Zatrzymałem dla siebie większość książek, zastawę, a także trochę innych przedmiotów, zapakowałem to wszystko w skrzynie i wysłałem rzeką do tych samych agentów w Kadyksie, do których dano mi w Yarmouth listy polecające.

Potem udałem się tam sam, zabierając ze sobą stanowiące większą część mej fortuny złoto. Tak oto, po ponad rocznym pobycie w Sewilli, opuściłem ją na zawsze. Pobyt ten był bardzo udany, gdyż przybyłem biedny, a wyjeżdżałem bogaty, nie mówiąc już o sporym doświadczeniu, które przez ten czas zdobyłem. Wyjeżdżałem jednak bez żalu, gdyż straciłem tam najlepszego przyjaciela i widziałem śmierć Izabelli de Siguenza, i tam też umknął mi de Garcia.

Do Kadyksu dotarłem bezpiecznie i bez strat. Wynająwszy łódź, udałem się zaraz na pokład „Poszukiwaczki Przygód”. Jej kapitan, Bell, bardzo ucieszył się ze spotkania. Największą przyjemność sprawił mi jednak wręczając trzy listy: od ojca, od siostry i od Lily. Był to jedyny list, jaki od niej dostałem. Treść listów nie była wszakże zbyt przyjemna, bo dowiedziałem się z nich, że ojciec ciężko choruje i prawie nie wstaje z łóżka. Okazało się później, że zmarł w kościele w Ditchingham akurat tego dnia,

kiedy czytałem jego list. Sam list był krótki i smutny. Ojciec pisał, że bardzo żałuje, iż pozwolił mi udać się w tę podróż, gdyż nie ujrzy mnie już więcej i może mnie tylko polecić opiece Boga i modlić się o mój szczęśliwy powrót. Jeśli chodzi o list od Lily, która - dowiedziawszy się, że „Poszukiwaczka Przygód” ma wypłynąć w rejs do Kadyksu - przekazała go w tajemnicy kapitanowi, to choć nie był krótki, był równie smutny. Donosiła mi bowiem ukochana, że jak tylko wyjechałem z domu, mój brat poprosił o jej rękę i obaj z jej ojcem nalegali na nią tak mocno, że życie stało się dla niej udręką. Geoffrey stale narzucał się jej ze swą obecnością, a ojciec bez przerwy nazywał ją upartą babą, która chce wzgardzić fortuną dla włóczęgi bez grosza przy duszy.

„Ale - pisała - bądź pewien, kochany, że jeśli nie wydadzą mnie, jak grożą, za mąż siłą, to nie złamię obietnicy. Gdyby jednak zmusili mnie do ślubu wbrew mej woli, to niedługo będę żoną, gdyż choć jestem zdrowa i silna, umrę ze wstydu i żalu! Mimo to mam nadzieję, że sprawy ułożą się pomyślnie, gdyż mój brat, Wilfred, ma się ku twojej siostrze i choć on też nie dalej niż dzisiaj usilnie namawiał mnie na małżeństwo z Geoffreyem, ona życzy nam obojgu dobrze i może postawić warunki, zanim przyjmie jego oświadczyzny.” List kończył się czułymi słowami i modłami o mój szczęśliwy powrót.

Mary pisała mniej więcej to samo. Donosiła, że na razie nie może nic dla mnie zrobić, gdyż Geoffrey jest zakochany w Lily po uszy, ojciec jest zbyt chory, aby coś przedsięwziąć w tej sprawie, a pan Bozard nalega na to małżeństwo ze względu na dobra, które ma odziedziczyć Geoffrey. Mimo to rzeczy mogą przybrać lepszy obrót, gdyż nadejdzie czas, że będzie mogła, i to skutecznie, wstawić się za mną.

Wszystkie te wiadomości bardzo mnie zafrasowały. Co więcej, obudziły tęsknotę za domem, która przerodziła się niemal w chorobę. Słowa Lily i perfumy, którymi pachniał list od niej, sprawiły, że poczułem nieprzeparowane pragnienie zobaczenia jej. Wiedziałem przy tym, że teraz zostałbym dobrze przyjęty, gdyż mój majątek był tak duży, że Geoffrey nie mógłby się ze mną nigdy równać, a rodzice panny młodej nie pokazują drzwi kandydatom do jej ręki, którzy mają w bagażu ponad dwadzieścia tysięcy sztuk złota. Chciałem też ujrzeć ojca, zanim będzie za późno. Nadal jednak między mną a moimi pragnieniami stał de Garcia, a złożona przysięga kładła się cieniem na wszystko, co robiłem. Tak długo rozmyślałem o zemście, że w końcu nabrałem przekonania, iż jeśli przerwę poszukiwania,

nigdy w życiu nie zaznam już spokoju. Aby być szczęśliwym, musiałem najpierw zabić de Garcię. Co więcej, uwierzyłem, że jeśli tego nie zrobię, przekleństwo faktycznie spadnie na mą głowę. Tymczasem jednak zrobiłem, co następuje. Poszedłem do notariusza i poprosiłem go o sporządzenie dokumentu, który potem przełożyłem na angielski. Dokumentem tym powierzałem do czasu powrotu zarząd całym swoim majątkiem, z wyjątkiem pięciuset peso, które zatrzymałem na własne potrzeby, trzem osobom: memu staremu mistrzowi, doktorowi Browne'owi z Bungay, który był wyjątkowo uczciwym człowiekiem, mej siostrze Mary Wingfield i Lily Bozard. Upoważniałem tam całą trójkę do swobodnego obracania moim kapitałem, z tym wszakże zastrzeżeniem, żeby nie mniej niż połowę przeznaczyli na kupno dóbr ziemskich, a całą resztę złożyli na odpowiedni procent w banku, przy czym zarówno ów procent, jak i dochody z dóbr miały być wypłacane rzeczonyj Lily Bozard, na jej własne potrzeby, tak długo, jak długo pozostanie panną. Na wszelki wypadek podpisałem ów akt na statku w obecności kapitana Bella i dwóch innych Anglików.

Jednocześnie sporządziłem testament, w którym przekazywałem większość mego majątku Lily Bozard, gdyby w momencie mej śmierci nie była mężatką, a pozostałą część siostrze. W przypadku zamążpójścia lub śmierci Lily całość miała odziedziczyć Mary i jej dzieci.

Podpisawszy i zapieczętowawszy oba dokumenty, oddałem je, razem ze wszystkimi moimi bogactwami i innymi rzeczami, pod opiekę kapitana Bella, polecając mu, by oddał wszystko doktorowi Browne'owi, który go za to sownie wynagrodzi. Przyrzekł to zrobić, ale najpierw błagał mnie, nie mał ze łzami w oczach, abym wracał z nim do kraju.

Razem ze złotem i oboma aktami wysłałem parę listów: do ojca, siostry, brata, doktora Browne'a, pana Bozarda i wreszcie do Lily. Opisałem w nich swoje losy od chwili przybycia do Hiszpanii, ponieważ dowiedziałem się, że żaden z moich wcześniejszych listów nie dotarł do Anglii, a także zwierzyłem się ze swego niezłomnego postanowienia ścigania de Garcii nawet na koniec świata.

„Inni - pisałem do Lily - mogą uważać mnie za szaleńca, skoro odwlekam w ten sposób, a może bezpowrotnie tracę, okazję osiągnięcia szczęścia, ale ty znasz moje uczucia i na pewno, choćbyś z powodu mej decyzji smuciła się bardzo, nie będziesz winić mnie za to. Wiesz, że niczego tak nie pragnę jak ciebie, ale wiesz też, że kiedy podejmę jakieś postanowienie, nic, chyba tylko śmierć, nie może mnie skłonić do wycofania się i że w

tej sprawie jestem związany przysięgą, której złamania nie darowałbym sobie nigdy. Gdybym teraz zaprzestał poszukiwań, nigdy, nawet przy twym boku, nie znalazłbym szczęścia. Najpierw obowiązek, a potem reszta, najpierw smutek, a potem radość. Nie bój się o mnie, mam przecucie, że powrócę, a jeśli nie wrócę, to przynajmniej jestem w stanie zabezpieczyć cię materialnie tak, żebyś nie musiała wychodzić za mąż wbrew swej woli. Dopóki de Garcia żyje, muszę go tropić”.

Do Geoffreya napisałem bardzo krótko, wyznając mu szczerze, co myślałem o jego zachowaniu w stosunku do bezbronnej dziewczyny i o próbach wyrządzenia krzywdy rodzonemu bratu. Słyszałem, że mój list bardzo mu się nie spodobał.

Listy i wszystko inne dotarły szczęśliwie do Yarmouth. Kapitan Bell dostarczył potem osobiście złoto i pozostałe rzeczy do Bungay, do domu doktora Browne'a. Byli tam mój brat i siostra, bo ojciec nie żył już od dwóch miesięcy, a także pan Bozard z synem i córką, gdyż kapitan Bell zawiadomił ich przez posłańca o swoim przybyciu. Kiedy dowiedzieli się o wszystkim, nie posiadali się ze zdziwienia. Ich zdumienie jeszcze wzrosło, gdy otworzono skrzynie i porównano wagę sztab z liczbą podaną w listach, gdyż za ludzkiej pamięci nikt w Bungay nie widział tyle złota naraz.

Lily rozplakała się, zarówno z radości, że los mi tak poszczęścił jak i ze smutku, że nie przybyłem sam z tymi skarbami, natomiast pan Bozard, zapoznawszy się z oboma podpisanymi aktami czyniącymi Lily, bez względu na to, czy będę żył, czy umrę, bogatą, zaklął głośno, powiedział, że zawsze wierzył we mnie, pocałował córkę i życzył jej szczęścia. Krótko mówiąc, zadowoleni byli wszyscy oprócz mego brata, który wyszedł bez słowa i niedługo zszedł na złą drogę. Był bowiem przekonany, że skoro odziedziczył po śmierci ojca posiadłość, to Lily zostanie jego żoną pod przymusem, jeśli nie zechce z własnej woli. Przecież nawet teraz ojciec może zmusić córkę, dopóki nie jest pełnoletnią, do małżeństwa, a Bozard na pewno by się przed tym nie cofnął, uważając, że „kobiecy mi fochami” nie ma się co przejmować. Ale taka jest potęga złota, że z miejsca przestał mówić o poślubieniu przez nią kogoś innego niż mnie, a nawet - gdyby się jej odmieniło - powstrzymywałyby ją przed tym, zdając sobie sprawę, że straciłaby wtedy bogactwo, którym ją obdarowałem. Wszyscy jednak twierdzili, że muszę być szalony, skoro nie porzuciłem zamiaru ścigania swego wroga. Pocięchą dla pana Bozarda był fakt, że bez względu na to,

czy będę żył, czy zginę, pieniądze zostaną przy jego córce. Tylko Lily ujęła się za mną, mówiąc: „Tomasz złożył przysięgę i dobrze, że chce jej dotrzymać, bo chodzi o jego honor. Będę na niego czekała”.

Ale o tym wszystkim dowiedziałem się dopiero po wielu latach.

Rozdział X

ZATONIĘCIE KARAKI*

* Karaka - duży statek żaglowy, trzy- lub czteromasztowy, z ozaglowaniem łańskim, budowany w XV-XVI w., głównie w Portugalii (przyp. tłum.).

Dzień po przekazaniu listów kapitanowi Bellowi przyglądałem się, jak „Poszukiwaczka Przygód” opływa wolno falochron portu w Kadyksie i było mi tak ciężko na sercu, że nie wstydę się przyznać, iż płakałem. Oddałbym chętnie cały swój majątek, żeby być na jej pokładzie, ale decyzja moja była nieodwołalna.

Tak się złożyło, że hiszpańska karaka o nazwie „Las Cinque Llagas”, czyli „Pięć Ran”, miała odpłynąć na Hiszpanię, więc uzyskawszy licencję na prowadzenie handlu, wykupiłem na niej miejsce pod swym przybranym nazwiskiem d'Aila. Jak przystało na kupca, za którego się podawałem, kupiłem za dwieście pięćdziesiąt peso towarów, które - według uzyskanych informacji - najlepiej się sprzedawały w Indiach Zachodnich. Statek pełen był hiszpańskich poszukiwaczy przygód, przeważnie tęgich łotrów o podejrzanym przeszłości, ale zupełnie niezłych kompanów, jeśli zanadto nie wypili. W owym czasie mówiłem już tak biegle po kastyljsku, że wyglądając zupełnie jak Hiszpan z krwi i kości, mogłem bez trudu podawać się za syna tej ziemi. Opowiadałem wymyśloną historyjkę o swojej rodzinie i o przyczynach, które skłoniły mnie do wyprawy za morze. Jeśli chodzi o resztę, to jak zwykle nie byłem zbyt rozmowny, ale mimo tego i mimo faktu, że nie brałem udziału w ich pijaństwach, moi towarzysze dość szybko polubili mnie, głównie z powodu biegłości, z jaką leczyłem ich choroby.

Podróż ta, z wyjątkiem jej smutnego końca, niewarta jest opisu. Staliśmy miesiąc na Wyspach Kanaryjskich, a potem pożeglowaliśmy w stronę Hiszpanii, mając cały czas dobrą pogodę, ale słaby wiatr. Kiedy byliśmy już, według szacunku kapitana, o tydzień drogi od portu San Domingo, który był celem naszej podróży, pogoda zmieniła się i złapał nas sztorm,

który z każdą godziną przybierał na sile. Przez trzy dni i nocę nasz ciężki statek zmagał się z wiatrem, który gnał nas w niewiadomym kierunku, aż w końcu stało się jasne, że jeśli pogoda się nie poprawi, wkrótce zatoniemy. Woda ciekła wszystkimi spoinami, jeden z masztów porwało morze, a drugi był złamany na wysokości około dwudziestu stóp. Ale wszystko to było niczym w porównaniu z tym, co nas czekało, bowiem czwartego dnia wielka fala wyrwała ster i zaczęliśmy bezradnie dryfować wśród spienionych wód. Godzinę później następna fala zmyła z pokładu kapitana i tak zalała statek, że zaczęliśmy tonąć.

Wtedy rozegrała się przerażająca scena. Od kilku dni zarówno załoga, jak i pasażerowie mocno pili, chcąc w ten sposób zapomnieć o strachu. Teraz, kiedy zobaczyli zbliżający się koniec, biegali bezładnie po pokładzie, wrzeszcząc, modląc się i bluźniąc na przemian. Ci z nas, którzy pozostali trzeźwi, zaczęli spuszczać dwie łodzie, do których ja i jeszcze jeden pasażer, pocziwy ksiądz, usiłowaliśmy wsadzić kobiety i dzieci, których trochę znajdowało się na statku. Nie było to łatwe, gdyż pijani marynarze odpychali je i próbowali skakać do łodzi. Wskutek tej szamotaniny jedna z łodzi wywróciła się i wszyscy, którzy na niej byli, potopili się. Akurat wtedy karaka przechyliła się i widząc, że już po wszystkim, krzyknąłem do księdza, żeby zrobił to, co ja, i wskoczywszy do wody, zacząłem płynąć do drugiej łodzi, która wypełniona wrzeszczącymi kobietami - zaczęła dryfować w tym zamieszaniu. Ponieważ byłem dobrym pływakiem, udało mi się do niej dotrzeć i wciągnąć księdza. Tymczasem statek odwrócił się do góry dnem, ale unosił się tak jeszcze minutę, a może dłużej, dzięki czemu mieliśmy czas chwycić za wiosła i odpłynąć od niego kilkanaście jardów. Zaledwie to zrobiliśmy, kiedy z pokładu dobiegło jedno wielkie wycie tych, którzy tam zostali, i statek zniknął pod wodą, o mały włos nie pociągając nas za sobą. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, gdyż obezwładniła nas groza, ale kiedy przestała się gotować woda w wirze wytworzonym przez zatopiony statek, podpłynęliśmy z powrotem w to miejsce. Cała powierzchnia wody była zasłana szczątkami sprzętów okrętowych, ale znaleźliśmy tylko jednego żywego rozbitek dziecko, które uratowało się, uchwyciwszy się pływającego wiosła. Reszta, około dwustu osób, zatoniła ze statkiem, a w każdym razie jeśli ktoś się jeszcze uratował, to nie odnaleźliśmy go we wzburzonym morzu i zapadającym zmierzchu.

Zresztą, prawdę mówiąc, było lepiej dla nas, że nikogo nie odnaleźliśmy,

bo w naszej małej łodzi znajdowało się dziesięć osób, a więcej nie mogłaby pomieścić. W tej liczbie było tylko dwóch mężczyzn - ja i ksiądz. Jak powiedziałem, zapadał zmrok, a jednocześnie, na nasze szczęście, uspokajało się morze. W przeciwnym wypadku my też byśmy zatonęli. Wszystko, co mogliśmy zrobić, to trzymać łódź skierowaną dziobem w poprzek fal. Robiliśmy to całą noc. Ksiądz, nie odrywając się od wiosła, spowiadał kobiety jedną po drugiej, a gdy wszystkie otrzymały rozgrzeszenie, zaczął zanosić modły do Boga o ocalenie naszych dusz, bo w ocalenie ciał już zwątpiliśmy. Łatwo sobie wyobrazić, co czułem, ale nie będę tego opisywał, bo choć moje położenie było ciężkie, czekały mnie jeszcze cięższe chwile.

W końcu noc minęła i wzeszło słońce. Początkowo powitaliśmy je z radością, gdyż byliśmy przemoczeni i przemarznięci do szpiku kości, ale wkrótce upał stał się nie do zniesienia, gdyż nie mieliśmy ani jedzenia, ani wody i zaczęło nam dokuczać pragnienie. Tymczasem wiatr uspokoił się i przeszedł w łagodną bryzę. Za pomocą wiosła i koca sporządziliśmy coś w rodzaju żagla i płynęliśmy z dość dobrą szybkością. Niestety, ocean był zupełnie pusty i nie wiedzieliśmy dokąd płyniemy, a pragnienie męczyło nas coraz bardziej. Około południa zmarło nagle jedno dziecko. Wrzuciliśmy je do wody. Parę godzin później jego matka zaczerpnęła miską słonej wody i wypila ją do dna. Wydawało się, że ugasiła tym pragnienie, ale potem nagle dostała szau, wyskoczyła za burtę i utonęła. Zanim słońce, wyglądające jak rozżarzona do czerwoności kula, schowało się za horyzontem, ksiądz i ja pozostaliśmy jedynymi osobami, które mogły siedzieć. Reszta leżała, jedno na drugim, na dnie łodzi, jak zdychające ryby i głośno jęczała. W końcu zapadła noc i ulżyła trochę naszym cierpieniom, bo zrobiło się chłodniej. Ale deszcz, o który się modliliśmy, nie spadł, a kiedy ponownie na bezchmurnym niebie pokazało się słońce, zrozumieliśmy, że jeśli nikt nas nie uratuje, widzimy je po raz ostatni.

Godzinę po wzejściu słońca zmarło następne dziecko i kiedy wrzucaliśmy je do wody, podniosłem głowę i zobaczyłem w oddali statek, który zdawał się płynąć takim kursem, że powinien nas minąć w odległości dwóch mil. Składając Bogu dzięki za ten błogosławiony widok, wzięliśmy się do wiosła, jako że wiatr był już tak słaby, iż z naszego niezgrabnego żagla nie mieliśmy żadnego pożytku, i zaczęliśmy kierować łódź tak, aby przeciąć drogę statku. Po jakiejś godzinie wiatr zupełnie ustał i statek zatrzymał się w odległości około trzech mil. Wiosłowaliśmy obaj z księdzem

tak zawzięcie, że myślałem, iż umrę w łodzi, tym bardziej że słońce paliło jak ogień. Usta mieliśmy popękane z pragnienia. Mimo to nie ustawaliśmy, dopóki nie padł na nas cień masztów statku. Zobaczyliśmy, że przyglądają się nam z pokładu. Wkrótce znaleźliśmy się przy burcie i spuszczone nam drabinę sznurową.

Nie wiem, jak weszliśmy na pokład, ale pamiętam, że padłem w cieniu żagla i piłem kubek za kubkiem wodę, którą mi przyniesiono. W końcu ugasiłem pragnienie, ale zrobiło mi się tak słabo, że nie miałem ochoty na mięso, które mi podano. Prawdę mówiąc, myślę, że zemdlałem, bo kiedy doszedłem do siebie, słońce znajdowało się prosto nad moją głową i wydawało mi się, że słyszałem we śnie znajomy i nienawistny głos. Byłem sam, gdyż cała załoga zebrała się na przednim pokładzie wokół czegoś, co wyglądało na ciało mężczyzny. Koło mnie stał duży półmisek z jedzeniem i butelka alkoholu. Czując się lepiej, posiłem się solidnie. Zaledwie skończyłem jeść, kiedy marynarze zebrani na przednim pokładzie podnieśli ciało, teraz dopiero zobaczyłem, że było czarne, i wyrzucili za burtę. Po tem trzech z nich, sądząc z wyglądu byli to oficerowie, podeszło do mnie, więc się podniosłem.

- Senior - powiedział najwyższy z nich miłym i łagodnym głosem - proszę przyjąć nasze gratulacje z okazji cudownego... - tu nagle przerwał.

„Czy nadal śnię, czy też znam ten głos?” pomyślałem. Wtedy dopiero ujrzałem jego twarz - był to Juan de Garcia! Wiedziałem jednak, że on też mnie poznał.

- Caramba! - zaklął. - Kogóż my tu mamy? Senior Tomaszu Wingfield, witam cię. Spójrzcie - zwrócił się do swych towarzyszy - na tego młodzieńca, którego przyniosło nam morze. To nie Hiszpan, lecz angielski szpieg. Ostatni raz spotkałem go na ulicy w Sewilli i chciał mnie tam zamordować, gdyż zagroziłem, że wyjawię władzom jego profesję. A teraz przyniosło go tutaj. Po co - sam wie najlepiej.

- To kłamstwo - powiedziałem. - Nie jestem szpiegiem, a wyruszyłem na morze tylko w jednym celu - aby cię znaleźć.

- No więc udało ci się, może aż za bardzo. Powiedz, zaprzeczasz temu, że nazywałeś się Tomasz Wingfield i jesteś Anglikiem?

- Nie zaprzeczam. Ale...

- Chwileczkę. Jak wobec tego wytłumaczysz, że - o czym dowiedzieliśmy się od twego towarzysza, księdza - płynąłeś na „Las Cinque Llagas” pod nazwiskiem d'Aila?

- Miałem ku temu powody, Juanie de Garcia.

- Mylisz się, senior. Nazywam się Sarceda, co mogą poświadczyć obecni tu panowie. Kiedyś znałem kawalera nazwiskiem de Garcia, ale on już nie żyje.

- Łżesz! - powiedziałem, na co jeden z jego towarzyszy uderzył mnie w twarz.

- Spokojnie, przyjacielu - rzekł de Garcia. - Nie brudź sobie ręki, bijąc takiego szczura, a jeśli musisz uderzyć, to użyj kija. Słyszeliście, że przyznaje się, iż płynął pod fałszywym nazwiskiem i że jest Anglikiem, a więc należy do wrogiego nam narodu. Mogę do tego dodać tylko tyle, że według tego, co wiem, jest szpiegiem i niedoszłym mordercą. Ręczę za to słowem honoru. Panowie, na mocy rozporządzenia króla, my tu jesteśmy sędziami, ale ponieważ możecie sobie pomyśleć, że nazwany otwarcie łgarzem przez tego angielskiego psa, mogę się z nim obejść niesprawiedliwie, wolę zostawić tę sprawę wam.

Chciałem się odezwać, ale ten, który mnie uderzył, facet o wyglądzie okrutnika, wyciągnął miecz i przysiągł, że mnie nim przebije, jeśli ośmielę się jeszcze raz otworzyć usta. Wolałem więc milczeć.

- Ten Anglik ładnie wyglądałby na rei - powiedział.

De Garcia, który zaczął obojętnie nucić coś pod nosem, uśmiechnął się, spojrzawszy najpierw na reję, potem na moją szyję. Jego oczy pałały nienawiścią.

- Mam lepszy pomysł - powiedział trzeci oficer. - Jeśli go powiesimy, to może to wzbudzić czyjeś podejrzenia, a poza tym zmarnowalibyśmy okazję, żeby zarobić. Jest dobrze zbudowany i przetrzyma parę lat w kopalni. Sprzedajmy go z resztą ładunku. Mogę go też od was odkupić. Potrzeba mi paru takich na mojej posiadłości.

Na te słowa twarz de Garcii wydłużyła się, bo chciał się mnie pozbyć na zawsze. Uważał jednak widocznie, że po tym, co powiedział, lepiej zrobi, jeśli nie będzie się wtrącał, gdyż rzekł udając, że ziewa:

- Jeśli o mnie chodzi, to możesz go sobie wziąć, i to za darmo. Ale ostrzegam cię, żebyś miał na niego oko, bo inaczej znajdą cię ze sztyltem w plecach.

Tamten roześmiał się i odparł:

- Nasz przyjaciel raczej nie będzie miał okazji spotkać się ze mną, bo ja nie schodzę kilkaset metrów pod ziemię, gdzie będzie jego kwatery.

No, Angliku, czeka na ciebie miejsce na dole - powiedział do mnie i zawołał marynarza, każąc mu przynieść łańcuchy tego, który zmarł.

Potem przeszukano mnie, odbierając mi małą sumkę w złocie - wszystko, co pozostało z mojego majątku, założono łańcuchy na nogi i na szyję i zawleczono pod pokład. Jeszcze zanim się tam znalazłem, zorientowałem się, jaki ładunek wiezie statek. Jego ładownie były wypełnione niewolnikami, których zamierzano sprzedać na Hispanioli. Teraz zostałem jednym z nich.

Nie wiem, jak opisać przerażające warunki, które panowały w ładowni. Była ona bardzo niska, nie miała więcej niż siedem stóp wysokości, i niewolnicy w kajdanach, przykuci do pierścieni umocowanych w boku statku, leżeli na dnie, w cuchnących ściekach. Byli gęsto stłoczeni, gdyż handlarze chcieli przewieźć ich jak najwięcej. Ogółem mogło tam być około dwustu mężczyzn, kobiet i dzieci, a raczej było tyle, kiedy statek wyruszał w drogę. Do chwili kiedy mnie tam wrzucono, zmarło około dwudziestu osób, co było małą liczbą, gdyż Hiszpanie przeznaczają na straty od jednej trzeciej do połowy ładunku w tym potwornym handlu. Kiedy to wszystko zobaczyłem, zrobiło mi się na powrót słabo, tym bardziej że panował tam nieopisany smród i zaduch. Ale marynarze pociągnęli mnie i po chwili znalazłem się w jednym rzędzie z czarnymi mężczyznami i kobietami. Stałem przykuty do pierścienia, z nogami w nieczystościach. Potem Hiszpanie wyszli, mówiąc, że to i tak za dobre miejsce dla Anglika. Po pewnym czasie opanowało mnie znużenie i zasnąłem. Musiałem spać przez całą dobę.

Kiedy się obudziłem, zobaczyłem Hiszpana, któremu mnie podarowano czy sprzedano, stojącego obok z latarnią w ręku i dyrygującego ludźmi zdejmującymi kajdany z kobiety przykutej tuż przy mnie. Była martwa. W świetle latarni dostrzegłem, że zabiła ją jakaś straszna choroba, z którą dotąd się nie zetknąłem, a którą - jak później się dowiedziałem - nazywano czarną gorączką. Nie była to zresztą jedyna ofiara tej choroby, gdyż naliczyłem jeszcze dwadzieścia trupów, a widziałem, że są i inni chorzy. Hiszpanie przestraszyli się jej nie na żarty, gdyż oczyścili ładownię i zapewnili dopływ świeżego powietrza, usuwając kilka desek z pokładu nad nami. Gdyby tego nie zrobili, to myślę, że zmarlibyśmy wszyscy, a fakt, że mnie samemu udało się uniknąć tej choroby, przypisuję temu, iż największy z otworów znalazł się nad moją głową, tak że wyprostowawszy się na

tyłe, na ile pozwalały łańcuchy, mogłem oddychać prawie czystym powietrzem.

Rozdzieliwszy między nas wodę i placki jęczmienne, Hiszpanie odeszli. Wypiłem chciwie wodę, ale placków nie tknąłem, ponieważ były spleśniałe. Tego, co się wokół mnie działo, nie próbuję nawet opisywać, tak było to okropne. Niektórzy chorzy wyli, inni jęczeli, a jeszcze inni byli cicho. I cały czas piekliśmy się w potwornym upale, który przenikał przez deski pokładu. Z braku ruchu wywnioskowałem, że jest cisza i dryfujemy. Wstałem i oparłszy stopy o wręgę a plecy o ścianę, przyjąłem pozycję, z której mogłem widzieć nogi ludzi przechodzących po pokładzie.

W pewnym momencie dostrzegłem brzeg sutanny i domyśliwszy się, że musi to być ksiądz, z którym uciekłem z tonącego statku, starałem się zwrócić na siebie jego uwagę. W końcu udało mi się to. Jak tylko zorientował się, kto jest pod pokładem, położył się, udając, że odpoczywa i zaczęliśmy rozmawiać. Potwierdził, że z powodu braku wiatru statek stoi i powiedział, że straszna choroba powaliła jedną trzecią marynarzy. Dodał, że to kara boska za okrucieństwo i niegodziwość. Rzekłem na to, że w takim razie kara ta dosięgła nie tylko winnych, ale i ich ofiary i spytałem, gdzie jest Sarceda. Odparł, że rankiem poczuł się chory. Ucieszyła mnie ta wiadomość, gdyż łatwo zgadnąć, że nienawidziłem go teraz jeszcze bardziej niż przedtem. Potem ksiądz odszedł, ale wkrótce powrócił z wodą zmieszaną z sokiem cytrynowym, która smakowała mi niczym napój bogów, mięsem i owocami. Podał mi je przez dziurę. Chwyliłem je skutymi dłońmi i dosłownie pożarłem. Wtedy, ku mojemu wielkiemu zmartwieniu, odszedł. Dlaczego to zrobił, dowiedziałem się następnego ranka.

Nie wiem, jak minął ten dzień i noc. Kiedy Hiszpanie przyszli ponownie do ładowni, musieli usunąć czterdzieści ciał. Po ich wyjściu podniosłem się i zacząłem wyglądać mego przyjaciela, ale nie przyszedł.

Rozdział XI

NA ŁĄDZIE

Stałem tak przez dobrą godzinę, wysuwając szyję jak żuraw. W końcu, kiedy miałem już osunąć się z powrotem, ponieważ nie mogłem wytrzymać zbyt długo w tak niewygodnej pozycji, zobaczyłem przesuającą się

obok suknię i od razu poznałem, że należy do jednej z kobiet, które były ze mną w łodzi.

- Seniora - rzekłem szeptem - na miłość boską, wysłuchaj mnie. To ja, d'Aila. Wrzucono mnie skutego tu, między niewolników.

Przestraszyła się najpierw, ale potem, podobnie jak ksiądz, usiadła na pokładzie. Opowiedziałem jej o swym okropnym położeniu, nie domyślając się, że wie już o tym, i o warunkach panujących na dole.

- Niestety, senior - odparła - tu, na górze, jest niewiele lepiej. Wśród załogi szaleje zaraza, zmarło już sześciu ludzi, a wielu innych bredzi i jest bliskich końca. Żałuję, że nie pochłonęło nas morze, bo ocaleliśmy chyba tylko po to, żeby dostać się do piekła. Moja matka zmarła, a braciszek jest umierający.

- A co z księdzem? - spytałem.

- Umarł dziś rano. Przed chwilą wyrzucono go za burtę. Zanim umarł, powiedział mi o tobie, senior, i prosił, abym ci w miarę swych możliwości pomogła. Ale mówił beładnie i myślałam, że majaczy. W jaki sposób mogę ci pomóc?

- Może mogłabyś znaleźć dla mnie coś do picia i do jedzenia, seniora - odparłem. - Jeśli chodzi o naszego przyjaciela, niech Bóg da mu wieczne odpoczywanie. A co z kapitanem Sarcedą? Czy on też umarł?

- Nie, senior, jemu jedynemu spośród zarażonych udało się wyzdrowieć. Muszę teraz iść do braciszka, ale najpierw poszukam dla ciebie jedzenia.

Wkrótce wróciła z mięsem i butelką wina ukrytą w fałdach sukni. Jedząc, błogosławiłem ją.

Żywiła mnie tak przez dwa dni, przynosząc mi wieczorem jedzenie. Drugiego wieczoru powiedziała mi, że zmarł jej brat i że z całej załogi nie choruje tylko piętnastu marynarzy i jeden oficer, a także że sama czuje się źle. Powiedziała też, że woda jest już na ukończeniu i zostało niewiele jedzenia dla niewolników. Więcej się już nie pokazała, więc przypuszczam, że też zmarła.

Nie minęło dwanaście godzin od ostatniej rozmowy z nią, kiedy opuściłem ten przeklęty statek. Przez cały dzień nikt nie przyszedł do ładowni, aby nakarmić niewolników. Zresztą większość nie potrzebowała pokarmu, gdyż nie żyła. Niektórzy jednak trzymali się jeszcze, choć o ile mogłem się zorientować, wielu z nich dosięgła już zaraza. Mnie udało się jej uniknąć, być może dlatego, że miałem silny organizm, co zawsze chroniło mnie

przed chorobami, a dzięki dobremu jedzeniu, które otrzymałem od księdza i owej kobiety, nie straciłem odporności. Teraz jednak uświadomiłem sobie, że długo już nie pożyję. Zresztą, prawdę mówiąc, przykuty do ściany w upiornej kostnicy, modliłem się o śmierć. Dzień minął jak poprzednie, w okropnym upale nie łagodnym nawet najłżejszym podmuchem wiatru. W końcu nadeszła noc. Ciszę przerywały jęki i rżenie konających, ale mimo to zasnąłem i śniło mi się, że spaceruję z ukochaną nad Waveney.

Nad ranem obudził mnie szcęk żelaza. Otworzywszy oczy, zobaczyłem marynarzy rozkuwających przy świetle latarń łańcuchy zarówno umarłym, jak i żywym. Po zdjęciu łańcuchów obwiązywano ciało niewolnika liną i wyciągano go przez luk na pokład. Potem słychać było silny plusk wody, więc szybko domyśliłem się reszty. Zrozumiałem, że z powodu kończących się zapasów wody, a także w nadziei na pozbycie się zarazy, wyrzućcano wszystkich niewolników za burtę.

Przyglądałem się pracy marynarzy, aż między mną a nimi zostało tylko dwóch niewolników, z których jeden był martwy. Wtedy pomyślałem, że mnie również czeka ten los i zacząłem się zastanawiać, czy oświadczyć im, że nie jestem zarażony, czy też lepiej zgodzić się na utopienie. Pragnienie życia było silne, ale zdecydowałem się nie czynić żadnych wysiłków dla jego uratowania, lecz przyjąć śmierć jako wybawienie. Może to uświadomi wszystkim, którzy czytają te słowa, jak wielkie były cierpienia, które musiałem znosić i jak bardzo upadłem na duchu. Zresztą wiedziałem, że jest mało prawdopodobne, by moje błagania odniosły skutek, bo widziałem, że marynarze szaleją ze strachu i myślą tylko o tym, by pozbyć się jak najszybciej niewolników, którzy zużywają cenną wodę i którzy - w ich mniemaniu - przywlekli zarazę. Odmówiłem więc modlitwy, które przysły mi do głowy i chociaż trząsałem się ze strachu, bo biedne ciało lęka się nieznanego, które czeka po drugiej stronie, przygotowałem się na śmierć.

Tymczasem, odciągawszy mego towarzysza niedoli, owego żyjącego jeszcze niewolnika, marynarze podeszli do mnie. Byli nadzy do pasa i ociekali potem, gdyż pracowali zawzięcie, chcąc jak najprędzej uporać się z przykrym zadaniem.

- Ten też żyje i zdaje się, że nie jest chory - powiedział marynarz, który rozbił mój łańcuch.

- Żyje czy nie, wyrzucić tego psa! - odparł drugi ochryplym głosem.

Był to ten sam oficer, któremu oddano mnie jako niewolnika. - To ten

Anglik. To on sprowadził na nas nieszczęście. Wyrzucie tego Jonasza za burtę. Niech wypróbuje siłę swego złego oka na rekinach.

- Tak jest - odparł pierwszy. - Ten, kto może dziennie wypić tylko jeden kubek wody, nie nalega na gości, żeby zostali dłużej. Pomódl się, Angliku. Może twoje modły dadzą ci więcej szczęścia niż ten przeklęty statek. Masz, dzięki temu będzie ci lżej tonąć, jest tego na statku więcej niż wody. - Mówiąc to, podał mi butelkę wódki. Wziąłem ją i pociągnąłem solidnie. Dodało mi to trochę ducha. Potem obwiązali mnie liną i na dany znak ci na pokładzie zaczęli mnie wyciągać. Kiedy byłem już w powietrzu zobaczyłem w blasku latarni twarz Hiszpana, którego zostałem niewolnikiem i który przed chwilą zdecydował, żeby wrzucić mnie do morza. Były na niej znaki zupełnie oczywiste dla lekarza.

- Do widzenia - powiedziałem. - Niebawem znowu się spotkamy. Głupcze, po co się tak trudzisz? Odpocznij, bo zaraza już cię dopadła. Za sześć godzin będziesz martwy.

Z przerażenia opadła mu szczeka. Na chwilę odebrało mu mowę. Potem zaklął okropnie i zamierzył się na mnie młotem, który trzymał w ręku. Gdyby w tym momencie nie wyciągnięto mnie na pokład, położyłby szybko kres moim cierpieniom. W następnej sekundzie zwolniono linę i upadłem na deski pokładu. Obok mnie stało dwóch Czarnych, których zadaniem było wyrzucanie niewolników za burtę, a za nimi, z twarzą wynędzniałą po chorobie, siedział na fotelu, wachlując się kapeluszem, de Garcia. W świetle księżycy rozpoznał mnie natychmiast i powiedział:

- Co to? Żyjesz jeszcze, kuzynie? Naprawdę jesteś twardy. Myślałem, że już umarłeś. Prawdę mówiąc, gdyby nie ta przeklęta zaraza, sam bym się o to zatroszczył. No, ale cóż, i tak dobrze się skończyło i to dla mnie jedyna radość w tej podróży, że mogę cię oddać rekinom. A więc przepłynąłeś morze, aby się na mnie zemścić, tak? Mam nadzieję, że pobyt tutaj bardzo ci się podobał. Warunki były może nie najlepsze, ale za to jakie serdeczne przyjęcie! Teraz pora pożegnać odjeżdżającego gościa. Dobranoc, Tomaszu Wingfield, jeśli przypadkiem spotkasz wkrótce swoją matkę, to powiedz jej, że bardzo mi przykro, iż musiałem ją zabić, bo ją jedyną kochałem. Nie przyjechałem do Anglii, jak może myślisz, po to, żeby ją zamordować, ale zmusiła mnie do tego. Gdybym tego nie zrobił, nigdy już nie wróciłbym do Hiszpanii. Miała za dużo tej samej co ja krwi w żyłach, żeby pozwolić mi uciec. Zdaje się, że płynie ona też w twoich żyłach, bo inaczej nie trwałbyś tak uparcie przy pragnieniu zemsty. No, ale nie wyszło

ci to na dobre. - Opadł na poręcz krzesła i znowu zaczął wachlować się kapeluszem.

Mimo że stałem na progu śmierci, zawrzała we mnie krew. Istotnie tryumf de Garcii był zupełny. Wyruszyłem na morze, aby go dopaść i jak się to skończyło? Za chwilę miał mnie rzucić rekinom na pożarcie. Opanowałem się jednak i odparłem tak spokojnie, jak mogłem:

- Masz nade mną przewagę, bo jestem w trudnej sytuacji. Ale jeśli zostało ci choć trochę odwagi, to daj mi miecz i rozstrzygnijmy nasz spór raz na zawsze. Wiem, że jesteś słaby po chorobie, ale ja spędziłem parę dni i nocy w tym piekle na dole i nie jestem silniejszy. Będziemy równymi przeciwnikami.

- Być może, kuzynie, ale czy jest taka potrzeba? Mówiąc szczerze, sprawy przybrały dla mnie niekorzystny obrót, kiedy ostatnio staliśmy twarzą w twarz i może to dziwne, ale miałem przeczucie, że spotkanie z tobą oznacza dla mnie koniec. Była to jedna z przyczyn, dla których postanowiłem zmienić klimat i wyruszyć w cieplejsze regiony. Ale widzisz sam, przyjacielu, jaka to głupia rzecz - przeczucie. Choć byłem chory, żyję i mam zamiar żyć nadal, natomiast ty - wybacz, że o tym mówię - jesteś już prawie martwy. W istocie ci panowie - wskazał na obu Czarnych, którzy korzystając z naszej rozmowy, wrzucali właśnie do morza niewolnika, którego wyciągnięto na pokład po mnie - czekają, aby położyć koniec naszej konwersacji. Chcesz może, abym przekazał komuś jakąś wiadomość od ciebie? Jeśli tak, to mów, bo czasu jest mało. Ładownia musi być wypróżniona przed świtem.

- Nie mam do przekazania żadnej wiadomości przez ciebie, de Garcia, ale mam wiadomość dla ciebie - odparłem. - Zanim jednak ją przekażę, pozwól, że coś powiem. Wygląda na to, że wygrałeś, ale może gra jeszcze nie jest skończona. Twoje obawy mogą jeszcze okazać się prawdziwe. Ja niedługo umrę, ale moja zemsta może będzie żyła, bo powierzam ją Temu, któremu powinienem ją być powierzyć na początku. Może będziesz żył jeszcze parę lat, ale myślisz, że przed nią uciekniesz? Któregoś dnia umrzesz, jak ja teraz, i co wtedy, de Garcia?

- Zmiłuj się i skończ, proszę - rzekł szyderczym tonem. - Chyba nie wyświęcono cię na księdza, co? Powiedziałeś, że masz mi coś do przekazania. No więc przekaz to szybko. Czas nagli, kuzynie. Kto przesyła wiadomość dla takiego wygnańca jak ja?

- Izabella de Siguenza, którą zwiodłeś fałszywym ślubem i porzuciłeś.

Poderwał się z fotela i stanął nade mną.

- Co z nią? - wyszeptał groźnie.

- Tylko to, że zamurowano ją żywcem w grobie razem z dzieckiem.

- Zamurowano żywcem! Matko Boska! Skąd o tym wiesz?

- Przypadkiem byłem przy tym. Prosiła mnie, żebym ci przekazał, jaki był jej koniec i że umarła, przebaczywszy ci. To wszystko, ale dodam coś od siebie. Oby pamięć o niej, o niej i o mojej matce, prześladowała cię przez całe życie i w dniu śmierci, na ziemi i w piekle!

Na chwilę ukrył twarz w dłoniach. Potem odjął je, opadł na krzesło i zawołał czarnych marynarzy.

- Wyrzucić tego niewolnika! Na co czekacie?

Podeszli do mnie, ale nie miałem zamiaru dać się schwytać. Chciałem, żeby de Garcia podzielił mój los. Skoczyłem na niego i chwyciwszy go w pasie, uniosłem z fotela. Wściekłość dodała mi siłę, tak że udało mi się dopaść z nim do burty, ale na tym się skończyło, gdyż w tym momencie obaj marynarze złapali mnie i wydarli go z moich ramion. Wtedy, widząc, że wszystko stracone, gdyż wyciągnęli miecze, oparłem ręce o burtę i skoczyłem do morza.

Rozsądek podpowiadał mi, że najlepiej będzie, jeśli utopię się jak najszybciej i zdecydowałem, że nie będę starał się płynąć. Jednak chęć życia była zbyt silna, więc jak tylko wpadłem do wody, wynurzyłem się i zacząłem płynąć wzdłuż statku, trzymając się w cieniu, bo bałem się, że de Garcia każe do mnie strzelać z łuków i muszkietów. Wkrótce usłyszałem jego głos. Mówił:

- Wreszcie po nim, tym razem na dobre, ale niewiele brakowało, aby moje przecucie się spełniło. Sam widok tego człowieka przeraża mnie.

Wiedziałem, że to, co robię, to szaleństwo, bo choć na razie nie dopadł mnie żaden rekin, a woda była ciepła, to mogłem płynąć przez sześć, może osiem godzin, a potem i tak musiałem utonąć. Mimo to nie ustawałem. Po brudzie i smrodzie panującym w ładowni czysta woda i świeże powietrze działały na mnie niczym jedzenie i wino i czułem, jak wstępują we mnie nowe siły. Znajdowałem się jakieś sto jardów od statku i choć z pokładu nie było mnie widać, słyszałem plusk wrzucanych ciał i krzyki tonących.

Uniosłem głowę i rozejrzałem się. W pewnej odległości zobaczyłem jakiś przedmiot unoszący się na wodzie. Podpłynąłem do niego, obawiając

się, że lada moment będzie po mnie, gdyż wokół statku zaczęły kręcić się rekiny. Ku mej wielkiej radości przedmiot ten okazał się dużą beczką, wyrzuconą ze statku. Naciskając na nią od dołu, udało mi się ją przechylić i złapać ręką górną krawędź. Wtedy zobaczyłem, że była do połowy napełniona plackami jęczmiennymi i że wyrzucono ją, ponieważ były spleśniałe. Właśnie dzięki tym plackom, które odegrały rolę balastu, beczka utrzymywała się pionowo na wodzie. Pomyślałem, że jeśli uda mi się dostać do środka beczki, to przynajmniej przez pewien czas nie będę musiał obawiać się rekinów. Nie wiedziałem tylko, jak to zrobić. Kiedy się nad tym zastanawiałem, spojrzałem przypadkiem w bok i w odległości nie większej niż dwadzieścia kroków zobaczyłem płetwę rekina szybko zbliżającego się do mnie. Ogarnęło mnie przerażenie, które dodało mi sił. Przyciągnąwszy górną krawędź beczki tak blisko, że zaczęła się do niej wlewać woda, uchwyciłem ją obiema rękami i podciągnąłem się do góry, pomagając sobie kolanami. Do dzisiaj nie wiem, jak mi się to udało, ale w następnej sekundzie byłem w beczce, zadrasnąwszy sobie tylko skórę. Ale choć znalazłem łódź, to wyglądało na to, że nie na wiele mi się to przyda, gdyż pod ciężarem placków i moim, beczka zaczęła się coraz bardziej pogrążyć i wkrótce wystawała niecały cal nad powierzchnię morza. Wiedziałem, że jeśli dostanie się do niej jeszcze trochę wody, to zatonie. W tej samej chwili ujrzałem płetwę rekina o cztery jardy od siebie i zaraz potem beczka zatrzęsła się pod jego uderzeniem.

Zacząłem gwałtownie wylewać obu dłońmi wodę i skraj beczki uniósł się trochę. Kiedy wystawał już o jakieś dwa cale, rekin wypłynął na powierzchnię i przewróciwszy się na bok, rzucił się na beczkę z otwartą paszczą, tak że jego zęby aż zazgrzytały na obręczach. Pod wpływem uderzenia beczka zachwiała się i zaczęła kręcić wokół osi, nabierając jeszcze więcej wody, niż wylałem. Na szczęście rekin, któremu żelazo i drewno nie przypadły do smaku, odpłynął, choć jeszcze przez parę godzin kręcił się w pobliżu. Znowu zacząłem wylewać wodę, dopóki się nie zmęczyłem. Potem zdjąłem but i użyłem go jako czerpaka. Z butem szło mi lepiej i niebawem krawędź beczki wzniosła się o jakieś dwanaście cali nad powierzchnię. Wtedy przestałem, bo obawiałem się, że beczka stanie się zbyt lekka i wywróci się. Miałem teraz czas, by odpocząć i pomyślałem, że cały ten trud na nic się nie zda, bo i tak muszę wcześniej czy później zatonać albo umrzeć z pragnienia. Zacząłem przeklinać swoje tchórzostwo, przez które przedłużyłem tylko cierpienia.

Potem zacząłem błagać Boga, aby mnie ocalił. Nigdy w życiu nie modliłem się goręcej niż wtedy. Kiedy skończyłem, spłynął na mnie spokój i poczułem nadzieję, wydało mi się bowiem cudem, że w ciągu zaledwie kilku dni trzykrotnie uszedłem śmierci - najpierw w wodzie, po zatonięciu karaki, potem z głodu i od zarazy w ładowni statku wiozącego niewolników i wreszcie, przed chwilą, w szczękach rekina. Uważałem, że nie po to zostałem uratowany z tych niebezpieczeństw, które dla wielu innych okazały się śmiertelne, aby w końcu marnie zginąć, choć czy ratunek przyszedł z nieba, czy też wierząc, że nie umrę tak szybko, pomogłem sobie sam, nie mnie sądzić. W każdym razie znowu nabrałem otuchy i nastrój poprawił mi się na tyle, że mogłem podziwiać piękną noc. Morze było gładkie jak staw, nie było czuć najłżejszego podmuchu wiatru, a kiedy zaczął zachodzić księżyc, na niebie pojawiły się tysiące niezwykle jasnych, lśniących jak klejnoty gwiazd. Był to widok, jakiego nigdy nie można zobaczyć w Anglii. W końcu gwiazdy zbladły, niebo zaróżowiło się na wschodzie, a potem pojawiły się pierwsze promienie słońca. Na razie jednak widoczność miałem ograniczoną do pięćdziesięciu jardów, gdyż gładką powierzchnię morza pokryła gęsta mgła, która utrzymywała się co najmniej przez godzinę. Kiedy słońce wzeszło wyżej i mgła opadła, przekonałem się, że odpłynąłem daleko od statku. Widziałem tylko jego maszty, a i one oddalały się coraz bardziej, aż w końcu znikły. Teraz powierzchnia morza była wolna od mgły, która utrzymywała się tylko w jednym miejscu, choć dłaczego wisiała tylko tam i nigdzie indziej, nie miałem pojęcia.

Potem zrobiło się gorąco i zaczęło dokuczać mi pragnienie, gdyż oprócz tych paru łyków wódki, które dał mi marynarz w ładowni, przez całą dobę nie miałem w ustach ani kropli żadnego płynu. Nie będę tu szczegółowo opisywał moich cierpień, wystarczy powiedzieć, że ten, kto nigdy nie stał wiele godzin w beczce dręczony pragnieniem, z gołą głową wystawioną na palące promienie tropikalnego słońca, nie może sobie tego wyobrazić. Po pewnym czasie zaczęło mi się kręcić w głowie i zrobiło słabo i w końcu albo zemdląłem, albo zapadłem w coś w rodzaju snu. Obudziły mnie głosy ptaków i szum wody. Spojrzałem przed siebie i zobaczyłem, że to, co wzięłem za mgłę, było w rzeczywistości łądem i że teraz fala niesie mnie szybko w stronę ujścia wielkiej rzeki. Ptakami, które mnie obudziły, były mewy żerujące na ławicach ryb, gromadzących się w miejscu, gdzie słodkie wody rzeki spotykały się ze słoną wodą morza. Akurat tuż koło

mnie mewa chwyciła rybę ważącą co najmniej trzy funty i usiłowała unieść ją w powietrze. Kiedy się to nie udało, zaczęła bić rybę w głowę dziobem, dopóki jej nie uśmierciła. Byłaby ją pożarła, ale fala zaniósła beczkę tak blisko, że odebrałem ptakowi łup. Chwilę potem szarpałem zębami surowe mięso i choć może się to wydać okropne, nigdy jeszcze nie jadłem z większym apetytem.

Zjadłszy, ile mogłem, schowałem resztę do kieszeni kurtki i zacząłem się przyglądać falom rozbijającym się o mieliznę powstałą z piachu nanieśionego przez rzekę. Było jasne, że nie dostanę się tam stojąc w beczce, wygramoliłem się więc i usiadłem na niej okrakiem. Trudno mi się było utrzymać w tej pozycji, ale przyływ niósł mnie naprzód i nim minęło pół godziny, mielizna została za mną i dotarłem do ujścia rzeki. Szczęście nadal mi sprzyjało, bo znalazłem kawałek drewna unoszący się na fali i za jego pomocą mogłem skierować moją „łódź” do brzegu. Był on gęsto porośnięty trzciną, spośród której wystawały kępy wysokich drzew. Ich gałęzie były pokryte dużymi orzechami. Dotarłem tam bez dalszych przygód, choć szanse moje, jak się później okazało, były niewielkie, gdyż wody rzeki roily się od aligatorów. Na razie jednak nic o tym nie wiedziałem.

Dopłynąłem w samą porę, ponieważ przyływ się skończył i prąd zaczął mnie z powrotem znosić w morze. Gdybym dał się znieść, z pewnością nie udałoby się mi już wrócić, toteż przez ostatnie dziesięć minut wyczerpałem wszystkie siły, aby dobić do brzegu. Wreszcie spostrzegłem, że znajduję się w miejscu, gdzie głębokość nie przekracza czterech stóp, więc ześliznąłem się z beczki i dobrnąłem do brzegu. Tam padłem na piasek, dziękując Bogu za cudowne ocalenie. Jednak pragnienie, które zaczęło mi dokuczać ze zdwojoną siłą, zmusiło mnie do powstania. Chwiejąc się poszedłem wzdłuż brzegu rzeki. Po pewnym czasie trafiłem na kałużę. Spróbowałem. Woda była słodka i smaczna. Zanurzyłem w niej usta i piłem, ile mogłem. Niech ci, którzy kiedykolwiek znaleźli się w podobnej sytuacji, przypomną sobie, ile znaczyła dla nich woda, bo nie potrafią tego wyrazić żadne słowa. Napiwszy się i zmywszy sól z ciała, wyciągnąłem resztę ryby i spałaszowałem ze smakiem. Tak posilony, wyciągnąłem się w cieniu krzaka o białych kwiatach, gdyż byłem potwornie znużony.

Kiedy otworzyłem oczy, była noc. Na pewno spałbym jeszcze parę godzin, gdyby nie dotkliwy ból i swędzenie całego ciała. Zakląłem i poderwałem się na nogi. Początkowo nie miałem pojęcia, co powoduje te dolegliwości, ale wkrótce spostrzegłem, że W powietrzu kłębią się roje podobnych

do komarów owadów, które z brzęczeniem siadają na mej skórze i wypijając krew, wstrzykują jednocześnie jad. Te dokuczliwe insekty Hiszpanie nazywają moskitami. Nie były to zresztą jedyne stworzenia, które chciały się pożywić moją krwią, gdyż do ciała przywarły mi tysiące innych owadów, nie większych niż lepek od szpilki. Wbijają one głowy pod skórę, skutkiem czego tworzą się potem ropnie. Hiszpanie nazywają je *garrapatas*. Sądzę, że są to młode kleszcze. Było też mnóstwo innych owadów, przeróżnych kształtów i rozmiarów, a wszystkie miały jedną cechę wspólną, tę mianowicie, że niemiłosiernie cięły. Zanim nastał ranek, doprowadziły mnie prawie do szaleństwa, gdyż w żaden sposób nie mogłem się od nich uwolnić. Tuż przed świtem położyłem się w wodzie, myśląc, że przyniesie mi to ulgę, ale po paru minutach zobaczyłem, że z błota niedaleko mnie podnosi się potężny aligator. Wyskoczyłem na brzeg okropnie przerażony, gdyż nigdy jeszcze nie widziałem tak groźnie wyglądającego stworzenia i na powrót wpadłem między skrzydlatych wrogów.

Ale dość już o tych przekłetych owadach!

Rozdział XII

KAMIEŃ OFIARNY

W końcu nastał ranek. Byłem w oplakanyim stanie. Twarz tak mi spuchła od ukąszeń moskitów, że była wielkości dyni, a reszta ciała wyglądała niewiele lepiej. Poza tym czułem tak okropne swędzenie, że nie mogłem ustać ani usiedzieć spokojnie, lecz biegałem i skakałem jak szaleniec. Gdzie jednak miałembiegnąć przez te mokradła, na których nie widziałem ani śladu bytności ludzi? Nie wiedziałem, co począć, więc ponieważ i tak musiałem być w ruchu, poszedłem w górę rzeki, płosząc po drodze aligatory i obrzydliwe węże. Wiedziałem, że w tych warunkach nie potrafię żyć, przeto byłem zdecydowany iść tak długo, dopóki nie padnę z wyczerpania i nie znajdę wreszcie ukojenia w śmierci.

Szedłem tak co najmniej przez godzinę, aż w końcu doszedłem do miejsca, gdzie nie było ani trzciny, ani krzaków. Przebiegłem przez tę polankę, oganiając się spuchniętymi rękami od komarów brzęczących nad głową. Koniec wydawał się bliski, gdyż byłem zupełnie wyczerpany i bliski omdlenia, gdy nagle wpadłem na grupę ludzi o brązowej skórze, ubranych na białą, którzy łowili ryby. Obok nich, na wodzie, było parę łodzi, a w

nich różne rzeczy. W chwili kiedy się pokazałem, właśnie jedli. Jak tylko mnie zobaczyli, zaczęli coś krzyczeć w nie znanym mi języku, chwytając leżącą obok broń - łuki, strzały i maczugi nabrane szklistymi kamieniami - jakby chcieli mnie zabić. Podniosłem ręce, prosząc o litość. Widząc, że jestem bez broni, odłożyli łuki i maczugi i jeden z nich zwrócił się do mnie. Potrząsałem głową na znak, że nie rozumiem i pokazałem najpierw na morze, a potem na swoje spuchnięte ciało. Pokiwali głowami i przynieśli z łodzi brązową pastę o aromatycznym zapachu. Potem gestami dali mi znać, abym zdjął ubranie, a właściwie jego szczątki. Widziałem, że bardzo ich zaciekał jego krój. Kiedy to zrobiłem, zaczęli mnie nacierać tą pastą i od razu odczułem ulgę. Co więcej, pasta ta odstraszała owady, gdyż potem dali mi spokój.

Nasmarowawszy mnie, dali mi jedzenie - smażone ryby i placki kukurydziane oraz wspianiały napój pokryty brązową pianą, który - jak się później dowiedziałem - zwali czekoladą. Kiedy skończyłem jeść, porozmawiali chwilę, a potem gestem pokazali mi, żebym wsiał do jednej z łodzi i dali maty, żebym miał na czym siedzieć. Zrobiłem, co mi kazali. Razem ze mną weszło jeszcze trzech mężczyzn. Jeden z nich, bardzo poważny człowiek, o miłej twarzy i zachowaniu, w którym domyśliłem się wodza całej grupy, usiadł naprzeciwko mnie, a z pozostałych dwóch jeden usadowił się na dziobie łodzi, a drugi przy sterze. Potem ruszyliśmy, a za nami trzy inne łodzie. Nie upłynęliśmy nawet mili, kiedy znużenie wzięło górę i zasnąłem. Obudziłem się bardzo pokrzepiony. Spałem wiele godzin, bo właśnie zachodziło słońce. Stwierdziłem z zaskoczeniem, że ów poważny mężczyzna czuwał nad moim snem i pokrytą listkami gałązką odganiał komary. Zdawało się to wskazywać, że nie grozi mi złe traktowanie. Uspokojony w tym względzie, zacząłem się zastanawiać, na jakim to lądzie się znalazłem i kim mogą być jego mieszkańcy. Szybko jednak dałem temu spokój, gdyż nie miałem podstaw do zbudowania żadnej teorii i zacząłem przyglądać się krajobrazowi. Płynęliśmy teraz jakąś mniejszą rzeką i nie otaczały nas już mokradła. Po obu stronach rozciągała się otwarta przestrzeń, a raczej byłaby ona otwarta, gdyby nie wielkie drzewa, większe niż najpotężniejszy dąb, niektóre zadziwiająco piękne. Zwisały z nich, niczym liny, pnącza, a między nimi rosło wiele pokrytych niezliczonymi kwiatami roślin, które wydawały się przylegać do kory owych olbrzymów jak mech. Pośród gałęzi siedziały wielobarwne ptaki o ostrych głosach i kręciły się małpy, szczekając, gdy koło nich przepływaliśmy.

Akurat kiedy słońce chowało się za drzewa, dopłynęliśmy do drewnianego pomostu i wysiedliśmy. Gwałtownie zapadł mrok i mogłem rozeznaczyć tylko tyle, że prowadzono mnie dobrą drogą. Niebawem doszliśmy do bramy. Ze szczekania psów i liczby ludzi za nią zorientowałem się, że jest to brama miasta. Minęliśmy ją i poszliśmy dalej długą ulicą, zabudowaną po obu stronach. Mój towarzysz zatrzymał się przy wejściu do ostatniego domu i ująwszy za rękę, wprowadził do długiego, niskiego, oświetlonego glinianymi lampkami pomieszczenia. Podeszło do niego i ucałowało go kilka kobiet. Inne, które wziąłem za służące, powitały go, kładąc jedną dłoń na podłodze. Wkrótce jednak oczy wszystkich zwróciły się na mnie, a wódza zasypano pytaniami, których treści mogłem się tylko domyślać. Kiedy wszyscy już mi się przypatrzyli, podano kolację, składającą się z wielu dziwnych gorących dań i zaproszono do udziału w niej. Skwapliwie z tego skorzystałem, usiadłem na macie i jadłem z misek postawionych przez kobiety na ziemi. Dostrzegłem wśród nich dziewczynę przewyższającą urodą pozostałe, choć i innym niczego nie brakowało. Miała ciemną skórę, ale regularne rysy i piękne oczy. Była wysoka, o zgrabnej figurze, a świeża twarz dodawała jej jeszcze większego uroku. Wspominam ją z dwóch powodów, po pierwsze dlatego, że ocaliła mnie raz przed śmiercią na ołtarzu ofiarnym, a raz przed torturami, a po drugie dlatego, że była kobietą znaną później pod imieniem Marina, kochanką Cortesa, który bez jej pomocy nigdy nie podbiłby Meksyku.

Od samego początku widziałem, że Marina, jak będę ją nazywał, gdyż jej ojczyście imię było zbyt długie, lituje się nad moim przykrym położeniem i robi, co może, aby uchronić mnie przed prostacką ciekawością innych i zaspokoić moje potrzeby. To ona przyniosła wody, abym mógł się umyć i czystą, lnianą szatę oraz płaszcz z barwnych piór, abym mógł zrzucić brudne i podarte ubranie.

Po kolacji zaprowadzono mnie do małej izby i dano matę, która miała służyć mi za posłanie. Kiedy się położyłem, pomyślałem, że choć może nigdy nie ujrzę już świata, do którego należę, to przynajmniej trafiłem na miły i łagodny, a poza tym, sądząc z wielu oznak, cywilizowany lud. Niepokoiło mnie tylko jedno. Otóż zorientowałem się, że choć jestem dobrze traktowany, to jednocześnie jestem więźniem, ponieważ przed wejściem do izby spał człowiek z brązową dzidą. Zanim się położyłem, wyjrzałem przez drewniane kraty zabezpieczające okno i przekonałem się, że dom stoi na skraju dużego placu, pośrodku którego wznosi się potężna, wysoka

na co najmniej sto stóp, piramida. Na jej szczycie znajdowała się kamienna budowla, którą - jak się potem okazało - słusznie wziąłem za świątynię. Przed nią płonął ogień. Zastanawiając się, w jakim celu wzniesiono tę wielką budowlę i jakim wierzeniom służyła, zasnąłem.

Odpowiedź na te pytania miałem uzyskać rano.

Może wyjaśnię od razu w tym miejscu to, czego dowiedziałem się znacznie później, a mianowicie, że miasto, w którym się znalazłem, nazywało się Tobasco i było stolicą jednej z południowych prowincji Anahuac. Oddalone było o kilkaset mil od stolicy całego kraju, Tenocitlan, zwanej również Meksykiem. Rzeką, do której dopłynąłem w beczie, była Rio de Tobasco, ta sama, u ujścia której rok później wylądował Cortes, natomiast moim gospodarzem, a raczej tym, który mnie schwytał, był kacyk Tobasco, ten sam, który później podarował Cortesowi Marinę. Tak się złożyło, że z wyjątkiem niejakiego Aguilara, który z kilkoma towarzyszami rozbił się sześć lat wcześniej u wybrzeży Jukatenu, byłem pierwszym białym, który mieszkał wśród Indian. Owego Aguilara uratował Cortes, natomiast wszyscy jego towarzysze zostali złożeni w ofierze Huitzelcoatlowi, straszliwemu bogu wojny, czczonemu w tym kraju. Jednak Indianie znali już Hiszpanów i odnosili się do nich z zabobonnym lękiem, ponieważ w poprzednich latach wylądował na wybrzeżu Jukatenu i stoczył wiele bitew z jego mieszkańcami Hernandez de Cordova, a niedługo przed moim przybyciem na rzece Tobasco pojawił się Juan de Grigalva. Wszystko to sprawiło, że zostałem uznany za jednego z owych dziwnych Teule, jak Indianie nazywali Hiszpanów, a więc za wroga, którego krwi spragnieni są bogowie.

Obudziłem się o świcie zupełnie wypoczęty i umywszy się oraz ubrawszy w owe lniane szaty, które mi dano wieczorem, poszedłem do dużej izby, gdzie dano mi śniadanie. Zaledwie skończyłem jeść, kiedy wszedł kacyk w towarzystwie dwóch mężczyzn, których wygląd zasiał w moim sercu lęk. Mieli dzikie twarze, ubrani byli w czarne szaty pokryte mistycznymi, czerwonymi znakami, a ich długie i skołtunione włosy pokrywała jakaś kleista substancja. Ludzie ci, na których wszyscy obecni, nie wyłączając kacyka, zdawali się spoglądać z najwyższą czcią, przyjrzeni mi się z okrutną radością. Ich wzrok zmroził mi krew w żyłach. Jeden z nich odsunął moją szatę z piersi, położył brudną dłoń na sercu, które waliło mi mocno, policzył uderzenia i powiedział coś do towarzysza, który pokiwał głową. Potem dowiedziałem się, że stwierdził, iż jestem bardzo silny.

Rozglądając się po twarzach obecnych przy tym osób, aby wyczytać z nich, co miało oznaczać to wszystko, pochwyliłem wzrok Mariny i to, co w nim dostrzegłem, nie pozostawiało wątpliwości. Wiedziałem, że zagraża mi okrutna śmierć. Zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, zanim nawet zdążyłem pomyśleć, kapłani albo pacas, jak nazywali ich Indianie, chwycili mnie i wywlekli z izby. Za nimi wyszli wszyscy domownicy oprócz Mariny i kacyka. Znaleźliśmy się na wielkim placu otoczonym budynkami z kamienia, między którymi tu i ówdzie widać było gliniane lepianki. Plac szybko wypełnił się tłumem mężczyzn, kobiet i dzieci. Gapili się na mnie, podczas gdy kapłani prowadzili mnie w stronę piramidy, na szczycie której płonął ogień. Wprowadzono mnie do małego pomieszczenia wydrążonego w podstawie piramidy. Tam inni kapłani zdarli ze mnie ubranie, zostawiając mnie tylko w przepasce na biodrach. Na głowę założyli mi wieniec z kwiatów. Oprócz kapłanów, było tam jeszcze trzech innych Indian. Z ich przerażonych twarzy wyczytałem, że oni też skazani zostali na śmierć. Niebawem usłyszałem dochodzące z góry bicie w bęben. Wtedy wyprowadzono nas i ustawiono między formującymi procesję kapłanami. Ja byłem pierwszą z ofiar. Potem kapłani zaintonowali jakąś pieśń i zaczęliśmy wchodzić na piramidę krętą drogą, zakończoną na szczycie platformą, która mogła mierzyć około czterdziestu stóp kwadratowych. Był stamtąd wspaniały widok na cały kraj, ale wtedy nie myślałem o podziwianiu widoków. Po przeciwnej stronie platformy stały dwie drewniane wieże, wysokie na pięćdziesiąt stóp, albo i więcej. Były to świątynie Huitzelcoatla, boga wojny, i Quetzalcoatla, boga powietrza. Ich okropne, wyrzeźbione w kamieniu wizerunki spoglądały na nas przez otwarte drzwi. Wewnątrz świątyń znajdowały się małe ołtarze, na których stały duże złote naczynia zawierające serca tych, których ofiarowano poprzedniego dnia. Poza tym wnętrza obu świątyń ozdobione były różnymi wstrętnymi płaskorzeźbami. Przed wejściami do świątyń stał duży ołtarz, na którym płonął wieczny ogień, przed nim natomiast leżał blok czarnego marmuru rozmiarów stołu i wielki kamień w kształcie koła o średnicy jakichś dziesięciu stóp z miedzianym pierścieniem w środku.

Wszystkie te rzeczy przypominałem sobie później, ale wówczas nie zwracałem na nie uwagi, bowiem jak tylko stanęliśmy na platformie, pochwycono mnie znowu i zaciągnięto na ten kamień w kształcie koła. Tam przewiązano mnie w pasie rzemieniem, który z kolei przywiązano sznurem do pierścienia. Sznur miał długość pozwalającą się zbliżyć do skraj

koła, ale nie dalej. Potem podano mi dzidę o kamiennym ostrzu. Takie same dzidy wręczono dwóm z moich indiańskich towarzyszy niedoli i znakami dano mi do zrozumienia, że mam z nimi walczyć. Ich zadanie polegało na zdobyciu kamienia, a moje na jego obronie. Pomyślałem, że jeśli uda mi się zabić tych biedaków, to może pozwolą mi odejść wolno, więc aby ocalić życie, nastawiłem się na bezlitosną walkę. Wkrótce główny kapłan dał znak do ataku, ale obaj byli tak przerażeni, że nawet nie poruszyli się. Widząc to kapłani zaczęli smagać ich rzemiennymi biczami, tak że w końcu, krzyżąc z bólu, rzucili się na mnie. Jednemu udało się wskoczyć na kamień na ułamek sekundy przed drugim. Przebiłem mu dzidą ramię. Natychmiast upuścił broń i uciekł. Drugi zrobił to samo i już nawet razy batów nie mogły ich zmusić do podjęcia walki.

Przekonawszy się, że nie natchną ich bojowym duchem, kapłani postanowili skończyć z nimi. Przy dźwiękach muzyki i wtórze śpiewu pochwycono tego, którego zraniłem i zaciągnięto do owego wypukłego bloku marmuru, który w rzeczywistości był kamieniem ofiarnym. Położyli go na nim piersią do góry i przytrzymali w tej pozycji. Dwóch kapłanów trzymało go za ręce, dwóch za nogi, a jeden za głowę. Główny kapłan, ten sam, który badał mi serce, wdział szkarłatny płaszcz, odmówił jakąś modlitwę i podniósłszy do góry zakrzywiony nóż z podobnego do szkła materiału, zwany *itzli*, jednym ciosem otworzył ofierze klatkę piersiową. Kiedy to zrobił, cała ciżba na dole, na oczach której dokonał się krwawy ceremoniał, padła na kolana i nie podniosła się, dopóki kapłan nie wrzucił serca ofiary do złotego naczynia stojącego przed figurą Huitzelcoatla. Potem pozostali kapłani chwycili ciało, ponieśli je, wydając straszliwe okrzyki, na skraj platformy i cisnęli na dół. Stoczyło się po stopniach piramidy, gdzie podnieśli je i zabrali czekający tam ludzie, ale gdzie i po co, tego nie wiem.

Zaledwie pierwsza ofiara wydała ostatnie tchnienie, a już pochwycili drugą i potraktowali w taki sam sposób, przy czym tłum na dole zachował się tak, jak poprzednio. Na końcu przyszła kolej na mnie. Poczulem, że mnie trzymają i omdlałem. Odzyskałem przytomność, kiedy znalazłem się na tym przeklętym kamieniu. Kapłani ciągnęli mnie za kończyny i za głowę, tak że klatka piersiowa sterczała prosto w górę, a skóra na niej była napięta jak na bębnie. Nade mną stał ten szatan w czerwonym płaszczu, z nożem w ręku. Nigdy nie zapomnę jego łotrowskiej twarzy wykrzywionej żądzą krwi ani błysku nienawiści w jego oczach, gdy odrzucił swe zlepione włosy do tyłu. Ale nie uderzył od razu, napawał się tym widokiem, klując

mnie końcem ostrza. Wydawało mi się, że trwa to wieki, ale w końcu przez mgłę, która pojawiła mi się przed oczami, zobaczyłem, że wznosi nóż do ciosu. Kiedy myślałem już, że to moja ostatnia chwila, czyjaś dłoń chwyciła jego opadającą rękę i dobiegł mnie jakiś szept.

To, co usłyszał, nie spodobało się kapłanowi, bo nagle zawył i skoczył ku mnie, ale znowu ktoś chwycił go za rękę, zanim zadał cios. Wtedy wycofał się do świątyni Quetzalcoatla, a ja przez dłuższą chwilę leżałem na kamieniu, czując się, jakbym sto razy umierał, gdyż sądziłem, że zdecydowano się poddać mnie torturom i tylko dlatego odłożono moją śmierć.

A zatem leżałem na kamieniu ofiarnym, słońce paliło mi pierś, a z dołu dochodził lekki szmer głosów zaskoczonego tłumu. Przed oczami przesunęło mi się całe życie; setki drobniaków, o których dawno zapomniałem, teraz powróciły jak żywe, a z nimi wspomnienia dzieciństwa, mojej przyszłości, pożegnalnego pocałunku Lily i jej słów, wyrazu twarzy de Gar cii, kiedy kazał mnie wyrzucić za burzę, śmierci Izabelli de Siguenza. Potem zacząłem się zastanawiać, dlaczego wszyscy kapłani są tak okrutni.

W końcu usłyszałem odgłos kroków i zamknąłem oczy, bo nie zniósłbym ponownego widoku noża. Ale nie spadł na mnie żaden cios. Niespodziewanie uwolniono mi dłonie i postawiono mnie na nogi. Potem poniesiono mnie na skraj *teocalli*, jak nazywano te piramidy, gdyż nie mogłem sam iść i tam mój niedoszły zabójca, krzyknąwszy coś do zgromadzonych na dole widzów, którzy na dźwięk jego słów wydali pomruk jak las w czasie powiewu wiatru, chwycił mnie w zakrwawione ramiona i pocałował w czoło. Teraz dopiero dostrzegłem stojącego obok, uśmiechniętego kacyka. Uśmiechał się tak samo, jak kiedy wydawał mi w ręce kapłanów. Następnie ubrano mnie i wprowadzono do sanktuarium Quetzalcoatla. Stałem twarzą w twarz z jego przerażającym wizerunkiem, gapiąc się na złote naczynie, w którym jeszcze przed chwilą miało się znaleźć moje serce, a kapłani głośno modlili się. Potem sprowadzono mnie z piramidy. Wreszcie, na dole, odzyskałem władzę w nogach, a kacyk wziął mnie za rękę i przeprowadził przez tłum, który - jak mi się wydawało - spoglądał teraz na mnie z dziwną czcią. Pierwszą osobą, którą zobaczyłem po wejściu do domu, była Marina. Popatrzyła na mnie i łagodnie wypowiedziała kilka słów, których nie zrozumiałem. Później pozwolono mi odejść do mojej izdebki i tam spędziłem resztę dnia, zupełnie wyczerpany tym, co przeszedłem. Zaiste trafiłem do diabelskiego kraju.

Teraz wyjaśnię, jak doszło do tego, że nie zostałem zabity. Marinie zrobiło się mnie żal i będąc bardzo bystra, szybko obmyśliła ratunek. Kiedy odprowadzano mnie do świątyni, zwróciła się do kacyka, swego pana, przypominając mu, że jak wieść niosła, Montezumę, władcę Anahuac, bardzo niepokoiłi Teule, czyli Hiszpanie, w związku z czym chciał któregoś zobaczyć. Otóż ja byłem niewątpliwie Teule i Montezuma bardzo by się rozgniewał, gdyby złożono mnie w ofierze w odległym mieście zamiast wydać jemu, żeby - jeśli będzie uważał to za stosowne - sam mnie ofiarował bogom. Kacyk odparł na to, że mądrze mówi, ale że powinna to powiedzieć wcześniej, zanim wzięli mnie kapłani, bo teraz w żaden sposób nie uda mu się wyrwać mnie z ich rąk.

- Nie - rzekła na to Marina. - Wystarczy przypomnieć im, że Quetzalcoatl, któremu ma być ofiarowany ten Teule, był białym i możliwe, że ten człowiek jest jego dzieckiem. Czy spodobałoby się bogu, gdyby w ofierze złożono mu jego własne dziecko? W ostateczności, jeśli nawet nie rozgniewa się bóg, to na pewno rozzłości się Montezuma i wyładuje swój gniew i na tobie, i na kapłanach.

Kiedy kacyk to usłyszał, pojął, że Marina ma rację, pobiegł szybko do *teocalli* i złapał za rękę kapłana, który miał już zatopić nóż w mojej piersi. Kapłan początkowo wściekł się i krzyczał, że to świętokradztwo, ale kiedy kacyk powtórzył mu, co usłyszał od Mariny, zrozumiał, że lepiej zrobi, nie ryzykując narażenia się na gniew Montezumy. A więc uwolniono mnie, a kapłan oznajmił ludowi, że bóg obwieścił, iż jestem jednym z jego dzieci. Dlatego też traktowano mnie z taką czcią.

Rozdział XIII

URATOWANIE GUATEMOCA

Po tym okropnym dniu mieszkańcy Tobasco odnosili się do mnie uprzejmie, nazywając mnie po prostu Teule, czyli Hiszpanem. Nie chcieli mnie już złożyć w ofierze. Wprost przeciwnie, ubierali mnie i żywili, i to nieźle, i pozwalali chodzić, gdzie miałem ochotę, choć pod opieką strażników, którzy pewnie zapłaciliby życiem, gdybym uciekł. Dowiedziałem się, że nazajutrz po wyrwaniu mnie z rąk kapłanów wysłano gońców do Montezumy, aby opowiedzieli mu o mnie i dowiedzieli się, co zamierza ze mną zrobić. Do Tenocitlan było jednak daleko i minęło wiele tygodni, zanim

posłańcy wrócili. Tymczasem uczyłem się języka Azteków, a także Majów, gdyż Marina, która była moją nauczycielką, nie pochodziła z Tobasco, lecz z Painalli, leżącej na południowo-wschodnich kresach imperium. Matka sprzedała ją, aby zapewnić dziedzictwo dziecku z drugiego małżeństwa i ostatecznie Marina dostała się w ręce kacyka Tobasco. Poza tym poznałem trochę historię, obyczaje i pismo obrazkowe Majów. Co więcej, dzięki znajomości medycyny, zyskałem sławę wśród Tobaskan, tak że po pewnym czasie zaczęli naprawdę wierzyć, iż jestem dzieckiem dobrego boga, Quetzalcoatla. Im bardziej jednak poznawałem tych ludzi, tym mniej ich rozumiałem. W większości dziedzin nie ustępowali wcale żadnemu ze znanych mi narodów naszej części świata. Nie znam narodu, który miałby lepszych artystów, a tylko nieliczne mogą się poszczycić biegłymi architektami czy doskonalszymi prawami. Poza tym Majowie byli dzielni i cierpliwi. Niestety ich religia była niczym rak toczący korzenie potężnego drzewa. Opierała się wprawdzie na wzniosłych zasadach, a nawet miała wiele wspólnego z naszą religią, na przykład ceremoniał chrztu, ale jak wyglądała praktyka, już opisałem. Z drugiej strony czy składanie ludzkich ofiar bogom jest okrutniejsze niż torturowanie ich w lochach Świętego Oficjum albo zamurowywanie żywcem w klasztorach?

Po miesiącu poznałem już język na tyle, że mogłem rozmawiać z Mariną. Zaprzyjaźniłem się z nią, ale nic ponadto. To jej właśnie zawdzięczałem większość tego, czego dowiedziałem się na temat Majów. Ona też udzieliła mi wielu cennych wskazówek i rad, jak mam się zachowywać, aby nie znaleźć się w niebezpieczeństwie. W zamian za to opowiedziałem jej trochę o mojej wierze i o europejskich zwyczajach i myślę, że to dzięki wiedzy uzyskanej ode mnie stała się później tak użyteczna dla Hiszpanów i przyjęła ich religię.

Tak więc przez ponad cztery miesiące mieszkałem w domu kacyka Tobasco, który swą uprzejmość wobec mnie posunął tak daleko, że zaproponował mi swą córkę za żonę. Wymówiłem się tak uprzejmie, jak mogłem, ale bardzo go zdziwiła moja niechęć do małżeństwa, gdyż dziewczyna była bardzo ładna. Prawdę mówiąc, byłem traktowany tak dobrze, że gdyby nie ich okropne rytuały religijne, w których uczestniczyć musiałem prawie codziennie, pokochałbym tych łagodnych, zdolnych i pracowitych ludzi.

Wreszcie, po czterech miesiącach, wrócili wysłannicy wyprawieni na dwór Montezumy. Powrót trwał tak długo, gdyż musieli przeprowadzać się przez wezbrane rzeki i pokonywać inne przeszkody po drodze. Władca

przywiązywał tak wielką wagę do faktu schwywania mnie i tak bardzo pragnął widzieć mnie w stolicy, że przysłał swego bratanka, księcia Guatemoca i eskortę złożoną z wielu wojowników.

Nigdy nie zapomnę pierwszego spotkania z księciem, który później stał moim przyjacielem i towarzyszem broni. Kiedy przybyła eskorta, znajdowałem się daleko od miasta, polując z łukiem, bronią, którą posługiwałem się tak znakomicie, że Indianie nie mogli się nadziwić, na jelenie. Wezwano nas przez gońca do powrotu, więc wróciliśmy niosąc jelenia. Dziedziniec domu kacyka był zapełniony wspaniale ubranymi wojownikami. Moją uwagę zwrócił szczególnie jeden. Był młody, wysoki, szeroki w ramionach, miał przystojną twarz, a z całej jego postaci emanowały dostojność i siła. Jego ciało okrywała złota zbroja, na którą narzucony był płaszcz ze wspaniałych piór subtelnie dobranych kolorami. Na głowie miał złoty hełm zwieńczony godłem królewskim - orłem trzymającym w szponach węży. Na ramionach i pod kolanami nosił złote obręcze wysadzone szlachetnymi kamieniami, a w rękę trzymał dzidę o ostrzu z brązu. Otaczało go wielu znaczniejszych wojowników, którzy byli podobnie odziani, z tą tylko różnicą, że zamiast złotego pancerza mieli kaftany z pikowanej bawełny, a zamiast godła królewskiego *panache* z ptasich piór.

Człowiekiem tym był Guatemoc, bratanek Montezumy, a po jego śmierci ostatni władca Anahuac. Pozdrowiłem go miejscowym zwyczajem, dotykając prawą dłońią ziemi, a potem głowy. Guatemoc przyjrzał mi się, gdy tak stałem przed nim z łukiem w rękę, odziany w prosty, myśliwski strój, uśmiechnął się i powiedział:

- Jeśli potrafisz ocenić kogoś po wyglądzie, Teule, to zdaje mi się, że jesteśmy zbyt równi sobie urodzeniem, jak i wiekiem, abyś witał mnie jak niewolnik swego pana. - Potem wyciągnął do mnie rękę.

Uścisnąłem ją, odpowiadając z pomocą Mariny, która przyglądała się mu z uwielbieniem.

- Być może, książę, ale choć w mej ojczyźnie jestem człowiekiem znanym i zamożnym, to tu jestem tylko niewolnikiem, którego o mały włos nie złożono bogom w ofierze.

- Wiem o tym - odparł, chmurząc czoło. - Mieszkańcy tego miasta powinni się cieszyć, że wyrwano cię kapłanom, zanim wydałeś ostatnie tchnienie, bo w przeciwnym razie spadłby na nich gniew Montezumy. - Tu spojrzął na kacyka, który aż zatrzęsł się ze strachu, taki lęk budziło w owym

czasie samo imię Montezumy.

Potem spytał mnie, czy jestem Teule. Odpowiedziałem mu, że nie jestem Hiszpanem, lecz należę do innej rasy, aczkolwiek mam trochę hiszpańskiej krwi w swych żyłach. Bardzo go to zdumiało, bo nigdy nie słyszał o innej białej rasie, opowiedziałem mu więc trochę o sobie, w każdym razie o tym, co miało związek z moim przybyciem do tego kraju. Kiedy skończyłem, powiedział:

- Jeśli dobrze cię zrozumiałem, Teule, to mówisz, że nie jesteś Hiszpanem, ale masz w sobie hiszpańską krew i przyplynałeś tu na hiszpańskim statku. Wydaje mi się to bardzo dziwne, ale osąd należy do Montezumy, więc nie rozmawiajmy już o tym. Pokaż mi lepiej, jak się posługujesz tym swoim wielkim łukiem. Przywiozłeś go ze sobą czy zrobiłeś tutaj? Mówią mi, że żaden łucznik nie może ci dorównać.

Podszedłem więc i pokazałem łuk, który sam wykonałem i który zasięgiem przewyższał o jakieś sześćdziesiąt kroków łuki tubylców *. Potem zaczęliśmy rozmawiać o myślistwie i wojnie, w czym pomagała mi Marina, i zanim zapadł wieczór, zaprzyjaźniliśmy się.

* Używany w Anglii od średniowiecza aż po wiek XVII tzw. łuk długi (ang. *long bow*), równy wzrostowi łuczника, miał duży zasięg i siłę przebicia, wystarczającą do przebicia metalowej zbroi. Łucznictwo było bardzo popularnym sportem i przedmiotem rozpraw i traktatów, np. *Toxophiius* R. Aschama (1545) (przyp. tłum.).

Książę Guatemoc odpoczywał w Tobasco przez tydzień i przez cały ten czas dużo rozmawialiśmy we trójkę. Wkrótce spostrzegłem, że Marina, po części ze względu na jego urodę, pozycję i władzę, a po części dlatego, iż miała dosyć służby w domu kacyka i wysokie ambicje, zaczyna patrzeć na Guatemoca z pożądaniem. Używała różnych sposobów, żeby zdobyć jego serce, ale on zdawał się jej nie zauważać, tak że w końcu postanowiła postawić sprawę jasno, i to w mojej obecności.

- Jutro odjeżdżasz, książę - powiedziała cicho - więc jeśli zechcesz wysłuchać swej sługi, to pragnęłabym prosić cię o pewną łaskę.

- Mów, o co chodzi - odparł.

- Chciałabym cię prosić, żebyś odkupił mnie od mego pana albo kazał mu oddać mnie tobie i zabrał ze sobą do Tenocitlan.

Guatemoc roześmiał się głośno:

- Stawiasz sprawę jasno, dziewczyno - powiedział - ale musisz wiedzieć, że w Tenocitlan czeka na mnie moja żona, Tecuichpo, oraz trzy

inne panie, a tak się składa, że wszystkie są trochę zazdrosne.

Marina zaczerwieniła się, co było widać mimo jej brązowej skóry, i po raz pierwszy i ostatni widziałem w jej oczach gniew.

- Prosiłam cię, książę, żebyś mnie zabrał ze sobą, nie prosiłam, żebyś zrobił swoją żoną czy nałożnicą.

- Ale chyba właśnie to miałaś na myśli - odparł oschle.

- Bez względu na to, co miałam na myśli, książę, zapomnijmy o tym. Chciałam zobaczyć wielkie miasto i wielkiego króla, bo nudzi mnie życie tutaj i sama chciałabym zostać znaczącą osobą. Odmówiłeś mi, ale może nadejść taki czas, kiedy na przekór tobie zajdę wysoko. Wtedy może będę pamiętała, książę, wstyd, którego doznałam teraz.

Guatemoc znowu się roześmiał, a potem nagle spoważniał.

- Za wiele sobie pozwalasz, dziewczyno - powiedział. - Za mniej, niż tu powiedziałaś, można się znaleźć na kamieniu ofiarnym. Ale zapomnę o tym, bo została urażona twoja kobieca duma i nie wiesz, co mówisz. Ty też, Teule, zapomnij, jeśli zrozumiałeś, o czym mówiła.

Marina odwróciła się i wyszła. Piers jej falowała z gniewu i kiedy mnie mijiała, usłyszałem, jak mruczy:

- Tak, książę, ty możesz zapomnieć, ale ja nie zapomnę.

Od tamtego dnia często zastanawiałem się, czy w owej chwili doznała olśnienia i miała wgląd w przyszłość, czy też w złości mówiła, co ślina na język przyniesie. Zastanawiałem się również, czy ta jej rozmowa z Guatemokiem miała coś wspólnego z jej przyszłymi losami, czy też, jak sama mi to później wyznała, doprowadziła swój kraj do ruiny tylko i jedynie z miłości do Cortesa. Trudno powiedzieć i być może opisana tu scena nie miała żadnego związku z tym, co nastąpiło potem, bo skłonni jesteśmy szukać przyczyn wielkich wydarzeń w przeszłości, mimo iż nie można ich tam znaleźć dlatego, że po prostu nie istniały. W każdym razie wiem, że Marina nie zapomniła tej rozmowy, bo po latach słyszałem, jak przypomniawszy księciu słowa, które wtedy padły. Słyszałem też jego godną odpowiedź.

W dniu naszego odjazdu na *teocalli* odbywało się wielkie ofiarowanie więźniów, zarówno dla zjednania bogów, aby nasza podróż przebiegła bezpiecznie, jak i dla uczczenia jakiegoś święta, bo świętom u Indian nie było końca. Weszliśmy na piramidę, gdyż codziennie musiałem patrzeć na te okropności. Kiedy wszystko było już przygotowane i staliśmy wokół

kamienia ofiarnego, a tłum przyglądał się z dołu, ze świątyni Quetzalcoatla wyszedł ten dziki kapłan, który kiedyś mierzył uderzenia mego serca, i dał znak kompanom, aby rozciągnęli pierwszą ofiarę na kamieniu. Wtedy nagle wystąpił książę Guatemoc i powiedział do kapłanów, wskazując na ich przywódcę:

- Schwyćcie tego człowieka!

Zawahali się, bo aczkolwiek rozkaz wydała osoba z królewskiego rodu, podniesienie ręki na wysokiej rangi kapłana było świętokradztwem. Na to Guatemoc wyciągnął z uśmiechem pierścień z matowym niebieskim kamieniem, na którym był wyryty jakiś dziwny wzór, a także zwój pokryty pismem obrazkowym i podsunął jedno i drugie pod oczy kapłanom. Pierścień był pierścieniem Montezumy, a zwój podpisany był przez najwyższego kapłana w Tenocitlan. Ci, którzy spojrzeli na te przedmioty, doskonale zdali sobie sprawę, że jeśli nie posłuchają osoby, która je przedstawiła, narażą się jednocześnie na śmierć i na hańbę. Pochwycili więc bez słowa swego szefa i trzymali go. Wtedy Guatemoc przemówił raz jeszcze. Rzekał krótko:

- Połóżcie go na kamieniu i ofiarujcie Quetzalcoatlowi.

Słyszac te słowa, ten, który czerpał taką okrutną radość z mordowania innych na tym samym kamieniu, zaczął trząść się i płakać.

- Dlaczego to ja muszę być ofiarowany, książę? - jęknął. - Zawsze byłem wiernym sługą bogów i króla.

- Dlatego, że ośmieliłeś się spróbować złożyć w ofierze tego Teule bez pozwolenia swego władcy, Montezumy, a także z powodu innych zbrodni, których się dopuściłeś, a które są tu wypisane - odparł Guatemoc pokazując zwój. - Ten Teule jest synem Quetzalcoatla i Quetzalcoatl żąda zemsty. Bierzcie go, tu macie rozkaz.

Kapłani, którzy do tej pory byli jego sługami, zaciągnęli głównego kapłana na kamień ofiarny. Tam, nie zwracając uwagi na jego prośby i modły, jeden z nich przywdział jego płaszcz i postąpił z nim według wszelkich prawideł jego własnej sztuki. Potem zrzuciono ciało z piramidy. Muszę przyznać, że nie jestem na tyle chrześcijaninem, żeby udawać, iż było mi przykro patrzeć, jak umiera w taki sam sposób, w jaki zadał śmierć wielu lepszym od siebie.

Kiedy było po wszystkim, Guatemoc odwrócił się do mnie i powiedział:

- Tak zginą wszyscy twoi wrogowie, Teule.

Po godzinie od tego wydarzenia, które ukazało mi, jak wielka jest potęga Montezumy, skoro jego pierścień może spowodować natychmiastową śmierć wysokiej rangi kapłana z rąk jego uczniów, wyruszyliśmy w podróż. Wcześniej jednak zaszedłem pożegnać się z kacykiem i Mariną. Kacyka nie zobaczyłem już nigdy, ale z Mariną jeszcze się spotkałem.

Podróżowaliśmy przez cały miesiąc, bo droga była długa i trudna. Czasami musieliśmy wyrąbywać przejście przez las, a czasami musieliśmy czekać na brzegu rzeki, aż opadnie woda. Widziałem wiele dziwnych rzeczy podczas tej podróży, ale nie mogę tu pisać o wszystkich.

Zrelacjonuję jednak, choć krótko, jedną przygodę, gdyż dzięki niej wzajemny szacunek, jaki czuliśmy do siebie ja i Guatemoc, zmienił się w przyjaźń, która trwała aż do jego śmierci, a prawdę mówiąc, trwa w moim sercu do dziś dnia.

Pewnego dnia wstrzymała nas wezbrana rzeka. Żeby się rozerwać, postanowiliśmy zapolować na jelenie. Polowaliśmy już jakiś czas i zabiliśmy trzy sztuki, kiedy Guatemoc zobaczył byka stojącego na pagórku. Zaczęliśmy go w piątkę podchodzić. Ale byk znajdował się na otwartej przestrzeni. Zarosła kończyły się dobre sto jardów od miejsca, gdzie stał, tak że nie było sposobu, aby podejść go bliżej. Wtedy Guatemoc zaczął kpić ze mnie, mówiąc:

- No, Teule, opowiadają, co to z ciebie za łucznik, a ten byk jest w trzy razy takiej odległości, na jaką my, Aztekowie, możemy celnie strzelać. Pokaż, co potrafisz.

- Spróbuję - powiedziałem - choć to daleki strzał.

Schowaliśmy się za potężnym drzewem ceiba, którego najniższe gałęzie znajdowały się jakieś piętnaście jardów od ziemi. Założyłem strzałę na cięciwę dużego łuku, który zrobiłem na wzór tych, jakich używamy w Anglii, wymierzyłem i strzeliłem. Byk dostał dobrze, prosto w serce i usłyszałem cichy szmer podziwu. Kiedy szykowaliśmy się, aby pójść po byka, wielka puma skoczyła nagle z drzewa, pod którym staliśmy, prosto na księcia Guatemoc, przewracając go na ziemię. Leżał na brzuchu, a wielki kot szarpał pazurami i gryzł jego plecy. Gdyby nie złoty pancerz i hełm, Guatemoc nigdy nie zostałby władcą Anahuac. Może zresztą byłoby tak lepiej dla niego. Trzej towarzyszący nam ludzie, widząc pumę szarpiącą księcia, przestraszyli się nagle, i choć nie byli tchórzami, uciekli, bo myśleli, że księżę nie żyje. Ja jednak nie poszedłem w ich ślady, choć prawdę mówiąc miałem ochotę to zrobić. U mego boku wisiała drewniana pałka nabijana kawałkami obsydianu, wyglądająca jak oręż ryby-miecza.

Chwyciłem ją w garść i walnąłem pumę w łeb. Stoczyła się z Guatemoca, brocząc krwią. W następnym momencie, rycząc z wściekłości, rzuciła się na mnie. Trzymając maczugę oburącz, zakręciłem nią w powietrzu i walnąłem. Cios dosięgnął pumę w skoku. Trafiłem ją w nos i w łeb. Uderzenie było tak silne, że moja broń złamała się, ale nie powstrzymała pumy. W sekundę znalazłem się na ziemi. Puma siedziała na mnie i gryzła w piersi. Całe szczęście, że miałem na sobie kaftan z pikowanej bawełny, bo w przeciwnym razie zostałbym wypatroszony. I tak zresztą kot nieźle mnie poszarpał, do dziś mam na ciele ślady jego pazurów. Ale kiedy myślałem już, że koniec ze mną, okazało się, że mój cios był skuteczny. Jak się potem okazało, kawałek obsydianu utkwił w mózgu zwierzęcia. Puma podniosła łeb, jej pazury zagłębiły się w moim ciele, potem zawyla jak pies i padła na mnie martwa. Leżałem, nie mogąc się ruszyć, gdyż byłem poważnie poraniony, dopóki towarzysze łowów nie odzyskali odwagi i nie wrócili. Ściągnęli ze mnie cielsko zwierza. Tymczasem Guatemoc, który wszystko widział, ale nie mógł się ruszać po upadku, pozbierał się i wstał.

- Teule - wykrztusił - jesteś naprawdę dzielny i jeśli wyżyję, to przysięgam, że do śmierci będę twoim przyjacielem i wytrwam przy tobie tak, jak ty dzisiaj przy mnie.

Towarzyszom jednak nie powiedział nic. Nie robił im żadnych wyrzutów.

Potem straciłem przytomność.

Rozdział XIV

DWÓR MONTEZUMY

Wskutek ran zadanych przez pumę przez tydzień w ogóle nie mogłem się ruszać, a potem niesiono mnie w lektyce, dopóki nie znaleźliśmy się o trzy dni drogi od Tenocitlan. Od tego miejsca drogi były dobre i lepiej utrzymane niż w Anglii, mogłem więc ponownie stanąć na własnych nogach. Ucieszyłem się z tego, ponieważ nie lubię, kiedy zwyczajem indiańskim noszą mnie inni, jak babę, na ramionach. Poza tym nie było to już konieczne, gdyż wkroczyliśmy do kraju o chłodniejszym klimacie i droga wiodła przez rozległe płaskowyże. Nigdy nie widziałem bardziej posępnego krajobrazu niż te, ciągnące się jak okiem sięgnąć, równiny, porośnięte aloesami i innymi kolczastymi roślinami o fantastycznych kształtach. Tylko one mogą przetrwać na tej piaszczystej, pozbawionej wody glebie.

To dziwny kraj, o trzech różnych klimatach, gdzie obok siebie istnieją bujne życie tropiku i niezmierzone pustynie.

Pewnej nocy zatrzymaliśmy się w gospodzie, jakich wiele pobudowano przy drogach dla wygody wędrowców. Ta znajdowała się na szczycie wzniesienia należącego do łańcucha górskiego otaczającego dolinę Tenocitlan. Na drugi dzień wyruszyliśmy przed świtem, gdyż na tej wysokości panował tak przejmujący ziąb, że przybywszy z krainy o gorącym klimacie, prawie nie mogliśmy spać, a poza tym Guatemoc chciał dotrzeć do miasta jeszcze przed wieczorem.

Po kilkuset krokach doszliśmy do samej krawędzi łańcucha i tam zatrzymałem się, gdyż zaparło mi dech z zachwytu. Pod nami leżała spora niecka, której na razie nie widziałem, gdyż wypełniał ją jeszcze mrok. Jednak na wprost nas wylaniały się z chmur dwie góry o pokrytych śniegiem szczytach, na których, zabarwiając je na czerwono, igrały promienie niewidocznego jeszcze słońca. Były to Popocatepetl, czyli Dymiąca Góra, oraz Ixtac, czyli Śpiąca Kobieta. Zaiste trudno sobie wyobrazić wspanialszy widok. Z wyniosłego wierzchołka Popocatepetl wznosiły się wielkie słupy dymu, które ogień z wnętrza góry i blask słońca zabarwiały tak, iż zdawało się, że są to wirujące płomieniste kolumny. Czy jest ktoś w stanie przedstawić sobie widok śnieżnych zboczy góry, zmieniających barwę z bieli na matową czerwień, z czerwieni na purpurę, a z purpury na wszystkie kolory tęczy? Na pewno nikt z tych, którzy nie widzieli wschodu słońca nad wulkanami Tenocitlan. Kiedy nasyciłem wzrok widokiem Popocatepetl, zwróciłem oczy na Ixtac. Nie jest tak potężna jak jej „mąż”, gdyż tak Aztecy nazywają Popocatepetl, i kiedy ujrzałem ją po raz pierwszy, dostrzegłem tylko wyrzeźbiony w śniegu kształt, przypominający do złudzenia zwłoki potężnej kobiety leżącej na marach, z rozpuszczonymi włosami spływającymi po zboczu. Wkrótce jednak na niej też spoczęły promienie słońca i zdało się, że wstaje, odrzucając welon różowej mgły. Był to cudowny i przejmujący widok. Ale choć wyglądała wówczas pięknie, to najbardziej podoba mi się, gdy zapada zmierzch. Roztacza wówczas blask na ciemność leżącą niżej i powoli znika, w miarę jak noc zakrywa ją swym welonem.

Kiedy podziwiałem widok wulkanów, po ich zboczach zaczęło spływać światło, ukazując rosnące niżej lasy. Ale rozległą dolinę nadal wypełniała gęsta mgła, z której wylaniały się niczym wyspy z morza wzgórza i dachy świątyń. W miarę jak schodziliśmy, opary zaczęły znikać i w końcu załśniły w słońcu jak olbrzymie lustra jeziora Tezcuco, Chalco i Xochicalco.

Na ich brzegach leżało wiele miast. Największe z nich, Mexico, wydawało się unosić na wodzie. Wokół miast rozciągały się zielone pola kukurydzy i aloesu oraz gaje, a w oddali widniał czarny mur skał, który zamykał dolinę.

Cały dzień szliśmy spieszenie przez ten bajkowy kraj. Mineliśmy miasta Amaquem i Ajotzinco, których nie będę opisywał, i wiele ładnych wiosek położonych na brzegach jeziora Chalco. Potem weszliśmy na wielką kamienną groblę i po południu dotarliśmy do Cuitlahuac. Stamtąd udaliśmy się do Iztapalapan, gdzie Guatemoc chciał zatrzymać się na noc w domu swego wuja Cuitlahuy. Kiedy jednak znaleźliśmy się na miejscu, okazało się, że Montezuma, którego gońcy powiadomili o naszym przybyciu, rozkazał, byśmy zdążyli bez zwłoki do Tenocitlan i żeby przygotowano palankiny, aby nas tam zanieść. Usiedliśmy więc na palankinach i niewolnicy ponieśli nas szybko południową tamą. Mijaliśmy miasta zbudowane na palach wbitych w dno jeziora, pływające ogrody założone na trzciniowych tratwach, *teocalli* i niezliczone świątynie, całe flotylle lekkich łódek i tysiące Indian zdążających gdzieś w swoich sprawach, aż w końcu przed zachodem słońca dotarliśmy do fortu Xoloc, który stoi na sztucznej wyspie. Napisałem „stoi”, lecz niestety już go nie ma. Zniszczył go, a razem z nim te wszystkie świetne miasta, które wówczas oglądałem, Cortes.

Przez Xoloc weszliśmy do Tenocitlan, największego miasta, jakie kiedykolwiek widziałem. Wprawdzie domy na przedmieściach zrobione były z gliny, adobe, ale w bogatszych dzielnicach zbudowane były z czerwonego kamienia. Każdy miał wewnętrzny dziedziniec i był otoczony ogrodem. Między domami biegły kanały, ze ścieżkami po obu stronach. Były tam niezliczone place, na których stały piramidy, świątynie i pałace. Oszołomiły mnie te widoki, ale to wszystko było niczym w porównaniu z wielką świątynią o kamiennych bramach wychodzących na północ i południe, wschód i zachód, murach pokrytych płaskorzeźbami przedstawiającymi węże, gładkich chodnikach, piramidach ozdobionych tysiącami ludzkich czaszek i otaczającym ją ogromnym *tianquez*, czyli targowiskiem. Zobaczyłem ją jednak wówczas tylko przelotnie, gdyż zapadał zmrok.

Po pewnym czasie spostrzegłem, że zostawiliśmy miasto za sobą i wspinamy się na strome wzgórze drogą ocienioną potężnymi cedrami. Wkrótce zatrzymaliśmy się na jakimś dziedzińcu, gdzie kazano mi zejść z palankinu. Potem przyszedł Guatemoc i wprowadził mnie do zdumiewającego przepychem budynku. Wszystkie pokoje miały sufity z drewna

cedrowego, a ich ściany pokrywały różnobarwne tkaniny. Złoto w tym budynku było tak pospolite, jak dąb i cegła w domach angielskich. Prowadzeni przez służących z cedrowymi laskami w dłoniach, przechodziliśmy przez liczne pokoje i korytarze, aż wreszcie znaleźliśmy się w komnacie, gdzie inni służący umyli nas w nasyconej wonnościami wodzie i ubrali w bogate szaty. Stamtąd poprowadzono nas do drzwi, przed którymi kazano nam zdjąć buty i dano proste płaszcze, abyśmy zakryli swoje wspaniałe ubiory. Potem pozwolono nam wejść. Znaleźliśmy się w wielkiej komnacie, w której było wielu mężczyzn i kilka kobiet. Wszyscy stali i byli ubrani w takie same proste płaszcze, jak nasze. Po przeciwnej stronie komnaty widniała złocona zasłona, zza której dobiegały dźwięki muzyki.

Kiedy staliśmy w tej dużej, oświetlonej wonnymi pochodniami komnacie, wielu obecnych podchodziło do Guatemoca i witało się z nim. Zauważyłem, że wszyscy przyglądają mi się z zaciekawieniem.. Podeszła też do niego kobieta wyjątkowej piękności. Była wysoka i miała dumną postawę, a pod prostym płaszczem dostrzegłem suknię wyszywaną kamieniami szlachetnymi. Choć byłem zmęczony i oszołomiony, jej uroda wywarła na mnie wielkie wrażenie. Nigdy przedtem nie widziałem tak pięknej kobiety. Oczy miała wielkie jak łania, na ramiona spadały jej kręcone włosy, a rysy miała szlachetne, choć tak łagodne, iż wydawała się smutna. Mimo to momentami z jej twarzy wyzierała jakaś gwałtowność czy dzikość. Była młoda, mogła mieć jakieś osiemnaście lat, ale miała kształty dojrzałej kobiety.

- Witaj, Guatemocu - powiedziała miłym głosem. - A więc przybyłeś w końcu. Ojciec spodziewał się ciebie już dawno temu i będziesz musiał wyjaśnić powody swego opóźnienia. Również moja siostra zastanawiała się, co tak długo zatrzymuje jej męża.

Kiedy to mówiła, czułem raczej, niż widziałem, że mi się bacznie przygląda.

- Witam, Otomi - odparł książę. - Mój powrót opóźniły nieprzewidywane przeszkody. Tobasco leży daleko, a poza tym mój towarzysz, Teule - tu wskazał mnie głową - miał przykrą przygodę podczas podróży.

- Jaką przygodę? - spytała.

- Wyrwał mnie ze szczęk pumy, kiedy wszyscy inni uciekli. Ryzykowałem życiem i odniósł przy tym rany. A było to tak... - i w kilku słowach opowiedział całe zdarzenie.

Śluchała z błyszczącymi oczami. Kiedy skończył, zwróciła się do mnie.

- Witaj, Teule - powiedziała z uśmiechem. - Nie należysz do naszego ludu, ale podobasz mi się. - I nadal uśmiechając się, odeszła.

- Kim jest ta szlachetna dama? - spytał Guatemoca.

- To moja kuzynka Otomi, księżniczka Otomi, ukochana córka mego wuja, Montezuma - powiedział. - Polubiła cię, Teule, i powinieneś się z tego cieszyć. Ćśś!

W tym momencie zasłona po przeciwnej stronie komnaty podniosła się. Siedział za nią na haftowanej poduszce mężczyzna o silnej budowie, paląc fajkę z pozłacanego drewna. Mężczyzna ów, którym był Montezuma we własnej osobie, miał melancholijne spojrzenie, bardzo bladą jak na Indianina twarz i rzadkie czarne włosy. Ubrany był w białą szatę z najczystszej bawełny, ściągniętą złotym pasem. Na nogach miał sandały wysadzane perłami, a na głowie zielony - był to zarezerwowany dla władcy kolor - pióropusz. Za nim stała grupa skąpo odzianych dziewcząt, z których część trzymała różne instrumenty muzyczne, a po obu jego stronach czterej wiekowi doradcy, boso i w prostych ubraniach.

Gdy tylko podniesiono zasłonę, wszyscy obecni padli na kolana, ja też poszedłem za ich przykładem, i trwali w tej pozycji, dopóki monarcha nie dał znaku swą fajką. Wtedy podnieśli się i stali ze złożonymi rękami i wzrokiem utkwionym w podłogę. Potem uczynił jeszcze jeden gest i podeszło do niego trzech mężczyzn, których wziąłem za ambasadorów. Wysłuchał ich, skinął głową i zaraz wycofali się tyłem, kłaniając się co chwila, dopóki nie wmieszali się w tłum. Wówczas Montezuma rzekł coś jednemu z doradców, który skłonił się i ruszył wolno przez komnatę, spoglądając to w prawo, to w lewo. W końcu jego wzrok padł na Guatemoca, którego zresztą trudno było nie zauważyć, jako że przewyższał pozostałych o głowę.

- Witaj księżę - powiedział. - Montezuma chce mówić z tobą i z tym Teule, którego przyprowadziłeś.

- Rób to, co ja, Teule - powiedział Guatemoc i ruszył przed siebie.

Kiedy stanęliśmy przed władcą, zasłona ponownie opadła i oddzieliła nas od reszty.

Staliśmy tam ze złożonymi rękami i opuszczonymi oczami, dopóki Montezuma nie dał znaku, abyśmy podeszli bliżej.

- Słucham twego raportu, bratanku - powiedział Montezuma cicho.

- Udałem się do miasta Tobasco, królu. Znalazłem tego Teule i sprowadziłem go tutaj. Kazałem również, według twego rozkazu, złożyć w

ofierze głównego kapłana i teraz zwracam twój królewski pierścień. - Mówiąc to, podał sygnet doradcy.

- Dlaczego nie było cię tak długo?

- Z powodu wypadku podczas podróży. Ratując mi życie, o królu, Teule został pogryziony przez pumę. Przywieźliśmy jej skórę jako dar dla ciebie.

Wtedy Montezuma spojrzął na mnie po raz pierwszy, otworzył zwój zapisany pismem obrazkowym, który wręczył mu jeden z doradców i przeczytał go, zerkając na mnie od czasu do czasu.

- Opis zgadza się - powiedział w końcu - z wyjątkiem jednej rzeczy. Nie ma tu mowy o tym, że ten jeniec jest najprzystojniejszym mężczyzną w Anahuac. Powiedz, Teule, dlaczego twoi rodacy wylądowali na mojej ziemi i zabili moich ludzi?

- Nic o tym nie wiem, królu - odparłem, jak potrafiłem, z pomocą Guatemoca - ale nie są oni moimi rodakami.

- Raport powiada, że przyznałeś się, iż masz w swoich żyłach ich krew i że przypląnąłeś tu na jednej z ich wielkich łodzi.

- To prawda, królu, ale nie należę do ich narodu, a do brzegu dopłynąłem w beczce.

- Uważam, że kłamiesz - odparł Montezuma, marszcząc brwi - bo pożałyby cię rekiny i aligatory. - Potem dodał z niepokojem: - Powiedz, czy jesteś potomkiem Quetzalcoatlą?

- Nie wiem, królu. Należę do białej rasy, a naszym praojcem był Adam.

- Może to inne imię Quetzalcoatlą - rzekł Montezuma. - Dawno temu przepowiedziano, że wrócą tu jego dzieci i wydaje się, że godzina ich przybycia jest bliska - westchnął ciężko. - Teraz idź już. Jutro opowiesz mi o tych Teule, a rada kapłanów zadecyduje o twoim losie.

Kiedy usłyszałem o kapłanach, cały zadrżałem i krzyknąłem, składając błagalnie dłonie:

- O królu, zabij mnie, jeśli chcesz, ale proszę, nie wydawaj mnie znowu w ręce kapłanów.

- Wszyscy jesteśmy w rękach kapłanów, przez których przemawia bóg - odparł zimno. - Poza tym twierdzą, że mnie okłamałeś.

Odszedłem więc, przewidując nieszczęście. Guatemoc również miał przygnębiającą minę. Przeklinałem godzinę, w której powiedziałem, że w moich żyłach płynie hiszpańska krew, lecz nie jestem Hiszpanem. Gdybym wtedy wiedział to, co wiem dzisiaj, nie wydusiliby ze mnie tych słów nawet

torturami. Niestety było już za późno na żale.

Guatemec zaprowadził mnie do części pałacu, gdzie czekała na niego żona, księżniczka Tecuichpo. Były tam też inne damy, między innymi Otomi, i kilku mężczyzn z ważniejszych rodów. Podano nam obfity posiłek i posadzono mnie obok księżniczki Otomi, która rozmawiała ze mną bardzo łaskawie, zadając wiele pytań, o mój kraj i naród Teule. Od niej pierwszej dowiedziałem się, że król bardzo martwił się z powodu tych Teule, czyli Hiszpanów, ponieważ był zabobonny i uważał ich za dzieci Quetzalcoatl, które według starej przepowiedni mają przybyć, aby objąć we władanie jego kraj. Szczerze mówiąc, odnosiła się do mnie tak uprzejmie i była tak zachwycająca, że poruszyła moje serce. Zdarzyło mi się to po raz pierwszy od opuszczenia Anglii i narzeczonej, której, jak przypuszczałem, nigdy już nie miałem zobaczyć. Później przekonałem się, że owego wieczoru nie tylko moje serce biło żywiej.

Obok nas siedziała inna dama z królewskiego rodu, Papantzin, siostra Montezumy. Nie była ani młoda, ani ładna, ale miała miłą i smutną, jakby naznaczoną przez śmierć, twarz. I rzeczywiście, umarła w kilka tygodni później, ale jak dalej opowiem, nie było jej dane zaznać spokoju w grobie.

Kiedy skończyła się kolacja, wypiliśmy czekoladę i wypaliliśmy fajki, z którym to dziwnym zwyczajem zapoznałem się już w Tobasco i od którego do dzisiaj nie potrafię się uwolnić, choć bardzo trudno jest dostać w Anglii tytoń, odprowadzono mnie na miejsce odpoczynku, do małego pokoju o ścianach wyłożonych cedrowymi deskami. Nie od razu zasnąłem, bo przypomniały mi się wszystkie dziwne rzeczy, które widziałem w tym tak cywilizowanym, a jednocześnie tak barbarzyńskim kraju. Myślałem o tym królu o smutnej twarzy, absolutnym panu milionów ludzi, otoczonym wszystkim, czego może zapragnąć serce, posiadającym niezmierzone bogactwa, setki pięknych żon, kochające dzieci, nieprzeliczoną armię i dzieła sztuki, rządzącym najwspanialszym imperium na ziemi, mającym wszystko na jedno skinienie, czczonym jak bóg, ale będącym niewolnikiem przesądów, bardziej przygnębionym niż najnędniejszy sługa w jego pałacu. Oto przykład, który podobałby się Salomonowi, bo Montezuma mógłby biadać razem z Salomonem:

*„Nagromadziłem też sobie srebra i złota,
i skarby królów i krain.
Nabyłem śpiewaków i śpiewaczki*

*oraz rozkosze synów ludzkich.
Niczego też, czego moje oczy pragnęły,
nie odmówilem im.
Nie wzbraniałem sercu memu żadnej radości.
A oto wszystko to marność i pogoń za wiatrem.
Z niczego nie ma pożytku pod słońcem”.**

* W rzeczywistości są to słowa Eklezjastesa, nie Salomona (Eklezjastes 2.8 i 2.11), przy czym pominięte zostały wersety 2,9 i 2.10 oraz początek 2.11. W przekładzie posłużyłem się cytatem z *Biblii Tysiąclecia* (Warszawa-Poznań 1980), gdyż język jej jest bardziej zrozumiały dla współczesnego czytelnika, aczkolwiek bliższy językowi oryginału ang. byłby cytat z Biblii w przekładzie Jakuba Wujka.

Potem moje myśli poszybowały do tej pięknej damy, księżniczki Otomi, która - jak mi się wydawało - patrzyła na mnie tak łaskawym okiem i obraz jej wydał mi się nadzwyczaj pociągający. Cóż, byłem młody, a Lily, moja miłość, była daleko i stracona dla mnie na zawsze. Czyż można się zatem dziwić, że tak spodobała mi się ta Indianka? Czy jest jakiś mężczyzna, którego nie podbił jej urok, piękno i królewska godność, którą dziedziczy się po przodkach, a utrwała w codziennym obcowaniu z poddany-
mi? Tak jak bogate ozdoby jej sukni, barbarzyńskie cechy jej charakteru, który wówczas poznałem z lepszej strony, zaćmiły mi wzrok, dodając jej w mych oczach pewnych zalet, których brakuje naszym, dobrze wykształconym damom. To wszystko oddziaływało na moją wyobraźnię i na moje zmysły i przez nie zniewoliło serce.) Otomi wydała mi się kobietą, o jakich marzą, ale jakże bardzo rzadko spotykają mężczyźni, gdyż na ziemi jest niewiele takich istot. Jednocześnie czysta i zmysłowa, o królewskim sercu i duchu, bardzo kobieca, ale przy tym odważna jak mężczyzna, piękna jak poranek, o umyśle żadnym wiedzy, zmienna na zewnątrz, lecz w głębi serca stała jak opoka. Taka była Otomi, córka Montezumy. Cóż zatem dziwnego, że spodobała mi się i że kiedy los obdarzył mnie jej miłością, ja też ją w końcu pokochałem? A jednak było w niej coś, co powstrzymałoby mnie, gdybym o tym wiedział, bo niezależnie od uroku, urody i licznych zalet, w sercu była dzikuską i choć starała się to ukryć, czasami górę brała jej indiańska krew.

Kiedy jednak leżałem, myśląc o niej, w swoim pokoju w pałacu Chapoltepec, odgłos kroków strażników za moimi drzwiami przypomniał mi, że nie pora marzyć o miłości, gdyż moje życie wisi na włosku. Nazajutrz kapłani mieli zadecydować o moim losie, a kiedy sędziami byli kapłani, wieźnię znalazł wyrok, zanim jeszcze został wydany. Byłem obcym i białym i na

pewno ofiara ze mnie byłaby miłsza bogom niż ofiara z tysiąca indiańskich serc. Zabrano mnie sprzed ołtarza w Tobasco, żeby złożyć w ofierze w głównej świątyni w Tenocitlan, i to wszystko. Los chciał, abym zginął marnie z dala od ojczyzny i aby słuch o mnie zaginął.

Pograżony w smutnych rozmyślaniach, w końcu zasnąłem. Kiedy się obudziłem, słońce było już wysoko. Podniosłem się z maty, podszedłem do okna z drewnianą kratą i wyjrzałem. Pałac leżał na szczycie wzgórza. Z jednej strony wzgórze opadało ku błękitnym wodom Texuco, z drugiej, w odległości ponad mili, wznosiły się wieże świątyń Meksyku. Zbocza wzgórza, a także równina wokół niego porośnięte były olbrzymimi cedrami, z których gałęzi zwisał szary, upiornie wyglądający mech. Drzewa te są tak ogromne, że najmniejsze z nich jest większe od najpotężniejszego dębu w parafii Ditchingham, a największe mierzy dwadzieścia dwa kroki w obwodzie. Między tymi pięknymi, starymi drzewami rozciągały się ogrody Montezumy, ze wspaniałymi kwiatami, marmurowymi łaźniami, ptaszarniami i zagrodami dla dzikich zwierząt. Myślę, że nie było piękniejszych na świecie.

- Jeśli muszę umrzeć - pomyślałem - to przynajmniej dane mi było przedtem zobaczyć Anahuac, poznać jego króla, lud i obyczaje, a to już jest coś.

Rozdział XV

ZOSTAJĘ BOGIEM

Kiedy zjadłem śniadanie w apartamentach księcia Guatemoca, zaprowadzono mnie do sali sądowej, zwanej „trybunałem Boga”. Siedział tam na złotym tronie Montezuma, przewodnicząc rozprawom z pompą, której nie jestem w stanie opisać. Po jego bokach stali doradcy i wielcy panowie, a przed nim leżała czaszka wysadzana szmaragdami tak wielkimi, że aż bił od nich blask. W rękę trzymał strzałę, która była odpowiednikiem berła używanego przez europejskich monarchów. Sądzone właśnie jakichś wodzów czy kacyków oskarżonych o zdradę. Nie musieli zbyt długo trwać w niepewności co do swego losu. Po przedstawieniu jakiegoś dowodu, pytano, co mają na swoją obronę. Każdy z nich odpowiadał krótko, tłumacząc swą sprawę w paru słowach. Potem Montezuma, który aż do tej pory nie odzywał się i siedział bez ruchu, brał akt oskarżenia pisany pismem obrazkowym i przebijał strzałą w miejscu, gdzie widniał rysunek przedstawiający

podsaǳnego. Wtedy prowadzono go na śmierć, choć nie wiem, w jaki sposób odbywała się egzekucja.

Kiedy zakończył się ten proces, na salę weszło paru kapłanów odzianych w czarne szaty, z odrzuconymi na plecy zlepionymi włosami. Wyglądali groźnie, mieli dzikie spojrzenia, a ich zachowanie świadczyło, że są pewni swego, więc zadrżałem. Doradcy i szlachta cofnęli się, a kapłani wdali się w rozmowę z władcą. Wkrótce potem dwu z nich podeszło do mnie i odebrawszy mnie spod opieki strażników, doprowadziło przed tron. Wtedy niespodzianie kazano mi się rozebrać. Zrobiłem to nie bez wstydu i stałem przed nimi zupełnie nagi. Podeszli do mnie kapłani i dokładnie obejrzelili całe moje ciało. Na ramieniu miałem blizny od miecza de Garcii, a na piersiach ledwie zagojone rany od kłów i pazurów pумы. Dokładnie zbadali te wszystkie szramy, pytając, skąd je mam. Kiedy im wyjaśniłem, zaczęli dyskutować między sobą, ale nie słyszałem o czym mówili. W końcu rozmowa przerodziła się w tak gorący spór, że poprosili władcę, aby go rozstrzygnął. Myślał przez chwilę, a potem powiedział:

- Te skazy nie pochodzą z wnętrza ciała ani nie było ich, kiedy się urodził. To rany zadane przez człowieka i przez zwierzę.

Potem kapłani znowu zaczęli się naradzać i w końcu ich przywódca rzekł coś Montezumie na ucho. Montezuma skinął głową i powstawszy z tronu, podeszedł do mnie. Stałem tam, dygocząc, gdyż powietrze w Meksyku jest ostre. Zdjął z szyi naszyjnik ze złota i szmaragdów i rozpiął swój królewski płaszcz. Potem własnoręcznie założył ten łańcuch na moją szyję, a płaszczem okrył mi barki i zgiąwszy pokornie kolano, objął mnie.

- Cześć ci, o błogosławiony - powiedział - synu Quetzalcoatl, naczynie ducha, Tezcatlipoco, Duszo Świata, Stwórco Wszechrzeczy! Czym zasłużyliśmy na to, byś zaszczycił nas swą obecnością przez cały rok? Jak możemy odwdziżyć się za ten zaszczyt? Stworzyłeś nas i cały ten kraj, przeto dopóki pozostaniesz u nas, jest on twój, a my wszyscy twymi nędznymi sługami. Powiedz tylko słowo, a wszystko, co zechcesz, zaraz wykonamy, pomyśl tylko, a stanie się wedle twej woli, nim to wypowiesz. O Tezcacie, ja, Montezuma, twój sługa, składam ci cześć, a przeze mnie składa ci cześć cały mój lud! - I znowu przyklęknął.

- O Tezcatlipoco, wielbimy cię! - krzyknęli chórem kapłani.

Stałem oniemiały, gdyż nic nie rozumiałem z tych błżeństw.

Tymczasem Montezuma klasnął w dłonie i weszły kobiety, niosąc piękne szaty i wieniec z kwiatów. Odziały mnie w szaty, a wieniec założyły

na czoło, powtarzając przy tym bez przerwy: - Tezcatlipoca, który zmarł wczoraj, jest znowu z nami. Radujcie się, przyszedł Tezcatlipoca w postaci pojmanego Teule!

Wtedy dopiero dotarło do mnie, że zostałem największym z bogów, choć osobiście czułem się tak głupio, jak nigdy przedtem.

Potem pojawili się jacyś czcigodni i pełni powagi mężowie z lutniami w rękach. Powiedziano mi, że będą moimi nauczycielami. Z nimi wszedł orszak młodzieńców, którzy mieli być mymi sługami. Wyprowadzili mnie z sali przy dźwiękach muzyki. Przed nami biegł herold, oznajmiając, że oto jest bóg Tezcatlipoca, Dusza Świata i Stwórca Wszechrzeczy, który ponownie zstąpił między swój lud. Wiedli mnie przez dziedziniec i nie mające końca pokoje i korytarze pałacu, a gdziekolwiek się pojawiłem, wszyscy gięli się przede mną, Tomaszem Wingfield z Ditchingham w hrabstwie Norfolk, do samej ziemi, że aż w końcu pomyślałem, że zwaśniałem.

Potem umieścili mnie w lektyce, znieśli ze wzgórza Chapoltepec i ponieśli ulicami i groblami na wielki plac przed główną świątynią. Poprowadzali mnie heroldowie i kapłani, za mną szli słudzy i szlachta, a wszędzie, gdzie się pokazałem, tłum padał na kolana, aż wreszcie zacząłem rozumieć, jakie to męczące - być bogiem. Następnie wnieśli mnie za mur pokryty płaskorzeźbami przedstawiającymi węże i drogą wijącą się po zboczach *teocalli* na jej szczyt, gdzie znajdowały się świątynie i posągi bogów. Tam uderzono w wielki bęben, a kapłani zaczęli na mą cześć składać ofiarę za ofiarą, aż zrobiło mi się niedobrze od widoku krwi. W końcu poprosili mnie, abym zszedł z lektyki. Kładli pod me stopy bogate dywany i sy-pali” kwiaty, a ja bardzo się przestraszyłem, bo myślałem, że teraz mnie chcą złożyć w ofierze jakiemuś bóstwu. Stało się jednak inaczej. Zaprowadzili mnie na krawędź platformy, a raczej tak blisko jej skraju, jak pozwoliłem, gdyż obawiałem się, że chwycą mnie znienacka i zepchną w dół. Tam główny kapłan oznajmił zebranym w dole tłumom, że jestem bogiem i wszyscy, wierni na dole a kapłani na górze, padli na kolana. I ciągnął się tak ten ceremoniał, aż w końcu zaczęło mi się kręcić w głowie od tej adoracji, krzyków, muzyki i widoków śmierci. Odetchnąłem z ulgą, kiedy wreszcie zabrali mnie z powrotem do Chapoltepec.

Czekały tam na mnie nowe honory, bowiem zaprowadzono mnie do wspaniałych apartamentów, położonych obok pokoi samego władcy i oznajmiono, że cały pałac Montezumy należy do mnie, a każdy, kto odmówi wykonania mego rozkazu, zginie.

Ja też w końcu przemówiłem i powiedziałem, że muszę trochę odpocząć, dopóki nie przygotują dla mnie posiłku w apartamentach Guatemoca, bo miałem nadzieję spotkać tam Otomi.

Moi nauczyciele odparli na to, że mój sługa, Montezuma, ufa, iż tego wieczoru spożyje kolację razem z nim, ale moje życzenie jest dla nich rozkazem. Potem opuścili mnie, mówiąc, że wrócą za godzinę, aby zaprowadzić mnie na ucztę. Zrzuciłem oznaki mojej boskości i padłem na poduszki, aby odpocząć i zastanowić się nad swoją sytuacją. Byłem podniecony, bo czyż nie byłem bogiem i nie posiadałem prawie absolutnej władzy? Mimo to, będąc z natury dociekliwy, zacząłem się zastanawiać, dlaczego przypadł mi ten zaszczyt i jak długo potrwa moja władza.

Nie minęła godzina, gdy weszli służący z nowymi szatami i świeżymi kwiatami, z których uwili wieniec na mej głowie. Potem zaprowadzili mnie na pokoje Guatemoca. Poprzedzały mnie piękne kobiety grające na różnych instrumentach.

Księżę Guatemoc powitał mnie, jakbym był najpotężniejszym z władców. Wydawało mi się jednak, że widzę w jego oczach rozbawienie zmieszane ze smutkiem. Nachyliwszy się, szepnąłem mu do ucha:

- Co to wszystko znaczy, księżę? Kpią ze mnie czy naprawdę uważają za boga?

- Ćśśś! - odparł, składając głęboki ukłon. - I źle to, i dobrze, mój przyjacielu. Wytlumaczę ci innym razem. - Potem rzekł głośno: - Czy chcesz, o Tezcatlipoco, bogu nad bogami, abyśmy siedli razem z tobą czy też wolisz jeść sam?

- Bogowie lubią dobre towarzystwo, księżę - odparłem.

W czasie tej rozmowy spostrzegłem, że wśród zebranych tam osób jest też Otomi. Kiedy więc podchodziliśmy do niskiego stołu, wokół którego mieliśmy zasiąść na poduszkach, zostałem nieco z tyłu, patrząc, gdzie zajmie miejsce i od razu siadłem obok niej. Spowodowało to trochę zamieszania, gdyż przygotowano mi honorowe miejsce u szczytu stołu, między Guatemokiem a jego żoną, Tecuichpo.

- Twoje miejsce, o Tezcatlipoco, jest tam - powiedziała, rumieniąc się, co dostrzegłem mimo jej oliwkowej cery.

- Bóg może siadać, gdzie chce, Otomi - powiedziałem i dodałem cicho: - A czy może znaleźć lepsze miejsce niż u boku cudownej bogini?

Zarumieniała się ponownie i odparła:

- Niestety, nie jestem boginią, lecz zwykłą śmiertelnicą. Posłuchaj, jeśli chcesz, żebym towarzyszyła ci podczas uczt, musisz oznajmić, że jest to

twój rozkaz. Nikt nie ośmielił się temu sprzeciwić, nawet mój ojciec, Montezuma.

Wstałem więc i powiedziałem w bardzo kiepskiej aztecczyźnie do usługujących mi notabli:

- Jest moim życzeniem, aby zawsze siedziała przy mnie księżniczka Otomi.

Na te słowa Otomi zaczerwieniła się jeszcze bardziej, a wśród zebranych rozległ się szmer. Guatemoc najpierw zrobił rozgniewaną minę, a potem roześmiał się. Ale usługujący mi panowie skłonili się, a najważniejszy z nich odparł.

- Życzeniu Tezcatlipoki stanie się zadość. Niech Otomi, królewska córka, wyróżniona przez Tezcatlipokę, zasiada u jego boku.

Potem przestrzegano tego zawsze, z wyjątkiem posiłków, które spożywałem z samym Montezuma. Co więcej, wkrótce całe miasto wiedziało, że Otomi „jest błogosławioną księżniczką, ulubioną Tezcatlipoki”. Tak bowiem mocno tkwił ów lud w szponach zabobonu, iż uważano, że jest największym zaszczytem dla pierwszej damy kraju towarzyszyć podczas posiłków temu, kto przez krótki czas uosabiał duszę świata. Tymczasem uczta trwała dalej, więc spytałem Otomi, co to wszystko znaczy.

- Niestety - odparła - nie rozumiesz tego, a ja nie śmiem ci teraz nic powiedzieć. Ale wiedz jedno - że choć jesteś teraz bogiem i możesz siedzieć, gdzie masz życzenie, to przyjdzie taki czas, że będziesz musiał leżeć tam, gdzie nie będziesz chciał. Słuchaj, kiedy skończymy kolację, powiedz, że masz ochotę przejść się po ogrodzie pałacowym i żądasz, żebym ci towarzyszyła. Może wtedy będziemy mogli porozmawiać.

A zatem gdy skończyła się uczta, oznajmiłem, że chcę się przespacerować po ogrodzie z księżniczką Otomi i wyszliśmy. Przechadzaliśmy się wśród wyniosłych drzew, z których gałęzi zwisały całuny szarych porostów, tak iż zdawało się, że cały las wypełnia armia starców o siwych brodach. Niestety, nie mogliśmy być sami, ponieważ o dwadzieścia kroków za nami podążał mój orszak z tancerkami i muzykami, którzy bez przerwy dmuchali w swe przekłete piszczałki. Na próżno starałem się ich uciszyć, tłumacząc, że jest czas na muzykę i tańce i czas, kiedy należy się od tego powstrzymać. Była to jedyna sprawa, w której nie chcieli mnie posłuchać. Od tamtej pory nie miałem z ich powodu ani chwili spokoju. Wtedy też dopiero zrozumiałem, jakim skarbem jest samotność.

Mimo to przechadzaliśmy się dalej i choć wszędzie ścigał nas hałas muzyki, wkrótce pograżyliśmy się w rozmowie.

- Musisz wiedzieć, Teule - rzekła Otomi, gdyż zwracała się tak do mnie

nadal, kiedy nikt nie słyszał - że panuje u nas zwyczaj, iż co roku wybiera się jednego spośród młodych jeńców, aby uosabiał boga Tezcatlipokę, który stworzył świat. Musi on spełniać tylko dwa warunki, a mianowicie musi pochodzić ze szlacheckiego rodu oraz być urodziwy, bez żadnych skaz. Tak się złożyło, że w dniu, w którym przybyłeś, miano wybrać nowego jeńca. Zdecydowano się na ciebie, ponieważ w twoich żyłach płynie szlachecka krew i nie ma w Anahuac piękniejszego mężczyzny niż ty, a także dlatego, iż pochodzisz z ludu Teule, dzieci Quetzalcoatl, o których doszło nas tyle wieści i których przybycia mój ojciec, Montezuma, lęka się tak, jak niczego innego na świecie. Kapłani myślą, że może odwrócisz od nas ich gniew i gniew bogów.

Potem Otomi przerwała, jak ktoś, kto chce coś powiedzieć, ale nie może znaleźć odpowiednich słów. Ja natomiast napuszyłem się jak paw, bo choć wiedziałem, że się nieźle prezentuję, nikt dotąd nie nazwał mnie pięknym, a teraz oświadczyła to ta śliczna księżniczka. Ale jak to zwykle bywa, pycha poprzedza upadek.

- Trzeba to powiedzieć, Teule - odezwała się znowu. - Żałuję, że to mnie przypadło o tym mówić, ale cóż, taki los! Będziesz przez rok rządził w Tenocitlan jako bóg i z wyjątkiem pewnych ceremonii, w których będziesz musiał brać udział, nie będziesz miał żadnych obowiązków. Każde twoje życzenie będzie rozkazem. Każdy, do kogo się uśmiechniesz, będzie to poczytywał za szczęście i błogosławił cię, nawet mój ojciec będzie cię traktował z szacunkiem, jak równego sobie, a nawet jako znakomitszą osobę. Będziesz mógł zażywać wszelkich rozkoszy, z wyjątkiem rozkoszy małżeństwa. Tę ostatnią poznasz dopiero w dwunastym miesiącu. Wtedy jednak twoimi żonami zostaną najpiękniejsze dziewczęta kraju.

- A kto je wybierze? - spytałem.

- Nie wiem. Nie znam takich tajemnic - odparła pospiesznie. - Czasami wybiera sam bóg, a czasami kapłani. Jak będzie, tak będzie. Ale posłuchaj reszty. Kiedy to usłyszysz, zapomnisz o wszystkim innym. Przez miesiąc po ślubie będziesz żył ze swymi żonami, a przez cały ten czas będą cię podejmować ucztami w najznakomitszych domach w mieście. Ostatniego dnia miesiąca umieszczą cię w królewskiej łodzi i powiozą przez jezioro do miejsca zwanego „Topnieniem Metali”. Stamtąd poprowadzą cię do *teocalli* zwanej „Domem Broni”, gdzie twoje żony pożegnają się z tobą na zawsze i tam, Teule - o, że też muszą to powiedzieć! - złożą cię w ofierze i zetną głowę, a potem zatkną ją na palu zwanym „Słupem Głów”.

Kiedy to usłyszałem, jęknąłem głośno i nogi ugięły się pode mną. Potem opanowała mnie ogromna wściekłość i zapominając o radach ojca, zacząłem przeklinać bóstwa tego kraju, i ludzi, którzy ich czcili, najpierw po aztecku i w języku Majów, a kiedy zabrakło mi słów, po hiszpańsku i po angielsku. Otomi, która usłyszała parę moich słów, a reszty się domyśliła, załamała ręce ze strachu i powiedziała:

- Błagam cię, nie przeklinaj bogów, bo spotka cię coś strasznego. Jeśli cię ktoś podsłucha, to pomyśla, że w twym ciele zamieszkał nie dobry, lecz zły duch i umrzesz nie za rok, lecz zaraz, a w dodatku na torturach. W każdym razie usłyszą cię bogowie, którzy są wszędzie.

- Niech usłyszą - odparłem. - To fałszywi bogowie, a kraj, który ich czci, jest przeklęty. I oni, i ich czciciele skazani są na potępienie. Nie dbam o to, czy mnie ktoś usłyszy - wszystko mi jedno, czy umrę teraz na torturach, czy będę żył jeszcze przez rok torturowany myślą o niechybnej śmierci. Ale umrę nie tylko ja, morze krwi wylanej przez waszych kapłanów woła o pomstę do nieba i prawdziwy Bóg pomści wszystkie ofiary.

Wrzeszczałem tak, oszalały ze strachu i bezsilnej złości, a Otomi stała przerażona i zdumiona mymi bluźnierstwami. Za nami brzmiały głosy piszczałek i płąsały tancerki. Kiedy tak się wściekałem, zobaczyłem, że Otomi przestała zwracać uwagę na to, co mówię i patrzy w stronę wschodu, jakby doznała objawienia. Poszedłem za jej spojrzeniem i zobaczyłem, że niebo na wschodzie pokryła jasność. Od linii horyzontu aż po połowę nieba tryskały iskry układające się w wachlarz, którego rączka spoczywała na ziemi, a pióra pokrywały całą wschodnią część nieboskłonu. Zamilkłem i stałem jak sparaliżowany. Kiedy tak stałem, z pałacu dobiegły okrzyki trwogi i we wszystkich drzwiach zaczęli tłoczyć się ludzie, aby zobaczyć złowieszczy znak. Wkrótce pojawił się, w otoczeniu możnowładców, Montezuma. W tym upiornym świetle widziałem, że drżą mu wargi i że nerwowo wykręca dłonie. Tymczasem nad miastem, na czystym niebie, zawiązała ognista kula, która zdawała się spoczywać na wieżach świątyń, oświetlając *teocalli* jak słońce. Niebawem zniknęła, ale pojawiło się nowe światło, bowiem stanęła w płomieniach świątynia Quetzalcoatl.

Wtedy rozległ się jeden wielki lament, zarówno na pałacowym wzgórzu Chapoltepec, jak i w mieście. Przestraszyłem się nawet ja, choć nie wiem dlaczego, gdyż owa światłość na niebie mogła być dziełem komety, a pożar świątyni mógł spowodować piorun.

Ale dla tych ludzi, szczególnie dla Montezumy, którego umysł opanowały wieści o nadejściu dziwnych, białych ludzi, którzy - jak trafnie orzekła to przepowiednia - mieli unicestwić jego imperium, znaki te zwiastowały nieszczęście. Jeśli zresztą mieli jakieś wątpliwości co do ich znaczenia, to niebawem wątpliwości owe zostały rozproszone, bo gdy staliśmy oniemiały z wrażenia, pojawił się posłaniec, klęknął przed władcą, a potem wyciągnął z zanadru zapisany pismem obrazkowym zwój i wręczył go jednemu z panów ze świty Montezumy. Król tak bardzo pragnął zapoznać się z jego treścią, że - wbrew przyjętym zwyczajom - wyrwał zwój z rąk doradcy i rozwinąwszy go, zaczął czytać przy złowróżnym świetle płonącego nieba i świątyni. Przeczytawszy, jęknął, na oczach wszystkich upuścił zwój i ukrył twarz w dłoniach. Przypadkiem zwój upadł blisko mnie. Ujrzałem na nim, niezbyt udolnie przedstawione, statki z hiszpańskim ożaglowaniem i ludzi w hiszpańskich zbrojach. Zrozumiałem, dlaczego Montezuma jęknął. Na wybrzeżu wylądowali Hiszpanie!

Kilku z jego doradców podeszło do niego, chcąc go pocieszyć, ale odtrącił ich mówiąc:

- Dajcie mi spokój! Płaczę, gdyż z dawna zapowiadane nieszczęście spadło na dzieci Anahuac. Synowie Quetzalcoatlą lądują na wybrzeżu mojego kraju i zabijają mój lud. Dajcie mi spokój!

W tym momencie przybiegł z pałacu inny posłaniec, ze smutkiem wymalowanym na twarzy.

- Mów! - rzekł Montezuma.

- Wybacz, o królu, temu, który przynosi takie wieści. Twoja siostra Papantzin przestraszyła się tego okropnego widoku - tu wskazał na niebo - i kona!

Kiedy władca usłyszał, że jego ukochana siostra umiera, nie rzekł nic, lecz okrywszy ramiona płaszczem, wrócił wolnym krokiem do pałacu.

Przez cały czas purpurowa poświata pokrywała, niczym nienaturalna jutrzeńka, całą wschodnią część nieba, a w mieście u naszych stóp płonęła świątynia Quetzalcoatlą.

Obróciłem się do księżniczki Otomi, która nadal stała obok mnie, dygocząc ze strachu.

- Czyż nie powiedziałem, księżniczko Otomi, że ten kraj jest przeklęty?

- Powiedziałeś to, Teule - odparła - i jest on przeklęty.

Potem wróciliśmy do pałacu, i nawet w tej godzinie trwogi podążali za mną grający na piszczałkach muzycy.

Rozdział XVI

ZMARTWYCHWSTANIE PAPANTZIN

Rankiem zmarła Papantzin. Pochowano ją z wielką pompą jeszcze tego wieczoru obok przodków na cmentarzu królewskim w Chapoltepec. Jednak, jak się wkrótce miało okazać, nie podobało jej się to sąsiedztwo. Tego samego dnia przekonałem się także, że życie boga nie składa się z samych przyjemności, albowiem musiałem opanować pewne sztuki, a głównie okropną sztukę muzykowania, do której nigdy nie czułem pociągu. Nie miałem jednak nic do powiedzenia w tej sprawie, bo zjawili się u mnie nauczyciele, starsi mężczyźni, którzy mogli znaleźć sobie jakieś lepsze zajęcie, wcisnęli mi do ręki lutnię i zaczęli udzielać wskazówek, co mam z tym robić. Chcąc nie chcąc, musiałem nauczyć się brzdąkać na tym instrumencie. Inni uczyli mnie pisania, poezji i sztuki azteckiej, ale tę wiedzę zdobywałem chętnie. Mimo to pamiętałem słowa kaznodziei, który głosił, iż ten, kto powiększa wiedzę, powiększa smutek, a poza tym nie widziałem wielkiego sensu w zdobywaniu wiedzy, która ma wkrótce razem ze mną spocząć na kamieniu ofiarnym.

Jeśli chodzi o sprawę ofiarowania, to początkowo byłem zupełnie zalamany, ale potem, przypomniawszy sobie wszystkie niebezpieczeństwa, z których wyszedłem cało i zdrowo, pomyślałem, że może uda mi się uniknąć i tego. W każdym razie śmierć była jeszcze odległa, a na razie byłem bogiem. Postanowiłem więc, że bez względu na to, czy zginę czy będę żył dalej, powinienem, dopóki żyję, używać, ile się da. Nikt nie miał nigdy takich możliwości w tym względzie jak ja i nikt nie wykorzystałby ich lepiej. Gdyby nie pamięć o utraconej na zawsze ukochanej i o domu, którego już nie zobaczę, czułbym się prawie szczęśliwy. Ale muszę wracać do przerwanej wątku.

Po śmierci Papantzin i w pałacu, i w mieście panował wielki ferment. Wszyscy byli wystraszeni dziwnymi zjawiskami i nadchodzącymi wieściami. Co noc rozświetlał niebo złowieszczy płomień, co dzień donoszono o nowym dziwie czy złej wróżbie, a towarzyszyły temu opowieści o niesamowitych wyczynach Hiszpanów, przez większość uważanych za białych bogów, synów Quetzalcoatla, którzy przybyli, aby odebrać z powrotem kraj należący niegdyś do ich ojca.

Najbardziej przeżywał to król, który podczas tych dni prawie nie jadł i nie spał. Był w tak kiepskim stanie, że wysłał posłów do swego starego przeciwnika, mądrego i zawziętego Nezy, króla Tezcuco, prosząc go o

przybycie na rozmowy. Neza przyjął zaproszenie i zjawił się w Chapoltepec. Był to starzec o tak palącym spojrzeniu, że aż strach było patrzeć mu w oczy. Byłem obecny przy spotkaniu obu władców, bo jako bóg mogłem robić w pałacu, co mi się podobało i nawet przysłuchiwać się naradom króla z wielmożami. Po spożytej wspólnie uczcie, Montezuma opowiedział Nezie o zwiastujących nieszczęście znakach i o przybyciu Hiszpanów, a potem poprosił go, aby swą mądrością rozjaśnił otaczające jego umysł ciemności. Neza pogładził swą długą siwą brodę i odparł, że choć Montezumie na pewno jest ciężko na sercu, to niebawem będzie jeszcze ciężej.

- Widzisz, panie - powiedział - jestem tak pewien, że dni naszego imperium są policzone, że zagram z tobą w kości o moje królestwa, które i ty, i twój przodek zawsze chcieliście podbić.

- A co ja mam postawić? - spytał Montezuma.

- Zagramy tak - odparł Neza. - Postawisz trzy koguty przygotowane do walk. Jeśli wygram, wezmę tylko ich pazury. Ja natomiast stawiam przeciw nim całe imperium Tezcucó.

- To nierówne stawki - rzekł Montezuma. - Kogutów jest wiele, a królestw mało.

- Mimo to szanse są równe - odparł starzec - bo musisz wiedzieć, że gramy przeciwko przeznaczeniu. Jaki będzie wynik gry, taki spotka nas los. Jeśli wygrasz moje królestwa, wszystko będzie dobrze, ale jeśli ja wygram twoje koguty, to będzie to oznaczało koniec chwały Anahuac, gdyż twój lud przestanie być wolnym ludem, a twoje ziemie posiadą obcy przybysze.

- A więc zagramy i zobaczymy - powiedział Montezuma i zeszli na dół, w miejsce zwane tlachco, gdzie uprawia się gry. Tam zaczęli rzucać kości. Na początku szczęście sprzyjało Montezumie, tak że wykrzyknął z radością, że jest już władcą Tezcucó.

- Oby tak było! - odparł sędziwy Neza i od tego momentu losy gry się odwróciły. Chociaż Montezuma starał się, jak mógł, nie zdobył już ani jednego punktu. Wkrótce gra się skończyła i Neza wygrał koguty. Rozległa się muzyka i do króla Tezcucó zaczęli podchodzić dworzanie, aby pogratulować mu zwycięstwa. On jednak podniósł się, westchnął i powiedział:

- Wolałbym stracić swoje królestwa niż wygrać te ptaki, bo gdybym stracił swoje ziemie, to przeszłyby przynajmniej w ręce człowieka mojej rasy. Ale niestety, i moje, i jego posiadłości znajdą się w rękach przybyszów, którzy obalą naszych bogów i nawet nasze imiona skażą na zapomnienie.

Powiedziawszy to, pożegnał się z Montezumą i odjechał do swego kraju, gdzie zmarł krótko potem, nie doczekawszy spełnienia swego proroctwa.

Rankiem, w dniu jego odjazdu, nadeszły dalsze wieści o poczynaniach Hiszpanów, które jeszcze bardziej zatrwożyły Montezumę. Posłał zaraz po astrologa słynącego w całym kraju z trafnych przepowiedni. Kiedy astrolog przyszedł, zamknął się z nim i rozmawiali sam na sam. Nie wiem, co usłyszał, ale na pewno nic pocieszającego, bo jeszcze tego wieczoru wysłano ludzi, którzy zburzyli dom wieszczą, grzebiąc go samego pod ruinami.

Dwa dni po śmierci astrologa Montezuma uświadomił sobie, że przecież ja też jestem - jak święcie wierzył - Teule i mogę mu udzielić jakichś informacji. Przysłał więc po mnie o zachodzie słońca i zaprosił na wspólną przechadzkę po ogrodzie. Poszedłem tam, a za mną moja świta i muzycanci, którzy nigdy nie zostawiali mnie w spokoju, ale król kazał im stanąć na uboczu, gdyż chciał ze mną porozmawiać bez przeszkód. Zaczął się przechadzać w cieniu potężnych cedrów, a ja szedłem krok za nim.

- Teule - odezwał się w końcu - opowiedz mi o swych rodakach i wyjaśnij, po co tu przybyli. Ale pamiętaj, mów prawdę.

- Oni nie są moimi rodakami, o Montezumo - odparłem - choć moja matka pochodziła z ich kraju.

- Czyż nie kazałem ci mówić prawdy, Teule? Jeśli twoja matka należała do tego narodu, to i ty musisz do niego należeć, bo czyż nie jesteś krew z krwi i kość z kości matki swojej?

- Jak sobie życzysz, królu - odparłem z ukłonem, po czym zacząłem mu opowiadać o Hiszpanach, o ich kraju, o ich potędze, okrucieństwie i żądzy złota, a on pilnie słuchał, choć myślę, że nie bardzo mi wierzył, gdyż lęk przed Hiszpanami uczynił go bardzo podejrzliwym. Kiedy skończyłem, spytał:

- Dlaczego przybyli tu, do Anahuac?

- Obawiam się, królu, że przybyli po to, aby podbić ten kraj, a przynajmniej zrabować jego skarby i zniszczyć jego religię.

- Co mi zatem radzisz, Teule? Jak mam się bronić przed tymi potężnymi ludźmi, którzy zakuci są w metal, jeżdżą na srogich, dzikich bestiach, mają instrumenty grzmiące niczym grom, na głos których ich przeciwnicy padają całymi setkami, a w dłoniach dzierżą broń ze lśniącego srebra? Niestety, nie ma przed nimi obrony, gdyż są dziećmi Quetzalcoatlą i przybyli tu, aby odebrać z powrotem ten kraj. Od dzieciństwa wiedziałem, że to niebezpieczeństwo mi zagraża. Teraz nadeszło.

- Jeśli ja, który jestem tylko bogiem, mogę powiedzieć coś panu tej

ziemi - odparłem - to powiem, że rozwiązanie jest proste. Sile trzeba przeciwstawić siłę. Jest ich niewielu, każdemu z nich możesz przeciwstawić tysiąc swoich wojowników. Uderz na nich zaraz, dopóki powodzenie nie zjedna im przyjaciół. Nie zwlekaj, możesz ich zmiażdżyć.

- Oto rada tego, którego matką była Teule - odparł z gorzką ironią. - Powiedz mi teraz, doradco, skąd mam wiedzieć, że walcząc przeciw nim nie będę walczył przeciw bogom? Jak mam się dowiedzieć, jakie są cele i pragnienia ludzi czy bogów, którzy nie znają mojego języka i których języka ja nie znam?

- To nic trudnego, Montezumo - powiedziałem. - Ja znam ich język. Wyślij mnie do nich, a dowiem się tego.

Kiedy to mówiłem, w sercu obudziła mi się nadzieja, bo gdybym znalazł się wśród Hiszpanów, może udałoby mi się uniknąć kamienia ofiarnego. Poza tym wydawali mi się ogniwem łączącym mnie z ojczyzną. Przyplłynęli tu na statkach, a statki mogły przebyć z powrotem tę drogę. Choć na razie moje położenie nie było bynajmniej przykre, ucieszyłbym się bardzo, mogąc znaleźć się na powrót między chrześcijanami.

Montezuma przyglądał mi się przez chwilę, a potem powiedział:

- Musisz mnie uważać za głupca, Teule. Co, mam cię wysłać do twoich rodaków, żebyś opowiedział im o moim strachu i pokazał słabe miejsca w mej zbroi? Myślisz może, że nie wiem, iż jesteś szpiegiem przysłanym tu przez tych Teule, aby poznać mój kraj? Głupcze, wiedziałem o tym od początku i, na Huitzelcoatla, gdyby nie to, że poświęcono cię Tezcatlipoce, twoje serce dymiłoby jutro na ołtarzu Huitzelcoatla! Niech to będzie dla ciebie ostrzeżeniem. Jeśli nie chcesz, by twój koniec nadszedł szybciej, niż się spodziewasz, nie dawaj mi więcej fałszywych rad. Dowiedz się, że zadałem ci te pytania celowo, na polecenie bogów, które było zapisane w sercach ofiar złożonych dzisiaj. Bogowie kazali mi dowiedzieć się, co myślisz i odrzucić wszelkie rady, które chciałbyś mi dać. Radzisz mi walczyć z Teule'ami, więc nie będę z nimi walczył, lecz powitam ich darami i miłymi słowami, bo wiem dobrze, że chciałbyś, abym zrobił to, co doprowadziłoby mnie do ruiny.

Mówił cicho, ale gniewnie, ze zwieszoną głową i rękami skrzyżowanymi na piersi i widziałem, że trzęsie się z pasji. Nawet wtedy, choć byłem bogiem, jedno skinienie tego potężnego króla mogło oznaczać dla mnie śmierć w mękach, ale nie mogłem się nadziwić jego głupocie, tym bardziej że w innych sprawach wykazywał dużą roztropność. Dlaczego nie

ufał mi i pozwalał, aby przesąd prowadził go ku zagładzie? Dziś znam na to odpowiedź. Montezuma nie był panem swojej woli, kierowało nim przeznaczenie i przeznaczenie przemawiało przez jego usta. Bogowie Azteków byli fałszywymi bogami, ale wierzę, że istniało w nich życie i inteligencja, gdyż w tych wstrętnych kamiennych bałwanach mieszkaly diabły i kapłani nie kłamali, mówiąc, iż ofiary z ludzi były mile tym bogom.

Od tych diabłów król zasięgał, za pośrednictwem kapłanów, rady i rada ta była fałszywa, bowiem Ten, który jest potężniejszy od nich, zdecydował, że muszą zostać zniszczone, a z nimi ich czciciele.

Kiedy rozmawialiśmy, zaszło słońce i wszystko okryła ciemność, lecz ostatnie jego blaski oświetlały jeszcze pokryte śniegiem zbocza Popocatepetl i Ixtac, barwiąc je na czerwono. Nigdy jeszcze kształt martwej kobiety, którą przypominała Ixtac, nie rysował się tak wyraźnie. Nie wiem, czy było tak rzeczywiście, czy też obraz ten narzuciła mi wyobraźnia, ale naprawdę widziałem zbroczone krwią, przygotowane do pochówku zwłoki kobiety. Zresztą nie tylko ja odniosłem takie wrażenie, bo kiedy Montezuma zakończył swą tyradę, podniósł głowę i ujrzawszy wulkan, zamarł.

- Spójrz, Teule - powiedział z ponurym śmiechem - tam leży trup narodów Anahuac, skąpany w krwi i gotowy do pogrzebu. Czy nie jest straszny w godzinie śmierci?

Powiedziawszy to, odwrócił się, aby odejść, gdy wtem od strony góry dobiegło nas okropne zawodzenie. Ten przerażający, jakby nie z tej ziemi dźwięk, zmroził mi krew w żyłach. Montezuma z trwogi chwycił mnie za rękę. Spojrzeliśmy na górę i wydało nam się, że zakrwawiona postać kobiety unosi się z mar. Podnosiła się powoli, jak ktoś zbudzony z głębokiego snu i wkrótce stanęła, wyprostowana sztywno, na szczycie. Stała tam, olbrzymi, żywy trup, w przesiąkniętym krwią całunie, a my patrzyliśmy, trzęsąc się ze strachu.

Widmo stało tak przez chwilę, spoglądając na Tenocitlan, a potem nagle wyrzuciło, jakby w rozpacz, potężne ramiona w górę i w tej samej chwili okryła je noc, a zawodzenie z wolna ustało.

- Powiedz, Teule - wykrztusił władca - czy nie mogę się nie bać, gdy codziennie widzę takie złowróźbne widoki? Posłuchaj, jaki lament dobiega z miasta. Nie tylko my to widziliśmy. Płacz, mój ludu, a wy, kapłani, módlcie się i składajcie ofiary, bo zbliża się dzień zagłady. O Tenocitlan, królowo miast, widzę cię leżącą w gruzach i opuszczoną, twoje pałace

osmalone ogniem, twoje świątynie zbezczeszczone, twoje piękne ogrody zarosnięte dzikimi chaszczami! Widzę, jak kobiety ze szlachetnych rodów stają się nałożnicami a księżęta sługami obcych panów, jak kanały spływają krwią dzieci a bramy wypełniają stopy kości. Śmierć jest wszędzie wokół ciebie, hańba twoim chlebem powszednim a strapienie napojem. Żegnaj, królowo miast, kolebko moich przodków!

Kiedy Montezuma tak lamentował, wzeszedł ogromny księżyc i jego blade światło zaczęło przenikać przez udrapowane w upiorne szaty z mchu gałęzie cedrów. Ukazało wysoką postać Montezumy, jego nieprzytomną twarz i gestykujące w wieszczym szale chude ręce, załśniło na mych przetykanych złotem szatach i wydobyło z mroku śmiertelnie przerażonych dworzan i muzyków, którzy zapomnieli o muzyce. Zerwał się również lekki wiatr, zawodząc smutno w koronach potężnych drzew. Nigdy nie widziałem bardziej niesamowitej i przejmującej grozą sceny niż widok tego monarchy, rozpaczającego nad upadkiem swego ludu. Na razie nie spotkało go żadne nieszczęście, ale wiedział, że zagłada jest nieuchronna.

Jednak owa noc dziwów nie skończyła się jeszcze.

Kiedy Montezuma skończył swe proroctwo, zapytałem pokornie, czy mam zawołać jego orszak, który czekał w pewnej odległości.

- Nie - odparł. - Nie chcę, żeby widzieli mnie ze smutkiem i lękiem na twarzy. Wszyscy mogą się trwożyć, ale przynajmniej ja muszę udawać odwagę. Przejdź się ze mną jeszcze kawałek, Teule, i jeśli chcesz mnie zamordować, to przyjmę to bez smutku.

Nic nie odpowiedziałem, lecz poszedłem za nim. Wybrał najciemniejszą z krętych ścieżek biegnących pod cedrami, tak że gdybym faktycznie chciał go zabić, to mógłbym to zrobić bez trudu, ale nie przypuszczałem, aby mi to coś dało. Poza tym, mimo iż wiedziałem, że jest mi nieprzyjazny, wzdrygnąłem się na samą myśl o morderstwie. Szedł tak, bez słowa, przez dobrą milę, to w cieniu drzew, to przez otwartą przestrzeń, porośniętą pięknymi kwiatami, aż w końcu doszedł do wrót cmentarza, na którym grzebano członków królewskiego rodu. Przed wrotami znajdował się placyk porośnięty trawą, który jasno oświetlały promienie księżyca. Pośrodku tego placyku leżał jakiś biały przedmiot, kształtem przypominający kobietę. Tam Montezuma zatrzymał się, popatrzył na bramę i powiedział:

- Cztery dni temu brama ta otworzyła się, aby przyjąć moją siostrę

Papantzin. Ciekaw jestem za ile czasu otworzy się, aby przyjąć mnie.

Tymczasem ów biały kształt, którego Montezuma nie widział, poruszył się, jakby był to człowiek budzący się ze snu. Poruszył się tak, jak ów śnieżny kształt na górze, podniósł się tak, jak tamta zjawia i tak jak ona, wyrzucił w górę ramiona. Teraz dopiero dostrzegł go Montezuma i zadrżał. Ja też zadrżałem. Potem ta kobieta - gdyż była to kobieta - podeszła wolno do nas i kiedy się zbliżyła, ujrzałem, że jest owinięta w całun. Podniosła głowę i światło księżycy padło na jej twarz. Jęknęliśmy, bo była to chuda i blada twarz księżniczki Papantzin - Papantzin, którą przed czterema dniami złożono w grobie. Szła do nas takim krokiem, jakby pogrążona była w śnie. Zatrzymała się przed krzakiem, w którego cieniu staliśmy. Spojrzała na nas niewidzącym wzrokiem.

- Jesteś tu, Montezumo, mój bracie? - spytała Papantzin. - Nie widzę cię, ale czuję twoją obecność.

Montezuma wyszedł z cienia i stanął twarzą w twarz ze zmarłą, czy z jej duchem.

- Kim jesteś - spytał - ty, która masz kształt zmarłej i nosisz jej szaty?

- Jestem Papantzin - odparła - i powstałam z martwych, aby przekazać ci wieść, mój bracie.

- Jaką wieść mi przynosisz? - spytał szorstko.

- Przynoszę ci, bracie, wieść o zagładzie. Twoje imperium upadnie i wkrótce umrzesz, a twojej śmierci będzie towarzyszyła śmierć dziesiątków tysięcy twoich poddanych. Przez cztery dni przebywałam wśród umarłych i tam widziałam twoich fałszywych bogów, którzy są demonami. Widziałam tam kapłanów, którzy im służyli i ludzi, którzy ich czcili, poddanych okrutnym męczarniom. Lud Anahuac jest skazany na zagładę dlatego, że czcił tych fałszywych bogów.

- Nie masz dla mnie ani jednego słowa pocieszenia, Papantzin?

- Nie - odparła. - Może jeśli porzucisz fałszywą wiarę, twoja dusza zostanie ocalona, ale nic nie może ocalić twego życia ani życia twoich poddanych.

Potem odwróciła się i zniknęła w cieniu drzew. Słyszałem szelest jej całunu na trawie.

Montezumę ogarnął szal. Zaczął krzyczeć:

- Bądź przeklęta, Papantzin! Po co wracasz pomiędzy zmarłych, skoro przynosisz mi takie wieści? Gdybyś przyniosła nadzieję, gdybyś

pokazała drogę ratunku, wtedy powitałbym cię z radością. Wracaj do zmarłych i niech ci ziemia ciężką będzie! Moich bogów czcili moi przodkowie i ja będę ich czcił do końca, a jeśli oni mnie opuszczą, to przynajmniej ja ich się nie wyrzeknę. Bogowie są źli, gdyż za mało ofiar składa się na ich ołtarzach. Od tej pory ofiary będą podwojone. Tak, sami kapłani zostaną złożeni w ofierze, ponieważ zaniedbują swoje obowiązki!

Szalał tak, jak każdy słaby człowiek otumaniony strachem, a jego świąta, która dotąd podążała za nami w pewnym oddaleniu, skupiła się wokół niego przerażoną gromadką. W końcu, szarpiąc swe szaty i wyrwijając włosy z głowy, Montezuma zachwiał się i, powalony atakiem, padł na ziemię.

Odnieśli go do pałacu i przez trzy dni i noce nikt go nie widział. Jednak to, co mówił o ofiarach dla bogów, nie było czczą pogróżką, gdyż od owej nocy ofiary w całym kraju zostały podwojone. Na ołtarze Anahuac kładł się już głęboko cień krzyża, ale w niebo wciąż buchał dym ognisk ofiarnych, a wokół *teocalli* rozbrzmiewały rozpaczliwe krzyki brańców. Zbliżała się ostatnia godzina panowania bogów demonów, ale na razie zbierali swe ostatnie żniwa, i były one obfite.

Ja, Tomasz Wingfield, widziałem te wszystkie dziwy na własne oczy, ale nie potrafię powiedzieć, czy były to rzeczywiście przestrogi nieba czy też złudzenia spowodowane jakimiś niezwyklejmi zjawiskami przyrody. Kraj znajdował się w kleszczach strachu i być może umysły porażone trwogą znajdowały głębokie znaczenie w zjawiskach, które w innych warunkach nie zostałyby w ogóle dostrzeżone. To, że Papantzin powstała z martwych jest prawdą, choć niewykluczone, że nie zmarła ona, lecz tylko omdlała lub zapadła w letarg. W każdym razie nieszybko wróciła do królestwa zmarłych, bo choć nigdy już jej nie ujrzałem, słyszałem, że żyła jeszcze długo, została chrześcijanką i opowiadała niesamowite historie o tym, co zobaczyła w krainie śmierci *.

* W kwestii historii zmartwychwstania Papantzin, patrz przypis do francuskiego przekładu (pióra Jourdaneta) Fray Bernardino Sahaguna *Historii Nowej Hiszpanii*, s. 870 (przyp. autora).

Rozdział XVII

WYBÓR ŻON

Między wybraniem mnie na żywe wcielenie boga Tezcatlipoki a wejściem Hiszpanów do Meksyku upłynęło kilka miesięcy, a przez cały ten czas w mieście wrzało. Montezuma stale słał nowych posłów do Cortesa, składając mu ogromne dary w złocie i klejnotach i błagając go, aby się wycofał, gdyż w swej głupocie nie rozumiał, że wydając się ze swymi bogactwami w istocie zwabia tylko drapieżcę. Cortes dawał posłom uprzejme odpowiedzi i niewiele warte prezenty, i to wszystko.

Potem zaczął się pochód Cortesa i Montezuma dowiedział się z przerażeniem o podboju wojowniczego plemienia Tlascalan, którzy byli odwiecznymi wrogami Azteków, ale stawili białym czoła. Wkrótce nadeszły nowe wieści. Oto podbici Tlascalanie z wrogów przeistoczyli się w sprzymierzeńców Hiszpanów i tysiące ich najbitniejszych wojowników oblegały z Cortesem święte miasto Cholula. Niedługo potem wiadomo już było, że mieszkańcy Cholula zostali wyrznięci, a święte, a raczej piekielne, posągi bogów wyrzucono ze świątyni. O Hiszpanach, ich sile i odwadze, o zbrojach, które nosili, o huku, jaki czyniła ich broń podczas bitew i o dzikich bestiach, których dosiadali, krążyły fantastyczne opowieści. Pewnego razu przysłano Montezumie głowy dwóch białych zabitych w jakiejś potyczce, kudłate, brodate, groźnie wyglądające głowy, a także głowę konia. Kiedy Montezuma je zobaczył, niemal zemdlął z przerażenia, ale mimo to kazał je zatknąć na pinaklach głównej świątyni i oznajmił, że taki los czeka każdego najeźdźcę.

Tymczasem prowadził chaotyczną politykę. Codziennie zwoływał narady, a to z udziałem wielmożów, a to kapłanów, a to sąsiednich, przyjaźnie nastawionych władców. Jedni radzili to, inni tamto i w rezultacie król wahał się i robił głupstwa. Ach, gdyby posłuchał zamiast nich Guatemoca, to dziś Anahuac nie byłby w rękach Hiszpanów. Albowiem Guatemoc bez przerwy błagał go, aby odrzucił obawy i zanim będzie za późno, wypowiedział Teule'om otwartą wojnę, aby zamiast słać do nich posłów z darami, zebrał swą ogromną armię i uderzył na wroga, gdy ten będzie przechodził przez góry.

Jednak odpowiedź Montezumy była wciąż ta sama:

- Co to da, bratanku? Jak mogę walczyć z tymi ludźmi, skoro po ich stronie opowiedzieli się bogowie? Bogowie mogą wziąć stronę swych

czcicieli, jeśli tego zechcą, a jeśli nie zechcą, to nie dbam o swój los, ale co będzie z moim ludem, z kobietami, dziećmi, starcami i kalekami?

Potem krył twarz w dłoniach i płakał jak dziecko, a Guatemoc, widząc taką głupotę, odchodził i zgrzytał z wściekłości zębami, ale nie mógł nic na to poradzić. Tak jak ja, uważał, że niebo zesłało na Montezumę szaleństwo, aby doprowadzić kraj do ruiny. Trzeba przy tym pamiętać, że choć, będąc bogiem, wiedziałem o wszystkim, co się dzieje, to byłem zaledwie pęcherzykiem piany na tej wielkiej fali wydarzeń, która od dwóch pokoleń przewalała się przez Anahuac. Byłem co prawda pęcherzykiem na grzbiecie tej fali, ale w owym czasie miałem na nią taki sam wpływ, jak piana na falę pędzącą do brzegu. Montezuma nie ufał mi, uważając mnie za szpiega, kapłani odnosili się do mnie jak do boga i nic więcej, tylko mój przyjaciel Guatemoc i Otomi, która się we mnie skrycie kochała, dawali mi wiarę. Z nimi też często rozmawiałem, ukazując im prawdziwe znaczenie tego, co rozgrywa się na naszych oczach. Oni jednak byli równie bezsilni jak ja, bo choć Montezuma stracił zupełnie rozsądek, to nadal posiadał władzę i prowadził nawę państwową to w tę, to w drugą stronę, zupełnie jak ster, porzucony przez sternika i kierujący statek ku zgubie.

Lud był przerażony i bał się tego, co przyniesie przyszłość, ale mimo to, a może właśnie dzięki temu, oddawał się gorączkowo wszelakim uciechom, przeplatanych uroczystościami religijnymi. W owych dniach przed żadnym ołtarzem nie zabrakło ofiar. Jak rzeka, która przyspiesza bieg przed przepaścią, w którą musi wpaść, tak lud Meksyku, stojąc przed nieuchronną zagładą, jakby się obudził i żył tak intensywnie, jak nigdy dotąd. Całymi dniami ze szczytów setki świątyń dobiegały krzyki ofiar, całymi nocami ulice rozbrzmiewały gwarem zabaw. Jedzmy i pijmy - mówiono - gdyż zamorscy bogowie siedzą nam na karku i jutro zginiemy. - Kobiety, które uchodziły za cnotliwe, okazywały się dziwkami, mężczyźni uważani dotąd za ludzi honoru łajdakami i nikt nie wołał o karę dla nich, ba, na ulicach można było nawet spotkać pijane dzieci, co normalnie napawało Azteków wstrętem. Władca przeniósł swą siedzibę z Chapoltepec do pałacu na wielkim placu naprzeciw świątyni. Pałac ten był miastem w mieście, bo co noc spało w nim ponad tysiąc osób, nie mówiąc już o karłach i setkach dzikich zwierząt i ptaków w kłatkach. Ucztowałem tam codziennie z przeróżnymi ludźmi, a kiedy miałem dość uczt, wychodziłem na ulice i, odziany w błyszczące szaty, w otoczeniu wielmożów i paziów, przechadzałem się po nich, grając na lutni, bo posiadałem już w pewnym stopniu

umiejętność brzdąkania na tym wstrętnym instrumencie. Ludzie wychodzili ze swych domostw i kłaniali mi się z czcią, dzieci obrzucały mnie kwiatami, a dziewczyny tańczyły przede mną i całowały mnie po rękach i stopach. W końcu zbierał się tłum złożony co najmniej z tysiąca osób. Ja też tańczyłem i darłem się jak wiejski przygłupek. Myślę teraz, że był to z mojej strony rodzaj czarnego humoru, choć niewykluczone, że okazywana mi cześć uderzyła mi do głowy i zachowywałem się jak pijany. Poza tym chciałem zapomnieć o zmartwieniach, o tym, że mam być złożony w ofierze i że każdy dzień przybliżył mnie do kapłana z zakrwawionym nożem w dłoni.

Chciałem zapomnieć, lecz, niestety, nie mogłem. *Mescal* i *pulque*, które piłem podczas uczt, szybko wyparowywały mi z głowy, nie poruszał mnie ani zapach kwiatów, ani widok pięknych dziewcząt, ani adoracja, którą otaczał mnie tłum. Myślałem tylko o czekającym mnie losie i tęskniłem do ukochanej i do domu. Myślę, że gdyby nie życzliwość Otomi, pękłoby mi serce albo zabiłbym się. Ale ona zawsze była obok mnie, aby mnie pocieszyć i od czasu do czasu rzucała jakieś słowo nadziei, które sprawiało, że moje serce zaczynało żywiej bić. Wspomniałem już, że kiedy po raz pierwszy znalazłem się na dworze Montezумы, Otomi bardzo mi się spodobała. Podobała mi się nadal, ale serce miałem tak wypełnione strachem, że nie było w nim miejsca na żadne żywsze uczucia dla niej czy dla jakiegokolwiek innej kobiety. Prawdę mówiąc, kiedy nie byłem pijany albo oszołomiony adoracją, kierowałem myśli ku niebu i starałem się pojednać z Bogiem, bo wiedziałem, że niedługo będę potrzebował jego opieki.

Niezależnie od tego dużo rozmawiałem z Otomi, tłumacząc jej zasady mojej wiary, jak niegdyś Marinie, która tymczasem - jak wieść niesła - została kochanką i tłumaczką przywódcy Hiszpanów, Cortesa. Otomi słuchała mnie uważnie, spoglądając na mnie czule, ale nic nie mówiąc, gdyż była równie skromna, jak piękna i dumna.

Tak oto układały się sprawy aż do czasu, gdy Hiszpanie wyruszyli z Choluli do Meksyku. Wtedy to siedziałem któregoś ranka w ogrodzie z lutnią w ręku, otoczony - trzymającymi się w pewnej, podyktowanej czcią dla mojej osoby, odległości - nauczycielami i wielmożami. Z miejsca, gdzie siedziałem, widziałem wejście do pałacu, w którym władca spotykał się codziennie ze swymi doradcami i zauważyłem, że po wyjściu książąt, zaczęli się schodzić kapłani, a po nich bardzo ładne dziewczęta pod opieką starszych kobiet. Niebawem nadszedł książę Guatemoc. Nie uśmiechał się

często, ale tym razem był uśmiechnięty od ucha do ucha. Spytał, czy wiem, co się tam dzieje. Odparłem, że nie wiem i nic mnie to nie obchodzi, ale przypuszczam, że Montezuma zbiera znowu jakieś szczególne skarby, aby posłać je Hiszpanom.

- Uważaj na to, co mówisz, Teule - rzekł ksiązę wyniośle. - Twoje słowa mogą być prawdziwe, a jednak gdybym cię nie lubił, pożałowałbyś ich, choć przebywa w tobie duch Tezcatlipoki. Niestety! - dodał, uderzając nogą w ziemię. - Niestety, szaleństwo mego wuja sprawia, że w ogóle można mówić coś takiego. Och, gdybym to ja był władcą Anahuac, za tydzień głowy wszystkich Teule w Cholula zdobyłyby wieżyczki tej świątyni!

- Uważaj na to, co mówisz, ksiązę - powiedziałem, przedrzeźniając go - bo są tu tacy, którzy mogliby sprawić, że ty pożałowałbyś swych słów, gdyby doszły do ich uszu. Tym niemniej pewnego dnia możesz zostać władcą i wtedy zobaczymy, a przynajmniej inni zobaczą, jak sobie poradzisz z Teule'ami. Ale co się tam teraz dzieje? Czyżby Montezuma wybierał sobie nowe żony?

- Wybiera żony, ale nie dla siebie. Widzisz, Teule, twój czas się kurczy. Montezuma i kapłani wybierają te, które muszą zostać twoimi żonami.

- Moimi żonami! - wykrzyknąłem, zrywając się na równe nogi. - Moją oblubienicą jest śmierć! Co mnie obchodzi miłość czy małżeństwo? Za parę krótkich tygodni będę musiał znaleźć się na kamieniu ofiarnym. Ach, Guatemoku, mówisz, że mnie lubisz a kiedyś uratowałem ci życie. Gdybyś mnie lubił, uratowałbyś mnie teraz, jak przysięgałeś.

- Przysięgałem, że jeśli będę mógł, oddam za ciebie swe życie, Teule, i dotrzymałbym tej przysięgi, bo nie wszyscy tak cenią swoje życie, jak ty. Niestety, nie mogę ci pomóc. Zostałeś poświęcony bogom i nawet gdybym zginął sto razy, nie odwróciłoby to twego losu. Nic nie może cię uratować, chyba tylko ręka nieba. Dlatego, Teule, ciesz się życiem, dopóki możesz i umrzyj dzielnie, kiedy będziesz musiał. Nie jesteś w gorszym położeniu niż ja i wielu innych, bo nas też czeka śmierć. Żegnaj!

Kiedy odszedł, udałem się do komnaty, gdzie udzielałem audiencji tym, którzy chcieli zobaczyć boga Tezcatlipokę. Usiadłem na złoczonej kanapie i zapaliłem fajkę. Byłem sam, gdyż nikt nie śmiał tam wejść bez mojego pozwolenia. Wkrótce zjawił się przywódca moich paziów i oznajmił, że ktoś chce ze mną mówić. Skinałem głową, dając znak, że ów ktoś może wejść, gdyż byłem pogrążony w smutnych myślach. Paż wyszedł i po chwili stanęła przede mną zawoalowana kobieta. Spojrzałem na nią z ciekawością, po czym kazałem odsłonić woalkę i mówić. Spełniła mój rozkaz

i okazało się, że jest to księżniczka Otomi. Podniosłem się zdumiony, gdyż nigdy nie odwiedzała mnie sama. Domyśliłem się, że albo przynosi jakieś niezwykle nowiny, albo postępuje zgodnie z nieznanym mi obyczajem.

- Proszę cię, usiądź - powiedziała zmieszana. - Nie przystoi, żebyś stał przede mną.

- A dlaczego nie? - odparłem. - Gdybym nie miał szacunku dla twojej godności, to na pewno zmusiłaby mnie do tego twoja uroda.

- Dość słów - odparła, machnąwszy szczupłą dłonią. - Przyszłam tu, o Tezcatlipoco, zgodnie ze zwyczajem, ponieważ mam ci przekazać ważną wiadomość. Wybrano już dziewczęta, które masz poślubić. Przynoszę ci ich imiona.

- Mów, księżniczko Otomi.

- Są to... - tu wymieniła nazwiska trzech kobiet, które należały do najpiękniejszych w kraju.

- Myślałem, że będą cztery - powiedziałem, śmiejąc się gorzko. - Czyżby pozbawiono mnie czwartej?

- Jest i czwarta - odparła i umilkła.

- Podaj mi jej imię! - krzyknąłem. - Jaką jeszcze dziwkę znaleziono dla zbrodniarza, który ma wkrótce umrzeć na kamieniu ofiarnym?

- Taką, o Tezcatlipoco, która nosi inne tytuły niż ten, który jej nadałeś.

Spojrzałem na nią badawczo. Powiedziała cicho:

- Ja, Otomi, księżniczka Otomich, córka Montezumy, jestem tą czwartą, a jednocześnie twoją pierwszą żoną.

- Ty? - powiedziałem, opadając na poduszki. - Ty!

- Tak, ja. Słuchaj - zostałam wybrana przez kapłanów, jako najładniejsza dziewczyna w kraju, choć niezasłużenie. Mój ojciec rozzłościł się i powiedział, że bez względu na to, co się zdarzy, nigdy nie zostanę żoną jeńca, który ma umrzeć na ołtarzu. Jednak kapłani odrzekli, że teraz, kiedy bogowie się gniewają, nie można robić wyjątku dla osoby z jego krwi. „Czy można odmówić bogu pierwszej piękności kraju?” - spytali. Wtedy ojciec westchnął i powiedział, że będzie tak, jak ja sobie zażyczę. Odparłam na to, że zgadzam się z kapłanami, bo w tej bolesnej dla nas chwili dumni muszą zapomnieć o swej dumie i znieść pokornie swój los, choćby oznaczało to nawet poślubienie niewolnika, który został nazwany bogiem i przeznaczony na ofiarę. Tak więc ja, księżniczka Otomich, zgodziłam się zostać twoją żoną, choć może gdybym знаła to, co teraz odczytuję w twoim

spojrzeniu, nie wyraziłabym na to zgody. Może w tym czasie hańby miałam nadzieję znaleźć miłość, choćby na jedną, krótką godzinę, i chciałam postąpić wbrew przyjętemu zwyczajowi i dopełnić małżeństwa u boku ofiary na ołtarzu. I zrobiłabym to, gdybym miała do tego prawo. Teraz jednak widzę, że nie zostało to mile przyjęte, więc choć już za późno, abym mogła się wycofać, nie obawiaj się. Są inne i nie będę ci się narzucać. Przekazałam, co mi kazano. Czy chcesz, żebym już poszła? Ceremonia zaślubin, o Tezcatlipoco, nastąpi za dwanaście dni.

Powstałem, wziąłem ją za rękę i powiedziałem:

- Dziękuję, Otomi, za twoją szlachetność. Gdyby nie pociecha i przyjaźń, którą ofiarowaliście mi ty i twój kuzyn Guatemoc, myślę, że już od dawna bym nie żył. A więc chciałabyś dodawać mi otuchy do końca? Zdaje się, że zamierzałaś nawet umrzeć razem ze mną. Jak mam to rozumieć, Otomi? W moim kraju kobieta musiałaby niezwykle kochać mężczyznę, żeby zdecydować się dzielić z nim taki los, jaki czeka mnie na tamtej piramidzie. Mimo to nie mogę uwierzyć, byś ty, o rękę której starali się królowie, zwróciła serce ku mężczyźnie stojącemu tak nisko jak ja. Jak mam odczytać twoje słowa, księżniczko Otomi?

- Odczytaj je swym sercem - szepnęła i poczułem, że jej dłoń drży.

Popatrzyłem na nią - była piękna. Pomyślałem o jej poświęceniu, o poświęceniu, które nie cofa się przed perspektywą strasznej śmierci, i ogarnęło mnie uczucie bliskie miłości. Ale nawet wówczas pamiętałem angielski ogród, i angielską dziewczynę, z którą rozstałem się pod brzozą w Ditchingham, i to, co sobie powiedzieliśmy. Na pewno nadal żyła i była mi wierna. Czy dopóki żyję, nie powinienem też dochować jej w sercu wierności? Jeśli muszę poślubić te Indianki, to je poślubię, ale gdybym powiedział Otomi, że ją kocham, to złamałbym dane Lily słowo, a nie mogłem odwdziżyć się księżniczce czymś mniejszym niż wyznanie miłości.

- Usiądź, Otomi - powiedziałem - i posłuchaj mnie. Widzisz ten pierścień - zdjąłem z palca dar Lily. - Tu, w środku, jest napis.

Pochyliła głowę, ale nic nie powiedziała, a w jej oczach ujrzalem obawę.

- Przeczytam ci, co tu napisano Otomi - i przetłumaczyłem na aztecki dwuwiersz:

*Serca złączone,
Choć rozdzielone.*

Dopiero wtedy przemówiła:

- Co znaczą te słowa? - spytała. - Potrafię odczytywać tylko obrazki.
- Znaczy to, Otomi, że w dalekim kraju jest kobieta, która mnie kocha i która jest moją ukochaną.

- Jest twoją żoną?

- Nie, Otomi, ale przyrzekła nią zostać.

- Przyrzekła nią zostać - powtórzyła gorzko. - A zatem jesteśmy sobie równe, Teule, bo ja też przyrzekłam zostać twoją żoną. Ale jest też między nami różnica: i ją kochasz, mnie nie. To chciałeś mi wyjaśnić. Nie mów nic więcej, wszystko rozumiem. Mimo to wydaje się, że jeśli przegrałam, to ona też jest na drodze do przegranej. Oddziela cię od twej ukochanej, Teule, wielkie morze, kamień ofiarny i nicość śmierci. Teraz pozwól, że odejdę. Nie ma rady, muszę zostać twoją żoną, ale nie będę ci sprawiała dużo kłopotu, a wkrótce wszystko się skończy. Potem możesz szukać spełnienia swego pragnienia w gwiazdnych domach, do których musisz się udać i życzę ci, żebyś je znalazł. Przez te wszystkie miesiące starałam się znaleźć dla ciebie jakąś nadzieję i myślałam, że ją znalazłam. Niestety, opierała się ona na błędnym przekonaniu i już po niej. Gdybyś mógł szczerze, z serca, wyznać, że mnie kochasz, to mogłoby się to dobrze skończyć dla nas obojga. Jeśli będziesz mógł to wyznać, zanim będzie za późno, to też istnieje pewna szansa. Ale nie proszę cię o to i strzeż się, gdybyś miał mnie okłamać. Zostawiam cię, Teule, ale zanim odejdę, powiem ci jeszcze, że szanuję cię teraz bardziej niż przedtem, bo nie bałeś się powiedzieć prawdy mnie, córce Montezumy, kiedy mogłeś tak łatwo i bezpiecznie skłamać. Ta kobieta za morzami powinna być ci wdzięczna, ale choć nie życzę jej źle, między nią a mną jest wojna aż do śmierci. Nie znamy się i nigdy nie poznamy, lecz ona dotykała twej dłoni tak, jak ja teraz. Ty jesteś łączącą nas nicią i kością niezgody. Żegnaj, mój przyszły mężu. Nie spotkamy się aż do tego smutnego dnia, kiedy dziwkę dadzą „zbrodnia-rzowi” za żonę. To są twoje własne słowa, Teule.

Potem Otomi zakryła twarz woalką i wyszła wolno z komnaty. Byłem bardzo zmieszany. Odrzucenie miłości tej królewskiej kobiety wymagało odwagi, ale teraz, kiedy to zrobiłem, wcale nie byłem zbytnio zadowolony. Czy Lily, zastanawiałem się, zgodziłaby się zrezygnować z takiej pozycji społecznej, jak Otomi, czy odrzuciłaby królewską purpurę po to, aby spocząć u mego boku na kamieniu ofiarnym? Chyba nie, bo taką niezłomną wierność można spotkać tylko u kobiet innej krwi. Te córki słońca, jeśli w

ogóle kochają, to całym sercem, i tak samo nienawidzą. Nie potrzebują kapłana, aby pobłogosławił ich związek, a jeśli stanie się on dla nich nienawistny, to nie podtrzymują go z poczucia obowiązku. Prawem jest dla nich pożądanie, ale dopóki władza nimi, słuchają go ślepo i jeśli trzeba, szukają spełnienia nawet w objęciach śmierci, a kiedy to się nie uda, w zapomnieniu.

Rozdział XVIII

CZTERY BOGINIE

Minęło trochę czasu i w końcu nadszedł dzień, w którym wjechał do Meksyku Cortes z towarzyszami. Nie zamierzam opowiadać tu o wszystkich poczynaniach Hiszpanów po zajęciu przez nich miasta, gdyż jest to sprawa dla historyków, a ja mam do przekazania własną opowieść. Opiszę zatem tylko to, co w większej lub mniejszej mierze dotyczyło mojej osoby. Nie oglądałem spotkania Montezumy z Cortesem, choć widziałem władcę, otoczonego niczym Salomon sławą i wielmożami, udającego się na nie. Jestem wszakże pewien, że żaden niewolnik prowadzony na kamień ofiarny nie szedł z cięższym sercem na spotkanie swego losu niż Montezuma, gdyż przywiodło go do upadku jego własne szaleństwo i myślę, że wiedział, iż kroczy ku zgubie.

Powrócił przed wieczorem, w swej złocistej lektyce, i udał się do pałacu zbudowanego przez jego ojca, Axę. Pałac ów stał naprzeciw jego własnego, oddalony o jakieś pięćset kroków, koło zachodniej bramy świątyni. Tuż potem usłyszałem krzyki tłumu, przez które przebijał odgłos kopyt końskich i ciężki, miarowy krok żołnierzy, i z okna mej komnaty ujrzałem zbliżających się Hiszpanów. Na widok chrześcijan serce zabiło mi żywiej. Na przedzie, w bogatej zbroi, jechał Cortes, mężczyzna średniego wzrostu, lecz pełen godności, o bystrych oczach, które zdawały się widzieć wszystko wokół. Za nim podążała jego „armia”, w której znajdowało się tylko kilku konnych. Cała reszta szła pieszo. Rozglądali się ciekawie, żartując między sobą. Była ich właściwie garstka, z tego niektórzy źle uzbrojeni i prawie w łaćmanach, więc patrząc na nich nie mogłem nie podziwiać ich nieustraszonej odwagi, dzięki której, nie bacząc na trudy, nękające ich choroby i tysiące wrogo nastawionych tubylców, przedarli się aż do samej stolicy potężnego państwa Montezumy.

Obok Cortesa, z ręką na strzemieniu jego konia, szła piękna Indianka

w białej sukni i wianku na głowie. Przechodząc obok pałacu, zwróciła twarz w jego stronę. Poznałem ją od razu. Była to moja przyjaciółka, Marina. Teraz osiągnęła upragnione zaszczyty i nie zważając na wszystkie nieszczęścia, które ściągnęła na swój kraj, cieszyła się z wyniesienia swej osoby i z miłości Cortesa.

Przyglądałem się twarzom przeciągających Hiszpanów ze wzbudzoną przez nienawiść nadzieją, bo choć było zupełnie możliwe, że zabrała mi go śmierć, liczyłem w głębi ducha na to, iż ujrzę wśród nich de Garcję. Jego niegodziwe serce na pewno popchnęłoby go do wzięcia udziału w tej obiecującej rozlew krwi, grabież i skarby wyprawie, a instynkt szeptał mi, iż jeszcze żyje. Nie było go jednak wśród ludzi, którzy weszli tamtego dnia do Meksyku.

Wieczorem zobaczyłem się z Guatemokiem, więc zapytałem go, jak się mają sprawy.

- Dobrze dla jastrzębia, który zamieszkał w gołęzim gnieździe, ale źle dla gołębia - odparł z gorzkim uśmiechem. - Mój wuj, Montezuma, grucha tam - wskazał na pałac Axy - a dowódca Teule'ów wtóruje mu, ale choć starał się to ukryć, usłyszałem krzyk jastrzębia w tych jego gołębich tonach. Niedługo będzie bardzo wesoło w Tenoctitlan.

Miał rację. Nim minął tydzień, Hiszpanie zdradziecko uwięzili Montezumę i umieścili pod strażą w swej kwaterze. Potem wypadki potoczyły się szybko. Za namową Cortesa Montezuma wezwał do Meksyku paru wodzów z wybrzeża, którzy zabili kilku Hiszpanów. Posłuchali rozkazu władcy, przybyli i zostali spaleni żywcem na dziedzińcu pałacowym. Mało tego, Montezuma, w kajdanach na rękach i nogach, musiał przyglądać się egzekucji. Tak nisko upadł ów wielki monarcha, że siedział skuty niczym zwykły przestępca. Po tym niezwykłym poniżeniu uznał zwierzchność króla Hiszpanii i nawet przyczynił się do podstępnego schwytania Cacamy, władcy Tezcuco, którego wydał w ręce Hiszpanów. Oddał im także wszystkie skarby imperium, wartości setek tysięcy funtów angielskich. Naród znosił to wszystko, bo był ogłupiony i nadal słuchał rozkazów uwięzionego króla. Gdy jednak Montezuma zgodził się, by Hiszpanie mogli czcić prawdziwego Boga w jednym z sanktuariów głównej świątyni, wśród tysięcy Azteków rozległ się szmer oburzenia. Zewsząd, niczym odległy pomruk groźnego morza, dobiegały głosy pełne wściekłości i nienawiści. Burza wisiała na włosku.

Tymczasem moje życie biegło jak przedtem, tyle tylko, że nie pozwalało mi opuszczać pałacu, obawiając się, bym nie znalazł możliwości

porozumienia się z Hiszpanami, którzy nie mieli pojęcia, że tuż obok znajduje się biały, który ma być wkrótce złożony w ofierze. Przez te wszystkie dni rzadko widywałem księżniczkę Otomi, pierwszą z wybranych dla mnie żon, która od czasu naszej dziwnej sceny miłosnej unikała mnie i gdy spotkaliśmy się podczas uczty czy w ogrodach, rozmawiała ze mną o rzeczach obojętnych albo o sprawach państwa. W końcu nadszedł dzień zaślubin. Pamiętam, że było to w dzień poprzedzający rzeź sześciuset znamienitych Azteków w dniu święta Huitzelcoatla. Tego dnia odwiedzili mnie wszyscy, którzy coś znaczyli w mieście. Odnosili się do mnie z niezwykłą czcią i szacunkiem, składali hołdy należne bogu i palili kadzidła, aż zrobiło mi się niedobrze od zapachu wonnego dymu. Mimo iż cały kraj pogrążony był w takim smutku, kapłani nie zamierzali ani na jotę odstąpić od swych rytuałów, tym bardziej że żywiono wielką nadzieję, iż złożenie mnie, pochodzącego z rasy Teule'ów, w ofierze uśmierzy gniew bogów. O zachodzie słońca wydano na mą cześć wystawną ucztę, która trwała ponad dwie godziny. Pod jej koniec wszyscy powstali z miejsc i krzyknęli jednym głosem:

- Chwała ci, o Tezcatlipoco! Szczęśliwy jesteś tu, na ziemi, obyś był równie szczęśliwy w domu słońca. Kiedy tam przybędziesz, pamiętaj, że obchodziliśmy się z tobą dobrze, dając ci wszystko to, co u nas najlepsze, i wstaw się za nami, aby wybaczone nam nasze grzechy. Chwała ci, o Tezcatlipoco!

Potem wystąpiło dwu największych dostojników. Przy świetle pochodni zaprowadzili mnie do wspaniałej komnaty, w której nie byłem nigdy przedtem. Tam przebrano mnie w szaty jeszcze bogatsze niż te, które nosiłem do tej pory, zrobione z najcieńszej haftowanej bawełny i błyszczących piórek kolibrów. Na głowę włożono mi wieniec utkany z kwiatów, a na szyję i na ręce sznury z wielkich, ogromnej wartości, szmaragdów. Wyglądałem w tym stroju, który bardziej pasowałby do urodziwej kobiety niż do mnie, jak papuga.

Potem nagle zgaszono pochodnie i zapanowała zupełna cisza. Po chwili usłyszałem dochodzącą z oddali pieśń weselną, na swój sposób piękną, ale nie będę tu przytaczał jej słów. Śpiew ustał i dobiegł mnie szelest sukien i szepty. Na koniec odezwał się męski głos:

- Czy jesteście tu, wybranki niebios?

Odpowiedział mu głos kobiety, zdaje się Otomi:

- Jesteśmy tu.

- O dziewczęta Anahuac - podjął na nowo w ciemności ów pierwszy

głos - i ty, o Tezcatlipoco, bogu między bogami, posłuchajcie mych słów. Dziewczęta, spotkał was wielki zaszczyt, albowiem z wyboru nieba otrzymałyście tytuły, piękno i zalety czterech wielkich bogiń i możliwość przebywania przez pewien czas u boku tego boga, waszego stwórcy i pana, któremu podobało się zstąpić z nieba i przebywać z nami, dopóki nie poszuka swego miejsca w siedzibie słońca. Pamiętajcie, okażcie się godnymi tego zaszczytu. Dogadajcie mu i pieście go, aby wśród waszych pieszczoł zapomniał o swej boskiej chwale i aby, gdy powróci do siebie, zabrał ze sobą wdzięczne wspomnienia całego naszego ludu. W tym życiu będzie wam dane przebywać tylko krótki czas u jego boku, albowiem jego duch zaczyna się szamotać w ciele jak ptak w klatce i niedługo wyfrunie, zostawiając nas i was. Lecz jeśli zechcecie, jednej z was wolno towarzyszyć mu w locie do jego niebiańskiej siedziby. Wszystkim wam jednak, bez względu na to, czy się z nim udacie, czy zostanieie tu, aby go opłakiwać, powiadam: kochajcie i pieście go, bądźcie dla niego miłe i uprzejme, gdyż w przeciwnym razie czeka was nieszczęście i tu, i tam, i o was, i o nas będą źle mówili w niebie. Ciebie zaś, o Tezcatlipoco, błagamy - przyjmij te dziewczyny, które noszą imiona twoich niebiańskich towarzyszek, albowiem nie ma w królestwach Anahuac piękniejszych od nich ani lepiej urodzonych. Jest wśród nich nawet córka naszego króla. Nie są one doskonałe, gdyż doskonałość spotkać możesz tylko w swych niebieskich królestwach. Są one zaledwie cieniami bogiń, twych prawdziwych żon, bowiem nie ma na ziemi doskonałych kobiet. Niestety, nie możemy ci ofiarować lepszych, mamy jednak nadzieję, że kiedy spodoba ci się ulecieć stąd, będziesz dobrze wspominał kobiety tego kraju i błogosławił je z wysoka.

Przerwał na chwilę, po czym odezwał się ponownie: - Kobiety, boskie Xochi, Xilo, Atlo i Clixto, w waszym imieniu i w imieniu wszystkich bogów, zaślubiam was Tezcatlipoce, naszemu stwórcy, abyście towarzyszyły mu podczas jego pobytu na ziemi. Bóg wcielony poślubi te, które sam stworzył, aby spełniło się misterium. Jednak by wasza radość nie była zupełna, popatrzcie na to, co się potem stanie.

Gdy domawiał tych słów, w drugim końcu komnaty zapłonęły jasno pochodnie, ukazując straszny widok. Bo oto, rozciągnięte na kamieniu ofiarnym, spoczywało tam ciało mężczyzny, ale do dziś nie wiem, czy był to człowiek z krwi i kości, czy też model wyrzeźbiony w wosku. Myślę jednak, że jeśli ciało nie było pokryte farbą, to była to woskowa figura, gdyż

jego skóra była równie biała jak moja. W każdym razie pięciu kapłanów trzymało go za ręce, nogi i głowę, a szósty stał nad nim, ściskając w obu dłoniach nóż z obsydianu. Wzniósł go w górę i kiedy opuszczał do ciosu, pochodnie zgasły. Usłyszałem głuchy odgłos uderzenia i jęk, po czym na powrót nastąpiła cisza, przerywana po chwili śpiewaną przez panny młode namiętą i słodką pieśnią weselną, ale po tym, co zobaczyłem, nie była ona w stanie mnie pocieszyć.

Zaczęły śpiewać w ciemności i śpiewały coraz głośniejsze, aż wreszcie w końcu komnaty zapaliła się pochodnia, potem jeszcze jedna, potem następna i wkrótce całe wnętrze ogarnęła jasność, choć nie widziałem, kto je zapala. Znikł gdzieś ołtarz, ofiara, kapłani i cała reszta i zostałem sam z czterema żonami. Wszystkie były wysokie i piękne, odziane w białe ślubne szaty, obsypane kamieniami szlachetnymi i kwiatami, wszystkie miały na głowach diademy z emblematami czterech bogiń, ale najpiękniejsza i najwyższa była Otomi, która wydawała się prawdziwą boginią. Podchodziły do mnie pojedynczo, uśmiechając się i wzdychając. Każda, przyklękawszy przede mną, całowała moją dłoń i mówiła:

- Zostałam wybrana, aby na krótko zostać twoją żoną, o Tezcatlipoco, jestem niezmiernie szczęśliwa. Oby dobrzy bogowie sprawili, bym ci się spodobała i byś kochał mnie tak, jak ja cię wielbię.

Potem ta, która skończyła, wycofywała się poza zasięg słuchu i następna zajmowała jej miejsce.

Ostatnia podeszła Otomi. Przyklęknęła i powiedziała to samo, co jej poprzedniczki, a potem cicho dodała:

- Powiedziawszy ci to, co winnam powiedzieć bogu Tezcatlipoco, memu mężowi, jako bogini i żona, zwracam się teraz do ciebie jak kobieta do mężczyzny. Nie kochasz mnie, Teule, dlatego jeśli masz takie życzenie, rozwiódźmy się. To, co połączył rozkaz innych, rozłączmy z własnej woli. Przynajmniej oszczędzi mi to wstydu. Te kobiety - wskazała głową pozostałe moje żony - są moimi przyjaciółkami i nie zdradzą nas.

- Jak sobie życzysz, Otomi - odparłem krótko.

- Dziękuję ci, Teule - powiedziała, uśmiechając się smutno i złożwszy ukłon, odeszła. Wyglądała tak pięknie i godnie, że raz jeszcze poczułem coś w rodzaju miłości. Od tamtej nocy aż do strasznej godziny ofiarowania nie wymieniłem z nią ani pocałunku, ani żadnego czułego słowa. A jednak, mimo to, nasza przyjaźń zacieśniała się z dnia na dzień i moje

uczucie do niej rosło, gdyż dużo rozmawialiśmy i starałem się nawrócić ją na wiarę w prawdziwego Króla Niebios. Nie było to jednak łatwe, gdyż jak ojciec, Otomi trzymała się kurczowo wiary swego narodu, choć nienawidziła kapłanów i z wyjątkiem sytuacji, kiedy w ofierze składano wrogów jej kraju, unikała uczestniczenia w tych ceremoniach. Powiedziała mi zresztą, że ten krwawy rytuał został wprowadzony przez nich, gdyż dawniej na ołtarzach składano nie ludzi, lecz kwiaty. Tak więc z dnia na dzień moje uczucie wzmagало się, aż w końcu Otomi stała się osobą, którą najbardziej, po Lily, pokochałem. Jeśli chodzi o pozostałe kobiety, to choć były ładne i miłe, wkrótce nie mogłem ich ścierpieć. Mimo to ucztowałem i bawiłem się z nimi, po części dlatego, iż obawiałem się, że spotka je śmierć, gdy okaże się, że nie znajduję przyjemności w ich towarzystwie, a po części dlatego, żeby zagłuszyć picciem i rozkoszami dręczący mnie strach. Trzeba bowiem pamiętać, iż pozostało mi już niewiele dni i straszny koniec zbliżał się coraz bardziej.

Następnego dnia po ceremonii ślubnej doszło do owej haniebnej rzezi sześciuset znamienitych Azteków, której dokonano z rozkazu hidalgą Alvarado, zastępcy Cortesa. Sam Cortes bowiem przebywał w owym czasie na wybrzeżu, dokąd udał się, aby zmierzyć się z Norvaezem, przysłanym przez jego wroga Velasqueza, gubernatora Kuby, który chciał go sobie podporządkować.

Tego dnia obchodzono święto Huitzelcoatla. Ceremonie obejmowały składanie ofiar, a także pieśni i tańce na dziedzińcu wielkiej świątyni, tym właśnie, który otoczony był murem pokrytym płaskorzeźbami węży. Rankiem, przed udaniem się na uroczystości, złożył mi przypadkowo wizytę Guatemoc.

Widząc go we wspnianym stroju, spytałem, czy ma zamiar wziąć udział w tańcach.

- Tak - odparł - ale czemu pytasz?
- Dlatego, że gdybym był na twoim miejscu, nie poszedłbym tam. Powiedz mi, czy tancerze będą uzbrojeni?
- Nie ma takiego zwyczaju.
- A zatem będą bezbronni, a jest to kwiat waszego narodu. Będą tańczyć na zamkniętej przestrzeni, a obserwować ich będą uzbrojeni Teule. No i co się stanie, jeśli zechcą wszcząć zwadę z tancerzami?
- Nie rozumiem, dlaczego to mówisz. Przecież ci biali nie są chyba

tchórzliwymi mordercami? Mimo to potraktuję twoje słowa jako ostrzeżenie i choć tańce muszą się odbyć - zobacz, już zbierają się uczestnicy - ja tam nie pójdę.

- Mądrze robisz, Guatemocu - powiedziałem. - Jestem pewien, że mądrze robisz.

Potem poszedłem z Otomi i Guatemokiem do ogrodu pałacowego. Usiedliśmy tam na szczycie *teocalli* w miniaturze, którą kazał zbudować Montezuma, aby mieć widok na plac i dziedzińce świątyni. Widzieliśmy stamtąd tańczących i słyszeliśmy śpiew. Było to barwne widowisko, bowiem w jasnych promieniach słońca ich pióra lśniły niczym klejnoty. Między tancerzami kręcili się Hiszpanie w zbrojach i z rusznicami, ale zauważyłem, że w miarę upływu czasu oddalają się coraz bardziej od Indian i gromadzą koło bram i w cieniu Muru Węży.

- No i cóż to może znaczyć? - spytałem Guatemoca i w tym samym momencie spostrzegłem, że jeden z Hiszpanów macha białą szmatą. Zanim skończył nią wywijać, ze wszystkich stron placu buchnął dym i dobiegł głos strzałów. Ten i ów z tancerzy osunął się na ziemię, martwy lub ranny, a cała reszta, na razie nie drażnięta, zbiła się w kupę, jak przestraszone owce, i stała sparaliżowana strachem. Wówczas Hiszpanie wzywając - jak to mają w zwyczaju, ilekroć popełniają podobną niegodziwość - imienia swego świętego patrona, dobyli mieczy i rzuciwszy się na bezbronnych Azteków, zaczęli rzeź. Niektórzy z Indian uciekali z krzykiem, inni stali nieruchomo, dopóki nie powalił ich cios, ale jednych i drugich spotkał ten sam los, ponieważ bram strzegli Hiszpanie, a mur był zbyt wysoki, żeby mogli się na niego wdrapać. Zostali wybici do nogi. Oby Bóg, który wszystko widzi, odplacił ich mordercom! Wkrótce było po wszystkim. Od machnięcia szmatą nie minęło dziesięć minut, a na placu leżało sześćuset martwych lub konających Indian. Hiszpanie, wznosząc tryumfalne okrzyki, zaczęli zdzierać z trupów bogate ozdoby.

Obróciłem się do Guatemoca i rzekłem:

- Wygląda na to, że dobrze zrobiłeś, nie biorąc udziału w tej uroczystości.

Guatemoc jednak nic nie odpowiedział. Patrzył na zabitych i na tych, którzy ich zamordowali i milczał. Odezwała się tylko Otomi:

- Wy, chrześcijanie, jesteście zaprawdę łagodnymi ludźmi. To w taki sposób odwiedzacie się za gościnność. Myślę, że teraz mój ojciec, Montezuma, jest zadowolony ze swoich gości. Ach, gdybym była nim, to każdy

z tych morderców znalazłby się n a kamieniu ofiarnym! Jeśli, jak powiadasz, nasi bogowie są złymi duchami, to kim są ci, których wy czcicie?

Wtedy dopiero odezwał się Guatemoc:

- Pozostaje nam tylko jedno - powiedział - zemsta. Montezuma stał się kobietą i nie zważam już na jego rozkazy, a nawet, jeśli będzie trzeba, zabiję go własnymi rękami. Ale zostało jeszcze w tym kraju dwóch mężczyzn, mój wuj, Cuitlahua i ja. Idę zebrać armię. - I odszedł.

Przez całą noc miasto szumiało jak gniazdo os, a kiedy nastał ranek, wszystkie ulice i plac przed świątynią wypełnione były dziesiątkami tysięcy wojowników. Pędzili na mury pałacu Axy jak fala na skałę i jak fala od skały odbijali się od nich. Atakowali trzykrotnie i trzykrotnie zostali odparci. Potem na murach ukazał się Montezuma, ów zniewieściały władca, i rzekł im, aby odstąpili od szturmu, ponieważ, jeśli nawet zdobędą pałac, to on sam może zginąć. Darzyli go tak wielką czcią, że nawet wtedy posłuchali jego woli i na pewien czas zaprzestali ataku. Ale na tym skończyła się ich ustepliwość. Skoro Montezuma zakazał im zabijać Hiszpanów, to postanowili wziąć ich głodem i zablokowali wszystkie ulice prowadzące do pałacu. Zginęły setki azteckich wojowników, ale nie tylko oni ponieśli straty, ponieważ dostała się w ich ręce garstka Hiszpanów i wielu Tlascalan. Jeńców tych spotkał szybki koniec, gdyż od razu zaprowadzono ich na szczyt wielkiej *teocalli* i, na oczach kompanów, złożono w ofierze.

Wtedy właśnie powrócił Cortes z nowymi posiłkami, bowiem pokonał Norvaeza i przeszli do niego niedawni zwolennicy jego wroga. Dołączyli też inni, a wśród nich jeden, którego dobrze znałem. Nie wiem dlaczego, ale pozwolono Cortesowi wejść do pałacu bez walki. Następnego dnia Cortes uwolnił Cuitlahuę, brata Montezumy, króla Palapanu, aby uspokoił lud. Jednak Cuitlahua nie był tchórzem. Znalazłszy się na wolności, zwołał natychmiast naradę, której przewodniczył Guatemoc.

Na naradzie postanowiono walczyć do końca, uznawszy, że Montezuma już i tak utracił królestwo przez swe tchórzostwo. Gdyby tę decyzję podjęto dwa miesiące wcześniej, to do owej chwili nie byłoby już w Tenocitlan ani jednego Hiszpana. Bowiem jeśli nie liczyć Mariny, kochanki Cortesa, która swymi mądrymi radami walnie przyczyniła się do zwycięstwa Hiszpanów, Montezuma tylko sobie zawdzięczał upadek swój i swego królestwa.

Rozdział XIX

RADA OTOMI

Na drugi dzień po powrocie Cortesa do Meksyku wyrwały mnie przed świtem z niespokojnej drzemki okrzyki tysięcy wojowników i dźwięki bębnow oraz atabali.

Znalazłszy się szybko na swym stanowisku obserwacyjnym na małej piramidzie, gdzie wkrótce dołączyła do mnie Otomi, ujrzałem, że cały lud Meksyku gotuje się do walki. Jak daleko mogłem sięgnąć wzrokiem, wszędzie, na ulicach, na placu i na targowisku, stały tysiące, dziesiątki tysięcy wojowników. Niektórzy byli uzbrojeni w proce, inni w łuki, inni w oszczepy z miedzianymi grotami i maczugi nabijane kawałkami obsydianu, zwane *maqua*, a jeszcze inni, biedniejsi, w zwykłe kije o końcach opalonych w ogniu. Nieliczni mieli na sobie złote zbroje i płaszcze z piór, a na głowach malowane drewniane hełmy pokryte skórą i ukształtowane w formie głów pumy, wilka czy węża, inni *escaupile*, czyli kaftany z pikowanej bawełny, ale reszta nosiła tylko przepaski na biodrach. Na płaskich *azotea*, czyli dachach domów, a nawet na szczytach *teocalli* stały grupy, których zadaniem było zasypywać Hiszpanów z góry pociskami. Był to niesamowity i niezapomniany widok. Promienie czerwonego, wschodzącego słońca lśniły na ścianach świątyń i pałaców, na błyszczących płaszczach z piór, na ostrzach niezliczonych dzid i oszczepów i na zbrojach Hiszpanów, którzy biegali w tę i z powrotem po murach swej siedziby, szykując się do obrony.

Gdy tylko słońce wzniosło się wyżej, kapłan zadął przenikliwie na muszli. Odpowiedział mu głos trąbki z kwatery Hiszpanów. Potem tysiące Azteków rzuciły się z wściekłym wraskiem do ataku, a powietrze zgęstniało od strzał i kamieni. Mury pałacu Axy pokryły się natychmiast falującą linią ognia i dymu, a szturmujący wojownicy, pod gradem kul z arkebuzów i dział, posypali się na ziemię jak liście z drzew pod podmuchem jesiennego wiatru. Na chwilę atakujący zawahali się i w niebo buchnął jęk bólu, ale do przodu skoczył Guatemoc ze sztandarem w dłoni, więc ruszyli za nim. Wkrótce byli już pod murami pałacu i zaczęła się rzeź. Aztecy walczyli jak szaleńcy. Raz za razem próbowali wdrzeć się na mury, wspinając się po stosach trupów jak po drabinach i raz za razem cofali się z wielkimi stratami. Nie mogąc nic wskórać w ten sposób, zaczęli walić w mury potężnymi belkami, ale kiedy zrobili w końcu wyłom, Hiszpanie

otworzyli ogień z armaty, żłobiąc w szturmującym tłumie krwawe bruzdy i zabijając ich całymi setkami. Potem Indianie wzięli się do łuków i zasypali pałac płonącymi strzałami. W wyniku tego zgorzały przybudówki, ale sam pałac był z kamienia i ogień nie mógł mu zaszkodzić. Walka toczyła się nieprzerwanie przez dwanaście godzin, dopóki nie położył jej kresu mrok. Widać było tylko niezliczone płomienie pochodni, przy świetle których zbierano ciała zabitych, słychać było tylko jęki konających i wtórujący im lament kobiet.

Następnego dnia o świcie walka rozgorzała na nowo, bowiem Cortes z większą częścią swych żołnierzy i paroma tysiącami Tlascalan urządził „wycieczkę”. Początkowo myślałem, że celem ich ataku jest pałac Montezumy i obudziło to we mnie nadzieję, jako że w zamieszaniu może udałoby mi się uciec. Myliłem się jednak, bo okazało się, że chciał tylko spalić domy, z dachów których zasypywano Hiszpanów strzałami i kamieniami. Wypad zakończył się sukcesem Cortesa, bowiem jazda była dla Indian równie groźna, jak stalowe miecze Hiszpanów dla ich nagiej skóry. Toteż wkrótce dziesiątki domów stanęły w płomieniach, a w niebo wzbily się słupy dymu tak potężne jak ten, który wznosił się z krateru Popocatepetl. Jednak wielu z tych, którzy wypadli z bram pałacu Axy, już tam nie wróciło, gdyż Aztecy czepiali się nóg końskich i ściągali jeźdźców na ziemię. Jeszcze tego samego dnia złożono jeńców w ofierze Huitzelcoatlowi. Razem z nimi ofiarowano konia, którego schwytano żywcem i z wielkim nakładem sił wciągnięto na wierzch piramidy. Nigdy jeszcze nie składano tak wielu ofiar, jak w dniach tej walki. Przez całe dni ołtarze ociekały krwią i w moich uszach brzmiały wrzaski ofiar, gdy kapłani przystępowali do swego dzieła. W taki bowiem sposób usiłowali zdobyć przychylność bogów, aby dali im zwycięstwo nad Teule'ami.

Ofiary składano nawet w nocy, przy blasku świętych ognia, które padając z dołu na kapłanów upodobiały ich do diabłów uwijających się wśród płomieni piekielnych i męczących potępionych zupełnie tak, jak ukazuje to malowidło przedstawiające sąd ostateczny, które wisi nad łukiem prezbiterium w naszym kościele w Ditchingham. I przez cały czas jakiś kapłan miotał groźby pod adresem Hiszpanów, krzycząc: „Huitzelcoatl jest spragniony waszej krwi! Pójdziecie tam, gdzie idą wasi towarzysze. Klatki, ostre noże i gorące żelaza czekają na przyjęcie was! Gotujcie się Teule, bo choć zabijacie wielu, nie ujdziecie stąd!”

Ciągnęła się ta walka przez wiele dni, pochłaniając życie tysięcy Azteków.

Ale i Hiszpanie byli już bardzo wyczerpani brakiem jedzenia, snu - gdyż nie dawano im spokoju nawet na godzinę - i ranami. W końcu pewnego ranka, gdy bitwa wrzała w najlepsze, na głównej wieży pałacu pojawił się Montezuma, we wspaniałych szatach i koronie na głowie. Przed nim stali heroldowie z połączonymi rękami w dłoniach, a po bokach wielmoże, którzy wraz z nim znaleźli się w niewoli u Hiszpanów, i strażnicy. Wyciągnął rękę i nagle walka ustała i zrobiło się bardzo cicho. Nawet ranni przestali jęczeć. Wtedy Montezuma zwrócił się do oblegających pałac. Byłem za daleko, aby słyszeć, co mówi, ale później dowiedziałem się, o co mu chodziło. Otóż prosił swój lud, aby zaprzestał wojny, wyjaśniając, że Hiszpanie są jego przyjaciółmi i gośćmi i niebawem opuszczą Tenocitlan. Kiedy jego poddani usłyszeli te tchórzliwe słowa, ogarnęła ich wściekłość i choć poprzednio, przez tyle lat, czcili go jak boga, teraz zaczęli krzyczeć:

- Baba! Zdrajca!

Potem zobaczyłem, że powietrze przecina strzała, która ugodziła władcę. Za nią posypał się grad kamieni i Montezuma upadł.

Wtedy ktoś krzyknął: - Zabiliśmy króla! Montezuma nie żyje! - i w jednej chwili cały tłum odwrócił się i uciekł z placem. Wkrótce na placu, jeszcze niedawno zapelnionym wielotysięczną cizbą, nie było żywej duszy.

Obróciłem się do Otomi, która siedziała obok mnie i widziała, jak jej ojciec pada. Chciałem ją pocieszyć i zapłakaną zaprowadziłem do pałacu. Spotkaliśmy tam Guatemoca. Miał ponurą i groźną minę. Był w zbroi, a w dłoni trzymał łuk.

- Montezuma nie żyje? - spytałem.

- Nie wiem i nie obchodzi mnie to - odparł z dziwnym uśmiechem, a potem dodał: - Możesz mnie przekląć, Otomi, bo to ja wypuściłem strzałę, która dosięgła twego ojca. Zapomniał o tym, że jest mężczyzną i królem i stał się zdrajcą.

Otomi przestała szlochać i powiedziała:

- Nie mogę cię przekląć, Guatemocu. Zanim ty razieś go swą strzałą, bogowie porazili go szaleństwem, więc byłoby lepiej i dla niego, i dla nas, gdyby zginął. Mimo to jestem pewna, że nie unikniesz kary za to świętokradztwo i że czeka cię haniebna śmierć.

- Być może - odparł Guatemoc - ale przynajmniej umrę, nie zdradziwszy niczyjego zaufania.

Powiedziawszy to, odszedł.

Muszę teraz wyjaśnić, że byłem przekonany, iż jest to ostatni dzień mego życia, bo następnego ranka miał rok od chwili, kiedy zostałem uznany za boga i miałem zostać złożony w ofierze. Mimo tego całego zamieszania i wrzenia, mimo żaloby i lęku, który wisiał nad całym miastem, obrzędy i ceremonie religijne przestrzegane były ściśle, ściślej nawet niż przedtem. I tak owego wieczoru wydano na mą cześć wielką ucztę. Siedziałem w otoczeniu żon, przystrojony kwiatami, a wszyscy pozostali jeszcze przy życiu wielmoże, łącznie z Cuitlahuą, który - gdyby okazało się, że Montezuma istotnie nie żyje - miał zostać władcą, składali mi hołdy. Była to wyjątkowo posepna uroczystość, gdyż choć starałem się utopić swój strach w alkoholu, daleki byłem od wesołości, a i goście nie byli bynajmniej w radosnym nastroju. Zginęły setki ich krewnych, a z nimi tysiące prostych ludzi, a Hiszpanie nadal trzymali się w fortecy. Na dodatek kilka godzin temu widzieli, jak ich władca, którego czcili niczym boga, pada rażony strzałą jednego z nich. Nade wszystko jednak czuli, że ich samych czeka zagłada. Czyż można się zatem dziwić, że nie byli weseli? Chyba żadna stypa nie mogłaby być smutniejsza, a zresztą była to stypa - przy najmniej dla mnie.

Wreszcie uczta zakończyła się i uciekłem do swoich apartamentów. Podążyły za mną moje trzy - gdyż Otomi nie poszła z nimi - żony, mówiąc, że jestem szczęśliwy i błogosławiony, ponieważ jutro będę już sam ze sobą, to znaczy ze swym własnym bóstwem, w niebie. Ja jednak nie nazwałem ich błogosławionymi, ale wybuchnąwszy gniewem, wygoniłem je i powiedziałem, że pociesza mnie tylko jedna myśl, a mianowicie, że wreszcie uwolnię się od nich.

Potem padłem na łóżko i zacząłem gorzko żałować swego uporu. Wyrwą mi serce z piersi i złożą w ofierze szatanowi - oto, do czego doprowadziło mnie uparte szukanie zemsty. Zaprawdę mój dobroczyńca, Fonseca, dobrze mi radził, mówiąc, abym zabrał majątek, wrócił do Anglii i zapomniał o zemście. Gdybym go posłuchał, to dziś, zamiast znajdować się tu na łasce diabłów, które wkrótce ofiarują mnie złemu duchowi, mógłbym być mężem ukochanej Lily i cieszyć się jej miłością w spokojnej Anglii. Na myśl o tym głośno zapłakałem i zacząłem prosić Stwórcę, aby uchronił mnie od tej okrutnej śmierci albo przynajmniej odpuścił mi grzechy i dał wieczny odpoczynek w niebie.

Placząc i modląc się tak na przemian, zapadłem w półsen. Śniło mi się, że spaceruję po zboczach wzgórz w Ditchingham, obok ścieżki prowadzącej

z mego domu do kościoła. Słyszałem wiatr szepczący w gałęziach drzew porastających liczne wzgórze, wdychałem słodki zapach angielskich kwiatów, a na twarzy czułem balsamiczne lipcowe powietrze. Był wieczór, księżyc pięknie oświetlał łąki i rzekę, a ze wszystkich stron dobiegał śpiew słowików. Ale choć zdawałem sobie sprawę z tych wszystkich rozkosznych widoków i dźwięków, nie myślałem o nich. Patrzyłem na ścieżkę wspinającą się za domem na wzgórze i słyszałem kroki, które pragnąłem usłyszeć. Potem zza wzgórza doleciały słowa piosenki. Była to smutna piosenka, opowiadała o kimś, kto pożeglował daleko i już nie powrócił. Wkrótce na szczycie wzgórza, między jabłonią, dostrzegłem ubraną na biało postać. Powoli szła w moją stronę i wiedziałem, że jest to ta, na którą czekałem, moja ukochana Lily. Przestała śpiewać, ale nadal zbliżała się do mnie. Zauważyłem, że ma bardzo smutną twarz. Co więcej, była to twarz kobiety w średnim wieku, choć nadal pięknej, ba, nawet piękniejszej niż w młodości. Dotarła do podnóża wzgórza i właśnie miała otworzyć małą furtkę prowadzącą do ogródka, kiedy wyszedłem z cienia drzew i stanąłem przed nią. Odskoczyła z okrzykiem przerażenia, ale potem umilkła i spojrzała mi w twarz.

- Tak zmieniony... - szepnęła. - Czy to możliwe, że to on? Tomaszu, czy to ty wróciłeś tu z zaświatów, czy może to tylko sen? - Powoli, z niedowierzaniem wyciągnęła ręce, jakby chciała mnie wziąć w objęcia.

W tym momencie obudziłem się. Otworzyłem oczy i ujrzałem stojącą przede mną kobietę w bieli. Jak we śnie, oświetlały ją promienie księżyca, jak we śnie, wyciągała ku mnie ramiona.

- To ja, ukochana, to nie sen! - krzyknąłem, poderwałem się z łóżka i przycisnąłem ją do piersi, aby ucałować jej usta. Ale zanim moje wargi dotknęły jej warg, zorientowałem się, że się pomyliłem, gdyż tą, którą trzymałem w objęciach, była nie Lily Bozard, lecz księżniczka Otomi. Puściwszy ją, opadłem na powrót na łóżko i jęknąłem głośno, a kiedy padałem spostrzegłem, że twarz i szyję zalał jej rumieniec wstydu. Kochała mnie, a więc moje zachowanie i słowa, których znaczenia mogła się łatwo domyślić, były dla niej zniewagą. Mimo to odezwała się spokojnie:

- Przepraszam, Teule. Przyszłam nie po to, żeby cię obudzić, ale żeby czuć nad twym snem. Przyszłam także po to, żeby zobaczyć cię przed

świtem, póki jesteś sam, w nadziei, że mogę ci w czymś pomóc, a przynajmniej pocieszyć cię, gdyż koniec już bliski. Powiedz mi więc szczerze - wziąłeś mnie za inną kobietę, droższą ci i piękniejszą i dlatego chciałeś mnie objąć, tak?

- Śniła mi się moja ukochana, która jest za morzem, daleko stąd i kiedy się obudziłem, wziąłem cię za nią - odparłem z bólem w sercu. - Ale dość już o miłości i podobnych sprawach. Co ja, którego wkrótce pochłonie ciemność, mam z nimi wspólnego?

- Nie wiem, Teule, ale słyszałam, jak mądrzy ludzie mówili, że jeśli gdziekolwiek można znaleźć miłość, to właśnie w owej ciemności śmierci, która naprawdę jest jasnością. Nie smuć się, bo jeśli wierzysz, o której mi opowiadałeś, czy w naszej wierze, jest coś prawdy, to jeszcze przed następnym zachodem słońca, albo na ziemi, albo poza nią, spotkasz swoją ukochaną i modlę się, aby okazało się, że jest ci wierna. Powiedz mi - bardzo cię kocha? Czy położyłaby się przy tobie na kamieniu ofiarnym, jak - gdyby sprawy między nami ułożyły się inaczej - ja chciałam zrobić?

- Nie - odparłem - nasze kobiety nie mają zwyczaju zabijać się, jeśli ich mężowie zginą.

- Może wolą żyć dalej i wyjść za mąż po raz drugi - odparła Otomi. Mówiła spokojnie, ale widziałem, że oczy jej błyszczą gniewem a piersi faluje.

- Dość już tej głupiej rozmowy - powiedziałem. - Słuchaj, Otomi, gdyby ci naprawdę na mnie zależało, to na pewno ocaliłabyś mnie od tej okropnej śmierci albo wpłynęła na Guatemocę, żeby to zrobił. Jesteś córką Montezumy, czy przez tyle miesięcy nie mogłaś postarać się, aby skrzytał ze swej władzy i rozkazał mi oszczędzić?

- A więc uważasz, Teule, że jestem tak marną przyjaciółką? - odparła gwałtownie. - Dowiedz się, że przez te wszystkie miesiące, dzień i noc starałam się znaleźć jakiś sposób, aby cię ocalić. Zanim uwięziono mego ojca, tak mu się z tym naprzykrzałam, że w końcu nie chciał mnie w ogóle widywać. Próbowałam przekupić kapłanów, snułam plany uwolnienia cię i uciezki, a pomagał mi w tym Guatemoc, bo cię lubi. Gdyby nie przybycie tych przeklętych Teule'ów i wojna, którą wzniesli w mieście, na pewno bym cię uratowała, bo myśl kobiety sięga daleko i może znaleźć wyjście nawet wtedy, gdy innym wydaje się to niemożliwe. Ale ta wojna wszystko zmieniła. Wróżbici ogłosili przepowiednię, która przypieczętowała twój los. Orzekli, iż jeśli popłynie twoja krew, a twoje serce zostanie złożone

jutro w południe na ołtarzu Tezcatlipoki, to pokonamy Teule'ów i zniszczymy ich doszczętnie. Ale jeśli ofiara zostanie złożona choćby chwilę przed lub po tej pomyślnej godzinie, to los Tenocitlan jest przypieczętowany. Orzekli też, że musisz umrzeć nie - jak każe zwyczaj - w Świątyni Broni po drugiej stronie jeziora, ale na wielkiej piramidzie, przed głównym posągim boga. Wie o tym cały kraj, tysiące kapłanów zanoszą teraz modły o to, by ofiara została przyjęta, a nad kamieniem ofiarnym zawieszono złoty pierścień, w taki sposób, by światło słońca przeszło przez otwór w nim i padło na środek twojej piersi w samo południe. Od wielu tygodni śledzą cię, jak jaguar swą ofiarę, bo obawiano się, żebyś nie uciekł do Teule'ów. My, twoje żony, też znajdowałyśmy się pod ciągłą obserwacją. W tej chwili pałac otoczony jest potrójną linią straży, a pod twymi drzwiami i oknami czuwają kapłani. Sam więc osądź, jaka jest szansa ucieczki.

- Istotnie, mała - odparłem - ale mimo to znam wyjście. Jeśli sam się zabiję, to mnie nie dostaną.

- Nie - odparła pospiesznie - nie rób tego. Co ci to da? Dopóki żyjesz, możesz mieć nadzieję, ale kiedy umrzesz, to umrzesz na zawsze. Poza tym, jeśli masz umrzeć, to lepiej będzie zginąć z ręki kapłana. Wierz mi, choć śmierć taka jest okropna - wzdrygnęła się - to jest prawie bezbolesna, tak przynajmniej mówią, i szybka. Nie będą cię torturować, tyle wyjednaliśmy, Guatemoc i ja, choć początkowo chcieli to zrobić, aby w ten sposób szczególnie uczcić ów wielki dzień i zaskarbić łaskę boga.

- Och, Teule - mówiła dalej Otomi, siadając na łóżku obok mnie i biorąc mnie za rękę - nie myśl już o tym, ale postaraj się sięgnąć myślą dalej. Czy to taka straszna rzecz umrzeć, i do tego szybko? Wszystkich nas to czeka, nie dziś, to jutro czy innego dnia, a twoja religia, tak jak nasza, naucza, że za grobem czeka nas wieczne szczęście. Pomyśl więc, przyjacielu, że jutro zostawisz za sobą te ustawiczne troski i zmartwienia, zamęt i walki tego świata, codzienne obawy o to, co przyniesie przyszłość, że spocznieś w pokoju tam, gdzie nikt cię już nigdy nie będzie niepokoił. Odnajdziesz tam swą matkę, o której mi opowiadałeś, a która cię kochała, i być może dołączy tam do ciebie ta, która kochała cię bardziej niż matka, a może nawet ja spotkam cię tam, przyjacielu - tu spojrzała na mnie dziwnie. - Droga, którą musisz się udać, jest rzeczywiście ciemna, ale na pewno dobrze przetarta, a dalej świeci światło. Bądź więc mężczyzną i nie smuć się. Powinieneś raczej się cieszyć, że w tak młodym wieku zostawisz za sobą obawy i zgryzoty i przekroczysz bramę szczęścia, że przeszedłeś

-

pozbawioną wody i porośniętą cierniami pustynię i zobaczysz kwitnące ogrody, a wśród nich świątynie wiecznego miasta. A teraz żegnaj. Spotkamy się dopiero w porze złożenia ofiary, bo my, które udajemy twoje żony, musimy towarzyszyć ci do pierwszego tarasu świątyni. Żegnaj, drogi przyjacielu, i pomyśl o moich słowach. Jestem pewna, że bez względu na to, czy się z nimi zgadzasz, czy nie, umrzesz dzielnie, tak jakbyś robił to na oczach swoich rodaków, mając na względzie zarówno swój honor, jak i to, że prosiłam cię o to. - Pochyliwszy się nagle, Otomi pocałowała mnie delikatnie w czoło, jak siostra, i odeszła.

Opadły za nią zasłony, ale w uszach nadal dźwięczał mi odgłos jej kroków. Nic nie może sprawić, by człowiek z miłością wyglądał śmierci, a ta, która mnie czekała, była takiego rodzaju, że wzдрыgnąłby się nawet najdzielniejszy, ale czułem, iż Otomi mówiła prawdę i że choć koniec wydawał się straszny, to jednak mógł się okazać mniej straszny niż moje dotychczasowe życie. Na moją duszę spłynął, niczym gęsta mgła na powierzchni oceanu, nienaturalny spokój. Pod warstwą mgły mogły pnieć się fale, nad nią świecić słońce, ale wokół panował szary spokój. W owej godzinie wydawało się, że wyszedłem ze swej ziemskiej powłoki i postrzegam wszystko jakimś nowym zmysłem. Życie odpływało ode mnie, zbliżała się śmierć i zrozumiałem wtedy, jak rozumiem teraz, w bardzo podszłym wieku, o ile większy udział mamy my, śmiertelni, w śmierci niż w tym krótkim momencie, zwanym życiem. Myślałem o całym swoim życiu, o tym, co czeka mą duszę, a nawet zachwyciałem się subtelnością i mądrością tej Indianki, która potrafiła myśleć o takich rzeczach i wyrazić swe myśli.

Ha, cokolwiek się stanie, w jednym jej nie zawiodę - umrę odważnie, jak powinien zrobić to Anglik, pozostawiając resztę Bogu. Ci barbarzyńcy nie mogą nigdy powiedzieć, że obcokrajowiec był tchórzem. Kim byłem, że miałbym się żalić? Czyż codziennie na tamtym placu nie ginęły bez szmeru setki ludzi nie gorszych ode mnie? Czyż moja matka nie zginęła również z ręki mordercy? Czyż ta nieszczęsna dama, Izabella de Siguenza, nie została zamurowana żywcem dlatego, że poślubiła łotra, który ją potem zdradził? Świat pełen jest smutków i lęków takich samych jak moje - kim jestem, bym się miał nad sobą użalać?

Rozmyślałem tak, aż nadszedł świt i usłyszałem głosy ludzi szykujących się do walki, bowiem walki toczyły się teraz codziennie, a ten dzień miał być jednym z najgorszych. Niewiele jednak myślałem o wojnie Azteków z Hiszpanami, bo sam musiałem przygotować się na śmierć, która była tuż tuż.

TOM II

Rozdział I

POCAŁUNEK MIŁOŚCI

Wkrótce usłyszałem dźwięki muzyki i weszli moi paziowie w towarzystwie paru artystów, niosąc ubiór jeszcze wspanialszy niż wszystko to, w co ubierano mnie do tej pory. Najpierw paziowie rozebrali mnie do naga, a artyści pokryli całe moje ciało ohydnyymi czerwonymi, białymi i niebieskimi wzorami, tak że wyglądałem jak flaga. Nie oszczędzili nawet twarzy i ust, malując je na karminowo, zupełnie tak, jak robią to bezwstydne kobiety we wszystkich krajach i epokach. Na piersi, w miejscu, gdzie miałem serce, wyrysowali, starannie je wymierzywszy, szkarłatne kółko. Włosy, które dotychczas opadały mi na ramiona, zaczesali do góry i - na wzór fryzur noszonych przez wodzów indiańskich - ściągnęli czerwona, haftowaną przepaską, za którą zatknęli pęk piór kogucich. Potem odziali mnie w ubiór przypominający szaty liturgiczne noszone podczas odprawiania mszy przez duchownych rzymskokatolickich, w uszach zawiesili mi złote kolczyki, na nogi i ręce założyli złote bransolety, a na szyję naszyjnik z bezcennych szmaragdów. Zawiesili mi też na piersi wielki klejnot, który lśnił jak powierzchnia wody w świetle księżyca, i przyprawili sztuczną brodę zrobioną z różowych muszelek. Na koniec owinęli mnie girlandami kwiatów, tak że wyglądałem jak palma wielkanocna i dopiero wtedy dali mi spokój, cofnęli się i spojłali z zachwytem na swe dzieło.

Zabrzmiała ponownie muzyka. Dali mi dwie lutnie - musiałem trzymać po jednej w każdej ręce - i zaprowadzili do wielkiej sali pałacu. Zebrała się tam duża liczba dostojnych osób, wszyscy w ubiorach świątecznych. Wprowadzono mnie na podium, na którym stały moje cztery żony w bogatych strojach czterech bogiń, Xochi, Xilo, Atli i Clixto, których imionami zostały nazwane na czas trwania naszego małżeństwa. Imię Atla nosiła księżniczka Otomi. Kiedy zająłem miejsce na podium, podeszły do mnie

kolejno, podając słodycze i ciasteczka kukurydziane na złotych tacach oraz kakao i *mescal* w złotych kubkach. *Mescal* wypilem, bo jest to napój alkoholowy, a potrzebowalem pokrzepienia dla ducha, ale pozostałych rzeczy nawet nie tknałem. Po tych ceremoniach zapadła na chwilę cisza, którą przerwało wejście grupy brudnych kapłanów, odzianych w purpurowe szaty używane przy składaniu ofiar. Cali byli pokryci krwią, mieli ją na rękach, zlepila im włosy, nawet ich dzikie oczy zdawały się pływać we krwi. Przeszli przez salę i zatrzymali się przed podium, a potem główny kapłan wyrzucił nagle ręce w górę i krzyknął donośnie:

- Czcij, o ludu, nieśmiertelnego boga!

Wszyscy obecni padli przede mną plackiem, wołając:

- Czcimy boga!

Kapłan powtórzył swe zawołanie jeszcze dwukrotnie i dwukrotnie odpowiedzili mu, jak poprzednio, padając za każdym razem na ziemię. Potem wstali, a kapłan zwrócił się do mnie, mówiąc:

- Wybacz nam, o Tezcatlipoco, że nie możemy uczcić cię tak, jak wypada, bowiem nie ma tu króla, który powinien czcić cię razem z nami. Wiesz jednak, jak ciężki jest los twoich sług. Muszą oni walczyć w swoim własnym mieście przeciw tym, którzy bluźnią tobie i twym braciom, bogom. Wiesz, że nasz ukochany władca jest więźniem tych bezbożników i leży ranny. Kiedy zaspokoimy, o Tezcatlipoco, twoje pragnienie wyrwania się stąd z powrotem do nieba, kiedy na przykładzie swego ziemskiego wcielenia pokażesz nam, że ludzkie powodzenie jest tylko cieniem, który wkrótce znika, to prosimy cię, ażebyś wstawił się za nami i sprawił, byśmy mogli powalić tych niegodziwców i złożyć ci ich w ofierze. O Tezcatlipoco, mieszkałeś wśród nas bardzo krótko, ale nie możesz pozwolić, byśmy cię dłużej zatrzymywali, gdyż od dawna czekałeś z utęsknieniem tego szczęśliwego dnia. I oto w końcu nadszedł. Kochaliśmy cię i dogadzaliśmy ci, Tezcatlipoco. Spraw w za mian za to, byśmy mogli oglądać cię w pełni twej chwały, a zanim do ciebie przyjdziemy, zadbaj o ziemskie sprawy ludu, wśród którego raczyłeś na pewien czas zamieszkać.

Powiedziawszy to oraz wiele innych rzeczy, których nie mogłem dosłyszeć, bo zagłuszało je łkanie tłumu i głośny płacz moich żon, z wyjątkiem Otomi, która nie uroniła ani łzy, ów lajdark dał znak i jeszcze raz zabrzmiała muzyka. Wtedy kapłani otoczyli mnie, ustawiając moje żony przede mną i za mną, i poprowadzili mnie przez salę i dziedziniec do wrót pałacu, które szeroko rozwarło, byśmy mogli przejść. Rozglądając się wokół z

kamiennym spokojem, zauważyłem, bo zdawało się, że w ostatniej; godzinie mego żywota nic nie może umknąć mej uwagi, że obok nas zaczyna się toczyć dziwna gra. Kilkaset kroków od nas atakowano z furją pałac Axy, gdzie zamknęli się Hiszpanie. Grupy wojowników próbowały wdrzeć się na mury, ale spędzał ich ogień Hiszpanów oraz dzidy i maczugi ich tlascałańskich sojuszników, natomiast z dachów nielicznych ocalałych z pożaru budynków, a szczególnie ze szczytu wielkiej *teocalli*, na której miałem wkrótce wyzionąć ducha, sypał się na dziedziniec i zewnętrzne umocnienia kwatery Hiszpanów grad strzał, oszczepów i kamieni. A więc o pięćset jardów dalej toczyła się walka na śmierć i życie, ale koło mnie, u bram pałacu Montezumy, rozgrywała się zupełnie inna scena. Zebrał się tu potężny tłum, w tym wiele kobiet i dzieci, aby przyjrzeć się, jak będę umierał. Przyszli z kwiatami, przy dźwiękach muzyki, a kiedy mnie ujrzeli, zaczęli krzyczeć radośnie, a tak głośno, że niemal zagłuszyli grzmot armat i wściekle wrzaski walczących. Co jakiś czas kula ze źle wymierzonej armaty żłobiła w tłumie krwawe bruzdy, zabijając parę osób i raniąc kilkanaście innych, ale reszta nie zwracała na to uwagi, krzycząc ze zdwojoną siłą:

- Witaj i żegnaj, Tezcatlipoco! Bądź błogosławiony, nasz wybawco!
Witaj i żegnaj!

Posuwaliśmy się powoli w tym tłoku, stąpając po kwiatkach, aż doszliśmy do dziedzińca u podstawy piramidy. Zatrzymaliśmy się przy jego zewnętrznej bramie, czekając, aż tłum usunie się i zrobi przejście, a gdy tak staliśmy, przez ciżbę przecisnął się jakiś wojownik i złożył mi pokłon. Podniosłem wzrok i poznałem Guatemoca.

- Teule - rzekł szeptem - porzuciłem swoje stanowisko - wskazał głową oddział próbujący wdrzeć się do pałacu Axy - aby pożegnać się z tobą. Na pewno niedługo spotkamy się znowu. Wierz mi, pomógłbym ci, gdybym mógł, ale nie mogę. Chętnie zamieniłbym się z tobą, lecz to niemożliwe. Żegnaj przyjacielu. Dwukrotnie ocaliłeś mi życie, ale ja niestety, nie mogę ocalić twojego.

- Żegnaj, Guatemocu - odparłem. - Oby ci się poszczęściło, bo jesteś prawdziwym mężczyzną.

Potem weszliśmy na dziedziniec.

U stóp piramidy uformowała się procesja i jedna z moich żon pożegnała się ze mną, rzucając mi się z płaczem na szyję. Ja nie żegnałem jej ze łzami. Droga na szczyt *teocalli* wije się wokół piramidy, wznosząc się coraz wyżej. Tą właśnie drogą ruszyła uroczysta procesja. Na każdym

zakręcie zatrzymaliśmy się. Zegnała się tam ze mną następna żona albo odbierano mi jeden z instrumentów muzycznych, które oddawałem bez żalu, czy też zdejmowano ze mnie jakąś część stroju. W końcu, po godzinnym pochodzie, gdyż posuwaliśmy się bardzo wolno, dotarliśmy na płaski wierzchołek piramidy, na który prowadzą szerokie schody. Miejsce to zajmuje większą przestrzeń niż dziedziniec kościelny w Ditchingham, a strome krawędzie platformy nie są niczym ogrodzone. Stały tam świątynie Huitzelcoatla i Tezcatlipoki, strzeliste budowle wzniesione z drewna i kamienia, w których umieszczone były straszne posągi obu bogów. Wnętrze świątyni pokrywała zakrzepła ludzka krew. Tam też znajdowały się wiecznie płonące święte ognie, kamienie ofiarne, narzędzia tortur i wielki bęben z węzowych skór, ale reszta platformy była goła. Była goła, lecz nie pusta, gdyż po stronie zwróconej ku siedzibie Hiszpanów zgromadzonych było około sześciuset ludzi, którzy bez przerwy miotali pociski na głowy wrogów. Z drugiej strony platformy stała natomiast grupa kapłanów, czekająca na złożenie mnie w ofierze. Poniżej, na wielkim placu, okolonym wypalonymi domami, tłoczyły się tysiące mieszkańców Meksyku. Część z nich pochłonięta była walką z Hiszpanami, ale większość zebrała się tam, aby zobaczyć, jak będą mnie mordować.

Na szczycie piramidy znaleźliśmy się dwie godziny przed południem, ponieważ przed złożeniem ofiary trzeba było dokonać jeszcze wielu ceremonii. Najpierw wprowadzono mnie do sanktuarium Tezcatlipoki, boga, którego imię nosiłem. Stał tam jego posąg, wykuty z czarnego marmuru i pokryty złotymi ozdobami. Wzrok boga utkwiony był w tarczy z polerowanego złota, którą trzymał w ręku. Odczytywał z niej, jak twierdzili kapłani, wszystko, co dzieje się na ziemi, którą stworzył. Przed nim stała złota taca, na której leżały dwa ludzkie serca. W mojej obecności główny kapłan wziął je z tacy i mrużąc jakieś inwokacje, cisnął je w ogień płonący na ołtarzu. Potem wytarł tacę swymi długimi, skudłonymi włosami i zbliżył ją do moich ust, aby dosięgnął jej mój oddech. W tym momencie zrobiło mi się niedobrze, bo wiedziałem, że przygotowuje tacę na przyjęcie serca, które jeszcze biło w mojej piersi.

Nie wiem, jakie jeszcze ceremonie miały się odbyć w tym nieczystym miejscu, gdyż akurat w owej chwili na placu pod piramidą podniósł się wielki zgiełk i kapłani szybko wyciągnęli mnie z świątyni. Wówczas zobaczyłem, co się stało. Doprowadzeni do szaleństwa sypiącymi się na nich ze szczytu *teocalli* pociskami Hiszpanie zaczęli ją szturmować. Właśnie

pod wodzą samego Cortesa wlewali się dużymi oddziałami na dziedziniec, a za nimi postępowało kilkuset ich sojuszników, Tlascalan. Z drugiej strony bieгло pędem parę tysięcy Azteków, aby wydać białym bitwę u stóp schodów prowadzących na szczyt budowli. Minęło pięć minut zażartej walki. Hiszpanie co i raz, ubezpieczani ogniem arkebuzów, atakowali Azteków, ale kopyta koni ślizgały się na gładkich kamiennych płytach, więc w końcu zsiadli i natarli pieszo. Powoli i z wielkimi stratami Indianie zaczęli się cofać i Hiszpanie zdobyli pierwszy podest schodów. Jednak nadal na drodze wijącej się wokół piramidy tłoczyły się setki wojowników, a drugie tyle znajdowało się na jej szczycie, było więc jasne, że jeśli Hiszpanie w ogóle ją zdobędą, to nie przyjdzie im to łatwo. Mimo to na ten widok poczułem przypływ nadziei. Gdyby Hiszpanie zdobyli świątynię, to nie doszłoby do złożenia ofiary. Otomi powiedziała mi, że nie nastąpi to przed południem, a do południa były jeszcze prawie dwie godziny. A zatem gdyby Hiszpanom udało się w ciągu dwóch godzin odnieść zwycięstwo, to miałem szansę wyjść z tego cało, gdyby zaś im się nie powiodło, to musiałem zginąć.

Kiedy wyprowadzono mnie ze świątyni Tezcatlipoki, zobaczyłem ze zdumieniem, że księżniczka Otomi, a raczej bogini Atla., bo tak ją wówczas zwano, rozmawia z głównymi kapłanami. Zdziwiło mnie to tak dlatego, że w drzwiach sanktuarium pochyliła głowę w ukłonie, co wzięłem za gest pożegnania. Nie słyszałem o czym rozmawiali, gdyż zagłuszał ich zgiełk bitwy, ale widziałem, że dyskusja jest ostra, a kapłanów trochę konsternują, ale z drugiej strony wyraźnie cieszą jej słowa. Wyglądało na to, że ich w końcu przekonała, gdyż skłonili się przed nią, a ona odwróciła się wolno i podeszła do mnie wyjątkowo majestatycznym krokiem, co nawet w tamtych okolicznościach nie uszło mej uwagi. Spojrzawszy na jej twarz, zobaczyłem, że jest rozjaśniona, jak gdyby Otomi podjęła decyzję dokonania jakiegoś wzniosłego czynu. Poza tym wyglądała jak szczęśliwa panna młoda, którą ma wziąć w objęcia dopiero co poślubiony mąż.

- Dlaczego nie odeszłaś stąd, Otomi? - spytałem. - Teraz, jest już za późno. *Teocalli* otoczyli Hiszpanie. Zginiesz albo zostaniesz wzięta do niewoli.

- Czekam na koniec, bez względu na to, jaki on będzie - odparła krótko i przez pewien czas nie odzywaaliśmy się, obserwując przebieg walki, która była naprawdę zacięta.

Aztecy wojownicy, pod wzrokiem swych bogów i spojrzzeniami zebranego na placu ludu, który w milczeniu przyglądał się zmaganiom, walczyli jak desperaci. Rzucali się na miecze Hiszpanów, chwytali ich i ciągnęli na krawędź piramidy, chcąc ich zepchnąć z jej stromych ścian. Czasami udawało im się to i ze zbocza staczał się kłęb splecionych ciał z Hiszpanem w środku, by roztrzaskać się na kamiennych płytach dziedzińca. Ale choć Indianie dawali z siebie wszystko, długi zwarty szereg zakutych w zbroje Teule'ów powoli piał się w górę, zdobywając jard po jardzie. Hiszpanie doskonale wiedzieli, jaki los czeka świętokradców w wypadku przegranej, toteż walczyli nie tylko o honor, lecz także o to, by nie znaleźć się na kamieniu ofiarnym. Po godzinie byli już w połowie wysokości piramidy. Coraz głośniej rozlegał się zgiełk bitewny. Hiszpanie dodawali sobie wzajemnie ducha, przywołując na pomoc świętych patronów. Aztecy wyli jak dzikie bestie, a kapłani wykrzykiwali inwokacje do swych bóstw i zagrzewali do boju wojowników. Nad tym wszystkim górował huk arkebuzów, ryk dział i budzący grozę łomot wielkiego bębna z węzowych skór, w który walił jak opętany półnagi kapłan. Tylko tłum na dole stał nieruchomy i milczący. Widziałem, jak we wzniesionych w górę tysiącach oczu odbija się światło słoneczne.

Przez cały ten czas stałem przy kamieniu ofiarnym, z Otomi u boku. Otaczał mnie pierścień kapłanów, a nad kamieniem wisiała na czterech słupach, tkwiących w otworach wydrążonych w kamiennej posadzce, czarna płachta. W jej środku umieszczony był złoty lejek o średnicy wlewu mierzącej jakieś sześć cali, przez który padał na posadzkę ocienioną płachtą snop promieni słonecznych, tworząc krążek światła wielkości jabłka. W miarę przesuwania się słońca po niebie przesuwał się też ów krążek, aż w końcu znalazł się na krawędzi kamienia ofiarnego. Wówczas na znak głównego kapłana jego pomocnicy chwycili mnie i zdarli ze mnie resztę ubrania. Zostałem tylko w przepasce na biodrach. Wiedziałem, że nadeszła moja ostatnia godzina i choć może wydać się to dziwne, wstąpiła we mnie odwaga. Pomyślałem z ulgą, że wreszcie uwolnię się od moich przesładowców. Obróciłem się do Otomi, aby się z nią pożegnać i ku swemu zdziwieniu zobaczyłem, że postąpiono z nią dokładnie tak samo, jak ze mną. Zerwano z niej wspaniałe szaty i stała przede mną z rozpuszczonymi włosami i haftowanej bawełnianej koszuli.

- Nie dziw się, Teule - powiedziała cicho, odpowiadając na moje niewypowiedziane pytanie. - Jestem twoją żoną, a tam jest nasze małżeńskie łóże, pierwsze i ostatnie, które będziemy dzielić ze sobą. Choć mnie nie

kochasz, muszę dziś u twego boku umrzeć tą samą śmiercią, co ty. Mam do tego prawo. Nie mogłam cię uratować, ale przynajmniej mogę zginąć z tobą.

Nic na to nie powiedziałem, bo zaskoczenie odebrało mi mowę, a zanim doszedłem do siebie, kapłani pociągnęli mnie i po raz drugi w życiu znalazłem się na kamieniu ofiarnym. W tym momencie buchnął wrzask jeszcze silniejszy niż poprzednio, co oznaczało, że Hiszpanie wdarli się na ostatni podest schodów. Jak tylko umieszczono mnie pośrodku kamienia, zaraz tuż obok położono Otomi. Nasze ciała stykały się bokami, gdyż skoro moje musiało leżeć dokładnie na środku, dla niej nie zostało wiele miejsca. Ponieważ nie nadszedł jeszcze moment wyznaczony na złożenie ofiary, kapłani związali nas ciasno linami, których końce przytwierdzili do metalowych pierścieni wmurowanych w posadzkę, i odwrócili się, aby śledzić przebieg bitwy.

Leżeliśmy tak obok siebie przez kilka minut, a w moim sercu wzbierał podziw i wdzięczność, podziw dla odwagi, której nie spodziewałem się u kobiety, i wdzięczność za ofiarowaną mi miłość, za miłość, którą miała przypieczętować życiem. Otomi kochała mnie tak bardzo, że wolała umrzeć tą straszną śmiercią przy moim boku niż żyć w splendorach beze mnie. Kiedy o tym myślałem, moje serce też zwróciło się ku niej. Czulem, że żadna kobieta, nawet moja narzeczona, nie jest mi droższa. Czulem... ha, nie sposób wyrazić, co czulem. Wiem tyle, że nagle puściły mi się z oczu łzy i popłynęły po mojej wymalowanej twarzy. Odwróciłem głowę, aby spojrzeć na nią. Leżała przekręcona na lewy bok, na tyle, na ile pozwalały jej więzy, długie włosy spływały z kamienia strumieniem na posadzkę, a jej twarz zwrócona była w moją stronę. Była tak blisko mnie, że moich ust nie dzielił od niej nawet cal.

- Otomi - rzekłem cicho. - Kocham cię, Otomi.

Jej pierś uniosła się pod sznurami, a na twarzy pokazał się rumieniec.

- A więc zostałam wynagrodzona - odparła i nasze usta zwarły się w pocałunku, pierwszym, a zarazem - jak myśleliśmy - ostatnim. Tak, pocałowaliśmy się na kamieniu ofiarnym, w cieniu śmierci. Jeśli kiedykolwiek miała gdzieś miejsce bardziej niesamowita scena miłosna, to nic mi o tym nie wiadomo.

- Och, zostałam wynagrodzona - powtórzyła. - Chętnie umarłabym dziesięć razy, żeby tylko móc przeżyć tę chwilę i modłę się, żebym mogła umrzeć, zanim cofniesz te słowa. Wiem bowiem dobrze, Teule, że jest

kobieta, która jest ci droższa ode mnie, ale teraz wzruszyło cię moje poświęcenie i myślisz, że mnie kochasz. A więc niech umrę, wierząc, że to nie sen, lecz prawda.

- Nie mów tak - odparłem, bo przypomniała mi o Lily. - Ofiarowałaś dla mnie swe życie i za to cię Kocham.

- Moje życie jest niewiele warte, a twoja miłość cenna - odpowiedziała z uśmiechem. - Ach, Teule, jakich użyłeś czarów, że przywiodły mnie, córkę Montezumy, na kamień ofiarny, i to z mej własnej woli? Ale nie chcę wygodniejszego łóża, a dlaczego i po co tak się stało oraz wielu innych rzeczy dowiemy się oboje niebawem.

Rozdział II

TRYUMF KRZYŻA

- Otomi - spytałem po chwili - kiedy nas zabiją?

- Kiedy światło słoneczne padnie na kółko namalowane na twojej piersi - odparła.

Odwrociłem głowę i spojrzałem na promienie słońca przebijającego niczym złoty ołówek cień nad nami. Padały na kamień w odległości jakichś sześciu cali ode mnie i obliczyłem, że mniej więcej za piętnaście minut znajdą się wewnątrz purpurowego kółka wymalowanego na moim sercu. Tymczasem odgłosy walki zbliżały się coraz bardziej. Unosząc się na ile pozwalały na to sznury, wyciągnąłem szyję i zobaczyłem, że Hiszpanie zdobyli już skraj szczytowego tarasu piramidy, jako że tam wrzała teraz bitwa. Rzadko widywałem tak zażarte walki. Aztecy walczyli z furją, którą rodzi rozpacz i mało dbali o swoje życie, myśląc tylko o tym, by uśmiercić jak najwięcej Hiszpanów. Jednak ich prymitywna broń niewiele mogła wyrządzić szkody zakutym w pancerze wrogom, toteż pozostał im tylko jeden sposób osiągnięcia upragnionego celu - zrzucenie białych z piramidy, by roztrzaskali się jak jajka na kamieniach dwieście stóp niżej. Skutkiem tego walczący rozpadli się na grupki kotłujące się na samym skraju tarasu. Co raz to któraś, licząca może dziesięć do dwunastu osób, znikwała za jego krawędzią. Do walki przyłączyła się też część kapłanów, myśląc mniej o obronie swego życia niż świątyni przed zbezczeszczeniem, bo zobaczyłem, jak jeden z nich, mężczyzna potężnej postury, chwycił Hisz

pana w pasie i skoczył z nim w dół. Mimo to, choć powoli, Hiszpanie i Tlascalanie torowali sobie drogę ku środkowi tarasu, a im bardziej się zbliżali, tym bardziej oddalali od siebie ów straszny koniec, gdyż Aztecy musieli ich ciągnąć kawałek drogi, aby zepchnąć w dół.

W końcu walka przeniosła się prawie pod kamień ofiarny i wszyscy pozostali przy życiu Aztecy, może dwustu pięćdziesięciu, nie licząc kapłanów, otoczyli kołem ołtarz i bronili do niego dostępu. Tymczasem zewnętrzny skraj wiązki promieni słonecznych wpadających przez złoty lejek dotknął mego boku i palił go jak rozżarzone żelazo. Kiedy tylko promienie padły na moje ciało, pięciu kapłanów chwyciło mnie za kończyny i za głowę, a ich przywódca, ten, który przyprowadził mnie z pałacu, ujął w obie dłonie swój krzemienisty nóż. Ogarnęła mnie słabość i zamknąłem oczy, marząc, żeby wreszcie się to skończyło, ale w tej samej chwili usłyszałem, jak główny astronom, mężczyzna o dzikim spojrzeniu, którego zauważyłem tam już wcześniej, krzyczy do posłańca śmierci:

- Jeszcze nie, kapłanie Tezcatlipoki! Jeśli uderzysz, zanim promienie słońca spoczną na sercu ofiary, to zginą nasi bogowie i zginie lud Anahuac.

Kapłan zazgrzytał zębami z wściekłości i spojrział najpierw na wolno przesuającą się wiązkę promieni, a potem, przez ramię, na coraz bardziej zacieśniający się krąg Hiszpanów. Powoli kurczył się pierścień wojowników broniących ołtarza i równie powoli pełzły po mej piersi promienie słońca. W końcu ich skraj dotknął czerwonego kółka. I znowu kapłan wznosił w górę swój straszny nóż, i znowu zamknąłem oczy, i znowu usłyszałem ostry krzyk astronoma:

- Jeszcze nie, jeszcze nie, bo nasi bogowie będą zgubieni!

Potem usłyszałem inny głos. To Otomi wołała pomocy.

- Ratujcie nas, Teule! Mordują nas! - krzyknęła tak przeraźliwie, że usłyszeli to Hiszpanie, bo któryś z nich odkrzyknął coś w odpowiedzi i zaczął zachęcać po kastylijsku swych towarzyszy:

- Dalej, panowie! Te psy mordują ludzi na ołtarzu!

Wtedy nastąpił potężny atak i Aztecy zostali odepchnięci za ołtarz, a cofając się, przewrócili kapłana, który padł na mnie. Atak powtórzył się jeszcze dwukrotnie, a za każdym razem siły Azteków słabły coraz bardziej. W końcu pierścień wojowników pękł i z każdej strony widziałem błysk mieczy Hiszpanów. Ale promienie słońca znalazły się już w kółku na mej piersi.

- Uderzaj, kapłanie Tezcatlipoki! - usłyszałem wrzask astronoma. - Uderzaj ku chwale bogów!!

Kapłan, ze strasznym wyciem, wznosił nóż. Jego ostrze błysnęło w złotych promieniach padających na mą pierś. Potem, kiedy opuszczał nóż, zobaczyłem, jak w tych samych promieniach zaśnęła stalowa klinga, która zatopiła się w piersi kapłana. Nóż opadł, ale nie trafił. Uderzył jeszcze z wystarczającą siłą, aby pozbawić mnie życia, lecz nie dosięgnął serca. Nie wyszedłem jednak z tego cało. Uderzył w kamień między mną a Otomi, raniąc nas oboje, tak że nasza krew zmieszała się, jednocząc nas naprawdę. Padł też na nas po raz drugi ów kapłan, ale tym razem nie podniósł się już, lecz skończył na ciałach tych, których chciał zabić. Potem, jak we śnie, usłyszałem znowu głos astronoma, śpiewającego pieśń pogrzebową bogom Anahuac.

- Kapłan nie żyje, a jego bogowie upadli! - wołał. - Tezcatlipoca nie przyjął ofiary i upadł, bogowie Anahuac są zgubieni! Zwyciężył Krzyż Chrześcijan.

Lamentował tak i zawodził, aż usłyszałem odgłos ciosów miecza i wiedziałem już, że i ten prorok nie żyje.

Potem czyjeś silne ręce ściągnęły z nas umierającego kapłana. Stał, zatoczył się do tyłu i padł na płonący na ołtarzu wieczny ogień, gasząc go, po raz pierwszy od tyłu pokoleń, swą krwią i ciałem. Ktoś rozciął krępujące nas sznury.

Usiadłem, rozglądając się nieprzytomnie i usłyszałem mówiący po kastylijsku, oczywiście nie do mnie, głos:

- Ci dwoje zajrzeli już śmierci w oczy, biedacy. Gdybym spóźnił się o sekundę, ten dzikus zrobiłby w nim dziurę wielkości mojej głowy. Wszyscy święci! Ta dziewczyna jest śliczna, tylko trzeba ją umyć. Poproszę Cortesa, żeby dał mi ją w nagrodę.

Znałem ten głos. Żaden inny nie miał takiego czystego, twardego brzmienia. Podniosłem głowę, ześlizgując się z kamienia. Wreszcie dostrzegłem to, czego szukałem. Przede mną, w pełnej zbroi, stał mój wróg, de Garcia. To jego miecz przebił, zrzędzeniem Boga, kapłana. To on ocalił mi życie, choć gdyby wiedział, kto leży na kamieniu, prędzej zatopiłby stal w moim sercu niż w sercu mego niedoszłego zabójcy.

Gapiałem się na niego, zastanawiając się, czy nie śnię i moje wargi same, jak gdyby wbrew mej woli, wypowiedziały dwa słowa:

- De Garcia!

Na dźwięk mego głosu zatoczył się jak uderzony kulą, potem przyjrzał mi się, przetarł oczy dłonią i spojrział jeszcze raz. W końcu rozpoznał pod farbą me rysy.

- Matko Boska! -• wykrztusił. - To ten łotr, Tomasz Wingfield. I to ja uratowałem mu życie!

Tymczasem oprzytomniałem i zdając sobie sprawę z tego, jakie zrobiłem głupstwo, odwróciłem się, szukając ucieczki. Ale de Garcia nie mógł mi na to pozwolić. Podniósłszy miecz, rzucił się na mnie, rycząc z wściekłości i nienawiści jak zwierzę. Błyskawicznie skoczyłem za kamień ofiarny. Za mną de Garcia. Wkrótce by mnie dopadł, gdyż byłem osłabiony przeżyciami, a mięśnie miałem zdrętwiałe od krępujących mnie tak długo więzów, ale w tym momencie jakiś rycerz, w którym po postawie i ubiorze rozpoznałem samego Cortesa, podbił jego miecz, mówiąc:

- Co znowu, Sarceda? Tak się upileś widokiem krwi, że jak indiański kapłan zabierasz się do mordowania ofiar? Daj im spokojnie odejść.

- To nie Indianin, to angielski szpieg! - ryknął de Garcia i raz jeszcze spróbował mnie dosięgnąć.

- Najwyraźniej nasz przyjaciel oszalał - powiedział Cortes, przyglądając się mi uważnie. - Mówi, że ten biedak jest Anglikiem. No, idźcie stąd oboje, bo jeszcze pomyli się kto inny - i machnął mieczem, dając nam znak, abyśmy odeszli, bo przypuszczał, że nie rozumiem, co mówi. Potem, gdy de Garcia, nie mogąc z wściekłości nic powiedzieć, ponowił próbę dosięgnięcia mnie, rzekł gniewnie:

- Nie, na Boga! Nie zniosę tego. Jesteśmy chrześcijanami i przybyliśmy tu nie po to, żeby zabijać ofiary, ale żeby je ocalić. Hej, żołnierze, trzymajcie tego głupca, który chce splamić swą duszę morderstwem!

Na to Hiszpanie chwycili de Garcia za ręce i choć rzucał się i kłął, gdyż - jak powiedziałem - wściekłością przypominał bardziej zwierzę niż człowieka, nie puścili go. Ja stałem jednak bez ruchu, nie wiedząc dokąd mam uciekać. Na szczęście dla mnie był obok ktoś, kto choć nie rozumiał hiszpańskiego, był szybszy w działaniu. Bo kiedy stałem tak oszołomiony, Otomi chwyciła mnie za rękę i szepcząc: - Uciekaj szybko, uciekaj! - odciągnęła mnie.

- Dokąd uciekniemy? - spytałem w końcu. - Czy nie byłoby lepiej zdać się na łaskę Hiszpanów?

- Na łaskę tego diabła z mieczem? - odparła. - Daj spokój, Teule, i chodź za mną.

Poszła przodem. Hiszpanie pozwolili nam przejść bez przeszkód, ba, nawet uzalali się nad nami, ponieważ wiedzieli, że uratowano nas w ostatniej chwili przed śmiercią na kamieniu ofiarnym. Współczuli nam

tak bardzo, że kiedy jakiś Tlascalanin rzucił się, na nas z maczugą, jeden z Hiszpanów wymierzył mu taki cios w ramię, że napastnik padł ranny na ziemię. Szliśmy dalej. U skraju tarasu obejrzelśmy się i zobaczyłem, że de Garcia wyrwał się tym, którzy go trzymali, a może odzyskał mowę i wyjaśnił im wszystko. W każdym razie zbliżał się do nas ze wzniesionym w górę mieczem i dzieliło nas około pięćdziesięciu jardów. Strach dodał nam sił i popędziliśmy jak wicher. Biegliśmy stromą drogą w dół ramię przy ramieniu, przeskakując przez ciała zabitych i konających, zatrzymując się od czasu do czasu tylko dlatego, by nie dać się strącić trupom kapłanów zrzuconym przez Hiszpanów z *teocalli*. Raz dostrzegłem goniącego nas de Garcie, ale potem straciliśmy go z oczu. Na pewno zmęczył się pościgiem albo bał się wpaść w ręce azteckich wojowników stojących wciąż u stóp piramidy.

Przeszliśmy tego dnia z Otomi przez wiele niebezpieczeństw, ale czekało nas jeszcze jedno. Kiedy znaleźliśmy się wreszcie na dole i chcieliśmy się wmieszać w przerażony tłum miotający się na dziedzińcu świątyni i unoszący ze sobą zabitych i rannych jak morze zabierające z powrotem z brzegu odpadki naniesione przez fale, usłyszałem dźwięk podobny do grzmotu. Podniosłem głowę, gdyż dźwięk ten dochodził z góry i zobaczyłem potężny przedmiot zsuwający się ze stromej ściany piramidy. Poznałem go od razu. Był to posąg boga Tezcatlipoki, który Hiszpanie wyrzucili ze świątyni i który teraz, niczym szukający zemsty demon, spadał wprost na mnie. Był już tuż tuż i wydawało się, że nie ujdziemy śmierci, i że uniknęliśmy ofiarowania duchowi boga po to tylko, by zostać zmiażdżeni przez jego marmurową statuetę. Spadał, a Hiszpanie na górze krzyczeli tryumfalnie. Uderzył podstawą o bok piramidy, jakieś pięćdziesiąt stóp nad nami, i koziółkując w powietrzu, upadł o trzy kroki od nas. Poczulem, jak pod wpływem potężnego uderzenia zatrzęsała się skała pod naszymi stopami, a w następnej sekundzie zaczęły ze świstem przelatywać koło nas wielkie kawały marmuru, jak gdyby obok wybuchła mina i rozerwała skałę. Posąg boga rozpadł się na kawałki, które śmigły wokół nas niczym strzały, ale wyszliśmy z tego bez jednego draśnięcia. Jego głowa, przelatując obok mojej, musnęła mi włosy, stopa zaryła się obok mojej stopy, ale stałem nietknięty. Fałszywy bóg nie miał żadnej władzy nad swą niedoszłą ofiarą!

Z tego, co było potem, nie pamiętam nic aż do chwili kiedy znalazłem się w swoich apartamentach w pałacu Montezumy, których nie spodziewałem

się już nigdy ujrzeć. Otomi przyniosła wody, abym zmył farbę z ciała i krew z rany, a potem, nie myśląc o własnej ranie, opatrzyła moją, gdyż cięcie było głębokie i bardzo krwawiłem. Przebrała się w czystą białą suknię i mnie również przyniosła ubranie, a także jedzenie i picie. Posiliłem się i kazałem jej też coś zjeść, a kiedy skończyliśmy, pozbierałem myśli i powiedziałem:

- Co dalej? Wkrótce złapią nas kapłani i znowu zaciągną na kamień ofiarny. Nie ma tu dla mnie żadnego ratunku, muszę uciec do Hiszpanów i zdać się na ich łaskę.

- Na łaskę tego człowieka z mieczem? Powiedz mi, Teule, kto to jest?

- To ten Hiszpan, o którym ci mówiłem, Otomi. Jest moim śmiertelnym wrogiem i to właśnie ścigając go przybyłem tu zza morza.

- A teraz chciałbyś się oddać w jego ręce. Jesteś naprawdę głupi.

- Lepiej wpaść w ręce chrześcijan niż waszych kapłanów - odparłem.

- Nie obawiaj się - powiedziała. - Kapłani nie są już dla ciebie groźni.

Uciekłeś im i to zamyka sprawę. Niewielu osobom udało się wyrwać z ich szponów, a ci, którzy tego dokonali, są prawdziwymi czarownikami. Poza tym myślę, że twój bóg jest potężniejszy od naszych bogów. Na pewno musiał cię otoczyć swym płaszczem, kiedy leżałeś tam, na kamieniu. Ach, Teule, do czego mnie doprowadziłeś, że zwątpiłam w moich bogów i wzywałam na pomoc wrogów mego kraju! Wierz mi, nie zrobiłam tego dla siebie, bo chętnie bym umarła czując twój pocałunek na ustach i słysząc twoje wyznanie miłości. Teraz muszę żyć, wiedząc, że straciłam ciebie.

- Jak to? - spytałem. - Nie cofam tego, co powiedziałem. Otomi, chciałaś zginąć ze mną i uratowałaś mi życie, wzywając Hiszpanów. Od tej pory należy ono do ciebie, bo na całym świecie nie ma tak czulej i dzielnej kobiety. Otomi, moja żono, kocham cię. Pocałowałem cię na kamieniu ofiarnym i zmieszała się tam nasza krew. Niech będzie to ceremonią naszych zaślubin. Może nie pożyję już długo, ale dopóki nie umrę, należę do ciebie, Otomi.

Mówiłem to z głębi serca, gdyż straciłem siłę i odwagę, a zawładnęły mną strach i poczucie osamotnienia. Zostały mi tylko dwie rzeczy - wiara w Opatrzność i miłość tej kobiety, która ważyła się dla mnie na tak wiele.

Nic dziwnego, że zapomniałem o przysiędze danej Lily i przygnałem do niej jak dziecko do matki. Na pewno postąpiłem źle, ale śmiem twierdzić, iż niewielu mężczyzn w mojej sytuacji zachowałoby się inaczej. Poza tym nie mogłem cofnąć słów, które wypowiedziałem na kamieniu ofiarnym. Kiedy je mówiłem, spodziewałem się śmierci i cofnięcie ich teraz, kiedy znikł jej złowrogi cień, byłoby aktem tchórzostwa. Oddałem się córce Montezumy na dobre i na złe i musiałem tego dotrzymać albo okryć się hańbą. Tak wielka była bowiem szlachetność tej indiańskiej damy, że nawet wtedy nie chciała trzymać mnie za słowo. Przez chwilę stała, uśmiechając się smutno i kręcąc w dłoni długi lok swych włosów. Potem powiedziała:

- Nie jesteś sobą, Teule, i musiałabym być podła, żeby zawrzeć tak uroczystą i poważną umowę z kimś, kto nie wie, co daje. Na ołtarzu, w momencie śmierci, powiedziałeś, że mnie kochasz i bez wątpienia mówiłeś prawdę. Ale teraz powróciłeś do życia i powiedz, panie, kto włożył ci na palec ten złoty pierścień i co jest na nim napisane? Ale nawet gdyby to, co powiedziałaś, było prawdą i gdybyś kochał mnie trochę, to za morzem jest taka, którą kochasz bardziej. Mogłabym to znieść, gdyż spośród wszystkich mężczyzn kocham tylko ciebie i mogłabym przynajmniej żyć w blasku twej obecności. Jednak znając to światło, nie mogę żyć błędząc w ciemnościach. Nie rozumiesz. Powiem ci, czego się obawiam. Obawiam się, że jeśli... jeśli się pobierzemy, to, jak to mężczyźni, znudzisz się mną, a pamięć o tamtej będzie zbyt silna, żebyś mógł tu spokojnie siedzieć. Wtedy może uda ci się znaleźć powrotną drogę do twego kraju i do twej ukochanej i opuścisz mnie, Teule. A tego bym nie zniosła. Teraz mogę się ciebie wyrzec i pozostać twą przyjaciółką. Ale nie można mnie, córki Montezumy i księżniczki tego kraju, odsunąć jak tancerki, jak nałożnicy. Jeśli mnie pojdziesz za żonę, Teule, to musisz być mym mężem do końca mego życia, a to, mimo iż pocałowałaś mnie na kamieniu ofiarnym i zmieszałaś swą krew z moją, może być dla ciebie nie do przyjęcia.

Popatrzyła na krwawe plamy na płótnie, którym owinęła swą ranę:

- A teraz zostawiam cię na pewien czas samego i pójdę odnaleźć Guatemoca, jeśli jeszcze żyje, i innych, którzy w sytuacji gdy potęga kapłanów została złamana, mogą cię osłonić i podnieść do wysokiej godności. Przemysł to wszystko, co powiedziałam, i nie podejmuj zbyt pośpiesznie decyzji. A może skończysz od razu i jeśli uda mi się znaleźć sposób ucieczki,

umkniesz do białych?

- Jestem zbyt zmęczony, aby gdziekolwiek uciekać, nawet gdybym mógł - odparłem. - Poza tym zapomniałem o czymś. Wśród Hiszpanów jest mój wróg, którego przysiągłem zabić. Dlatego jego przyjaciele są moimi wrogami a wrogowie moimi przyjaciółmi. Nie ucieknę, Otomi.

- Wobec tego zrobisz mądrze, bo jeśli znajdziesz się wśród nich, ten człowiek zamorduje cię. Otwarcie czy skrycie, ale zamorduje cię, nim minie dzień. Wyczytałam to w jego oczach. A teraz odpocznij, a ja poszukam dla ciebie bezpiecznego schronienia, jeśli jest takie w tym skrwawionym kraju.

Rozdział III

MAŁŻEŃSTWO

Otomi odwróciła się i wyszła. Popatrzyłem na złociste zasłony, za którymi zniknęła, a potem opadłem na łóżko i natychmiast zasnąłem, bo byłem tak osłabiony i znużony, że ledwie zdawałem sobie sprawę z tego, co się stało i o czym rozmawialiśmy. Później jednak dotarło to do mnie. Musiałem spać wiele godzin, bo kiedy się obudziłem, była już późna noc. Mimo to nie było ciemno, gdyż przez okna wpadał czerwony blask płomieni. Dochodziły też do pałacu odgłosy walki. Jedno z okien znajdowało się nad łóżkiem. Stałem na posłaniu, chwyciłem się parapetu rękami, z wielkim bólem, promieniującym od rany w boku, podciągnąłem się i wyjrzałem przez kraty. Zobaczyłem, że Hiszpanie, nie zadowolając się zdobyciem *teocalli*, ponowili atak pod osłoną nocy i podpalili setki domów. Od blasku pożarów zrobiło się jasno jak w dzień i widziałem Hiszpanów wycofujących się do swej twierdzy, a za nimi tysiące Azteków, zasypujących ich strzałami i kamieniami.

Puściłem się parapetu i zacząłem zastanawiać się, co mam dalej robić, bo znowu zacząłem się wahać. Czy powinienem zostawić Otomi i, gdyby to było możliwe, uciec do Hiszpanów, ryzykując, że poniosę śmierć z ręki de Garcii? Czy też powinienem zostać u Azteków, jeśli dadzą mi schronienie, i poślubić Otomi? Było też jeszcze trzecie wyjście, a mianowicie, zostać u nich i zostawić Otomi samą, choć byłoby mi trudno zrobić to i zachować

honor. Wiedziałem jedno, że jeśli poślubię Otomi, to może się to stać tylko na jej warunkach, bo wtedy będę musiał sam zostać Indianinem i porzucić wszelką nadzieję na powrót do Anglii i do narzeczonej. Była co prawda niewielka szansa na to, ale dopóki żyłem, wszystko było możliwe i mógłbym z niej skorzystać, gdyby się pojawiła, a ja byłbym wolny. Jeśli jednak związę się ślubem z Otomi, to będę musiał pozostać z nią do końca jej życia, a więc jeśli chodzi o Lily Bozard, równie dobrze mógłbym być martwy. Jak mogłem nie dochować wierności jej i danemu jej słowu, a z drugiej strony, jak mogłem odtrącić kobietę, która poświęciła dla mnie wszystko i która, prawdę mówiąc, stała się dla mnie tak droga, choć była inna, jeszcze droższa? Heros lub święty może znalazłby wyjście z tej sytuacji, lecz ja nie byłem niestety ani jednym, ani drugim, tylko zwykłym śmiertelnikiem, borykającym się ze wszystkimi słabościami ludzkiej natury, a Otomi, słodka i piękna, była blisko. Mimo to postanowiłem, że skorzystam z jej szlachetności, cofnę to, co powiedziałem i poproszę, aby mną wzgardziła i nie oglądała mnie więcej, a wszystko po to, żebym mógł dotrzymać przysięgi złożonej pod brzozą w Ditchingham.

Rozmyślałem tak, czując zamęt w głowie i nie wiedziałem, że nie mam już na te sprawy żadnego wpływu, albowiem droga dla mnie była już przygotowana. Mogłem tylko wejść na nią lub zginąć. I niech będzie to świadectwem szczerości moich słów, ponieważ gdybym chciał ukryć prawdę, nie pisałbym ani o moich rozterkach, ani o słabościach. Wkrótce bowiem wszystko tak się ułożyło, choć bez jej udziału, że musiałem albo pojąć Otomi za żonę, albo natychmiast zginąć.

Kończę już te jałowe rozważania, które mają tylko jedną zaletę, a mianowicie ukazują konieczność dokonania wówczas przeze mnie wyboru między jedną a drugą ukochaną, i przystępuję do opisu wydarzenia, które nie dawało swobody roztrząsania różnych racji.

Kiedy siedziałem tak, pogrążony w myślach, odsunęła się zasłona i wszedł mężczyzna z pochodnią w rękę. Był to Guatemoc. Przybył tu wprost z pola walki, która tej nocy już się skończyła. Ścięto pióropusz zdobiący jego hełm, złota zbroja nosiła ślady hiszpańskich mieczy, a na szyi miał krwawiącą ranę od kuli arkebuzowej.

- Witaj, Teule - powiedział. - Nie myślałem, że zobaczę cię jeszcze żywego. Zresztą siebie też, jeśli o to chodzi. Ale świat jest dziwny i dzieją się teraz w Tenocitlan rzeczy, których się najmniej spodziewaliśmy. Nie ma

jednak czasu na słowa. Przyszedłem, aby zabrać cię przed oblicze rady.

- Jaki będzie mój los? - spytałem. - Zaciągną mnie z powrotem na kamień ofiarny?

- Nie, tego się nie bój. Ale co będzie dalej, nie umiem powiedzieć. Za godzinę możesz zginąć albo zyskać wysoką godność między nami, jeśli w tych dniach hańby można w ogóle mówić o godności. Otomi dużo zrobiła dla ciebie, rozmawiając z książętami i doradcami i jeśli masz serce, powinieneś być jej za to wdzięczny, bo uważam, że rzadko się zdarza, by kobieta tak bardzo kochała mężczyznę. Jeśli chodzi o mnie, to byłem zajęty gdzie indziej - spojrział na swą pociętą zbroję - ale oddam swój głos na ciebie. Chodź już, przyjacielu, bo pochodnia zaczyna gasnąć. Musiałeś już przywyknąć do niebezpieczeństw, jedno mniej czy więcej znaczy dla ciebie tak samo niewiele, jak dla mnie.

Podniosłem się i poszedłem za nim do wielkiej, wykładanej deskami cedrowymi sali, gdzie jeszcze rano adorowano mnie jako boga. Teraz nie byłem już bogiem, lecz więźniem czekającym na proces, który mógł się skończyć wyrokiem śmierci. Na podwyższeniu, na którym odbierałem hołdy należne bóstwu, zebrali się wszyscy pozostali przy życiu książęta i doradcy. Niektórzy z nich, jak Guatemoc, byli w pociętych i zakrwawionych zbrojach, inni w swych zwykłych strojach, a jeden w kapłańskich szatach. Wszyscy mieli dwie cechy wspólne - surowe twarze i wysoką godność. Zebrali się tam nie po to, by zdecydować o moim losie, co było sprawą małej wagi, lecz by radzić, jak wygnać Hiszpanów, zanim zniszczą miasto.

Kiedy wszedłem, mężczyzna w zbroi siedzący w środku grupy zebranej na podwyższeniu, w którym rozpoznałem Cuitlahuę, następcę Montezumy w przypadku jego śmierci, podniósł szybko głowę i spytał:

- Kogo przyprowadzasz ze sobą, Guatemocu? A, pamiętam, to ten Teule, który był wcieleniem Tezcatlipoki i który dziś rano uniknął śmierci na ołtarzu. Słuchajcie! Co mamy zrobić z tym człowiekiem? Powiedzcie, czy będzie sprawiedliwie zaprowadzić go powtórnie na kamień ofiarny?

Odpowiedział mu kapłan:

- Muszę z przykrością powiedzieć, że to nie jest zgodne z prawem, szlachetny książę. Ten człowiek leżał już na ołtarzu boga, został nawet raniony świętym nożem. Ale bóg odrzucił ofiarę w tej fatalnej godzinie i nie może się on tam znaleźć drugi raz. Zabijcie go, jeśli chcecie, ale nie na kamieniu ofiarnym.

- Co zatem mamy z nim zrobić? - powtórzył książę.
- Pochodzi z krwi Teule'ów, więc jest wrogiem. Jedno jest pewne - nie można mu pozwolić przyłączyć się do tych białych diabłów, by nie opowiadział im o naszym przynębienu. Czy nie byłoby najlepiej pozbyć się go natychmiast?

Kilku doradców kiwnęło głowami, ale reszta siedziała w milczeniu.

- Szybko - powiedział Cuitlahua. - Nie możemy tracić czasu dla tego człowieka, kiedy ustawicznie zagrożone jest życie tysięcy. Stawiam pytanie: Czy tego Teule trzeba zabić?

Wtedy powstał Guatemoc i powiedział:

- Przepraszam, szlachetny kuzynie, ale myślę, że więcej pożytku będziemy mieć z niego żywego niż z martwego. Znam go dobrze, jest, jak tego dowiodłem, dzielny i lojalny, a co więcej to nie pełnej krwi Teule, lecz człowiek należący w połowie do innego narodu, który nienawidzi Teule'ów. Zna on ich zwyczaje i sposoby walki, a więc posiada wiedzę, której nam brakuje, i wydaje mi się, że mógłby nam służyć radą w naszych kłopotach.

- Może to być rada, jaką wilk daje owcy - powiedział zimno Cuitlahua - rada, która zaprowadzi nas prosto w paszczę wroga. Kto zaręczy za tego przybłądę, że nie zdradzi nas, gdy obdarzymy go zaufaniem?

- Ja zaręcę swoim życiem - rzekł Guatemoc.

- Twoje życie jest dla nas zbyt wiele warte, siostrzeńcze, żebyś stawał je na tak marnego gracza. Ci biali są łgarzami, więc jego słowo nic dla nas nie znaczy, nawet jeśli je da. Myślę, że najlepiej będzie zabić go i pozbyć się wątpliwości.

- Ten człowiek został poślubiony Otomi, córce Montezumy, a twojej bratanicy - rzekł Guatemoc - i kocha go ona tak bardzo, że postanowiła zginąć razem z nim na kamieniu ofiarnym. Jeśli się nie mylę, ona też zaręczy za niego. Czy mam ją tu wezwać?

- Jeśli tego chcesz, siostrzeńcze... ale zakochana kobieta jest ślepa i na pewno ją też zwiódł. Poza tym została jego żoną tylko ze względu na przepisy wiary. Czy chcecie, żeby stanęła przed wami księżniczka, przyjaciele?

Niektórzy zaprzeczyli, ale większość, ci, których Otomi przekonała do swej sprawy, odpowiedziała „tak” i ostatecznie wysłano jednego z nich, aby ją przyprowadził.

Niebawem nadeszła. Wyglądała na bardzo znużoną, ale miała dumną minę i ubrana była w szaty królewskie. Skłoniła się przed radą.

- Mamy takie oto pytanie, księżniczko - powiedział Cuitlahua. - Czy tego tu Teule trzeba natychmiast zabić, czy też zaprzysiąc jako jednego z nas, jeśli zgodzi się złożyć taką przysięgę? Księżę Guatemoc ręczy za niego i powiada, że ty też zaręczysz. Kobieta może to zrobić tylko w jeden sposób - biorąc go za męża. Jesteś już zaślubiona temu obcemu przez przepisy religii. Czy chcesz poślubić go zgodnie z obyczajem tego kraju i zaręczyć za niego własnym życiem?

- Chcę - odparła cicho Otomi - jeśli on chce.

- Prawdę mówiąc, to wielki honor dla tego białego psa - powiedział Cuitlahua. - Zastanów się, jesteś księżniczką Otomi, jedną z córek naszego pana. Liczymy na to, że skłonisz górskie plemiona Otomi, których jesteś władczynią, by zerwały niegodny ich sojusz z tymi przekłętymi Tlascalanami, niewolnikami Teule'ów. Czy twoje życie nie jest zbyt cenne, abyś ręczyła nim za kruchą lojalność tego obcego? Wiedz, Otomi, że jeśli okaże się on zdrajcą, to twoja pozycja niewiele ci pomoże.

- Wiem o tym - odparła cicho. - Obcy czy nie, ale kocham go i zaręczonego swoim życiem. Poza tym mam nadzieję, że pomoże mi on nakłonić Otomich z powrotem do posłuszeństwa wobec mnie. Ale pozwól, panie, by on sam się wypowiedział. Być może nie chce mnie poślubić.

Cuitlahua uśmiechnął się ponuro i powiedział:

- Skoro ma do wyboru łono śmierci i twoje piękne ramiona, bratanico, to łatwo zgadnąć, co odpowie. Mimo to mów, Teule, i to szybko.

- Niewiele mam do powiedzenia, panie. Jeśli księżniczka Otomi chce mnie za męża, to ja chcę ją za żonę - powiedziałem i tak, w chwili niebezpieczeństwa, zniknęły wszystkie moje wahania i skrupuły. Jak powiedział Cuitlahua, łatwo było zgadnąć, co odpowiem, mając do wyboru śmierć i Otomi.

Spojrzała na mnie uważnie i rzekła cicho:

- Pamiętaj o naszej rozmowie, Teule. Poślubiając mnie, wyrzekasz się przeszłości i dajesz mi swą przyszłość.

- Pamiętam o tym - odparłem i przypomniałem sobie wyraz twarzy Lily, kiedy się z nią żegnałem. A zatem taki był koniec złożonego jej przeze mnie przyrzeczenia. Cuitlahua zmierzył mnie spojrzeniem, które zdawało się sięgać w głąb mej duszy i powiedział:

- Słyszałem twoje słowa, Teule. Ty, biały wędrowiec, chcesz pojąć tę księżniczkę za żonę i zostać dzięki temu małżeństwu wyniesiony do godności wielkiego pana. Ale skąd możemy mieć pewność, że nas nie zdradzisz?

Jeśli zawiedziesz nasze zaufanie, twoja żona zginie, ale może dla ciebie to nic nie znaczy.

- Gotów jestem złożyć przysięgę wierności - odparłem. - Nienawidzę Hiszpanów. Jest wśród nich mój zaciekle wróg, którego ścigałem przez morze, by zabić - ten, który chciał mnie dzisiaj zamordować. Cóż więcej mogę powiedzieć? Jeśli nie wierzysz moim słowom, to lepiej od razu skończcie ze mną. Dość już zniosłem cierpień z rąk twego ludu i to, czy zginę, czy będę żył dalej, ma dla mnie małe znaczenie.

- Śmiało powiedziane, Teule. No, panowie, czekam na wasz sąd. Czy mamy dać tego człowieka Otomi za męża, czy też natychmiast go zabić? Znacie sprawę. Jeśli, jak mówią Guatemoc i Otomi, można mu zaufać, to będzie dla nas wart tyle, co cała armia, bo zna język, obyczaje, broń i sposoby walki tych białych diabłów, których nasłali na nas bogowie. Z drugiej strony, jeśli nie można obdarzyć go zaufaniem, a trudno wierzyć komuś z tej rasy, to może nam bardzo zaszkodzić, uciekając do Teule'ów, i zdradzając nasze plany i siły. Decyzja należy do was.

Zaczęli się naradzać. Jedni proponowali takie, drudzy inne wyjście i za nic nie mogli się porozumieć. W końcu Cuitlahua miał już dość tego i zarządził głosowanie przez podniesienie rąk. Najpierw podnieśli ręce ci, którzy chcieli mojej śmierci, a potem ci, którzy uważali, że rozsądniej będzie zachować mnie przy życiu. Z dwudziestu sześciu, nie licząc Cuitlahuy, członków rady trzynastu głosowało za zabiciem mnie, a trzynastu za darowaniem mi życia.

- Wygląda na to, że mój głos będzie decydujący - powiedział Cuitlahua. Krew zamarła mi w żyłach, bo wiedziałem, że był do mnie nieprzychylnie nastawiony. W tym momencie jednak wtrąciła się Otomi.

- Przepraszam, wuju - powiedziała - ale zanim zabierzesz głos, chcę coś powiedzieć od siebie. Potrzebujecie mojej pomocy, prawda? Jeśli Otomi w ogóle zechcą kogokolwiek posłuchać i zawrócić ze złej drogi, to tylko mnie. Moja matka była ostatnią z linii ich władców, a ja jestem jej jedyną córką. Dlatego w obecnych, ciężkich czasach moje życie nie jest bynajmniej niewiele warte, bo choć sama w sobie nic nie znaczę, to może się zdarzyć, że przyprowadzę pod twoje rozkazy trzydzieści tysięcy wojowników. Wiedzieli o tym dobrze kapłani na piramidzie, kiedy zażądałam, aby położono mnie na kamieniu ofiarnym u boku tego Teule, bo nie chcieli się na to zgodzić, i to mimo tego, że pragnęli rozlać królewską krew. Spełnili moje żądanie dopiero wtedy, kiedy zagroziłam im zemstą

bogów. Otóż, wuju i wy, panowie, powiadam wam: zabijcie go, jeśli tego chcecie, ale wtedy będziecie musieli poszukać kogoś innego dla odzyskania Otomich, bo ja dokończę to, co zaczęłam dziś rano i pójdę za nim do grobu. Umilkła i w sali rozległ się pomruk zdziwienia, gdyż nikt nie spodziewał się po tej kobiecie takiej miłości i odwagi. Jeden Cuitlahua rozgniewał się.

- Niewierna dziewczyno - powiedział - ośmielasz się przedkładać swoją miłość nad dobro twego kraju? Hańba ci, bezwstydną córko naszego króla! Ha, masz to we krwi, jaki ojciec, taka córka. Czyż Montezuma nie porzucił swego ludu i nie wybrał Teule'ów, fałszywych dzieci Quetzalcoatl'a? A teraz Otomi idzie w jego ślady. Powiedz nam, kobieto, jak to się stało, że tobie i twemu kochankowi udało się uciec z *teocalli*, kiedy wszyscy inni zginęli? A może sprzymierzyłaś się z tymi Teule'ami? Powiem ci, bratanico, że gdyby sprawy wyglądały inaczej, to spełniłoby się twoje pragnienie, gdyż jeszcze w tej godzinie zostałabyś zabita u boku tego człowieka. - Przerwał, bo zabrakło mu tchu i tylko groźnie patrzył na nią.

Otomi jednak nie przestraszyła się. Stała spokojna i blada, ze złożonymi rękami i spuszczonej oczami. W końcu powiedziała:

- Nie wymawiaj mi, że moja miłość jest silna, a zresztą jeśli chcesz, to wymawiaj, ale powiedziałam już ostatnie słowo. Jeśli skążesz tego mężczyznę na śmierć, to będziesz musiał poszukać kogoś innego dla pozyskania Otomich.

Cuitlahua zamyślił się, patrząc w mrok u góry i szarpiąc brodę. Panowała zupełna cisza, bo nikt nie wiedział, jaki będzie wyrok. W końcu przemówił:

- Niech tak będzie. Potrzebujemy Otomi, mej bratanicy, a walka z uczuciem kobiety jest bez sensu. Teule, darujemy ci życie, a wraz z nim tytuł, bogactwa, najznamięnitszą z naszych kobiet za żonę i miejsce w radzie. Weź te dary, ale ostrzegam was oboje - uważajcie, jak z nich skorzystacie. Jeśli zdradzisz nas, jeśli choćby pomyślisz o zdradzie, to przysięgam, że umrzesz powoli, śmiercią tak straszną, że samo wspomnienie jej nazwy postawi ci włosy na głowie. Umrzesz ty, twoja żona, dzieci i służba. Kończmy, niech przysięgnie!

Kiedy skończył, zakręciło mi się w głowie, a przed oczami pojawiła się mgła. Raz jeszcze uniknąłem śmierci.

Wkrótce doszedłem do siebie i podniosłszy głowę, napotkałem spojrzenie kobiety, która mnie ocaliła. Otomi uśmiechała się, choć uśmiech ten był nieco smutny. Potem podszedł kapłan z drewnianą misą pokrytą

dziwnymi znakami i krzemiennym nożem i kazał mi obnażyć ramię. Naciął je nożem, tak że do misy zaczęła spływać krew. Wylał parę kropel na ziemię, mrużąc cały czas zakłęcia. Wreszcie odwrócił się i spojrzał na Cuitlahuę, który odpowiedział z gorzkim śmiechem:

- Ochrzczij go krwią księżniczki Otomi, bo ona jest jego poręczycielką.

- Nie, panie - powiedział Guatemoc - ci dwoje zmieszali już swą krew na kamieniu ofiarnym i są małżeństwem. Ale ja też poręczyłem za niego, więc na dowód mego zaufania proponuję swoją własną krew.

- Ten Teule ma dobrych przyjaciół - powiedział Cuitlahua. - Czynicie mu zbyt wielki zaszczyt. Ale niech będzie, jak chcesz.

Guatemoc wystąpił naprzód, a kiedy kapłan podszedł z nożem, roześmiał się i powiedział, wskazując na ranę na szyi:

- To niepotrzebne. Stąd płynie krew puszczona przez Teule'ów. Ta najlepiej się nada.

Kapłan zdjął mu bandaż z szyi i do drugiej, mniejszej miski złapał trochę krwi Guatemoca. Potem podszedł do mnie i umoczywszy w niej palec, zrobił na moim czole znak krzyża, zupełnie tak, jak ksiądz udzielający chrztu dziecku.

- Wobec boga, który jest wszędzie i wszystko widzi, oraz w jego imię namaszczam cię tą krwią i czynię cię człowiekiem tej krwi. Wobec boga, który jest wszędzie i wszystko widzi, oraz w jego imię, wylewam twą krew na ziemię! - mówiąc to, wylał moją krew z miski. - Niech pamięć o twej przeszłości wsiąknie, jak ta krew w ziemię, i zostanie zapomniana, bo oto narodziłeś się na nowo wśród ludu Anahuac. Wobec boga, naszego pana, który jest wszędzie i wszystko widzi, oraz w jego imię, mieszam jedną krew z drugą, leję ją na twój język - tu zmieszał moją krew z krwią Guatemoca i umoczywszy w niej palec, dotknął nim mego języka - i rozkazuję ci powtarzać słowa tej przysięgi: Niech moje ciało nawiedzą wszystkie nękające ludzi choroby, niech żyję w nędzy i umrę w strasznych cierpieniach, niech moja dusza nigdy nie ogląda domów słońca, lecz błąka się, bez końca w ciemności, która jest za gwiazdami, jeśli złamię tę przysięgę. Ja, Teule, przysięgam dochować wierności ludowi Anahuac i jego prawowitym władcom. Przysięgam, że będę walczył z ich wrogami aż do ich zupełnego zniszczenia, a szczególnie, że będę bił Teule'ów, dopóki nie zostaną zepchnięci do morza. Przysięgam być mężem Otomi, księżniczki Otomich, córki Montezumy, do końca jej życia. Przysięgam, że wyprę się swego

ojca i matki, i kraju, w którym się urodziłem i przylgnę do kraju mych nowych narodzin, a także, że będę wierny tej przysiędze dopóki nie przestanie dymić Popocatepetl, dopóki królowie nie przestaną zasiadać w Tenocitlan, dopóki kapłani nie przestaną modlić się przy ołtarzach bogów, dopóki lud Anahuac nie przestanie być narodem.

- Czy przysięgasz to wszystko?

- Przysięgam - odparłem, bo musiałem, choć w przysiędze tej było dużo rzeczy, które mi się nie podobały.

Po przysiędze podszedł do mnie Guatemoc, objął mnie i powiedział:

- Witaj, Teule, mój bracie. Teraz jesteś jednym z nas i oczekujemy twej pomocy i rady. Chodź, usiądź koło mnie.

Spojrzałem niepewnie na Cuitlahuę, ale on uśmiechnął się łaskawie i rzekł:

- Teule, twój proces zakończył się. Przyjęliśmy cię, a ty złożyłeś uroczystą przysięgę. Złamać ją znaczy umrzeć okropną śmiercią na tym i cierpieć wieczne męki na tamtym świecie. Zapomnij o wszystkim, co powiedziano tu, gdy ważyły się twe losy, by wynik wypadł na twoją korzyść i możesz być pewien, że jeśli nie dasz nam żadnych powodów, byśmy ci nie ufali, to nie znajdziesz żadnych powodów, by nam nie ufać. Teraz, jako mąż Otomi, jesteś u nas wielkim panem, masz zaszczyty i bogactwa i możesz śmiało zasiąść obok twego brata, Guatemoca, i wziąć udział w radzie.

Zrobiłem, co mi powiedział, a Otomi opuściła salę. Potem Cuitlahua znowu zabrał głos, ale nie mówił już o mnie, ale o pilnych sprawach państwowych. Mówił cicho, starannie ważąc słowa, a kilka razy głos mu się załamał z żalości. Opowiadał o strasznych nieszczęściach, które spadły na jego kraj, o śmierci setek najdzielniejszych wojowników, o rzezi, która miała miejsce tamtego dnia na *teocalli* i o zbezczeszczeniu posągów bogów. - Co można zrobić w tej sytuacji? - pytał. - Montezuma leży umierający w obozie Teule'ów, a ogień, którego nie dał nam w porę ugasić, pożera cały kraj. Żadne wysiłki nie mogą złamać żelaznej siły białych diabłów, posiadających dziwną, straszną broń. Dzień w dzień armie Azteków ponoszą klęskę. Skąd mamy czerpać mądrość, skoro opiekujący się nami bogowie leżą roztrzaskani w swoich świątyniach, skoro ołtarze ociekają krwią modlących się jeszcze niedawno przed nimi kapłanów, a wyrocznie milczą lub dają odpowiedzi doprowadzające do rozpacz?

Kiedy skończył, zaczęli wstawać, jeden po drugim, książęta i wodzowie

i dawać rady wedle swego rozeznania. W końcu wypowiedzieli się wszyscy i Cuitlahua rzekł, spoglądając na mnie:

- Mamy wśród nas nowego doradcę, który zna się na sposobach prowadzenia wojny i zwyczajach białych, bo sam jeszcze godzinę temu był białym. Czy nie ma dla nas żadnego słowa pociechy?

- Mów, mój bracie - dodał Guatemoc.

Przemówiłem zatem:

- Szlachetny Cuitlahuo i wy, panowie i książęta. Zaszczycacie mnie, pytając o radę. Powiem krótko, w paru słowach. Traciecie siły, rzucając ciągle wasze wojska na kamienne mury i armaty Teule'ów. W taki sposób nigdy nie zdobędziecie przewagi. Jeśli chcecie zwyciężyć, musicie zmienić taktykę. Hiszpanie są takimi samymi ludźmi, jak wy. Nie są oni, jak myślą głupcy, bogami, a stworzenia, na których jeżdżą, to nie demony, lecz zwierzęta pociągowe, których w kraju, gdzie się urodziłem, używa się do różnych celów. Powiadam - Hiszpanie są ludźmi, a czy ludzie są odporni na głód i pragnienie? Czy ludzi nie można doprowadzić do wyczerpania, pozabawiając snu? Czy nie można ich zabić na wiele różnych sposobów? Czy ci Teule nie są już śmiertelnie zmęczeni? A zatem mam dla was takie oto słowo pociechy. Przestańcie atakować Hiszpanów, a zamiast tego otoczcie ich obóz tak gęstym pierścieniem, by ani do nich, ani do ich sprzymierzeńców Tlascalan nie dotarł żaden transport z żywnością. Jeśli to zrobicie, to za dziesięć dni albo się poddadzą, albo spróbują przebić się na wybrzeże. Ale żeby to zrobić, muszą najpierw wydostać się z miasta. Jeśli w poprzek grobli wykopiecie rowy, to nie będzie to dla nich łatwe zadanie. I dopiero kiedy obladowani złotem, które tu złupili, spróbują uciec, nadejdzie dla was pora na atak. Wtedy zniszczycie ich zupełnie.

Skończyłem. Wśród doradców rozległ się pomruk aprobaty.

- Zdaje się, że mądrze zrobiliśmy, darując mu życie - rzekł Cuitlahua - bo wszystko, co powiedział, to szczerą prawdą i żałuję, że nie przyjęliśmy takiej taktyki od początku. Otóż, panowie, ja głosuję za takim działaniem, jakie doradza nasz brat. A co wy na to?

- Zgadzamy się z tobą, że nasz brat mądrze mówi - odparł Guatemoc.

- Teraz musimy się zastosować do jego rady.

Po krótkiej wymianie zdań narada zakończyła się i poszedłem do swego pokoju. Byłem tak zmęczony i wyczerpany tym wszystkim, przez co przeszedłem tego obfitującego w wydarzenia dnia, że ledwie widziałem. Na wschodzie wstawał świt i przy jego słabym świetle kroczyłem pustymi

korytarzami, aż wreszcie znalazłem się przed kotarą zasłaniającą wejście do mojej sypialni. Odsunąłem ją i wszedłem. W głębi pokoju, w bladym świetle poranka, w którym lekko połyskiwały jej złote ozdoby, kruczoczarne włosy i śnieżna suknia, stała Otomi.

Ruszyłem w jej stronę, a ona podeszła do mnie z wyciągniętymi ramionami. Objęła mnie za szyję i pocałowała.

- Stało się - rzekła cicho - i teraz już, aż do śmierci, będziemy razem, na dobre i na złe, bo nie można złamać takiej jak nasza przysięgi.

- Stało się, Otomi - odparłem - i nie można złamać takiej przysięgi, jak nasza, choć złamana została inna przysięga, aby . można było ją złożyć.

Rozdział IV

NOC TRWOGI

Na długo przedtem, nim się obudziłem, wykonano rozkazy rady rozebrano mosty przerzucone nad kanałami przecinającymi groble. Po południu, ubrany jak indiański wojownik, udałem się z Guatemokiem i innymi wodzami na pertraktacje z Cortesem, który rozmawiał z nami stojąc na tej samej wieży pałacu, na której dosięgła Montezumę strzała Guatemoca. Niewiele mam do powiedzenia o tych pertraktacjach, które pamiętam głównie z tej przyczyny, iż wtedy po raz pierwszy od chwili opuszczenia Tobasco zobaczyłem z bliska Marinę i usłyszałem jej głos. Stała bowiem obok Cortesa, tłumacząc Aztekom warunki, na jakich skłonny był zawrzeć pokój. Wśród warunków tych znajdował się też taki, który dowodził, iż de Garcia nie próżnował. Cortes domagał się bowiem wydania, w zamian za kilku wziętych do niewoli Azteków, białego zdrajcy uratowanego od śmierci na kamieniu ofiarnym, aby spotkała go, za szpiegostwo i dezercję, zasłużona kara na szubienicy. Zastanawiałem się słuchając tego, czy Marina wie, że ów „biały zdrajca” to nikt inny jak jej przyjaciel z dawnych czasów w Tobasco.

- No widzisz, Teule, masz szczęście, że znalazłeś miejsce wśród nas - powiedział ze śmiechem Guatemoc - bo twoi współplemieńcy chcieliby cię powitać sznurem.

Potem odpowiedział Cortesowi, nie wspominając w ogóle o mnie, tle każąc im szykować się na śmierć:

- Wielu naszych zginęło, ale wy też musicie zginąć. Zginiecie z głodu i pragnienia, zginiecie na ołtarzach naszych bogów. Nie ma dla was ucieczki, Teule. Mosty zostały zniszczone.

Jego słowa podchwycił wielotysięczny tłum:

- Nie ma dla was ucieczki, Teule! - zagrział cały plac. - Mosty zostały zniszczone!

Potem zaczęli zasypywać siedzibę Hiszpanów strzałami, a ja poszedłem do pałacu poszukać Otomi, aby przekazać jej to, czego dowiedziałem się o stanie Montezumy i o jej dwóch siostrach, które Hiszpanie trzymali w charakterze zakładniczek. Opowiedziałem jej też, jak Hiszpanie chcieli dostać mnie w swoje ręce. Wtedy pocałowała mnie i rzekła z uśmiechem, że choć moje życie jest teraz ciężkie, gdyż muszę znosić jej obecność, to i tak lepiej na tym wyszedłem, niż gdybym wpadł w ręce Hiszpanów.

Dwa dni później nadeszła wiadomość, że Montezuma nie żyje, a krótko potem Hiszpanie wydali jego ciało, ubrane we wspaniałe królewskie szaty, Aztekom, aby sprawili mu pogrzeb. Zwłoki złożono w wielkiej sali pałacu, skąd potajemnie zabrano je w nocy do Chapoltepec i pośpiesznie, bez wielkiej ceremonii, pochowano, gdyż obawiano się, by rozwszczęziony tłum nie rozszarpał ich na kawałki. Popatrzyłem ostatni raz na twarz tego wyjątkowo nieszczęśliwego władcy, którego pełne chwały panowanie zakończyło się w tak przykry sposób. Kiedy tak patrzyłem, zastanawiałem się, czy jakieś cierpienia mogły równać się z jego cierpieniami. Pozbawiony władzy i nienawidzony przez swych poddanych, umierał jako więzień obcych, pożerających niczym wygłodniałe wilki serce jego kraju. Nic dziwnego, że zerwał bandaż z rany i nie pozwolił się ponownie dać opatrzyć. Naprawdę bowiem została zraniona jego dusza, a ranę tę mogła wyleczyć tylko śmierć. A jednak trudno było go obarczać całą winą, to demony, które czcił jako bogów, napełniły jego umysł przesądami, i to właśnie ich oraz ich kapłanów padł ofiarą. Gdyby nie te przesady i bezpodstawne obawy, Hiszpanie nie postawiliby nawet stopy w Tenocitlan, a Aztecy jeszcze przez wiele lat cieszyliby się wolnością. Opatrzność jednak chciała inaczej, a ten martwy i okryty hańbą monarcha był tylko jej narzędziem.

Takie myśli przemykały mi przez głowę, gdy patrzyłem na ciało wielkiego Montezumy. Jednak Otomi, przestawszy płakać, pocałowała je i zawołała:

- O mój ojcie, dobrze, że umarłeś, bo przynajmniej ci, którzy cię kochali, nie będą musieli patrzeć, jak żyjesz w pożałowaniu. Oby bogowie, których czciłeś, dali mi siły, bym mogła cię pomóc, a jeśli nie ma bogów,

obym sama znalazła je w sobie. Przysięgam, ojcze, że dopóki zostanie mi choć jeden człowiek, nie ustane w wysiłkach pomśzczenia cię.

Potem wzięła mnie za rękę i nie mówiąc nic więcej wyszła. Jak się okazało, dotrzymała złożonej wówczas przysięgi.

Przez cały ten i następny dzień trwała walka z Hiszpanami, którzy urządzali „wycieczki”, aby zasypać dziury w groblach. Udało im się tego dokonać, choć z pewnymi stratami. Niewiele im z tego jednak przyszło, bo gdy tylko wycofali się do pałacu Axy, na powrót rozkopaliśmy groble. W tych dniach zdobyłem swoje pierwsze doświadczenia wojenne. Uzbrojony w łuk, zrobiony na wzór tych, jakich używamy w Anglii, wykonałem dobrą robotę. Los chciał, że pierwszy strzał oddałem do znieawidzonego wroga, de Garcii, ale i tym razem, jak za każdym z nim spotkaniem, dał znać o sobie mój pech, bo czy to dlatego, że wyszedłem z wprawy, czy też że zbyt się rozgorączkowałem, wymierzyłem zbyt wysoko, mimo że cel był łatwy, i strzała, zamiast w twarz, ugodziła go w głowę, przebijając co prawda żelazny hełm i powodując, że zachwiał się w siodle, ale nie czyniąc mu nic złego. Ten niezbyt udany popis moich umiejętności przyniósł mi jednak wielką sławę u Azteków, którzy byli słabymi łucznikami i nigdy jeszcze nie widzieli, aby strzała przebiła hiszpańską zbroję. Zresztą moja też by nie przebiła, gdybym nie pozbierał żelaznych grotów strzał z hiszpańskich kusz i nie przytwardził ich do promieni moich strzał. Kiedy odległość nie była duża a cel był dobry, rzadko która zbroja mogła się oprzeć takiej strzale.

Po pierwszym dniu walk zostałem mianowany dowódcą oddziału trzech tysięcy łuczników. Dostałem sztandar, który odtąd noszono przede mną, i bogato zdobiony strój. Ale najbardziej ucieszyła mnie zbroja kolcza, zdarta z ciała jakiegoś Hiszpana. Nosilem ją potem przez wiele lat pod indiańskim, bawełnianym pancerzem i niejedną raz ocaliła mi życie, gdyż nawet kula nie mogła przebić takiej, podwójnej, zbroi.

Dowodziłem łucznikami zaledwie od czterdziestu ośmiu godzin, a więc miałem zbyt mało czasu, aby nauczyć ich dyscypliny, której - mimo walki - brakowało im prawie zupełnie, kiedy nadeszła okazja, aby rzucić ich do boju. Była to dla Hiszpanów noc trwogi, noc wspomniana przez nich jeszcze teraz jako *noche triste*. W dniu poprzedzającym tę noc odbyła się w pałacu narada, na której powiedziałem, że Teule myślą o wycofaniu się z miasta, i to w ciemnościach, bo w przeciwnym razie nie zależałoby im tak bardzo na zasypaniu rowów przecinających groble. Cuiclahua, który

teraz, gdy Montezuma umarł, był władcą, choć jeszcze niekoronowanym, odparł na to, że jest bardzo możliwe, iż Teule przemyślują o ucieczce, ale że na pewno nie będą jej próbowali w nocy, bo musieliby się pogubić w ulicach i na groblach.

Wyjaśniłem wtedy, że choć walka i marsz w nocy są wbrew zwyczajom Azteków, to - jak mogli się już przekonać - są często praktykowane przez białych i że skoro Hiszpanie wiedzą, iż Aztecy tego nigdy nie robią, to tym bardziej będą się starali wymknąć pod osłoną nocy. Dlatego poradziłem, aby wystawiono na noc strażę przy wejściach na wszystkie groble. Cuitlahua zgodził się na to i wyznaczył mnie i Guatemoca do pilnowania grobli Tlacopan. Około północy wybrałem się z Guatemokiem i paroma wojownikami na obchód posterunków. Było bardzo ciemno i padał rzęsisty deszcz, skutkiem czego widoczność była nie większa niż w jesienny, mglisty wieczór w Norfolk. Zluzowaliśmy wartowników, którzy zameldowali, że panuje spokój, ale kiedy wracaliśmy na wielki plac usłyszałem nagle głucho, miarowe odgłosy, jak gdyby maszerowało parę tysięcy ludzi.

- Posłuchaj - powiedziałem.
- Teule uciekają - szepnęła Guatemoc.

Pospiesziliśmy w miejsce, gdzie od placu odchodzi ulica biegnąca groblą i tam, mimo deszczu i ciemności, zauważyliśmy lśnienie zbroi. Krzyknąłem głośno:

- Do broni! Do broni! Teule uciekają groblą Tlacopan!

Moje słowa zostały natychmiast podchwyczone przez strażę, które przekazały je dalej. Wkrótce całe miasto rozbrzmiewało okrzykami. Słysząc je było na wszystkich ulicach i we wszystkich kanałach, na dachach tysięcy domów i szczytach setek świątyń. Od strony jeziora dochodziło bicie tysięcy wiosel o wodę, jak gdyby miliony sztuk dzikiego ptactwa zerwało się spośród trzciny. Wszędzie rozbrzmiały pochodnie, odezwały się rogi i konchy, a nad tym wszystkim górował potężny głos wielkiego bębna z wężowych skór, w który wściekle walili kapłani na *teocalli*

Niebawem szum zbudzonego miasta przeszedł w ryk i z różnych stron zaczęły płynąć w stronę grobli Tlacopan potoki uzbrojonych ludzi. Niektórzy przybywali pieszo, ale większość płynęła; w łodziach. Tymczasem na grobli pojawili się, niczym ogromny wąż, Hiszpanie w liczbie około półtora tysiąca, a towarzyszyło im pięć do ośmiu tysięcy Tlascalan. Ruszyliśmy z Guatemokiem na ich spotkanie, zbierając po drodze ludzi. Tak dotarliśmy do pierwszego kanału przecinającego groble. Zebrały się tam już

dziesiątki łodzi. Dotarło też czoło kolumny wroga i zaczęła się walka. Jeśli chodzi o Azteków, to była to bezładna szamotanina, gdyż wodzowie nie widzieli w ciemnościach swoich ludzi, ci zaś swoich wodzów. Były ich jednak nieprzeliczone rzesze, a ożywiało ich tylko jedno pragnienie - zabić Teule'ów. Huknęło działo, obrzucając nas gradem kul i w błysku wybuchu zobaczyliśmy, że Hiszpanie przynieśli ze sobą drewniany most i ustawiają go nad kanałem. Skoczyliśmy na nich. Nagły wypad wroga zmiotł Guatemoca i mnie z mostu niczym poryw wiatru liście i choć wyszliśmy z tego bez szkody, nie zobaczyliśmy się już tej nocy. Za nami następowała długa, zwarta kolumna Hiszpanów i Tlascalan, a z boków parli na nich Aztecy, wgrzyzając się w ich szeregi, jak mrówki w ranną dżdżownicę.

Nie mogę opisać wszystkich wydarzeń tej nocy, bo widziałem tylko ich część. Wiem tyle, że przez dwie godziny walczyłem jak szaleniec. Wróg przedostał się przez pierwszy kanał, ale kiedy wszyscy znaleźli się na drugim brzegu, okazało się, że most tak głęboko utknął w mule, że za nic nie mogli go wyciągnąć, a około pół mili dalej groblę przecinał drugi, szerszy i głębszy kanał. Nie mogli go sforsować, dopóki nie wypełniły go ciała zabitych. Na tym wąskim skrawku ziemi rozpętało się istne piekło. W niebo bił huk dział i arkebuzów, jęki rannych i umierających, bojowe krzyki Azteków i wrzaski Hiszpanów, zawodzenie kobiet, świst strzał i głuche odgłosy ciosów. Hiszpanie miotali się to w tę, to w drugą stronę, jak przerażone stado bydła. Wielu stoczyło się z grobli i zginęło w wodach jeziora lub zostało wyciągniętych przez załogi łodzi i zawieszonych na brzeg, aby znaleźć się na kamieniu ofiarnym, wielu utonęło w kanałach, a jeszcze więcej zostało zdeptanych w mule na śmierć. Zginęły również setki Azteków, głównie od ciosów ziomeków, którzy w ciemnościach uderzali i strzelali na ślepo, nie widząc kogo dosięgają ich ciosy i strzały.

Ja walczyłem dalej z małą grupką wojowników, którzy zebrali się wokół mnie, aż w końcu nastał świt i ukazał straszny widok. Większość pozostałych przy życiu Hiszpanów i ich sprzymierzeńców sforsowała drugi kanał po moście utworzonym z trupów, armat, skrzyń z łupami i innego sprzętu. Teraz walka wrzała za nim. Tłum Hiszpanów i Tlascalan nadal przedostawał się przez drugi kanał. Rzuciłem się na nich z tymi ludźmi, którzy byli obok mnie. Wdarłem się głęboko w szeregi wroga i nagle zobaczyłem przed sobą twarz de Garcii. Skoczyłem na niego z krzykiem. Usłyszał krzyk i poznał mnie. Ciężki miecz spadł na mój hełm z malowanego

drewna, odłupał jego część i powalił mnie, ale zanim upadłem, uderzyłem go w pierś maczugą i on również potoczył się na ziemię. Na pół ogłuszony i oślepiony, zacząłem pełznąć ku niemu przez muł. Widziałem tylko zbroję lśniącą w błocie. Sprężyłem się, skoczyłem, chwyciłem go za gardło i stoczyłem razem z nim z grobli na płytką przy brzegu wodę jeziora. Byłem na gorze. Z dziką radością otarłem krew z oczu, aby widzieć w końcu śmierć zniechodzonego wroga. Ciałem leżał w wodzie, ale głowa spoczywała na brzegu. Chciałem go przytrzymać twarzą w wodzie, gdyż straciłem maczugę.

- Nareszcie, de Garcia! - krzyknąłem po hiszpańsku, zmieniając uchwyt.

- Na miłość boską, puść mnie! - wycharczał pode mną gruby głos. - Głupcze, nie jestem indiańskim psem.

Spojrzałem zaskoczony na jego twarz. Chwyciłem de Garcia, ale nie był to ani jego głos, ani jego twarz.

- Kim jesteś? - spytałem, zwalniając uścisk. - Gdzie jest de Garcia... ten, którego nazywacie Sarcedą?

- Sarceda? Nie wiem. Chwilę temu wrócił na groblę. Zwalił mnie z nóg i stoczył się za mną. Puść mnie, mówię. Nie jestem Sarcedą, a zresztą nawet gdybym nim był, to czy pora teraz na załatwianie prywatnych porachunków? Jestem Bernal Diaz, twój towarzysz. Matko Święta! Kto ty jesteś? Aztek, który mówi po hiszpańsku?

- Nie jestem Aztekiem - odparłem. - Jestem Anglikiem i walczę po stronie Azteków, żeby zabić tego, którego nazywacie Sarcedą. Ale z tobą, Bernalu Diazie, nie mam żadnych porachunków. Puszczę cię i uciekaj. Może uda ci się uratować. Nie, za pozwoleniem, twój miecz zatrzymam.

- Anglik, Hiszpan, Aztek, czy diabeł - mruknął, podnosząc się z błota - ale jesteś porządnym facetem i obiecuję ci, że jeśli wyjdę stąd z życiem i jeśli kiedyś zdarzy się, że to ja będę trzymał cię za gardło, to nie zapomnę, co dla mnie zrobiłeś. Żegnaj! - i nie zwlekając dłużej wspiął się na groblę i wmieszał w tłum uciekających rodaków. Zostałem z dobrym mieczem w ręku. Chciałem pobiec za nim i odnaleźć de Garcia, ale opuściły mnie siły, gdyż de Garcia zadał mi głęboką ranę i bardzo krwawiłem. Musiałem więc usiąść, gdzie stałem i siedziałem tak, dopóki nie podpłynęła łódź i nie zabrała mnie do Otomi. Minęło dziesięć dni, zanim znowu stanąłem na nogach.

Taki był mój udział w zwycięstwie Azteków owej *noche triste*.

Niestety, mimo że zginęło ponad pięciuset Hiszpanów i kilka tysięcy ich sprzymierzeńców, zwycięstwo to niewiele dało, gdyż zamiast rzucić się za Hiszpanami i wybić ich do nogi, Aztecy zaczęli łupić trupy, a żywych ciągnąć przed ołtarze bogów. Ten dzień tryumfu okazał się również dniem smutku dla Otomi, bo dwóch z jej braci, których Hiszpanie trzymali jako zakładników, zginęło w bitwie.

Jeśli chodzi o de Garcię, to nie wiedziałem, co się z nim stało, czy został zabity czy uszedł z życiem.

Rozdział V

UKRYCIE SKARBU MONTEZUMY

Kiedy leżałem chory z powodu rany zadanej przez de Garcię i tej, którą wcześniej otrzymałem na kamieniu ofiarnym, ukoronowano Cuitlahuę na władcę Azteków. Nie miałem czasu, aby zaleczyć ranę od noża kapłana, więc odnowiła mi się w czasie nocnej walki i bardzo krwawiła. Dokuczala mi zresztą przez wiele lat i jeszcze teraz daje o sobie znać podczas jesiennych chłódów. Otomi, która czule mnie pielęgnowała i - oto, jak dziwne jest serce kobiety - której żal po stracie ojca i rodzeństwa zdawał się koić fakt, że uniknąłem śmierci i okryłem się sławą, opowiedziała mi o koronacji. Była to wspaniała uroczystość, jako że Aztecy szaleli z radości, iż w końcu Teule odeszli. Zapomnieli, a przynajmniej zdawało się, że zapomnieli o stracie tysięcy swych najdzielniejszych wojowników i nie myśleli o tym, co może przynieść przyszłość. Od domu do domu biegały grupy przystrojonych w kwiaty chłopców i dziewcząt, wołając: - Radujcie się, Teule uciekli! Teule uciekli! - i biada tym, którzy się nie radowali, nawet jeśli ich domy okryte były żalobą. Umieszczono też z powrotem na wielkiej piramidzie posągi bogów i odbudowano ich świątynie, a z krzyżem, który ustawili tam Hiszpanie postąpiono tak, jak oni z figurami Huitzelcoatla i Tezcatlipoki, to znaczy zrzucano go z *teocalli*, złożony przedtem w ofierze kilku wziętych do niewoli Hiszpanów. O tym świętokradztwie powiedział mi sam Guatemoc, ale bez żadnego przejęcia, gdyż zaznajomiłem go z niektórymi zasadami naszej wiary i choć był zbyt zatwardziały poganiem, aby się nawrócić, to w skrytości ducha uważał, że bóg chrześcijan jest prawdziwym i potężnym Bogiem.

Poza tym, choć z powodu siły kapłanów musiał ich znosić, to, jak Otomi, nigdy nie lubił okropnej ceremonii składania ludzkich ofiar.

Kiedy usłyszałem tę opowieść, opanował mnie gniew i, wbrew rozsądkowi, powiedziałem gwałtownie:

- Guatemocu, mój bracie, przysięgłem popierać waszą sprawę i mam żonę waszej krwi, ale powiadam ci, że od tej pory jest to przekłeta sprawa. Przekłeta z powodu waszych splamionych krwią bałwanów i ich kapłanów. Bóg, którego zbeczczyliście, i ci, którzy mu służą, powrócą tu z większą potęgą i zasiądzie on tam, gdzie są teraz wasi bogowie i nikt nigdy nie ruszy go stamtąd.

Mówiłem prawdę, choć nie wiem, co włożyło mi te słowa w usta, gdyż w złości nie zastanawiałem się. Dziś w miejscu, w którym zabijano ludzi w ofierze, stoi w Meksyku kościół Chrystusowy, znak i świadectwo jego tryumfu nad demonami, i będzie tam stał, dopóki będzie istniał świat.

- Mówisz tak, bo jesteś wzburzony, mój bracie - odparł dość dumnie Guatemoc, choć widziałem, że zadrżał, biorąc me słowa za zły omen. - Jesteś wzburzony i gdyby cię ktoś podsłuchał, to są tacy, którzy - nie licząc się z rangą, którą ci nadaliśmy, uznaniem, które zyskałeś za swe rady i dzielną postawę w walce, oraz tym, że wróciłeś cało z kamienia ofiarnego - mogliby cię zmusić, byś jeszcze raz spojrzął w oblicza tych, którym bluźnisz. Czy waszemu chrześcijańskiemu bogu zrobiono coś gorszego niż to, co twoi biali pobratymcy robią ustawicznie naszym bogom? Ale nie rozmawiajmy już o tej sprawie i proszę cię, bracie, abyś nigdy więcej nie wypowiadał w mojej obecności takich złowróźbnych słów, gdyż może to nadwerężyć naszą przyjaźń. A zatem wierzysz, że Teule powrócą tu?

- Tak, Guatemocu, jestem tego tak pewien, jak tego, że jutro ponownie wzejdzie słońce. Mieliście już Cortesa w rękę, ale pozwoliliście mu ujść i od tamtego czasu wygrał już bitwę pod Otompan. Myślisz, że to człowiek, który schowa wyciągnięty już raz miecz i odejdzie w ciemność i niesławę? Zanim minie rok, Teule | staną znowu u bram Tenocitlan.

- Nie masz dla mnie dziś żadnych słów pocieszenia, bracie - rzekł Guatemoc - ale obawiam się, że mówisz prawdę. Cóż, jeśli musimy walczyć, postarajmy się wygrać. Teraz przynajmniej nie ma tu żadnego Montezumy, który przycisnąłby węża do piersi i pielęgnował go do czasu, aż ugryzie. - Podniósł się i nie mówiąc już nic więcej, wyszedł. Widziałem, że idzie z ciężkim sercem.

Na drugi dzień po tej rozmowie mogłem już wstać z łóżka i po tygodniu czułem się prawie dobrze. Znowu odwiedził mnie Guatemoc. Powiedział, że przysłała go Cuitlahua z rozkazem, abym towarzyszył mu, Guatemocowi, w pewnej sekretnej sprawie, do której trzeba zaufanych osób. Charakter tego zadania pokazał mi, jak wielkim zaufaniem darzą mnie teraz przywódcy Azteków, bowiem polegało ono na ukryciu skarbów, które podczas Nocy Trwogi odebrano Hiszpanom, oraz innych jeszcze, przechowywanych w tajnym skarbcu królestwa.

W dziele tym, oprócz Guatemoca i mnie, brało udział paru panów z najświetniejszych rodów. Wyruszyliśmy po zapadnięciu zmroku. Na brzegu jeziora czekało na nas dziesięć wyladowanych po brzegi wielkich łodzi. Ich ładunek ukryty był pod bawełnianymi płachtami. Wsiadliśmy po cichu, myśląc, że nas nikt nie widzi, po trzech do każdej łodzi i pilotowani przez Guatemoca, popłynęliśmy na przeciwny brzeg jeziora Tezcuco. Po ponad dwóch godzinach przybiliśmy do brzegu nieopodal posiadłości Guatemoca. Tam zdjęliśmy płachty przykrywające ładunek, na który składały się wielkie dzbany i wory pełne złota i szlachetnych kamieni oraz inne drogocenne przedmioty, pośród których znajdowała się podobizna głowy Montezumy, wyrzeźbiona w bryle złota. Była ona tak ciężka, że wspólnie z Guatemokiem z trudem mogliśmy ją unieść. Jeśli chodzi o dzbany, to o ile nie zawodzi mnie pamięć, było ich siedemnaście, a każdy z nich takiej wielkości, że musiało go nieść, włożywszy w ucha wiosła, sześciu mężczyzn, a i to nie było im lekko. Cały ten bezcenny ładunek zanieśliśmy, obracając wiele razy, na zbocze wzniesienia oddalonego o około sześćset kroków od skraju jeziora. Złożyliśmy to wszystko obok wylotu wykopanego w ziemi tunelu, za kupą piachu. Kiedy na łodziach nic już nie zostało, Guatemoc spytał mnie oraz jednego z azteckich, choć z tlascalańskiej matki, wielmożów, czy nie zechcemy zejść z nim do tunelu, aby rozmieścić tam skarby.

- Chętnie - odparłem, gdyż bardzo chciałem zobaczyć to miejsce, natomiast ów wielmoża wahał się chwilę, ale w końcu też się zgodził.

Guatemoc wziął do ręki kilka pochodni i opuszczono go na linie na dno szybu. Potem przysłała kolej na mnie. Wisiałem na linie, jak pajak na swej nitce. Szyb był bardzo głęboki, ale w końcu stanąłem na dole obok Guatemoca. Przy świetle trzymanej przez niego pochodni zobaczyłem, że miejsce to było obudowane wkoło, na wysokość człowieka, murem z suchych na słońcu cegieł. Na murze tym, oparty o ścianę szybu, spoczywał

masywny kamienny blok pokryty pismem obrazkowym, które umiałem już odczytywać. Napis głosił, że w pierwszym roku panowania Cuitlahuy, władcy Meksyku, ukryto tam skarb królestwa oraz groził straszliwą klątwą temu, kto osmieliłby się go ukraść. Za nami, pod kątem prostym do szybu, biegł, długi na dziesięć kroków i wysoki na tyle, by można nim było swobodnie przejść, tunel, który prowadził do komory tak dużej, jak izba, w której piszę te słowa. U wejścia do komory leżał stos cegieł i stała skrzynia z zaprawą murarską, przypominające mi podziemną kryptę w Sewilli, w której zamurowano żywcem Izabellę de Siguenza.

- Kto to wykopał? - spytałem.

- Tacy, którzy nie wiedzieli, co kopia - odpowiedział Guatemoc. - Ale oto nasz towarzysz. Teraz, bracie, proszę cię, nie dziw się niczemu, co się będzie działo. Wierz mi, mam powody, aby zrobić to, co zrobię.

Zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć, stał już przy nas ów aztecki wielmoża. Potem ci, którzy pozostali na górze, zaczęli spuszczać na dół dzbany i worki. Guatemoc odwiązywał je i sprawdzał, a ja wraz z drugim Aztekiem przetaczaliśmy je do komory w taki sam sposób, w jaki u nas, w Anglii, przetacza się beczki z piwem. Pracowaliśmy ponad dwie godziny i w końcu wykonaliśmy zadanie. Jako ostatni spuszczone na dół worek z klejnotami, który pękł, zanim znalazł się na ziemi i obsypał nas lśniący grad drogich kamieni. Dziwnym trafem wspaniały naszyjnik z niezwyklej wielkości i piękna szmaragdów przeleciał mi przez głowę i wylądował na szyi.

- Zatrzymaj go, bracie, na pamiątkę tej nocy - rzekł ze śmiechem Guatemoc. Nie wzbraniałem się przed tym darem i ukryłem go na piersi. Mam dotąd ten naszyjnik. Kamień, który ofiarowałem miłościwie nam panującej królowej Elźbiecie, był najmniejszym kamieniem w tym naszyjniku. Nosila go potem przez wiele lat Otomi i z tego powodu, mimo iż zdaniem biegłych jest bezcennej wartości, pochowają go ze mną. Bezcenny czy nie, ma spocząć w krypcie kościoła w Ditchingham i niech ta sama klątwa, która wyryta jest na kamieniu strzegącym skarbu Azteków, spadnie na tego, kto osmielił się go zdjąć z moich kości.

Wyszedszy z komory, zaczęliśmy stawiać mur zasłaniający wejście do niej. Kiedy wzniesiliśmy go na wysokość dwóch - trzech stóp, Guatemoc przerwał pracę i poprosił, abym uniósł pochodnię do góry. Zrobiłem, o co prosił, zastanawiając się, co chce zobaczyć. Cofnął się o trzy kroki w głąb tunelu i zwrócił się do naszego towarzysza po imieniu.

- Jaki los czeka zdemaskowanych zdrajców, przyjacielu? - spytał głosem, który choć cichy, brzmiał złowrogo. Jednocześnie zdjął wiszącą mu u boku na rzemieniu maczugę nabijaną kawał kami obsydianu.

Zapytany zrobił się szary na twarzy i zaczął trząść się ze strachu.

- O co ci chodzi, panie? - wykrztusił.

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi - odparł Guatemoc tym samym, złowrogim głosem i uniósł maczugę.

Skazaniec padł na kolana, błagając o litość, a jego łkanie brzmiało tak przeraźliwie w tym samotnym, położonym w głębi ziemi miejscu, że z wrażenia mało nie upuściłem pochodni.

- Nad wrogiem mogę się zlitować, nad zdrajcą - nigdy! - odparł Guatemoc i zwinawszy maczugą młynka, spuścił ją na głowę wielmoży. Zabił go od jednego ciosu. Potem, chwyciwszy ciało w swe mocarne dłonie, cisnął je do komory. Spoczęło tam wśród złota i klejnotów, a ramiona trupa dziwnym zrządzeniem, losu owinęły się wokół dwóch wielkich dzbanów, jak gdyby przy ciskał je do serca.

Spojrzałem na Guatemoca, zastanawiając się, czy nadeszła też i moja ostatnia godzina, bowiem dobrze wiedziałem, że kiedy księżęta zakopują swe bogactwa, chcą mieć jak najmniej świadków swych tajemnic.

- Nie obawiaj się, bracie - powiedział Guatemoc. - Ten człowiek był złodziejem, łajdakiem i zdrajcą. Dowiedzieliśmy się, że dwukrotnie próbował nas wydać Teule'om. Teraz miał zamiar wskazać im, gdyby wrócili, miejsce ukrycia tych bogactw i wziąć udział w podziale łupów. Tego wszystkiego dowiedzieliśmy się od kobiety, którą uważał za swą kochankę, a która w rzeczywistości była naszym szpiegiem. Niech sobie teraz weźmie swoją część złota. Spójrz, jak ściska te dzbany nawet po śmierci, biały nie tuliłby ich mocniej. Ach, Teule, gdyby ziemia Anahuac rodziła tylko kukurydzę na chleb i krzemień na ostrza dzid i strzał, to jej synowie pozostaliby na zawsze wolni! Niech będą przeklęte te skarby, bo stały się przynętą dla rekinów rozszarpujących nam gardła. Niech będą przeklęte! Oby nie zaślniły już nigdy w blasku słońca, oby przepadły na zawsze! - Powiedziawszy to, za brał się do wykańczania muru.

Niedługo był już prawie gotowy, ale zanim położyliśmy ostatnie cegły, wsunąłem pochodnię do komory i po raz ostatni spojrzałem na skarbiec, który teraz stał się jednocześnie kostnicą. Leżały tam lśniące klejnoty, błyszcząca, umieszczona na dzbanie, głowa Montezumy, a szmaragdowe

oczy zdały się utkwione we mnie, i tam, opierając się plecami o ten sam dzban, a ramionami opasując dwa inne, leżał martwy Aztek. Ale nie był martwy, albo tak mi się zdawało, gdyż otworzyły się jego zamknięte do tej pory oczy i wpatrywały się we mnie jak szmaragdowe oczy głowy Montezumy, tylko przeraźliwiej.

Pospiesznie wyciągnąłem pochodnię i w milczeniu dokończyliśmy dzieła. Potem wycofaliśmy się do szybu i przynajmniej ja ucieszyłem się, widząc nad sobą niebo usiane gwiazdami. Potem zrobiliśmy na linie podwójną pętlę i na dany znak zaczęto nas wyciągać do góry, aż zawisliśmy nad półką, na której spoczywał blok czarnego marmuru, płyta nagrobna skarbu Montezumy i tego, który spoczął razem z nim.

Kamień ten był dobrze wyważony, więc kiedy nacisnęliśmy nań rękami i stopami, runął w dół, z głuchym łomotem spoczął na przygotowanym w tym celu wzniesieniu z cegieł i zamknął szyb w taki sposób, że gdyby ktoś chciał tam wejść, musiałby go wysadzić prochem.

Potem wyciągnięto nas bez przeszkód na powierzchnię.

Ktoś spytał o azteckiego wielmożę, który spuścił się z nami na dół i już nie powrócił.

- Jako dobry i lojalny poddany, został wybrany, by strzec skarbu do czasu, aż będzie go potrzebował król - odparł ponuro Guatemoc, a słuchacze zrozumieli wszystko i pokiwali głowami.

Potem oni zabrali się do roboty i pracując bez odpoczynku, zasypali wąski szyb zawczasu przygotowaną ziemią. Zanim skończyli, zaczęło świtać. Kiedy wreszcie dziura została zasypana, jeden z naszych towarzyszy wyjął z torby nasiona i rozrzucił je po nagiej ziemi. Potem zasadził w tym miejscu dwa młode drzewka. Nie wiem, po co to zrobił. Chyba po to, by oznakować to miejsce. Zrobiwszy wszystko, pozbieraliśmy liny i narzędzia, wsiedliśmy do łodzi i rankiem wróciliśmy do Meksyku. Zostawiliśmy łodzie na brzegu pod miastem i dwójkami, i trójkami, nie zauważeni przez nikogo, poszliśmy do domów.

Tak oto pomogłem w ukryciu skarbu Montezumy, za co przyszło mi potem strasznie cierpieć. Nie wiem, czy ktoś kiedyś pomoże go odkopać, ale do czasu opuszczenia przeze mnie Anahuac miejsce to pozostało tajemnicą i myślę, że oprócz mnie nie pozostał już przy życiu nikt z tych, którzy wykonali to zadanie. Kiedy ostatni raz znalazłem się w Meksyku,

przechodziłem przypadkiem obok tego miejsca. Poznałem je po tych dwóch drzewach, które do tego czasu znacznie urosły, a ponieważ obok mnie byli Hiszpanie, przysięgłem w duchu, że nigdy nie pomogę im dostać się do tego skarbu. Z tego też powodu nawet teraz nie podaję dokładnego położenia tego miejsca, obawiając się, że to, co tu piszę, może kiedyś dostać się do rąk jakiegoś przedstawiciela tego narodu.

Zanim przejdę do opisu oblężenia Meksyku, muszę opowiedzieć o jeszcze jednej sprawie, a mianowicie o tym, jak Otomi i ja udaliśmy się do plemienia Otomich i skłoniliśmy wielu jego członków do powtórnego uznania zwierzchnictwa królów azteckich. Trzeba tu wyjaśnić, jeśli do tej pory tego nie zrobiłem, że państwo Azteków opierało się nie na jednym, lecz na kilku narodach, a ataczało je wiele innych plemion, z których część pozostawała z nim w sojuszu lub była jego wasalami, a część śmiertelnymi wrogami. Takimi byli na przykład Tlascalanie, mały, lecz wojowniczy lud, zamieszkujący tereny położone między Meksykiem a wybrzeżem, przy których pomocy Cortes zwyciężył Montezumę i Guatemoca. Na zachód od Tlascalan żyło, a może dalej żyje, pośród gór, wielkie plemię Otomi. Są oni dzielniejsi od Azteków, mówią innym językiem i składają się z wielu klanów. Czasami bywali wasalami potężnego imperium Azteków, czasami jego sojusznikami, a czasami prowadzili z nim wojny, sprzymierzywszy się z Tlascalanami. Właśnie z myślą o zacieśnieniu więzi między Aztekami a Otomi, którzy dla mieszkańców Anahuac byli tym, czym dla Anglików szkockie klany, Montezuma pojął za żonę córkę i jedyną prawowitą dziedziczkę wielkiego króla Otomich. Zmarła ona przy połogu, a jej dzieckiem była moja żona, Otomi, dziedziczna królowa plemienia. Jednak choć zajmowała tak wysoką pozycję wśród ziomków swej matki, odwiedziła zamieszkane przez nich strony tylko dwa razy, w tym raz w dzieciństwie. Mimo to mówiła dobrze ich językiem i znała ich obyczaje, gdyż wychowywały ją opiekunki i nauczyciele Otomi. Otrzymywała od swego ludu coroczną, wysoką daninę, a także korzystała z praw należnych królowej, które uznawano w o wiele większym stopniu niż prawa jej ojca, Montezumy.

Otóż, jak już wspomniałem, niektóre klany Otomich przyłączyły się do Tlascalan i jako ich sprzymierzeńcy wzięły udział w wojnie po stronie Hiszpanów. Dlatego zdecydowano na posiedzeniu rady wojennej, że Otomi

i ja, jako jej mąż, powinniśmy udać się z misją do głównego miasta. Otomich, zwanego Pines, i postarać się nakłonić ich do powrotu pod sztandar Azteków.

A zatem, wysławszy przodem gońców z wieścią o naszej wyprawie i nie wiedząc, jak zostaniemy przyjęci, wyruszyliśmy w drogę. Podróżowaliśmy przez osiem dni, z wielkim przepychem i z wciąż powiększającą się eskortą, bo gdy plemiona Otomich dowiedziały się, że przybywa ich księżniczka we własnej osobie, wioząc ze sobą męża, człowieka ze szczepu Teuleów, który jest orędownikiem sprawy Azteków, zaczęły napływać i przyłączać się do orszaku gromady wojowników, tak że zanim dotarliśmy do Pines, towarzyszyło nam przynajmniej dziesięć tysięcy górali, potężnych ludzi o dzikim wyglądzie. Na razie jednak, oprócz formalnego powitania, nie przeprowadziliśmy ani z nimi, ani z ich wodzami żadnych rozmów, choć każdego ranka, gdy wyruszaliśmy w dalszą drogę, Otomi w lektyce, a ja na zdobytym na Hiszpanach koniu, wiwatowali na naszą cześć tak gromko, że aż góry drżały. Z każdą milą teren i jego mieszkańcy stawali się coraz dziksi, ale krajobraz był bardzo piękny, bo posuwaliśmy się przez dębowo-sosnowe lasy. Przeprowadziliśmy się przez wielkie rzeki i głębokie wąwozy, pnąc się coraz wyżej, aż w końcu znaleźliśmy się w strefie, której klimat przypominał mi Anglię, tyle że był bardziej suchy. Nareszcie, ósmego dnia, zagłębiliśmy się w wyżłobiony w czerwonej skale wąwóz, który miejscami był tak wąski, że z trudem mogło jechać obok siebie trzech konnych. Wąwozem tym, długim na pięć mil, prowadzi jedyna droga do Pines, otoczonego stromymi, wznoszącymi się na wysokość od tysiąca do dwóch tysięcy stóp skałami. Poza tym można się tam dostać jedynie znanymi tylko góralom ścieżkami.

- W tym miejscu setka ludzi mogłaby powstrzymać całą armię - powiedziałem do Otomi, nie przypuszczając, że za pewien czas to zadanie mnie przypadnie w udziale.

Po jakimś czasie zbliżyliśmy się do miejsca, w którym wąwóz skręcał. Kiedy przebyliśmy zakręt, ściągnąłem ze zdumienia koniowi wodze. Przede mną leżało miasto Pines w całej okazałości. Jest ono położone na kolistej równinie o średnicy jakichś dwunastu mil otoczonej ze wszystkich stron górami porośniętymi dębowymi i cedrowymi lasami. Za miastem, patrząc od strony wąwozu, pośrodku pierścienia gór, jest wszakże jedna, którą pokrywa nie zielen lasów, lecz czarna lava, a wyżej śnieg. W dzień unosi się nad nią słup dymu, a w nocy ognia. To wulkan Xaca, czyli królowa. Choć nie jest tak wyniosły jak Orizaba, Popocatepetl i Ixtac, to moim

zdaniem jest z nich wszystkich najładniejszy, zarówno ze względu na doskonały kształt, jak też purpurową i niebieską barwę wydobywających się z niego nocą płomieni. Otomi czczą go jako boga i składają mu ludzkie ofiary, czemu trudno się dziwić, gdyż zdarzyło się, iż lawa wydobywająca się z wulkanu zalała część miasta. Uważają też, że jest to miejsce nawiedzone, w związku z czym nikt nie ośmielił się tam postawić stopy. Tym niemniej los chciał, żebym ja - i jeszcze jeden człowiek - wspiął się na tę górę.

A więc wewnątrz owego pierścienia gór leży, a raczej leżało - bo teraz, a w każdym razie kiedy je opuszczałem, były tam same ruiny - miasto Pines. Nie było ono tak duże, jak inne, które widziałem w Anahuac, ponieważ Otomi, typowi górale, nie lubili mieszkać w miastach. Liczyło jakieś trzydzieści pięć tysięcy dusz. Ale choć nie było wielkie, to z pewnością najładniejsze ze wszystkich indiańskich miast. Miało proste ulice zbiegające się na wielkim placu w centrum, wzdłuż których stały, otoczone ogrodami, w większości zbudowane z bloków lawy, domy. Pośrodku placu wznosiła się *teocalli*, na której szczycie znajdowały się świątynie ozdobione sznurami ludzkich czaszek. Za piramidą był pałac, siedziba przodków Otomi, długi, niski i bardzo stary budynek z wieloma dziedzińcami, którego ściany pokryte były płaskorzeźbami przedstawiającymi węże i szczerzące zęby bóstwa. Zarówno pałac, jak i piramida oblicowane były płytami z białego kamienia, który lśnił w słońcu jak srebro, dziwnie kontrastując z pozostałymi, zbudowanymi z ciemnej lawy, budowlami.

Tak wyglądało Pines, kiedy ujrzałem je pierwszy raz. Kiedy widziałem je po raz ostatni, było kupą dymiących zgliszczy, a teraz na pewno jest siedliskiem nietoperzy i szakali.

Wydostawszy się z wąwozu, przejechaliśmy kilka mil równiną, której każda piędź obsiana była kukurydzą, *maguey*, czyli aloesem, i innymi roślinami uprawnymi i w końcu dotarliśmy do jednej z czterech bram miasta. Przekraczając ją, zobaczyliśmy, że na płaskich dachach domów po obu stronach ulicy tłoczą się setki kobiet i dzieci. Obrzucały nas kwiatami, wołając: - Witaj, księżniczko! Witaj Otomi, księżniczko Otomich! - Kiedy wreszcie znaleźliśmy się na centralnym placu, wydało mi się, że zebrali się tam wszyscy mężczyźni z Anahuac. Podjęli oni hasło i krzyczeli: - Witaj Otomi, księżniczko Otomich! - że aż się ziemia trzęsła. Mnie też witali, dotykając prawymi dłońmi ziemi, a potem wznosząc je nad głowy, ale myślałem, że składali cześć raczej memu koniowi niż mnie, ponieważ nigdy

jeszcze nie widzieli takiego zwierza i spoglądali na niego jak na potwora czy demona. Przeszliśmy przez wiwatujący tłum, poprzedzani przez tysiące wojowników, z których wielu miało błyszczące zbroje z piór i wyszywane sztandary, minęliśmy piramidę, na szczycie której spostrzegłem kapłanów przy ich okrutnym zajęciu, i do, tarliśmy do wrót pałacu. Tam, w niesamowitej komnacie, której ściany pokrywały płaskorzeźby przedstawiające demony o wykrzywionych twarzach, znaleźliśmy odpoczynek.

Następnego dnia zwołano w wielkiej sali pałacu naradę wodzów klanów, których było więcej niż setka. Kiedy wszyscy się zebrali, przyszedłem, ubrany jak Aztek najznamienitszego rodu, z Otomi, która miała na sobie królewskie szaty i wyglądała w nich przesłicznie. Wodzowie powstali na powitanie, ale Otomi poprosiła ich, by usiedli, i odezwała się w te słowa:

- Posłuchajcie mnie, waszej księżniczki, ostatniej z rodu starożytnych władców Otomich, córki Montezumy, króla Anahuac, który umarł dla nas, ale żyje i będzie żył wiecznie w domu słońca. Najpierw przedstawię wam mego męża, Teule, któremu zostałam dana za zgodą mych królewskich braci. Wiedźcie, o wodzowie, że ten pan, mój mąż, nie jest naszej krwi, ani też krwi Teule'ów, z którymi prowadzimy wojnę, lecz wywodzi się od prawdziwych dzieci Quetzalcoatla, mieszkających daleko, za północnym morzem, i będących wrogami Teule'ów. Jak oni, tak i mój mąż jest ich wrogiem i jak na pewno słyszeliście, owej strasznej dla Teule'ów nocy nikt nie dokonał bardziej bohaterskich czynów niż on. On też pierwszy odkrył ich ucieczkę.

Wodzowie wielkiego, starożytnego ludu Otomi! Przysłał mnie tu, razem z moim mężem, Cuitlahua, wasz i mój król, abym pomówiła z wami o pewnej sprawie. Otóż dotarła do króla, a także do mnie, i słuchałam tego ze wstydem, wieść, iż wielu waszych wojowników przyłączyło się do Tlascalan, którzy zawsze byli wrogami Azteków, i wspiera wraz z nimi Teule'ów. Na razie biali zostali pobici, ale ujrzeli złoto, którego pożądamy, więc powrócą jak pszczoły do pełnego nektaru kwiatu. Powrócą, ale sami nie mogą zagrozić chwale Tenocitlan. Co jednak będzie, gdy wspomogą ich dziesiątki tysięcy mieszkańców tej ziemi? Dobrze wiem, że teraz, gdy królestwa się kruszą, powietrze jest gęste od złowróżbnych znaków i nawet bogowie wydają się bezsilni, znajdzie się wielu takich, którzy będą chcieli skorzystać z sytuacji i obrócić ją na swój pożytek. Wielu ludzi, wiele szczepów pamięta dawne wojny i stare krzywdy. Krzyczą oni teraz: „Nadeszła godzina zemsty! Pomyślmy o kobietach, które dzidy Azteków uczyniły

wdowami, o bogactwach, które nam wydarli Aztekowie, aby powiększyć swoje skarby, o jeńcach, którzy zginęli na ołtarzach ich świątyń!” Czy nie jest tak? Jest, i nie dziwi mnie to. Jednak proszę, byście pamiętali o tym, że jarzmo, które pomożecie założyć na szyję królowej miast, będzie pasowało też do waszych szyj. O niemądrzy ludzie, czy myślicie, że zostaniecie oszczędzeni, kiedy przy waszej pomocy Tenocitlan padnie w gruzy, a Aztekowie przestaną być wolnym narodem? Nic podobnego. Teule połamią jeden po drugim i wrzucą do ognia kije, którymi teraz chcą wypędzić życie z Tenocitlan. Jeśli upadną Aztekowie, to wcześniej czy później upadną wszystkie plemiona w tym kraju. Ich wojownicy zostaną zabici, miasta zrównane z ziemią, skarby zrabowane, a dzieci poznają smak niewoli. Wybierajcie, Otomi. Czy staniecie ramię w ramię z synami tej samej ziemi, mimo iż bywali oni waszymi wrogami, czy też zwiążecie wasz los z obcymi? Wybierajcie, Otomi, i wiedźcie jedno, że od waszego wyboru i od wyboru innych plemion zależy los Anahuac. Jestem waszą księżniczką i powinniście mnie słuchać, ale dziś powstrzymam się od wydawania rozkazów. Sami musicie dokonać wyboru między sojuszem z Aztekami a jarzmem panowania Teule'ów. Oby bóg najwyższy, wszechmocny, niewidzialny Bóg wskazał wam właściwą drogę!

Otomi skończyła. Przez salę przeszedł szmer aprobaty. Niestety nie potrafię oddać zapału, z jakim mówiła, tak jak nie potrafię opisać dostojęstwa, jakim w owej godzinie promieniowała jej osoba. Ale słowa te trafiły do serc nieokrzesanych wojowników. Wielu z nich pogardzało Aztekami, uważając ich za zniewieściały lud kraju równin i jezior, za lud handlarzy. Wielu miało z nimi ciągnące się od pokoleń krwawe porachunki. Jednak mimo to wszyscy zdawali sobie sprawę, że ich księżniczka ma rację i że zwycięstwo Hiszpanów w Tenocitlan oznacza ich zwycięstwo we wszystkich pozostałych miastach kraju. Dokonali więc wyboru, choć później, w dniach kłopotów i klęsk, wielu, jak to jest w ludzkiej naturze, żałowało tego.

- Otomi - krzyknął po krótkiej naradzie, w imieniu wszystkich, jeden z wodzów - wybraliśmy! Twoje słowa nas podbiły. Złączymy nasz los z losem Azteków i będziemy walczyć do ostatka o wolność przeciw Teule'om.

- Widzę, że istotnie jesteście mym ludem, a ja waszą władczynią - odparła Otomi. - Tak przemawiali w podobnych przypadkach moi przodkowie. Obyście nigdy nie musieli żałować swego wyboru, bracia.

Tak więc kiedy opuszczaliśmy Pines, wieźliśmy Cuitlahule obietnicę wystawienia przez Otomich dwudziestotysięcznej armii, która miała do końca bić się u jego boku z Hiszpanami.

Rozdział VI

KORONACJA GUATEMOCA

Załatwiwszy, co mieliśmy załatwić z plemieniem Otomi, powróciliśmy bezpiecznie do Tenocitlan, po trwającej dokładnie miesiąc i jeden dzień nieobecności. Był to czas krótki, ale wystarczająco długi, by na biedne miasto spadło nowe nieszczęście. Bóg spuścił bowiem na nie nową plagę. Poznało już śmierć od miecza białych, teraz spadła na nie śmierć w innej postaci. Otóż Hiszpanie przywlekli ze sobą zarazę i teraz w całym kraju szalała ospa. Dzień w dzień umierały tysiące, gdyż Aztekowie, nie mając pojęcia, jak postępować z tą chorobą, polewali ciała zarażonych zimną wodą, wskutek czego gorączka obejmowała wnętrzości i większość kurowanych w ten sposób umierała po dwóch dniach. Litość brała, kiedy widziałem, jak szalejący z cierpienia ludzie biegają w tę i z powrotem po ulicach, roznosząc zarazę. Umarli leżeli pokotem na placach targowych, czekając na pogrzeb, gdyż choroba nie oszczędziła żadnej rodziny. Kapłani padali, rażeni nią, przy ołtarzach, na których składali ofiary z dzieci, aby przebłagać gniew bogów. Ale to jeszcze nie było najgorsze - choroba dopadła też Cuitlahuę i kiedy wróciliśmy do miasta, leżał na łożu śmierci. Mimo to chciał nas koniecznie zobaczyć i rozkazał nas przyprowadzić do siebie. Na próżno błagałem Otomi, aby nie posłuchała jego rozkazu. Roześmiała się, mówiąc: - Jak to, mój mężu, mam się cofnąć przed tym, czemu muszę stawić czoła? Chodźmy zdać sprawozdanie z naszej misji. Jeśli zachoruję i umrę, to będzie to znaczyło, że nadeszła moja godzina.

Poszliśmy więc. Wprowadzono nas do komnaty, w której leżał Cuitlahua przykryty prześcieradłem, jakby był trupem. Wokół łoża paliły się w złotych naczyniach kadzidła. Kiedy weszliśmy, był nieprzytomny, ale wkrótce przyszedł do siebie i powiedziano mu, że jesteśmy.

- Witaj, bratanico - powiedział ochrypłym głosem, nie zdejmując prześcieradła z twarzy. - Zastajesz mnie w złej godzinie. Moje dni są policzone, zaraza Teule'ów zabija tych, których oszczędziły ich miecze. Wkrótce inny

będzie musiał wziąć po mnie koronę, tak jak ja wziąłem ją po twoim ojcu, ale nie smuć się tym, gdyż na niego spadnie zaszczyt i ciężar poprowadzenia Azteków do ich ostatniego boju. Jakie przywozisz wieści? Mów szybko. Co zdecydowały klany Otomich, twoich poddanych?

- Panie - odparła Otomi pokornie i ze spuszczoną głową - oby opuściła cię ta zaraza i obyś mógł rządzić nami jeszcze przez wiele lat! Mój pan i mąż, Teule, i ja zdołaliśmy przekonać większość klanów Otomich, by poparli naszą sprawę i wrócili pod nasz sztandar. Dwadzieścia tysięcy wojowników czeka tylko na twoje słowo, a gdy ich zabraknie, przyjdą inni.

- Dobrze się z tego wywiązaście, córko Montezumy i ty, biały człowieku - wykrztusił konający monarcha. - Bogowie wiedzieli, co robią, gdy nie chcieli przyjąć was w ofierze, a ja byłem głupi, że chciałem cię zabić, Teule. Do was i do wszystkich pozostałych mówię: „Bądźcie nieugięci, a jeśli trzeba będzie umrzeć, umrzyjcie z honorem. Wojna trwa, ale ja już nie wezmę w niej udziału i kto wie, jaki będzie jej koniec?”

Umilkł i leżał przez chwilę, nie mówiąc nic, a potem nagle, jakby w natchnieniu, odrzucił prześcieradło z twarzy i usiadł na łóżku. Nie był to przyjemny widok, bo ospa naznaczyła go swym piętnem.

- Biada! - jęknął. - Biada! Biada! Widzę ulice Tenocitlan czerwone od krwi i blasku pożarów, widzę stosy trupów deptanych przez konie Teule'ów. Widzę, jak mój lud płacze, a jego kark zgina się pod jarzmem. Dzieci cierpią za grzechy ojców! Ludu Anahuac, pielęgnowałbym cię jak orzeł swe pisklę, lecz, niestety, jesteś potępiony. Upomina się o ciebie piekło, a ziemia nie chce cię nosić z powodu twych grzechów. Niedobitki, które po tobie zostaną, będą przez całe pokolenia niewolnikami, dopóki nie dokona się zemsta!

Wykrzyczawszy to, Cuitlahua opadł na poduszki i zanim zatrwożony medyk, który się nim opiekował, zdążył unieść jego głowę, zostawił wszystkie ziemskie smutki za sobą. Jednak jego słowa zapadły głęboko w serca tych, którzy je słyszeli, choć nie powtórzono ich nikomu z wyjątkiem Guatemoca.

Tak oto w obecności mojej i Otomi zmarł Cuitlahua, władca Azteków, którego panowanie trwało zaledwie piętnaście tygodni. Raz jeszcze naród oplakał swego króla, a z nim tysiące swych dzieci, które zaraza zabrała do „domów słońca”, a może w „ciemność rozciągającą się za gwiazdami”.

Ale żałoba nie trwała długo, gdyż ciężkie czasy wymagały, aby jak najszybciej ukoronować nowego króla i dać wojsku wodza, a państwu władcę.

Dlatego nazajutrz po pogrzebie Cuitlahuy zebrano się czterech elektorów i około trzystu książąt i panów niższej rangi, wśród nich ja, jako jeden z dowódców i mąż księżniczki Otomi. Nie musieliśmy zbyt długo dyskutować, bo choć wymieniono imiona kilku pretendentów do tronu, książęta dobrze wiedzieli, że jest tylko jeden człowiek, który z racji urodzenia, odwagi i szlachetności umysłu może zmierzyć się z nękającymi naród nieszczęściami. Człowiekiem tym był mój przyjaciel Guatemoc, siostrzeniec dwóch ostatnich władców i mąż siostry mojej żony, córki Montezumy, Tecuichpo. Wszyscy, jak powiedziałem, wiedzieli o tym, tylko - rzecz dziwna - nie on sam, bo kiedy zaczęliśmy obrady, podał imiona dwu innych książąt, mówiąc, że nie ma wątpliwości, iż powinniśmy wybrać jednego z nich.

Czterech wielkich panów, elektorów, odzianych we wspaniałe szaty, i trzystu niższych rangą wielmożów, siedzących poza kręgiem głównej rady, lecz przysłuchujących się obradom i zatwierdzających wybór, przedstawiało niezwykle uroczysty widok. Niezwykle uroczysta była również modlitwa najwyższego kapłana, który w swych czarnych szatach wyglądał na tle bogatych strojów reszty zebranych jak kropla atramentu na złocie. A oto, jak brzmiały słowa tej modlitwy:

- O boże, który jesteś wszędzie i wszystko widzisz, wiesz, że nasz król Cuitlahua odszedł do ciebie. Umieściłeś go pod swym podnóżkiem i spoczywa tam w pokoju. Przebył on drogę, którą musi przebyć każdy z nas i dotarł do królewskich siedzib naszych zmarłych, domu wiecznych cieni. Tam, gdzie nikt go nie będzie już niepokoił, zasnął snem sprawiedliwych. Dokonały się krótkie dni jego trudów. Splamiony grzechem i smutkiem, odszedł do ciebie. Daleś mu zakosztować radości, lecz nie pozwoliłeś upić się nią, chwała imperium przesunęła się przed jego oczami niczym sen. Wziął swój ciężar ze łzami, wznosząc modły do ciebie, złożył go z radością. Poszedł tam, dokąd poszli jego przodkowie i nie może stamtąd powrócić. Po naszym ogniu został popiół, po lampie ciemność. Ci, którzy nosili koronę przed nim, zostawili mu jej trudny do udźwignięcia ciężar, teraz on zostawił to innemu. Zaprawdę, powinien składać ci dzięki, królu królów, panie gwiazd, który trwasz samotnie, że zdjąłeś z jego barków tak wielki ciężar a z czoła koronę placzu, obdarzając go pokojem za jego walki i

odpoczynek za trudy. O boże, nasza nadziejo, wybierz teraz sługę godnego go zastąpić, człowieka, który nie ulęknie się ani nie zawaha, którego nie zmęczą trudy, który poprowadzi twój lud jak matka swe dziecko. Panie, obdarz swą łaską Guatemoca, którego wybraliśmy. Przyjmij go w swoją służbę i pozwól, jako swemu kapłanowi, zasiadać na tym tronie do końca jego dni. Niech twoi wrogowie staną się podnóżkiem u jego stóp, niech rozśławia twą chwałę, szerzy wiarę w ciebie i broni twego królestwa. Błagam cię o to w imieniu całego narodu. O boże, niech twej woli stanie się zadość!

Kiedy najwyższy kapłan zakończył modlitwę, podniósł się pierwszy z czterech elektorów i powiedział:

- Guatemocu, w imię boga i z woli ludu Anahuac wzywamy cię, byś wstąpił na tron. Obyś żył długo i panował sprawiedliwie i oby przypadła ci w udziale sława należna temu, kto zepchnie do morza niszczących nasz kraj wrogów. Cześć ci, Guatemocu, władco Azteków i podległych plemion!

Trzystu członków rady zatwierdzającej wybór powtórzyło grzmiącym głosem:

- Cześć ci, Guatemocu, władco Azteków i podległych plemion!

Potem wystąpił i przemówił Guatemoc:

- Panowie elektorzy i wy, książęta, wodzowie i panowie z rady zatwierdzającej, posłuchajcie mnie. Bogowie świadkami, że gdy tu wchodziłem, nie myślałem, iż spadnie na mnie z waszej woli tak wielki zaszczyt. Bogowie świadkami, iż gdybym sam rozporządzał swym życiem, gdyby nie leżało ono w rękach tego ludu, to odpowiedziałbym wam: „Poszukajcie kogoś bardziej godnego tego zaszczytu”. Lecz moje życie nie spoczywa w moich rękach. Anahuac wzywa swego syna i jestem mu posłuszny. Grozi mu wojna na śmierć i życie. Czy mogę odmówić, dopóki mam sprawne ręce i umysł, dopóki mogę uderzać i snuć plany? Nie. Ślubuję, że odtąd poświęcę się całkowicie służbie dla kraju i wojnie z Teule'ami. Nie zawrę z nimi pokoju, nie spocznę, dopóki nie wyprę ich tam, skąd przybyli, albo nie zginę od ich mieczy. Nikt nie wie, co przygotowali dla nas bogowie, może zwycięstwo, a może zagładę, ale czy będzie to tryumf, czy śmierć, złożmy tu razem, bracia, przysięgę. Przysięgnijmy, że będziemy bronić przeciw Teule'om i zdrajcom, którzy im pomagają, naszych miast, domów i ołtarzy dopóki miasta nie zmienią się w dymiące zgłiszczca, dopóki domy nie zapełnią się trupami, dopóki ołtarze bogów nie spłyną krwią ich czcieli. Jeśli jest nam przeznaczone zwyciężyć, niech nasz tryumf będzie

pewny, a jeśli skazani jesteśmy na klęskę, niech przynajmniej pozostanie po nas wspomnienie naszych czynów. Przysięgacie, bracia?

- Przysięgamy! - krzyknęli wszyscy jednym głosem.

- Dobrze - powiedział Guatemoc. - Niech wieczna hańba spadnie na tego, kto złamie tę przysięgę.

Kiedy było już po wszystkim, pospieszyłem do pałacu opowiedzieć Otomi o wyniku elekcji. Zastałem ją leżącą na łóżku w naszej sypialni.

- Co ci dolega, Otomi? - spytałem.

- Niestety, mężu - odpowiedziała - zaraza dosięgła i mnie. Nie podchodź do mnie. Proszę cię, nie podchodź. Niech się mną zaopiekuje służba. Nie możesz ryzykować dla mnie życia, ukochany.

- Spokojnie - powiedziałem i podszedłem. Mówiła prawdę, jestem lekarzem i znam objawy tej choroby aż nazbyt dobrze. I właśnie gdyby nie moje umiejętności medyczne, Otomi na pewno by nie przeżyła. Przez trzy długie tygodnie walczyłem o nią ze śmiercią i w końcu zwyciężyłem. Opuściła ją gorączka, a dzięki moim zabiegom nie miała na twarzy ani jednej blizny. Przez osiem dni bez przerwy majaczyła i miałem okazję się dowiedzieć, jak głęboka i doskonała była jej miłość do mnie. Przez cały ten czas mówiła tylko o mnie, dzięki czemu poznałem tajemnicę, którą skrywała w sercu. Otóż bała się, że jej uroda i miłość znudzą mi się i że porzucę ją, że „zamorski kwiat”, czyli Lily, przyciągnie mnie czarami na powrót do siebie. W końcu odzyskała świadomość i spytała:

- Jak długo tu leżę, mężu?

Kiedy jej odpowiedziałem, zadała następne pytanie: - I przez cały ten czas pielęgnowałeś mnie, i to w tak strasznej chorobie?

- Tak, Otomi.

- Co zrobiłam, że jesteś tak dobry dla mnie? - rzekła cicho. Potem uderzyła ją nagle straszna myśl. Jęknęła i zawołała: - Przynieście mi szybko lusterko!

Podąłem jej lustro. Oparłszy się na łokciu, gorączkowo badała swą twarz w mdłym świetle zaciemnionego pokoju, po czym wypuściła płytkę z polerowanego złota z dłoni, opadła na poduszki i krzyknęła radośnie:

- Bałam się! Bałam się, że wyglądam tak okropnie, jak ci, którzy wyszli z tej choroby i że przestaniesz mnie kochać. Wtedy wolałabym umrzeć.

- Jak ci nie wstyd! - powiedziałem. - A więc myślisz, że miłość może przestraszyć się paru blizn?

- Tak. To znaczy miłość mężczyzny, ale nie taka, jak moja. Gdybym była taka... ach, przejmuję mnie dreszcz na samą myśl o tym... to nim minąłby rok, zacząłbyś mnie nienawidzić. Może nie stałoby się tak, gdyby na moim miejscu była inna, ta piękna dziewczyna zza morza, ale mnie na pewno byś znienawidził. Nie, nie zaprzeczaj, wiem, że tak by było, ale wiem też to, że nie przeżyłabym tego. Och, jaka jestem wdzięczna, jaka wdzięczna! Zostawiłem ją na chwilę, dziwiąc się jej wielkiej miłości, którą mnie obdarzyła i zastanawiając się, czy w jej słowach było coś z prawdy, czy serce mężczyzny może być tak złe i niewdzięczne. Zakładając, że Otomi stałaby się po chorobie taką, jakich wiele w owych dniach krążyło po ulicach Tenocitlan, bezwłosą, oszpeconą bliznami istotą o niewidzących, pokrytych bielmem oczach, czy poczułbym do niej wstręt? Nie wiem i dzięki niech będą niebiosom, że nie wystawiły mej stałości na taką próbę. Jednego natomiast jestem pewien, że gdybym nawet stał się trędowatym, Otomi nie odsunęłaby się ode mnie.

Tak więc Otomi wyzdrowiała, a wkrótce potem zaraza opuściła Tenocitlan. Miałem wtedy wiele innych spraw na głowie, bo wybór Guatemoca - mego przyjaciela, z którym poza tym łączyło mnie braterstwo krwi - na króla oznaczał i dla mnie wywyższenie. Zostałem mianowany dowódcą pierwszej kategorii i głównym jego doradcą. Nie oszczędzałem się, lecz pracowałem dzień i noc, przygotowując miasto do odparcia oblężenia i rozmieszczając oraz musztrując oddziały, szczególnie armię Otomich, którą przysłali, jak obiecywali, w liczbie dwudziestu tysięcy ludzi. Była to ciężka praca, gdyż Indianom brakowało dyscypliny i jedności działania, bez której z tych tysięcy wojowników nie było w wojnie z białymi żadnego pożytku. Poza tym ich wodzowie wzajemnie sobie zazdrościli i ja sam byłem przedmiotem zawiści. Musiałem to zmienić. Jakby tego było mało, wiele plemion skorzystało z kłopotów Azteków, aby zrzucić więzy poddaństwa lub zerwać łączący je z nimi sojusz i nawet jeśli nie przyłączyły się do Hiszpanów, to nie mieszały się do wojny, czekając na jej wynik. Mimo to pracowaliśmy usilnie, dzieląc wojsko według wzorów europejskich na pułki, ucząc lepszego władania bronią, gromadząc zapasy na czas oblężenia i pozbywając się tylu niepotrzebnych gąb do żywienia, ilu mogliśmy się pozbyć. Tylko jeden człowiek w Tenocitlan pracował ciężiej niż ja. Był to Guatemoc, który nie odpoczywał ani w dzień, ani w nocy. Próbowałem

nawet wyprodukować proch, używając do tego siarki z krateru Popocatepetla, ale ponieważ nie miałem odpowiedniej wiedzy, próby zakończyły się fiaskiem. Prawdę mówiąc, niewiele by nam z tego przyszło, gdyby mi się powiodło, bo nie mając ani arkebuzów, ani dział, ani nie potrafiąc ich wykonać, moglibyśmy go używać jedynie do minowania dróg i bram, i może do produkcji ręcznych granatów.

Tak mijały miesiące, aż w końcu szpiedzy przynieśli wieści o zbliżaniu się dużej liczby Hiszpanów, którym towarzyszyły nieprzeliczone armie ich sojuszników.

Chciałem namówić Otomi, aby schroniła się wśród swego plemienia, ale roześmiała się tylko i powiedziała:

- Tam, gdzie jesteś ty, mężu, tam i ja będę. Masz stawić czoła śmierci, może nawet ją znajdziesz, a mnie nie będzie przy twym boku, żeby umrzeć razem z tobą? Może jest to zwyczaj białych kobiet, jeśli tak, to niech przy nim trwają, ale ja, ukochany, zostanę tu z tobą.

Rozdział VII

UPADEK TENOCTITLAN

Krótko po świętach Bożego Narodzenia, wyruszywszy z wielką armią Hiszpanów, gdyż jego siły wzrosło wielu nowych przybyszów zza morza, oraz dziesiątkami tysięcy wojowników z sojusznicznych plemion, Cortes dotarł do doliny Meksyku i założył kwaterę główną w Tezcuco. Miasto to leży blisko jeziora, w odległości kilkunastu mil od Tenochtitlan. Znajdując się na skraju terytorium Tlascalan, jego sprzymierzeńców, było dla Cortesa dogodną bazą wypadową. I wtedy zaczęła się jedna z najstraszniejszych wojen, jakie dotąd widział świat. Szalała przez osiem miesięcy, a kiedy wreszcie się skończyła, Tenochtitlan, a z nim wiele innych pięknych i ludnych miast, stało się morzem osmalonych ogniem ruin, większość Azteków zginęła z głodu lub od miecza, a ich państwo zostało zdruzgotane na zawsze. Nie będę tu pisał o wszystkich szczegółach tej wojny, bo gdybym chciał to zrobić, książka ta nie miałaby końca, a chcę przekazać moją własną historię. Zostawiam je przeto historykom. Wystarczy powiedzieć, że Cortes przed ostatecznym atakiem na Meksyk postanowił zniszczyć sprzymierzone z nim miasta i plemiona i że przystąpił do wykonania tego zadania z taką zręcznością, odwagą i zdecydowaniem, jak rzadko który wódz od czasów Cezara.

Pierwsze padło Iztapalapan. Zginęło tam z ręki Hiszpanów lub poniosło śmierć w płomieniach dziesięć tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci. Potem przyszła kolej na inne; niszczył jedno po drugim, aż w końcu w jego rękach znalazły się wszystkie miasta wokół Tenocitlan i tylko ono pozostało wolne. Prawdę mówiąc, wiele z nich poddało się, gdyż narody Anahuac, będąc różnej krwi, bardziej przypominały wiązkę trzciny niż solidny pień drzewa. Kiedy zatem Hiszpanie przecięli trzymający je razem sznur imperium, rozsypały się, niczym te trzciny. W rezultacie siły Guatemoca słabły, natomiast rosła potęga Cortesa, który zgarniał do swego koszyka owe rozrzucone bezładnie trzciny. Szło mu to łatwo, bowiem gdy ludzie zorientowali się, że Meksyk trafił na równego sobie przeciwnika, rozgorzały na nowo stare waśnie i dawno poskromieni rywale i wrogowie rzucili się na Tenocitlan, kłusując je i rozszarpując jak na wpół oswojone wilki swego pogromcę, któremu złamał się kij. To właśnie spowodowało upadek Anahuac. Gdyby bowiem zamieszkujące je ludy zapomniały o swarach i sporach i stanęły razem przeciw Hiszpanom, to Tenocitlan nigdy by nie padł, a Cortes wraz z wszystkimi swymi ludźmi znalazłby się na kamieniu ofiarnym. Czyż nie powiedziałem, biorąc pióro do ręki, by spisać tę historię, że każdy zły czyn obróci się w końcu przeciwko temu, kto go dokonał? Tak też stało się i tym razem. Meksyk został zniszczony, gdyż jego bogowie budzili wstręt i nienawiść. Przyczyną waśni z innymi ludami był ów okropny rytuał składania ludzkich ofiar. Niegdyś ze wszystkich podbitych miast wleczono do Meksyku brańców, by zarznąć ich na ołtarzach i pożreć ich ciała, albowiem dawniej czciciele tych obrzydłych bóstw byli kanibalami. Teraz przypominano sobie te zbrodnie, teraz, gdy ręce królowej doliny osłabły, potomkowie zabitych powstali przeciw niej, by zaciągnąć jej dzieci na ołtarze swoich bogów.

Z początkiem maja, choć dawaliśmy z siebie wszystko i trudno wyobrazić sobie bardziej zaciętą walkę, wszyscy sojusznicy opuścili nas lub zostali złamani i zaczęło się oblężenie miasta. Atak zaczął się jednocześnie od strony łądu i od strony jeziora, gdyż Cortes wykazał niezwykłą pomysłowość, kazał zbudować w Tlascala trzynaście brygantyn i przetransportować je w częściach sześćdziesiąt mil przez góry do swej bazy wypadowej, skąd kanałem wykopanym przez dziesięć tysięcy Indian, którzy pracowali bez przerwy przez dwa miesiące, spławiono je do jeziora. Tych, którzy nieśli brygantyny, ubezpieczało dwadzieścia tysięcy Tlascalan. Gdybym miał w tych sprawach wolną rękę, zaatakowałbym ich w górach. Tego

samego zdania był Guatemoc, ale mieliśmy do dyspozycji zaledwie kilka oddziałów, ponieważ większa część naszych sił została wysłana do Chalco, którego mieszkańcy, choć byli Aztekami, zdradzili naszą sprawę. Mimo to zaproponowałem, że udam się tam z dwudziestoma tysiącami Otomich. Sprawa ta stała się przedmiotem gorących dyskusji podczas narady wojennej, ale większość jej uczestników sprzeciwiła się walkom z wrogiem tak daleko od miasta i w ten sposób straciliśmy niepowtarzalną okazję zadania mu poważnego ciosu. Zemściło się to srodze, bo w końcu owe brygantyny odcięły Tenocitlan od zapasów żywności, którą przewożono łodziami przez jezioro. Niestety, nawet najdzielniejsi wojownicy nie potrafią zwalczyć głodu, który, jak powiadają Indianie, jest bardzo potężnym człowiekiem.

Tak więc osamotnieni Aztekowie stanęli twarzą w twarz z wrogiem i zaczął się ich ostatni bój. Przede wszystkim Hiszpanie zniszczyli akwedukt, który zaopatrywał miasto w wodę ze źródeł znajdujących się obok królewskiej siedziby w Chapoltepec, do której zabrano mnie po sprowadzeniu do Meksyku. Od tej pory aż do końca oblężenia musieliśmy zadowalać się mętną i słonawą wodą czerpaną z jeziora i ze studni wykopanych w mule. Choć można ją było pić po przegotowaniu, które pozbawiało ją słonego smaku, to jednak była wstrętna i niezdrowa i jej spożywanie prowadziło do różnych chorób. Właśnie w dniu, w którym zniszczono akwedukt, Otomi urodziła mi syna. Skutki oblężenia dały się nam wtedy już tak we znaki, a jedzenie było tak podłe, że gdyby Otomi nie miała silnego organizmu, a ja nie byłbym tak biegły w medycynie, to prawdopodobnie zmarłaby przy położu. Na szczęście jednak, ku mej wielkiej radości, szybko doszła do siebie, a ja, choć nie jestem księdzem, ochrzciłem chłopca, nadając mu po mnie imię Tomasz.

Tymczasem dzień po dniu, tydzień po tygodniu, walczyliśmy ze zmiennym szczęściem to na jeziorze, to na przedmieściach, a nawet czasami na ulicach miasta. Hiszpanie cofali się ze stratami po to tylko, by zaraz przypuścić szturm z innej strony. Raz wzięliśmy do niewoli sześćdziesięciu i ponad tysiąc ich sprzymierzeńców. Wszyscy zostali złożeni w ofierze Huitzelcoatlowi, a ich ciała, zgodnie z panującym w Anahuac nie-ludzkim zwyczajem, pożarte przez Azteków, bynajmniej nie dlatego, że Indianie gustowali w ludzkim mięsie, lecz z przyczyn czysto religijnych.

Na próżno błagałem Guatemoca, by zapobiegł temu horrorowi.

- Czy to czas na łagodność obyczajów? - spytał gniewnie. - Nie mogę uchronić ich przed śmiercią na kamieniu ofiarnym, a zresztą nawet gdybym mógł, to i tak nie zrobiłbym tego. Niech te psy zdychają zgodnie ze zwyczajami tego kraju, a tobie, mój bracie, radzę, nie pozwalaj sobie za bardzo.

Niestety, z upływem czasu serce Guatemoca coraz bardziej twardniało i prawdę mówiąc, trudno było się temu dziwić.

Plan Cortesa był taki: niszczyć miasto po kawałku w miarę zbliżania się do jego centrum. Realizował go skrupulatnie i bezlitośnie. Jak tylko Hiszpanie zdobyli jakąś dzielnicę, przystępowały do dzieła tysiące Tlascalan, podpalając domy, w których płonęli żywcem ich mieszkańcy. Kiedy oblężenie zakończyło się, Tenocitlan, królowa doliny, było kupą dymiących zgliszcz. Cortes mógłby, patrząc na ruiny Meksyku, wołać słowami proroka Izajasza: „Do grobu strącony twój przepych i dźwięk twoich harf. Robactwo jest twoim posłaniem, robactwo też twoim przykryciem. Jakżeś to spadł z nieba, Lucyferze, synu jutrzenki! Jakżeś runął na ziemię ty, który podbijałeś narody!”

Brałem udział we wszystkich tych walkach, choć nie wypada, bym się sam chwalił swym męstwem. Jednakże mogę powiedzieć, że Hiszpanie znali mnie dobrze, i nie bez powodu. Za każdym razem, gdy mnie widzieli, obrzucali mnie obelgami, nazywając „zdrajcą i renegatem” i „białym psem Guatemoca”. Co więcej, Cortes wyznaczył nagrodę za mą głowę, bo wiedział od swych szpiegów, że niektóre z najbardziej udanych wypadów i forteli Guatemoca w rzeczywistości ja obmyśliłem. Obelgi te przesywały mnie niczym strzały, bo choć miałem wśród Azteków wielu przyjaciół i nienawidziłem Hiszpanów, wstyd mi było, że ja, chrześcijanin, walczę po stronie kanibali, którzy składają swym bóstwom ludzi w ofierze. Mimo to starałem się nie zwracać na nie uwagi, gdyż cały czas pochłonięty byłem szukaniem swego wroga, de Garcii. Wiedziałem, że tam jest, ponieważ widziałem go wiele razy, ale nigdy nie udało mi się stanąć z nim twarzą w twarz. Zresztą wyglądał mnie on tak samo pilnie, jak ja jego, tyle że z innym zamiarem, żeby w porę zejść mi z drogi, bo nadal bał się mnie i nadal wierzył, że zginie z mojej ręki.

Wojownicy obu stron mieli zwyczaj wyzywać przeciwników na walkę sam na sam i stoczono wiele takich pojedynków na oczach obu armii, przy czym zwycięzcom pozwalano zawsze spokojnie odejść do swoich. Pewnego dnia, zwątpiwszy w to, że uda mi się spotkać de Garcie podczas bitwy, rzuciłem mu więc wyzwanie, zwracając się do niego jego fałszywym

nazwiskiem, Sarceda. Poseł wrócił po godzinie, przynosząc mi na papierze taką oto odpowiedź po hiszpańsku:

„Chrześcijanie nie pojedynkują się z pogańskimi psami, białymi czciicielami szatana i pożeraczami ludzkiego mięsa. Jest tylko jeden rodzaj broni, którego takie psy nie mogą splugawić - sznur. Czeka on na ciebie, Tomaszu Wingfield”.

Podarłem pismo na kawałki i z wściekłością podeptałem je, bo oto do wszystkich zbrodni przeciwko mnie de Garcia dodał jeszcze jedną, nikczemną potwarz. Gniew jednak w niczym mi nie pomógł, gdyż nadal nie mogłem na niego trafić, choć raz z dziesięciu moimi Otomi zapuściłem się za nim w sam środek nieprzyjacielskich szyków. Tylko ja wyszedłem z życiem z tego ataku, Otomi ponieśli śmierć przez moją głupią nienawiść.

Jak mam opisać okropności, które dzień w dzień spadały na nieszczęsne miasto? Wkrótce skończyła się żywność i mężczyźni, a co gorsza także kobiety i dzieci, musieli jeść rzeczy, których nie chciałyby tknąć nawet świnie. Trawa, kora drzew, ślimaki i owady znajdowane w mętnych wodach jeziora oraz mięso jeńców składanych bogom w ofierze stanowiły ich najlepsze pożywienie. Ludzie zaczęli masowo mrzeć, umierali całymi setkami i tysiącami, tak że nie można było nadażyć z ich grzebaniem. Leżeli tam, gdzie padli, a ich ciała rozkładały się i w końcu wybuchła zaraza, która pochłonęła następne tysiące ludzkich istnień. Na jednego zabitego przez Hiszpanów przypadają dwóch zmarłych z głodu lub od zarazy. Można sobie wyobrazić, jakie żniwo zebrała śmierć, skoro w bitwach zginęło nie mniej niż siedemdziesiąt tysięcy. Tylko jednego dnia, przedostatniego dnia oblężenia, zmarło w ten sposób czterdzieści tysięcy.

Pewnego wieczoru wróciłem do kwatery, którą zajmowała Otomi ze swą siostrą, żoną Guatemoca, Tecuichpo, bo wszystkie pałace spłonęły. Ścisnął mnie głód, gdyż przez czterdzieści godzin nie miałem prawie nic w ustach, ale cały posiłek, który postawiła przede mną żona, składał się z trzech placków z mąki kukurydzianej zmieszanej ze zmieloną korą. Pocałowała mnie i powiedziała, żebym je zjadł, ale odkryłem, że sama przez cały dzień nie tknęła nawet jedzenia, więc choć się opierała podzieliłem się z nią. Zauważyłem jednak, że z trudem przełyka trocinowate kawałki i usiłuje ukryć łzy spływające jej po twarzy.

- Co ci jest? - spytałem.

Wtedy Otomi wybuchnęła wielkim płaczem i powiedziała:

- O ukochany, dwa dni temu wyschło mleko w mych piersiach - wysuszył je głód - i nasze dziecko nie żyje! Spójrz, leży martwe! - zerwała koc

z łóżka i pokazała mi małe ciałko.

- Uspokój się - powiedziałem. - Zaoszczędziło mu to wielu cierpień. Czyżbyś chciała, by dziecko dożyło takich czasów jak my i doświadczywszy tego wszystkiego, w końcu i tak zmarło?

- Był naszym pierwotnym synem! - krzyknęła znowu. - O, dlaczego musimy tak cierpieć?

- Musimy cierpieć, Otomi, bo urodziliśmy się po to. Dane nam jest tylko tyle szczęścia, byśmy nie oszaleli z rozpaczy, nie więcej. Nie pytaj mnie, dlaczego tak jest, bo nie potrafię ci odpowiedzieć. Odpowiedzi na to nie daje ani moja wiara, ani żadna inna.

Potem, patrząc na nasze martwe dziecko, też się rozplakałem. W ciągu tych strasznych miesięcy widziałem w każdej godzinie tysiące bardziej okropnych rzeczy, ale nic nie poruszyło mnie tak, jak widok nieżywego dziecka. Było to moje dziecko i jego sztywne, drobne paluszki zdawały się szarpać me serce. Nie pytajcie, dlaczego, gdyż może na to odpowiedzieć tylko Wszechmogący, który dał naszym sercom nieskończoną moc znoszenia bólu, a do naszych uszu nie dociera Jego głos.

Potem wziąłem oskard i zacząłem kopać dół koło domu, aż natrafiłem na wodę, którą w Tenocitlan można znaleźć już na głębokości dwóch stóp. Zmówiwszy nad nim modlitwę, złożyłem ciałko naszego dziecka w tej wodzie i zasypałem grób. Przynajmniej nie zostawiłem go *zopilotes*, jak Aztekowie nazywają sępy.

Potem objęliśmy się z Otomi i płakaliśmy, dopóki nie ogarnął nas sen. Otomi szeptała od czasu do czasu:

- Och, mój mężu, chciałabym, żebyśmy zasnęli razem z dzieckiem i zostali przez wszystkich zapomnieni.

- Teraz odpocznij - powiedziałem - bo śmierć jest blisko nas.

Nadszedł ranek i zaczęła się bitwa straszniejsza i bardziej zacięta niż wszystkie poprzednie, a potem były inne ranki, ale nadal żyliśmy, gdyż Guatemoc odstąpił nam trochę swoich zapasów żywności. Po paru dniach Cortes przysłał do nas parlamentariuszy z żądaniem, byśmy się poddali. Trzy czwarte miasta leżało w gruzach i poległo trzy czwarte jego obrońców. W domach leżały stosy trupów niczym pszczoły, które udusiły się w ulu, a ulice były tak gęsto usiane zwłokami, że musieliśmy po nich stąpać.

Zwołano naradę, aby przedyskutować propozycję Cortesa.

- Jaka jest twoja odpowiedź, Guatemocu? - spytał w końcu przywódca parlamentariuszy.

- Czy jestem Montezuma, że mnie o to pytasz? - odparł szorstko. - Przysiągłem bronić tego miasta do końca i dotrzymam słowa. Lepiej, żebyśmy wszyscy zginęli, niż dostali się żywi w ręce Teule'ów.

- My też tak uważamy - odparli i wojna trwała nadal.

W końcu nadszedł dzień, kiedy Hiszpanie zdobyli prawie ostatnią część miasta. Ludzie stłoczeni tam byli jak owce w zagrodzie. Usiłowaliśmy ich bronić, ale byliśmy osłabieni głodem. Hiszpanie kosili nas ogniem swych arkebuzów niczym łan zboża. Potem spuścili na nas, jak rozwścieczone psy na bezbronnego jelenia, Tlascalan. Wtedy to właśnie zginęło czterdzieści tysięcy Azteków, gdyż nikogo nie oszczędzano. Następnego ranka zaczął się ostatni dzień oblężenia. Cortes ponownie przysłał posłów, prosząc Guatemoca, by spotkał się z nim. Guatemoc dał im jednak tę samą co poprzednio odpowiedź, gdyż nic nie mogło złamać jego szlachetnego ducha.

- Powiedzcie mu - rzekł - że zginę tu, gdzie jestem, ale nie będę z nim prowadził żadnych rozmów. Jesteśmy bezradni, niech Cortes robi, co mu się podoba.

W owym czasie zniszczone już było całe miasto, więc ci, którzy pozostali przy życiu, mężczyźni, kobiety i dzieci, skupili się na groblach. Tam zaatakowano nas ponownie. Wielki bęben na *teocalli* uderzył po raz ostatni i po raz ostatni wzbił się w niebo bojowy okrzyk wojowników azteckich. Dawaliśmy z siebie wszystko, ja zabiłem tego dnia z łuku czterech nieprzyjaciół. Otomi stała przy mnie i podawała mi strzały. Jednak większość z nas była słaba jak dzieci, więc co mogliśmy zrobić? Wpadli na nas jak marynarze na stado fok i wyrzynali setkami. Spychali nas do kanałów i zadeptywali tam na śmierć, aż stopy trupów wypełniły je po brzegi. Nie wiem, jak udało mi się uciec.

W końcu grupę, w której był Guatemoc ze swą żoną Tecuichpo oraz ja z Otomi, zepchnięto na brzeg jeziora, gdzie znajdowały się łodzie. Wsiadliśmy do nich, nie wiedząc, co robić, ale myśląc, że może uda nam się uciec, bo nieprzyjaciół zajął już całe miasto. Dojrzały nas brygantyny i mając sprzyjający wiatr - w tej wojnie wiatr cały czas sprzyjał wrogom - puściły się w pogoń za nami. Choć wiosłowaliśmy ze wszystkich sił, jedna z nich wkrótce znalazła się obok nas i rozpoczęła ogień. Wtedy Guatemoc wstał i powiedział:

- Jestem Guatemoc. Zaprowadźcie mnie do Malinche. Ale oszczędźcie tych z moich ludzi, którzy zostali przy życiu.

- Wybiła moja ostatnia godzina - powiedziałem do Otomi - bo Hiszpanie na pewno mnie powieszą. Woła się sam zabić i uniknąć haniebnego śmierci na szubienicy.

- Mówiłam ci już dawniej - odparła ze smutkiem - że dopóki żyjesz, możesz mieć nadzieję, ale dla umarłych wszystko się kończy. Może jeszcze los się do nas uśmiechnie, jeśli jednak myślisz inaczej, gotowa jestem umrzeć.

- Nie zniosę tego, Otomi.

- Wobec tego musisz powstrzymać swą rękę, bo jak zawsze pójdę tam, gdzie ty.

- Słuchaj - szepnąłem - nie wydaj się, że jesteś moją żoną. Udawaj jedną z dam Tecuichpo. Gdyby nas rozdzielili i udało mi się jakoś uciec, to postaram się dotrzeć do Pines. Tam, wśród twojego ludu, może uda nam się znaleźć schronienie.

- Zgoda, ukochany - odparła ze smutnym uśmiechem. - Nie wiem jednak, jak przyjmą mnie Otomi. Poprowadziłam dwadzieścia tysięcy ich najdzielniejszych wojowników na śmierć.

Znaleźliśmy się na pokładzie brygantyny, więc musieliśmy przerwać rozmowę. Stamtąd zabrano nas na brzeg i zaprowadzono na dach domu, który ocalał z pożaru, gdzie Cortes pospiesznie przygotowywał się, aby przyjąć swego jeńca. Stał z kapeluszem w dłoni, otoczony swą świtą. Obok niego stała Marina, jeszcze ładniejsza niż dawniej. Było to moje pierwsze spotkanie z nią od czasu, gdy opuściłem Tobasco.

Nasze oczy spotkały się. Drgnęła, co świadczyło, że poznała mnie, choć na pewno trudno jej było w tym pokrzwawionym, sponiewieranym nie-szczęśniku, który ostatkiem sił wdrapał się na *azotea*, rozpoznać dawnego przyjaciela. Nie zamieniliśmy jednak ani słowa, gdyż oczy wszystkich zwrócone były na Cortesa i Guatemoca, zwycięzcę i pokonanego.

Choć wyglądał jak żywy szkielet, Guatemoc podszedł z dumną i wyzywającą miną do Cortesa i przemówił. Jego słowa tłumaczyła Marina.

- Jestem Guatemoc, władca Azteków - powiedział. - Zrobiłem wszystko, co mogłem, aby obronić mój lud. Oto owoce moich trudów - wskazał na okopcone ruiny Tenocitlan, ciągnące się ze wszystkich stron, jak daleko sięgnąć okiem. - Skończyło się tak, gdyż bogowie obrócili się przeciw mnie. Zrób ze mną, co chcesz, ale najlepiej będzie, jeśli od razu mnie zabijesz - tu dotknął szytletu Cortesa - i w ten sposób uwolnisz od nędznego życia.

- Nie obawiaj się, Guatemocu - odparł Cortes. - Walczyłeś dzielnie, a takich ludzi szanuję. Jesteś u mnie bezpieczny, gdyż my, Hiszpanie,

potrafimy docenić odwagę naszych wrogów. Oto jedzenie - wskazał stół zastawiony potrawami, jakich nie widzieliśmy od wielu tygodni - jedz, bo na pewno potrzebujesz tego. Twój towarzysze też. Porozmawiamy potem.

Zabraliśmy się więc łączywie do jedzenia. Nie żałowałem sobie, myśląc, że skoro tyle razy stawałem twarzą w twarz ze śmiercią o pustym żołądku, to wolę umrzeć z pełnym. Kiedy pochłanialiśmy potrawy, Hiszpanie stali z boku, przyglądając się nam nie bez pewnego współczucia. Wkrótce przyprowadzono przed oblicze Cortesa Tecuichpo, Otomi i sześć innych pań. Powitał je uprzejmie i również zaprosił do stołu. Wtedy jeden z Hiszpanów, który od pewnego czasu przyglądał mi się bacznie, szepnął coś Cortesowi do ucha i zauważyłem, że twarz mu pociemniała.

- Powiedz no - zwrócił się do mnie po hiszpańsku - czy to ty jesteś tym renegatem i zdrajcą, który wspierał Azteków w walce z nami?

- Nie jestem ani zdrajcą, ani renegatem, generale - odparłem śmiało, gdyż jedzenie i wino tchnęły we mnie nowego ducha. - Jestem Anglikiem, a walczyłem razem z Aztekami, bo mam powody, aby nienawidzić Hiszpanów.

- Niedługo będziesz miał ich więcej, zdrajco - odparł gniewnie. - Dalej, zabrać go i powiesić na rei.

Zrozumiałem, że wszystko skończone i przygotowałem się na śmierć, kiedy Marina szepnęła coś Cortesowi. Nie słyszałem wszystkiego, ale dotarły do mnie słowa „ukryte złoto”. Cortes zawahał się, a potem powiedział:

- Nie, zaczekajcie. Zamknijcie, go pod strażą. Jutro rozpatrzę jego sprawę.

Rozdział VIII

WYROK

Na te słowa podeszło do mnie dwóch Hiszpanów. Chwycili mnie za ramiona i poprowadzili w kierunku schodów. Otomi widziała to i choć nie zrozumiała słów Cortesa, wyczytała ich sens z jego twarzy i pojęła, że czeka mnie śmierć lub więzienie. Kiedy przechodziłem koło niej, zrobiła krok w moją stronę, a w jej oczach dostrzegłem przerażenie. Bojąc się, by nie rzuciła mi się na szyję i nie wydała się w ten sposób, że jest moją żoną, co sprowadziłoby na nią nieszczęście, posłałem jej ostrzegawcze spojrzenie,

a potem udałem, że ze strachu i wyczerpania potknąłem się i padłem na dach u jej stóp. Żołnierze, którzy mnie prowadzili, roześmiali się brutalnie, a jeden z nich kopnął mnie nogą odzianą w ciężki but. Ale Otomi pochyliła się nade mną i podała mi rękę, aby pomóc mi wstać. Korzystając z tego zamieniłem z nią szybko kilka słów.

- Żegnaj - szepnąłem. - Bez względu na to, co się stanie, zachowaj milczenie.

- Żegnaj - odparła. - Jeśli musisz umrzeć, czekaj na mnie we wrotach śmierci, bo wkrótce przyłączę się do ciebie.

- Nie, musisz żyć. Czas przynosi ukojenie.

- Jesteś całym moim życiem. Skończy się z twoją śmiercią.

Stałem znowu na nogach i myślę, że nikt nie zauważył, iż szeptaliśmy, bo wszyscy słuchali Cortesa, który beształ tego, co mnie kopnął.

- Kazałem ci pilnować tego zdrajcę, nie kopać go – mówił Cortes ze złością. - Chcesz nas zhańbić przed tymi dzikusami? Zrób to jeszcze raz, a gorzko pożałujesz. Bierz przykład z tej kobiety - ledwie trzyma się na nogach z głodu, ale zostawiła jedzenie, żeby pomóc więźniowi wstać. Zabierzcie go do obozu i baczcie, by nic mu się nie stało, bo może mi on dużo powiedzieć.

Żołnierze, mruczając coś pod nosem, znowu wzięli mnie między siebie. Ostatnią rzeczą, którą widziałem, gdy mnie odprowadzali, była zrozpaczona twarz Otomi. Kiedy zbliżyliśmy się do schodów, Guatemoc, który stał blisko nich, podał mi rękę.

- Żegnaj, bracie - powiedział ze smutnym uśmiechem. - Gra, którą razem toczyliśmy, jest skończona. Czas, abyśmy odpoczęli. Dziękuję ci za odwagę i pomoc.

- Żegnaj, Guatemocu - odparłem. - Przegrałeś, ale niech pocieszeniem dla ciebie będzie to, że przegrywając, zyskałeś nieśmiertelną sławę.

- Dalej, dalej! - warknęli żołnierze. Poszedłem, nie przypuszczając nawet, w jakich okolicznościach przyjdzie mi się znowu spotkać z Guatemokiem.

Wsadzili mnie do łodzi i Tlascalanie powieźli nas przez jezioro, do obozu Hiszpanów. Przez całą drogę moi strażnicy, choć nie tknęli mnie palcem, bojąc się gniewu Cortesa, sztydziłi ze mnie, pytając, jak mi się podobają zwyczaje pogan, czy jadłem mięso z ciał ofiar na surowo czy też gotowane, i tak dalej. Znosiłem to przez jakiś czas w milczeniu, gdyż od Indian nauczyłem się cierpliwości, ale w końcu odparłem im w paru słowach.

- Zamilczcie, tchórze - powiedziałem. - Jestem bezbronny, ale gdybym miał broń, to albo ja nie żyłbym już i nie słuchał takich słów, albo wy nie żylibyście i nie mówili tak.

Dopiero wtedy uciszyli się. Ja też nie odezwałem się już ani słowem.

Kiedy przybiliśmy do brzegu, przeprowadzono mnie przez cały obóz. Ciągnął za mną sznur rozwścieczonych Tlascalan, którzy rozszarpaliby mnie na strzępy, gdyby nie bali się Cortesa. Widziałem również kilku Hiszpanów, ale byli pijani *mescalem* i radością, że skończyły się walki i Tenocitlan padł, więc nie zwracali na mnie uwagi. Biedni głupcy! Wyobrażali sobie, że będą teraz jeść z naczyń ze szczerego złota. To dla złota szli za Cortesem, dla złota narażali się na śmierć na kamieniu ofiarnym, dla złota toczyli setki bitew. Teraz myśleli, że wreszcie je posiadli.

Pokój w kamiennym budynku, w którym mnie zamknęli, miał okno z kratą z drewnianych drągów. Przez tę kratę widziałem i słyszałem hulanki żołnierzy, które odbywały się bez przerwy przez cały czas mego uwięzienia. Całymi dniami i nocami ci, którzy nie mieli akurat służby, pili i grali w kości, stawiając na jeden rzut setki peso. Przegrani mieli spłacić długi, otrzymawszy swój udział z niezliczonych bogactw Azteków. Mało dbali o to, czy przegrywają, czy wygrywają, tak byli pewni łupów. Grali, dopóki nie pospadali pijani pod stoły lub nie zaczęli w pijackim transie wyczyniać dzikich tańców, skacząc i chwytając promienie słoneczne z okrzykami: „Złoto! Złoto! Złoto!”

Przysłuchując się temu wszystkiemu, dowiedziałem się też niektórych nowin, między innymi tego, że wrócił Cortes, prowadząc ze sobą Guatemoca, paru księżąt i wiele dam z wielkich azteckich rodów. Widziałem i słyszałem żołnierzy grających o te damy w kości, kiedy znudziła im się gra o złoto. Każdą z nich opisano na kawałku papieru. Jeden z opisów pasował do mojej żony. Bydlak, który ją wygrał, wystawił ją potem - oczywiście zaocznie - na aukcję i sprzedał za sto peso prostemu żołnierzowi. Nie mieli ani cienia wątpliwości, że dostaną zarówno te kobiety, jak i złoto.

Trwało to kilka dni. Przez ten czas nikt mnie nie niepokoił w więzieniu. Odwiedzała mnie tylko kobieta, miejscowa Indianka, która przynosiła mi jedzenie. Było go w bród, tak że przez te dni jadłem, jak nigdy przedtem ani potem. Dużo też spałem, bo zmartwienia nie odebrały mi ani apetytu,

ani snu, a potrzebowalem i pozywienia, i odpoczynku. Jestem swiecie przekonany, ze po tygodniu moja waga zwiakszyła się o połowe, przeszło też zmęczenie i byłem znów silny jak dawniej.

Kiedy jednak nie spałem i nie jadłem, patrzyłem przez okno, mając nadzieję, że może zobaczę Otomi lub Guatemoca. Niestety, ludziłem się na próżno. Aczkolwiek nie ujrzałem ani żony, ani przyjaciela, to w końcu udało mi się dostrzec przynajmniej mego wroga, bo oto pewnego wieczoru pojawił się koło więzienia de Garcia i uważnie mu się przyglądał. Nie mógł mnie zobaczyć, ale ja widziałem go dokładnie i diabelski uśmiech, który przemknął mu przez twarz, kiedy obchodził budynek jak wilk, sprawił, że zadrżałem. Co najmniej przez dziesięć minut spoglądał na okno mej celi łakomym wzrokiem, jak kot na ptaszka w klatce. Czułem, że czeka, kiedy otworzą się drzwiczki do klatki i że wie, iż stanie się to niedługo.

Tymczasem, w miarę upływu czasu, dostrzegłem wyraźną zmianę w zachowaniu żołnierzy. Przestali grać o niesamowite sumy, a nawet pić, a zamiast tego zaczęli zbierać się grupkami, dyskutując o czymś zawzięcie. Tego dnia, kiedy de Garcia przyglądał się więzieniu, na placu naprzeciw mego okna zgromadził się wielki tłum. Do zebranych przyjechał na białym koniu, w bogatym stroju, Cortes. Było to zbyt daleko, abym mógł usłyszeć, o czym mówią, ale zauważyłem, że kilku oficerów zwraca się do Cortesa z wyraźną złością i że ich słowa popiera głośnym krzykiem tłum żołnierzy. W końcu wódz odezwał się i mówił dość długo, a potem zebrani rozeszli się w milczeniu. Następnego ranka, po śniadaniu, przyszło do mnie paru żołnierzy i kazali mi iść ze sobą.

- Dokąd? - spytałem.

- Do dowódcy, zdrajco - odparł ich szef.

- Stało się w końcu - pomyślałem, a głośno powiedziałem. - Dobrze.

Lepsza jest każda zmiana niż siedzenie w tej dziurze.

- Na pewno - odparł. - To twoja ostatnia przeprowadzka.

Wówczas zorientowałem się, że jest przekonany, iż idę na śmierć.

Po pięciu minutach stałem przed Cortesem, w jego kwaterze. U jego boku była Marina, a otaczało ich kilku jego kompanów w zbrojach. Popatrzył na mnie, a potem powiedział:

- Nazywasz się Tomasz Wingfield i jesteś półkwi Anglikiem, a półkwi Hiszpanem. Zostałeś wyrzucony przez morze u ujścia rzeki Tobasco, a stamtąd zabrano cię do Tenocitlan. Tam skazano cię na to, byś uosabiał azteckiego boga Tezcatlipokę i zostałeś uwolniony przez nas, kiedy zdobyliśmy główną *teocalli*. Następnie przyłączyłeś się do Azteków i wziąłeś

udział w rzezi podczas *noche triste*. Potem zostałeś przyjacielem i doradcą Guatemoca i pomagałeś mu w obronie Tenocitlan. Czy to prawda?

- Prawda, generale - odparłem.

- Dobrze. Teraz jesteś naszym więźniem i choćbyś miał tysiąc dusz, straciłeś je wszystkie, gdyż zdradziłeś swoją rasę i krew. Nie chcę wnikać w okoliczności, które doprowadziły cię do popełnienia tej straszliwej zbrodni, ale fakt pozostaje faktem. Zabiłeś wielu Hiszpanów i ich sprzymierzeńców, to znaczy, że będąc zdrajcą, zamordowałeś ich. Wingfield, jako zdrajcę i apostatę, skazuję cię na śmierć przez powieszenie.

- Wobec tego nie mamy już o czym mówić - odparłem spokojnie, mimo iż jego słowa zmroziły mi krew w żyłach.

- Owszem, jest takie coś - rzekł na to Cortes. - Chociaż twoje zbrodnie są rozliczne, gotów jestem darować ci pod pewnym warunkiem życie i wolność. Gotów jestem zrobić nawet więcej - wysłać cię przy najbliższej okazji z powrotem do Europy, gdzie, jeśli Bóg okaże ci swe miłosierdzie, możesz nawet uniknąć infamii. A oto mój warunek. Mamy powody, aby przypuszczać, iż znasz miejsce ukrycia złota Montezumy, które podstępnie wydarło nam podczas *noche triste*. Nie zaprzeczaj, bo widziano cię na jednej z łodzi wylądowanych tym złotem. A teraz wybieraj, apostato - haniebna śmierć albo wyjawienie nam miejsca ukrycia tego skarbu.

Przez chwilę wahałem się. Miałem do wyboru utratę honoru, ale za cenę zachowania życia i odzyskania wolności lub straszny koniec. Potem przypomniałem sobie o złożonej przysiędze i o Otomi oraz o tym, co by sobie pomyślała, gdybym przystał na propozycję Cortesa i podjąłem decyzję.

- Nic nie wiem o tym skarbie, generale - odparłem zimno. - Możesz mnie powiesić.

- To znaczy, że nie chcesz o nim nic powiedzieć, zdrajco. Zastanów się. Jeśli złożyłeś jakąś przysięgę, to unieważnił ją Bóg. Imperium Azteków przestało istnieć, ich król jest moim więźniem, a stolica kupą ruin. Bóg zwyciężył te diabły moją ręką. Ich skarby są należną mi zdobyczą. Muszę je mieć, żeby zapłacić mym dzielnym towarzyszom, którzy nie wzbogacą się na tych ruinach. Zastanów się.

- Nic nie wiem o tym skarbie, generale.

- Zdarza się, że pamięć wraca, zdrajco. Powiedziałem, że zginiesz, jeśli twoja pamięć zawiedzie i możesz być pewien, że się tak stanie. Ale śmierć nie zawsze jest szybka. Są na to sposoby...

Mieszkałeś w Hiszpanii, więc na pewno o nich słyszałeś - ściągnął brwi i spojrzął na mnie znacząco. - Można umierać powoli, przez wiele tygodni. Otóż, jeśli twoja pamięć śpi, to choć niechętnie, będę musiał poszukać takich środków, aby ją obudzić... zanim umrzesz.

- Jestem w twojej mocy, generale - odparłem. - Cały czas nazywasz mnie zdrajcą. Nie jestem nim. Jestem poddanym króla Anglii, nie króla Hiszpanii. Znalazłem się tutaj ścigając lotra, który wyrządził wiele krzywd mnie i mojej rodzinie. To jeden z twoich ludzi, de Garcia, który podaje się za Sarcedę. Przyłączyłem się do Azteków po to, aby go znaleźć i z paru innych powodów. Zostali pobici, a ja jestem twoim jeńcem. Postąp ze mną tak, jak zwykli postępować dzielni rycerze z pokonanymi wrogami. Nie wiem nic o żadnym skarbie. Zabij mnie i skończ z tym.

- Może zrobiłbym to, Wingfield, gdybym reprezentował tylko siebie, ale tu, w Anahuac, jestem kimś więcej, jestem ramieniem Kościoła. Przystąpiłeś do bałwochwalców, patrzyłeś, jak twoi bestialscy towarzysze składają w ofierze demonom chrześcijan i pożerają ich ciała. Już za to tylko zasługujesz na wieczne męki i na pewno staną się one twoim udziałem, kiedy skończymy z tobą. Co się tyczy hidalga don Sarcedy, to znam go jako dzielnego towarzysza broni i na pewno nie będę słuchał oskarżeń pod jego adresem z ust jakiegoś apostaty. Jeśli jednak istnieje między wami jakiś stary zatarg i nienawiść - w tym momencie twarz Cortesa rozjaśniła się - to tym gorzej dla ciebie, bo mam zamiar powierzyć cię właśnie jemu. Mówię po raz ostatni - wybieraj! Czy wskażesz miejsce ukrycia skarbu w zamian za wolność, czy też mam cię oddać w ręce Sarcedy, żeby zmusił cię do mówienia?

Zrobiło mi się słabo, gdyż wiedziałem, że zostanę wydany na męki, a oprawcą będzie de Garcia. Czy ja, jego śmiertelny wróg, mogłem liczyć na litość tego okrutnika? Zapanowałem jednak nad strachem i powiedziałem:

- Mówiłem już, generale, że nic nie wiem o żadnych skarbach. Rób, co uważasz, i niech Bóg wybaczy ci okrucieństwo.

- Jak śmiesz wymawiać to święte imię, ty apostato, czcicielu fałszywych bóstw, ludożerco! Wezwijcie Sarcedę.

Posłano po niego i przez chwilę panowało milczenie. Pochwyciłem spojrzenie Mariny i ujrzałem w jej oczach litość. Niestety, nie mogła mi pomóc, bo choć Cortes nie był z natury okrutny, szemranie żołnierzy wprowadziło go we wściekłość i skłoniło do skorzystania z tego haniebnego środka. Mimo to starała się wyjednać dla mnie łaskę, gdyż widziałem,

jak szepcze mu coś na ucho. Cortes słuchał jej przez chwilę, a potem szorstko odsunął od siebie.

- Dość, Marino - powiedział. - Mam oszczędzić temu angielskiemu psu bólu, kiedy moja władza, a może nawet życie, zależy od tego, czy znajdziemy to złoto? O nie, on dobrze wie, gdzie zostało ono ukryte, sama to powiedziałaś, kiedy chciałem go powiesić za zdradę. Zresztą był jednym z tych, których szpieg widział ze złotem na jeziorze. Był też z nimi nasz przyjaciel, ale już nie wrócił. Na pewno zamordowali go. Kim jest dla ciebie ten człowiek, że tak się troszczysz o jego los? Nie męcz mnie, Marino, i tak mam już dosyć kłopotów - schował twarz w dłoniach i zamyślił się. Marina popatrzyła na mnie ze smutkiem i westchnęła, jakby chciała powiedzieć: „Zrobiłam, co mogłam”. Podziękowałem jej wzrokiem.

Niebawem usłyszałem zbliżające się kroki i gdy podniosłem głowę, zobaczyłem przed sobą de Garcię. Mimo upływu czasu i trudów wojaczki zmienił się niewiele, a srebrne pasemka, które pojawiły się na jego głowie i brodzie dodawały mu tylko dostojęstwa. Kiedy patrzyłem na jego smagłą, przystojną twarz, bogaty ubiór i złoty łańcuch na piersi, kiedy widziałem, jak trzymając kapelusz w dłoni, składa dworny ukłon przed Cortesem, musiałem przyznać, że nigdy nie widziałem grzeczniejszego kawalera czy też osoby, której wygląd tak klóciłby się z wnętrzem, kryjącym okrutne serce. Znałem jednak jego prawdziwą naturę, więc zawrzała we mnie krew z nienawiści i kiedy pomyślałem o swojej bezsilności i o tym, po co przybył, zazgrzytałem z wściekłości zębami i przekląłem dzień, w którym się urodziłem. De Garcia powitał mnie okrutnym uśmiechem, a potem zwrócił się do Cortesa:

- Jakie masz życzenie, generale?

- Witam cię - odparł Cortes. - Znasz tego renegata?

- Aż nazbyt dobrze, generale. Trzykrotnie próbował mnie zamordować.

- No, ale udało ci się uniknąć śmierci, Sarceda, a teraz nadeszła twoja godzina. Utrzymuje on, że ma z tobą od dawna na pieńku. O co chodzi?

De Garcia zawahał się. Poglądził swą spiczastą bródkę, a potem powiedział:

- Niechętnie o tym mówię, ponieważ postąpiłem źle i często potem tego żałowałem i pokutowałem za ten uczynek. Mimo to wyjaśnię ci tę sprawę, gdyż nie chcę, żebyś myślał o mnie gorzej, niż na to zasługuję.

Człowiek ten ma powód, by mnie nie lubić, bo szczerze mówiąc, kiedy byłem młodszy i podatny na szaleństwa młodości, spotkałem przypadkiem w Anglii jego matkę, piękną hiszpańską damę, która nieszczęśliwym trafem została poślubiona Anglikowi, ojcu tego człowieka. Był to błazen nad błaznami i bardzo źle traktował tę kobietę. Powiem krótko: zakochała się we mnie i pokonałem jej męża w pojedynku. Stąd nienawiść tego zdrajcy do mnie.

Myślałem, że serce pęknie mi z wściekłości. Do wszystkich krzywd, które mi wyrządził, de Garcia dodał teraz jeszcze jedną - znieważył honor mej nieżyjącej matki.

- Łzesz, morderco! - wykrztusiłem, szarpiąc krepujące mnie sznury.

- Muszę prosić cię, generale, żebyś chronił mnie przed takimi obelgami - rzekł na to zimno de Garcia. - Gdyby jeniec godny był mego miecza, to poprosiłbym, żeby na pewien czas zdjęto mu więzy, ale ponieważ jest tym, kim jest, splamiłbym na zawsze swój honor, walcząc z nim.

- Odezwij się jeszcze raz, pogański psie, w ten sposób do szlachcica hiszpańskiego - rzekł Cortes - a zostanie ci wyrwany język. A tobie, Sarceda, dziękuję za wyznanie. Jeśli nie masz na sumieniu gorszych grzechów niż romans, to myślę, że nasz zacny kapelan, Olmedo, uwolni cię od mąk czyścowych. Ale tracimy tu niepotrzebnie czas i słowa. Ten człowiek zna miejsce ukrycia skarbów Guatemoca i Montezumy. Jeśli nie zdradzi go Guatemoc ani jego ludzie, to przynajmniej tego tutaj będzie można zmusić do mówienia. Tortury, które Indianin zniesie bez jednego jęku, szybko wycisną prawdę z ust tego białego poganina. Zabierz go, Sarceda, i zapiekuj się nim szczególnie starannie. Najpierw niech cierpi z innymi, a gdy okaże się uparty, zajmij się nim osobno. Zostawiam ci wybór metody. Gdyby zaczął mówić, daj mi znać.

- Przepraszam, generale, ale to nie jest zadanie dla hiszpańskiego szlachcica. Wolę siec mych wrogów mieczem niż szarpać szczypcami - powiedział de Garcia, ale w jego czarnych oczach ujrzałem tryumfalny błysk, a w głosie, przebijające przez udawany gniew, zadowolenie.

- Wiem o tym, ale trzeba to zrobić. Przykro mi, że tak musi być, ale nie mamy innego wyjścia. Potrzebuję złota - Matko Boska, te lotry myślą, że je ukradłem! - a wątpię, by te indiańskie psy przemówiły nawet na największych mękach. Ten człowiek wie, gdzie ono jest. Oddaję go w twoje

ręce, bo znasz jego niegodziwość, więc nie zmięknij ci serce. Nie oszczędzaj go, pamiętaj, że musi zacząć mówić.

- To rozkaz, generale, i wykonam go, choć nie podoba mi się to zadanie, z jednym wszakże zastrzeżeniem. Chcę go mieć na piśmie.

- Zaraz to dostaniesz. A teraz zabierz go.

- Dokąd?

- Do więzienia, z którego przed chwilą go przyprowadzono. Wszystko jest już przygotowane. Spotka tam swoich kamratów.

Zawołano straż i zaciągnięto mnie z powrotem do celi. Kiedy mnie odprowadzano, de Garcia powiedział, że niebawem mnie odwiedzi.

Rozdział IX

TORTURY

Nie od razu zaprowadzono mnie do celi, w której siedziałem przez tyle dni. Umieszczono mnie w małym pomieszczeniu obok, gdzie spali strażnicy. Czekalem tam przez pewien czas ze związanymi rękami i nogami, pilnowany przez dwu żołnierzy z gołymi mieczami. Kiedy siedziałem tam, targany strachem i wściekłością, słyszałem dochodzące zza ściany odgłosy uderzeń, którym towarzyszyły jęki. W końcu otworzyły się drzwi i wyszło dwu Tlascalan o dzikim wyglądzie. Chwyciwszy mnie za włosy i uszy, zaciągnęli mnie do mojej celi.

- Biedny człowiek! - rzekł jeden z żołnierzy. - Apostata czy nie, ale szkoda mi go. To rzeźnia.

Potem zamknęły się za mną drzwi i znalazłem się w izbie tortur. Było tam ciemno, ponieważ okno zasłonięto płachtą. Mrok rozpraszał nieco węgiel żarzący się w żelaznych koszach. W jego blasku ujrzałem trzy krzesła, z których jedno było puste. Na pozostałych dwóch siedzieli Guatemoc, władca Azteków, oraz jego i mój przyjaciel, kacyk Tacuby. Byli przywiązani do krzeseł, u ich stóp stały właśnie owe kosze z płonącymi węglami, za nimi urzędnik z papierem i rogowym kałamarzem w ręku, a wokół Indianie pochłonęci jakąś przejmującą dreszczem robotą, którymi kierowali dwaj hiszpańscy żołnierze. Koło trzeciego krzesła stał jeszcze jeden Hiszpan, który dotychczas nie brał udziału w tej zabawie. Był to de Garcia. Kiedy patrzyłem na to wszystko, jeden z Indian podniósł kosz z żarem i chwyciwszy bosą stopę tacubańczyka, wepchnął ją w płomień. Przez

chwile panowała cisza. Potem kacyk zaczął głośno jęczeć. Guatemoc odwrócił do niego głowę i odezwał się, a kiedy to zrobił, zobaczyłem, że jego stopa również zanurzona jest w płomieniach.

- Dlaczego się skarżysz, przyjacielu - powiedział spokojnym głosem - kiedy ja milczę? Czy zażywam rozkoszy w łóżku? Przyjacielu, bierz ze mnie przykład, tak jak to zawsze czyniłeś, i znoś cierpienie w milczeniu.

Skryba zapisał jego słowa, bo słyszałem skrzywienie pióra na papierze. Kiedy pisał, Guatemoc zauważył mnie. Twarz miał szarą z bólu, ale mówił jak w czasie narady, wolno i wyraźnie:

- A więc ty też znalazłeś się tu, przyjacielu? Miałem nadzieję, że ciebie oszczędzą. Popatrz, jak Hiszpanie dotrzymują słowa. Malinche przysięgł, że będzie mnie traktował z honorami. I oto te honory - płonący węgiel dla mych stóp i szczypcy dla mojego ciała. Myślą, że zakopaliśmy skarb i chcą nam wydrzeć tajemnicę jego ukrycia. Wiesz, że to kłamstwo. Gdybyśmy mieli skarby, to czy nie oddalibyśmy ich zwycięzcom, boskim synom Quetzalcoatl? Wiesz, że nie zostało nic prócz ruin i kości naszych poległych.

Przerwał nagle, bo demon, który go torturował, uderzył go w usta, mówiąc:

- Cicho, psie!

Zrozumiałem jednak, co chciał mi przekazać i przysięgłem sobie, że umrę, a nie wyjawię tajemnicy mego brata. To było ostatnie zwycięstwo, jakie mógł odnieść Guatemoc - uchronić złoto przed chciwymi łapami Hiszpanów - i nie mogłem pozwolić, by przeze mnie wymknęło mu się z rąk. Moja przysięga wkrótce wystawiona została na próbę. Na znak de Garcii Tlascalanie przywiązali mnie do trzeciego krzesła. Wtedy powiedział mi do ucha:

- Dziwne są zrządzania Opatrzności, kuzynie. Ścigałeś mnie po całym świecie. Parę razy spotkaliśmy się, ale zawsze kończyło się to dla ciebie źle. Myślałem, że cię mam na statku z niewolnikami, myślałem, że pożarły cię rekiny, ale zawsze jakoś udawało ci się umknąć temu, którego ścigasz. Kiedy się o tym dowiadywałem, martwiłem się, ale teraz już się nie martwię, bo widzę, że Opatrzność oszczędzała cię na tę chwilę. Będzie mi ciężko, kuzynie, jeśli wymkniesz mi się tym razem, ale myślę, że zanim się rozstaniemy, spędzimy razem kilka dni. Będę dla ciebie uprzejmy, możesz sobie sam wybrać rodzaj męki. Od czego zaczniemy? Niestety, nie dysponuję tutaj wszystkimi środkami. Nie dotarło tu jeszcze Święte Oficjum ze swoim arsenałem, ale zrobiłem, co było w mojej mocy. Te prostaki nie

znają się na sztuce - żarzące się węgle to jedyne, na co ich stać. Ja, jak widzisz, mam bogatszą wyobraźnię - tu wskazał różne przyrządy służące do torturowania. - Co wybierasz, śrubę, sznur z węzłami, szczypce czy węgle? Nie, węgle sobie darujemy.

Nic na to nie odpowiedziałem, bo postanowiłem sobie, że nie powiem ani słowa i nie wydam ani jednego krzyku, choćby nie wiem co wyczyniali ze mną.

- Niech no pomyślę, niech no pomyślę - mówił dalej de Garcia, gładząc brodę. - Aha, mam! Do mnie, niewolnicy!

Nie będę na nowo przeżywał mych mąk ani straszył tych, którzy mogą czytać te słowa, opisując to, co przeszedłem. Wystarczy powiedzieć, że ten szatan w ludzkim ciele znęcał się nade mną przez ponad dwie godziny. Pomagali mu Tlascalanie. Stosował coraz to nowe tortury, a robił to tak biegle i wymyślnie, że mało który oprawca zdołałby mu dorównać. Kiedy mdlałem, oblewano mnie zimną wodą, a do gardła wlewano wódkę. A jednak mimo to - mówię to nie bez pewnej dumy - przez cały ten czas nie jęknąłem nawet i nie wymówiłem ani słowa.

Musiałem przy tym znosić nie tylko ból fizyczny, gdyż mój wróg szydził ze mnie słowami, które raniły mą duszę nie mniej niż narzędzia męki mojego ciała. W końcu zmęczył się i przerwał, przeklinając mnie i nazywając upartą angielską świnią. Akurat wtedy wszedł do mej rzeźni Cortes z Mariną.

- No i jak idzie? - spytał swobodnym tonem, choć twarz mu pobladła na widok tych jatek.

- Kacyk Tacuby przyznał się, że złoto jest zakopane w jego ogrodzie, ale ci dwaj nie powiedzieli nic, generale - odparł urzędnik, spoglądając w swój papier.

- Dzielni ludzie! - mruknął Cortes, a głośno powiedział: - Zanieście jutro kacyka do ogrodu, o którym mówił, żeby mógł wskazać miejsce, gdzie jest złoto. Jeśli chodzi o pozostałych dwóch, to na dziś dość tortur. Może do jutra zmienią zdanie. Ufam, że tak się stanie. Dla ich własnego dobra ufam, że tak się stanie!

Potem odszedł w kąć izby, gdzie zaczął naradzać się z Sarcedą i pozostałymi oprawcami. Marina została twarzą w twarz ze mną i z Guatemokiem. Przez chwilę przyglądała się mu z twarzą ściągniętą przerażeniem, a potem w jej pięknych oczach pojawił się dziwny błysk i rzekła do niego cicho:

- Pamiętaj, Guatemocu, jak odtrąciłeś mnie w Tobasco i co ci wtedy powiedziałam? Że może nadejść taki czas, kiedy - wbrew tobie - zajdę wysoko. Widzisz teraz, że stało się, jak mówiłam, a ty zostałeś doprowadzony

do takiego stanu. Nie żałujesz tego, Guatemocu? Ja żałuję, choć gdybym była taka, jak niektóre kobiety, to pewnie cieszyłabym się, widząc cię w takich opalach.

- Kobieto - odparł Guatemoc zduszonym głosem - zdradziłaś swój kraj i wystawiłaś mnie na hańbę i męki. Tak, gdyby nie ty, wszystko mogłoby wyglądać inaczej. Żałuję, naprawdę żałuję - że cię nie zabiłem. Oby twe imię okryło się wieczną hańbą, oby twa dusza została na zawsze przeklęta, obyś przed śmiercią poznała gorzki smak niesławy i zdrady! Twoje słowa spełniły się. Moje też się spełnią.

Zadrzała i przez moment nic nie mówiła. Potem jej spojrzenie padło na mnie i zaczęła płakać.

- Biedaku! Mój nieszczęsny przyjacielu! - szlochała.

- Nie płacz nade mną, Marino - powiedziałem po aztecku. - Łzy na nic się nie zdadzą. Lepiej pomóż mi, jeśli możesz.

- Ach, gdybym tylko mogła! - szepnęła i odwróciwszy się, uciekła z izby. Zaraz za nią wyszedł Cortes.

Po jego wyjściu żołnierze odwiązali Guatemoca i kacyka Tacuby i wynieśli ich, gdyż żaden z nich nie mógł stanąć na nogach. Kacyk nawet zapadł w omdlenie.

- Żegnaj, Teule - powiedział Guatemoc, kiedy niosący go żołnierze przechodzili obok mnie. - Jesteś prawdziwym synem Quetzalcoatla i dzielnym mężczyzną. Oby bogowie wynagrodzili cię za to wszystko, co wycierpiałeś dla mnie i mojego ludu, bo ja nie mogę tego zrobić.

Były to ostatnie słowa, jakie w ogóle od niego usłyszałem.

Zostałem sam z Tlascalanami i de Garcia, który na powrót zaczął szydzić ze mnie.

- Zmęczyliśmy się trochę, co, przyjacielu? - spytał drwiąco. - No cóż, dopóki się nie przyzwyczaisz, ta zabawa jest dość ciężka. Sen doda ci sił i rano będziesz jak nowo narodzony. Może myślisz, że przeszedłeś już najgorsze? Nie, głupcze, to dopiero początek. A może myślisz, że twój upór wprawia mnie w złość? O nie, kochany kuzynie, modlę się, żebyś milczał do końca. Chętnie oddałbym swój udział w łupach za jeszcze dwa takie dni spędzone z tobą. Dużo jeszcze zostało do wyrównania rachunków między nami i, wiesz co, znalazłem sposób, żeby tego dokonać. Są lepsze sposoby niż torturowanie ciała na to, żeby zranić mężczyznę, na przykład, kiedy chciałem zemścić się na twym ojcu, zadałem mu cios przez kobietę, którą kochał. Aha, dotknąłem twego czulego miejsca i zastanawiasz się, co mam na myśli. Dobrze, powiem ci. Może znasz aztecką damę królewskiego rodu

o imieniu Otomi?

- Co z nią? - krzyknąłem, otwierając po raz pierwszy usta, gdyż oba-
wa o nią zachwiała mną bardziej niż tortury.

- To prawdziwe zwycięstwo. W końcu znalazłem sposób, żeby skłonić
cię do mówienia. No, jutro staniesz się wręcz gadatliwy. A jeśli chodzi o
twoje pytanie, kuzynie, to tylko tyle: Otomi, córka Montezumy, nawiasem
mówiąc, bardzo piękna kobieta, jest według ich pogańskich zwyczajów
twoją żoną. Znam całą tę historię, a twoja żona jest w moich rękach. Udo-
wodnię ci to, bo zaraz zostanie tu przyprowadzona i będziecie się mogli
nawzajem pocieszyć. Słuchaj, psie! Jutro usiądzie ona na tym miejscu,
gdzie ty teraz siedzisz i na twoich oczach zostanie potraktowana dokładnie
tak, jak ty dzisiaj. No, wtedy szybko zaczniesz gadać, ale może być już za
późno.

Po raz pierwszy załamałem się i zacząłem go, mimo iż był moim śmier-
telnym wrogiem, błagać o litość.

- Oszczędź ją - jęknąłem - rób ze mną, co chcesz, ale oszczędź ją!
Przecież nawet ty musisz mieć serce, jesteś w końcu człowiekiem. Nie
możesz tego zrobić, nie pozwoli na to Cortes.

- Jeśli chodzi o Cortesa - odparł - to nie będzie on nic o tym wie-
dział... dopóki nie skończę. Mam jego pismo, które zobowiązuje mnie do
użycia wszystkich środków w celu wydobycia z ciebie prawdy o skarbach.
Tortury zawiodły, zostało więc tylko to. A jeśli chodzi o resztę, to musiałeś
ocenić mnie źle. Wiesz, co to nienawiść, pomnoż swoją nienawiść przez
dziesięć i otrzymasz nienawiść, którą czuję do .ciebie. Nienawidzę cię za
krew, która płynie w twoich żyłach, za to, że masz oczy matki, ale przede
wszystkim za to, że zabiłeś mnie, hiszpańskiego szlachcica, kijem, jak gdy-
bym był psem. Czy w tej sytuacji cofnę się przed czynem, który może na-
sycić moją nienawiść? Poza tym, choć jesteś odważny, może teraz pozna-
łeś, co to strach. Będę z tobą szczery, Tomaszu Wingfield - boję się ciebie.
Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, przestraszyłem się, bo miałem po-
wód do strachu. Dlatego właśnie chciałem cię zabić, a w miarę upływu
czasu bałem się coraz bardziej. Doszło do tego, że czasami nie mogłem
spać, bo strach nie dawał mi spokoju. To przez ciebie uciekłem z Hiszpa-
nii, przez ciebie zachowałem się w wielu bitwach jak tchórz. W tym pojedy-
nku między nami szczęście było zawsze po mojej stronie, ale wyznam ci,
że mimo tego bałem się ciebie i boję się nawet teraz, choć siedzisz tu
przede mną skrzepowany. Gdybym śmiał to zrobić, zabiłbym cię od razu,

ale musiałbym za to odpowiedzieć przed Cortesem. Strach, kuzynie, jest ojcem okrucieństwa i dlatego jestem w stosunku do ciebie tak okrutny. Wiem, że - żywy czy martwy - w końcu i tak zatryumfujesz nade mną, ale teraz ja jestem górą i dopóki oddychasz, dopóki oddycha ta, którą kochasz, poświęcę wszystko, żeby doprowadzić i ciebie, kuzynie, i ją, do hańby, rozpaczy i śmierci, tak jak doprowadziłem twoją matkę, choć sama zmusiła mnie do tego i zabiłem ją, by ratować swą skórę. Dlaczego miałbym się przed tym cofnąć? Nie ma dla mnie przebaczenia, nie mogę cofnąć tego, co się stało. Przybyłeś tu, aby nasycić się swą zemstą i wcześniej czy później ta zemsta mnie dosięgnie, choć ciebie już nie będzie, ale zanim to się stanie, ja będę tryumfował, nawet mimo tego, że musiałem się zniżyć do tej rzeźnickiej roboty - nagle przerwał, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Ogarnęła mnie słabość i zemdlałem. Kiedy odzyskałem przytomność, stwierdziłem, że zdjęto mi więzy i że leżę na łóżku, a nade mną pochyła się jakaś kobieta, opatrując moje rany i szepcząc coś ze współczuciem i miłością. Zapadła już noc, ale w izbie było światło i w jego blasku przekonałem się, że to Otomi. Siady głodówki i wycieńczenia zniknęły z jej twarzy i znowu była tak piękna, jak przed obłążeniem.

- Otomi! Ty tutaj! - wykrztusiłem przez poranione usta, bo przypomniałem sobie groźby de Garcii.

- Tak, ukochany, to ja - szepnęła. - Pozwolili mi cię opatryć, te diabły. Och, że muszę cię widzieć w takim stanie i nie mogę nic zrobić, by pomścić twe krzywdy - powiedziała i wybuchnęła płaczem.

- Cicho - powiedziałem. - Cicho. Mamy coś do jedzenia?

- Dużo. Przyniosła to jakaś kobieta od Mariny.

- Daj mi więc jeść, Otomi.

Nakarmiła mnie i przeszła mi słabość, ale umęczone ciało paliło, jakby dalej przypiekano mnie ogniem.

- Słuchaj, Otomi, widziałaś de Garcie?

- Nie. Dwa dni temu rozdzielono mnie z Tecuichpo i innymi kobietami, ale traktowano mnie dobrze i nie widziałam żadnego Hiszpana oprócz żołnierzy, którzy przyprowadzili mnie tu, mówiąc, że jesteś chory. Niestety nie wiedziałam, że to taka choroba - i znowu wybuchnęła płaczem.

- Jednak ktoś cię widział i powiedziano Hiszpanom, że jesteś moją żoną.

- Zupełnie możliwe, bo wiedzieli o tym wszyscy Aztekowie, a takich tajemnic nie da się utrzymać. Ale dlaczego obeszlę się z tobą w taki sposób? Dlatego, że walczyłeś przeciw nim?

- Jesteśmy tu sami? - spytałem.
- Na zewnątrz jest straż, ale tu nie ma nikogo oprócz nas.
- Wobec tego nachyl się, to ci powiem.

Kiedy skończyłem, poderwała się z płonąym wzrokiem i przycisnąwszy ręce do piersi powiedziała:

- Gdyby to było możliwe, to teraz pokochałabym cię jeszcze bardziej, za to, że choć tak strasznie cierpisz, dochowałeś przysięgi wierności pobitym! Niech będzie błogosławiony dzień, w którym po raz pierwszy spojrzalam na ciebie! Ale co z tymi, którzy cię męczyli? A zresztą, już po wszystkim i przywrócę cię do zdrowia. Chyba już się to skończyło, bo inaczej nie pozwoliliby mi przyjść do ciebie.

- Niestety, Otomi, muszę ci powiedzieć wszystko - jeszcze nie koniec. - Drżącym głosem powiedziałem jej, w jakim celu ją sprowadzono. Słuchała bez słowa, choć wargi jej zbladły.

- Zaprawdę - powiedziała, kiedy skończyłem - ci Teule przechodzą naszych kapłanów, bo choć kapłani też męczą i zabijają, to robią to dla bogów, a nie dla złota i z nienawiści. Co radzisz, mężu? Chyba masz na to jakąś radę?

- Mam, ale nie śmiem tego powiedzieć - odparłem.

- Jesteś nieśmiały jak dziewczyna, która boi się wyznać miłość - powiedziała z dumnym i gorzkim uśmiechem. - Wobec tego ja powiem za ciebie. Uważasz, że dziś w nocy powinniśmy umrzeć?

- Tak - odparłem - albo śmierć teraz, albo jutro hańba i męczarnie, po których zresztą i tak czeka nas śmierć. Nie mamy innego wyboru. Skoro Bóg nie dba o nas, musimy sami o siebie zadbać, jeśli znajdziemy po temu środki.

- Bóg! Nie ma żadnego Boga. Chwilami wątpiałam w naszych bogów i zwracałam się do twojego Boga. Teraz się go wyrzekam i odrzucam. Gdyby istniał, jak utrzymujesz, bóg tak litościwy, to czy pozwoliłby, by się działy takie rzeczy? Tylko ty, mężu, jesteś moim bogiem. Przestańmy błagać o litość bogów, których nie ma albo którzy - jeśli istnieją - są głusi na nasze wołanie i ślepi na nasze nieszczęścia i pomóżmy sobie sami. Tu jest lina, a w oknie są kraty. Bardzo szybko możemy uciec przed okrucieństwem Teule'ów i zasnąć w spokoju. Ale mamy jeszcze czas, nie załączaj tortur przed świtem.

Zaczęliśmy więc rozmawiać, na ile pozwalały moje rany. Mówiliśmy o tym, jak się po raz pierwszy spotkaliśmy, jak Otomi została mi poślubiona jako Tezcatlipoce, Duszy Świata, jak leżeliśmy, bok przy boku, na kamieniu ofiarnym, o naszym małżeństwie, o obłączeniu Tenocitlan i o śmierci naszego dziecka. Rozmawialiśmy tak do drugiej po północy. Potem umililiśmy.

- Mężu - powiedziała w końcu Otomi cichym, uroczystym głosem - jesteś przybity cierpieniem, a ja jestem zmęczona. Czas zrobić to, co musi być zrobione. Smutny jest nasz los, ale przynajmniej czeka nas spokój i odpoczynek. Dziękuję ci za twą łagodność, i jeszcze bardziej za wierność memu domowi i ludowi. Czy mam się przygotować na tę naszą ostatnią podróż?

- Przygotuj się! - powiedziałem.

Wstała i zajęła się sznurami. Po chwili wszystko było gotowe.

- Musisz mi pomóc, Otomi - powiedziałem. - Sam nie mogę utrzymać się na nogach.

Podeszła, podniosła mnie silnymi ramionami i pomogła stanąć na stołku pod okienną kratą. Założyła mi sznur na szyję, a potem stanęła obok mnie i sobie też założyła pętlę. Pocałowaliśmy się w milczeniu, bo nie było już o czym mówić. Jednak za moment odezwała się jeszcze raz.

- O kim myślisz w tej chwili? - spytała. - O mnie i naszym zmarłym dziecku czy o tej kobiecie, która żyje daleko stąd, za morzem? Nie, nie odpowiadaj. Byłam z tobą szczęśliwa, i to wystarczy. Teraz musi się skończyć i miłość, i życie i nie przejmuj się tym, ale żal mi Ciebie. Mam już odtrącić stółek?

- Tak, Otomi, bo nie ma już nadziei. Nie mogę zawieść zaufania Guatemoca i nie mogę patrzeć, jak Ciebie zhańbią i będą męczyć.

- A zatem pocałuj mnie ostatni raz.

Pocałowaliśmy się i wtedy, akurat kiedy Otomi miała kopnąć stółek, otworzyły się drzwi i stanęła przed nami zawołowana kobieta z pochodnią w jednej i węzełkiem w drugiej ręce. Zobaczywszy, co robimy, podbiegła do nas.

- Co robicie? - krzyknęła. Poznałem głos Mariny. - Czy oszalałeś, Teule?

- Kim jest ta kobieta, która zna Cię tak dobrze i nie da nam nawet umrzeć w spokoju? - spytała Otomi.

- Jestem Marina - odparła - i przyszedłam tu, aby was ocalić.

Rozdział X

UCIECZKA

Otomi zdjęła sznur z szyi, zeszła ze stołka i stanęła przed Mariną.

- Jesteś Mariną - powiedziała chłodno i wyniośle - tą, która sprowadziła zagładę na swój ojczysty kraj i wydała tysiące jego dzieci na śmierć, poniewierkę i tortury. I ty chcesz nas ocalić? Gdybym mogła o tym decydować, za nic nie skorzystałabym z twojej pomocy, lecz raczej sama bym się ocaliła, tak jak właśnie miałam zamiar zrobić.

Otomi nigdy nie promieniowała takim królewskim majestatem jak w owej chwili, gdy ryzykowała utratę ostatniej szansy ocalenia życia, okazując swą pogardę tej, którą uważała za zdrażczynię, a która istotnie była zdrażczynią, bo gdyby nie pomoc Mariny, Cortes nigdy nie podbiłby Anahuac. Zadrzałem, słysząc jej gniewne słowa, bo chociaż bardzo cierpiałem, życie nadal miało dla mnie urok, i to mimo tego, iż przed dziesięcioma sekundami stałem na skraju śmierci. „Na pewno Marina odejdzie i zostawi nas” pomyślałem. Nie odeszła jednak. Prawdę rzekłszy, pod wpływem pogardliwych słów Otomi skurczyła się i zatrzęsła. Jej uroda dziwnie kontrastowała z urodą Otomi. Trudno mi było nie podziwiać hartu ducha mej żony, która mimo iż groziła jej haniebna śmierć albo bardziej nawet haniebne życie, tryumfowała nad dziewczyną wyniesioną przez los wysoko ponad nią.

- Powiedz, pani - odparła Marina łagodnym głosem - dlaczego, jeśli ludzie mówią prawdę, położyłaś się dobrowolnie na kamieniu ofiarnym obok tego białego mężczyzny?

- Dlatego, że go kocham.

- Z tej samej przyczyny ja, Marina, złożyłam swój honor na innym ołtarzu, z tej samej przyczyny wystąpiłam przeciw moim ziomkom. Pomagałam Cortesowi dlatego, że go kocham, więc nie pogardzaj mną. Niech twoja miłość do tego Teule przemówi za mną, bo dla nas, kobiet, miłość jest wszystkim. Wiem, że zgrzeszyłam, ale na pewno kiedyś poniosę za to odpowiednią karę.

- Musi to być surowa kara - odparła Otomi. - Moja miłość nie skrzywdziła nikogo, a ty spójrz tylko na jeden kłos ze żniwa, które zebrałaś. Na tym krześle nie dalej niż dzisiaj twój kochanek Cortes torturował twego króla, Guatemoca, choć przyrzekł go traktować ze wszystkimi honorami. Obok niego siedział Teule, mój mąż a twój przyjaciel, którego Cortes

wydał jego osobistemu wrogowi, de Garcii, uchodzącemu tu za Sarcedę. Zobacz, w jakim stanie go zostawił. Nie, nie odwracaj oczu, spójrz na jego usta, przyjrzyj się bliznom na jego głowie po powrozie z węzłami, poszarpanym piersiom i popalonym stopom! Pomyśl, do czego nas doprowadzono, skoro chcieliśmy umrzeć na sznurze jak psy. On, mój mąż, wołał zginąć w ten sposób, by nie patrzeć, jak ze mną robią to samo, co z nim, a ja, księżniczka Otomi, córka Montezumy, wołałam pójść w jego ślady, gdyż krew przodków płynąca w mych żyłach nie pozwoliłaby mi znieść takiej hańby. To zaledwie jeden kłos ze żniwa, które zebrałaś, zdracznyno, ze zbiorów nędzy i śmierci, które zgromadziłaś tam, w ruinach Tenochtitlan. Gdyby było to zależne od mojej woli, to raczej umarłabym dziesięć razy niż przyjęła pomoc z rąk tak zbrukanych krwią mojego i twojego ludu... ja...

- Och, przestań, pani, przestań! - jęknęła Marina, zakrywając dłonią oczy, jak gdyby bała się widoku Otomi. - Co się stało, to się nie odstanie. Nie dodawaj mi nowych zgrzyot. Co powiedziałaś, że ty, pani Otomich, zostałaś tu sprowadzona na tortury?

- Na tortury, na które miał patrzeć mój mąż. Dlaczegożby córka Montezumy i księżniczka Otomich miała uniknąć losu króla Azteków? Jeśli nie chroni jej to, że jest kobietą, to cóż może pomóc jej utracona godność?

- Cortes nic o tym nie wie, przysięgam - powiedziała Marina. - Jeśli chodzi o pozostałych, to został do tego zmuszony przez żołnierzy oskarżających go o kradzież skarbów. Ale z tą ostatnią niegodziwością nie ma nic wspólnego.

- A więc powiedz mu, aby spytał o to Sarcedę, który jest jego narzędziem.

- Co do Sarcedy, to przyrzekam, księżniczko, że postaram się, by zapłacił za groźby w stosunku do ciebie. Ale zostało niewiele czasu. Przyśzłam tu za zgodą Cortesa, aby sprawdzić, czy nie uda mi się wyciągnąć od twego męża tajemnicy ukrycia skarbów. Ze względu na naszą przyjaźń wykorzystam zaufanie Cortesa i pomogę wam uciec. Chyba nie odrzucisz mojej pomocy? Otomi nic na to nie odpowiedziała, ale zrobiłem to ja.

- Nie, Marino, nie chcę umierać jak złodziej, jeśli mogę tego uniknąć. Pytanie tylko jak to zrobić?

- Szanse są nieduże, Teule, ale pomyślałam, że jeśli wydostaniesz się z więzienia, to może uda ci się uciec w przebraniu. Przed świtem będzie się kręciło w obozie niewiele osób, a i z tych niewielu większość nie będzie w

stanie niczego zauważyć. Spójrz, przyniosłam ci ubiór hiszpańskiego żołnierza. Masz ciemną cerę i w słabym świetle nikt się nie zorientuje, że nie jesteś Hiszpanem. Dla twojej żony przyniosłam inny strój... prawdę mówiąc, wstydzę się go zaproponować, ale to jedyny, który nie zwróci uwagi o tej porze. Przyniosłam ci też miecz, Teule, ten, który ci odebrano, choć zdaje mi się, że przedtem należał do kogo innego. Mówiąc to, Marina, rozwinęła swój tobolek i wyjęła ubrania i miecz, ten sam, który zabrałem Hiszpanowi Diazowi podczas *noche triste*. Potem wyjęła suknię i podała ją Otomi. Zauważyłem, że jest to taka sama suknia, jakie noszą Indianki, włóczące się za żołnierzami, czerwono-żółta. Otomi cofnęła się.

- Zdaje się, dziewczyno, że przez pomyłkę przyniosłaś mi swój własny strój - powiedziała spokojnie, ale w jej głosie czuć było tłumioną wściekłość. - W każdym razie ja nie włożę takiej sukni.

- Za dużo muszę tu znosić - odpowiedziała Marina, rozgniewawszy się w końcu. - Idę i zostawiam was - zaczęła z powrotem pakować wszystko do tobołka.

- Wybacz jej, Marino - rzekłem pospiesznie, gdyż z każdą chwilą coraz bardziej pragnąłem uciec. - Przemawia przez nią żal i smutek. - Potem odwróciłem się do Otomi i powiedziałem: - Proszę cię, żono, żebyś pohamowała nieco swój język, jeśli nie dla twego własnego, to przynajmniej dla mojego dobra. Marina jest naszą jedyną nadzieją.

- Wolałabym, mężu, żeby dała nam umrzeć w spokoju. Ale cóż, niech tak będzie, dla twego dobra włożę tę suknię nierządniczy. Tylko jak wydostaniemy się z tego domu i z obozu? Czy otworzą nam drzwi, czy usuną strażę i czy, jeśli stąd wyjdziemy, będziesz mógł iść?

- Drzwi nie będą otwarte, pani - powiedziała Marina - bo na zewnątrz czekają ludzie, którzy dopilnują, żeby je zamknięto, kiedy stąd wyjdę. Nie musicie się jednak obawiać strażników. Możecie mi zaufać, jeśli o to chodzi. Ale kraty w oknie są z drewna i możecie wyważyć je mieczem. A potem, jeśli was ktoś zobaczy, musicie udawać pijanego żołnierza i kobietę odprowadzającą go na kwaterę. Nie wiem, co będzie dalej, wiem tylko tyle, że bardzo ryzykuję, bo jeśli odkryją, że to ja wam pomogłam, trudno mi będzie uśmierzyć gniew Cortesa, który - tu westchnęła - teraz, gdy skończyła się wojna, nie potrzebuje mnie już tak bardzo jak przedtem.

- Dam radę iść, skacząc na prawej nodze - powiedziałem - a jeśli chodzi

o resztę, to musimy zdać się na los szczęścia. Nie może się nam już przydarzyć nic gorszego niż to, co przeszliśmy do tej pory.

- Oby tak się stało, Teule. A teraz żegnajcie, bo boję się zostawać tu dłużej. Nie mogę dla was zrobić nic więcej. Niech zaświeci dla was szczęśliwa gwiazda i wyprowadzi was stąd bezpiecznie. Jeśli byśmy się nie spotkali już nigdy, Teule, to, proszę, myśl o mnie dobrze, bo w przyszłości wielu będzie myślało inaczej.

- Żegnaj, Marino - powiedziałem i wyszła.

Słyszeliśmy, jak zamykają za nią drzwi, jak oddalają się głosy niosących jej lektykę, a potem zapanowała zupełna cisza. Otomi przez chwilę nasłuchiwała przy oknie, ale wyglądało na to, że strażnicy odeszli, po co lub dokąd, nie wiem do tej pory, i ciszę zakłócały tylko odległe odgłosy hulanki, dochodzące z obozu.

- A teraz do dzieła! - powiedziałem.

- Jak sobie życzysz - odparła Otomi - ale obawiam się, że nic z tego nie wyjdzie. Nie ufam tej kobiecie. Zdradziła swój kraj i nas też na pewno zdradzi. Ale w najgorszym razie masz miecz i możesz z niego skorzystać.

- To mało ważne - rzekłem. - I tak nie może nas spotkać gorszy los. Życie nie może nam przynieść większych kłopotów niż tortury i śmierć, a te i tak nam grożą.

Usiadłem na stołku i mając zdrowe i silne ręce, zacząłem rozcinać ostrym mieczem drewniane drągi i wyjmować je jeden po drugim, aż powstała dziura na tyle duża, byśmy mogli się przez nią prześliznąć. Wtedy Otomi przebrała mnie, bo sam nie byłem w stanie tego zrobić, w ubiór przyniesiony przez Marinę. Ile się nacierpiałem przy wdziewaniu tego stroju, szczególnie długiego buta na poparzoną stopę, nie sposób opisać. Wystarczy powiedzieć, że parę razy kazałem Otomi przerwać, zastanawiając się, czy nie lepiej umrzeć od razu niż cierpieć takie katusze. W końcu jednak zostałem ubrany i przyszła kolej na Otomi. Musiała włożyć tę czerwono-żółtą suknię. Wiele uczciwych Indianek wolałoby umrzeć niż pokazać się w takich szatach i myślę, że wkładając je, Otomi cierpiała większe katusze niż ja, choć innego rodzaju, bo dla jej dumnej duszy suknia ta musiała być suknią Dejaniry. Ubrała się jednak szybko i mizdrząc się do mnie, spytała szyderczo:

- Hej, żołnierzu, czy ci się podobam?

- Przestań się wygłupiać - powiedziałem. - Od tego zależy nasze życie. Czy to ważne za kogo się przebieramy?

- Bardzo ważne, ale czy, będąc mężczyzną i obcym, możesz to zrozumieć? Teraz przeleżę przez dziurę, a ty musisz przeleżeć za mną. Jeśli nie dasz rady, wrócę i skończymy z tą maskaradą.

Wyśliznęła się szybko, bo była silna i zwinna jak ocelot. Wszedłem na stół i przewyciężając nieznośny ból w ranach, zacząłem się gramolić na okno. W końcu udało mi się przrzucić ciało przez parapet, ale utknąłem tam i leżałem jak zdechły kot, dopóki mnie nie ściągnęła. Spadłem na ziemię i leżałem jęcząc. Postawiła mnie na nogi, a raczej na nogę, ponieważ mogłem stać tylko na jednej. Rozejrzeliśmy się wokół. Nie było nikogo widać, a odgłosy hulanki w obozie zamarły. Szczyt Popocatepetl zaróżowiło już wschodzące słońce, a w dolinie zaczęło szarzeć.

- Dokąd idziemy? - spytałem.

Spytałem o to Otomi, gdyż wolno jej było, razem z siostrą, żoną Guatemoca, i innymi paniami azteckimi, poruszać się swobodnie po obozie, a miała charakterystyczny dla Indian dar zapamiętywania miejsc, w których znalazła się choćby raz, i odnajdywania ich nawet w największych ciemnościach.

- Do bramy południowej - odpowiedziała szeptem. – Może teraz, kiedy wojna skończyła się, nie ma tam straży. W każdym razie znam drogę do niej.

Ruszyliśmy więc. Wspierałem się na jej ramieniu, podskakując na zdrowej nodze i w taki sposób przebyliśmy z trudem około trzystu jardów, nie natykając się na nikogo. Potem jednak opuściło nas szczęście. Skręciwszy za róg jednego z budynków, znaleźliśmy się twarzą w twarz z trzema żołnierzami, którzy wraz z paroma indiańskimi sługami wracali z nocnej pijatyki.

- Kogo my tu mamy? - powiedział jeden z nich. - Jak się nazywasz, druhu?

- Dobranoc, przyjacielu, dobranoc - wymamrotałem ochryplym głosem po hiszpańsku, udając pijanego.

- Chcesz powiedzieć „dzień dobry” - odparł. - Jak się nazywasz? Nie przypominam sobie twojej twarzy, choć wygląda na to, że byłeś na wojnie - rzekł ze śmiechem.

- Nie wypytuje się kumpli o nazwisko - powiedziałem z namaszczeniem, kołyszając się w przód i w tył. - Może po mnie przysłać kapitan, a to wstrzeźliwy człowiek. Daj mi rękę, dziewczyno. Pora spać, słońce już wstaje.

Roześmiali się, a jeden z nich zwrócił się do Otomi:

- Zostaw tego opoja i chodź z nami - powiedział i chwycił ją za ramię. Spojrzała na niego takim wzrokiem, że puścił ją ze zdumieniem i pozwolił

nam przejść. Szliśmy, zataczając się, aż zasłonił nas róg innego budynku. Dopóki patrzyli na nas, musiałem, nie chcąc wzbudzać ich podejrzeń, stąpać również na zranionej nodze, kiedy więc zesliśmy im z oczu, padłem na ziemię, bo nie mogłem już wytrzymać z bólu. Jednak Otomi podniosła mnie, mówiąc:

- Niestety, kochany, jeśli nie chcemy zginąć, musimy iść dalej.

Podniosłem się, jęcząc, i ruszyliśmy w dalszą drogę, ale sam nie wiem, jak udało mi się dotrzeć do bramy. Myślałem, że umrę, zanim tam dojdziemy. W końcu jednak stanęliśmy przed nią i, na nasze szczęście, okazało się, że pilnujący jej Hiszpanie śpią w wartowni. Czuwało tylko, przy małym ognisku i z kocami zarzuconymi na głowy, bo ranek był chłodny, trzech Tlascalan.

- Otwórzcie bramę, psy! - rzekłem wyniośle.

Ujrawszy hiszpańskiego żołnierza, jeden z nich podniósł się, aby wykonać polecenie, ale zatrzymał się i spytał:

- Dlaczego i z czyjego rozkazu?

Nie widziałem pod kocem jego twarzy, ale głos wydał mi się znajomy i przestraszyłem się, że mnie rozpozna. Musiałem jednak odpowiedzieć.

- Dlaczego? Dlatego, że jestem pijany i chcę poleżeć za bramą, aż wytrzeźwieję. A z czyjego rozkazu? Z mojego! Jestem dzisiaj dowódcą zmiany i jeśli mnie nie posłuchasz, to każę cię tak oćwiczyć, że na drugi raz odechce ci się głupich pytań.

- Zawołać Teule'ów? - spytał ponuro Tlascalanin towarzysza.

- Nie - odparł tamten. - Pan Sarceda jest zmęczony i rozkazał, aby nikt nie śmiał go budzić bez ważnego powodu. Zatrzymaj ich albo przepuść, ale nie budź go.

Zadrzałem - w wartowni był de Garcia! Co będzie, jeśli się obudzi, co będzie, jeśli wyjdzie i zobaczy mnie? Poza tym zorientowałem się, skąd znam ów głos. Należał on do jednego z oprawców, którzy pomagali de Garcii torturować mnie. Co będzie, jeśli ujrzy moją twarz? Na pewno rozpozna ją, bo przecież niedawno zostawił na niej ślady, które były dotąd widoczne. Zamurowało mnie z trwogi i nie mogłem wykrztusić ani słowa. Gdyby nie spryt Otomi, tam skończyłaby się moja historia. Zagrała jednak rolę tej, której suknię nosiła, i odegrała ją świetnie. Zaczęła obrzucać Tlascalanina wulgarnymi wyzwiskami, co wprawilo go w dobry humor i w końcu otworzył bramę, mówiąc żeby poszła ze mną w diabły. Zaledwie

przekroczyliśmy bramę, gdy opanowała mnie słabość i runąłem jak długi, przekreściwszy się na ziemi na plecy.

- Wstawaj, przyjacielu, wstawaj! - krzyknęła Otomi, śmiejąc się ochryple. - Skoro chce ci się spać, to poczekaj, aż znajdziemy jakiś krzak - pochyliła się, aby mnie podnieść. Tlascalanin, śmiejąc się, podszedł, by jej pomóc i postawili mnie na nogi. Jednak kiedy mnie podnosili, spadł mi z głowy niedopasowany kapelusz. Podał mi go i w tym momencie spotkały się nasze spojrzenia, ale twarz miałem ukrytą w cieniu. Chwilę potem pokuśtykałem dalej, ale obejrzawszy się przez ramię, zobaczyłem, że Tlascalanin patrzy za nami z dziwną miną, jak człowiek, który nie jest pewien, czy mu się coś nie przywidziało.

- On mnie zna - powiedziałem do Otomi. - Kiedy dojdzie do siebie, pójdzie za nami.

- Szybciej, szybciej! - odparła Otomi. - Za tym zakrętem są krzaki, w których możemy się schować.

- Nie mam już sił - powiedziałem i znowu zacząłem się osuwać.

Otomi chwyciła mnie i wytężywszy wszystkie siły, wzięła na ręce i przyciskając do piersi jak matka dziecko, ruszyła dalej chwiejnym krokiem. Niosła mnie tak przynajmniej przez pięćdziesiąt jardów. Wreszcie dotarła do skraju zarośli aloesowych i tam padła ze mną na ziemię. Spojrzałem na ścieżkę, którą przyszlismy. Zza jej zakrętu wyłonił się Tlascalanin z nabijaną kolcami pałką w rękę. Szukał nas, aby rozwiać swe wątpliwości.

- To koniec - wykrztusiłem. - Zbliża się ten człowiek.

W odpowiedzi Otomi wyjęła z pochwy mój miecz i ukryła go w trawie. - Udawaj, że śpisz - powiedziała. - To nasza ostatnia szansa.

Zakryłem twarz ramieniem i poszedłem za jej wskazówką. Wkrótce potem usłyszałem kroki i Tlascalanin stanął nade mną.

- Czego chcesz? - spytała Otomi. - Nie widzisz, że śpi? Nie budź go.

- Muszę przyjrzeć się jego twarzy - odparł, odsuwając moją rękę. - Bogowie, tak myślałem! To ten Teule, którym zajmowaliśmy się wczoraj. Uciekł!

- Zwariowałeś! - powiedziała ze śmiechem. - Znikąd nie uciekł, chyba że z pijatyki.

- Kłamiesz, kobieto, a jeśli nie kłamiesz, to nic nie wiesz. Ten człowiek zna tajemnicę ukrycia skarbu Montezumy i wart jest królewskiego okupu. - Mówiąc to, uniósł pałkę.

- I chcesz go zabić? Nic o nim nie wiem. Zabierz go, skąd przyszedł. To pijak i chętnie się od niego uwolnię.

- Dobrze mówisz. Zrobiłbym głupstwo, gdybym go zabił. Pan Sarceda nieźle mnie wynagrodzi, jeśli oddam mu go żywego. Dalej, pomóż mi.

- Sam sobie pomóż - odparła ponuro. - Ale najpierw przeszukaj jego sakiewkę. Może tam coś mieć. Podzielimy się.

- Teraz też dobrze mówisz - powiedział. Przyklęknął, pochylił się nade mną i zaczął odwiązywać sakiewkę.

Otomi stała za jego plecami. Twarz jej się zmieniła, a w oczach ujrzałem taki sam błysk, jak w oczach kapłanów podczas składania ofiary. Szybko jak myśl wyciągnęła miecz z trawy i z całej siły uderzyła go w kark. Upadł bez jednego jęku. Ona też. Po chwili jednak znowu była na nogach. Patrzyła na niego dzikim wzrokiem, ściskając miecz.

- Wstawaj! - powiedziała - zanim przyjdą go szukać. Szybko, musisz się podnieść!

Zaczęliśmy się przedzierać przez krzaki. Wypełniał mnie podziw dla niej, ale wkrótce zaczęło mi się kręcić w głowie. Przez chwilę wydawało mi się, że dręczy mnie koszmarne sen, w którym idę po rozpalonym żelazie. Potem sen zmienił się, ujrzałem mężczyzn uzbrojonych w dzidy i Otomi biegnącą ku nim z wyciągniętymi rękami.

Na koniec wszystko znikło.

Rozdział XI

OTOMI BŁAGA SWÓJ LUD

Kiedy się ocknąłem, stwierdziłem, że znajduję się w jaskini. W panującym w niej półmroku dostrzegłem pochylającą się nade mną Otomi, a w głębi jakiegoś mężczyznę gotującego coś w kociołku na ognisku z suchych liści aloesu.

- Gdzie jestem i jak się tu znalazłem? - spytałem.

- Jesteś bezpieczny - powiedziała - przynajmniej na razie. Najpierw zjedz, a potem opowiem ci resztę.

Przyniosła mi rosół, który łapczywie zjadłem, a kiedy zaspokoilem głód, powiedziała:

- Pamiętasz, jak znalazł nas ten Tlascalanin i jak... się go pozbyłam?

- Pamiętam, Otomi, choć nie wiem, skąd wzięłaś tyle sił, by go zabić.

- Dała mi je miłość i rozpacz i modłę się, bym już nigdy więcej nie znalazła się w takiej sytuacji. Nie wracaj do tego, bo jest to straszniejsze niż wszystko, co mi się zdarzyło do tej pory. Ale pociesza mnie jedno - nie zabiłam go. Miecz przekręcił mi się w rękę i chyba tylko go ogłuszyłam. Potem uciekliśmy kawałek dalej, ale kiedy się obejrzałam, zobaczyłam, że nadchodzi dwóch innych Tlascalan, towarzyszy tego, którego powaliłam. Wkrótce znaleźli go i puścili się biegiem w pościg za nami. Myślałam, że szybko nas złapią, bo ledwie mogłeś się ruszać i zacząłeś tracić przytomność, a ja nie miałam już sił, by cię nieść. Mimo to wlekliśmy się dalej, aż wreszcie, gdy pogoń była nie dalej niż pięćdziesiąt kroków od nas, ujrzałam ośmiu uzbrojonych mężczyzn, biegnących ku nam z krzaków. Byli to moi poddani, Otomi, którzy służyli pod tobą, a potem kręcili się koło obozu i kiedy zobaczyli samotnego Hiszpana, rzucili się, aby go zabić. Niewiele brakowało, aby faktycznie to zrobili, bo na początku brakowało mi tchu i nie mogłam mówić, ale w końcu udało mi się wykrztusić kim jesteś. Tymczasem Tlascalanie byli już przy tobie. Krzyknęłam do Otomich, żeby nas obronili i nim ścigający zorientowali się, wpadli na nich, zabijając jednego, a drugiego biorąc do niewoli. Potem zrobili nosze, położyli cię na nich i nieśli bez odpoczynku przez ponad trzydzieści mil, aż doszliśmy do gór, gdzie mają kryjówkę. To właśnie ta jaskinia. Przez trzy dni i noce leżałeś nieprzytomny. Teule szukali cię wszędzie. Wczoraj dwóch z nich przeszło z dziesięcioma Tlascalanami o sto kroków od jaskini i tylko z wielkim trudem udało mi się powstrzymać naszych ludzi przed zaatakowaniem ich. Teraz odeszli i myślę, że na pewien czas jesteś bezpieczni. Niedługo poczujesz się lepiej i będziemy mogli stąd odejść.

- A dokąd możemy iść, Otomi? Jesteśmy jak ptaki bez gniazda.

- Musimy szukać schronienia w Pines albo uciec za morze. Nie mamy innego wyboru.

- Nie możemy próbować ucieczki przez morze, Otomi, bo wszystkie statki należą do Hiszpanów i nie wiem, jak nas przyjmą w Pines, kiedy powiedliśmy na śmierć tyle tysięcy tamtejszych wojowników.

- Musimy zaryzykować. W Anahuac są jeszcze uczciwi ludzie, którzy w tych smutnych czasach staną po naszej stronie. W każdym razie uciekliśmy przed większymi niebezpieczeństwami. Teraz opatrzę ci rany i odpocznij trochę.

Jeszcze przez trzy dni leżałem w tej jaskini dogładany przez Otomi i w końcu mój stan poprawił się na tyle, że mogłem podróżować na noszach, choć jeszcze przez wiele tygodni nie mogłem postawić stopy na ziemi. Czwartego dnia ruszyliśmy nocą i w końcu dotarliśmy do wąwozu prowadzącego do Pines. Zatrzymały nas tam strażę. Otomi opowiedziała im o naszych przejściach, prosząc, by ktoś z nich doniósł o tym dowódcy miasta. Udaliśmy się za gońcem, ale szliśmy wolno, gdyż nasi ludzie, którzy mnie nieśli, byli zmęczeni. Dotarliśmy do bramy tego pięknego miasta akurat w chwili, gdy promienie zachodzącego słońca padły na górujący nad nim, ośnieżony szczyt Xaca, barwiąc go na czerwony, przypominający rozżarzone żelazo, kolor.

Rozeszły się już wieści o naszym przybyciu, więc tu i ówdzie zebrały się grupki ludzi, aby zobaczyć nasze wejście do miasta. Większość stała w milczeniu, ale od czasu do czasu jakaś kobieta, której mąż czy syn poległ w Tenocitlan, miotała przekleństwa w naszą stronę.

Niestety, w jakże odmiennej sytuacji byliśmy tego dnia niż rok temu, kiedy przybyliśmy tam po raz pierwszy. Wówczas towarzyszyło nam dziesięć tysięcy wojowników, grali nam muzycy, a pod nasze stopy sypano kwiaty. Teraz uciekaliśmy przed zemstą Hiszpanów, dźwigało mnie na noszach czterech zmęczonych ludzi, a Otomi, władczyni tego ludu, nadal ubrana w suknię ladaczniczy, którą kobiety wytykały palcami, bo nie miała okazji zdobyć innej, kroczyła ciężko u mego boku, gdyż nie miał jej kto nieść. Do tego mieszkańcy obrzucali nas przekleństwami jako sprawców ich nieszczęść, i nie wiedzieliśmy, czy skończy się tylko na przekleństwach.

W końcu przecięliśmy plac leżący w cieniu *teocalli* i kiedy zgasło światło dnia a dym z Xaca, świętej góry, rozjarzył się w ciemnościach od ognia bijącego z jej wnętrza, dotarliśmy do starego, pokrytego płaskorzeźbami, pałacu. Nie przygotowano się tam za bardzo na nasze przyjęcie i tego wieczoru spożywaliśmy kolację jak najbiedniejsi mieszkańcy tej ziemi, jedząc przy blasku pochodni placki kukurydziane, które popijaliśmy wodą. Potem położyliśmy się. Ból w ranach nie pozwalał mi zasnąć i usłyszałem, że Otomi, będąc pewna, że śpię, zaczęła cicho łkać. Do tej pory widziałem ją płaczącą tylko raz, po śmierci naszego dziecka.

- Dlaczego tak rozpaczasz, Otomi? - spytałem w końcu.

- Nie wiedziałam, że nie śpisz - odparła przez łzy - bo stłumiłabym swój żal. Płaczę z powodu tego, co zdarzyło się nam i mojemu ludowi, a także - choć to błahe sprawy - dlatego, że zostałeś tak upokorzony, że traktują cię jak

nędzarza i że zostaliśmy tu tak zimno przyjęci.

- Tak, to są powody - odparłem. - Powiedz, co ci Otomi zrobią z nami, zabiją nas, a może wydadzą Teule'om?

- Nie wiem, dowiemy się jutro, ale mnie nie wydadzą żywej.

- Ani mnie. Lepsza jest śmierć niż czuła opieka Cortesa i jego pachołka, de Garcii. Czy istnieje jakaś nadzieja?

- Istnieje, kochany. Otomi są teraz przybici i pamiętają, że poprowadziliśmy kwiat ich plemienia na śmierć. Ale to dzielni i wielkoduszni ludzie i jeśli uda mi się ich poruszyć, wszystko może jeszcze być dobrze. To znużenie, ból i pamięć tragedii sprawia, że jesteśmy słabi, bo wymknąwszy się tylu niebezpieczeństwom, powinniśmy być silni i dobrej myśli. Spij i pozwól mi pomyśleć. Wszystko jeszcze będzie dobrze, bo nieszczęścia też mają swoją granicę.

Zasnąłem więc i rano obudziłem się trochę pokrzepiony i w lepszym nastroju, bo któż nie jest dzielniejszy, gdy świeci słońce, a odpoczynek doda mu sił?

Kiedy otworzyłem oczy, słońce stało już wysoko. Otomi zerwała się równo ze świtem i nie próżnowała przez te trzy godziny. Przed wszystkim postarała się, abyśmy dostali jedzenie i świeże ubrania bardziej pasujące do naszej pozycji niż te szmaty, w których przybyliśmy. Poza tym wezwała pewne szacowne osoby, które pozostały lojalne wobec niej, i wyprawiała do miasta, by powiadomiły wszystkich, że w południe przemówi do mieszkańców ze stopni pałacu, bo dobrze wiedziała, iż łatwiej jest poruszyć serca tłumu niż starych i chłodno myślących doradców.

- Czy przyjdą cię wysłuchać? - spytałem.

- Nie bój się - odparła. - Sprowadzi ich tu chęć ujrzenia tych, którzy przeżyli oblężenie i dowiedzenia się, co się właściwie wydarzyło. Poza tym niektórzy będą chcieli się na nas zemścić.

Otomi miała rację. Około południa mieszkańcy Pines zaczęli się gromadzić na placu i wkrótce cała przestrzeń, od stopni pałacu aż do piramidy, zapelniła się wielotysięcznym tłumem. Otomi uczesała swe falujące włosy i wpięła w nie kwiat, na ramiona zarzuciła lśniący płaszcz z piór, na szyję tę wspaniałą szmaragdową kolia, którą wyniosła szczęśliwie ze wszystkich niebezpieczeństw, a na biodra złoty pasek. Do ręki wzięła małe złote berło, które znajdowało się w pałacu wśród innych ozdób i oznak

władzy i tak ubrana wydała mi się, mimo rysującego się na jej twarzy zmęczenia podróżą i smutku, spowodowanego tragicznymi przejściami, najbardziej królewską ze wszystkich kobiet, jakie widziałem. Następnie poleciła wojownikom, którzy przenieśli mnie przez góry, ułożyć mnie na noszach i wynieść za nią przed tłum. Tak wyłoniliśmy się z szerokich drzwi pałacu i zajęliśmy miejsce na tarasie u szczytu schodów. Na nasz widok z tysięcy gardel buchnął dziki wrzask, przypominający ryk bestii, która ma się rzucić na swą ofiarę. Krzyk ten, mogący wzbudzić trwogę w sercu najodważniejszego człowieka, wzrastał się z każdą chwilą i w końcu zrozumiałem, o co im chodzi.

- Zabić ich! - wył tłum. - Wydać Teule'om!

Otomi podeszła do skraju tarasu, uniosła berło do góry i stała w milczeniu. Promienie słoneczne odbijały się od jej błyszczących szat i oświetlały piękną twarz. Ale tłum dalej miotał pod naszym adresem groźby i przekleństwa i zgiełk coraz bardziej wzrastał się. W pewnym momencie rzucili się ku niej, jakby chcieli rozszarpać ją na strzępy, ale cofnęli się przed ostatnim stopniem, jak fala odbijająca się od skały. Chwilę potem obok jej szyi przemknął ciśnięty czyjaś ręką oszczep.

Żołnierze, którzy wynieśli mnie na taras, widząc, że zbliża się śmierć i nie mając ochoty podzielić naszego losu, postawili nosze na posadzce i wycofali się do pałacu, ale Otomi nie poruszyła się nawet wtedy, gdy przeleciał koło niej oszczep. Stała z wyniosłą i dumną miną i wreszcie majestat i odwaga bijące z jej postaci sprawiły, że tłum zaczął się uciszać. Kiedy w końcu umilkł, przemówiła wyraźnym, daleko niosącym się głosem.

- Czy znajduję się wśród mojego ludu - spytała gorzko - czy może zmyliłam drogę i trafiłam do jakiegoś dzikiego szczepu Tlascalan? Posłuchajcie, Otomi! Mam tylko jeden głos, a nikt nie może dyskutować z tłumem. Wybierzcie jednego spośród was, niech przemówi w imieniu wszystkich i przedstawi wasze żądania.

Znowu podniosła się wrzawa, gdyż każdy wykrzykiwał inne nazwisko, ale w końcu wystąpił pewien kapłan z możnego rodu, imieniem Maxtla, który cieszył się wielkim autorytetem wśród Otomich, a przede wszystkim zawsze był zwolennikiem zawarcia przymierza z Hiszpanami i ostro sprzeciwiał się wysłaniu armii na pomoc zagrożonemu Tenocitlan. Nie był sam. Towarzyszyło mu czterech wodzów, których strój zdradzał, że są Tlascalanami, wysłannikami Cortesa. Zobaczywszy ich, upadłem na duchu, gdyż nietrudno było odgadnąć cel ich przybycia.

- Mów, Maxtlo - powiedziała Otomi - a was, Otomi, proszę o spokój, byście mogli rozstrzygnąć nasz spór, kiedy skończymy rozmowę.

Zapanowała cisza. Zebrani stłoczyli się jak owce w zagrodzie i nadstawili uszu, by dokładnie usłyszeć, co powie Maxtla.

- Moja rozmowa z tobą, księżniczko, i z tym Teule, twoim wyjętym spod prawa mężem, będzie krótka - zaczął ostro Maxtla. - Jakiś czas temu przybyliście tu, aby prosić o pomoc dla Cuitlahuy, władcy Azteków, który walczył z Teule'ami, synami Quetzalcoatl. Wbrew woli wielu z nas, otrzymaliście tę pomoc, gdyż udało ci się omamić słodkimi słówkami radę plemienia i my, którzy doradzaliśmy ostrożność, a nawet sojusz z białymi, dziećmi boga, zostaliśmy zakrzyczani. Poprowadziliście stąd do Tenocitlan dwadzieścia tysięcy wojowników, kwiat naszego ludu. I gdzie są oni teraz? Sam ci odpowiem. Do domów wróciło około dwustu, reszta znalazła się w żołądkach sępów i szakali. Wszystkich ich spotkała śmierć, i to wy ich na nią poprowadziliście. Czy więc, żądając w zamian za życie dwudziestu tysięcy synów naszego narodu życia was dwojga, żądalibyśmy za wiele? Ale nie chcemy nawet tego. Obok mnie stoją wysłannicy Malinche, wodza Teule'ów, którzy przybyli tu zaledwie godzinę temu. A oto żądanie Malinche, które przywożą: „Oddajcie mi Otomi, córkę Montezumy, i jej kochanka, zdrajcę znanego pod imieniem Teule, który uciekł przed karą grożącą mu za jego zbrodnie, a będziecie żyć w pokoju. Ukryjcie ich albo odmówcie ich wydania, a Pines podzieli los Tenocitlan, królowej doliny. Wybierajcie pomiędzy moją miłością a moim gniewem, Otomi. Jeśli posłuchacie, wybaczę wam to, co zrobiliście w przeszłości i wasze jarzmo będzie lekkie, jeśli odmówicie, wasze miasto zostanie zrównane z ziemią, a nazwa waszego ludu wymazana z mapy świata”. Powiedźcie, wysłannicy Malinche, czy nie są to jego słowa?

- To słowa samego Malinche - odparł ich przywódca.

W tym momencie znowu podniosła się wrzawa i odezwały się głosy: - Oddać ich, oddać ich Malinche jako dar pokoju! - Otomi wystąpiła o krok, dając tym znak, że chce przemówić i zapadła cisza, bo wszyscy chcieli usłyszeć, co ma do powiedzenia. Wtedy powiedziała:

- Wygląda na to, o Otomi, że mnie i mojego męża sądzą tu moi poddani. Dobrze, przedstawię naszą sprawę tak, jak potrafię jako kobieta, a wy rozsądzicie między nami a Maxtla i jego sprzymierzeńcami, Malinche i Tlascalanami. Na czym polega nasza zbrodnia? Na tym, że przybyliśmy tu

na rozkaz Cuitlahuy, aby prosić was o pomoc w wojnie z Teule'ami. Co wam wtedy powiedziałam? Że jeśli ludy Anahuac nie zjednoczą się i nie staną do wspólnej walki z białymi, to zostaną po kolei połamane jak patyki z nie związanej wiązki chrustu i wrzucone do ognia. Czy kłamałam? Nie, mówiłam prawdę, bo Anahuac padł w wyniku zdrady zamieszkujących go ludów, głównie Tlascalan, i Tenocitlan jest teraz morzem ruin, usianych trupami jak pole zbożem.

- To prawda - krzyknął ktoś.

- Tak, Otomi, to prawda, ale powiadam, że gdyby wszyscy wojownicy narodów Anahuac zachowali się tak, jak wasi synowie, to wszystko potoczyłoby się inaczej. Z powodu śmierci waszych synów, braci i ojców chcecie wydać nas naszym wspólnym wrogom, ale mimo iż wśród poległych jest wielu moich krewnych, ja po nich nie płaczę. Nie, zanim zaczniecie się wściekać, posłuchajcie. Lepiej dla nich, że zginęli bohaterską śmiercią, zdobywając sobie wieki sławę i miejsce w Domach Słońca, niż gdyby mieli żyć jako niewolnicy, co - zdaje się - jest waszym pragnieniem, Otomi. W tym, co wam powiedziałam, nie ma ani słowa nieprawdy. Teraz kije, których Malinche użył, aby pobić Guatemoca, zostaną połamane i pójdą na ognisko, na którym Teule będą warzyć sobie strawę. Te niewdzięczne dzieci Anahuac już są ich niewolnikami. Czyż nie słyszeliście, że z rozkazu Malinche plemiona, które były jego sojusznikami, mają pracować w kamieniołomach i na budowach, dopóki wspaniałe miasto, które zniszczył, nie stanie znowu? Czy nie pospieszcie, o Otomi, przyłączyć się do tej pracy, do pracy, przy której nie zaznacie odpoczynku i za którą nie dostaniecie innej nagrody niż bat nadzorcy i przekleństwa Teule'ów? Na pewno zrobicie to, Otomi. Wasze ręce zostały stworzone do rydla i kielni, nie do łuku i dzidy i będzie wam milej wykonywać rozkazy Malinche i przysparzać mu bogactw, harując w znoju i upale, niż żyć w wolności w waszych górach, w których jak dotąd nie powstała nawet stopa wroga!

Przerwała, a przez tłum przeszedł szmer niepokoju. Wysunął się znowu Maxtla, chcąc coś powiedzieć, ale zagłuszono go, krzyżąc: „Otomi, Otomi! Chcemy posłuchać Otomi!”

- Dziękuję ci, mój ludu - powiedziała - bo mam jeszcze dużo do powiedzenia. A zatem nasza zbrodnia polega na tym, że poprowadziłeś armię na wojnę z Teule'ami. A jak zebraliśmy tę armię? Czy kazałam wam ją wystawić? Nie, przedstawiłam sprawę i powiedziałam: „Teraz wybierajcie”. Wybraliście i z własnej woli wyprawiliście wojowników, którzy teraz są martwi. Moja zbrodnia polega więc na tym, że - jak mówicie - dokonaliście

złego wyboru. Ja jednak nadal utrzymuję, że wybraliście właściwie. I z powodu tej zbrodni chcecie przekazać mnie i mego męża Teule'om jako dar pokoju. Zanim wydacie nas Teule'om i nasze usta zamilkną na zawsze, pozwólcie, że opowiem wam trochę o walkach, które toczyliśmy. Nie wiem, od czego mam zacząć... Czekaście... urodziłam dziecko, syna. Gdyby żył, byłby waszym księciem. Zmarł z głodu na moich oczach. Dzień po dniu przyglądałam się bezsilnie, jak umiera. Ale to nieważne. Kim jestem, żebym miała się użalać z powodu straty syna, kiedy tyłu z was utraciło synów? Posłuchajcie... - i zaczęła opowiadać im w płomiennych słowach o okropieństwach obłączenia, o okrucieństwach Hiszpanów i o odwadze Otomich, którzy walczyli pod moim dowództwem. Mówiła przez całą godzinę, a zebrani słuchali chciwie. Opowiedziała również o roli, jaką odegrałem w tych bojach, o czynach, których dokonałem, a kiedy o tym mówiła, żołnierze, którzy służyli pode mną i przeżyli głód i masakrę, a teraz znajdowali się w tłumie, krzyczeli:

- To prawda, widzieliśmy to na własne oczy!

- I tak - mówiła - nadszedł koniec, Tenocitlan stało się kupą ruin, a mój kuzyn i władca, książę Guatemoc, został jeńcem Malinche. Wraz z nim ja, mój mąż, moja siostra i wiele innych osób. Malinche przyrzekł, że będzie traktował Guatemoc'a i resztę z należnymi im wszystkim honorami. I wiecie, co było dalej? Nie minęło kilka dni, a nasz król, Guatemoc, znalazł się w izbie tortur, przywiązany do krzesła, gdzie niewolnicy Teule'ów przypalali go rozżarzoną żelazną, chcąc go w ten sposób zmusić, by ujawnił miejsce ukrycia skarbu Montezumy! Krzyczycie: „Hańba Malinche”, ale będziecie krzyżeć jeszcze głośniej, kiedy skończę, bo cierpiał nie tylko Guatemoc. Męki znosił także ten, który leży tu obok mnie, mój mąż, a mimo to nie powiedział ani słowa. Ba, mnie też miano wziąć na tortury. Uciekliśmy kiedy śmierć stała u drzwi, gdyż powiedziałam mężowi, że Otomi mają szczerze serca i udzielą nam schronienia. Dla ratowania go ja, Otomi, przebrałam się w suknię nierządnic i uciekałam z nim tutaj. Gdybym wówczas wiedziała, co przyjdzie mi tu usłyszeć i zobaczyć, gdybym przypuszczała, że nas tak przyjmiecie, to sto razy wołałabym umrzeć.

O mój ludu, błagam cię i zaklinam, nie wchodź w żadne układy z fałszywymi Teule'ami, lecz zachowaj odwagę i wolność! Wasze karki nie są nawykłe do jarzma, wasze córki i synowie są zbyt szlachetnej krwi, aby zaspokajać kaprysy i przyjemności obcych. Przeciwdstawcie się Malinchemu! Część z was zginęła, ale pozostało wiele tysięcy. Tu, w waszym

górkim gnieździe, możecie odeprzeć atak wszystkich Teule'ów, jacy są w Anahuac, tak jak w minionych latach zdradzieccy Tlascalanie odparli Azteków. Wtedy Tlascalanie byli wolnymi ludźmi, teraz są niewolnikami. Chcecie dzielić z nimi niewolę? O mój ludu, nie myśl, że proszę o to dla siebie czy dla męża, który droższy mi jest nade wszystko, z wyjątkiem honoru. Naprawdę myślicie, że pozwolimy się oddać żywcem w ręce tych psów, Tlascalan, których Malinche przysłał tu jako swych posłów po to chyba, by was obrazić? Spójrzcie - podeszła do rzuconego z tłumu oszczepu, który leżał na posadzce tarasu i podniosła go - oto narzędzie śmierci, które podarował nam jakiś przyjaciel. Jeśli nie chcecie słuchać tego, co mówię w naszej obronie, to skorzystam z niego na waszych oczach. Potem, jeśli będziecie chcieli, możecie przesłać nasze ciała Malinchemu jako dar pokoju. Ale dla waszego własnego dobra zaklinam was, przeciwstawcie się Malinchemu i jeśli trzeba będzie w końcu umrzeć, umrzyjcie jako wolni ludzie, nie jako niewolnicy Teule'ów. Popatrzcie teraz, jak wygląda jego miłosierdzie, zobaczcie, jaki czeka was los, jeśli pójdziecie za radą Maxtli - i podszedłszy do noszy, na których leżałem, Otomi szybkim ruchem zerwała ze mnie ubranie, obnażając mnie do pasa, zdjęła bandaże z mej poranionej nogi, a potem uniosła mnie, abym mógł stanąć na zdrowej stopie.

- Spójrzcie! - krzyknęła przeszywającym głosem, pokazując blizny i niewygojone jeszcze rany na twarzy i nodze. - Przyjrzyjcie się dziełu Teule'ów i Tlascalan, zobaczcie, jak obchodzą się z wrogiem, który się im poddał. A teraz oddajcie nas, jeśli chcecie, ale mówię wam, że wasze ciała będą wyglądały tak samo, dopóki zostanie wam choć krztka złota, dopóki choć jeden z was będzie w stanie pracować, by zaspokoić ich chciwość.

Skończyła, pomogła mi położyć się z powrotem, bo nie mogłem stać o własnych siłach, i stanęła nade mną z oszczepem w ręku, jakby była gotowa zatopić go w mym sercu, gdyby Otomi nadal chcieli nas wydać wysłannikom Cortesa.

Przez chwilę panowała cisza, a potem podniósł się wrzask dziesięć razy głośniejszy niż poprzednio. Jednak tym razem ich wściekłość nie była skierowana przeciw nam. Otomi zwyciężyła. Jej szlachetne słowa, jej opowieść o naszych cierpieniach i widok moich ran odniosły skutek i serca tłumu wypełniła nienawiść ku Teule'om, którzy zniszczyli ich armię, i Tlascalanom, którzy im w tym pomogli. Krzyczeli i potrząsali bronią. Maxtla usiłował jeszcze coś powiedzieć, ale ściągnęła go ze schodów i po

chwili musiał walczyć o swoje życie. Potem obrócili swój gniew na posłów, bijąc ich kijami i wrzeszcząc:

- Oto nasza odpowiedź dla Malinche! Uciekajcie, psy, i zanieście mu ją!

W końcu wrzawa ucichła i kilku wodzów klanów podeszło do Otomi i ucałowało jej dłoń ze słowami:

- Księżniczko, będziemy cię strzec aż do śmierci, bo tchnęłaś w nas innego ducha. Masz rację, lepiej umrzeć wolnym niż żyć jako niewolnik.

- Widzisz, mężu - powiedziała Otomi - nie myliłam się, mówiąc, że mój lud jest dzielny i wielkoduszny. Teraz musimy przygotować się do wojny, bo sprawy zaszyły za daleko i kiedy wieści o tym dojdą do uszu Malinche, rozżłości się, jak puma, której skradziono młode. Ale na razie odpoczniemy, jestem bardzo zmęczona.

- Otomi - odparłem - nigdy, na całym świecie, nie było kobiety większej od ciebie.

- Nie wiem, mężu - odparła z uśmiechem - ale wystarczy mi, że zasłużyłam na twoje uznanie i że jesteś bezpieczny.

Rozdział XII

KONIEC GUATEMOCA

Przez pewien czas żyliśmy w Pines w spokoju i powoli wyzdrowiałem z ran zadanych mi okrutną ręką de Garcii. Wiedzieliśmy jednak, że ten spokój nie potrwa długo. Zdawali sobie też z tego sprawę Otomi, bo przecież przepędzili z miasta wysłanników Malinche. Wielu z nich żałowało teraz tego, ale stało się i musieli wypić piwo, którego sobie nawarzyli.

Przygotowywali się więc do wojny. Posiedzeniom rady, w których ja też brałem udział, przewodniczyła Otomi. W końcu nadeszły wieści, że zbliża się do Pines pięćdziesięciu Hiszpanów z pięcioma tysiącami Tlascalan. Objąłem więc dowództwo nad Otomi - było ich ponad dziesięć tysięcy, na swój sposób dobrze uzbrojonych - i wyszedłem z nimi z miasta. Zatrzymaliśmy się na dwóch trzecich drogi prowadzącej przez wąwóz. Nie rozmieściłem tam jednak całego swego wojska, gdyż nie było tam tyle miejsca, aby wszyscy mogli wziąć udział w walce, a poza tym miałem inny plan. Posłałem siedem tysięcy wojowników w góry, każąc im wspinać się znanymi tylko im ścieżkami na skały otaczające z dwóch stron wąwóz i zgromadzić

w miejscach, gdzie wznosiły się one na ponad tysiąc stóp, spore zapasy kamieni.

Resztę armii, oprócz pięciuset, których zatrzymałem przy sobie, uzbroiłem w łuki i oszczepy i rozmieściłem w dogodnych miejscach, gdzie droga skręcała lub była częściowo zasłonięta przez wystające skały i gdzie nie mogły ich osiągnąć zrzucone z góry kamienie. Na koniec wysłałem zaufanych ludzi na czaty, aby w porę donieśli mi o zbliżaniu się Hiszpanów. Niektórym poleciłem, aby zaoferowali swe usługi jako przewodnicy.

Uważałem, że to świetny plan i wszystko zapowiadało się dobrze, a jednak o mały włos nie zakończyło się fatalnie. W obozie był Maxtla, nasz wróg, a przyjaciel Hiszpanów - prawdę mówiąc, wziąłem go ze sobą, żeby mieć go na oku - i nie próżnował.

Kiedy Hiszpanie znaleźli się o pół dnia drogi od wejścia do wąwozu, jeden z ludzi, którym poleciłem śledzić ich marsz, przyszedł do mnie i powiedział, że Maxtla przekupił go, aby zdradził Hiszpanom plan zasadzki. Człowiek ów przyjął pieniądze i miał już wykonać prośbę Maxtli, ale ruszyło go sumienie. Kazałem pojmać Maxtlę i nim zapadł wieczór, zapłacił za zdradę.

Nazajutrz po jego straceniu Hiszpanie wkroczyli na przełęcz. W połowie drogi wpadłem na nich ze swymi pięciuset ludźmi i powstrzymałem na pewien czas ich pochód, ale dałem się, z małymi stratami, wyprzeć. Ruszyli za nami. Uciekaliśmy coraz szybciej, a oni poczynali sobie coraz śmielej, aż w końcu wpadliśmy do wąwozu ścigani przez ich konnicę. Mniej więcej siedemset jardów powyżej gardzieli wąwóz skręca, a jego pionowe ściany wznoszą się tak wysoko, że na dnie cały czas panuje półmrok.

Pędziliśmy wąską drogą, udając przerażenie, a na karkach siedzieli nam Hiszpanie, wzywając swych patronów i ciesząc się już ze zwycięstwa. Zaledwie jednak skręciliśmy za załom, zaczęli śpiewać inaczej, bo na dany przez obserwatorów znak potoczyła się na nich z góry lawina głazów i kamieni. Wielu zostało strąconych z siodeł, ale parli naprzód, widząc, że dalej wąwóz się rozszerza, a jego zbocza są łagodne. Przedostała się może połowa z nich, ale czekali tam na nich łucznicy, którzy zasypali ich gradem strzał. W końcu, nie mogąc się bronić, zaczęli się wycofywać na otwartą przestrzeń. Wtedy zaatakowaliśmy ich z flanki, zrzucając ponownie głazy na ich głowy. Skutek tej bitwy był taki, że ci z Hiszpanów i ich indiańskich sprzymierzeńców, którzy pozostali przy życiu, uciekli w rozsypce na równinę rozciągającą się za przełęczą i na wiele lat dali nam spokój, ograniczając

się tylko do pogróbek, a ja zyskałem wielką sławę wśród Otomich.

Jednego z Hiszpanów ocaliłem od śmierci, a potem zwróciłem mu wolność. Wypytałem go o to, co porabia de Garcia alias Sarceda i dowiedziałem się, że nadal pozostaje w służbie Cortesa. Okazało się też, że Marina dotrzymała słowa i doniosła Cortesowi, iż zamierzał poddać Otomi torturom, wskutek czego popadł u niego w niełaszkę. Poza tym Cortes był na niego wściekły z powodu naszej ucieczki, tym bardziej że Marina zasugerowała, iż sam nam ją ułatwił, przyjmując sowity okup.

O tym, co działo się przez czternaście lat od owej wygranej bitwy z Hiszpanami opowiem pokrótce, gdyż w porównaniu z poprzednimi były okresem spokoju. Otomi urodziła mi trzech synów, którzy byli moją radością, ponieważ kochałem ich bardzo, a oni kochali mnie. Prawdę rzekłszy, mimo iż w ich żyłach była po matce spora domieszka krwi indiańskiej, byli Anglikami, ponieważ ochrzciłem ich wszystkich, nauczyłem języka angielskiego i naszej wiary, a z wyglądu różnili się od chłopców angielskich tylko ciemniejszą skórą. Niestety, niedługo nacieszyłem się tymi dziećmi, podobnie jak później tymi, które miałem z Lily. Dwoje z nich zmarło - jeden na gorączkę, wobec której cała moja wiedza medyczna okazała się bezradna, drugi przy upadku z wysokiego cedru, na który wspiął się, szukając gniazda kani. Tak więc z trzech synów - bo nie liczę pierworodnego, który zmarł w czasie oblężenia Tenocitlan - został mi tylko jeden, najstarszy, o którym jeszcze wspomnę.

Jeśli chodzi o inne sprawy, to na wielkiej naradzie plemiennej, zwołanej po pobiciu Hiszpanów i ich sprzymierzeńców, otrzymałem wspólnie z Otomi urząd i tytuł kacyka Pines, dzięki czemu zyskailiśmy wielką, choć nie absolutną, władzę. Korzystając z moich uprawnień, doprowadziłem w końcu do zerwania z praktyką składania ludzkich ofiar, choć z tego powodu oderwało się od nas kilka szczepów, a kapłani zapalali do mnie nienawiścią. Ostatnia ceremonia składania ofiar, zresztą tak straszna, że straszniejszą widziałem tylko raz, została odprawiona na *teocalli* przed pałacem po pogromie Hiszpanów w wąwozie.

Mieszkałem w Pines już trzy lata, urodziło mi się dwóch synów, kiedy przybyli tam w sekrecie wysłańcy przyjaciół Guatemoca, który przetrzymał tortury, lecz nadal był jeńcem Cortesa. Dowiedziałem się od nich, że Cortes planuje wyprawę do Zatoki Honduras, przez kraj zwany obecnie Jukatanem, i zamierza zabrać ze sobą Guatemoca i innych Azteków z

wielkich rodów, bo obawia się zostawić ich w Anahuac. Dowiedziałem się też, że wśród podbitych plemion panuje wielkie niezadowolenie z powodu zdzierstw i okrucieństw, których dopuszczają się Hiszpanie i że panuje powszechna opinia, iż nadszedł sprzyjający czas do wybuchu powstania.

Mocodawcy wysłanników prosili, bym zebrał wojowników Otomich, udał się z nimi do Jukataniu i spotkawszy się tam z wojskami innych plemion, czekał na sprzyjającą okazję, a kiedy Hiszpanie ugrzęzną w dżunglach i bagnach, rzucił się na nich i uwolnił Guatemoca. Taki był główny cel tego przedsięwzięcia. Były też inne, ale nie ma sensu o nich mówić, gdyż spaliły one na panewce.

Wysłuchawszy tego, pokręciłem ze smutkiem głową, gdyż pomysł wydał mi się poroniony. Wtedy szef poselstwa podniósł się i odprowadził mnie na bok, mówiąc, że ma jeszcze parę słów przeznaczonych tylko dla moich uszu.

- Oto, co przekazuje ci Guatemoc - powiedział następnie - „Doszły mnie słuchy, mój bracie, że jesteś wolny i żyjesz bezpiecznie z moją kuzynką Otomi w górach wśród jej plemienia. Ja, niestety, marnieję w więzieniach Teule'ów jak okaleczony orzeł w klatce. Bracie, zaklinam cię na naszą starą przyjaźń i na to wszystko, co razem przeszliśmy, pomóż mi, jeśli możesz. Być może nadejdzie potem taki czas, że z powrotem zasiądem na tronie Anahuac. Ty będziesz zasiadał u mojego boku”.

Słowa te poruszyły mnie, bo tak wówczas, jak i teraz, kochałem Guatemoca jak brata.

- Wracaj - rzekłem posłańcowi - i znajdź sposób, żeby porozumieć się z Guatemokiem. Powiedz mu, że oswobodzę go, jeśli będę mógł, choć są na to nikłe nadzieje. Tak czy inaczej, niech spodziewa się mnie w lasach Jukataniu.

Kiedy Otomi dowiedziała się o mojej obietnicy, bardzo się zirytowała. Powiedziała, że to głupota i że skutek będzie tylko taki, iż stracę życie. Potem jednak zgodziła się ze mną, że trzeba spróbować i koniec końców wziąłem pięciuset wojowników i wyruszyłem w długą i męczącą drogę do Jukataniu. W ostatniej chwili Otomi chciała udać się ze mną, ale stanowczo sprzeciwiłem się temu, mówiąc, że nie może zostawić ani dzieci, ani swego ludu, i po raz pierwszy od tylu lat rozstaliśmy się na dłużej.

Nie będę tu pisał o wszystkich przeszkodach, które musiałem pokonać. Przez dwa i pół miesiąca przedzieraliśmy się przez lasy i bagna, przeprawialiśmy się przez rzeki, aż w końcu dotarliśmy do potężnego, wyludnionego miasta, które miejscowi Indianie nazywają Palenque. Już wówczas

nie było zamieszkane od wielu stuleci. Jest to najbardziej zdumiewające miejsce, jakie widziałem podczas moich podróży, choć znaczną jego część pokrywa dżungla. Gdziekolwiek zwróci się wędrowiec, wszędzie spotyka ogromne marmurowe pałace, pokryte z zewnątrz i od wewnątrz płasko-rzeźbami, potężne *teocalli* i posągi szczerzących zęby bóstw. Od tamtej pory zastanawiałem się często, cóż to za potężny lud zbudował to miasto i kim byli rządzący nim królowie. Jednak przeszłość zazdrośnie kryje odpowiedź na te pytania i nie można będzie tego wyjaśnić, dopóki jakiś uczony człowiek nie znajdzie klucza do kamiennych symboli i pisma, którym pokryte są ściany budynków.

W tym to mieście ukryłem się ze swymi ludźmi, chociaż niełatwo było mi ich przekonać, by zatrzymali się w miejscu tak pełnym duchów, nie mówiąc już o dzikich zwierzętach i węzach, bo otrzymałem wiadomość, że Hiszpanie będą przechodzić przez mokradła leżące między ruinami a rzeką i chciałem tam zrobić na nich zasadzkę. Po ośmiu dniach dowiedziałem się jednak, że Cortes przekroczył rzekę w jej górnym biegu, bo miał już dość bagien i mokradeł, i przedziera się przez lasy. Wobec tego ja też skierowałem się ku rzece i chciałem ją przejść. Niestety przez cały dzień i noc padał deszcz, a deszcze są tam tak ulewne, jak chyba nigdzie indziej na świecie, tak że ostatni odcinek drogi przeszliśmy brodząc po kolana w wodzie, a kiedy doszliśmy do przeprawy, zobaczyliśmy, że rzeka tak wezbrała, iż nie można jej było przebyć w niczym mniejszym od kutra rybackiego. Musieliśmy więc rozbić obóz na brzegu i czekać, cierpiąc z powodu febrы i braku żywności, aż woda opadnie.

Czekaliśmy trzy dni i trzy noce, wreszcie czwartego dnia podjęliśmy przeprawę, przy której straciłem w topieli czterech ludzi. Na drugim brzegu ukryłem swe siły w trzcinach, a sam z sześcioma ludźmi poszedłem na zwiady. Po godzinie trafiliśmy na szlak, który Hiszpanie wycięli w lesie i, zachowując ostrożność, puściliśmy się ich tropem. Wkrótce doszliśmy do miejsca, gdzie zarosła były rzadsze i stwierdziliśmy, że niedawno obozował tam Cortes, gdyż popiół po ogniskach był jeszcze ciepły. Nie dalej niż pięćdziesiąt jardów od obozowiska stała potężna ceiba, drzewo przypominające nasz dąb, lecz o miękkiej tkance i białej korze, które bardziej przybiera na masie przez dwadzieścia lat niż dąb przez sto. Siedziało na niej mnóstwo sępów, a kiedy podeszliśmy bliżej, zobaczyłem że na najniższych gałęziach wiszą trzy ciała. - Oto ślady Hiszpanów - powiedziałem. - Obejrzyjmy je.

Kiedy przeszliśmy parę kroków, na głowie najbliższego od nas wisielca usiadł sęp i czy to jego ciężar, czy też fala powietrza poruszonego jego skrzydłami sprawiły, że ciało obróciło się do nas twarzą. Spojrzawszy na nią, cofnąłem się i osunąłem z jękiem na ziemię, bo oto miałem przed sobą trupa tego, którego przybyłem ocalić, mego przyjaciela i brata, Guatemoca, ostatniego władcy Anahuac. Wisiał tam, w dzikim lesie, jak popolity przestępca, a na jego głowie skrzeczał sęp! Siedziałem i patrzyłem zdjęty zgrozą i nagle przypomniałem sobie dumną aztecką oznakę władzy królewskiej - drapieżnego ptaka trzymającego w szponach węża. Miałem przed sobą ostatniego z długiej linii władców Anahuac i oto drapieżny ptak trzymał w swych pazurach jego włosy! Był to zaiste odpowiedni symbol upadku Anahuac i jego królów. Poderwałem się z przekleństwem na nogi i napiąwszy łuk, przeszyłem sępa strzałą. Spadł na ziemię z trzopotem skrzydeł. Potem poleciłem swoim ludziom odciąć ciała Guatemoca, kacyka Tacuby i trzeciego wisielca, którym był wielmoża aztecki, i wykopac głęboki dół pod drzewem. Złożyłem ich tam do wiecznego snu. W takich oto okolicznościach zobaczyłem po raz ostatni mego brata Guatemoca. Przybyłem z daleka, aby go ocalić i zastałem gotowego do pogrzebu.

Puściliśmy się zatem w powrotną drogę do domu, ale przypadek sprawił, iż zanim ruszyliśmy, schwytałem Tlascalanina, który znał trochę hiszpański i zdezerterował z armii Cortesa, gdyż nie mógł znieść trudów marszu. Był on obecny przy zamordowaniu Guatemoca i jego towarzyszy i słyszał jego ostatnie słowa. Zdaje się, że jakiś łotr zdradził Cortesowi, iż ma być podjęta próba uwolnienia króla i że wtedy Cortes kazał go powiesić. Zdaje się też, że Guatemoc przyjął wyrok tak, jak przyjmował wszystkie ciosy losu, dumnie i bez trwogi. Jego ostatnie słowa brzmiały: „Źle zrobiłem, Malinche, że nie odebrałem sobie życia zamiast poddać się tobie. Serce mówiło mi, że wszystkie twoje obietnice są kłamstwami, i nie myliło się. Z radością witam śmierć, bo dane mi było poznać smak klęski i hańby, przejść przez tortury i widzieć mój lud zniewolony przez Teule'ów, ale powiadam, że Bóg godnie odplaci ci za ten czyn”.

Cześć Guatemocowi, najdzielniejszemu i najszlachetniejszemu Indianinowi, jakiego kiedykolwiek nosiła ziemia! Oby jego męki i haniebny koniec kładły się głębokim cieniem na sławę Cortesa, dopóki ich imiona będą trwały w ludzkiej pamięci!

Podróż do domu zajęła mi dwa miesiące. Dotarłem do Pines zmęczony, ale zdrowy i cały, straciwszy zaledwie czterdziestu ludzi wskutek różnych przygód. Otomi nie posiadała się z radości, gdyż nie spodziewała się, że mnie jeszcze kiedykolwiek ujrzy. Kiedy jednak powiedziałem, jak skończył jej kuzyn Guatemoc, zaczęła rozpaczać nad jego losem i nad tym, że zapadła ostatnia nadzieja Azteków i nie można jej było pocieszyć przez wiele dni.

Rozdział XIII

IZABELLA DE SIGUENZA ZOSTAJE POMSZCZONA

Przez wiele lat po śmierci Guatemoca żyliśmy z Otomi spokojnie w Pines. Nasz kraj był ubogi i dziki, więc choć przeciwstawialiśmy się Hiszpanom i nie składaliśmy im daniny, teraz, gdy Cortes powrócił do Hiszpanii, nie mieli ochoty próbować podboju. Z wyjątkiem kilku plemion żyjących, tak jak my, w trudno dostępnych rejonach, cały Anahuac znajdował się w ich rękach i próba podporządkowania resztek Otomich nie mogła im przynieść wielkich zysków, natomiast dużo strat, nic zatem dziwnego, że na razie dali nam spokój. Powiadam „resztek Otomich”, bo w miarę upływu czasu coraz więcej klanów poddawało się Hiszpanom, aż w końcu sprawowaliśmy władzę tylko nad miastem Pines i obszarem leżącym w promieniu kilkunastu mil od niego. Prawdę mówiąc, nawet i te resztki, które przy nas zostały, trzymała tylko miłość do Otomi i szacunek dla jej starożytnego rodu oraz pewien podziw dla mnie, jednego z niezwykłych białych, i dla moich zdolności dowódczych.

Można by spytać, czy byłem szczęśliwy? Miałem wiele powodów do szczęścia. Żaden mąż nie mógłby się pochwalić piękniejszą i bardziej kochającą żoną, żaden nie widział bardziej przekonywających dowodów poświęcenia żony. Z własnej, nieprzymuszonej woli położyła się obok mnie na kamieniu ofiarnym, potem przewyciężywszy przyrodzony jej płci strach i wstręt do takich czynów, nie zawahała się pobrudzić rąk krwią, aby mnie ocalić, jej spryt i rozsądek wybawiły mnie z wielu kłopotów, jej miłość była mi pociechą i otuchą w wielu strapieniach. Jeśli wdzięczność może podbić serce mężczyzny, to moje powinno na zawsze spocząć u jej stóp i po prawdzie było tak, a nawet w pewnym sensie jest do dziś dnia. Czy jednak wdzięczność, a nawet miłość, może sprawić, by człowiek zapomniał o swym ojczystym kraju?

Czyż ja, indiański wódz, walczący na czele skazanego na zagładę ludu z nieuchronnym przeznaczeniem, mogłem zapomnieć o czasach młodości, o swych ówczesnych lękach i nadziejach? Czy mogłem zapomnieć o dolinie Waveney i o tej, która tam została, czy mogłem zapomnieć o złożonej przysiędze? To prawda, złamałem ją, ale zmusiły mnie do tego okoliczności. Myślę, że wśród czytających tę opowieść będzie niewielu takich, którzy nie znaleźliby w niej usprawiedliwienia tego postępuku. Jestem pewien, że mało kto, znalazłszy się w moim położeniu, postąpiłby inaczej. Mimo to pamięć o Lily prześladowała mnie i niejedną nocą, nawet leżąc z Otomi, myślałem o niej. Na moim palcu nadal tkwił pierścień od niej, ale nie wiedziałem, czy jeszcze żyje czy została panną, czy też wyszła za mąż. Przepaść między nami pogłębiała się z każdym rokiem, ale myśl o niej towarzyszyła mi niczym cień. Nie opuszczała mnie w chwilach uniesień przeżywanych z Otomi, ba, nie mogłem się z niej otrząsnąć nawet kiedy całowały mnie moje dzieci. Ale najgorsze było to, iż sam czułem do siebie wstręt i pogardę z tej przyczyny. Gdyby jednak mogło być coś jeszcze gorszego niż najgorsze, to i tego los mi nie oszczędził, czułem bowiem, iż Otomi, choć nigdy nie wspomniała o tym ani słowem, czyta w moich myślach.

*Serca złączone,
Choć rozdzielone*

głosił napis na pierścieniu, który otrzymałem od Lily i w moim przypadku było tak naprawdę. Rzeczywiście byliśmy rozdzieleni, oddzielał nas przestwór, nad którym nie można było przerzucić żadnego mostu, a jednak nasze serca były nadal złączone. Być może jej serce dawno już przestało bić, lecz moje nadal biło dla niej.

Tak oto mijaly lata, nie zmieniając wiele w moim położeniu, i w końcu nabrałem pewności, iż przyjdzie mi żyć do śmierci w tym odległym kraju i spocząć w jego ziemi. Los jednak chciał inaczej.

Jeśli ktoś czytał uważnie opis mojego pobytu w Hiszpanii, to pamięta zapewne historię niejakiej Izabelli de Siguenza. Pamięta, jak ta nieszczęśliwa kobieta rzuciła w ostatnich chwilach swego życia przekleństwo na kapłana, który do jej cierpień dodał zniewagi i obrazę, jak błagała Boga, by zginął on z rąk takich samych fanatyków, ale w jeszcze okrutniejszy sposób. Otóż po podboju Anahuac wśród wielu duchownych, którzy przybyli

z Hiszpanii, aby torturami i mieczem nawracać Indian na wiarę w prawdziwego Boga, znalazł się i ów porywczy kapłan. Był on zresztą najbardziej gorliwy spośród wszystkich, którzy zjawili się tam, by głosić w tak osobliwy sposób dobrą nowinę. Indiańscy *pabas* postępowali okrutnie, wydzierając serce z piersi ofiary i składając je Huitzelcoatlowi lub Quetzalcoatlowi, ale przynajmniej - w swoim pojęciu - wysyłali jej duszę do nieba. Z nadejściem kapłanów chrześcijańskich kamień ofiarny zastąpiły narzędzia tortur i stos, ale dusze wydarte ciału posyłali nie do nieba, lecz do piekła.

Najodważniejszym, a jednocześnie najokrutniejszym spośród tych kapłanów był niejaki ojciec Pedro. Jego drogę wszędzie znaczyły trupy czciocieli bałwanów. W końcu nazwano go „Chrześcijańskim Diabłem”. W czasie jednej ze swych podróży „misyjnych” zapuścił się za daleko i został schwytyany przez klan Otomich, który wymówił nam posłuszeństwo z powodu, wspomnianego już wcześniej, zakazu składania ofiar z ludzi, ale nie został jeszcze podbity przez Hiszpanów. A więc pewnego dnia, w jakies czternaście lat od czasu, kiedy osiedliśmy z Otomi w Pines, dotarła do mnie wiadomość, że *pabas* tego klanu pochwycili chrześcijańskiego kapłana i chcą go złożyć w ofierze Tezcatlipoce.

Natychmiast, wzięwszy ze sobą tylko mały oddział, udałem się na ziemię zamieszkiwaną przez ów klan, mając zamiar złożyć wizytę jego wodzowi, z którym - mimo iż wypowiedział nam posłuszeństwo - podtrzymywałem pozory przyjaźni, i spróbować nakłonić go do uwolnienia jeńca.. Ale choć podróżowałem szybko, zemsta *pabas* była szybsza, bo kiedy przybyłem do wioski, „Chrześcijańskiego Diabła” prowadzono właśnie przed straszliwy, umieszczony na słupie otoczonym stosami czaszek, posąg bóstwa. Był nagi do pasa, ręce miał związane z tyłu, i patrzył na pogan raczej groźnie niż błagalnie. Poruszał szybko cienkimi wargami, szepcząc modlitwy i od czasu do czasu potrzasał gwałtownie głową, odganiając kłębiące się wokół niego dokuczliwe owady.

Spojrzałem na niego i wydało mi się, że już go gdzieś widziałem. Przyjrzałem się lepiej i przypomniałem sobie. Stała mi nagle przed oczami ponura krypta w Sewilli, młoda, ładna kobieta okryta całunem i ubrana na czarno kapłan uderzający ją w usta krucyfiksem z kości słoniowej i wyklinający ją jako bluźniącą Bogu heretyczkę. To był on. Izabella de Siguenza modliła się, aby spotkał go taki sam los jak ją i jej modły miały się spełnić. Przypomniawszy sobie Sewillę, porzuciłem zamiar starania się o jego

uwolnienie. Nawet gdybym mógł, nie ruszyłbym palcem w jego obronie. Stałem z boku, a kiedy przechodził koło mnie, powiedziałem po hiszpańsku:

- Przypomnij sobie, czcigodny ojcze, to, o czym być może już zapomniałeś, przedśmiertne przekleństwo Izabelli de Siguenza, którą wiele lat temu, w Sewilli, skazałeś na śmierć.

Mimo opalonej skóry widać było, że zbladł. Zachwiał się i myślałem, że upadnie. Spojrzał na mnie ze strachem i zobaczył normalny widok w tym otoczeniu - indiańskiego wodza cieszącego się ze śmierci jednego ze swych gnębieli.

- Czy jesteś diabłem, którego przysłało tu piekło, aby męczyć mnie w moich ostatnich chwilach? - spytał ochryple.

- Przypomnij sobie słowa Izabelli de Siguenza - odparłem. - Nie pytaj, skąd się tu wziąłem, ale przypomnij sobie te słowa i zapamiętaj je na zawsze.

Przez chwilę stał nieruchomo, nie zważając na szturchanie prowadzących go kapłanów. Potem wróciła mu odwaga i krzyknął wielkim głosem:

- Precz, Szatanie, czego mam się obawiać z twojej strony? Dobrze pamiętam tę grzesznicę - oby jej dusza zaznała spokoju po śmierci - i klątwę, którą na mnie rzuciła. Cieszę się, że ta klątwa się ziściła, bo ten kamień jest dla mnie przepustką do nieba. Precz, Szatanie, czego mam się obawiać z twej strony?

Krzycząc tak i potykając się, ruszył dalej. Potem zawołał: - O Boże, powierzam ci mą duszę! - Oby i jego dusza zaznała spokoju po śmierci, bo będąc okrutny, był także dzielny i nie uląkł się mąk, które sam zadawał innym.

Była to błaha sprawa, ale skutki miała poważne. Gdybym uratował ojca Pedro z rąk kapłanów Otomich, to jest bardzo prawdopodobne, że dziś nie spisywałbym tej historii w dolinie Waveney. Nie wiem, czy udałoby mi się go ocalić, wiem tylko tyle, że nie spróbowałem tego zrobić i że z przyczyny jego śmierci wpadłem w poważne tarapaty. Czy postąpiłem źle, czy dobrze? Któż to może wiedzieć? Ci, którzy osądzą kiedyś ten postępek, czytając moją opowieść, mogą dojść do wniosku, że podobnie jak w innych sprawach, tak i w tym przypadku postąpiłem źle. Gdyby jednak widzieli Izabellę de Siguenza zamurowaną żywcem w grobie, to na pewno przyznałoby mi rację. Bez względu jednak na to, czy zrobiłem źle czy dobrze, stało się, co się stało.

Na wieść o zabiciu duchownego przez buntowniczy lud Otomich nowy wicekról, świeżo przysłany z Hiszpanii, wpadł w gniew i postanowił pomścić jego śmierć.

Wkrótce dotarły wieści, że zbiera się potężna armia Tlascalan i innych szczepów, aby nas zetrzeć z powierzchni ziemi. Miało z nimi wyruszyć ponad stu Hiszpanów, a dowództwo nad całą wyprawą powierzono kapitanowi Bernalowi Diazowi, temu samemu, któremu darowałem życie podczas *noche triste* i którego miecz mam do tej pory.

Musieliśmy przygotować się do obrony. Raz już Hiszpanie zaatakowali nas z tysiącami swych sprzymierzeńców i niewiele osób z tej armii zobaczyło ponownie obóz Cortesa. To, co zrobiło się już raz, można powtórzyć - stwierdziła Otomi. Niestety, w ciągu czternastu lat wiele się u nas zmieniło. Przedtem nasza władza rozciągała się na cały ten górski kraj i na nasz rozkaz zamieszkujące go dzikie klany przysyłały setki wojowników. Teraz wszystkie te klany wymówiły nam posłuszeństwo i naszych rozkazów słuchało tylko Pines i okoliczne wioski. Kiedy Hiszpanie wyprawili się na nas po raz pierwszy, przeciwstawiłem im dziesięcioletnią armię, teraz mogłem z wielkim trudem zebrać dwa-trzy tysiące wojowników, z których zresztą część zdezerterowała, gdy nadeszła godzina próby.

Mimo to musiałem udawać pewność siebie i choć w głębi duszy bałem się o wynik tej batalii, starałem się robić, co mogłem. Nie zwierzałem się Otomi ze swych obaw, a ona też, jeśli czuła lęk, kryła go przede mną. Prawdę rzekłszy, myślę, że tak bardzo wierzyła we mnie, iż uważała, że ze swym sprytem mogę oprzeć się wszystkim wojskom Hiszpanów.

W końcu, na początku lata, wróg nadciągnął i ułożyłem plan bitwy tak samo, jak czternaście lat wcześniej, to znaczy udałem się z małą częścią mych sił w dół wąwozu, którym prowadziła jedyna droga do miasta, a resztę podzieliłem na dwie części i rozmieściłem na skałach po obu stronach przejścia, poleciwszy im zasypać Hiszpanów kamieniami, jak tylko zobaczą, że uciekam w stronę miasta. Podjąłem też inne środki bezpieczeństwa. Zakładając, że mogę rzeczywiście zostać wyparty do Pines, kazałem opatrzyć jego mury i bramy i obsadziłem załogą. Ostatnim punktem obrony uczyniłem na wszelki wypadek wyniosły szczyt *teocalli*, która po zaprzestaniu składania ofiar służyła jako arsenał. Zgromadziłem tam zapasy wody i żywności i umocniłem jej boki murami najężonymi ostrymi kawałkami szkła wulkanicznego, tak że wydawała się nie do zdobycia, dopóki miałyby choć kilkunastu obrońców.

Potem pożegnałem się z Otomi i zabrawszy ze sobą syna, który był już w wieku, kiedy zgodnie z indiańskimi zwyczajami chłopcy powinni poznać

smak walki, zagłębiłem się z kilkuset ludźmi w ciemną gardziel wąwozu. Zwiadowcy donieśli mi, że Hiszpanie, którzy leżeli obozem po drugiej stronie przełęczy, podejmą próbę ataku na godzinę przed świtem, spodziewając się zaskoczyć nas we śnie. Jakoż rzeczywiście wczesnym raniem, nim pierwsze promienie słońca zaróżowiły pokryty śniegiem szczyt wulkanu, doszedł do naszych uszu odległy szmer, który świadczył, iż Hiszpanie ruszyli. Poszedłem im naprzeciw, mimo ciemności posuwając się szybko, bo znaliśmy każdy kamień w wąwozie. Hiszpanom natomiast wspinaczka nie szła łatwo, gdyż wielu z nich było konno, a poza tym prowadzili ze sobą dwie armaty. Ciężkie działa co chwila utykały między głazami, bo w ciemnościach ciągnący je niewolnicy nie mogli dostrzec drogi. W końcu dowódca, nie chcąc podejmować niepewnej w tych warunkach walki, kazał się im zatrzymać i zaczekać, aż wstanie dzień.

Po pewnym czasie zaczęło się rozjaśniać i w mdłym świetle wczesnego poranka zobaczyliśmy długie szeregi zakutych w lśniące zbroje Hiszpanów i bardziej jeszcze błyszczące tysiące ich sprzymierzeńców w płaszczach z piór i malowanych hełmach. Oni też nas dojrzeli i szydząc z naszych skąpych sił, ruszyli niczym potężny, wijący się wąż w naszą stronę. Kiedy znaleźli się o jakieś sto kroków, jazda hiszpańska pochyliła lance i z bojowym okrzykiem skoczyła na nas. Zasypaliśmy ich gradem strzał, ale już po chwili siedzieli na nas, czyniąc spustoszenie w moich szeregach, gdyż indiańska broń nie mogła zbytnio zaszkodzić ludziom i koniom odzianym w stal. Musieliśmy uciekać, co zresztą zgodne było z moim planem, jako że chciałem wciągnąć wroga w to miejsce, gdzie parów się zwięzał, a jego ściany tworzyły nagie, prawie pionowe skały i gdzie można go było zmiażdżyć spuszczanymi z góry głazami. A zatem uciekaliśmy, a za nami pędzili uniesieni zwycięstwem Hiszpanie aż w końcu znaleźli się tam, gdzie przygotowałem zasadzkę. Z góry runął pojedynczy głaz, trafił w konia i powaliwszy go, potoczył się dalej, raniąc jeszcze kilka innych. Potem spadł następny głaz, a potem jeszcze jeden i wydawało mi się, że moja strategia jeszcze raz przyniosła mi zwycięstwo.

Nagle jednak z góry dobiegły mnie głosy zupełnie inne niż łoskot spadających kamieni, głosy walczących ludzi. Wrzawa potężniała, aż w końcu wypełniła cały wąwóz. Potem nagle spadło coś koziółkując w powietrzu. Nie był to głaz, lecz człowiek - jeden z moich ludzi. Była to jakby pierwsza kropla poprzedzająca deszcz, bo po nim posypali się inni.

Wtedy zrozumiałem, że przechytrzone mnie. Hiszpanie zbyt długo

prowadzili wojny, by dać się po raz drugi nabrać na tę samą sztuczkę. Weszli do wąwozu, bo musieli, ale przedtem, tajemnymi ścieżkami, które im zdradzono, wysłali pod osłoną nocy duże siły, aby rozprawiły się z tymi, którzy na nich czyhali. I, faktycznie, rozprawiły się aż nazbyt dobrze, gdyż Otomi, leżąc pośród krzaków rosnących na skraju wąwozu, wypatrywali wroga na dole i nawet na myśl im nie przyszło, że może pojawić się z tyłu. Ich zaskoczenie było więc zupełne. Ledwie zdążyli chwycić broń, którą położyli z boku, aby nie przeszkadzała im w zrzucaniu kamieni, kiedy runęły na nich z wrzaskiem znacznie liczniejsze zastępy wroga. Walka była krótka, ale rozstrzygająca. Za późno to zrozumiałem. Przeklinałem swoją głupotę, przez którą nie zabezpieczyłem się przed taką możliwością. Wydawało mi się bowiem zupełnie niemożliwe, by Hiszpanie znaleźli tajemne ścieżki z drugiej strony gór, ale zapomniałem, że na świecie istnieje zdrada.

Rozdział XIV

OBŁĘŻENIE PINES

Bitwa była już przegrana. Tysiąc stóp nad naszymi głowami rozbrzmiewał okrzyk zwycięstwa. Bitwa była przegrana, ale nadal musiałem walczyć. Najszybciej jak mogłem pozbierałem wszystkich, którzy mi zostali i wycofałem się za załom wąwozu, w miejsce, gdzie dwudziestu zdecydowanych na wszystko ludzi mogło na pewien czas powstrzymać całą armię. Tam spytałem, kto zostanie ze mną bronić przejścia. Zgłosiło się wielu. Wybrałem spośród nich pięćdziesięciu, a może więcej, a reszcie kazałem szybko biec do Pines i ostrzec załogę miasta, że zbliża się niebezpieczeństwo. Poza tym kazałem przekazać Otomi, że gdybym poległ, ma stawiać jak najsilniejszy opór Hiszpanom, dopóki, jeśli będzie to w ogóle możliwe, nie uda się jej uzyskać od nich gwarancji bezpieczeństwa dla siebie, dziecka i całego ludu. Obiecywałem, że będę bronił dostępu do miasta, żeby pozostali w nim mieszkańcy mieli czas zamknąć bramy i obsadzić wojskiem mury. Z główną częścią pozostałych przy życiu wojowników odesłałem też, mimo jego gorących protestów, syna. Nie spodziewając się niczego oprócz śmierci, za nic nie chciałem się zgodzić, aby został ze mną.

Obawiając się następnej zasadzki, Hiszpanie powoli i ostrożnie zbliżali

się do zakrętu. Zobaczywszy zaledwie garstkę ludzi gotowych na ich spotkanie, zatrzymali się, bo byli już pewni, że to podstęp. Nie wierzyli, że kilkudziesięciu wojowników zdecydowało się stawić czoła ich całej armii. Teren był tam tak ukształtowany, że mogli nas atakować tylko po kilkanaście osób, a przy tym nie mieli możliwości skorzystania z armat. Nawet arkebuzy nie na wiele mogły się tam przydać. W dodatku nierówna droga nie pozwalała na szarżę konnicy, więc gdyby w ogóle zdecydowali się na bój, to musieliby atakować pieszo. Tak też w końcu zrobili. Po naszej i po ich stronie padło wielu zabitych, choć ja sam nie odniosłem żadnej rany. W końcu, cal po calu, zaczęli nas wypierać. Cofaliśmy się aż do wyjścia z wąwozu, które od murów Pines, a raczej od tego, co z nich zostało, dzieli około tysiąca jardów. Nie było sensu walczyć dalej. Musieliśmy wybierać między śmiercią a ucieczką i jak łatwo zgadnąć, w trosce jeśli już nie o nasze, to przynajmniej naszych żon i dzieci życie, wybraliśmy to drugie. Popędziliśmy w kierunku miasta jak jelenie, a za nami Hiszpanie jak psy gończe. Na szczęście dla nas teren tam jest nierówny i usłany kamieniami, przez co ich konie nie mogły rozwinąć pełnej szybkości i w rezultacie udało nam się bezpiecznie dopaść do bramy. Zostało nas może dwudziestu. Z całej armii, która ze mną wyruszyła, powróciło nie więcej niż pięciuset ludzi, a drugie tyle było w mieście.

Zatrzaśnięto za nami ciężką bramę i zaledwie zdążono zaryglować ją potężnymi dębowymi kłodami, znaleźli się przy niej pierwsi Hiszpanie. Nadal trzymałem w ręku łuk, a w kołczanie została mi jeszcze jedna strzała. Założyłem ją na cięciwę i napiąwszy łuk, wypuściłem ją przez otwór w bramie na młodego, wspaniale wyglądającego rycerza, który jechał na samym przedzie. Trafiała między podbródek hełmu a napierśnik i rycerz rozrzuciwszy szeroko ręce przechylił się do tyłu, spadł z konia i leżąc bez ruchu. Na ten widok reszta szybko się wycofała, ale wkrótce jeden podjechał ponownie z białą flagą w dłoni. Miał dzielną postawę, odziany był w bogatą zbroję i przyglądając się mu, odniosłem wrażenie, że gdzieś go już widziałem. Przed bramą ściągnął koniowi wodze, podniósł zasłonę hełmu i zaczął mówić.

Poznałem go od razu. Był to de Garcia, mój stary wróg, o którym nic nie słyszałem przez dwanaście lat. Czas odcisnął na nim swoje piętno, i trudno się było temu dziwić, bo miał już przynajmniej sześćdziesiąt lat. W jego kasztanowej brodzie widać było pasemka siwizny, policzki miał zapadnięte, a usta z tej odległości wyglądały jak dwie cienkie kreski, ale wzrok miał nadal przenikliwy i ten sam okrutny uśmieszek igrający na

ustach. Bez wątpienia był to de Garcia, który zawsze pojawiał się w krytycznych momentach mego życia, aby ściągnąć na mnie jakieś nieszczęście. Czulem, że zbliża się ostatnia, rozstrzygająca walka między nami i że najdalej za kilka dni nienawiść, która nagromadziła się w sercach nas obu, zostanie z jednym z nas pogrzebana na wieki. Jakże okrutnego figła spletał mi znowu los! Zaledwie parę minut wcześniej zastanawiałem się, czy skierować ostatnią strzałę na owego młodego rycerza, który teraz leżał martwy, czy też na tego, który jechał za nim i, proszę, zabiłem tego, który mi niczym nie zawinił, a śmiertelnemu wrogowi pozwoliłem wyjść cało!

- Hej tam! - krzyknął de Garcia po hiszpańsku. - W imieniu kapitana Bernala Diaza, który dowodzi tą armią, chcę rozmawiać z przywódcą buntowników!

Po stojącej obok mnie drabinie wszedłem na mur i odparłem:

- Mów, jestem tym, o którego ci chodzi.

- Dobrze mówisz po hiszpańsku, przyjacielu - powiedział de Garcia, przyglądając mi się badawczo spod ściągniętych brwi. - Gdzie się tego nauczyłeś? I jak masz na imię?

- Nauczyłem się tego, Juanie de Garcia, od pewnej donny Luizy, którą dobrze znałeś w czasach swej młodości. A nazywam się Tomasz Wingfield.

De Garcia zachwiał się na siodle. - Matko Boska! - zawołał.

- Mówiono mi, że znalazłeś schronienie u jakichś dzikusów, ale było to wiele lat temu. Od tamtej pory zdążyłem być w Hiszpanii i wrócić i myślałem, że już nie żyjesz. Naprawdę mam szczęście, bo nic mnie tak nie martwiło, zdrajco, jak to, że tyle razy udało ci się uciec. Ale tym razem już ci się nie uda. Możesz być pewien.

- Dobrze wiem, de Garcia, że dla jednego z nas nie ma stąd ucieczki. To ostatnia runda tej gry, ale nie bądź taki pewien siebie, bo tylko Bóg wie, kto wygra. Szczęście długo ci sprzyjało, ale może bliski jest dzień, kiedy cię opuści. Do rzeczy! Mów z czym przybywasz.

Przez chwilę milczał, szarpiąc brodę i zdawało mi się, że w jego oczach znów widzę tę samą trwogę, co dawniej. Jeśli rzeczywiście ogarnął go strach, to szybko się z niego otrząsnął, bo podniósłszy głowę, powiedział śmiało i wyraźnie:

- Oto, co mam przekazać, Tomaszu Wingfield, tobie i tym Otomim, którym udało się jeszcze zachować życie. Kapitan Bernal Diaz proponuje

wam w imieniu Jego Wysokości Wicekróla, żebyście się poddali.

- Na jakich warunkach?

- Bardzo łagodnych jak dla takich przeklętych buntowników i pogan - odparł szyderczo. - Poddajcie się bezwarunkowo, a wicekról przyjmie w swej łaskawości wasze poddanie. Jednak, żebyście potem nie skarżyli się, że złamano dane wam słowo, wyjaśniam od razu, że rozliczne zbrodnie nie ujdą wam bezkarnie. Wszyscy, którzy brali udział w zamordowaniu świętego męża, ojca Pedro, zostaną spaleni na stosie, a tym, którzy patrzyli na tę diabelską zbrodnię, zostaną wylupione oczy. Ci spośród przywódców Otomich, których wybiorą sędziowie, a szczególnie ty, kuzynie, i ta kobieta, córka Montezumy, zostaną publicznie powieszani. Reszta mieszkańców miasta musi przekazać cały swój majątek wicekrólowi. Potem wszyscy, mężczyźni, kobiety i dzieci, zostaną rozdzieleni według uznania wicekróla między wybranych przez niego osadników hiszpańskich, aby na ich posiadłościach nauczyć się pożytecznych umiejętności uprawy roli i pracy w kopalniach. Takie są warunki kapitulacji. Kazano mi oznajmić, że macie godzinę czasu na to, aby je przyjąć.

- A jeśli je odrzucimy?

- Wtedy kapitan Bernal Diaz da rozkaz do szturm. Po zdobyciu, miasto zostanie wydane na dwanaście godzin Tlascalanom i innym wiernym naszym sojusznikom, aby pozbierali tych, którzy jeszcze będą żyli i zabrali ich do Meksyku, gdzie zostaną sprzedani jako niewolnicy. Potem wszystko zostanie zburzone.

- Dobrze - odparłem. - Za godzinę dostaniesz odpowiedź.

Zostawiwszy przy bramie straż i rozesławszy ludzi, aby zawiadomili pozostałych jeszcze przy życiu członków rady o zebraniu, pospieszyłem do pałacu. W jego drzwiach spotkałem Otomi, która powitała mnie z radością, bo dowiedziawszy się o klęsce w wąwozie, nie spodziewała się mnie już nigdy zobaczyć.

- Chodź ze mną do Sali Zgromadzeń - powiedziałem. - Tam porozmawiamy.

W sali zbierali się już członkowie rady. Jak tylko zgromadziła się większość, raptem ośmiu - tyłu z nas zostało, powtórzyłem ; im, bez żadnego komentarza, słowa de Garcii. Po mnie zabrała głos Otomi, gdyż z racji stanowiska miała do tego prawo. Dwukrotnie już słyszałem, jak zwracała się do Otomich w sprawie obrony przed Hiszpanami. Po raz pierwszy kiedy przybyliśmy do Pines jako wysłannicy Cuitlahuy, następcy Montezumy, z prośbą o pomoc przeciw Cortesowi, po raz drugi przed czternastoma laty,

gdy zjawiliśmy się tam po upadku Tenochtitlan jako uciekinierzy i roz-
wścieczona ludność chciała wydać nas w ręce Hiszpanów. Za każdym ra-
zem Otomi udawało się, dzięki umiejętności przekonywania, świetnemu
nazwisku i majestatycznemu wyglądowi, osiągnąć cel. Teraz jednak spr-
awy przedstawiały się inaczej i nawet gdyby odwołała się do tych atutów,
niewiele by jej pomogły. Teraz świetność jej nazwiska, tak jak świetność
całej monarchii, była tylko cieniem, teraz nie była już młoda i jej uroda nie
oślniewała jak dawniej, teraz nie apelowała do poczucia dumy i nie przy-
woływała chlubnych tradycji ludu skazanego na zagładę. Mimo to, kiedy
zwróciła się do zebranych, wydało mi się, że nigdy nie wyglądała wspania-
lej i nigdy nie mówiła bardziej przekonująco.

- Przyjaciele - powiedziała - znacie naszą beznadziejną sytuację. Mój
mąż przekazał wam słowa Teule'ów. Zostało nam najwyżej tysiąc ludzi do
obrony tego miasta, kolebki naszych przodków. Jesteśmy jedynym ludem
Anahuac, który ośmiela się jeszcze walczyć z białymi. Przed laty powie-
działam: „Wybierajcie między śmiercią z honorem a życiem w hańbie”.
Dziś powtarzam to. Wybierajcie! Dla mnie i mojej rodziny nie ma wyboru,
bo bez względu na to, co postanowicie, naszym udziałem będzie śmierć.
Jednak wasze położenie jest inne. Czy zginiecie z bronią w ręku, czy też
wybierzecie dla siebie i dla swych dzieci życie niewolników?

Przez chwilę członkowie rady rozmawiali między sobą, a potem prze-
mówił jeden z nich:

- Otomi, przez wiele lat postępowaliśmy zgodnie z twoją i twego męża
radą i przyniosło to nam niewiele dobrego. Nie winimy was za to, bo opu-
ścili nas bogowie, a tylko oni stoją pomiędzy ludźmi a ich przeznacze-
niem. Dzieliliście z nami wszystkie nieszczęścia i teraz są one naszym
wspólnym udziałem. W ostatniej naszej godzinie nie cofniemy raz danego
słowa. Wybraliśmy - żyliśmy z wami jako ludzie wolni i jako tacy razem z
wami zginieśmy, bo zgadzamy się z tobą, że lepiej umrzeć wolnym niż żyć
w jarzmie niewoli.

- Dobrze - odparła Otomi. - Teraz pozostaje nam tylko poszukać tak
wspaniałej śmierci, by potem opiewano ją w pieśniach. Mężu, słyszałeś
odповідź rady. Niech usłyszą ją też Hiszpanie.

Wróciłem więc, z białą flagą w ręku, na mur i wkrótce podjechał do
bramy poseł hiszpański, ale nie był to już de Garcia. Powiedziałem mu w

paru słowach, że pozostali jeszcze przy życiu Otomi wołają, jak mieszkańcy Tenocitlan, zginąć pod gruzami swego miasta niż, mając jeszcze dzidy i silne ramiona, poddać się.

Posel odjechał do obozu i po godzinie zaczął się szturm. Hiszpanie ustawili działa o sto kroków od bramy i spokojnie zasypywali nas gradem kul, gdyż na taką odległość nasze strzały i dzidy nie mogły im wyrządzić poważniejszej szkody. Mimo to nie próżnowaliśmy. Zdając sobie sprawę, że drewniana brama nie wytrzyma długo, zburzyliśmy domy stojące po obu stronach biegnącej od niej ulicy i zasypaliśmy przejście kamieniami i belkami. Za tą barykadą kazałem wykopać duży rów, przez który konnica i armaty mogły się przeprawić dopiero po jego zasypaniu. Takie same barykady, obrzeżone z przodu i z tyłu rowami, wznieśliśmy jeszcze w paru innych miejscach prowadzącej do *teocalli* ulicy. Na wypadek gdyby Hiszpanie chcieli zaatakować nas z flanki i przedostać się wąskimi, krętymi uliczkami, odchodzącymi od głównej ulicy, kazałem również zabarykadować cztery boczne wejścia na wielki plac przed świątynią.

Hiszpanie bombardowali aż do zmierzchu potrzaskane szczątki bramy i barykadę za nią, nie czyniąc nam, jeśli nie liczyć kilkunastu zabitych, większych szkód, ale nie próbowali bezpośredniego ataku. Z zapadnięciem zmroku ustał ogień, ale nie nasza praca. Większość mężczyzn musiała pilnować bramy i słabszych miejsc umocnień, tak że wznoszenie barykad przypadło w udziale głównie kobietom, które pracowały pod moim kierunkiem. Otomi z miejsca zabrała się do roboty, a za jej przykładem poszły wszystkie kobiety. Było ich bardzo dużo, gdyż wśród Otomich w ogóle więcej było kobiet niż mężczyzn, a w dodatku wiele spośród nich zostało wdowami. Przedstawały niesamowity widok, taszcząc przez całą noc, w świetle pochodni z żywicznego drzewa sosnowego, od którego wzięło swą nazwę ich miasto, ciężkie kamienie i kosze piachu, kopiąc drewnianymi łopatami rowy w twardej ziemi i rozbierając domy. Pracowały bez wytchnienia, z ponurym uporem, nie żaląc się i nie rozpaczając. Nawet te, które straciły rankiem mężów i synów w wąwozie, nie uroniły ani jednej łzy. Wiedziały, że opór będzie bezskuteczny i że niedługo czeka je zagłada, ale żadna nie zaproponowała, żeby poddać się Hiszpanom. Te, które w ogóle mówiły na ten temat, podzielały zdanie Otomi, że lepiej umrzeć wolną niż żyć jako niewolnica, większość jednak nie odzywała się ani słowem.

Stare i młode, mężatki, panny i wdowy, pracowały w milczeniu, a obok nich pracowały ich dzieci.

Patrząc na to, pomyślałem, że ożywia je jakiś wspólny, podyktowany rozpaczą cel, o którym wszystkie wiedzą, ale żadna nie chce mówić.

- Trudziecie się tak dla waszych panów, Teule'ów? – krzyknął drwiąco jakiś mężczyzna, kiedy kilka z nich miało go z ładunkiem kamieni.

- Głupcze - odparła ich przywódczyni, młoda i śliczna dziewczyna - czy martwi pracują?

- Nie - powiedział niewczesny wesołek - ale jesteście za ładne, żeby Teule was zabili. Pożyjecie jeszcze długo w niewoli. Jak chcesz jej uniknąć?

- Głupcze - odparła ponownie - czy ogień gaśnie tylko wtedy, kiedy brakuje opału? Czy każdy musi żyć aż do starości? O, tak chcemy tego uniknąć - rzuciła na ziemię pochodnię i zdeptawszy jej płomień, poszła dalej. Wtedy nabrałem pewności, że nie uległem złudzeniu i że rzeczywiście powzięły jakiś plan, choć w dalszym ciągu nie wiedziałem na czym ma polegać, a Otomi nic mi nie chciała powiedzieć o tej tajemnicy.

- Otomi - powiedziałem, kiedy przypadkiem natknąłem się na nią. - Mam dla ciebie złe nowiny.

- Muszą być naprawdę złe, skoro niepokoisz mnie o takiej godzinie - odparła.

- Wśród naszych nieprzyjaciół jest de Garcia.

- Wiem o tym.

- Skąd?

- Wyczytałam to z nienawiści malującej się w twoich oczach.

- Wygląda na to, że zbliża się godzina jego tryumfu - powiedziałem.

- Nie, ukochany, nie jego, lecz twojego tryumfu. Zwycięzisz go, ale to zwycięstwo będzie cię drogo kosztowało. Czuję to. Spójrz, Królowa wkłada już swą koronę - wskazała na wierzchołek wulkanu zaróżowiony jutrzenką - i musisz iść na mury, bo Hiszpanie niedługo zaczną.

Akurat w tej chwili usłyszałem za murami trąbkę. Znalazłszy się przy bramie, zobaczyłem w pierwszych promieniach brzasku, że Hiszpanie szykują się do szturm. Nie uderzyli jednak od razu, lecz czekali, aż słońce wzniesie się wyżej. Wtedy otworzyli gwałtowny ogień, który obrócił bramę w pył i uszkodził nawet górną część znajdujących się za nią umocnień.

Nagle kanonada ucichła i ponownie odezwała się trąbka. Ruszyły na nas szeregi Tlascalan, za którymi postępowali Hiszpanie. Było ich ponad tysiąc. Oczekiwałem ich z trzystoma ludźmi. Po dwóch minutach zobaczyłem ich głowy wyłaniające się znad krawędzi szanca i zaczęła się walka. Odparliśmy ich trzy razy, ale za czwartym razem fala nieprzyjaciół przelała się przez umocnienia i znalazła się w rowie za barykadą.

Musieliśmy uciekać na następną barykadę, bo z tak przeważającymi siłami nie mogliśmy walczyć na otwartej przestrzeni. Jak tylko zasypali rów, przesła ich konnica i armaty i znowu uderzyli na nas. Druga barykada była mocniejsza, więc udało się nam ją utrzymać przez cztery godziny, choć z dużymi stratami. Ale i straty Hiszpanów były znaczne. Potem wycofaliśmy się na następny szaniec, na który też uderzyli, i tak cofaliśmy się, a oni następowali na nas przez cały dzień. Nasze siły topniały z każdą godziną, lecz rozpaczliwie walczyliśmy dalej. Na ostatnich dwóch barykadach, u boku swych mężów i braci, walczyły setki kobiet. Ostatni szaniec został zdobyty przez Hiszpanów o zachodzie. Pod osłoną gęstniejących ciemności resztkę nas uciekła na *teocalli* i na tym skończyła się bitwa owego dnia.

Rozdział XV

OSTATNIA OFIARA KOBIET OTOMI

Na dziedzińcu świątyni, przy blasku płonących domów, bo Hiszpanie posuwając się, podpalali miasto, przeliczyliśmy nasze szyki i okazało się, że zostało nam w sumie około czterystu zdolnych do walki mężczyzn, blisko dwa tysiące kobiet i dużo dzieci. Choć *teocalli* w Pines nie była tak potężna jak wielka świątynia w Meksyku, to ściany miała bardziej strome i oblicowane płytami kamiennymi, a taras na jej szczycie nie ustępował wielkością tamtemu i mierzył około stu stóp na sto. Był wyłożony blokami marmuru, a w jego środku stało sanktuarium boga wojny, gdzie nadal, choć od wielu lat nie składano mu ofiar, znajdował się jego posąg, kamień ofiarny, ołtarz z paleniskiem i pomieszczenia dla kapłanów. Poza tym przed świątynią boga wydrążona była głęboka dziura wielkości sporego pokoju, w której w latach nieurodzaju trzymano zboże. Przed oblężeniem kazałem ją napęlnić wodą, którą z wielkim nakładem sił noszono w kubłach z dołu, natomiast w świątyni zgromadziłem duże zapasy żywności.

Nie zagrażał nam więc na razie głód ani pragnienie.

Musieliśmy jednak uporać się z nową trudnością, bo aczkolwiek szczytowy taras piramidy był obszerny, to nie mógł pomieścić nawet połowy z nas i jeśli mieliśmy zamiar bronić się tam, to część tłumu zebranego u stóp *teocalli* musiała poszukać schronienia gdzie indziej. Zwołałem dowódców i przedstawiłem w paru słowach sytuację, zostawiając im decyzję co do dalszych posunięć. Naradzili się między sobą i w końcu zakomunikowali mi, że ustalili, iż wszyscy starcy, ranni, większość dzieci i kto jeszcze będzie miał na to ochotę powinni w nocy opuścić *teocalli* i spróbować wydostać się z miasta, a jeśli im się to nie uda, zdać się na łaskę Hiszpanów. Przystąpiłem na to, gdyż i tak śmierć groziła nam z każdej strony i nie było ważne, kogo w końcu z której dosięgnie. Do wyjścia przygotowało się około półtora tysiąca ludzi. O północy otworzyliśmy bramy i wypuściliśmy ich. Okropny był widok pożegnania. Tu córka ścisnęła ojca-staruszkę, tam mąż i żona obejmowali się po raz ostatni, gdzie indziej matki całowały swe małe dzieci, a zewsząd słychać było płacz tych, którzy rozdzielali się na zawsze. Ukryłem twarz w dłoniach, zastanawiając się, nie po raz pierwszy, jak Bóg, który jest miłosierdziem, może spokojnie przyglądać się widokom, które rozdzierają serca nawet grzesznikom.

Potem podniosłem głowę i spytałem Otomi, która stała obok mnie, czy nie chce odesłać z innymi naszego syna.

- Nie! - odparła. - Lepiej będzie dla niego umrzeć z nami niż zostać niewolnikiem Hiszpanów.

Wreszcie za ostatnim z uciekinierów zamknęła się brama. Krótco potem usłyszeliśmy głosy wart wroga wzywające ich do zatrzymania się i kilka strzałów, którym wtórowały krzyki.

- Na pewno mordują ich Tlascalanie - powiedziałem.

Stało się jednak inaczej. Zabiwszy parę osób, Hiszpanie zorientowali się, że strzelają do bezbronnego tłumu, składającego się w większości ze starców, kobiet i dzieci, i ich dowódca, Bernal Diaz, miłosierny choć szorstki człowiek, nakazał wstrzymać ogień. Zrobił nawet więcej, bo wybrawszy w pełni sprawnych mężczyzn i dzieci, które były wystarczająco silne, aby znieść trudy podróży, pozwolił reszcie odejść dokąd chcieli. Co się jednak później z nimi stało, nie wiem.

Tę noc spędziliśmy na dziedzińcu *teocalli*, ale przed świtem kazałem kobietom i dzieciom, które pozostały z nami - było ich w sumie może około sześciu setek, bo z tych, które nie miały mężów albo będąc mężatkami,

zachowały jeszcze urodę i młodość, tylko niewiele zdecydowało się nas opuścić - wejść na szczyt piramidy. Ja sam zostałem jednak na dole, czekając z grupą wojowników zdolnych do walki na atak. Było nas trzystu, bo ponad setka postanowiła zdać się na łaskę Hiszpanów i opuściła nas ze starcami i kobietami. O świcie zaczął się szturm, a około południa, choć dawaliśmy z siebie wszystko, aby go odeprzeć, wróg sforsował mur. Zostawiając prawie stu zabitych i rannych, musiałem wycofać się na drogę biegnącą serpentyną na szczyt piramidy. Tam zostaliśmy ponownie zaatakowani, ale ponieważ droga była nie tylko kręta, lecz stroma i wąska, wrogowie nie mogli wykorzystać swej przewagi liczebnej i udało nam się ich zepchnąć ze znacznymi stratami. Była to ostatnia walka tego dnia.

Noc spędziliśmy na szczycie piramidy. Byłem tak wyczerpany, że zaraz po kolacji zasnąłem i nigdy chyba nie spałem mocniej. Rankiem walka rozgorzała na nowo, ale tym razem Hiszpanom bardziej sprzyjało szczęście. Pod osłoną arkebuzów i armat wypierali nas w górę cal po calu. Biliśmy się przez cały dzień. W końcu, przed zachodem słońca, straż przednia nieprzyjaciela wdarła się z okrzykami tryumfu na szczyt piramidy i puściła się w stronę znajdującej się pośrodku tarasu świątyni. Przez cały dzień kobiety przyglądały się bitwie w milczeniu, ale teraz jedna z nich skoczyła naprzód z okrzykiem: - Łapcie ich! Jest ich niewiele!

Na te słowa tłum kobiet rzucił się z wściekłym wyciem na zmęczonych walką Hiszpanów i Tlascalan i dosłownie zalał ich. Wiele kobiet zginęło przy tym, ale tak bardzo przewyższyły wrogów liczebnie, że w końcu pokonały ich i pojmaly, przywiązując linami do miedzianych pierścieni osadzonych w płytach tarasu, do których w przeszłości przywiązywano ludzi skazanych na śmierć na kamieniu ofiarnym, jeśli było ich tak wielu, że kapłani obawiali się, by ktoś nie uciekł. Ja i reszta wojowników przyglądaliśmy się temu ze zdumieniem, aż w końcu krzyknąłem:

- Otomi, czy pozwolimy, by nasze kobiety przewyższyły nas męstwem? - i nie czekając popędziłem stromą drogą w dół, a za mną setka moich towarzyszy.

Zaraz na pierwszym zakręcie wpadliśmy na główne siły Hiszpanów i ich sojuszników. Wspinali się powoli, bo byli już pewni zwycięstwa. Siła naszego uderzenia była tak duża, że wielu z nich stoczyło się ze ścieżki i spadło ze stromych ścian piramidy. Widząc, jaki los spotkał ich towarzyszy, idący z tyłu zatrzymali się, a potem zaczęli spychać w dół dalsze szeregi i w końcu całą kolumnę ogarnęła panika. Wrzeszcząc wniebogłosy,

długi wąż ludzi, wijący się od podstawy aż prawie po wierzchołek piramidy, rzucił się do ucieczki. Tylko nieliczni próbowali walczyć, ale na niewiele im się to zdało, bo napór uciekających był tak duży, że spadali z piramidy. Nie było się tam czego chwycić, a więc jeśli ktoś stracił oparcie dla nóg, zatrzymywał się dopiero na dziedzińcu, roztrzaskując się o jego płyty. I tak w ciągu kwadransa Hiszpanie stracili wszystko to, co wywalczyli przez cały dzień, bo z wyjątkiem pojmanych na szczycie nikt z tych, którzy w momencie naszego ataku znajdowali się na *teocalli*, nie uszedł z życiem. Zdjął ich taki strach, że zabierając rannych wycofali się aż do obozu, za mury otaczające dziedziniec.

Wyczerpani, lecz tryumfujący, skierowaliśmy się z powrotem na taras piramidy, ale kiedy skręciłem za załom znajdujący się na wysokości jakichś stu stóp nad ziemią, przyszedł mi nagle do głowy pewien pomysł. Zatrzymałem wszystkich i zdarłszy kamienne płyty, którymi wyłożony był skraj drogi, zrzuciliśmy je na dół. Usuwaliśmy tak warstwę za warstwą, aż w końcu w miejscu, gdzie przedtem była droga, pojawiła się szeroka na trzydzieści stóp, ziejąca dziura.

- Teraz - powiedziałem spoglądając przy świetle wschodzącego księżyca na nasze dzieło - ten Hiszpan, który będzie chciał zdobyć nasze gniazdo, będzie musiał sprawić sobie skrzydła.

- Tak, Teule - odpowiedział ktoś z boku - ale powiedz, jakie skrzydła my znajdziemy, żeby się stąd wydostać.

- Skrzydła śmierci - powiedziałem ponuro i zacząłem wchodzić na szczyt.

Kiedy się tam znalazłem, było już koło północy, bo praca przy rozbieraniu drogi zajęła nam wiele godzin, a kobiety zniosły nam z góry jedzenie. Zdziwiłem się słysząc dźwięki uroczystej pieśni, a moje zdumienie wzrosło jeszcze bardziej, kiedy zobaczyłem, że drzwi świątyni Huitzelcoatla są otwarte i że po tylu latach na jego ołtarzu ponownie płonie święty ogień. Stałem nieruchomo, nasłuchując. Czy mylił mnie słuch, czy też naprawdę słyszałem okropną pieśń wtórującą składaniu ofiary? Nie, słuch mnie nie zwodził, bo oto ponownie usłyszałem refren:

Składamy Ci ofiarę!

Ocal nas, O Huitzelcoatlu,

Huitzelcoatlu, nasz Panie i Boże!

Poszedłem szybko w kierunku świątyni i skręciwszy za jej róg, znalazłem się twarzą w twarz z przeszłością, bo jak za dawnych lat, byli tam *paba* w swoich czarnych szatach, z długimi, spływającymi na ramiona włosami i straszliwymi nożami ze szkła wulkanicznego u pasów, na prawo od kamienia ofiarnego stali poświęceni bogu, a ludzie w szatach kapłanów prowadzili już pierwszego, Tlascalanina, na zarżnięcie. Obok kamienia, odziany w szkarłatną szatę mistrza ceremonii, stał jeden z podległych mi wodzów, który - jak sobie przypominałem - sprawował przed wydaniem zakazu składania ludzkich ofiar funkcję kapłana Tezcatlipoki w Pines. Wokół stały szerokim kołem kobiety i z ich to ust wydobywał się ten przerażający śpiew.

W jednej chwili zrozumiałem wszystko. Doprowadzone do .skrajnej rozpacz, oszalałe z bólu po stracie ojców, mężów i dzieci, stojąc w obliczu pewnej śmierci, wróciły do starej wiary. Była tam przecież świątynia, był kamień ofiarny i rytualne narzędzia używane przy składaniu ofiar, i wreszcie w ich rękach znajdowali się pojmani i znieawidzeni wrogowie. A więc chciały się po raz ostatni zemścić, złożyć ofiarę bogom swych ojców. Skoro muszą i tak umrzeć, to przynajmniej, dzięki krwi wytoczonej ze znieawidzonych wrogów, dostaną się do Domów Słońca.

Powiedziałem, że to kobiety śpiewały ofiarną pieśń i patrzyły z nienawiścią na ofiary, ale nie powiedziałem jeszcze, co zdjęło mnie największym przerażeniem. Oto przed kobietami otaczającymi kołem ołtarz, ubrana w białą suknię, z ofiarowanym mi przez Guatemoca sznurem szmaragdów na szyi i zielonymi piórami, oznaką królewskiej władzy, na głowie, dyrygując chórem, stała moja żona, Otomi. Wyglądała pięknie, ale jednocześnie przerażająco. Jeśli to była Otomi, to gdzie podział się jej miły uśmiech i łagodne spojrzenie? Miałem przed sobą Zemstę wcieloną w postać kobiety. Odgadłem prawdę, choć - jak się później okazało - nie całą. Otomi, która choć nie została w niej wychowana, zawsze darzyła sympatią wiarę chrześcijańską, która nigdy nie potrafiła mówić o tych okropnych, pogańskich ceremoniach bez gniewu, której każdy uczynek przesiąknięty był miłością a każde słowo czułością, w sercu pozostała bałwochwalczynią i dzikuską. Przez wszystkie te lata ukrywała przede mną tę tajemnicę, może nawet sama się jej nie domyślała, ale dwukrotnie dane mi było poznać jej ukrytą naturę. Po raz pierwszy zdarzyło się to, gdy Marina przyniosła jej suknię nierządniczy, aby w tym przebraniu mogła uciec z obozu Cortesa, po raz drugi tego samego dnia, kiedy uderzyła pochylonego nade mną Tlascalanina.

Wszystko to przemknęło mi przez myśl w tej krótkiej chwili, gdy patrzyłem, jak Otomi wyznacza rytm pieśni śmierci, a *pabas* ciągną Tlascalanina na kamień.

W następnej sekundzie byłem już przy niej.

- Co tu się dzieje? - spytałem surowo.

Otomi spojrzała na mnie pustym wzrokiem, jak gdyby mnie nie poznawała.

- Odejdź stąd, biały człowieku - powiedziała. - Obcym nie wolno uczestniczyć w naszych obrzędach.

Stałem oniemiały, nie wiedząc, co robić, a tymczasem płonął ogień i rozlegała się pieśń przed posągami Huitzelcoatla, demona Huitzelcoatla, który obudził się po tylu latach snu.

W końcu zbudziłem się z tego snu, bo to wszystko wydawało mi się koszmarnym snem i wyciągnąwszy miecz, podbiegłem do kapłana stojącego przy ołtarzu. Ale choć mężczyźni stali nieruchomo, kobiety były szybkie. Zanim zdołałem podnieść miecz, zanim zdołałem wymówić słowo, skoczyły na mnie niczym jaguary z ich ojczystych lasów.

- Uciekaj stąd, Teule - zaczęły syczeć mi do uszu – jeśli nie chcesz znaleźć się ze swymi braćmi na kamieniu. - I odciągnęły mnie.

Wyszedłem ze świątyni i przez chwilę stałem, rozmyślając w jej cieniu. Mój wzrok padł na długi rząd jeńców czekających na swoją kolej. Było ich trzydziestu jeden, w tym pięciu Hiszpanów. Zauważyłem, że Hiszpanie znajdują się na końcu. Wyglądało na to, że mordercy zostawili ich na ostatek. Zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób ich ocalić. Moja władza przestała istnieć. Nie mogłem powstrzymać kobiet od dokonania zemsty, były oszalałe z rozpacz. Równie dobrze można by próbować wyrwać pumie, której zabito młode, jej zdobycz. Jednak z mężczyznami było inaczej. Część z nich brała co prawda udział w krwawym obrzędzie, ale większość trzymała się od tego z dala, oglądając z okrutnymi uśmiechami straszny spektakl. Obok mnie stał Otomi wysokiego rodu, nieco starszy ode mnie. Od dawna był moim przyjacielem i pierwszym po mnie dowódcą. Obróciłem się do niego i powiedziałem:

- Przyjacielu, przez wzgląd na honor twego ludu pomóż mi to przewać.

- Nie mogę nic zrobić, Teule - odparł - i radzę ci, żebyś się w to nie mieszał, bo nikt nie stanie po twojej stronie. Teraz władzę mają kobiety i sam widzisz, jak z niej korzystają. Wszystkie je czeka śmierć, ale zanim umrą, zrobią to, co robili ich przodkowie, bo nie zapomniały starych

zwyczajów i w najcięższej chwili wróciły do nich.

- Nie możemy przynajmniej ocalić tych Teule'ów?

- A dlaczego mielibyśmy to robić? Czy za parę dni, kiedy znajdziemy się w ich rękach, oni ocalą nas?

- Może nie - odparłem - ale skoro już musimy umrzeć, to umrzyjmy godnie, nie splamieni takim haniebnym czynem.

- Co więc chcesz, żebym zrobił?

- Znajdź trzech czy czterech ludzi, których nie ogarnęło to szaleństwo i razem z nimi pomóż mi uwolnić choć Teule'ów, bo wszystkich nie damy rady. Jeśli nam się to uda, to możemy ich spuścić na linach, żeby uciekli do swoich.

- Postaram się - odparł, wzruszając ramionami - ale nie ze względu na litość dla tych przeklętych Teule'ów, których wolałbym widzieć rozciągniętych na kamieniu ofiarnym, lecz przez naszą przyjaźń.

Odszedł i po paru minutach zobaczyłem, że kilkunastu Otomich staje, jak gdyby przypadkiem, między rzędem skrępowanych Tlascalan a miejscem, gdzie przywiązany jest pierwszy z Hiszpanów. Zrobili to w taki sposób, by osłonić go przed wzrokiem kobiet, które zresztą pochłonięte były tym, co działo się przed ołtarzem.

Podszedłem ukradkiem do Hiszpanów. Leżeli na wznak, z rękami i nogami przywiązanymi do miedzianych pierścieni tkwiących w posadzce. Milczeli, ale twarze mieli blade z przerażenia.

- Cśśś! - syknąłem do ucha pierwszego z nich, starszego człowieka, którego pamiętałem z wojny z Cortesem. - Chcesz wyjść stąd z życiem?

Spojrzał na mnie i spytał zduszonym głosem:

- Kim jesteś, że mówisz o ocaleniu? Czy ktoś może nas wyrwać z rąk tych diabolic?

- Zwę się Teule. Jestem białym i chrześcijaninem, a przy tym, niestety, wodzem tych dzikich. Z pomocą paru wiernych mi ludzi, chcę uwolnić was z więzów, a potem zobaczymy. Musisz wiedzieć, że bardzo ryzykuję, bo jeśli nas złapią, to sam mogę posmakować tego, przed czym was chcę uchronić.

- Bądź pewien, Teule - odparł - że jeśli uda nam się stąd ujść cało, to nie zapomnimy, co dla nas zrobiłeś. Ocal nas teraz, a może nadejdzie taki czas, że będziemy mogli ci się odwdziżyć. Ale nawet jeśli rozetniesz nam więzy, to jak przejdziemy w świetle księżyca przez tę otwartą przestrzeń?

- Musimy liczyć na szczęście - odparłem i kiedy to mówiłem, los faktycznie nam pomógł, bo Hiszpanie dostrzegli ze swego obozu, co się dzieje na *teocalli*. Zaczęli krzyczeć z przerażenia i natychmiast otworzyli do nas ogień, choć z powodu kształtu piramidy i kąta, pod którym strzelali, nie wyrządzili nam żadnych szkód. Wkrótce też spora ich gromada wbiegła na dziedziniec, chcąc wziąć świątynię szturmem, bo przecież nie wiedzieli, że droga do niej została przez nas zburzona.

Grzmot dział, gwizd kul muszkietowych, okrzyki przerażenia i wściekłości wydawane przez Hiszpanów, trzaskanie płonących domów, które podpalili, aby mieć lepszą widoczność, śpiew kobiet dobiegający ze świątyni - wszystko to złożyło się na taki hałas i zamieszanie, że mogłem zabrać się za przeprowadzenie swego planu z większą łatwością, niż przypuszczałem. Tymczasem mój przyjaciel zjawił się przy mnie z kilkunastoma ludźmi, którym mógł zaufać. Pochyliwszy się, szybkimi cięciami noża uwolniłem Hiszpanów z więzów. Potem wzięwszy między siebie Hiszpanów, obróciliśmy się w stronę drogi. Wyciągnąłem miecz i krzyknąłem:

- Teule atakują świątynię! - co było prawdą, jako że długi ich wąż wił się już po krętej drodze prowadzącej na szczyt *teocalli*. - Teule atakują świątynię, biegnę ich powstrzymać! - i popędziliśmy ku zejściu z tarasu.

Nikt nas chyba nie zauważył, a jeśli ktoś zauważył, to nie zwracał uwagi na to, co robimy, gdyż oczy wszystkich zwrócone były na kamień ofiarny, a poza tym panował taki zgiełk, że jak się potem przekonałem, mało kto słyszał moje wołanie. Wkrótce znaleźliśmy się na drodze. Odetchnąłem, bo zeszedliśmy kobietom z oczu. Biegliśmy tak szybko, jak pozwalały na to zdrętwiałe od sznurów członki Hiszpanów i wreszcie dopadliśmy zakrętu, gdzie zaczynał się ów głęboki wykop. Szturmujący piramidę Hiszpanie dotarli już do przeciwległego skraju wyrwy, bo choć nie widzieliśmy ich, słyszeliśmy, jak krzyczą z rozpaczą i wściekłości, zrozumiawszy, że w żaden sposób nie mogą pomóc swym towarzyszom.

- To już koniec - powiedział Hiszpan, z którym rozmawiałem. - Dalej nie ma drogi, a próbować zejść z boku piramidy to pewna śmierć.

- Niezupelnie - odparłem. - Pięćdziesiąt stóp niżej droga biegnie dalej. Opuścimy was tam pojedynczo na linie.

Potem zabraliśmy się do dzieła. Opasywaliśmy żołnierzy liną pod pachami i powoli spuszczaaliśmy na dół, gdzie kamraci witali ich jak

zmartwychwstałych. Ostatnim był ten, z którym rozmawiałem.

- Żegnaj - powiedział. - Choć jesteś zdrajcą, niech cię Bóg błogosławi za ten miłosierny uczynek. Słuchaj, a może uciekniesz stąd z nami? Ręczę słowem honoru, że nic ci się nie stanie. Powiadasz, że nadal jesteś chrześcijaninem. Czy to miejsce dla chrześcijanina? - wskazał w górę.

- Istotnie, nie - odparłem - ale mimo to muszę tu zostać. Są tu mój syn i żona i jeśli będzie trzeba, muszę umrzeć razem z nimi. Jeśli poczuwasz się do wdzięczności wobec mnie, to postaraj się ocalić im życie, bo o swoje mało dbam.

- Na pewno to zrobię - powiedział, po czym opuściliśmy go na dół.

Wróciliśmy przed świątynię i powiedzieliśmy, że Hiszpanie, nie mogąc pokonać stromej ściany wykopu, wycofują się. W świątyni nadal składano ofiary. Zostało przy życiu już tylko dwóch Tlascalan, a kapłani byli zmęczeni.

- Gdzie są Teule? - krzyknął ktoś. - Dawać ich na ołtarz!

Oczywiście nigdzie nie można ich było znaleźć.

Ukrywszy się w cieniu, krzyknąłem zmienionym głosem: - Ich Bóg wziął ich pod swe skrzydła. Huitzelcoatl nie może równać się z Bogiem Teule'ów.

Potem szybko usunąłem się, żeby ktoś nie domyślił się, że to ja wypowiedziałem te słowa. Jednak mój krzyk podchwycili inni i wokół rozległo się:

- Bóg Teule'ów wziął ich pod swe skrzydła! Pocieszmy się tymi, których zostawił - i zaciągnięto na kamień ofiarny ostatnich jeńców.

Myślałem, że już po wszystkim, ale myliłem się. Powiedziałem już wyżej, że w oczach kobiet budujących barykady dostrzegłem jakiś ukryty zamiar. Teraz miałem zobaczyć jego wykonanie. Nadal ogarnięte były szaleem. Złożyły ofiarę, ale to im nie wystarczało. Zgromadziły się na skraju tarasu i nie zważając na kule, które co i raz przesywały którąś z nich - bo tam wystawione były na ogień Hiszpanów - przygotowywały się. Byli z nimi kapłani, lecz większość mężczyzn, jak podczas składania ofiar, stała grupkami w głębi tarasu, przyglądając się ponuro temu, co się dzieje, ale nie robiąc nic, aby je powstrzymać.

Tylko jedna kobieta nie poszła z resztą. Była nią Otomi.

Stała przy kamieniu ofiarnym i aż żal było na nią patrzeć, bo poprzednie szaleństwo opuściło ją i była na powrót sobą. Przyglądała się z przerażeniem okropnym śladom szatańskiego rytuału, a potem spojrzała na

swoje ręce, jakby obawiała się, że jest na nich krew i zadrżała na samą myśl o tym. Podszedłem do niej i trąciłem ją w ramię. Odwróciła się szybko, łapiąc z trudem powietrze.

- Mężu!

- Tak, to ja - odparłem - ale nigdy już nie nazywaj mnie mężem.

- Och, co ja zrobiłam! - krzyknęła i osunęła się bez zmysłów w moje ramiona.

Tutaj dodam coś, o czym w owym czasie nie wiedziałem, bo dopiero wiele lat później wyjaśnił mi to proboszcz tutejszej parafii, człek bardzo uczony, choć o wąskich horyzontach. Gdybym wiedział o tym wcześniej, to w tamtej godzinie odezwałbym się do Otomi łagodniej i nie potępiałbym jej tak surowo. Wydaje się, mówił mój przyjaciel proboszcz, że od najdawniejszych czasów kobiety, które czciły demonów, takich jak bogowie Anahuac, mogły zostać w każdej chwili opętane przez nie i przywiedzione do najcięższych zbrodni, i to nawet jeśli wyparły się swej wiary. Dał mi na to wiele przykładów. Między innymi opowiedział mi, że grecki poeta Teokryt opisuje w jednej ze swych idylli, jak to pewna kobieta imieniem Autonoe, biorąc udział w tajemnej orgii ku czci boga imieniem Dionizos, zobaczyła, że jej własny syn, Penteusz, podgląda ceremonię i opętana przez tego boga, skoczyła na syna i, z pomocą innych kobiet, zabiła go. Poeta ten, który sam był czcicielem Dionizosa, nie tylko nie zganiał jej za to, ale wychwalał jej czyn, twierdząc, iż zrobiła to na rozkaz boga, a przeto „nie można jej potępiać”.

Piszę o tym z tego powodu, iż wydaje mi się, że tak jak Dionizos opętał Autonoe, popychając ją do przerażającej zbrodni, tak też Huitzelcoatl opętał Otomi. Zresztą sama mi potem tak powiedziała. Jestem pewien, że skoro diabły, które czcili Grecy, miały taką moc, to te z Anahuac były jeszcze potężniejsze, będąc najpierwymi wśród mieszkańców piekieł. Jeśli było tak, a wierzę w to, to przy ceremonii składania ofiar widziałem nie Otomi, ale raczej demona Huitzelcoatla, którego niegdyś czciła i który mógł dlatego wejść na pewien czas w jej ciało, przeganiając jej własnego ducha.

Rozdział XVI

PODDANIE SIĘ

Zaniosłem Otomi do jednego ze składów przylegających do świątyni. Umieściliśmy tam wcześniej, by zapewnić im bezpieczeństwo, wiele dzieci, między innymi mego syna.

- Co dolega matce, ojcze? - spytał. - I dlaczego zamknęła mnie tu z dziećmi, kiedy na zewnątrz trwa, jak się zdaje, walka?

- Matka zemdląła. A umieściła cię tu na pewno dla twojego bezpieczeństwa. Teraz zajmij się nią, dopóki nie wrócę.

- Dobrze - odparł - ale chyba byłoby lepiej, gdybym stąd wyszedł i walczył u twego boku z Hiszpanami, niż pielęgnował słabe kobiety. Jestem już przecież prawie mężczyzną.

- Rób, co ci powiedziałem i zabraniam ci opuszczać to miejsce, dopóki nie wrócę.

Wyszedłem, zamknąwszy za sobą drzwi. Chwilę później pożałowałem, że nie zostałem tam, bo moim oczom ukazał się widok straszniejszy od wszystkich, które do tej pory widziałem. Oto zbliżały się ku mnie, podzielone na cztery grupy, kobiety, niektóre z małymi dziećmi na rękach. Słyszy śpiewając i podskakując, wiele z nich było do pasa nagich. Na przedzie szli *pabas* i kilka kobiet ze znaczniejszych rodów. Przywódcy ci i przywódczyni nie też podskakiwali i śpiewali, wykrzykując przy tym imiona swych bogów.

Rzucali się tam i z powrotem, to kłaniając się posągowi Huitzelcoatla, to padając na twarz przed jego siostrą, boginią śmierci, której siedząca rzeźba, ozdobiona naszyjnikami i bransoletami rzeźbionymi w ludzkie czaszki, znajdowała się obok niego,, to chyląc głowę przed kamieniem ofiarnym, to wkładając ręce w święty ogień. Ten upiorny karnawał trwał przez dobrą godzinę, a może nawet dłużej i choć znałem dobrze zwyczaje Indian, nie mogłem w pełni pojąć o co chodzi. Potem, nagle, jak na dany znak, cofnęły się w milczeniu na środek placu przed świątynią: i utworzywszy podwójne koło, w środku którego stanęli kapłani, rozpoczęły nową pieśń, tak przejmującą i dziką, że zmroziła mi. krew w żyłach.

Jeszcze teraz prześladauje mnie nocami ta niesamowita pieśń i widok wznoszących ją kobiet, ale nie będę jej tu dokładnie opisywał. Niech czytelnik wyobrazi sobie całe okrucieństwo, jakie może kryć się w sercu człowieka, grozę najbardziej koszmarnych snów, niech doda do tego straszne opowieści o zbrodniach, o duchach i o nieludzkiej zemście, a potem, jeśli

potrafi, niech to wszystko ujmie w słowa. Wtedy być może, jak w ślepym zwierciadle, zobaczy ducha tej starożytnej pieśni, ostatniego hymnu kobiet Otomi, pełnego żalu, trwogi, tonów zwycięstwa i jęków żałobnych.

Śpiewając tak, cofały się krok za krokiem z oczyma utkwionymi w posągi bogów. Teraz nie tworzyły już zamkniętego koła, gdyż żadna z nich nie cofała się w stronę świątyni. Po pewnym czasie z dwóch powstało jedno koło, gdyż w miarę jak się oddalały od środka, w zewnętrznym kręgu powstawały luki, które wypełniały kobiety z wewnętrznego kręgu. Cofały się, powoli i uroczyście, aż stanęły na samej krawędzi tarasu. Wtedy kapłani i przewodzące ceremonii kobiety też zajęły miejsce w kręgu. Przez chwilę panowała cisza, a potem, na dany znak, wszystkie przechyliły się do tyłu. Ich długie włosy rozwiewał wiatr, a w nieprzytomnych oczach odbijały się płomienie płonących domów. Stojąc tak, krzyknęły wielkim głosem:

- Zbaw nas, Huitzelcoatlu! Przyjmij nas, Panie, na swe łono!

Powtórzyły to jeszcze dwukrotnie, za każdym razem bardziej przejmująco, a potem nagle zniknęły! Rzuciły się w dół!

Ich zbiorowe samobójstwo było ukoronowaniem ostatniej rytualnej ofiary w Pines. Tak odeszli bogowie - demony, a z nimi ich czciicielki.

Przez szeregi przyglądających się dotąd w milczeniu mężczyzn przeszedł szmer, a potem któryś z nich zawołał:

- Niech nasze żony, kobiety Otomi, spoczną na zawsze w Domach Słońca, gdyż pokazały nam, jak należy umierać!

- Na pewno nie tak - odparłem. - Niech kobiety odbierają sobie same życie, ale mężczyźni winni ginąć w boju.

Odwróciłem się, by odejść i stanąłem twarzą w twarz z Otomi.

- Co się stało? - spytała. - Gdzie są moje siostry? Och, chyba miałam zły sen. Przyśniło mi się, że bogowie naszych ojców znowu odzyskali swą moc i jeszcze raz napili się ludzkiej krwi.

- Przebudzenie z tego złego snu jest jeszcze gorsze, Otomi - powiedziałem. - Istotnie, bogowie piekieł mają nadal wielką moc nad tym przekłętym krajem. Zabrali twoje siostry do siebie.

- Tak? - odparła łagodnie. - Lecz w tym śnie wydawało mi się, że był to ostatni ich zryw przed śmiercią wiekiustą i osunięciem się w nicość. Spójrz! - wskazała na ośnieżony szczyt wulkanu.

Poszedłem za jej wzrokiem, lecz czy widok, który ujrzałem, był tylko wytworem wyobraźni zrodzonym pod wpływem okropieństw tej nocy, czy też rzeczywistym zjawiskiem, nie jestem w stanie powiedzieć. W każdym razie wydawało mi się, że to widzę, a później paru Hiszpanów przysięgało, że też widzieli to samo.

Nad wyniosłym szczytem Xaki wznosił się, jak zawsze, słup dymu i iskier, lecz gdy się przyglądałem, dym i ogień rozdzieliły się. Z płomieni utworzył się ognisty krzyż, lśniący niczym błyskawica, który rozpostarł się szeroko i wysoko na niebie, spoczywając dolnym końcem na wierzchołku góry. U jego stóp kotłowały się kłęby dymu, które po chwili przyjęły postać dokładnie przypominającą kamiennych bożków ze świątyni, lecz stokrotnie większą.

- Widzisz? - odezwała się znowu Otomi. - Krzyż twego Boga świeci nad postaciami moich bogów, bogów, którym składałam cześć tej nocy, choć nie z własnej woli. - Potem odwróciła się i odeszła.

Stałem tam jeszcze dobrych parę minut, przyglądając się ze strachem dziwnemu zjawisku. Nagle błysnęły promienie wschodzącego słońca i wszystko znikło.

Jeszcze przez trzy dni opieraliśmy się Hiszpanom. Nie mogli wziąć nas szturmem, a ich pociski przelatywały wysoko nad naszymi głowami, nie czyniąc nam nic złego. Przez cały ten czas nie rozmawiałem z Otomi ani razu, gdyż oboje unikaliśmy się. Siedziała całymi godzinami w składzie, istny obraz rozpacz. Dwukrotnie próbowałem z nią porozmawiać, gdyż serce mi się krajało, kiedy widziałem głębokie cierpienie malujące się w jej oczach, ale odwracała głowę i nie odpowiadała.

Potem Hiszpanie dowiedzieli się jakoś, że mamy na *teocalli* dosyć żywności i wody, by trzymać się tam co najmniej przez miesiąc, więc nie widząc możliwości pokonania nas siłą, zaproponowali rozmowy.

Zszedłem nad brzeg wyłomu i spotkałem się z ich wysłannikiem, który stał po drugiej stronie. Początkowo żądali, byśmy poddali się bez żadnych warunków. Odparłem na to, że prędzej umrzemy, niż się na to zgodzimy. Potem zaproponowali, że jeśli wydamy wszystkich, którzy brali udział w składaniu ofiar z ludzi, to reszta będzie mogła odejść wolno. Na to z kolei odpowiedziałem, że ofiarę złożyły kobiety i kilku tylko mężczyzn, a potem wszyscy popełnili samobójstwo. Spytały, czy Otomi też nie żyje. Rzekłem,

że żyje, ale że nigdy się nie poddam, jeśli nie przysięgną, że ani jej, ani jej synowi nie stanie się żadna krzywda i jeśli nie pozwolą im swobodnie odejść razem ze mną. Stanowczo odmówili, ale w końcu postawiłem na swoim. Rzucili mi lancę z przywiązaniem do ostrza pergaminem. Dokument ten, podpisany przez Bernala Diaza, stwierdzał, iż w uznaniu roli, jaką ja i niektórzy wojownicy Otomi odegrali w ocaleniu jeńców od śmierci na kamieniu ofiarnym, ja, moje dziecko i żona oraz wszyscy znajdujący się jeszcze na *teocalli* mogą swobodnie, bez żadnych przeszkód ze strony Hiszpanów i ich sprzymierzeńców, udać się dokąd będą chcieli, z tym zastrzeżeniem, że nasze ziemie i majątek podlegają konfiskacie na rzecz wicekróla.

Zadowolilem się tymi warunkami, tym bardziej że nigdy nie liczyłem na to, iż darują nam nie tylko życie, lecz i wolność. A jednak ja sam chyba równie dobrze przyjąłbym wyrok śmierci, bo Otomi wzniosła między nami mur, którego nie mogłem sforsować, a byłem z nią, z kobietą, która zbrukała ręce krwią ofiar, związany. No cóż, pozostał mi syn i musiałem się tym kontentować. On przynajmniej nie wiedział nic o hańbie ciąży na swej matce. „Och!” myślałem wspinając się na *teocalli*, „gdybym tylko mógł uciec z tego przekłętego kraju i zabrać go do Anglii! A razem z nim i Otomi, bo tam może zapomnieliby o tym, że okazała się dzikuską”. Niestety, było to mało prawdopodobne.

W świątyni przekazałem swym towarzyszom dobre wieści. Przyjęli je w milczeniu. Biali nie posiadaliby się w takiej chwili z radości, bo kiedy zagraża śmierć, wszystko inne staje się nieważne. Z Indianami jednak jest inaczej. Kiedy los jest dla nich nielaskawy, nie czepiają się kurczowo życia. Ci zresztą stracili kraj, żony, braci, domy i majątek i dlatego życie, wraz z wolnością i możliwością udania się dokądkolwiek, nie wydawało im się rzeczą wielkiej wagi. Toteż przyjęli łaskę, którą udało mi się uzyskać od ich wrogów z taką samą obojętnością, z jaką - gdyby sprawy przybrały inny obrót - przyjęliby zgubę.

Poszedłem do Otomi i jej też przekazałem tę nowinę.

- Miałam nadzieję umrzeć tu, gdzie jestem - powiedziała. - Ale niech tak będzie, śmierć zawsze można znaleźć.

Ucieszył się tylko mój syn, bo wiedział, że Bóg wybawił nas od śmierci głodowej lub z rąk Hiszpanów.

- Ojciec - powiedział - Hiszpanie darowali nam życie, ale zabrali kraj i wypędzą nas stąd. Dokąd pójdziemy?

- Nie wiem, synu - odparłem.

- Zostawmy Anahuac, bo nie ma tu niczego prócz smutku i Hiszpanów

- rzekł na to. - Znajdziemy okręt i popłyniemy do twego kraju.

Chłopiec wyraził moje własne pragnienie i serce zabiło mi żywiej, choć nie wiedziałem, jak można by je urzeczywistnić. Zastanawiałem się przez chwilę, spoglądając na Otomi.

- To dobry pomysł - powiedziała, odpowiadając na moje niewypowiedziane pytanie. - Dla ciebie i dla naszego syna byłoby to najlepsze, ale jeśli chodzi o mnie, to odpowiem słowami przysłowia: „Ziemia, która nas nosiła, jest najlepsza dla naszych kości”.

Potem zaczęła się przygotowywać do opuszczenia składu, w którym mieszkaliśmy przez całe oblężenie i nie rozmawialiśmy już o tej sprawie.

Zanim zaszło słońce, sznur znużonych mężczyzn z kilkunastoma kobietami i dziećmi przeszedł przez dziedziniec otaczający piramidę, bo z belek i desek ze świątyni zrobiliśmy most nad wyrwą w wijącej się po bokach *teocalli* drodze.

Przy bramie czekali na nas Hiszpanie. Niektórzy klęli nas, niektórzy z nas szydzili, ale szlachetniejsi spośród nich nie mówili nic, bo litowali się nad naszą dolą i czuli do nas szacunek za odwagę okazaną w ostatniej walce. Ich indiańscy sojusznicy też tam byli. Ci szczyrzyli zęby jak głodne pумы i domagali się naszej krwi, dopóki ich panowie nie przywołali ich kopniakami do porządku. Ostatni akt upadku Anahuac był taki sam jak pierwszy - pies zagryzał psa, zostawiając zdobycz przyglądającemu się z boku lwu.

Za bramą podzielono nas. Ludzi pośledniejszego stanu, razem z dziećmi, wyprowadzono pod eskortą ze zniszczonego miasta i puszczono w górach, godniejszych zaprowadzono przed uwolnieniem na przesłuchanie do obozu Hiszpanów. Mnie, z żoną i dzieckiem, poprowadzono do pałacu, naszej byłej siedziby, aby nas tam zapoznać z wolą dowódcy, kapitana Diaza.

Droga tam była krótka, a mimo to nie obyło się bez niespodzianek. Bo oto, gdy szliśmy, podniosłem głowę i zobaczyłem stojącego z dala od innych, z rękami założonymi na piersi, de Garcię. Przez ostatnie dni prawie zapomniałem o nim, tak byłem pochłonięty innymi sprawami, ale widok jego złej twarzy przypomniał mi, że dopóki ten człowiek będzie żył, moimi nieodstępnyimi towarzyszami będą smutek i zagrożenie.

Patrzył, jak przechodzimy, a potem krzyknął do mnie:

- Żegnaj, kuzynie. Z tego też udało ci się wyjść i uzyskać gwarancję wolności dla siebie, żony i twego szczeniaka. Gdyby ten stary dureń, który

jest tu dowódcą, posłuchał mnie, to wszyscy, co do jednego, spłonęlibyście na stosie. Ale trudno, stało się inaczej. Żegnaj na pewien czas, przyjacielu. Jadę do Meksyku, aby donieść o tym wszystkim wicekrólowi. Może będzie miał coś do powiedzenia w tej sprawie.

Nic na to nie odrzekłem, ale spytałem dowódcę naszej eskorty, tego samego Hiszpana, którego ocalilem przed śmiercią na kamieniu ofiarnym, co miał na myśli de Garcia.

- To, że między naszym towarzyszem Sarcedą i dowódcą doszło do kłótni. Sarceda mówił, żeby nie przystawać na wasze warunki albo przystać pozornie, wywabić was ze świątyni fałszywymi obietnicami i potem zabić jako niewiernych, wobec których żadna obietnica nie jest ważna. Ale dowódca odparł, że słowo jest słowem i trzeba go dotrzymać, nawet jeśli dało się je niewiernemu. I tak doszło do awantury i w końcu Sarceda, który jest tu drugi po dowódcy, powiedział, że nie zgadza się na żadne układy z wami i jedzie do Meksyku donieść o wszystkim wicekrólowi. Wtedy kapitan Diaz powiedział, żeby poszedł do wszystkich diabłów i im doniósł o wszystkim i że już od dawna podejrzewał, że Sarceda tylko przez pomyłkę nie trafił jeszcze do piekła. Rozstali się w wielkiej złości, bo od czasu *noche triste* nie lubią się wzajemnie. Skończyło się na tym, że Sarceda za godzinę wyjeżdża do Meksyku i nie wiadomo, co tam nałga wicekrólowi. Myślę, że powinniście się cieszyć, że go tu nie będzie.

- Ojciec - spytał mnie syn - kim jest ten Hiszpan, który patrzy na nas z taką nienawiścią?

- To ten, o którym ci opowiadałem, de Garcia. Ten, który od dwóch pokoleń jest przekleństwem naszej rodziny, który wydał twego dziadka Świętemu Oficjum, zamordował twą babkę, a mnie poddał torturom, i którego niegodziwości nie położono jeszcze kresu. Strzeż się go synu, proszę cię.

Tymczasem dotarliśmy do pałacu, jednego z niewielu domów, jakie ocalały w Pines. Dano nam pokój na końcu budynku, a wkrótce potem przyszedł żołnierz z wiadomością, że mam stanąć z żoną przed dowódcą.

Poszliśmy więc, mimo iż Otomi chciała zostać. Pamiętam, że przed wyjściem pocałowałem syna, choć nie wiem, co mnie do tego skłoniło. Być może myślałem, że będzie spał, gdy wrócimy. Kwatera kapitana Diaza znajdowała się w drugim końcu pałacu, jakieś dwieście kroków od naszego pokoju. Wkrótce stanęliśmy przed nim. Był to postawny, niemłody już mężczyzna o surowym wyglądzie, jasnych oczach i brzydkiej, uczciwej

twarży, przypominającej twarz wieśniaka, który przez całe życie pracował ciągle przy różnej pogodzie, z tym że polem, które uprawiał Diaz, było pole bitwy, a żniwem, które zbierał, życie ludzkie. Kiedy weszliśmy, żartował akurat z prostymi żołnierzami, używając słów niezbyt miłych dla uszu, ale jak tylko nas zobaczył, przerwał i wyszedł ku nam. Pozdrowiłem go, dotykając indiańskim zwyczajem ręką ziemi, bo czyż byłem kimś więcej niż Indianinem wziętym do niewoli?

- Twój miecz - powiedział krótko, przypatrując mi się byстрыm wzrokiem.

Odpiąłem go od pasa i wręczyłem mu, mówiąc po hiszpańsku:

- Weź go, kapitanie, bo zwyciężyłeś. Wraca zresztą do swego właściciela. - Był to bowiem ten sam miecz, który zabrałem niejakiemu Bernalowi Diazowi podczas *noche triste*.

Popatrzył na niego, a potem powiedział:

- Tak też myślałem. A więc spotykamy się znowu po tylu latach. Darowałeś mi kiedyś życie i cieszę się, że mogę teraz spłacić dług. Gdybym nie był pewien, że to ty, nie uzyskałbyś tak łagodnych warunków kapitulacji, przyjacielu. Jak się nazywasz? Nie, nie, wiem, jak cię nazywają Indianie.

- Nazywam się Wingfield.

- Powiadam panu, że siedziałbym pod tą diabelską siedzibą - tu wskazał ręką w stronę *teocalli* - dopóki nie pomarlibyście z głodu. Weź z powrotem ten miecz, przyjacielu. Wiele lat temu sprawiłem sobie inny, a ty dobrze go używałeś. Nigdy nie widziałem lepiej walczących Indian. A więc to jest Otomi, córka Montezumy a twoja żona. Nadal ładna i dumna, jak widzę. Boże, Boże! To już tyle lat, a wydaje mi się, jakbym to wczoraj widział śmierć jej ojca, człowieka o sercu godnym chrześcijanina, choć obeszliliśmy się z nim źle. Oby Bóg przebaczył nam wszystkim! Cóż, pani, jeśli to, co słyszałem, jest prawdą, o tobie nikt nie może powiedzieć, że masz chrześcijańskie serce. Ale nie będę już o tym mówił, bo przez wzgląd na twego męża, który ocalił mych ludzi przed złożeniem w ofierze, wybaczyłem ci.

Otomi słuchała, stojąc nieruchomo jak posąg, ale nie powiedziała ani słowa. Zresztą od owej strasznej nocy w ogóle odzywała się rzadko.

- A więc, przyjacielu - ciągnął dalej kapitan Diaz - co masz zamiar teraz robić? Możesz się udać dokąd chcesz. Gdzie pójdziesz?

- Nie wiem - odparłem. - Przed laty, kiedy władca Azteków darował mi życie i dał tę oto księżniczkę za żonę, przysiągłem, że będę wierny jego

sprawie i że nie spocznę w walce, dopóki Popocatepetl nie przestanie dymić, Tenocitlan będzie miało króla a lud Anahuac będzie wolny.

- A więc, przyjacielu, jesteś zwolniony z tej przysięgi, bo Tenocitlan nie ma króla, lud Anahuac stracił wolność, a dwa lata temu Popocatepetl przestał dymić. Jeśli chcesz mojej rady, stań się na powrót chrześcijaninem i wstąp na służbę naszego króla. Ale pora już na kolację. Chodźmy coś zjeść, a o tych sprawach porozmawiamy później.

Usiedliśmy więc przy pochodniach do kolacji w wielkiej sali z Bernalem Diazem i paroma innymi Hiszpanami. Otomi nie chciała nic jeść i mimo iż kapitan namawiał ją, aby się posiliła, wymknęła się z sali.

Rozdział XVII

ZEMSTA

Podczas posiłku Bernal Diaz wspomniał nasze pierwsze spotkanie na grobli, kiedy to o mało go nie zabiłem, biorąc za Sarcedę. Potem spytał, jaka była przyczyna mojej waśni z Sarcedą.

Opowiedziałem mu w skrócie historię mego życia. Słuchał z zaskoczeniem.

- Matko Święta! - krzyknął, kiedy skończyłem. - Nic nie zelgałeś? Wiedziałem, że to łotr, ale nigdy nie podejrzewałem, że aż taki. Na mój honor, gdybym usłyszał tę opowieść godzinę temu, Sarceda nie opuściłby obozu, zanim nie odpowiedziałby na te zarzuty albo nie oczyścił się z nich przez pojedynek z panem. Niestety, obawiam się, że jest już na to za późno. O wschodzie księżyca miał wyruszyć do Meksyku, żeby z powodu zaoferowanych wam warunków kapitulacji nastawić do mnie wrogo wicekróla. Nie znaczy to, że się tego boję. Nie cieszy on się tam zbyt dobrą opinią.

- Nie zelgałem ani słowa - odpowiedziałem. - W razie potrzeby wiele tych zarzutów mogę udowodnić. Mówię panu, że oddałbym połowę tego życia, które jeszcze mam przed sobą, żeby znów móc stanąć z tym łotrem do otwartej walki. Zawsze udawało mu się uciec, a rachunek do wyrównania jest długi.

- Chodźmy. Zobaczymy, czy już wyjechał - powiedział Diaz i wezwawszy straż, miał już opuścić salę. W tym momencie spojrzałem przypadkiem w bok i spostrzegłem stojącą w drzwiach kobietę. Opierała się ręką o

framugę, głowę z rozpuszczonymi włosami miała odrzuconą do tyłu, a na jej twarzy malował się taki ból, że początkowo nie poznałem, iż to Otomi. Kiedy zorientowałem się, że to ona, wiedziałem wszystko. Tylko jedno mogło napęlić ją takim przerażeniem i cierpieniem.

- Co stało się naszemu dziecku? - spytałem.

- Nie żyje! Nie żyje! - powiedziała głosem, który zmroził mi krew w żyłach.

Nie rzekłem ani słowa, ale Diaz spytał:

- Nie żyje? Jak to? Co go zabiło?

- De Garcia! Widziałam, jak wychodził - odparła Otomi, a potem osunęła się na posadzkę.

Wydało mi się, że serce mi pęka. W każdym razie nigdy już nic mnie tak nie poruszyło, jak ta wiadomość, a wspomnienie tej chwili prześladowuje mnie po dziś dzień i nie opuści aż do czasu, gdy odejdę stąd, by połączyć się z synem na zawsze.

- No i co, panie Diaz? - krzyknąłem z ochryplym śmiechem. - Czy skłamałem, mówiąc jaki jest ten pana kompan?

Przeskoczyłem przez leżącą na ziemi Otomi, wypadłem z sali, a za mną Bernal Diaz i reszta.

Za bramą skręciłem w lewo i pobiegłem w stronę obozu. Nie zdążyłem przebiec nawet stu kroków, kiedy w świetle księżyca zobaczyłem niewielki oddział konnych jadący w naszą stronę. Był to de Garcia ze swymi sługami. Nie było jeszcze za późno.

- Stój! - krzyknął Diaz.

- Kto każe mi stanąć? - odparł de Garcia.

- Ja, pański dowódca - ryknął Diaz. - Stój, szatanie, bo zrzucę cię mieczem.

De Garcia zbladł.

- Dziwne maniery, senior - powiedział. - Powiedz mi z łaski swojej...

Wtedy dopiero zauważył mnie, bo wyrwałem się Diazowi, który trzymał mnie za ramię i rzuciłem się w jego stronę. Nic nie mówiłem, ale wyraz mojej twarzy powiedział mu, że wszystko wiem. Spojrzał na drogę za mną, lecz blokowali ją ludzie. Podbiegłem, ale nie czekał, aż go dopadnę. Złapał za rękojeść miecza, ale potem rozmyślił się, zawrócił konia i pocwałował w przeciwną stronę.

Początkowo miał znaczną przewagę nade mną, ale dalej droga była nierówna i wyboista i nie mógł pędzić galopem. Byliśmy już za miastem, a raczej za jego ruinami, na wąskiej ścieżce, którą w czasie upałów Indianie znosili śnieg ze stoków Xaki. Od granicy miasta do linii śniegu jest może

pięć mil. Dalej żaden Indianin nie ośmielił się nigdy postawić stopy, gdyż miejsce to było święte. Posuwaliśmy się w górę ścieżki. Wiedziałem, że nie można z niej zejść, ponieważ po bokach były skały i strumienie. De Garcia wspinał się wytrwale, spoglądając to w lewo, to w prawo, to przed siebie, na ośnieżony szczyt, z którego buchał ogień. Ani razu jednak nie obejrzał się do tyłu. Wiedział, że tam jestem ja - jego śmierć!

Przebyliśmy tak parę mil. Szedłem bez pośpiechu, oszczędzając siły, bo wiedziałem, że i tak go dopadnę, a kiedy to się stanie, było mniej ważne.

W końcu dojechał do miejsca, gdzie zaczynał się śnieg, a kończyła ścieżka, i po raz pierwszy spojrzął za siebie. Byłem o jakieś dwieście kroków za nim. Przez chwilę stał, jakby wahając się, co począć. Słyszałem ciężki oddech jego konia. Potem odwrócił się i spiął konia ostrogami. Śnieg był tam twardy, skutym mrozem, więc mimo iż zbocze było strome, koń szedł po nim przez pewien czas lepiej niż po ścieżce. Tam też mógł posuwać się tylko w jednym kierunku, bo znaleźliśmy się w żlebie, którego obie, pokryte śniegiem ściany były tak strome, że ani koń, ani człowiek nie mogliby się na nich utrzymać. Posuwaliśmy się tym żlebem chyba ponad dwie godziny. W tym cichym i samotnym ustroniu wydało mi się, że mój duch wstąpił jak gdyby w duszę ściganej przeze mnie ofiary i że widzę wszystko, co dzieje się w jego sercu. Dla człowieka tak skrzywdzonego jak ja było to przyjemne, nawet jeśli nieprawdziwe, doznanie, bo dostrzegłem tam tak czarną rozpacz, tak okropne wspomnienia i taki strach przed zbliżającą się śmiercią, że żadna zemsta nie mogłaby być straszniejsza. Ale wiedziałem, że czuje on to wszystko naprawdę, że cierpi tak, a może bardziej, bo nawet jeśli nie miał sumienia, to czuł trwogę i miał wyobraźnię, która tę trwogę potęgowała.

Zbocze stawało się coraz bardziej strome, a koń był na granicy wyczerpania, bo z trudnością oddychał na tak dużej wysokości. Na próżno de Garcia kłuł jego boki ostrogami aż do krwi, dzielne stworzenie nie mogło dać z siebie więcej. Nagle koń padł. „No” pomyślałem „teraz staniemy twarzą w twarz”. Ale jego strach był większy, niż przypuszczałem. Zszedł z siodła, spojrzął na mnie, a potem zaczął uciekać pieszo, zrzucając po drodze części zbroi, aby iść szybciej.

Tymczasem skończył się śnieg i zaczęła się lodowa czapa, powstała ze śniegu topniejącego pod wpływem wysokiej temperatury rozgrzanych od środka skał, a może pod wpływem promieni słonecznych w porze gorącej

rozpuszczających śnieg, który w nocy skuwał mróz. Nie wiem, jaka jest tego przyczyna, w każdym razie Xaca ma taką czapę, sięgającą od pasa śniegu do czarnej krawędzi krateru. Po tym lodzie szedł w górę de Garcia, a zadanie było to niełatwe nawet dla nie trapionego strachem człowieka, gdyż trzeba było zważać na szczeliny i ostre igły lodowe sterczące niby zjeżony chyb dzika. Biada temu, kto pośliznąłby się albo potknął, bo zjeżdżając w dół, pozdzierałby sobie na tej lodowej tarce ciało aż do kości. Toteż bałem się, żeby nie przytrafiło się to de Garcii, gdyż pozbawiłoby mnie to rozkoszy zemsty. Dlatego dwukrotnie, kiedy widziałem, że zagraża mu niebezpieczeństwo - byłem już nie dalej niż dwadzieścia kroków od niego - powiedziałem, gdzie ma stąpać i, o dziwo, posłuchał mnie bez wahania, zapominając w obliczu nagłej śmierci o wszystkim. O sobie nie bałem się, bo wiedziałem, że nie upadnę, choć miejsce było takie, że w innych okolicznościach za nic bym tam nie poszedł.

Przez cały czas wspinaliśmy się przy jasno świecącym księżycu, ale nagle na szczycie góry błysnęły pierwsze promienie słońca i w ich blasku zgasł ogień prześwitujący przez chmurę dymu.

- Mamy teraz lepsze światło do wspinaczki - krzyknąłem do de Garcii. Mój głos, odbijający się od skał, dziwnie brzmiał w tym miejscu, nie tkniętym dotąd ludzką stopą.

Akurat w tym momencie zadudniło i ziemia zadrżała pod nami, jak gdyby wulkan zatrząsł się z gniewu, że ktoś ośmielił się sprofanować jego święte zbocza. Potem z jego krateru wystrzeliła chmura szarego popiołu, który opadł na nas, zakrywając na moment przed moim wzrokiem de Garcie. Usłyszałem za to jego przeraźliwy krzyk i przestraszyłem się, że potknął się i upadł, ale kiedy wkrótce poprawiła się widoczność, zobaczyłem, że stoi na warstwie lawy otaczającej pierścieniem krawędź krateru.

Myślałem, że teraz stawi mi wreszcie czoła. Gdyby znalazł w sobie dość odwagi, mógłby z łatwością przebić mnie mieczem, kiedy wchodziłem z lodowej skorupy na gorącą lawę. Zdaje się, że przyszło mu to do głowy, bo odwrócił się i spojrzał na mnie jak diabeł, ale rozmyślił się i ruszył dalej. Zaskoczony zastanawiałem się, gdzie chce znaleźć schronienie. Jakieś trzysta kroków od granicy lodu wznosił się w powietrze słup dymu, a między tymi dwoma miejscami rozciągał się pas lawy tak gorącej, że chwilami trudno było po niej stąpać. Przez ten pas szedł, teraz już nieco wolniej, bo był zmęczony, de Garcia, a ja za nim, bez wysiłku, gdyż wyrównał mi się już oddech. Niebawem doszedł do krawędzi krateru, przechylił się,

spojrzał w dół i już myślałem, że chce tam skoczyć, ale jeśli nawet poświęcała mu taka myśl, to zaraz ją porzucił, bo cofnął się, odwrócił i wydobywszy miecz, podszedł do mnie. Spotkaliśmy się nie więcej niż kilkanaście kroków od czeluści. Powiedziałem „spotkaliśmy się”, ale było niezupełnie tak, gdyż znowu się zatrzymał, daleko poza zasięgiem mojego miecza. Usiadłem na bloku lawy i patrzyłem na niego. Nie mogłem nasycić oczu widokiem jego twarzy. Powiedzieć, że była to twarz mordercy, którego za moment ma spotkać kara za zbrodnie, to za mało. Żadne słowa nie są w stanie oddać jej wyrazu, zapadniętych i nabiegłych krwią oczu, wyszczerzonych zębów i drżących warg.

- Nareszcie, de Garcia! - powiedziałem.

- Dlaczego nie zabijesz mnie i nie skończysz? - spytał ochryple.

- Po co ten pośpiech, kuzynie? Szukałem cię ponad dwadzieścia lat i mam się z tobą tak szybko rozstać? Porozmawiajmy chwilę. Zanim rozstaniemy się na zawsze, może z łaski swojej odpowiesz mi na jedno pytanie, bo nie daje mi ono spokoju. Dlaczego wyrządziłeś tyle zła mnie i moim bliskim? Chyba masz jakiś powód?

Mówiłem zimno i spokojnie, zupełnie bez emocji, nie czując w ogóle nic. Nie byłem już Tomaszem Wingfieldem, nie byłem człowiekiem, lecz narzędziem Boga. Myślałem o zamordowanym synu bez żalu; nie wydawał mi się martwy, bo w tamtej chwili uczestniczyłem w sferze, do której on już należał. Nawet o de Garcii myślałem bez nienawiści, jak gdyby on też był tylko narzędziem w innych rękach. Poza tym wiedziałem, że już go mam, duszą i ciałem, i że musi mi odpowiadać, i to szczerze, tak jak musi zginąć, kiedy postanowię. Próbowałem zacisnąć usta, lecz otworzyły się wbrew jego woli i, słowo po słowie, wyciągnąłem prawdę z jego czarnej duszy.

- Kochałem twoją matkę - powiedział wolno i z trudem. - Kochałem ją od dziecka jak nikogo innego na świecie, ale ona nienawidziła i bała się mnie, bo byłem okrutny. Potem poznała twego ojca, zakochała się i wyciągnęła go z lochów Świętego Oficjum, któremu go wydałem. Uciekła z nim do Anglii. Szalałem ze złości i chciałem się zemścić, ale nie miałem jak. Po dwudziestu latach przypadkiem zawiązałem do Anglii. Również przypadkiem dowiedziałem się, że twoi rodzice mieszkają koło Yarmouth i postanowiłem zobaczyć ją, choć wtedy nie myślałem nawet o morderstwie. Los mi sprzyjał i spotkałem ją w lesie. Była nadal piękna i wiedziała, że ją

kocham. Dałem jej do wyboru: uciec ze mną lub zginąć. Wybrała to drugie. Ale kiedy uciekała przede mną, nagle zatrzymała się i powiedziała:

- Posłuchaj, Juanie, zanim uderzysz. Mam widzenie. Tak jak ja teraz uciekam przed tobą, tak ty będziesz kiedyś uciekał przed kimś z mej krwi, w miejscu, gdzie są skały, ogień i śnieg, i tak jak ja stanę dzięki tobie przed bramą niebios, tak ty staniesz dzięki niemu przed bramą piekieł.

- W takim miejscu jak to - powiedziałem.
- W takim miejscu jak to - powtórzył z wysiłkiem.
- Mów dalej.

Znowu chciał zachować milczenie i znowu moja wola zmusiła go do mówienia.

- Jeśli chciałem się uratować, to musiałem ją zabić. Zabiłem więc i uciekłem. Ale ogarnął mnie strach, strach, który nie opuścił mnie do tej pory, bo zawsze miałem przed oczami obraz jej syna, przed którym uciekam, tak jak ona uciekała przede mną, który wtrąci mnie w otchłań piekieł.

- To musi być ta otchłań - powiedziałem, wskazując na krater.
- To jest ta otchłań. Widziałem ją.
- Ale tylko dla ciała, kuzynie, nie dla duszy.
- Tylko dla ciała, nie dla duszy - powtórzył.
- Mów dalej.

- Potem spotkałem ciebie. Bałem się przepowiedni twej matki, więc kiedy zorientowałem się, że jesteś jej synem, chciałem cię zabić, żebyś ty nie zabił mnie.

- Zaraz to zrobię, kuzynie.

- Zaraz to zrobisz - powtórzył jak papuga. - Wiesz, co dalej było. Uciekłem do Hiszpanii i starałem się zapomnieć, ale nie mogłem. Pewnej nocy zobaczyłem na ulicy w Sewilli kogoś, kto przypominał ciebie. Nie przypuszczałem, żebyś to był ty, ale mój strach był tak silny, że postanowiłem uciec do Indii. Spotkałeś mnie w nocy przed tą ucieczką, kiedy zęgnąłem się z pewną damą.

- Z niejaką Izabellą de Siguenza, kuzynie. Potem ja ją pożegnałem i przekazałem ci jej ostatnie słowa. Teraz ona i jej dziecko czekają, aby cię powitać.

Zadrżał, ale mówił dalej:

- Na oceanie znowu się spotkaliśmy. Nie śmiałem zabijać cię od razu, myślałem, że na pewno umrzesz na dolnym pokładzie, wśród niewolników i że nikt nie będzie mógł oskarżyć mnie, że jestem winien twej śmierci.

Nie umarłeś jednak. Nie pochłonęło cię nawet morze, ale ja myślałem, że nie żyjesz. Przybyłem do Anahuac z Cortesem i znowu się spotkaliśmy. Tym razem omal mnie nie zabiłeś. Potem miałem okazję zemścić się i wymęczyłem cię dobrze. Miałem zamiar zabić cię na drugi dzień, przedtem poddawszy torturom, bo człowiek ogarnięty strachem potrafi być bardzo okrutny, ale znowu mi uciekłeś. Minęło wiele lat. Podróżowałem tu i tam, byłem w Hiszpanii, potem wróciłem do Meksyku, ale gdziekolwiek się udałem, prześladował mnie strach. Któregoś dnia przyłączyłem się w poszukiwaniu przygód i fortuny do oddziału Diaza. Dopiero kiedy dotarliśmy do Pines, dowiedziałem się, że jesteś wodzem Otomich. Mówiono, że od dawna nie żyjesz. Resztę znasz.

- Dlaczego zamordowałeś mego syna?

- A czy on nie wywodził się z krwi twojej matki? Czy nie należała ci się ode mnie zapłata za tyle lat życia w strachu? Poza tym ten, kto próbuje zabić ojca, a oszczędza syna, jest głupcem. Twój syn nie żyje i cieszę się, że go zabiłem, choć prześladowuje mnie teraz razem z innymi.

- I będzie cię prześladował wiecznie. Skończmy to już. Masz miecz, skorzystaj z niego, jeśli potrafisz. Łatwiej ci będzie zginąć w walce.

- Nie mogę - wycharczał. - To mój koniec.

- Jak chcesz - powiedziałem i wyciągnąwszy miecz, podszedłem do niego.

Zaczął się cofać ze wzrokiem utkwionym w moich oczach, jak ptak, którego ma połknąć wąż. Doszliśmy tak do brzegu krateru. Spojrzałem w dół. Jakieś trzydzieści stóp pod nami rozpalona do czerwoności lawa burzyła się i przesuwiała jak żywe stworzenie. Unosiły się nad nią syczące kłęby pary i bił stamtąd smród wyziewów. Rzeczywiście była to brama, przez jaką de Garcia powinien wejść do miejsca swego wiecznego pobytu.

Wskazałem mieczem wewnątrz krateru i roześmiałem się. Spojrzał i głośno wrzasnął, bo tak przeraził się tego, co czekało go po śmierci, że zapomniał, iż jest mężczyzną. Tak, ten dumny i wyniosły Hiszpan, który wyrządził tyle zła, płakał i błagał o litość. Błagał, by go oszczędzić, by dać mu czas na żal za grzechy i skruchę. Wyglądał na tak przerażonego, że poruszyło się nawet moje serce, ale na krótko.

- Dalej, pora kończyć - powiedziałem, podnosząc po raz drugi miecz, po to tylko, by go za chwilę opuścić, bo nagle de Garcia zwariował.

Nie będę pisał o tym, co było dalej. Z szaleństwem wróciła mu odwaga, bo zaczął walczyć, lecz nie ze mną.

Zdawało się, że przestał mnie dostrzegać, ale walczył rozpaczliwie, siekąc i przesywając powietrze. Strach było patrzeć na tę jego walkę z niewidzialnym przeciwnikiem, słuchać jego wrzasków i przekleństw. Broniąc się i parując wymaginowane ciosy, cofał się cal po calu, aż znalazł się na samej krawędzi krateru. Trwał tam przez chwilę, jak człowiek stawiający ostatni opór przeważającej sile, zadając z furją cięcia i pchnięcia. Dwa razy prawie upadł, jak gdyby odniósł śmiertelną ranę, ale wyprostował się i dalej walczył z powietrzem. Nagle krzyknął przeraźliwie, rozkrzyżował ramiona, jak gdyby trafiony w serce, miecz wypadł mu z dłoni i runął tyłem w czeluść wulkanu.

Odwróciłem wzrok, bo nie chciałem widzieć nic więcej. Od tamtej chwili często zastanawiałem się, kto lub co zadało de Garcii śmiertelny cios.

Rozdział XVIII

POŻEGNANIE OTOMI

Kiedy de Garcia wpadł do krateru, ruszyłem w drogę powrotną. Musiałem zejść po owej skorupie lodowej i było to znacznie trudniejsze niż wchodzenie, bo nasyćwszy się zemstą, stałem się na powrót normalnym człowiekiem, do tego smutnym i znużonym. Smutek mój był tak wielki, że nie przejąłbym się zbytnio, gdybym się potknął, z opisanymi już wyżej skutkami.

Nie potknąłem się jednak i w końcu dotarłem do granicy śniegu, a stamtąd szło mi się już lepiej. Dotrzymałem przysięgi i zemściłem się, ale jakim kosztem? Straciłem narzeczoną, swą pierwszą miłość, przez dwadzieścia lat żyłem jak dzikus między dzikusami i zaznałem każdej niedoli, poślubiłem kobietę, która choć bardzo mnie kochała i miała szlachetny umysł, dowiodła poprzedniego dnia, że w głębi serca jest jednak dzikuską, a przynajmniej niewolnicą boga-demona. Plemię, którym rządziłem, zostało pobite, piękne miasto, w którym mieszkalem, obrócone w perzynę. Byłem bezdomnym nędzarzem i za największe szczęście uważałbym uniknięcie śmierci lub niewoli. Wszystko to mógłbym znieść, bo zniosłem już podobne rzeczy, ale nie mogłem znieść jednego - strasznego końca ostatniego syna, który mi pozostał, jedynej prawdziwej radości mego życia. Miłość do dzieci była moją pociechą. Kochały mnie tak jak ja je. Nauczyłem

je mojej mowy i wiary i były nie tylko moimi dziećmi, lecz także moimi ziomkami, tym, co łączyło mnie z ojczyzną. I oto zginęła cała trójka - jeden w wypadku, drugi od zarazy, trzeci od miecza - i zostałem sam.

Padłem na śnieg i rozplakałem się tak, jak człowiekowi może zdarzyć się tylko raz w życiu.

„O Absalomie, mój synu, o Absalomie! Czemu Bóg nie wziął mnie zamiast ciebie!” - wołałem słowami starożytnego króla. Mój żal był większy niż jego, bo przecież w ciągu trzech lat straciłem trzech synów. Potem uświadomiłem sobie, że tak jak przed wiekami ów król, tak też ja będę pewnego dnia musiał odejść z tego świata, by połączyć się z dziećmi i pocieszywszy się tą myślą - jeśli w ogóle można tak to określić - podniosłem się i poszedłem dalej.

Kiedy doszedłem do ruin Pines, słońce miało się już ku zachodowi, gdyż droga była długa, a ja zmęczony. Przed pałacem spotkałem kapitana Diaza i kilku jego towarzyszy. Uchylili kapeluszy, bo rozumieli mój smutek. Diaz spytał tylko:

- Czy ten morderca nie żyje?

Skinąłem głową i poszedłem dalej. Skierowałem się prosto do naszej komnaty, ponieważ spodziewałem się znaleźć tam Otomi.

Siedziała, piękna, lecz zimna i nieruchoma jak marmurowy posąg.

- Pochowałam go z jego braćmi i dziadami - odpowiedziała na pytanie, które wyczytała w moich oczach. - Wydawało mi się, że lepiej będzie, jeśli go już nie zobaczysz. Bałam się, że serce ci pęknie.

- Już mi pękło - odparłem.

- Czy ten morderca nie żyje? - spytała dokładnie tak jak Diaz.

- Nie żyje.

- Jak to było?

Opowiedziałem jej w paru słowach.

- Powinieneś być go zabić sam. Krew naszego syna nie została pomszczona.

- Powiniennem być go zabić, ale w tamtej godzinie nie szukałem zemsty. Widziałem, że dosięgła go zemsta nieba i zadowolilem się tym. Może lepiej, że tak się stało. Poszukiwanie zemsty sprowadziło na mnie same nieszczęścia. Zemsta należy do Boga, nie do człowieka, ale przekonałem się o tym zbyt późno.

- Ja tak nie uważam - powiedziała Otomi z tym samym wyrazem twarzy, który widziałem, kiedy sztychła z Mariny, kiedy uderzyła mieczem pochylonego nade mną Tlascalanina i kiedy tańczyła na piramidzie, kierując rytuałem ofiarnym. - Gdybym była na twoim miejscu, zabijałabym go po kawałku. Dopiero kiedy ja bym skończyła, mogłyby się do niego zabrać diabły, nie wcześniej. Ale to już nieważne. Wszystko się skończyło, wszyscy umarli, a moje serce razem z nimi. Zjedz coś, bo jesteś zmęczony. Posiliłem się więc, a potem padłem na łóżko i zasnąłem.

Ze snu wyrwał mnie głos Otorni:

- Obudź się, chcę z tobą pomówić. - W jej głosie było coś, co natychmiast mnie otrzeźwiło. Otworzyłem oczy. Wokół panowała ciemność.

- Mów - powiedziałem. - Gdzie jesteś?

- Siedzę obok ciebie. Nie mogę spać, więc siedzę tu. Poznaliśmy się wiele, wiele lat temu, kiedy Guatemoc przyprowadził cię z Tobasco. Dobrze pamiętam, jak wyglądałeś, kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy. Było to w Chapoltepec, na dworze mego ojca, Montezumy. Pokochałam cię wtedy i kocham nadal. W każdym razie ja nigdy nie zbłądziłam, szukając innych bogów - zaśmiała się gorzko.

- Dlaczego o tym mówisz, Otomi?

- Bo mam taką fantazję. Nie możesz poświęcić dla mnie jednej godziny snu, kiedy ja poświęciłam dla ciebie tyle? Pamiętasz, jak wzgardziłeś mną, kiedy postarałam się, aby oddano mnie tobie, bogu Tezcatlipoce, za żonę? Powiedziałeś mi wtedy o tej dziewczynie, Lily, od której pierścień masz nadal na palcu. Myślałam, że umrę ze wstydu. Ale przeżyłam to, a nawet, za twą uczciwość, pokochałam cię jeszcze bardziej. Znasz resztę. Zdobyłam cię, bo byłam odważna i położyłam się obok ciebie na kamieniu ofiarnym, a wtedy pocałowałeś mnie i powiedziałeś, że mnie kochasz. Ale naprawdę nie kochałeś mnie nigdy, cały czas myślałeś o tej Lily. Wiedziałam o tym, choć oszukiwałam się, że jest inaczej. Byłam wówczas ładna, a dla mężczyzny to coś znaczy. Byłam też wierna, a to znaczy jeszcze więcej, i parę razy pomyślałeś, że rzeczywiście mnie kochasz. Teraz żałuję, że kiedy leżeliśmy na tym kamieniu, Teule nie przyszli godzinę później... to znaczy żałuję ze względu na siebie, nie na ciebie. Pocałowałeś mnie na kamieniu, ale wtedy byłeś już jakby martwy. Kiedy wróciłeś do życia, było

już inaczej. Ale los sprawił, że gra wymknęła się z twoich rąk. Poślubiłeś mnie, złożyłeś mi przysięgę i dochowywałeś jej wiernie. Poślubiłeś mnie, ale nie wiedziałeś, kogo poślubiasz. Myślałeś, że jestem piękna, miła i wierna, i taka też byłam, ale nie rozumiałeś, że dzieli nas wiele, że pozostałam dzika jak moi przodkowie. Myślałeś, że nauczysz mnie swych obyczajów, może nawet sądziłeś, że czczę twojego boga... I, naprawdę, dla ciebie starałam się to robić, ale cały czas przestrzegałam zwyczajów mego ludu i nie mogłam zupełnie zapomnieć swoich bogów, a przynajmniej oni nie pozwolili, bym ja, ich sługa, porzuciła ich. Przez całe lata odsuwałam ich od siebie, ale w końcu zemścili się i moje serce wzięło górę nad moją wolą, a raczej oni wzięli górę, bo nie pamiętam nic z tej nocy, kiedy celebrowałam ofiarę ku czci Huitzelcoatla.

Przez wszystkie te lata byłeś mi wierny. Urodziłam ci dzieci, które kochałeś, ale kochałeś je dla nich samych, nie ze względu na to, że byłam ich matką. Właściwie w głębi serca nienawidziłeś tej domieszki indiańskiej krwi w ich żyłach. Mnie też kochałeś na swój sposób i ta twoja połowiczna miłość doprowadzała mnie prawie do szaleństwa. Ale i ta miłość zgasła, kiedy zobaczyłeś mnie tam, na *teocalli*, oszalałą, celebującą rytuał mych przodków i przekonałeś się, kim jestem - dzikuską. A teraz dzieci, które nas łączyły, nie żyją i twoja miłość do mnie umarła razem z nimi. Tylko ja pozostałam żywa, pomnik przeszłości, ale ja też umrę.

Nie, nie zaprzeczaj, bądź cicho, bo mam niewiele czasu. Kiedy powiedziałaś, żebym już nigdy nie nazywała cię mężem, wiedziałam, że wszystko skończone. Pośłucham cię. Nie jesteś już moim mężem, wkrótce przestanę być twoją żoną, ale proszę, żebyś mnie jeszcze posłuchał. Teraz wydaje ci się, że twoje dni się skończyły i że nie ma już dla ciebie żadnej pociechy. Nieprawda. Nie jesteś jeszcze stary, masz jeszcze siłę. Uciekniesz z tego zrujnowanego kraju, a kiedy pył jego ziemi opadnie z twych stóp, przestanie ciężyć na tobie jego przekleństwo. Wrócisz do siebie, a tam znajdziesz kogoś, kto czekał na ciebie wiele lat. Tam dzika kobieta, z którą tu żyłeś, księżniczka z wymarłego rodu, będzie dla ciebie tylko fantastycznym wspomnieniem, a te wszystkie dziwne lata tylko snem. Pozostanie jedynie miłość do nie żyjących dzieci, uczucie, od którego nie ma straszniejszego. Będzie ci ona towarzyszyła aż do grobu i cieszę się z tego, bo ja byłam ich matką i dlatego zachowasz też jakąś pamięć o mnie. Tylko tyle zostawiła mi Lily i jest to moja jedyna przewaga nad nią, bo żadne twe

dziecko z nią nie przeżyje, aby obrabować cię z pamięci o tych, które ja ci zrodziłam.

Obserwowałam cię w dzień i w nocy. Widziałam w twoich oczach tęsknotę za nią i za krajem twojej młodości. Ciesz się, odzyskasz i jedno, i drugie. Walka już się skończyła, Lily była silniejsza niż ja. Jestem coraz słabsza, ale mam już niewiele do powiedzenia. Rozstajemy się, może na zawsze. Ponieważ nie chcesz mnie już, postaram się, żeby nasze rozstanie było doskonałe - teraz, w godzinie śmierci, wyrzekam się twoich bogów i wracam do swoich, mimo że ich nienawidzę, a kocham twoich. Rozstajemy się, może na zawsze, ale proszę, żebyś zachował o mnie dobre wspomnienia, bo kochałam i kocham cię i dałam ci dzieci. Są twoje, nie moje. Zdaje mi się, że troszczyłam się o nie tylko dlatego, że były twoje, a i one kochały nie mnie, lecz ciebie. Zabierz je, zabierz ich duchy, jak zabrałeś wszystko. Przysiękłeś mi, że rozdzieli nas tylko śmierć, i dochowałeś tego przyrzeczenia. Teraz jednak udaję się do Domów Słońca szukać mego ludu. Ciebie, Teule, z którym żyłam tyle lat i dzieliłam tyle smutków i cierpień, ale którego nie nazywam już mężem, bo mi tego zabroniłeś, proszę, żebyś nie szydził ze mnie, kiedy spotkasz się z Lily. Rozmawiaj z nią o mnie jak najmniej... bądź szczęśliwy i... żegnaj!

Słuchałem oszołomiony. Mówiła coraz ciszej i wolniej, a tymczasem w oknie pojawił się świt. W jego szarym świetle zobaczyłem białą postać Otomi siedzącą na krześle przy moim łóżku. Jej ręce zwisały, a głowa spoczywała bezwładnie na oparciu. Zerwałem się i spojrzałem jej w twarz. Była blada i zimna, z jej ust nie wydobywał się oddech. Chwyliłem jej rękę. Była także zimna. Zacząłem do niej mówić, całować ją, ale nie poruszyła się. Robiło się coraz widniej i wreszcie zobaczyłem wszystko. Otomi nie żyła, i to sama zadała sobie śmierć.

Wypiła truciznę, której sekret przyrządzania znają Indianie, a która działa powoli i bezboleśnie, pozostawiając do końca niezmacony umysł ofiary. Kiedy mówiła to wszystko z żalem i goryczą, powoli uchodziło z niej życie. Usiadłem na łóżku i patrzyłem na nią. Nie płakałem, bo nie miałem już łez. Gdy tak się jej przyglądałem, ogarnęła mnie nagle wielka czułość i smutek i zdałem sobie sprawę, jak bardzo ją kochałem. Pamiętałem, jak wyglądała, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, pamiętałem spojrzenie, którym mnie obdarzyła, gdy kładła się obok mnie na kamieniu ofiarnym i wyzywające spojrzenie, które rzuciła Cuitlahule, kiedy chciał mnie zabić. Wydało mi się, że ponownie słyszę jej rozpaczliwy krzyk, kiedy

odkryła martwe ciało naszego pierworodnego, i że widzę, jak stoi z mieczem nad przeszukującym mnie Tlascalaninem.

To prawda, że nigdy nie zapomniałem swojej pierwszej miłości i że pragnąłem znowu zobaczyć jej twarz. Ale nieprawda, że nie kochałem Otomi. Kochałem ją i byłem jej wierny i dopiero kiedy umarła, zdałem sobie sprawę, jak wiele dla mnie znaczyła. To prawda, że rozdzieliła nas pogłębiająca się w miarę upływu czasu przepaść, przepaść krwi i wiary, bo dobrze wiedziałem, że nie potrafi wyzwolić się z dawnych wierzeń, i prawda też, że kiedy zobaczyłem ją przewodzącą chórowi podczas składania ofiary, poczułem do niej odrazę. Ale też z biegiem lat mógłbym o tym zapomnieć, bo przecież była to część jej natury, a poza tym ostatniego i najgorszego uczynku nie dokonała z własnej woli. Jeśli oddzielić jej przesady, to pozostawało aż nazbyt wiele, bym kochał ją i poważał. Powiedziała, że rozstajemy się na zawsze, ale wierzę i ufam, że tak nie będzie. Na pewno istnieje wybaczenie dla nas wszystkich i miejsce, w którym wszyscy, którzy byli sobie drodzy i bliscy na ziemi, mogą się spotkać ponownie.

W końcu podniosłem się i kiedy wstawałem, poczułem, że mam coś na szyi. Był to naszyjnik z wielkich szmaragdów, który dostałem od Guatemoca i dałem Otomi. Gdy spałem, założyła mi go na szyję, a razem z nim pasmo swych długich włosów. I jedno, i drugie zabiorę ze sobą do grobu.

Pochowałem ją w starożytnym grobowcu, obok kości jej przodków i dzieci i w dwa dni później pojechałem w orszaku Bernala Diaza do Meksyku. U wejścia do wąwozu zatrzymałem się i po raz ostatni spojrziałem na ruiny Pines, miasta, gdzie żyłem tyle lat i gdzie pochowałem wszystkich, których kochałem. Patrzyłem długo, jak człowiek, który w godzinie śmierci spogląda na całe swe życie. W końcu Diaz dotknął mego ramienia.

- Jesteś teraz sam, przyjacielu - powiedział. - Jakie masz plany na przyszłość?

- Żadnych - odparłem. - Chcę umrzeć.

- Nigdy tak nie mów - rzekł. - Masz dopiero czterdziestkę. Ja skończyłem już pięćdziesiąt lat i nie myślę o śmierci. Posłuchaj: masz jakichś przyjaciół w swoim kraju, w Anglii?

- Miałem.

- W tym spokojnym kraju ludzie żyją długo. Jedź tam, poszukaj ich. Załatwię ci rejs do Hiszpanii.

- Pomyślę o tym - odparłem.

Po pewnym czasie przybyliśmy do Meksyku, który po odbudowaniu przez Cortesa wydał mi się nowym i obcym miastem. Tam, gdzie stała *teocalli*, na której miałem zostać złożony w ofierze, wznosiła się katedra, której fundamenty zrobiono z ohydnych posągów azteckich bogów. Miasto było dość przyjemne, ale nie tak piękne, jak Tenocitlan za czasów Montezumy, i nigdy takie nie będzie. Ludzie też się zmienili, przedtem byli wolnymi wojownikami, teraz są niewolnikami.

Diaz znalazł mi kwatere. Nikt mnie nie niepokoił, bo honorowano glejt wystawiony mi przez Diaza. Poza tym byłem człowiekiem skończonym, którego nie trzeba się już było obawiać, o moim udziale w obronie miasta i roli w *noche triste* dawno zapomniano, a wieści o mojej tragedii nawet u Hiszpanów obudziły litość. Przebywałem w Meksyku dziesięć dni, włócząc się po mieście i chodząc na wzgórze Chapoltepec, gdzie znajdował się pałac Montezumy i gdzie poznałem Otomi. Nie zostało z niego nic oprócz paru starych cedrów w dawnym ogrodzie. Ósmego dnia zaczął mnie na ulicy jakiś Indianin, mówiąc że chce się ze mną zobaczyć stary przyjaciel.

Poszedłem za nim, zastanawiając się o co chodzi, bo przecież nie żył już nikt z moich przyjaciół. Wprowadził mnie do okazałego kamiennego budynku, stojącego przy nowej ulicy. Czekałem tam chwilę w zaciemnionym pomieszczeniu. Potem nagle usłyszałem miły głos, który wydał mi się znajomy, mówiący po aztecku:

- Witaj, Teule.

Rozejrzałem się i zobaczyłem ubraną w strój hiszpańskiej damy Indiankę. Jej twarz, zniszczona smutkiem i - jak mi się wydawało - chorobą, nosiła ślady dawnej piękności.

- Poznajesz Marinę, Teule? - spytała, ale zanim zdążyła to powiedzieć, poznałem ją. - Mówię tak dlatego, że ja z trudem cię poznałam. Czas i kłopoty zostawiły ślady na nas obojgu.

Ująłem jej dłoń i pocałowałem.

- Gdzie zatem jest Cortes? - spytałem.

Zaczęła nagle drżeć.

- W Hiszpanii, broni swej sprawy. Ożenił się tam ponownie. Odtrącił mnie wiele lat temu, dając za żonę don Juanowi Xaramillo, który pojął mnie ze względu na mój majątek, bo Cortes obszedł się dobrze ze swą porzuconą kochanką. - I zaczęła płakać.

Wtedy poznałem jej historię, ale nie będę jej tu opisywał, bo jest znana.

Kiedy Marina odegrała swoją rolę i nie potrzebował jej już, zostawił ją. Na koniec przepowiedziała mu, że fortuna obróci się przeciw niemu. I rzeczywiście tak się stało.

Potem opowiedziałem jej o moich przejściach. Popłakała się jeszcze raz, gdyż mimo swych wad, miała dobre serce.

Potem rozstaliśmy się i nie widziałem jej więcej. Zanim wyszedłem, wcisnęła mi pewną sumę. Nie wstydzilem się przyjąć tych pieniędzy, bo sam nic nie miałem.

Tak oto zakończyła się historia Mariny, która dla ukochanego zdradziła swój kraj i taką za to otrzymała nagrodę. Ja jednak zawsze będę czcił jej pamięć, bo była mi prawdziwą przyjaciółką, dwukrotnie uratowała mi życie i nie opuściła w potrzebie nawet wtedy, gdy Otomi potraktowała ją tak okrutnie.

Rozdział XIX

ZMARTWYCHWSTANIE

Następnego dnia po mojej wizycie u Mariny przyszedł kapitan Diaz i powiedział, że jego przyjaciel dowodzi karaką, która za dziesięć dni ma odpluć z portu Vera Cruz do Kadyksu i że przyjaciel ów zgodził się mnie zabrać, gdybym zdecydował się opuścić Meksyk. Zastanawiałem się chwilę, a potem powiedziałem, że pojedę i jeszcze tej samej nocy, pożegnawszy się z kapitanem Diazem, oby Bóg dał mu zdrowie i szczęście, wyruszyłem w towarzystwie kupców po raz ostatni z Meksyku. Po tygodniu dotarliśmy cało i zdrowo do Vera Cruz, miasta leżącego w gorącym i niezdrowym klimacie, z portem wystawionym na ostre północne wiatry. Tam przedstawiłem kapitanowi karaki listy polecające. Przyjął mnie na pokład bez żadnych pytań. Trzy dni później wyszliśmy nocą z portu i o świcie byliśmy już tak daleko, że jedynym widocznym skrawkiem Anahuac pozostał wulkan Orizaba. Niebawem i jego szczyt zakryły chmury i w ten sposób pożegnałem się z krajem, gdzie tyle przeżyłem i który, według moich obliczeń, zobaczyłem po raz pierwszy dokładnie osiemnaście lat wcześniej.

O podróży do Hiszpanii nie mogę powiedzieć nic szczególnego. W dziesięć tygodni od podniesienia kotwicy zawinęliśmy do Kadyksu. Zatrzymałem się tam tylko dwa dni, bo tak się złożyło, że stał tam akurat na kotwicy angielski statek, odpływający do Londynu. Wykupiłem na nim kajutę, choć żeby uzyskać pieniądze na to, musiałem sprzedać najmniejszy

szmaragd z naszyjnika. Sprzedałem go jednak za znaczną sumę, tak że mogłem kupić sobie ubranie odpowiednie dla szlachcica, a resztę złota zabrałem ze sobą. Żał mi było rozstawać się z tym kamieniem, mimo iż stanowił ostatnią część *pendent*, ale cóż miałem robić? Kamień będący właściwym *pendent*, piękny klejnot, choć ze skazą, ofiarowałem kilka lat później Jej Wysokości Królowej Elżbiecie.

Na pokładzie uważali mnie za hiszpańskiego poszukiwacza przygód, który zdobył fortunę w Indiach Zachodnich. Nie wyprowadzałem ich z błędu, gdyż dzięki temu mogłem w samotności, nie niepokojony przez nikogo, przygotować się wewnętrznie do spotkania z ojczyzną i przypomnieć sobie zwyczaje, które dawno zapomniałem. Trzymałem się z boku, jak jakiś dumny don, mało mówiąc, ale dużo słuchając, by dowiedzieć się, co zdarzyło się w Anglii podczas mojej przeszło dwudziestoletniej nieobecności.

Wreszcie podróż dobiegła końca i dwunastego czerwca znalazłem się w Londynie, którego nigdy wcześniej nie miałem okazji odwiedzić. W moim pokoiku w gospodzie padłem na kolana i podziękowałem Bogu, że po tylu trudach i niebezpieczeństwach pozwolił mi wrócić do kraju.

W Londynie kupiłem dobrego konia i następnego dnia o świcie wyjechałem drogą na Ipswich. Tam spotkała mnie ostatnia przygoda, bo kiedy tak jechałem truchtem, podziwiając piękno krajobrazu i wdychając rześkie powietrze letniego poranka, jakiś tchórzliwy rabuś wypalił do mnie zza murku z pistoletu. Kula przeszła przez kapelusz, musnąwszy tylko głowę, ale zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, łotr ten, widząc, iż chybił, uciekł. Puściłem się więc w dalszą drogę, myśląc w duchu, że byłaby to zaiste ironia losu, gdybym wyszedłszy cało z tyłu opałów, zginął marnie o pięć mil od Londynu.

Mając mocnego i szybkiego konia, jechałem ostro przez cały ten dzień i następny i około pół do siódmej wieczorem znalazłem się na wzgórku, z którego po raz ostatni spoglądałem na Bungay, kiedy jechałem z ojcem do Yarmouth. Widziałem w dole czerwone dachy miasteczka, z prawej strony dęby Ditchingham i piękną wieżę kościoła Panny Marii, dalej rzekę Waveney, a przed sobą zielone i złote od kwiatów łąki. Wszystko wyglądało tak, jak dawniej, nie widziałem żadnej zmiany. Zmieniłem się tylko ja. Zsiadłem z konia, podszedłem do przydrożnej kałuży i spojrzałem na odbijającą się w niej twarz. Trudno było w niej rozpoznać twarz chłopaka, który wjeżdżał na to wzgórze przed przeszło dwudziestu laty. Miałem smutne, wpadnięte oczy i wyostrome rysy, a na mojej głowie i brodzie

więcej było siwizny niż czerni. Mnie samemu trudno było siebie rozpoznać, a co mówić o innych? Czy w ogóle jest tam jeszcze ktoś, kto mnie znał? Przez dwadzieścia lat mogło umrzeć lub wyjechać wiele osób. Od czasu kiedy kapitan Bell przywiózł mi, tuż przed moją podróżą na Hispanię, listy z domu, nie miałem stamtąd żadnych wieści. Co czekało mnie teraz? A przede wszystkim, co z Lily, może umarła, wyszła za mąż albo wyjechała?

Wskoczywszy na siodło, puściłem się galopem, drogą obok Waingford Mills, zostawiwszy Bungay z lewej. Po dziesięciu minutach byłem przy bramie ścieżki odchodzącej od drogi z Norwich około pół mili od strome-go, zarośniętego zbocza, pod którym skryty jest mój rodzinny dom w Ditchingham. Przy furtce wygrzewał się w ostatnich promieniach słońca jakiś człowiek. Poznałem go od razu, był to Billy Minns, ten sam, który uwolnił skrepowanego przeze mnie de Garcię. Zestarzał się, na pomarszczoną twarz opadały mu siwe włosy. Był brudny i odziany w łachmany, ale tak ucieszyłem się widząc kogoś, kogo znałem w młodości, że mógłbym mu paść na szyję.

Ujrawszy mnie, przykuśtykał o kiju do bramy, żeby mi ją otworzyć i poprosił o jałmużnę.

- Czy tu mieszka pan Wingfield? - spytałem, wskazując w górę ścieżki, a serce podeszło mi do gardła.

- Pan Wingfield, panie? A który? Starszy pan nie żyje, będzie już z dwadzieścia lat. Pomagałem kopać jego grób w tamtym kościele, o, i położyliśmy go przy żonie. Przy tej, co ją zabito. Potem jest jeszcze pan Geoffrey.

- A co z nim?

- On też nie żyje. Będzie już dwanaście lat, albo i więcej, jak się zapił na śmierć... I pan Tomasz... też nie żyje. Mówią, że się utopił w morzu, kupę zim temu. Wszyscy umarli! Wszyscy umarli! Aa, pan Tomasz to był taki dziwny, pamiętam, jak pozwoliłem takiemu obcemu odejść... - i zagłębił się w opowieść o tym, jak wsadził de Garcię na konia.

Rzuciłem mu monetę, spałem zmęczonego konia ostrogami i powcawowałem ścieżką. Odgłos kopyt zdawał się powtarzać echem słowa starego: „Wszyscy umarli!” Na pewno Lily też umarła, a jeśli nie, to kiedy doszła ją wieść, że zginąłem na morzu, wyszła za kogoś. Mając taką urodę, na pewno nie mogła narzekać na brak kandydatów do ręki i trudno było spodziewać się, żeby zmarnowała życie, oplakując utraconego narzeczonego.

Zobaczyłem dom. Nie zmienił się, tyle tylko, że powój na froncie dosięgnął samego dachu. Widać było, że dom jest zamieszkały, gdyż był dobrze utrzymany, a z komina wznosił się dym. Furtka była zamknięta, a w pobliżu nie było służby, gdyż zapadł zmierzch i wszyscy skończyli pracę. Objechałem dom z prawej strony i podjechałem do stajni, znajdujących się z tyłu, obok położonego na zboczu ogrodu, ale i tam furtka była zamknięta. Nie wiedząc, co robić, zsiadłem z konia. Zostawiwszy go, aby się popasał na trawie, stanąłem na dróżce prowadzącej do kościoła i spojrzałem na wzgórze, jakbym się spodziewał, że zejdzie ktoś stamtąd na moje spotkanie. „A jeśli wszyscy umarli, jeśli i ona umarła? Co wtedy?” pomyślałem. Ukryłem twarz w dłoniach i zacząłem wznosić gorące modły do Boga, który chronił mnie tyle lat, aby zaoszczędził mi tej ostatniej kropli goryczy.

Modliłem się przez jakiś czas, drżąc jak liść. Kiedy podniosłem znowu głowę, zapadł już mrok i wokół odezwały się słowiki. Wsłuchałem się w ich trele. Przypominały mi one niejasno jakieś zdarzenie, ale nie wiedziałem jakie. Potem nagle stanęła mi przed oczami wspianiała komnata w pałacu Montezumy w Tenoctitlan. Zobaczyłem się śpiącego, jako bóg Tezcatlipoca, na złożonym łożu. Następnego dnia miałem zostać złożony w ofierze. Przyśniło mi się wtedy, że stoję nocą właśnie w tym miejscu, wdycham zapach angielskich kwiatów i słyszę śpiew słowika. Nad dębami i klonami wschodzi księżyc, słyszę czyjś śpiew...

Ze wspomnień tych wyrwał mnie śpiew kobiety dobiegający ze wzgórza. Nie zwariowałem, śpiew słyhać było wyraźnie. Zbliżał się. Po chwili kobieta była już tak blisko, że mogłem rozróżnić smutne słowa piosenki.

Wtedy zobaczyłem ją w świetle księżyca. Była wysoka, w białej sukni. W pewnej chwili uniosła głowę, śledząc lot nietoperza i blask księżyca padł na jej twarz. Była to twarz Lily Bozard, piękna jak dawniej, choć starsza i naznaczona smutkiem. Widok ten tak mnie poruszył, że gdybym nie chwycił się płotu, upadłbym.

Usłyszała mnie i przestała śpiewać, a potem rozpoznawszy postać mężczyzny, zatrzymała się i odwróciła, jak gdyby chciała uciec. Stałem zupełnie nieruchomo, więc ciekawość przemogła jej strach i odezwała się:

- Kto tu włóczy się po ciemku? To ty, John?

Kiedy to usłyszałem, znowu poczułem obawę. Na pewno John to jej mąż. Znalazłem ją po to tylko, by powtórnie utracić. Przyszło mi nagle do głowy, żeby nie zdradzić się kim jestem, dopóki nie poznam prawdy. Podszedłem bliżej, ale starałem się trzymać w cieniu krzaków. Skłoniłem się dwornie i mówiąc łamaną angielszczyzną z hiszpańskim akcentem, czego

nie będą tu przekazywał wiernie, spytałem:

- Pani, czy mam zaszczyt mówić z tą, która w przeszłości zwała się seniorem Lily Bozard?

- To było moje nazwisko - odparła. - Cóż za wiadomość masz dla mnie, panie?

Znowu zadrzałem, ale powiedziałem opanowanym głosem:

- Zanim odpowiem, pani, pozwól, że zadam ci jeszcze jedno pytanie. Czy nadal tak się nazywałeś?

- Tak, nie jestem mężatką - odparła i niebo na moment zawirowało mi w oczach. Nie zdradziłem jednak kim jestem, bo chciałem wiedzieć, czy czuje jeszcze coś do mnie.

- Pani - rzekłem - jestem Hiszpanem, który brał udział w wojnach Cortesa z Indianami. Może o nim słyszałaś?

Skinęła głową, więc mówiłem dalej:

- Poznałem tam człowieka, którego nazywano Teule, ale który dawniej nosił inne nazwisko. Powiedział mi o tym na łożu śmierci, dwa lata temu.

- Jakie nazwisko? - spytała cicho.

- Tomasz Wingfield.

Lily jęknęła i teraz ona chwyciła się płotu, aby nie upaść.

- Myślałam, że nie żyje już od osiemnastu lat - wykrztusiła. - Że utonął razem ze statkiem, którym płynął.

- Słyszałem, że rozbił się na tamtejszych wodach, seniora, ale uniknął śmierci i znalazł się wśród Indian, którzy zrobili go bogiem i dali mu córkę swego króla za żonę - tu przerwałem.

Zadrzała, ale potem powiedziała głuchym głosem:

- Mów, panie, dalej. Słucham cię.

- Mój przyjaciel Teule brał udział w wojnie po stronie Indian, bo skoro był mężem ich księżniczki, wymagał tego jego honor, i walczył dzielnie. W końcu miasto, którego bronił, zostało zdobyte, jego jedyne pozostałe przy życiu dziecko zamordowane, a jego żona popełniła z rozpaczy samobójstwo. On sam dostał się do niewoli, gdzie zachorował i umarł.

- Smutna opowieść, panie - odparła głosem na wpół zduszonym przez łzy.

- Bardzo smutna, seniora, ale to jeszcze nie koniec. Kiedy leżał na łożu śmierci, powiedział mi, że w młodości dał słowo pewnej angielskiej panie nazwiskiem...

- Znam nazwisko, mów, panie, dalej.

- Powiedział mi, że choć miał żonę i kochał ją, bo wiele razy ryzykowała dla niego swoim życiem, a nawet z własnej woli położyła się obok

niego na kamieniu, gdzie miano go zabić w ofierze bogom, to jednak pamięć o tej pannie towarzyszyła mu przez całe życie. Dlatego zaklinał mnie na naszą przyjaźń, bym po powrocie do Europy odszukał ją, jeśli jeszcze żyje i przekazał jej pewną wiadomość i prośbę.

- Jaką wiadomość i prośbę? - spytała szeptem.

- Że pod koniec życia kochał ją tak samo, jak na początku i że prosi, by wybaczyła mu, iż złamał przysięgę daną jej pod brzozą w Ditchingham.

- Co wiesz o tym, panie? - krzyknęła.

- Tylko to, co mi powiedział, seniora.

- Wasza przyjaźń musiała być silna, a twoja pamięć, panie, musi być bardzo dobra - mruknęła.

- A zrobił to w dziwnych okolicznościach - mówiłem dalej - tak dziwnych, iż ośmielał się mieć nadzieję, że będzie mógł odnowić tę przysięgę na lepszym świecie niż ten. Jego ostatnią prośbą było, by ta panna powiedziała mnie, jego wysłannikowi, czy przebacza mu i czy nadal kocha go, tak jak on kochał ją do śmierci.

- A jaki z tego może przyjść pożytek umarłemu? - spytała, przyglądając mi się bacznie, choć w cieniu niewiele mogła dojrzeć.

- Skąd mogę o tym wiedzieć, seniora? Wykonuję tylko swoją misję.

- A skąd ja mogę wiedzieć, że jesteś, panie, naprawdę jego wysłannicem? Wiele lat temu otrzymałam pewną wiadomość, że Tomasz Wingfield utonął, a ta opowieść o Indianach i księżniczkach jest zbyt fantastyczna, żeby można w nią było uwierzyć. Nie masz, panie, czegoś na dowód swej prawdomówności?

- Mam taki dowód, seniora, ale jest tu zbyt słabe światło, abyś mogła go zobaczyć.

- Wobec tego proszę do domu, tam będzie odpowiednie światło. Chwilczkę - jeszcze raz, podszedłszy do furki, krzyknęła: - John!

Odpowiedział jej głos, po którym poznałem jednego ze służących ojca. Potem powiedziała mu coś po cichu i poprowadziła mnie przez ogród do frontowych drzwi domu. Otworzyła je kluczem, który miała u paska, i skinęła, bym szedł pierwszy. Zrobiłem to, mało myśląc w tej sytuacji o manierach i z przyzwyczajenia skręciłem od razu w drzwi do salonu. Znałem je tak dobrze, że machinalnie uniosłem nogę, aby nie potknąć się o wysoki próg. Mimo ciemności podszedłem pewnie do kominka i stanąłem

tam. Lily patrzyła, jak wchodzę, potem zapaliła od węgli żarzących się na palenisku świecę i ustawiła ją na stole w taki sposób, że choć musiałem tu, we wnętrzu, zdjąć kapelusz, moja twarz pozostała w cieniu.

- A teraz, panie, pokaż mi ten dowód.

Ściągnąłem pierścień z palca i podałem jej. Usiadła przy stole i obejrzała go dokładnie. Teraz dopiero, przy świetle świecy, zobaczyłem, jak nadal jest piękna i jak łagodnie obszedł się z nią czas. Widziałem też, jak starannie kontroluje wyraz swej twarzy, choć ręce jej się trzęsły, a pierś falowała.

- Dowód jest autentyczny - powiedziała w końcu. - Znam ten pierścień. Należał do mojej matki. Wiele lat temu dałam go z miłości chłopcu, któremu obiecałam rękę. Bez wątpienia, panie, reszta twojej opowieści też jest prawdziwa. Dziękuję ci, że fatygowałeś się z tak daleka, aby mi to opowiedzieć. To smutna, bardzo smutna historia. A teraz, panie, ponieważ nie ma tu w pobliżu żadnego zajazdu, a nie uchodzi, abyś został tutaj, proponuję, żebyś prznocował w posiadłości mego brata, która jest zaledwie o milę stąd. Zaraz każę cię tam zaprowadzić... jeśli - dodała wolno - nie znasz sam tej drogi. Siostra twego zmarłego towarzysza, Mary Bozard, która tam mieszka, na pewno będzie chciała usłyszeć o jego niesamowitych przygodach z twoich własnych ust.

Skłoniłem głowę i odparłem:

- Najpierw, seniora, chciałbym poznać odpowiedź na prośbę mego przyjaciela.

- To dziecinada przekazywać odpowiedź umarłym.

- Mimo to proszę, bo przyrzekałem.

- Co jest napisane na tym pierścieniu, panie?

- „Serca złączone, choć rozdzielone” - odparłem i ugryzłem się w język.

- Ach, więc znasz to. No, ale nic dziwnego, miałaś ten pierścień tyle czasu, No cóż, panie, choć byliśmy rozdzieleni i choć pielęgnowałam pamięć o tym, kto nosił ten pierścień, i dla niego pozostałam panną, wydaje mi się, że jego serce zbłądziło... do jakiejś dzikuski, którą poślubił i z którą miał dzieci. Skoro tak, to moja odpowiedź na prośbę twego zmarłego przyjaciela jest taka, że wybaczam mu, ale cofam przysięgę, ponieważ on ją złamał i postaram się wygnać z serca miłość, którą odrzucił i zniesławił - tu Lily wstała i zrobiła taki ruch, jak gdyby rzeczywiście wrywała coś z piersi i odrzucała i w tym momencie pierścionek upadł na podłogę.

Serce mi zamarło. A więc taki był koniec. No cóż, miała do tego prawo, ale zacząłem żałować, że wyznałem wszystko uczciwie, bo czasami kobiety szybciej wybaczą kłamstwo niż prawdę. Pochyliłem się, odszukałem pierścionek i włożywszy go na palec, odwróciłem się w stronę drzwi. Zatrzymałem się jeszcze na sekundę, zastanawiając się, czy nie lepiej będzie zdradzić swoją tożsamość, ale pomyślałem, że skoro nie mogła pohamować gniewu w stosunku do nieżywego, to żywemu też nie okaże zbytniego współczucia, i poszedłem dalej.

Byłem już w drzwiach, kiedy nagle zabrzmiał mi jeszcze raz w uszach głos Lily, tym razem miły i słodki:

- Tomaszu! Tomaszu, może zanim wyjdiesz, sprawdzisz to srebro i złoto, które zostawiłeś pod moją opieką?

Odwróciłem się zaskoczony i zobaczyłem, że Lily zbliżyła się do mnie z wyciągniętymi ramionami.

- Głuptasie! - szepnęła. - Myślałeś, że oszukasz mnie w tak niezadarny sposób? Mówiłeś przecież o brzozie w ogrodzie mego ojca, znalazłeś w ciemności tak łatwo drogę do tego pokoju i wyrecytowałaś napis na pierścieniu swoim własnym głosem. Posłuchaj: Wybaczam temu twojemu przyjacielowi złamanie przysięgi, gdyż przyznał się do tego uczciwie, a ciężko jest człowiekowi żyć tyle lat samotnie w obcym kraju. Poza tym kocham go nadal tak, jak - zdaje się - on kocha mnie, choć prawdę mówiąc, jestem już trochę za stara na miłość, bo od dawna spodziewałam się, że znajdę ją dopiero za grobem.

Mówiąc to, Lily szlochala. Wzięłam ją w milczeniu w ramiona. A jednak kiedy spotkały się nasze usta, myślałem o Otomi, pamiętając jej słowa i to, że sama się zabiła tego właśnie dnia poprzedniego roku.

Módlmy się, by umarłym nie przypominali się żywi.

Rozdział XX

AMEN

Zostało już niewiele do opowiadania, z czego bardzo się cieszę, bo jestem stary i pisanie sprawia mi trudność, tak wielką trudność, że podczas ostatniej zimy byłem wiele razy bliski porzucenia tego zamiaru.

Przez chwilę Lily i ja siedzieliśmy w milczeniu w tym samym pokoju, w którym dzisiaj to opisuję, gdyż radość i wzruszenie odebrały nam mowę.

Potem, pod wpływem jednego impulsu, padliśmy na kolana i podziękowaliśmy pokornie niebu za to, że mogliśmy się znowu spotkać. Zaledwie podnieśliśmy się z klęczek, gdy przed domem zrobił się ruch i po chwili do pokoju wkroczyła energiczna dama, a za nią postawny gentleman, chłopiec i dziewczynka. Była to moja siostra Mary, z mężem, Wilfredem Bazardem, i dwójką dzieci, Rogerem i Joanną. Okazało się, że kiedy Lily domyśliła się, że mężczyzną, z którym rozmawia, jest nikt inny, jak jej dawny narzeczony we własnej osobie, zawiadomiła ich przez służącego Johna, że odwiedził ją ktoś, kogo na pewno chcieliby zobaczyć i pospiesznie ruszyli w drogę, nie wiedząc kogo tu zastaną. Zresztą nie poznali mnie od razu, gdyż bardzo się zmieniłem, a do tego światło było przyćmione. Stali więc zaskoczeni, zastanawiając się, kim może być stojący przed nimi przybysz.

- Mary - powiedziałem w końcu. - Mary, nie poznajesz swego brata?

Krzyknęła i rzuciła mi się z płaczem na szyję, a jej mąż klepnął mnie w ramię i - wstyd powiedzieć - zaklął siarczyście, jak często zdarza się niektórym mężczyznom, gdy ich coś poruszy. Ale ich dzieci stały i gapiły się na nas, nie rozumiejąc, co się stało. Powiedziałem dziewczynce, która wyglądała zupełnie jak Mary, gdy się rozstawaliśmy, by podeszła do mnie, pocałowałem ją i wyjaśniłem, że jestem jej wujem, który od lat uważany był za zmarłego.

Potem schwytano i umieszczono w stajni mego konia, a my siedliśmy do stołu. Po kolacji poprosiłem, by opowiedzieli mi, co się działo podczas mojej nieobecności. Dowiedziałem się, że majątek, który zostawił mi mój dawny mistrz, Fonseca, dotarł bezpiecznie do domu i że Lily znacznie go pomnożyła, gdyż niewiele przeznaczala na swe utrzymanie, traktując go cały czas raczej jako mienie powierzone jej pieczy niż swoją własność. Kiedy jednak pogodzono się z wieścią o mojej śmierci, Mary wzięła przypadającą jej część i kupiła za to ziemię w Earsham i Hedenham, a także las i posiadłość Tyndale Hall w Ditchingham i Broome. Pospieszyłem zaraz z zapewnieniem, że może to wszystko zatrzymać jako dar ode mnie, gdyż miałem więcej bogactw, niż potrzebowałem. Ucieszyło to bardzo jej męża, jako że człowiekowi ciężko oddawać to, czym dysponował przez długie lata.

Potem dowiedziałem się reszty: jak zmarł mój ojciec, jak nadejście złota ode mnie uchroniło Lily przed małżeństwem z moim bratem Geoffreyem, który potem wszedł na złą drogę, co doprowadziło go do śmierci w

wieku trzydziestu jeden lat, jak skończył pan Bozard, ojciec Lily a mój stary wróg, którego trafiła apopleksja podczas napadu złości. Zdaje się, że potem Lily przeniosła się do „Stróżówki”, spłaciwszy zaciągnięty przez mego brata dług hipoteczny i odkupiwszy od Mary prawo do przypadającej jej części majątku. Od tamtej pory żyła samotnie w „Stróżówce”, w smutku, choć nie bez drobnych radości, które dawała jej działalność dobroczynna. Wyznała mi, że gdyby nie duże posiadłości i majątek, którym musiała zarządzać jako moja spadkobierczyni, to wstąpiłaby do zakonu, bo będąc pewna, że nie żyję - wiadomość o zatonięciu karaki dotarła do Ditchingham - nie myślała już o małżeństwie, mimo iż o jej rękę starało się wielu godnych gentlemanów. To oraz trochę mniejszej wagi wydarzeń, takich jak wielka burza i powódź, która zalała dolinę Waveney, to wszystko, co mieli mi do opowiedzenia. Żyli przecież w spokojnym kraju. O polityce, koronacjach i zgonach królów, a także o upadku władzy papieskiej, nie będę tu wspominał.

Potem przysła kolej na mnie. Opowiedziałem im moje losy i trzeba było widzieć zdumienie na ich twarzach. Mówiłem aż do świtu, a i tak nie zdążyłem skończyć, przespaliśmy się więc i na drugi dzień kontynuowałem opowieść, pokazując im na dowód prawdy moich słów miecz, który należał do Bernala Diaza, naszyjnik ofiarowany mi przez Guatemoca i liczne blizny na ciele.

Jednak nie powiedziałem im wszystkiego, bo pewne rzeczy zachowałem tylko dla uszu Lily. Opisałem jej moje życie z Otomi, jakbym rozmawiał z innym mężczyzną, gdyż czułem, że jeśli coś ukryję, to nigdy nie będzie miała do mnie całkowitego zaufania. Nie tałem, że pokochałem Otomi i że spodobała mi się od pierwszego spojrzenia.

Kiedy skończyłem, Lily podziękowała mi za szczerość i powiedziała, że najwidoczniej mężczyźni różnią się w tym względzie od kobiet, ponieważ ona nigdy nie czuła pokusy zbliżenia z jakimś innym mężczyzną. Tym niemniej każde z nas - mówiła - jest takie, jakim stworzył go czy ją Bóg i Natura i dlatego nie możemy winić jedno drugiego ani uważać za cnotę tego, co nie wymagało od nich żadnego wysiłku czy wyrzeczenia. Poza tym ta Otomi, jeśli pominąć fakt, że była poganką, okazała się kobietą o wielkim sercu, zdobywając się z miłości na to, na co ona, Lily, nigdy by się nie zdobyła, a na koniec, skoro musiałem wybierać między nią i śmiercią, to nic dziwnego, że wybrałem to pierwsze, a znowu skoro przysięgłem jej wierność, to byłbym nikczemnikiem, gdybym nie dotrzymał słowa.

Dlatego ona, Lily, nie ma o to pretensji, ani nie będzie zazdrosna, jeśli nadal będę pamiętał o swej zmarłej żonie.

A kiedy mówiłem o śmierci mych dzieci, jej oczy wypełniły się łzami. Dopiero parę lat później, gdy nabrała pewności, że sama nigdy nie będzie miała dzieci, zrobiła się zazdrosna o mych zmarłych synów i moją miłość do nich.

Wkrótce rozeszły się po całej okolicy wieści o moich przygodach i zaczęli przybywać ludzie aż z Norwich i Yarmouth, żeby o nich usłyszeć z moich własnych ust. W kościele Panny Marii w Ditchingham odbyło się też nabożeństwo dziękczynne za me, cudowne prawie, wybawienie z tyłu niebezpieczeństw.

Po tym nabożeństwie, kiedy wszyscy rozeszli się do domów, wróciłem do pustego kościoła z majątku mojej siostry, u której mieszkalem, gdyż byłoby nieprzystojnie przebywać mi pod jednym dachem z Lily, która nadal przecież była panną. Tam ukląknęłam w prezbiterium na grobie rodziców i pomodliłem się za ich dusze. Gdy tak klęczałem, zrozumiałem, jak szalony byłem, składając przysięgę zemśczenia się na de Garcii, z czego, jak drzewo z ziarna, wzięły się wszystkie moje późniejsze nieszczęścia. Ale nawet wtedy nie mogłem o nim myśleć bez nienawiści, co zresztą zostało mi do dziś dnia.

Wychodząc z kościoła spotkałem Lily, która tam na mnie czekała.

- Lily - powiedziałem - chciałbym cię o coś spytać. Czy po tym wszystkim, choć nie jestem ciebie godny, chcesz mnie jeszcze za męża?

- Obiecałam ci to wiele lat temu, Tomaszu - odparła, rumieniąc się - i nigdy nie zmieniłam zdania. Prawdę mówiąc, przez te wszystkie lata, choć byłam pewna, że nie żyjesz, myślałam o tobie jak o mężu.

- Może na to nie zasługuję - powiedziałem - ale skoro tak, to powiedz, kiedy chcesz wziąć ślub, bo nie jesteśmy już młodzi i nie mamy czasu do stracenia.

- Kiedy zechcesz, Tomaszu.

Po tygodniu pobraliśmy się.

I tak moja opowieść dobiegła końca. Bóg, który dał mi smutną młodość i początek wieku dojrzałego, wynagrodził mi to w nadmiarze w wieku średnim i w starości. Tu, w szczęśliwej dolinie Waveney, przeżyłem długie lata w doskonałym zdrowiu, ciszy i spokoju, ciesząc się miłością żony. Spotkało nas tylko jedno nieszczęście - śmierć, tuż po porodzie, naszego

dziecka. Widać los chciał, bym umarł bezdzietny. W tym nieszczęściu, jak już powiedziałem, Lily pokazała, że jest kobietą, bo boczyła się na mnie o pamięć o moich zmarłych synach. Poza tym nic nie zakłócało naszego pożycia. Szliśmy przez życie złączeni razem, dopóki nie wypełnił się jej czas. Pewnego wieczoru - było to akurat Boże Narodzenie - położyła się spać obok mnie, a rano już nie żyła. Żal mój i smutek był głęboki, lecz nie taki, jak smutki młodości, bo wiek i przyzwyczajenie stępiły mą wrażliwość na troski i cierpienia tego świata. Wiedziałem i wiem, że niedługo znów się spotkamy. W końcu opuścił mnie bowiem, jak wszystkich, którzy żyli długo i starali się odpokutować swe grzechy, lęk przed śmiercią i złożyłem swój los w ręce Wszchemogącego, który ocalił mnie od śmierci na kamieniu ofiarnym i wywiódł cało z innych niebezpieczeństw, ufając, iż czeka mnie pociecha w niebie.

Chwała Bogu Ojcu, który ma w opiece mnie, Tomasza Wingfielda, i wszystkich, których kocham i kochałem. Amen.

KONIEC

SPIS TREŚCI

TOM I

Rozdział I. RODZINA

Rozdział II. PRZYBYCIE HISZPANA.....	7
Rozdział III. WYZNAJĘ MIŁOŚĆ	13
Rozdział IV. PRZYSIĘGA	20
Rozdział V. POŻEGNANIE Z UKOCHANĄ.....	27
Rozdział VI. ANDRES DE FONSECA	36
Rozdział VII. DRUGIE SPOTKANIE.....	42
Rozdział VIII. STAJĘ SIĘ BOGATY	51
Rozdział IX. ŚMIERĆ IZABELLI DE SIGUENZA.....	59
Rozdział X. ZATONIĘCIE KARAKI	67
Rozdział XI. NA ŁĄDZIE.....	77
Rozdział XII. KAMIEŃ OFIARNY	83
Rozdział XIII. URATOWANIE GUATEMOCA	92
Rozdział XIV. DWÓR MONTEZUMY	99
Rozdział XV. ZOSTAJĘ BOGIEM	106
Rozdział XVI. ZMARTWYCHWSTANIE PAPANZIN.....	114
Rozdział XVII. WYBÓR ŻON	122
Rozdział XVIII. CZTERY BOGINIE	130
Rozdział XIX. RADA OTOMI	137
Rozdział XX. RADA OTOMI	145

TOM II

Rozdział I. POCAŁUNEK MIŁOŚCI	155
Rozdział II. TRYUMF KRZYŻA	162
Rozdział III. MAŁŻEŃSTWO	169
Rozdział IV. NOC TRWOGI	179
Rozdział V. UKRYCIE SKARBU MONTEZUMY.....	185
Rozdział VI. KORONACJA GUATEMOCA	196
Rozdział VII. UPADEK TENOCITLAN.....	202
Rozdział VIII. WYROK	210
Rozdział IX. TORTURY	218
Rozdział X. UCIECZKA	226
Rozdział XI. OTOMI BŁAGA SWÓJ LUD.....	233
Rozdział XII. KONIEC GUATEMOCA	242
Rozdział XIII. IZABELLA DE SIGUENZA ZOSTAJE POMSZCZONA	248
Rozdział XIV. OBLĘŻENIE PINES	254
Rozdział XV. OSTATNIA OFIARA KOBIET OTOMI.....	261
Rozdział XVI. PODDANIE SIĘ.....	271
Rozdział XVII. ZEMSTA.....	278
Rozdział XVIII. POŻEGNANIE OTOMI	285
Rozdział XIX. ZMARTWYCHWSTANIE.....	292
Rozdział XX. AMEN	299